

Z POPIOLÓW WOJNY POWSTANIE KRÓLESTWO

BERNARD CORNWELL

PŁONĄCE
ZIEMIĘ

Bernard Cornwell

PŁONAĆ ZIEMIE
The Burning Land

Tłumaczenie
Mateusz Pyziak



Mary Read

Spis treści

Spis treści	2
NAZWY GEOGRAFICZNE	5
Drzewo genealogiczne królów Wessexu	7
CZEŚĆ PIERWSZA Pan mieczy	8
PROLOG	9
ROZDZIAŁ PIERWSZY	13
ROZDZIAŁ DRUGI	40
ROZDZIAŁ TRZECI	72
ROZDZIAŁ CZWARTY	101
CZEŚĆ DRUGA Wiking	131
PROLOG	132
ROZDZIAŁ PIĄTY	157
ROZDZIAŁ SZÓSTY	183
ROZDZIAŁ SIÓDMY	210
CZEŚĆ TRZECIA Beamfleot	230
ROZDZIAŁ ÓSMY	231
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	256
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	284
ROZDZIAŁ JEDENASTY	307
ROZDZIAŁ DWUNASTY	334
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	360
NOTA HISTORYCZNA	376
POCZĄTKI ANGLII. NARODZINY HISTORII	380

NAZWY GEOGRAFICZNE

Wzgórze Aeski - Ashdown, hrabstwo Berkshire

Aescengum - Eashing, hrabstwo Surrey

Aethelingæg - Athelney, hrabstwo Somerset

Beamfleot - Benfleet, hrabstwo Essex

Bebbanburg - zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland

Caninga - Canvey Island, hrabstwo Essex

Defnascir - hrabstwo Devonshire

Dumnoc - Dunwich (dziś w większej części zabrane przez morze), hrabstwo Suffolk

Dunholm - Durham, hrabstwo Durham

Eoferwic - York, hrabstwo Yorkshire

Ethandun - Edington, hrabstwo Wiltshire

Exanceaster - Exeter, hrabstwo Devon

Farnea Islands - wyspy Fame

Fearnhamme - Farnham, hrabstwo Surrey

Fughelness - wyspa Foulness, hrabstwo Essex

Grantaceaster - Cambridge, hrabstwo Cambridgeshire

Gleawecestre - Gloucester, hrabstwo Gloucestershire

Godelmingum - Godaiming, hrabstwo Surrey

Haethlegh - Hadleigh, hrabstwo Essex

Haithabu - Hedeby, dawne miasto duńskie, dziś stanowisko archeologiczne w północnych

Niemczech

Hocheleia - Hockley, hrabstwo Essex

Hothlege - rzeka Hadleigh, hrabstwo Essex

Humbre - rzeka Humber

Hwealf - rzeka Crouch, hrabstwo Essex

Lecelad - Lechlade, hrabstwo Gloucestershire

Liccefild - Lichfield, hrabstwo Stratfordshire

Lindisfarena - Lindisfarne (zwana Świętą Wyspą), hrabstwo Northumberland

Przybrzeżne Morze - Zuider Zee w Holandii

Saefern - rzeka Severn

Scaepege - wyspa Sheppey, hrabstwo Kent

Silcestre - Silchester, Hampshire

Sumorsaete - hrabstwo Somerset

Sutringanaweorc - Southwark, Wielki Londyn

Tbunresleam - Thundersley, hrabstwo Essex

Tinan - rzeka Tyne

Torneie - nieistniejąca już wyspa Thorney (w okolicy West Drayton), zniszczona podczas rozbudowy lotniska Heathrow

Tuede - rzeka Tweed

Uisc - rzeka Exe, hrabstwo Devonshire

Wiltunscir - hrabstwo Wiltshire

Wintanceaster - Winchester, hrabstwo Hampshire

Yppe - Epping, hrabstwo Essex

Zegge - fikcyjna wyspa fryzyjska

Drzewo genealogiczne królów Wessexu

Aethelulf

Król Wessexu 793-856

Zona: Obsburga

Aethelsan Aethelbald Aethelbert Aethelrred Alfed Wielki

 Król Wessexu 856-860 Król Wessexu 860-866 Król Wessexu 866-871 Król Wessexu
871-899

Zona: Aelswith

Aethelflaed Edward Starszy Aelhelgifu Aelfhryth Aethelweard

z Aethelred, earl Mercji Król Wessexu 899-924

CZEŚĆ PIERWSZA

Pan mieczy

PROLOG

Niedawno zatrzymałem się w klasztorze, gdzieś na ziemiach należących do Mercji¹. Zmierzałem w rodzinne strony, wiodąc dwunastu wojowników. Czas był zimowy, lecz nie mroźny, a słotny, rozglądałem się więc za schronieniem dla mnie i moich ludzi, gdzie moglibyśmy odtajać i zaspokoić głód.

Mnisi przywitali nas niechętnie, sądząc zapewne, że pod ich bramy zajeżdża zgraja wikingów. Sława musiała mnie wyprzedzić, albowiem gdy usłyszeli, że stoi przed nimi Uhtred z Bebbanburga, przelękli się, jakby nastąpiła ich ostatnia godzina.

- Wierzę, że podzielicie się z nami chlebem - wyłożyłem przelęknionym zakonnikom. - Nadto przydałby się ser i krztyna *ale*², gdyby ojcowie byli tak łaskawi. - Cisnąłem garść monet na klasztorną posadzkę. - Chleb, ser i *ale*, tudzież godziwe posłanie. Oto, czego potrzebujemy!

Następnego ranka wietrzysko przygnało nawałnicę podobną tej, jaka ma ponoć zwiastować zmierzch świata, toteż pozostaliśmy w opactwie, czekając, aż przejmujący, smagający deszczem wichur przycichnie. Z braku lepszego zajęcia przechadzałem się po gmaszysku klasztoru, aż wilgotnymi korytarzami zawędrowałem do izby, gdzie trzech młodych, ale ponurych mnichów pochylało się nad manuskryptami. Pieczę nad nieszczęśnikami sprawował sędziwy kleryk otulony obszytą futrem stulą. Ściągnięte wzgardliwym grymasem oblicze starca było okolone przez wieniec siwych włosów, w rękach zaś nadzorca trzymał skórzany batog, ani chybi służący do zagrzewania skrybów do wytężonej pracy.

- Nie wolno niepokoić kopistów, panie - przestrzegł mnie usadowiony na taborecie staruch. Ogrzewał się przy mosiężnym kotle pełnym żarzących się węgli, od którego było ciepło, nieobejmujące wszakże swym kręgiem zgarbionych nad pulpitemi młodzieńców.

- Tutejszy wychodek trzeba wylizać do czysta - sarknąłem. - A ty, zdaje się, nie masz żadnego zajęcia.

Nadzorca od razu stracił rezon i nie czynił mi dalszych wstrętów, gdy - powodowany ciekawością - zaglądałem skrybom przez ramię. Pierwszy z nich, młodzian o pozbawionej wyrazu, nalanej twarzy przepisywał żywot świętego Kierana³. Historia ta opowiada o wilku, borsuku i lisie - owe leśne zwierzęta miały jakoby dopomóc świętemu w budowie pewnego kościoła w Irlandii. Zażywny kopista, noszący powalany atramentem habit, wydymał pełne usta i kiwając miarowo głową, pod którą zwisało wydatne wole, z zapamiętaniem poskrzypywał piórem. Przemknęło mi przez myśl, iż - by dawać wiarę podobnym bajedom - sługa boży musi być takim głupcem, na jakiego wyglądał.

Drugi skryba mozolił się nad odpisem aktu własności, czyli z pozoru całkiem dorzecznym zajęciem, choć, jak mniemam, przykładał rękę do oszustwa. Albowiem za klasztornymi murami nierzadko sporządza się celowo postarzone akty, które kłamliwie poświadczają, że ten czy inny na poły zapomniany król zrzeka się swych rozległych włości. Na rzecz Kościoła, ma się rozumieć. Podrobione akty pozwalają wyrugować prawowitych właścicieli bądź też wymusić na nich wysoką grzywnę - tytułem zadośćuczynienia za wymaginowane nieprawne użytkowanie ziem. Swego czasu i mnie próbowano okpić w podobny sposób. Jakiś klecha pojawił się w mych progach, wymachując pożółkłym pergaminem. Obryzgałem oszukańcze pismo szczynami i posłałem dwudziestu wprawnie robiących mieczem mężczyzn, by strzegli spornych terenów. Nadto pchnąłem umyślnego do biskupa, zawiadamiając go, że jeśli pragnie zająć mą dziedzinę, niech próbuje swych sił. Przechera nie podjął wyzwania. Prości ludzie upominają swe pociechy, że gorliwość poparta gospodarnością to podstawa wszelkiej pomyślności. Równie dobrze mogą wpierać dziatwie, że borsuk, lis i wilk, gdyby tylko się zawzięły, zdołałyby wznieść kościół. Wiadomo przecież, że jeśli ktoś pragnie dochrapać się majątku, winien osiąść na biskupstwie bądź objąć opactwo, po czym, powołując się na przyzwolenie niebios, uciekać się do matactw i łgarstw.

Ostatni młodzian przepisywał kronikę. Odwiodłem ręką jego dzierżącą pióro dłoń, by przeczytać ostatnią linię, którą skreślił.

- Czyżbyś znał pismo, panie? - nagabnął mnie stary zakonnik. Z pozoru niewinne zapytanie podszyte było kąśliwą ironią.

- „Owego roku - zacząłem czytać na głos - poganie raz jeszcze naruszyli granice Wessexu. Nieprzeliczone hordy, jakich nigdy wcześniej nie widziano, poczęły siać spustoszenie, niosąc zagładę pobożnej ludności. Wtedy wszakże, z łaski Pana naszego Jezusa Chrystusa, na ratunek pospieszył *eldorman*⁴ Aethelred z Mercji, by - stając na czele armii - pod Fearnhamme wygubić pogańskie zastępy”. - Wskazując palcem dopiero co przeczytany ustęp, zapytałem: - A kiedyż to się zdarzyło?

- Roku Pańskiego osiemset dziewięćdziesiątego drugiego, panie - niepewnie odrzekł młody mnich.

- A co to w ogóle ma być? - zapytałem, trącając dłonią kopiowane przez mnicha pergaminy.

- Roczniki - z godnością odpowiedział siwy zakonnik. - *Annaly Mercji*. Jedna jedyna kopia, panie. Sporządzamy jej odpis.

- Aethelred ocalił Wessex? - zdumiałem się, obrzucając wzrokiem świeżo zapisaną kartę.

- Zaiste - odparł z przekonaniem zakonnik - z boskim wspomóżeniem.

- Zaiste! Boskim! - wykrzyknąłem. - I moim! Albowiem Zachodnich Sasów wiodłem do bitwy ja, nie Aethelred! - Mnisi oniemieli, wytrzeszczając oczy. Jeden z mych wiernych towarzyszy, pojawiwszy się w drzwiach, uśmiechnął się szeroko, ukazując przy tym niepełne uzębienie.

- Walczyłem pod Fearnhamme! - rzuciłem gniewnie i chwytając jedyną kopię *Annałów Mercji*, począłem przerzucać sztywne karty. Co i rusz natykałem się na imię eldormana Mercji, lecz nigdzie nie dostrzegłem swojego. Kilkakroć trafiłem na wzmianki o królu Wessexu Alfredzie, wszelako kronikarz ani razu nie wspomniał ani mnie, ani Aethelflaed. Za to wszędzie biło w oczy to samo imię: Aethelred, Aethelred, Aethelred. Odszukawszy na powrót urywki traktujący o zdarzeniach pod Fearnhamme, podjąłem: - „Tegoż samego roku dzięki bożej przychylności eldorman Aethelred i stający z nim ramię w ramię *aetheling*⁵ Edward poprowadzili zbrojny lud mercyjski do Beamfleot, skąd - krwawo rozprawiwszy się z poganami - powrócili z obfitą zdobyczą”

- A zatem to Aethelred i Edward prowadzili Sasów pod Beamfleot? - zapytałem szorstko, mierząc siwego mnicha baczny spojrzeniem.

- Tak mówią przekazy, panie - ozwał się staruszek, do reszty tracąc pewność siebie.

- Toż ja wtedy wiodłem saskie wojska, bękarcie! - warknąłem na dobre już rozwścieczony. Zgarnąłem z pulpitu zarówno annały, jak i stos skopiowanych kart, po czym obróciłem się ku kociołkowi z żarem.

- Wstrzymaj się, panie! - nadzorca skryptorium stanął mi na drodze.

- To wierutne kłamstwa - orzekłem niewzruszony.

Mnich uniósł dłoń, pragnąc ostudzić mój gniew.

- Przez cztery dziesięciolecia ślęczeliśmy nad pulpitami, sporządzając te oto roczniki, panie - rzekł błagalnym tonem. - To dzieje naszego ludu! Jedna jedyna kopia!

- Tyle że nie ma w nich krzty prawdy! - stwierdziłem. - Walczyłem na wzgórzach Fearnhamme, a potem szturmowałem otoczony fosą Beamfleot. A ty, mnichu, gdzie wtedy bawiłeś?

- W owym czasie byłem dzieckiem, panie - odrzekł z pokorą wiekowy zakonnik.

Cisnąłem manuskrypt w żar. Z gardła mnicha wyrwał się zdławiony jęk. Staruszek rzucił się, by ratować zajmujący się ogniem pergamin. Pochwyciłem go za kościstą rękę.

- Byłem pod Fearnhamme - stwierdziłem dobitnie, przyglądając się ciemniejącym i skręcającym się w trzaskających płomieniach kartom. - Byłem tam - powtórzyłem głucho.

- Trud czterech dziesięcioleci! - z niedowierzaniem wykrztusił nadzorca.

- Jeśli pragniecie poznać prawdę - zwróciłem się do zakonników na odchodnym -

przybądźcie do Bebbanburga.

Mercyjscy mnisi nigdy nie zawitali w moim domu, czemu się wcale nie dziwię.

Naprawdę walczyłem pod Fearnhamme. Posłuchajcie zatem prawdziwej historii o tamtych wydarzeniach.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nastał rześki poranek. Nad oblanym pąsowym rumieńcem i połyskującym srebrzyście morzem snuły się strzępiaste mgły, przesłaniając wybrzeża: na południu Kentu, na północy Wschodniej Anglii. Londyn został za nami, a wprost przed dziobem ukazywał się moim - młodym wówczas - oczom rąbek słońca, złocącego rozsiane po jasnym niebie obłoki.

Unosiliśmy się na wodach rozlewiska Tamizy, łączącej się tutaj z morzem. Kadłub *Seolferwulfa* lekko przeciekał, co jest rzeczą normalną w przypadku dopiero co zwodowanych łodzi. Do jej budowy fryzyjscy szkutnicy użyli lśniącego białą dębu, dlatego nadałem swojemu okrętowi imię *Srebrzysty Wilk*. W ślad za nami sunęły dwa inne statki wojenne: najpierw *Kenelm*⁶, ochrzczony tak przez króla Alfreda na cześć pewnego dawno zmarłego świętego, a potem *Smoczy Wędrowiec* - zdobyty przez nas na Duńczykach. Istne чудо. Wystarczało na niego spojrzeć, by wymiarkować, że jest dziełem ludzi Północy. Zgrabna smocza łódź, łagodna i posłuszna życzeniom sternika, w wirze bitewnym stawała się śmiertcionośnym orężem.

Jednak *Srebrzysty Wilk* - o długim kilu, szerokich pokładnikach i dumnie zadartym dziobie - w niczym nie ustępował idącemu jego śladem zdobycznemu okrętowi. Nie żałowałem złota fryzyjskim mistrzom, powierzając im ciesielską robotę nad swoim statkiem. Potem przypatrywałem się, jak jego dębowy szkielet rośnie z dnia na dzień, by wreszcie okryć się poszyciem aż po pysznie wygiętą ku niebu dziobnicę. Tę zwieńczył wyrzezany w drewnie wilczy łeb. Kazałem pociągnąć głowę zwierza białym barwidłem, jego oczy i wywieszony z rozwartej paszczy jęzor - czerwonym, zaś kły - żółtym. Erkenwald, biskup i faktyczny zarządca Londynu z ramienia królewskiego, czynił mi wymówki, niedwuznacznie dając do zrozumienia, iż winienem ochrzcić *Srebrzystego Wilka* na cześć jakiegoś świątobliwego niedołęgi, którego imienia nawet nie pamiętam. Potem, wciskając mi krucyfiks w rękę, przykazał surowo, bym opatrzył maszt tym znakiem Chrystusa. Nie uczyniłem nic podobnego, zamiast tego rzuciłem drewnianego bożka wraz z jego drewnianym krzyżem w ogień, a popioły wsypałem do koryta z tłuczonymi jabłkami, którymi nakarmiłem świnię.

Albowiem czczę Thora.

Owego ranka - jakże wiele pięknych poranków pamiętam z odległej młodości - wiosła *Srebrzystego Wilka* zanurzały się miarowo w lśjącym, oblanym pąsem morzu. Nad wieńczącym stewę dziobową wilczym łbem sterczała gęsto porośnięta liśćmi, rosochata dębową gałąź, by nasi wrogowie wiedzieli, że przybywamy w pokoju - chociaż moi ludzie nałożyli długie kolczugi, a nawet ci z nich, którzy zasiedli przy wiosłach, mieli broń na

podorędziu. Finan, dowódca mej straży, przykucnął na pomoście sterowym i z rozbawieniem przysłuchiwał się tyradom ojca Willibalda.

- Na wielu Duńczyków spłynęło Chrystusowe miłosierdzie - głądził ksiądz. Odkąd w Londynie wstąpił na pokład, bez ustanku plótł niestworzone brednie, ale znosiłem jego gadulstwo ze spokojem, jako że darzyłem tego pełnego zapału, poświęcenia i nieustającej pogody ducha człowieka serdeczną przyjaźnią. - Z boską pomocą - ciągnął z przejęciem Willibald - sprawimy, iż zatraceni ujrzą światło Chrystusa!

- A gdyby tak Duńczycy poczęli posyłać krzewicieli swej wiary do Wessexu? - zapytałem.

- Powstrzymuje ich boska ręka, panie - z przekonaniem odparł mój świątobliwy przyjaciel. Jego współtowarzysz, ksiądz, którego imię dawno uleciało z mej pamięci, przytaknął solennie.

- A może zwyczajnie mają lepsze zajęcia? - zasugerowałem.

- Jeśli Duńczycy zechcą nadstawić uszu - niezrażony Willibald przekonywał z właściwą sobie prostodusznością - przyjmą Chrystusowe przesłanie z błogim rozradowaniem!

- Jesteś naiwnym durniem, ojcze - wytknąłem mu po przyjacielsku. - Czy zdajesz sobie sprawę, ilu misjonarzy wyprawionych przez Alfreda do Duńczyków marnie skończyło?

- Sługa boży gotów jest umrzeć męczeńską śmiercią - odpowiedział z pozornym spokojem, lecz w jego głosie dosłyszałem drżenie.

- Przeważnie wyprawiają klerykom flaki - dorzuciłem w zamyśleniu - bądź wyłupiają oczy, obrzynają język tudzież przyrodzenie... - Pamiętasz zapewne zakonnika, którego znaleźliśmy w Yppe? - zwróciłem się do Finana, któremu wiarę chrześcijańską wpojono w dzieciństwie, gdy mieszkał w rodzimej Irlandii, skąd swego czasu mój najwierniejszy druh został zdradziecko wyrugowany. Chociaż na dobrą sprawę tamtejsze chrześcijaństwo, na wskroś przepojone dawnymi wierzeniami Irlandczyków, niewiele miało wspólnego z religią, którą szerzył Willibald. - Jak ów nieszczęśnik dokonał żywota?

- Miejscowi oskórowali biedną duszę - odrzekł Finan.

- Od stóp do głów? - zaciekałem się.

- Drąc z niego pasy - potwierdził. - Biedaczysko, musiał konać przez wiele godzin.

- Jeśli nie dni - podchwyciłem. - Człowieka nie tak łatwo obdrzeć ze skóry jak, dajmy na to, jagnię.

- Racja - przyznał. - Pewno skubali nieboraka kawałek po kawałku i zdrowo się przy tym naszarpali.

- Nieborak ów krzewił chrześcijaństwo wśród pogan - wyłożyłem Willibaldowi.

- I poległ jako błogosławiony cierpiętnik - przyświadczył ochoczo Irlandczyk, by po chwili namysłu dodać: - Zdaje się, że oprawcom zbrzydła jego niekończąca się agonია, bo na ostatek

rozcięli mnicha na dwie części. Piłą do drzewa.

- Łatwiej byłoby im zwyczajnie rozrąbać go toporem - rzuciłem.

- Co prawda, to prawda, panie, oni wszakże rozcięli jego ciało w pasie - ciągnął Finan z szelmowskim uśmiechem. - Zębiska piły szarpały broczący krwią zewłok. Nieludzki widok.

Słyszając tę obrazową opowieść, ojciec Willibald, który nigdy nie czuł się zbyt dobrze na rozchwianym pokładzie, zbladł i słaniając się, ruszył ku burcie.

Obróciłem okręt dziobem na południe. Wprawdzie wody przybrzeżne ujścia Tamizy mają złą reputację, lecz znałem tamtejsze zdradliwe płycizny, gwałtowne wahania pływów i zwodnicze prądy - wszak od dobrych pięciu lat patrolowałem wybrzeża rozlewiska. Dlatego, z rzadka tylko zerkając ku punktom orientacyjnym, skierowałem statek ku brzegom Scaepege. Tam, pomiędzy burtami dwóch wyciągniętych na brzeg okrętów, ustawił się nieprzyjaciel. Duńczycy. Przynajmniej stu wojowników pod bronią i w połyskujących w porannym słońcu kolczugach oraz hełmach.

- Moglibyśmy ich wszystkich wyrznąć - zauważyłem, zwracając się do przyjaciela z Wyspy Irów. - Mamy na to dość ludzi.

- Uradziliśmy wszak, iż dochowamy pokoju! - zakrzyknął ojciec Willibald, obtarłszy usta rękawem.

Zaiste, wiązało nas dane słowo i go nie złamaliśmy.

Wydałem rozkaz, by *Kenelm* i *Smoczy Wędrowiec* rzuciły kotwice w niewielkiej odległości od grząskiego wybrzeża, a sam skierowałem *Srebrzystego Wilka* wprost na chylący się lekko ku wodzie mulisty brzeg. Mój statek, popychany długimi pociągnięciami wiosł, popłynął tam, gdzie stały dwie duńskie łodzie. Dziobnica z sykiem zaryła w miękkie błoto i znieruchomiała. Kil utkwiał głęboko w szlamie, co gwarantowało, iż *Srebrzysty Wilk* pozostanie w wyciętym przez siebie zagłębieniu do czasu, aż uwolnią go przybierające pomału wody. Zeskoczyłem z pokładu dziobowego wprost na brzeg, a potem - zapadając się po kolana - począłem brnąć przez muł, by wydostać się na stały ląd, gdzie czekał nieprzyjaciel.

- Uhtredzie, mój panie - odezwał się wódz Duńczyków i rozłożył ramiona, uśmiechając się na przywitanie.

Na jego krzepkie barki luźno spadały płowe włosy, a porastający kanciastą szczękę jasny zarost zapleciony został w pięć warkoczy, każdy spięty srebrną klamrą. Przedramiona stojącego naprzeciw mnie mężczyzny były opasane splotami lśniących srebrzyście i złociście pierścieni, a jego pas nabijany był złotymi ćwiekami. Okazała postać duńskiego przywódcy świadczyła o zaznanym w życiu powodzeniu, zaś serdeczne wejrzenie wzbudzało zaufanie. Jednakże wielokroć przekonałem się, iż jedyne, czemu u Haestena można było ufać, to jakości

kruszców, z jakich wykonano noszone przez niego błyskotki.

- Jakże cieszy mnie widok starego i nieocenionego przyjaciela! - oznajmił, szczerząc się w uśmiechu.

- Jarl⁷ Haesten - odpowiedziałem, używając tytułu, który sam sobie nadał, chociaż w moim mniemaniu nie był nikim więcej jak morskim rozbójnikiem. Cóż, znałem łajdaka od lat. Kiedyś nieopatrznie ocaliłem go od zguby. Odtąd wciąż starałem się naprawić ów błąd, lecz mieniący się jarlem pirat wciąż wymykał mi się z rąk. Pięć lat wcześniej, gdy nasze drogi ponownie się skrzyżowały, niewiele brakowało, a udałoby mi się posłać szelmę w zaświaty. Później, jak doszły mnie słuchy, wiatry zniosły go do kraju Franków. Powiadano, iż w zamorskich stronach łotr - prócz tego, że doczekał się kolejnego męskiego potomka - zgromadził moc srebra i zyskał wielu zwolenników. Znalazło to potwierdzenie owego pięknego poranka - nie były zmyślane pogłoski, iż przywiedziona przez niego do Wessexu flota liczyła blisko osiemdziesiąt smoczycich łodzi.

- Miałem nadzieję, że Alfred wyprawi do nas właśnie ciebie - oświadczył promiennie uśmiechnięty Duńczyk.

- Gdyby nie rozkaz królewski, abym przybył tutaj w pokoju - odparłem, krzepko ściskając wyciągniętą prawicę wodza wikingów - dawno już skróciłbym cię o głowę.

- Szczekasz jak najęty - odrzekł, wyraźnie ubawiony - a wiadomo, że hałaśliwy psiak rzadko kiedy rzuca się do gardła.

Puściłem zaczepkę mimo uszu, wypełniałem bowiem wolę mego pana, który nie życzył sobie wszczynania walk. Zamiast tego saski władca postanowił uszczęśliwić Haestena, posyłając mu dwóch misjonarzy. Tymczasem Willibald i jego współtowarzysz, korzystając z pomocy załogi *Srebrzystego Wilka*, wyszli na brzeg i stanęli u mego boku, blado się uśmiechając. Ma się rozumieć, że obaj wyprawieni przez Alfreda klerycy znali mowę Duńczyków. Król w swej mądrości słał morskim rozbójnikom - prócz księży - warunki ugody, a także trybut mający zapewnić jej dopełnienie. Przywódca piratów, kiedy usłyszał z naszych ust o królewskich darach - którą to wieść odebrał, przybierając maskę obojętności - zaczął usilnie nastawać, abyśmy pozwolili mu się ugościć, po czym poprowadził nas do naprędce wzniesionego obozu.

Haesten pozostawił główne siły w pewnym oddaleniu, na wschód od Scaepege, gdzie załogi blisko osiemdziesięciu okrętów wzniosły obwiedziony umocnieniami obóz. Nie życząc sobie widzieć poselstwa Alfreda w owej dopiero co założonej nadmorskiej warowni, Duńczyk żądał, aby nasze spotkanie odbyło się na Scaepege - odludnej, podmokłej wyspie, ciemnej od błota, gdzie mimo pełni lata wśród porośniętych szczawikiem mokradeł stały

cuchnące bajora. Wiking przybił tam z dwudniowym wyprzedzeniem, co pozwoliło mu przygotować doraźne obozowisko. Przeto na suchym pagórku opasanym wałem kolczastej roślinności czekały dwa namioty z żaglowego płótna.

- Zasiądźcie do wieczerzy - gospodarz zwrócił się do nas dwornie, szerokim gestem wskazując otoczony tuzinem prostych siedzisk stół na kozłach. Za całą drużynę miałem Finana, dwóch wojowników z mojej straży i tyluż księży. Wszelako Haesten nie przystał na to, by klerycy zasiedli z nami przy wspólnym stole. - Nie mam zaufania do chrześcijańskich czarowników - dodał gwoli wyjaśnienia. - Niechże usadowią się na ziemi.

Półnagie niewolnice wniosły prosty posiłek, na który składały się rybna polewka i stwardniały na kamień chleb. Żadna spośród służących nie wyglądała na więcej niż czternaście, piętnaście lat, a typ ich urody nie pozostawiał wątpliwości co do pochodzenia - wszystkie co do jednej były saskiej krwi.

Haesten z rozmysłem upokarzał dziewczki i nas, by mnie sprowokować, wyraźnie ciekaw, czy będę chciał uczynić coś dla niewolnic.

- To branki z Wessexu? - zagadnąłem ostrożnie.

- Skądże znowu - obruszył się samozwańczy jarl. - Moi ludzie pojмали je we Wschodniej Anglii. Czyżby któraś wpadła ci w oko, panie? Spójrz tylko na tę młódkę o jędrnych, twardych jak jabłka piersiątkach!

Zapytałem dziewczynę o sterczących piersiach, gdzie trafiła do niewoli, lecz ta, najwyraźniej oniemiała ze strachu, pokiwała tylko głową, nalewając mi słodzone jagodami piwo.

- Skąd pochodzisz? - ponowiłem pytanie.

Haesten zmierzył służkę lubieżnym spojrzeniem, najwięcej uwagi poświęcając jej obnażonym, kształtnym piersiom.

- Odpowiadaj, kiedy pan pyta - polecił, także przechodząc na angielski.

- A bo ja wiem, panie - wymamrotała.

- Gdzie został twój dom? W Wessexie - dopytywałem - a może we Wschodniej Anglii?

- We wsi, panie - odpowiedziała, a ja odprawiłem niemotę machnięciem ręki, albowiem wydało mi się wątpliwym, abym wywiedział się od niej czegokolwiek ponad to, co usłyszałem.

- Mam nadzieję, iż twa małżonka cieszy się dobrym zdrowiem, panie? - zagadnął Haesten, odprowadzając spojrzeniem oddalającą się zgrabną służkę.

- Owszem.

- Miło mi to słyszeć - dorzucił z całkiem przekonującym uśmiechem. Naraz bystre oczy

jarla poweselały. - Mów zatem, jakie posłanie wiesz mi od swego pana? - zapytał bez ceremonii, przechylając łyżkę z polewką tak bardzo, że zupa poląła się po jego starannie zaplecionej brodzie.

- Życzeniem króla jest, abyś opuścił Wessex - oświadczyłem.

- A czemuż to miałbym opuszczać Wessex?! - obruszył się Haesten z podszytym drwiną przerażeniem. Omiatając wzrokiem ciągnące się aż po widnokrąg niegościnne moczary, zapytał: - Czyż mógłbym bez żalu porzucić tę jakże urokliwą okolicę?

- Masz zabierać się z Wessexu - podjąłem z naciskiem - i trzymać z dala od Mercji. Ponadto król żąda od ciebie dwóch zakładników i obietnicy, iż przyjmiesz do swej świty paru misjonarzy.

- Misjonarzy! - zdumiał się wiking i udając, że wpada w gniew, wymierzył w moim kierunku kościaną chochlę. - Erlu Uhtredzie, jakoś nie chce mi się wierzyć, byś pochwalał podobne natręctwo! Ty, który dotrzymujesz wiary prawdziwym bogom! - rzekłszy to, okręcił się na stołku i spojrzał z ukosa na kuczających nieopodal księży. - Najwyżej ich ubiję.

- Tylko się waż - syknąłem - a wyszarpię ci ślepią, pozostawiając ziejące krwawe jamy.

W oczach Duńczyka pojawił się wymowny zimny błysk. Widać otwartą wrogość w moim głosie nieprzyjemnie go zaskoczyła.

- Czyżbyś przyjął chrześcijaństwo, panie? - zapytał, kamiennym spokojem pokrywając zmieszanie.

- Ojciec Willibald to mój serdeczny przyjaciel - oznajmiłem.

- Od razu trzeba było tak mówić - odparował jarl z lekką przyganą - a powściągnąłbym się od grubiańskich żartów. Włos nie spadnie im z głowy, możesz być tego pewien. A co tam, pozwolę im nawet prawić kazania, niechże zdzierają gardła po próżnicy. Powiadasz, że Alfred życzyłby sobie widzieć moją flotę z dala od brzegów Wessexu?

- Im dalej, tym lepiej - przyświadczyłem.

- A dokąd mielibyśmy popłynąć? - zastanawiał się na głos, udając naiwność.

- Do frankijskich wybrzeży? - podpowiedziałem.

- Frankowie, aby się od nas uwolnić, złożyli mi wcale godziwą daninę - odparł niespiesznie. - Co więcej, pobudowali okręty i podarowali je nam, abyśmy jak najrychlej wyprawili się w drogę. Czy Alfred też gotów jest dać nam nowe statki?

- Jak rzekłem, masz opuścić Wessex, nie niepokoić Mercji, wziąć pod opiekę obu misjonarzy, a także oddać nam dwóch zakładników.

- Ach tak. - Uśmiechnął się gospodarz. - Zakładnicy - rzekł i zamilkł, zatapiając we mnie wzrok. Naraz, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, szerokim gestem wskazał wody ujścia

rzeki. - Nie mam wszakże pojęcia, jaki kurs obrać.

- Alfred skłonny jest sypnąć złotem, bylebyś tylko się stąd wyniósł - zaznaczyłem - lecz ani jego, ani mnie nie zajmuje to, gdzie się podziejecie. A jeśli już pytasz mnie o radę, wiedz, że na twoim miejscu schroniłbym się w dalekich stronach, gdzie nie dosięgnie cię ostrze mego miecza.

Haesten roześmiał się w głos.

- Twój miecz, panie, zżera rdza - parsknął i wskazując kciukiem leżącą za jego plecami krainę, dorzucił z nieskrywaną satysfakcją: - Wessex stoi w ogniu, a Alfred, zamiast walczyć, pozwala, byś drzemał.

Była to bolesna prawda. Na południowym widnokregu w rozmyty przez letnie mgły błękit porannego nieba były smugi dymu, dowodząc jasno, że okoliczne osady ogarnęła wojenna pożoga. A co działo się dalej, poza zasięgiem wzroku, nietrudno było odgadnąć. Trawione ogniem wschodnie rubieże saskiego królestwa przemieniały się w pustkowie. Tymczasem władca Wessexu - zamiast wezwać mnie, bym rozpędził wrogie hordy - przykazał mi pozostać w Londynie i strzec jego murów.

Na oblicze Duńczyka wypląnął chytry uśmiech. Pirat spytał:

- Czyżby Alfred niepokoił się, iż dopadła cię starcza niemoc i nie podołasz wojennym trudom, panie?

Nie przejąłem się zbytnio niewczesną złośliwością szczwanego lisa. Spoglądając dziś w przeszłość, widzę ówczesnego siebie jako mężczyznę nadal pozostającego w pełni sił, choć musiałem wtedy liczyć aż trzydzieści pięć, a może trzydzieści sześć wiosen. Niewielu dożywa podobnego wieku. Wszelako szczęsny los długo pozwolił mi zachować siły i pełną sprawność bojową. Wprawdzie wskutek dawnej rany lekko utykałem na lewą nogę, lecz pozłocista nie mego żywota pozwoliła mi zyskać sławę niezwyciężonego wojownika. Mimo to Haesten - świadom, iż przybywam z ugodową misją - skwapliwie korzystał ze sposobności, by mnie rozjuszyć.

Zostałem wyprawiony z tym żebraczym poselstwem, gdyż u wybrzeży Kentu - stanowiącego już od lat wschodnią prowincję Wessexu - pojawiły się dwie wikińskie floty, na domiar złego niemalże równocześnie. Armia Haestena była z nich najsłabsza, a jej przywódca wydawał się zadowolony, iż udało mu się założyć twierdzę na kentyjskiej ziemi. Jego ludzie czynili wprawdzie wypadki, by zapewnić sobie zapasy pożywienia i uprowadzać kobiety, lecz na razie nie ważyli się zakłócać handlu prowadzonego wodami Tamizy. Najwyraźniej przebiegły wódz wolał się najpierw przekonać, jak rozwinie się sytuacja na południu Kentu, gdzie uderzyła horda morskich zabijaków o wiele potężniejsza od tej, którą sam dowodził.

Jarl Harald Krwawowłosy przywiódł ponad dwieście okrętów, na pokładach których aż roiło się od żądnych zdobyczy łupieżców. Jego armia wzięła szturmem nieukończony *burh*⁸, w pień wycinając obrońców, a teraz rozlała się po ziemiach Kentu, niosąc ogień i śmierć, rabując i niewoląc. Niebo czerniało nad zgłiszczami wszędzie, którędy przeszli ludzie Haralda. Alfred wraz z armią wyszedł naprzeciw najeźdźcom. Król był już jednak stareńki i wyniszczony przez choroby, dlatego dowództwo nad wojskiem spoczęło w rękach dwóch ludzi - jego zięcia, eldormana Aethelreda z Mercji, i najstarszego syna, aethelinga Edwarda.

Podszy ci strachem panowie sascy niewiele zdziałali. Stanęli obozem na szczycie potężnego lesistego grzbietu w samym sercu Kentu. Mogli stamtąd uderzyć na Haestena - gdyby zwrócili się na północ, mogli też stanąć do walki z Haraldem - gdyby pomaszerowali w przeciwnym kierunku. Armia Zachodnich Sasów pozostała jednak na miejscu, gdyż jej dowódcy nazbyt się obawiali, że jeśli przypuszczą atak na któregoś z duńskich wodzów, drugi opadnie ich tyły. Ostatecznie Alfred - popadłszy w wątpliwość, czy wojska saskie podołają połączonym wrogim siłom - wyprawił mnie do Haestena, abym skłonił samozwańczego jarla do wycofania się z Wessexu.

Gdybym dostał taki rozkaz, wraz z moim garnizonem uderzyłbym na ludzi Haestena i kentyjskie bagna przesiąknęłyby duńską krwią. Ale nie dostałem. W zamian przypadło mi w udziale niewdzięczne zadanie układania się z nieprzyjacielem, stary władca utwierdził się bowiem w przeświadczeniu, iż jego ludzie dopiero wtedy mężnie stawią czoło dzikim zastępom Haralda, kiedy będą mieli pewność, że nie grozi im cios w plecy.

Duńczyk długo grzebał w ustach długim cierniem, by wreszcie wydobyć skrawek rybiego mięsa.

- Czemuż to wasz król zwleka, zamiast uderzyć na ludzi Haralda? - wreszcie przerwał milczenie.

- Wyrządziłby ci w ten sposób przysługę - zauważyłem.

Morski rozbójnik błysnął zębami.

- Gdyby Harald zginął - potwierdził wprost - a wraz z nim ta jego parszywa suka, moja flota znacznie urosłaby w siłę.

- Jaka parszywa suka?

Duńczyk uśmiechnął się, ucieszony z chwilowej przewagi, jako że wiedział o moich wrogach więcej ode mnie.

- Zwie się Skade - wycedził.

- Kto to taki? Żona Haralda?

- Jego oblubienica, kochanica, wierna suka i wieszczka.

- Pierwsze słyszę - odparłem.

- Będiesz miał jeszcze okazję więcej o niej usłyszeć, zaręczam. A kiedy już ją spotkasz, przyjacielu, ogarnie cię niepowstrzymana żądza, by zdobyć i posiąść Skade. Wiedz jednak, że ta wiedźma przy pierwszej sposobności skróci cię o głowę i przybije ją nad wejściem do swego dworu.

- Widziałeś ją? - zainteresowałem się, a gdy przytaknął, dorzuciłem: - I chciałeś ją zdobyć?

- Harald to gwałtownik - podjął Haesten, nie zaspokoivszy mej ciekawości. - Prędzej czy później, idąc za niejasnymi radami kochanki, popełni błąd, a wtedy jego pozbawieni pana wojownicy przystaną do mnie - stwierdził z chytrym uśmiechem. - Gdybym miał dwakroć większą flotę niż teraz, nie minąłby rok, a Wessex leżałby u mych stóp.

- Cenię szczerść - rzekłem - i powtórzę twe słowa Alfredowi. Być może skłonią go, by najpierw rozprawić się z tobą.

- Tego się nie obawiam - bez chwili wahania odrzekł Duńczyk. - Gdyby wasz król ruszył na mnie, ludzie Haraldą spustoszyliby Wessex - stwierdził nie bez racji.

- Wiesz też zapewne, dlaczego Alfred ociąga się z atakiem na Haraldą?

- Obaj to wiemy - odparł bez ogródek.

- Doprawdy? Bądź zatem łaskaw mnie oświecić.

Haesten zamilkł, niechybnie rozważając, czy wyjawić mi, jak wiele mu wiadomo. A jednak postanowił się pochwalić. Długim cierniem wydrapał na stole okrąg i przecinającą go żmijowato wijącą się ryse.

- Tamiza - objaśnił, wskazując falującą linię. Potem dźgnął cierniem w krąg - a tutaj Londyn i twój liczący tysiąc mieczy garnizon. Dalej - dorzucił, wiodąc palcem w górę rzeki - stoi obozem niejaki Aldhelm, mający pod sobą pięciuset Mercjan. Alfred, by zmierzyć się z Haraldem, będzie musiał wezwać twoich ludzi, a także wojowników Aldhelma. Najpewniej martwi go jednak okoliczność, iż wówczas Mercja pozostałaby bez obrony od strony Tamizy.

- A kto od południa miałby zagrozić Mercji? - zdziwiłem się, udając naiwność.

- Duńczycy ze Wschodniej Anglii? - równie niewinnie zapytał wiking. - Wystarczy, że ludzie morza znajdą śmiałego przywódcę.

- Nasza ugoda zabrania ci naruszać granice Mercji - odparłem.

- Zaiste - odciął się Duńczyk. - Ugoda, której jeszcze nie zawarliśmy.

W końcu doszliśmy do porozumienia. Wódz wikingów miał odpłynąć na *Smoczym Wędrowcu*, którego brzuch skrywał cztery okute żelazem wielkie skrzynie wypełnione srebrem. W zamian za darowany okręt i zawartość umieszczonych w nim skrzyń, Haesten dał

zapewnienie, iż opuści Wessex i nie targnie się na spokój Mercji. Zgodził się również przyjąć na pokład obu misjonarzy, a potem kazał przyprowadzić dwóch wyrostków, których gotów był oddać jako zakładników. Pierwszego z nich przedstawił jako drogiego mu siostrzeńca, w co jeszcze byłem w stanie uwierzyć. Drugi, nieco młodszy, ubrany był po pańsku - okrywała go wykwinna szata spięta złotą broszą. Włosy chłopca jaśniały w słońcu, a błękitne oczy słały wokół niespokojne spojrzenia. Przywódca Duńczyków, stanąwszy za wystrojonym smarkaczem, ujął drobne chłopięce ręce.

- Oto, panie - oświadczył uroczyście - mój najstarszy syn, Horik, którego oddaję ci jako zakładnika. - Haestenurwal i pociągnął głośno nosem, jakby zbierało mu się na płacz. - Powierzam ci go w opiekę, panie, na dowód mej dobrej woli. Zaklinam cię wszakże, byś uważał na chłopca, gdyż jego los wielce leży mi na sercu.

- Ile wiosen widziałeś? - zwróciłem się do Horika.

- Siedem - odrzekł jarl, poklepując malca po ramieniu.

- Niechże sam mówi - zażądałem. - Ile liczysz sobie wiosen?

Z gardła chłopca dobył się stłumiony odgłos, a mieniący się jego ojcem nikkczennik przyklęknął i przycisnął dziecko do piersi.

- Odkąd przyszedł na świat, jest głuchy i niemy, eldormanie Uhtredzie - oznajmił ze smutkiem. - Tak zrzędzili bogowie.

- Ale najpierw uczynili cię załganym bękartem - mruknąłem z cicha, by nikt z otoczenia jarla nie powziął do mnie urazy.

- Nawet jeśli, cóż z tego? - odparował z drwiną. - Skoro twierdzę, że ten młokos to mój potomek, któż śmiałby zadać kłam moim słowom?

- Wyniesiesz się z Wessexu? - zapytałem na pożegnanie.

- Wkrótce, o to możesz być spokojny - usłyszałem w odpowiedzi.

Prawdę mówiąc, nie wierzyłem jego zapewnieniom. Przestrzegałem Alfreda, by nie wdawał się w układy z tym zatraconym wiarołomcą, lecz władca, zmęczony długim panowaniem i chorobą, pragnął ujrzyć swe państwo wolnym od znieawidzonych pogan, a nie będąc pewnym, jak długo dane mu będzie jeszcze pożyć, chwycił się każdego rozwiązania. Oddaliśmy zatem srebro wikińskiemu przywódcy, a potem - z dwójką duńskich chłopców na pokładzie - odbiliśmy od brzegu i po ciemniejącej powierzchni wód powiosłowaliśmy do Londynu.

Londyn rozpościera się na północnym skłonie doliny Tamizy, pnąc się po coraz wyżej położonych tarasach, gdzie Rzymianie pozostawili okazałe gmachy - tym świetniejsze, im wyżej stały. Niektóre spośród pradawnych pałaców, chociaż poważnie uszkodzone, dotrwały

do naszych czasów. Ich skruszałe ściany załatano gdzieśgdzie wiklinową plecionką obrzuconą gliną, zaś na miejscu tych kamiennych budowli, które popadły w całkowitą ruinę, powyrastały niskie i drewniane saskie chałupy. Ich strzechy - oglądane z góry, ze szczytów rzymskich pałaców - przywodziły na myśl kapelusze wciskających się między skały grzybów.

W tamtych czasach miasto należało do Mercji, królestwa, które - podobnie jak wyniosłe rzymskie siedziby - chyliło się ku upadkowi. Na żyzne mercyjskie ziemie napadali duńscy jarlowie. Niektórzy, wyrznuwszy miejscową ludność, osiedlali się tam z własnymi poddanymi. Ich dwory - niby strupy - znaczyły miejsca, gdzie nie zabiły się jeszcze świeże wojenne rany. Mój kuzyn Aethelred, tytułujący się eldormanem Mercji, nie miał żadnej władzy nad osiedlającymi się na jego ziemiach przybyszami z Północy, podobnie zresztą jak i nad samą Mercją - był bowiem popychadłem Alfreda, wodzonym przez teścia na przykrótkim postronku. Zapobiegawczy król Zachodnich Sasów zadbał także, by władza nad Londynem skupiła się w rękach oddanych mu ludzi. Toteż mnie powierzył pieczę nad tamtejszym garnizonem, a biskupowi Erkenwaldowi nad resztą spraw.

Lata później biskupa kanonizowano i dziś mówi się o nim wyłącznie jako o „świętym Erkenwaldzie”, lecz ja pamiętam go jako człowieka o wiecznie zafrasowanym obliczu przypominającym pysk cwanej łasicy. Przyznaję, zawsze sumiennie wypełniał powierzone mu obowiązki i miasto pod jego rządami prężnie się rozwijało - lecz tłąca się w sercu dostojnika zapamiętała nienawiść do wszystkiego, co pogańskie, kazała mu postrzegać mnie jako wroga. Otaczałem przecież czią Thora, a to w zupełności wystarczało, aby biskup widział we mnie wcielenie zła, na którego istnienie godził się jedynie z konieczności. Byłem bowiem wojownikiem, którego tarcza osłaniała Londyn. I choć pozostawałem bezbożnikiem, to od pięciu lat z powodzeniem odpierałem duńskie najazdy. Zapewniałem spokój nie tylko samemu miastu, lecz także ziemiom położonym wokół - dzięki czemu Erkenwald mógł rozsyłać tam swych poborców podatkowych.

Wspiąwszy się na wzgórze pałacu biskupiego, a potem na najwyższy stopień wiodących do rzymskiego gmachu schodów, stanąłem i rozejrzałem się. Po mojej prawej ręce stał biskup Erkenwald. Dostojnik sięgał mi zaledwie do ramienia - i chociaż w przypadku większości chodzących po tym świecie mężczyzn rzecz do dziś ma się podobnie, gdyż jestem bardzo wysoki - zauważyłem, iż mój niepośledni wzrost nieodmiennie irytował jego wielebność. Na niższych stopniach schodów biskupiego pałacu zebrała się gromadka umorusanych atramentem kleryków o bladych i niespokojnych obliczach. Za jedynego towarzysza miałem stojącego po mej lewicy irlandzkiego druha i niedoścignionego wojownika Finana. Oczy zebranych na pałacowych schodach mężczyzn - tak jak i moje - zwrócone były na południe.

U naszych stóp leżał Londyn, niby ułożona z wiechci słomy i kamiennych płytek mozaika wysadzana guzami przysadzistych wież wzniesionych z woli Erkenwalda kościołów. W ciepłym powietrzu kołowały rude kanie, a ponad wstęgą Tamizy, wysoko w przestworzach, sunął klucz zmierzających na południe gęsi. Bieg rzeki był przecięty starym rzymskim mostem, czy też raczej tym, co z niego pozostało. Wspaniała budowla z zamierzchłych czasów została w samym środku przerwana przez rwący nurt, a stało się to dawniej, niż sięgał pamięcią ktokolwiek z żywych. Nad ziejącą w kamiennej konstrukcji wyrwą kazałem przerzucić pomost z bali, aczkolwiek nawet ja nie czułem się zbyt pewnie, ilekroć wstępowałem na jego rozchybotaną powierzchnię. Nie było wszakże innego przejścia do Suthriganaweorcu - otoczonej palisadą, podległej mi strażnicy na przeciwległym brzegu rzeki. Za strzegącymi mostu od południa umocnieniami rozciągały się niegościnnie mokradła, bezludne, jeśli nie liczyć skupiska chat przylegającej do wałów osady służebnej. W oddali podmokłe pustacie przechodziły w łagodne, zielone wzgórza. Owego bezwietrznego dnia u schyłku lata w błękitne niebo nad naszym królestwem były złowróżbne słupy gęstego dymu. Zliczyłem ich aż piętnaście, a być może zobaczyłbym i więcej, gdyby nie chmury zbierające się nad pagórkowatą linią południowego widnokręgu.

- Diable syny pustoszą nasze ziemie! - Biskup wydawał się tyleż zdumiony, co do głębi oburzony zuchwałością najeźdźców. Królestwo Zachodnich Sasów, strzeżone przez niedawno utworzony z woli Alfreda pierścień burhów - osad otoczonych wałami i obsadzonych silnymi garnizonami - przez kilka lat z rzędu pozostawało poza zasięgiem wikińskich najazdów. Pokój Wessexu zakłócili dopiero przybyli z za morza ludzie Haralda. Niosąc pożogę, czynili gwałty i rozboje na wschodnich rubieżach kraju. Nieprzyjaciel omijał obronne warownie z wyjątkiem owej jednej, jeszcze nieukończonych, którą zdobył na początku, po czym zaniósł zgubę wszystkim pomniejszych osadom. - Ogarnęli cały Kent! - mruknął strapiony Erkenwald.

- I niezatrzymani prą w głąb Wessexu - odpowiedziałem.

- Czy są liczni? - chciał wiedzieć biskup.

- Wedle tego, co nam wiadomo, przybyli w dwieście okrętów - odrzekłem - na których przypłynęło jakieś pięć tysięcy wojowników. Można zatem przypuszczać, iż pod wodzą Haralda panoszy się po kraju co najmniej dwa tysiące rabusiów.

- Tylko dwa z pięciu tysięcy poprowadził do walki? A to dlaczego? - dociekał jego wielebność.

- Ich liczba zależy przede wszystkim od tego, ilu z nich posiada wierzchowce - wyłuszczyłem. - Ci, którzy nie mają koni, zmuszeni są pozostać na wybrzeżu i mieć baczenie na okręty.

- Tak czy inaczej, to nieprzebrana pogańska horda - stwierdził ze złości Erkenwald, a jego dłoń mimowolnie poszukała zawieszzonego na szyi krucyfiks. - Miłościwie nam panujący król - podjął po krótkiej przerwie - postanowił rozbić ją pod Aescengum.

- Aescengum! - wykrzyknąłem, nie dowierzając własnym uszom.

- A czemuż by nie tam? - zachnął się biskup, a kiedy roześmiałem się w głos, aż zatrzęsł się ze złości. - Nie widzę w tym nic śmiesznego - dorzucił zgryźliwie.

Rzeczywiście, nie żartował, a jednak w mych uszach jego słowa zabrzmiały jak kpina. Wiadomo mi było, że Alfred - a może Aethelred - ledwie co poprowadził armię Zachodnich Sasów do Kentu i stanąwszy na lesistym wzgórzu między siłami Haestena a armią Haralda, utkwiał tam na dobre. A teraz dowiadywałem się, że król, względnie jego zięć, nie stawiając oporu najeźdźcom, cofa się aż do Aescengum - burhu leżącego w sercu Wessexu - ani chybi w nadziei, że zastępy Haralda połamią sobie zęby na tamtejszych umocnieniach. Był to nader żaloszny pomysł, albowiem jarl i jego ludzie napadli Wessex niczym wilki dopadają stado owiec. Tymczasem saska armia z rozkazu Alfreda - zamiast strzec przychówku, jak czynią to pasterskie psy - zamierzała chronić się za ostrokołem. To tak, jakby owczarz trzymał swoje psy na uwięzi, jednocześnie pozostawiając stada na pastwę wilków, bo miał nadzieję, że dzikie bestie z własnej woli ściągną pod umocnioną zagrodę, gdzie zasadzili się na nie myśliwi.

- Miłościwie nam panujący król - ciągnął z wyższością duchowny - żąda, abyś przyszedł mu z pomocą, przywodząc część swych wojsk. Zastrzega wszakże, bym udzielił ci na to przyzwolenia tylko w wypadku, jeśli uznam, że w czasie twojej nieobecności Haesten nie zagrozi bezpieczeństwu Londynu.

- Nie uczyni tego - stwierdziłem, nagle odzyskując zapał, gdyż władca chyba się opamiętał, skoro przyzywał mnie do siebie. A to mogło oznaczać tylko jedno: psy miały zostać spuszczone ze smyczy.

- Aż tak obawia się o życie zakładników? - podpytywał Erkenwald.

- On nie dba o malców bardziej niż o zalatujący zgniłą kapustą smród z własnego zadka - rzuciłem opryskliwie.

- Chłopak, którego przedstawił nam jako syna, to przystrojony w pański przyodziewek zwykły wieśniak.

- Skoro tak, dlaczego zgodziłeś się go przyjąć? - zdumiał się rozsierdzony kleryk.

- A cóż miałem czynić? Wedrzeć się do głównego obozu Haestena i porwać jego prawdziwe szczenięta?

- Zatem nie sposób polegać na słowach Haestena?

- Wprawdzie jego słowom nie wolno ufać, lecz nie uderzy teraz na Londyn. Zrobi to jednak, jeśli Alfred poniesie klęskę w starciu z Haraldem.

- A skąd masz taką pewność? - westchnął Erkenwald.

- Haesten jest przezorny - stwierdziłem stanowczo. - Będzie śledził przebieg walk i póki nie przekona się o swej przewadze, nie wypowie nam otwartej wojny.

Biskup pokiwał głową.

- Zatem nazajutrz poprowadzisz ludzi na południe - zdecydował, po czym nie zwlekając oddalił się, a za nim podreptali podlegli mu księża.

Przywołując dziś w pamięci dawne czasy, kiedy w porozumieniu z Erkenwaldem władaliśmy Londynem, dochodzę do przekonania, że były to dobre rządy. Wprawdzie żywiłem do duchownego nieprzepartą niechęć, zaś on miał mnie w głębokiej pogardzie - i jeśli obowiązki zmuszały nas, byśmy wspólnie spędzali czas, ten niemożliwie nam się dłużył - lecz biskup nigdy nie wtrącał się w sprawy mojego garnizonu, a ja nie przeszkadzałem mu w sprawowaniu zwierzchności nad miastem. Ktoś inny na jego miejscu wypytywałby mnie, ilu wojowników zamierzam poprowadzić na odsiecz królowi, a ilu zostawić do obrony murów, lecz Erkenwald, całkiem słusznie, pozostawiał podobne decyzje mojemu osądowi. Aczkolwiek ilekroć go wspomnę, przychodzi mi na myśl tylko jedno słowo: gnida.

- Ilu jeźdźców powieszysz Alfredowi? - jeszcze tego samego wieczoru zapytała mnie Gisela.

Działo się to w naszym domu, przed wiekami wzniesionym przez rzymskiego zamożnego kupca na północnym brzegu Tamizy. Co prawda od rzeki często zalatywało stęchlizną, lecz przywykliśmy do tego i przeżywaliśmy tam szczęśliwe dni. Pod naszym dachem mieszkali niewolnicy, straż, służba, kucharki i opiekunki do dzieci, a tych mieliśmy wówczas trójkę. Mój najstarszy potomek, Uhtred, liczył sobie już blisko dziesięć wiosen. Młodsza od niego o parę lat siostrzyczka miała na imię Stiorra, zaś przepełniony ciekawością świata ledwie dwuletni Osbert dopiero od niedawna chodził. Uhtred nosił moje rodowe miano, odziedziczone przeze mnie po ojcu, który także otrzymał je po swym rodzicielu. I to właśnie mój imiennik, Uhtred Młodszy, wciąż doprowadzał mnie do pasji. Niepomierne gniewała mnie jego bladość, lękliwość i ciągłe czepianie się matczynej spódnicy.

- Trzystu mężczyzn - rzekłem.

- Tak niewielu?

- Alfred ma dość ludzi - odparłem - dlatego wolę zostawić silną załogę do obsadzenia tutejszych murów.

Po twarzy Giseli przemknął grymas bólu, a ja się zaniepokoiłem, ponieważ lada dzień

spodziewała się naszego czwartego potomka. Widząc mnie stroskanym, ukochana uśmiechnęła się ciepło.

- Wypluwam dzieci jak pestki - uspokoiła mnie, by po chwili spytać: - Jak długo zajmie wam wybicie ludzi Haralda?

- Może z miesiąc... - Sam nie wiedziałem.

- Pewnie wydam na świat dziecko jeszcze przed twoim powrotem - stwierdziła, a ja mimowolnie dotknąłem wiszącego u mej szyi kościanego młota Thora. Gisela uśmiechała się pogodnie, zapewne pragnąc dodać mi otuchy.

- Bez kłopotów powiłam trójkę dzieci - przypomniała. Rzeczywiście, za każdym razem, gdy była w połogu, wszystko szło gładko i nasze pociechy rosły w zdrowiu. - Zobaczysz, że gdy wrócisz do domu, przywita cię płacz niemowlaka, który, jak znam życie, wnet przyprawi cię o ból głowy.

Odpowiedziałem jej lekkim uśmiechem. Rozchyliłem skórzaną kotarę i wyszedłem na taras, w mrok rozświetlony jedynie blaskiem płonących na przeciwległym brzegu ogni. Migoczące na strażnicy przymostowej płomienie rzucały blask na Tamizę, w falującej smudze ukazując lustro jej wód. Od zachodu, poprzez wyłom w chmurach, przebijała się struga purpury. Miasto pogrążało się w ciszy, w której uchwytny stawał się poszum przelewającej się pod łukami mostu rzeki. Niekiedy dobiegało mnie dalekie szczekanie psa lub rubaszne śmiechy z pomieszczeń kuchennych. Przycumowany w przylegającym bezpośrednio do domu kanale *Seolferwulf* poskrzypywał miarowo, kołysany lekką bryzą. Zwróciłem wzrok w dół rzeki, ku niewysokiej strażnicy z dębowych pali, wzniesionej na skraju miasta przeze mnie i moich ludzi. Z jej szczytu dzień i noc bacznie wypatrywano, czy ku londyńskim nabrzeżom nie zbliżają się okręty o zadartych ku niebu dziobach. Stosu sygnałowego nie zapalono, co oznaczało, że w Londynie panował spokój, chociaż po tamtej stronie Tamizy grasowali Duńczycy.

- Kiedy skończy się czas twej służby dla Alfreda - wyrwał mnie z zadumy głos Giseli - odpłyniemy na północ?

- Tak - odrzekłem, odwracając się ku stojącej w drzwiach małżonce. Zapatrzyłem się w widoczną w półmroku smukłą twarz o spokojnych, ciemnych oczach. W żyłach mej ukochanej płynęła duńska krew, która burzyła się przeciwko panującemu w Wessexie chrześcijaństwu. Dla Giseli, tak samo jak dla mnie, choć ja nie byłem potomkiem wikingów, życie bez bogów Północy byłoby niepodobieństwem. Jeśli ktoś woli, niech stawia jednego z niebian nad innymi, ale po cóż oddawać się w opiekę panu, który z upodobaniem każe swym hołdownikom okładać się batem? Niech każdy wierzy w to, w co nakazuje mu serce, nam jednakże przyszło

żyć wśród ludzi, którzy - obawiając się gniewu srogiego, pragnącego niepodzielnie władać światem boga - przeklinali nas za naszą odmienną wiarę. Wciąż wszakże wiązała mnie złożona Alfredowi przysięga. Musiałem pozostać wierny swemu słowu i wypełniać powinność.

- Król wkrótce odejdzie - dodałem.

- A wtedy będziesz wolny?

- Tylko jemu przysięgałem dożgonną służbę - odrzekłem z przekonaniem.

Prawda była jednak inna, jako że ongiś złożyłem jeszcze inne śluby - śluby, o których na śmierć zapomniałem, a które w odpowiednim czasie miały mi zostać przypomniane. Tamtej nocy jednak owe zamierzchłe zdarzenia drzemały pogrzebane w odmętach niepamięci - i to tak głęboko, iż przeświadczony byłem o swej prawdomówności.

- A zatem, kiedy król umrze...

- Odejdziemy na północ - dokończyłem.

„Na północ Brytanii, do mego rodzimego gniazda, którym wciąż włada mój zdradziecki wuj. Na północ, do potężnego Bebbanburga, gdzie morskie fale roztrzaskują się o northumbryjskie brzegi i gdzie ludzie wiedzą, jak cieszyć się życiem, gdyż nie zadręczą ich wola prześladowającego normalnych śmiertelników przybitego do krzyża boga. Wrócimy między swoich. - Obiecywałem sobie w duchu.

- Służyłem Alfredowi długie lata, służyłem rzetelnie, lecz tęskno mi do domu”.

- Przysięgam ci - powiedziałem z powagą do Giseli - przysięgam, że popłyniemy na północ, w nasze rodzime strony.

Bogowie śmieją się z przysięg śmiertelników.

O świcie wjechałem na most, wiodąc trzystu jezdnych wojów i o połowę mniej liczną gromadę konnych pachołków. Ci ostatni mieli dwojakie zadanie: doglądać wszystkich wierzchowców i odciążać zbrojnych, wożąc broń na grzbietach luzaków. Huk kopyt grzmiał mi w uszach, gdy po drewnianych, chybotających się balach ruszaliśmy wprost ku czerniejącym słupom dymu, wskazującym jasno, gdzie znajdziemy pustoszących Wessex najeźdźców. Przedostawszy się przez szeroki pas mokradeł - w czasie przypływu zmieniających się w mętne rozlewiska - gdzie płożą się kępy długich, miękkich traw, wspięliśmy się na grzbiet graniczącego z topieliskiem wzgórza. Zdecydowaną większość drużyny zostawiłem w Londynie, by strzegła jego murów, a zabrałem tylko mą przyboczną straż - zaprzysiężonych mi wojowników, z którymi bez obaw mogłem rzucić się w najgorętszy bitewny zamęt. Jednakże sześciu spośród najbardziej oddanych mi ludzi wyznaczyłem do obrony bliskich, a komendę nad nimi powierzyłem Cerdicowi. Wierny druh, który przez wiele

lat stawał ze mną ramię w ramię w każdym starciu, ze łzami w oczach prosił, abym pozwolił mu jechać.

- Chcę, byś podczas mej nieobecności chronił Giselę i dzieci - wyjaśniłem krótko.

I tak mój stary przyjaciel pozostał na straży domu nad Tamizą, podczas gdy my podążaliśmy na zachód, szlakiem wydeptanym przez stada owiec i krów, pędzonych tamtędy na ubój do Londynu.

Ludność mijanych wiosek zazwyczaj zachowywała się nad podziw spokojnie. Wszędzie bacznie obserwowano widoczne w oddali kolumny dymu. Tenowie⁹ wystawiali strażę na dachach domów bądź w koronach położonych na wzniesieniach drzew. Wprawdzie zdarzało się, że kiedy zbliżaliśmy się do ludzkich osiedli, mylnie brano nas za Duńczyków, powstawało wielkie poruszenie i kto żyw gnał do lasu, wszelako gdy tylko miejscowi zdawali sobie sprawę z pomyłki, szybko powracali do swych sadyb. Wielokrotnie im nakazywano, by w razie zagrożenia chronili się do najbliższego burhu, zabierając ze sobą cały żywy inwentarz, lecz jak wiadomo, gospodarze niechętnie pozostawiają domostwa na pastwę losu. Surowo przynaglałem mieszkańców każdej mijanej wioski, by zaprowadzili swe krowy, owce i kozy do Suthriganaweorc, lecz nie sądzę, by me słowa trafiły im do przekonania. Woleli czekać i dopiero czując tchnienie duńskich wierzchowców na swych chłopskich karkach, rzucić się do ucieczki. A że łupieżcy nie dotarli jeszcze tak daleko na północ, więc uparci wieśniacy, trwając w przeświadczeniu, że wojna ich ominie, mogli mieć słuszność.

Z wolna wspinając się na łagodne wzgórze, zmiierzaliśmy teraz wprost na południe, lada chwila spodziewając się widoku nieprzyjaciół. Jadący przodem zwiadowcy przeczesywali okolicę i zanim słońce stanęło w zenicie, dostrzegłem jednego. Powiewał czerwoną płachtą na znak, że coś wzbudziło jego niepokój. Wbiłem pięty w boki wierzchowca i pokłusowałem na szczyt wzniesienia. Ujrzałem rozciągającą się po jego drugiej stronie spokojną dolinę z jedną wsią.

- Widziałem umykających w popłochu ludzi, panie - oznajmił zwiadowca. - Kiedy mnie dojrzeli, pognali w las.

- Być może zwyczajnie się ciebie przelękli? - spytałem.

Zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

- Nie widzi mi się, panie - rzekł - bo już kiedy ich zobaczyłem, pędzili, jakby ich co goniło.

Począłem przyglądać się skąpanej w słońcu zielonej krainie. Na jej krańcu wnosiły się lesiste pagórki, za którymi kłębił się czarny tuman, wszelako leżąca u naszych stóp zaciszna dolina zdawała się być pogrążona w spokoju. Jak na dłoni widziałem strzechy i otaczające

osadę poletka, biegnącą na zachód drogę, jak też srebrzące się wśród bujnych łąk zakola strumienia. Wprawdzie nigdzie nie wypatrzyłem wrogów, lecz naprzeciw, w gęstym listowiu, mogłaby się ukryć cała armia Haralda.

- Mówże składniej - przykazałem. - Co widziałeś?

- Gromadkę kobiet, panie. A z nimi dzieci i parę kóz - odrzekł i wskazując ręką na zachód, dodał: - Spieszyli w tamtą stronę.

A zatem wieśniacy opuszczali wioskę. Mój człowiek wypatrzył ich, zanim zaszyli się w leśnym gąszczu. Wytężałem wzrok, lecz nie ujrzałem w dole żywego ducha. Ani uciekających, ani pogoni. Jak dolina długa i szeroka, nigdzie nie unosił się dym. „Ten pozorny spokój nie oznacza jeszcze, iż gdzieś tu, w polu naszego widzenia, nie ukrywają się ludzie Haralda” - pomyślałem. Ująłem wierzchowca bystrookiego zwiadowcy za uzdę i wycofaliśmy się niżej, poza grzbiet wzgórza. W pamięci stanął mi dzień, kiedy to, wiele lat wcześniej, pierwszy raz ruszałem na wojnę.

Towarzyszyłem ojcu, władcy Bebbanburga, prowadzącemu własny *fyrđ* - naprędce zebraną armię złożoną z mężczyzn oderwanych od swych codziennych gospodarskich prac. Większości z nich za całe uzbrojenie służyła motyka, sierp lub siekiera. Mało który z nich miał na sobie choćby najprostszy pancerz, a pod sobą konia. Zdani na własne siły, poruszaliśmy się powoli, wręcz ospale, w przeciwieństwie do Duńczyków, z którymi przyszło nam się mierzyć. Ci walczyli konno. Zdobyczne wierzchowce były pierwszą rzeczą, o którą się zatroszczyli po tym, jak ich okręty przybiły do northumbryjskich brzegów. A kiedy przyszło do bitwy, wikińscy jeźdźcy wyrznęli ludzi mego ojca jak barany, tańcząc wokół Angłów i Sasów na odebranych ich krajanom zwierzętach. By wojować z zamorskimi zbójcami, musieliśmy nauczyć się walczyć tak jak oni - i czyniliśmy to z coraz większym powodzeniem. Potem Alfred, przyjąwszy nową taktykę obronną, rozkazał wznieść sieć otoczonych umocnieniami osad, jednakże - wskutek zbytnej ufności w jej skuteczność - pozostawił bez opieki rozległe połacie Wessexu, które Harald teraz pustoszył.

Zamorscy rozbójnicy zazwyczaj poruszali się na koniach, oczywiście o ile w czasie najazdu zdołali je zdobyć. Byłem jednak przekonany, że Haraldowi nie udało się jeszcze zgromadzić wystarczająco wielu wierzchowców dla swej wielotysięcznej armii. Nieprzyjaciel rozsyłał zatem drużyny gdzie się dało, by wyposażyć wojowników w ręce czworonogi, dlatego aby nie pozwolić wikingom urosnąć w siłę, należało przede wszystkim wybijać zastępy duńskich koniokradów, nim ci uprowadzą wierzchowce i oddadzą je swym kompanom. Jako że wszystko wskazywało na to, iż w dolinie położonej na wschód od nas pojawiła się właśnie zgraja tego typu rabusiów, znalazłem wśród mych ludzi wojownika,

który znalazł te strony.

- To ziemie Edwulfa, panie - powiedział.

- A kimże jest Edwulf?

- To tutejszy ten, panie - z szelmowskim uśmiechem odrzekł zapytany, zakreślając dłonią zamaszty łuk, obrazujący wielkość brzucha miejscowego bogacza. - Prawdziwy pan, gruby jak beka.

- Chcesz powiedzieć, że ów ten jest moźnym panem?

- Okrutnie moźnym, panie.

Należało się zatem domyślać, iż grabieżcy, natrafiwszy na zasobny dwór, zatrzymali się na dłuższy popas. Cała trudność polegała na tym, że aby ich dopaść i wyrznać, moich trzystu ludzi musiałoby przedostać się tam niepostrzeżenie. Szczęściem odnaleźliśmy osłonięty drzewami jar, który powiódł nas w głąb doliny, i niedługo potem zaszyliśmy się w gęstwinie leśnej na zachód od majątku Edwulfa. Sidła zostały zastawione, wystarczyło tylko zwabić ofiarę.

Za przynętę posłużyło dwudziestu wojowników pod wodzą Osfertha, niegdyś cherlawego kleryka, ale potem prawdziwego woja i wodza. Kazałem im wjechać na trakt wiodący z południa i podążyć w kierunku bijących w niebo smug dymu. Wyznaczona przeze mnie niewielka drużyna poruszała się noga za nogą, jakby konie moich wojów były strudzone. Jako dodatkową zachętę dla grabieżców wiedli dwanaście luzaków. Wiedzieli, że pod żadnym pozorem nie wolno im spoglądać ku osadzie, gdzie - jak zdążyliśmy się już wcześniej przekonać - rzeczywiście zalegli Duńczycy. Finan, który pośród zarośli poruszał się zwinniej niż dziki zwierz, podkradł się pod same opłotki osady, a gdy powrócił, opowiedział o zasobnym siole, gdzie prócz kościoła i dwóch okazałych stajni stało kilkanaście chałup.

- Właśnie ściągają strzechy - dodał, chcąc przez to rzec, że wikingowie przetrząsali słomiane poszycia domów, gdzie gospodarze mieli w zwyczaju upychać cenne przedmioty. - I parzą się z miejscowymi pannami, jeden po drugim.

- A co z końmi?

- Na razie pozostawili je w spokoju - odparł Irlandczyk i łypiąc ku mnie, powściągnął kpiarski uśmiech. - Jest tam spora zagroda, panie, w której pasie się stado urodziwych wierzchowców.

Drużyna Osfertha niespiesznie wynurzyła się z lasu, została dostrzeżona, ale jak gdyby nigdy nic dalej parła naprzód. Duńczycy rzucili się na przynętę z łapczywością wypryskującego z wody pstrąga. Od razu przynajmniej czterdziestu wikińskich jeźdźców spięło konie do galopu, by przeciąć drogę niemrawej kawalkadzie. Osferth, udając, że ogarnia go przerażenie, uderzył konia piętami i puścił się szaleńczym galopem, wiodąc towarzyszy na

zachód i tak doprowadził wrogów pod same zarośla - gdzie zawczasu zaszyli się moi ludzie.

To, co nastąpiło później, okazało się łatwiejsze aniżeli zagarnięcie kościelnych sreber. Stu moich ludzi uderzyło z boku na wroga. Niespodziewający się ataku najeźdźcy nie mogli nawet ratować się ucieczką. Dwóch obcych jeźdźców szarpnęło wodze zbyt gwałtownie, ich zwierzęta z kwikiem zaryły kopytami w miękką darń i nakryły się nogami. Nieprzyjaciołom, którym udało się zawrócić wierzchowce, groty naszych włóczni przetrąciły kręgosłupy. Najbardziej wytrawni duńscy wojownicy odpowiedzieli szarżą na szarżę - w nadziei, że uda im się rozerwać nasze szeregi, lecz ich odwaga nie na wiele się zdała, gdyż dysponowaliśmy miazdzącą przewagą. Moja straż otoczyła dwunastu niedobitków ciasnym pierścieniem.

Nie widziałem tego na własne oczy, gdyż w tym samym czasie wraz z dwoma setkami przybocznych zbliżałem się już do dworzyszczu Edwulfa, wokół którego powstało gorączkowe zamieszanie. Łupieżcy wybiegali zewsząd, by czym prędzej dosiąść koni. Nagi do pasa mężczyzna poderwał się, pozostawiając na ziemi lamentującą kobietę. Kiedy przybliżyłem się do golasa, ten zwinnie rzucił się w bok. Smoca, mój niezawodny czworonogi przyjaciel, bezwiednie zwolnił bieg. Półnagi wiking uczynił kolejny rozpaczliwy unik, lecz Smoca nie dał się zwieść i podążył za zbiegiem, umożliwiając mi wzięcie zamachu Oddechem Węża. Wierzchołek mego miecza utkwiał w czaszce gwałciciela. Krew obryzgała mi rękę aż po samo ramię. Nie zatrzymałem się i wlokłem wstrząsanego przedśmiertnymi drgawkami golca po podwórku, póki nie udało mi się uwolnić klingi. Spiąłem konia i powiodłem większość drużynników naokoło osady. Okrążyliśmy ją od wschodu, odcinając odwrót pozostałym we wsi wikingom, zaś Finan z miejsca posłał zwiadowców na południowy grzbiet, gdyż nie zamierzaliśmy powtarzać błędu grabieżców, którzy - z niezrozumiałych dla mnie przyczyn - nie wystawili czujek na okolicznych wzniesieniach.

W owych czasach toczyła się nieustanna wojna podjazdowa. Duńczycy ze Wschodniej Anglii regularnie najeżdżali otaczające Londyn ziemie, a my - zapuszczając się w głąb wrogiego terytorium - odpłacaliśmy im, grabiąc, mordując i paląc dwory. Co prawda między Wessexem a duńskim władcą Wschodniej Anglii obowiązywał wywalczony przez Alfreda pokój, lecz łasi na łupy wikingowie, także ci osiedli na wschodzie, niewiele sobie robili ze skreślonych na pergaminie umów. Pragnąc zdobyć niewolników, pomnożyć swój inwentarz czy po prostu zaznać przygód, szli całymi drużynami na Mercję i zagarniali wszystko, co wpadło im w ręce. Za każdą taką łupieżczą wyprawę braliśmy odwet. Rajdy na wschód były doskonałą sposobnością dla moich najmłodszych, nieobytych jeszcze z walką wojowników, by zasmakowali boju z prawdziwym przeciwnikiem, stanęli z nim oko w oko i skrzyżowali klingi. Stara to prawda: można uczyć młodzika sztuki walki przez okrągły rok - dniami i nocami

ćwicząc władanie mieczem czy włócznią - a i tak nie wpoi mu się tyle wiedzy, ile posiędzie w jednym, nawet krótkim, ale rzetelnym starciu.

Zbyt wiele widziałem podobnych drobnych potyczek, bym mógł je wszystkie spamiętać, ale bytność w osadzie Edwulfa zapadła mi w pamięć, mimo iż... jak by to powiedzieć... mimo iż nie daliśmy wrogowi podjąć walki. Być może stałoby się inaczej, gdyby Duńczycy mieli się na baczności. Ale nie mieli, więc obyło się bez strat pośród moich ludzi. Jednakże nie sama utarczka była przyczyną, dla której tak dobrze pamiętam ów dzień, lecz to, co ujrzałem w tamtejszym kościele, gdy ucichł brzęk mieczy. Przywiodły mnie tam okrzyki drużynników.

Boży przybytek był nader skromny, nawet jak na potrzeby pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dusz, które jeszcze niedawno zamieszkiwały otaczającą dwór osadę. Świątynię wzniesiono z grubo ciosanych dębowych bali i pokryto strzechą, nad którą górował sterczący w niebo krzyż. U zachodniego szczytu dachu wisiał dzwon, równie niepokąźny, co sama budowla. Pod nim znajdowało się niskie wejście do ciasnej, pojedynczej nawy, rozświetlonej blaskiem wsączającym się do wnętrza przez znajdujące się w bocznych ścianach okna opatrzone siermiężnymi, drewnianymi kratownicami. Na samym środku kościoła, przywiązane do służącego za ołtarz stołu, leżało odarte z odzieży ciało opasłego, wydającego zdławione jęki mężczyzny.

- Odwiązać go! - rozkazałem gniewnie, wrywając Rypere'a z odrętwienia.

Drobny Angl z północy wyspy, niegdyś złodziej, widział już w życiu, podobnie jak pozostali wkraczający do kościoła wojownicy, wiele okrucieństw, a jednak widok zmaltretowanego do szczytu brzuchacza wprowadził go w osłupienie. Oczodoły leżącego na ołtarzu mężczyzny zamienione zostały w wypełnione gęstą, krwawą mazią leje, skórę na policzkach znaczyła sieć broczących krwią cięć. Uszy torturowanego oberżnięto, podobnie jak jego męskość. Pulchne dłonie zakończone były krwawymi kikutami, gdyż palce miażdżono kawałek po kawałku, a dopiero potem odejmowano za pomocą dłuta. Nad pojękującą z cicha ofiarą stało dwóch zbryzganych krwią Duńczyków. Katów otaczał krąg milczących moich ludzi. Prawdziwą jednak winę za zadane jeńcowi katusze ponosili nie oprawcy, ale ich przywódczyni. I właśnie dlatego tak wyraziście przypominam sobie ową potyczkę sprzed lat.

Wtedy po raz pierwszy ujrzałem Skade. I jeśli jakiegokolwiek śmiertelnej niewieście dane było zakosztować dających wieczną młodość jabłek¹⁰ z boskiego Asgardu - niechybnie była nią smukła Skade, obleczona w kolczugę, pod którą grały mięśnie wspaniałego ciała. Wyglądająca na najwyżej dwadzieścia lat dumna piękność o długiej, szlachetnej linii nosa miała błękitne oczy, jaśniejące z mocą, jakiej nie widziałem u nikogo ani wcześniej, ani później. Z silnych ramion wojowniczkii - niby pióra kruków Odyna - spływały czarne jak noc

włosy, sięgające głęboko wciętej, ściśniętej pasem talii. Przy boku wiedźmy wisiała pochwa bez miecza, który odebrali jej moi przybocznicy. Ani chybi długo się w nią wpatrywałem.

Ona również bacznie mi się przypatrywała. I co ujrzały jej niezwykle błękitne oczy?

Pana wojny, Uhtreda z Bebbanburga, poganina w służbie Alfreda, chrześcijańskiego władcy Wessexu. W tamtych dniach nosiłem głowę dumnie uniesioną. Szczyciłem się krzepkimi, szerokimi ramionami. Byłem niedościgniony we władaniu mieczem i włócznią. O mej wysokiej pozycji zwycięskiego wodza świadczyło przepyszne okrycie - lśniący zbroja, inkrustowany srebrem hełm i pierścienie naramienne, ciasno opinające rękawy kolczugi. Mój pas zdobiły odlane ze srebra płaskie wizerunki wilczych łbów. Pochwę Oddechu Węża opinał zdobny futerał, obficie nabijany rzezonym czarnym gagatem. Masywna kłamra pasa i spinająca płaszcz brosza wykute zostały z czystego złota. Jedynie wiszący na piersiach amulet wyobrażający młot Thora był skromny. Nosiłem go od najmłodszych lat, a ceniłem ponad wszelkie klejnoty. Kościany Mjollnir do dziś kołysze się na mej szyi. Dni świetności, gdy mogłem mienić się władcą bitew, to już zamierzchłe dzieje, ale wtedy, przed laty, stałem przed Skade w pełnym blasku wojennej sławy.

Na którą to sławę wikińska wojowniczką siarczyście napluła.

- Co to za suka? - zapytałem, nie ścierając ściekającej mi po policzku plwociny.

- Zwie się Skade - odrzekł Rypere i skinąwszy ku skrwawionym oprawcom, dodał: - Ci tam twierdzą, że właśnie ona im przewodzi.

Okaleczony tłuszcioch jęknął głucho. Kiedy przecięto pętające nieszczęśnika sznury, skatowany człowiek przewalił się na bok i zwinął w kłębek, wciąż leżąc na ołtarzu.

- Niech ktoś go opatrzy - nakazałem.

Tymczasem Skade znów strzyknęła śliną, tym razem trafiając mnie w same usta.

- A to co za jeden? - dalej zadawałem pytania, nie zważając na jej zuchwałstwo.

- Edwulf, jak zgadujemy - odpowiedział chudy Angl.

- Wynieście go stąd - rzekłem i zwróciłem się do plującej złościcy: - Skade - mruknąłem - czyli kto?

Dzika piękność przyszła na świat w duńskiej zagrodzie gdzieś na posępnej Północy. Kiedy ojciec odszedł w zaświaty, uboga wdowa postanowiła wydać córkę za mężczyznę gotowego wysupłać godziwą zapłatę za prawo do pokładania się z obłądną piękną o smukłym i sprężystym ciele. Jednakże możliwy małżonek - wódz fryzyjskich piratów - niedługo cieszył się względami cudnej Skade. Urodziwa Dunka, znużona jednostajnym życiem za butwiejącym ostrokołem osady położonej na nękanej pływmami łasze, postanowiła porzucić męża, uciekając z jarłem Haraldem Krwawowłosym, który zaproponował jej nieporównanie bardziej

obietującą i daleko barwniejszą przyszłość. Ale wybiegam myślami naprzód, jako że tego wszystkiego miałem się dowiedzieć o wiele później, a tamtego popołudnia wiadomo mi było jedynie, że stoi przede mną wybranka Haralda. I gotów byłem zgodzić się z Haestenem: wystarczyło raz ujrzeć Skade, by poznać, co to żądza.

- Darujesz mi wolność - ozwała się z niebywałym przekonaniem.

- Uczynię, co będę uważał za słuszne - odparłem - i nie sędzę, by miało na to wpływ zdanie płochej, pozbawionej pomysłu istoty. - Ucieszyłem się, że ostra przymówka wyraźnie ją ubodła. Widząc, że jest gotowa znowu okazać swą pogardę, spluwając mi w twarz, uniosłem dłoń, jak gdybym chciał wymierzyć dzikusce siarczysty policzek. To powstrzymało ją od dalszych popisów. - Jak nazwać niedbalstwo, czyli niewystawienie straży - podjąłem - jeśli nie jawną głupotą?

Jej oczy błysnęły nienawiścią, albowiem pytanie nie wymagało odpowiedzi.

- Jarl Harald wynagrodzi cię sownie w zamian za moją wolność - rzekła wyniośle.

- By cię odzyskać, Harald będzie musiał oddać mi swe wąpia - oświadczyłem.

- Tyś jest Uhtred?

- Eldorman Uhtred z Bebbanburga - uściśliłem.

Po jej gładkim obliczu przemknął cień uśmiechu.

- Skoro tak, Bebbanburg będzie wkrótce miał nowego pana. Chyba że darujesz mi wolność.

W przeciwnym razie spadnie na ciebie klątwa. Będziesz zdychał, Uhtredzie z Bebbanburga, w o wiele cięższych męczarniach aniżeli ten wieprz - odgrażała się, pogardliwym spojrzeniem wskazując wynoszonego przez czterech ludzi Edwulfa.

- Jeszcze jeden głupiec - orzekłem.

Edwulf zasługiwał bowiem na słowa pogardy, gdyż wiedziona przez Skade wataha zbliżyła się do jego włości w biały dzień, a mimo to nikt w osadzie nie został przestrzeżony. Jedynie garstka wieśniaków uniknęła zguby. Byli to ci, których dojrzelismy wcześniej z północnych stoków doliny. Pozostałych dopadli ludzie Skade i wymordowali, zachowując przy życiu jedynie młode kobiety i dziatwę, które miały trafić do niewoli. A wszystko to za sprawą niewytłumaczalnej lekkomyślności ich pana, który nie podjął żadnych kroków ostrożności, mimo że wróg był na wyciągnięcie ręki.

Prócz Skade oszczędziłem jednego Duńczyka. Resztę kazałem wyrzucić. Moi druzynnicy zdarli z zabitych broje, pozbierali ich porozrzucaną broń i zabrali niepotrzebne już poległym wierzchowce. Wieśniakom, którzy uniknęli śmierci, poleciłem niezwłocznie ruszyć do Suthinganaweorc. Mieli wziąć cały żywy inwentarz, gdyż należało utrudnić najeźdźcom zdobycie pożywienia - przynajmniej tego poruszającego się na własnych nogach, gdyż

wieśniacy nie mogli przecież zabrać ziarna leżącego w spichrzach ani owoców, od których uginały się drzewa w sadach.

Przyboczni właśnie wyprawiali na tamten świat ostatnich pojmanych Duńczyków, gdy zwiadowcy przygnali z południowego grzbietu, przynosząc wieść o przybliżających się jeźdźcach.

Wyjechałem przybyszom na spotkanie, wiodąc siedemdziesięciu jezdnych. Prócz Skade zabrałem też ostatniego jeńca, którego zamierzałem puścić wolno. Przez ramię miałem przerzucony odcięty od kościelnego dzwonu konopny powróż. We dwóch z Finanem spięliśmy konie i wkrótce stanęliśmy na płaskim, porośłym trawą szczycie wzgórza, skąd jednym spojrzeniem mogliśmy ogarnąć szerokie połacie ziem rozciągających się na południu. Jak okiem sięgnąć niebo poprzecinane było smolistymi dymnymi słupami, a poniżej, w pobliskim jarze, dojrzeliliśmy sporą grupę jeźdźców ciągnących ku nam wzdłuż biegu ocienionego przez wierzby strumienia. Zliczywszy wrogich wojowników, stwierdziłem, że ich siły w przybliżeniu odpowiadają naszym, które ustawiłem na grzbiecie wzgórza, po obu stronach zatkniętego w ziemię sztandaru z wyobrażeniem łba wilka.

- Zsiadaj z konia - warknąłem na Skade.

- Szukają mnie - odparła butnie, patrząc na zgrupowanie jezdnych, którzy spostrzegłszy nasz bojowy szyk, wstrzymali wierzchowce.

- No to znaleźli, czego szukali - stwierdziłem sucho - a teraz zsiadaj.

Najwyraźniej nienawykła do wykonywania rozkazów Dunka zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem.

- Jeśli nie uczynisz tego z dobrej woli - wyłuszczyłem jej ze spokojem - zmuszony będę własnoręcznie ściągnąć cię na ziemię. Wybór należy do ciebie.

Ześlizgnęła się z końskiego grzbietu, a Finan na mój znak postąpił podobnie i stanąwszy blisko branki, dobył miecza.

- A teraz zrzuć odzienie - warknąłem obcesowo.

Jej gładkie oblicze aż pociemniało od nagłego gniewu. W błyskających furią oczach wyczytałem nieprzepartą chęć mordy. Dziewczyna sprężyła się niczym gotująca się do skoku żmija. Pojmując jednak swą niemoc, spojrzała tylko w zasnute smugami dymu niebios, jakby chciała przyzwać bogów pomsty.

- Odsłoń swe wdzięki - ponowiłem żądanie - albo rozkażę moim ludziom, by ci w tym dopomogli.

Pospiesznie rozejrzała się wokół, jakby szukała wybawienia, lecz w lot pojęła, iż ucieczka była niepodobieństwem. W modrych oczach branki błysnęły łzy, gdyż nie pozostawało jej nic

innego, jak ulec mej woli. Irlandczyk spoglądał na mnie ze zdziwieniem, ponieważ nigdy nie należałem do mężczyzn lubujących się w upokarzaniu kobiet. Nie zamierzałem wyjaśniać, dlaczego zależało mi, by wobec wszystkich znieważać ulubienicę Haralda. A zamysł ten powstał w mojej głowie, gdy wspomniałem słowa Haestena. Samozwańczy jarl utrzymywał, iż Harald Krwawowłosa to gwałtownik i narwaniec, dlatego postanowiłem wyprowadzić go z równowagi, poniżając jego wybrankę. Miałem nadzieję, że gdy wieść o mym czynie dobiegnie uszu wikińskiego wodza, ten wpadnie w szal i popełni błąd, zapominając o trzeźwym osądzie sytuacji.

Skade, udając obojętność, wyswobodziła się z koszuli kolczej, skórzanego bezrękawnika i lnianych bryczesów. Kiedy skórzany pancerz opadł, odsłaniając jędrne, strome piersi, kilku spośród mych ludzi poczęło wiwatować. Uciszyłem ich warknięciem i rzuciłem Finanowi konopny sznur.

- Zawiąż jej pętlę na szyi - przykazałem.

Od dziewczyny biło nieziemskie wprost piękno. Nawet dziś wystarczy, bym zamknął oczy, przywołując w pamięci tamten dzień, a ukazuje mi się smukła piękność wśród płożących się w trawie jaskrów. Stojący w dolinie Duńczycy, podobnie jak moi ludzie, zamarli, wpatrując się w wyprostowaną dumnie Skade, olśnieni jej niebiańską urodą. Zdawać się mogło, iż cudna istota zstąpiła do Środkowego Świata¹¹ wprost z Asgardu. Byłem pewny, że Harald zapłaci niemal każdą cenę, by odzyskać kochankę. Nie ulegało wątpliwości, iż każdy, kto ją ujrzal - o ile był mężczyzną z krwi i kości - gotów był oddać wszystko, by ją posiadać.

Dosiadłem Smocę i przejąwszy od Finana koniec konopnego sznura, ruszyłem stępa. Poprowadziłem bosą piękność trzecią część drogi w dół stoku.

- Czy wśród nich jest Harald? - zapytałem dziewczynę, kiwnięciem głowy wskazując stojących teraz w odległości jakichś dwustu kroków Duńczyków.

- Nie - odrzekła z piołunową goryczą. - Gdyby tu był, mógłbyś już żegnać się z życiem - dorzuciła głosem zduszonym przez wstyd i gniew.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Harald Krwawowłosa - oznajmiłem - to ścierwojad, od którego zalatuje łajnem. - Co rzekłszy, okręciłem się w siodle i dałem Osferthowi znak, by przyprowadził oszczędzonego Duńczyka. Jeniec, ledwie podrostek, spozierał na mnie przerażonymi bladoniebieskimi oczyma. - Oto połowica Haralda - powiedziałem. - Dobrze się jej przyjrzyj.

Młody braniec wykonał polecenie z trwożliwym zażenowaniem. Zawadził jedynie spojrzeniem o nagość Skade i prędko skierował wzrok na powrót w moją stronę.

- Pójdiesz do swoich - nakazałem - i przekażesz Krwawowłosemu, że prowadzam ją nago

dla uciechy i nie omieszkać nacieszyć się jej niepospolitymi wdziękami. Idź i powiedz. Ruszaj!

Młodziak popędził w dół stoku. Czekający na niego wikingowie nie garnęli się do walki. Nie dość, że nasze siły nie ustępowały ich liczebności, to zajmowaliśmy korzystniejszą pozycję, a najeźdźcy z Północy rzadko kiedy narażali się na znaczniejsze straty. Wprawdzie pojedynczy jeźdźcy zbliżali się nieco, pewnie po to, by lepiej przyjrzeć się krągłościom Skade, lecz żaden nie rwał się, by ją ratować.

Chwyciłem spodnie, bezrękawnik i buty dziewczyny, które dotąd trzymałem na łąku siodła, i rzuciłem je pod stopy branki, a następnie, pochyliwszy się, ściągnąłem z jej szyi pętlę.

- Ubieraj się - rzuciłem.

Widziałem jasno, że naga wojowniczką pragnie uciekać. Rozważała, czy puścić się pędem po zboczu, w nadziei, że długie, mocne nogi pozwolą jej dopaść wlepiających w nią oczy jeźdźców. Przynagliłem więc Smocę i zagroziłem dziewczynie drogę.

- Zanim zdążysz się obejrzeć - przestrzegłem ją - skonasz z żelazem w głowie.

- Spotka cię haniebna śmierć - odburknęła, schylając się po ubranie - bez miecza w dłoni.

Bezwiednie musnąłem młot Thora.

- Alfred - powiedziałem jej - ma zwyczaj wieszania schwytanych pogan. Będziesz miała szczęście, jeśli uda mi się go skłonić, by dla ciebie uczynił wyjątek.

- Okrutna klątwa - wysyczała - dotknie ciebie i twoich bliskich.

- Jeśli będziesz nadwerężała mą cierpliwość - odparłem - to zanim zawiśniesz z woli Alfreda, oddam cię drużynom.

- Czeka cię męka i śmierć - pomstowała z nieskrywanym zadowoleniem.

- Jeżeli ta zaraza jeszcze raz otworzy usta, zdziel ją w łeb - przykazałem Osferthowi.

I podjęliśmy wędrówkę na zachód, by dołączyć do Alfreda.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dostrzegłem ten wóz z daleka.

Był tak olbrzymi, że można by załadować na niego plony z niejednego pola, z pewnością jednak nie służył do przewożenia rzeczy tak pospolitych jak pszeniczne snopki. Na solidnych osiach osadzone zostały cztery potężne pełne koła wzmocnione żelaznymi obręczami. Pomalowane na biało, zostały ozdobione zielonymi krzyżami. Z kolei na zbitych z grubych desek burtach wozu widniały wizerunki świętych. Nad przedstawieniami tych postaci wyrzezano łacińskie sentencje, których wymowa niewiele mnie obeszła. Wystarczyło mi wiedzieć, że to chrześcijańskie porzekadła - a te zawsze wydawały mi się warte tyle, co kurz na drodze. Prawie całe wnętrze pojazdu zostało wyłożone miękkimi workami, które miały chronić podróżnych przed skutkami kolebania się wozu na wybojach. Także wewnątrz, tyłem do kozła woźnicy, stało szerokie, wyściełane materią siedzisko o wysokim oparciu.

Całe to pomalowane w jarmarczne barwy ruchome dziwactwo było zadaszone pasiastym żaglowym płótnem, zamocowanym na czterech starych masztach, które tak zostały przekształcone dłutami rzemieślników, że przypominały sploty wijących się po kolumnach węży. Nad jednym z tych słupów - niby nad kościelnym dachem - górował smukły krzyż, a na szczycie pozostałych powiewały sztandary z wyszytymi sylwetkami błogosławionych męczenników.

- Obwoźny kościół? - rzuciłem cierpko.

- Słabe zdrowie władcy nie pozwala mu już wsiąść na konia - ze smutkiem odrzekł Steapa.

Steapa, głównodowodzący królewskiej straży, był przepotężnym mężczyzną - jako jeden z niewielu znanych mi ludzi przewyższał mnie wzrostem. Był też nieprzejednany w walce i służył królowi z iście ślepym oddaniem. Serdeczna przyjaźń połączyła nas wiele lat wcześniej, gdy z polecenia Alfreda stoczyłem z tym wielkoludem zażarty bój. A było to niełatwe starcie - kiedy atakowałem, czułem, jakbym zmagał się z ruchomą górą. Od czasu owego nierozstrzygniętego pojedynku wielokroć stawaliśmy w boju ramię w ramię jako sprzymierzeńcy. Nie istniał wojownik, którego chętniej widziałbym obok siebie w murze tarcz.

- Król w ogóle nie jeździ już wierzchem? - dopytywałem.

- Niekiedy dosiada wierzchowca - odrzekł olbrzymi Sas - lecz jazda wzmaga męczące go боли. Prawdę mówiąc, ostatnimi czasy z ledwością porusza się o własnych siłach.

- Ile wołów potrzeba, żeby ruszyć to coś z miejsca? - zainteresowałem się, wskazując pstrokaty wóz.

- Sześć. Król wcale nie przepada za powolnym zaprzęgiem, ale jaki ma wybór?

Nasza pogawędka miała miejsce w obrębie Aescerigum, burhu położonego na wschód od Wintanceasteru. Była to niewielka warownia - jeśli porównywać ją ze stolicą Zachodnich Sasów czy Londynem - wzniesiona przy brodzie na rzece Wey. Powody, dla których ufortyfikowano sioło u przeprawy przez rzeczukę, której nurt można było łatwo sforsować w wielu miejscach - zarówno na południe, jak i na północ od nowego grodu - były dla mnie niezrozumiałe. Ale kiedy sprzeciwiłem się jego wzniesieniu, gdyż uważałem, że takie ulokowanie burhu jest błędne z punktu widzenia strategii, Alfred wyłuszczył mi, iż sam tak zdecydował. Chciał, by Aescengum umocniono, gdyż niegdyś mieszkał tutaj osławiony cudotwórca - kapłan, który przywrócił niewinność zhańbionej dziewczycy. Lud chrześcijański otaczał to miejsce szczególną czcią, przeto z królewskiego rozkazu za nowo usypanymi wałami założono nawet opactwo. Właśnie w tamtejszym przyklasztornym kościele - jak dowiedziałem się od Steapy - król oczekiwał mego przybycia.

- Moźni panowie ciągle gardłują - mruknął dowódca straży, prowadząc mnie do świątyni - ale żaden nie rwie się do czynu.

- Słyszałem, że król spodziewa się, iż Harald przypuści szturm na burh?

- Toż mówiłem wszystkim, by na to zbytnio nie liczyli - odrzekł. - A jeśli nieprzyjacielskie zastępy obejdą nas kołem?

- Wyjdziemy im naprzeciw i ubijemy ich pierdołowatego wodza - odpowiedziałem, spoglądając na nowe bijące w niebo ciemne słupy, widome oznaki postępów wojsk Haralda.

- A to kto? - spytał Steapa, spoglądając przez ramię na prowadzoną za nami Skade.

- Dziewka Haralda - odparłem na tyle głośno, by mnie dosłyszała, lecz nie zauważyłem, by na jej hardym obliczu drgnął choć jeden mięsień. - Pojmałem wywłokę, gdy pastwiła się nad paskudnie poharatany brzuchaczem. Niejakim Edwulfem - dorzuciłem. - Ani chybi chciała wydusić z bogatego tena, gdzie ukrył złoto.

- Znam Edwulfa - stwierdził z właściwym sobie spokojem zwalisty Sas. - To nie lada obżartuch. Jeśli miał jakieś złoto, to albo je przepił, albo przejadł.

- No to teraz żre ziemię - podsumowałem. - Edwulf skonał, nim opuściliśmy jego włości.

Steapa wyciągnął wielką jak bochen prawicę, by przejąć moją broń. Zabudowania klasztorne służyły jako czasowa siedziba królewska, więc nikomu - poza samym władcą, jego najbliższymi krewnymi i wartownikami - nie wolno było tam wnosić oręża. Złożywszy na ręce dowódcy straży oba saksy, Oddech Węża i Żądło Osy, zanurzyłem dłonie w podstawionej przez służącego misie z wodą.

- Witamy na królewskim dworze, panie - rzekł pacholek, gnąc się w głębokim ukłonie. Ze

zdziwieniem przyglądał się, jak zaciskam grubą pętlę pod wysoko uniesioną brodą Skade.

Branka skorzystała ze sposobności, by ponownie strzyknąć mi w twarz plwociną, na co odpowiedziałem uśmiechem.

- Zaraz staniemy przed królem - oznajmiłem jej. - Jeśli ważysz się go opluć, niechybnie zadyndasz.

- Jego, tak jak i ciebie, dosięgnie moja klątwa - syknęła w odpowiedzi.

Steapa poprowadził nas do klasztornej kościoła. Prócz Skade towarzyszył mi jedynie Finan - resztę ludzi odprawiłem i kazałem im przekroczyć zachodnią bramę, za którą wśród pastwisk wił się strumień, w którym mogli napoić nasze wierzchowce.

Wkrótce znaleźliśmy się we wzniesionej z ciosanych kamieni obszernej nawie świątyni, której dach został zrobiony z solidnych dębowych belek. Wpadające przez wysokie okna snopy światła ukazywały porozciągane na ramach i ozdobione obrazami skóry. Największe malowidło, zawieszane nad ołtarzem, przedstawiało hoże dziewczę w jaśniejszej białej sukni, podnoszone z klęczek przez stojącego naprzeciw brodacza. Głowę mężczyzny otaczała lśniąca po złotą aureola. Panna o puciołowatych, rumianych jagodach wpatrywała się zdumionymi oczyma w górującą nad nią postać, więc domyśliłem się, że obraz musi przedstawiać ową szczęsną dziewczynę, która - odzyskawszy dziewictwo - nie może się nadziwić temu, co się stało. Jednakowoż widząc malujący się na otoczonym nimbem świętości męskim obliczu niepomierny zachwyt, trudno było oprzeć się myśli, iż święty pragnie przekonać się, czy uda mu się powtórzyć ów cud. Plecami do wiekopomnego dzieła i zastawionego pysznymi srebrnymi naczyniami ołtarza zasiadał Alfred, zajmując miejsce na wymoszczonym grubymi kobiercami siedzisku.

Władcy towarzyszyło przeszło dwudziestu prowadzących żywe dysputy mężczyzn. Gwarne rozmowy ucichły, gdy zebrani dostrzegli me przybycie. Po lewej ręce króla skupiała się czereda kleryków. Wśród sutann i habitów ujrzałem starego dobrego przyjaciela - poczciwego ojca Beocę. Obok stał mój odwieczny wróg, biskup Asser, Walińczyk, który wkradłszy się w łaski króla, od wielu lat cieszył się pozycją jego najbliższego doradcy. Pośrodku nawy zobaczyłem rozpartych na ławkach sześciu eldormanów, najznacniejszych dowódców zastępów wezwanych do obrony Wessexu przed wojskami Haralda. Po prawicy władcy zasiadał jego zięć, a mój kuzyn, Aethelred. Za nieco niższym od siedziska władcy krzesłem mego pociotka dojrzałem jego żonę, a zarazem córkę Alfreda - Aethelflaed.

Aethelred był tytularnym panem Mercji, królestwa leżącego na północ od Tamizy, której bieg stanowił jego granicę z Wessexem. Za mego życia rozległe północno-wschodnie połacie mercyjskich ziem przeszły w duńskie władanie. Tamtejsi Sasi, zepchnięci na południowy

zachód, nie mieli własnego króla, zamiast którego musieli zadowolić się osobą mego kuzyna. Krewniak przyjął z rąk Alfreda godność eldormana Mercji, lecz jego rządy w znacznej mierze sprowadzały się do wykonywania poleceń wszechwładnego teścia. Alfred - chociaż nigdy otwarcie się do tego nie przyznał - był faktycznym władcą saskiej części Mercji. Jego zięć, rad nierad, niemalże we wszystkim stosował się do zaleceń pana Zachodnich Sasów.

Spoglądając na zmizerniałego króla, zacząłem powątpiewać, czy sędziwy władca długo jeszcze będzie w stanie sprawować rządy, gdyż jego oblicze nosiło wyraźne znamiona postępującej choroby. Alfred zawsze miał niezdrową cerę, cechującą ludzi przepędzających całe dnie w skrytorium, ale tym razem twarz władcy - oprócz zwykłej bladości - naznaczona była udreką. Pociągłe rysy króla wyostrzyły się jeszcze, a spojrzenie wydawało się zboliałe i posepne, aczkolwiek czaił się w nim błysk, zdradzający lotność umysłu.

Monarcha spoglądał na mnie w milczeniu. Pochyliłem głowę, a on odwzajemnił ukłon lekkim skinieniem.

- Ilu przywodzisz mi ludzi, eldormanie Uhtredzie?

- Trzystu najprzedniejszych wojowników.

- Zaledwie trzystu? - zapytał, a jego twarz ściągnął grymas, trudno orzec, bólu czy niezadowolenia.

- Tak, panie. Reszta garnizonu pozostała w Londynie do obrony jego murów.

- A po jakie licho przyprowadziłeś nam swoją nałożnicę? - wtrącił z szyderczym uśmiechem królewski zauszniak Asser.

Biskup, ujmując rzecz węzłowato, był zafajdaną gnidą, czymś, co chyłkiem wyslizgnęło się z jakiegoś walijskiego zadka. Śmierdziel był wystarczająco oślizgły i miał dość sprytu, by zyskać sobie względy władcy i stać się jego spowiednikiem.

Alfred, nie wiedzieć czemu, wielce sobie cenił Assera. Ten ostatni zaś pałał do mnie jadowitą nienawiścią.

- Przywiodłem wam dziwkę Haralda - sprostowałem, układnie uśmiechając się do powiernika monarchy.

Po owym oświadczeniu w kościele zapanowała cisza. Wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się w Skade, lecz nikt nie był w nią tak dalece zapatrzony jak stojący zaraz za królewskim tronem młodzian o szczupłym obliczu, wyraźnie zaznaczających się pod bladawą skórą kościach i sięgających haftowanego zdobnie kołnierza pierścieniach kruczych loków. Bystre oczy drobnego - by nie rzec, wątłego - chłopca nie odrywały się od kobiety z pętlą na szyi. Wytworny młody człowiek wydawał się niespokojny, być może onieśmielony kompanią roślących, pleczystych wojowników. Znałem go dość dobrze. Miał na imię Edward, a

tytułowano go aethelingiem, gdyż był najstarszym męskim potomkiem króla. Stąd jego obecność na sali, w dodatku tuż za monarszym tronem. Potomek Alfreda wgapił się w Dunkę, jakby pierwszy raz widział kobietę, a gdy odpowiedziała mu zuchwałym spojrzeniem, spłonął się jak dziewczka i pospiesznie spuścił wzrok, wbijając go w zasłaną matami polepę.

- Kogóż to nam przywiodłeś? - wysyczał Asser, który pierwszy otrząsnął się ze zdumienia.

- Dziewka zwie się Skade - podjąłem, pchnięciem w ramię zmuszając brankę do postąpienia krok naprzód. Edward nieśmiało podniósł wzrok, przyglądając się pojmanej z zachłannością szczenięcia wietrzącego woń mięsiwa.

- Oddaj królowi pokłon - przykazałem wojownicze po duńsku.

- Nie jestem na twoje rozkazy - oświadczyła z butą i, tak jak przeczuwałem, ze złością strzyknęła śliną pod nogi Alfreda.

- Oćwiczyc ją za obrazę majestatu! - zakrzyknął obruszony biskup.

- Czyli prawdą jest, że klerycy lubują się w batożeniu niewiast - mruknąłem.

- Nie czas na swary, eldormanie Uhtredzie - władca upomniał mnie znużonym głosem. Kurczowo zacisnął prawicę na rzeźbionym podłokietniku. Uważnie przyjrzał się mierzającej go wyzywającym spojrzeniem Skade. - Nadzwyczajna kobieta - stwierdził łaskawie. - Czy władza angielskim?

- Zapytana zaprzecza - odparłem - lecz łowi uchem każde słowo.

Prawdziwość mych domniemań potwierdziło kuse spojrzenie płonących srogim gniewem oczu.

- Pamiętaj, że rzuciłam na ciebie klątwę - syknęła cicho.

- Mówiono mi - odmruknąłem - iż najprostszym sposobem na złorzeczący język jest odjęcie go, przeto zanim znów otworzysz usta, zważ dobrze moje słowa, parszywa jędzo.

- To śmiercionośne zaklęcie - doszedł mnie ledwie słyszalny szept.

- Cóż ona tam mamrocze? - zainteresował się Alfred.

- Skade, która jak wieść głosi, władza magią - wyjaśniłem grzecznie - uwiadomiła mnie właśnie, że rzuciła na mnie zły urok.

Z niejakim rozbawieniem ujrzałem, jak król - a za jego przykładem większość sług Kościoła - chwyta zawieszane na piersi krucyfiksy. Dziwna rzecz, że wyznawcy Chrystusa, z pogardą kpiący sobie z naszych bogów, w obliczu rzucanych przez pogan klątw niezmiennie objawiają oznaki zaniepokojenia.

- Jakim sposobem ją pojmałeś? - chciał wiedzieć władca.

Pokrótkie odtworzyłem zaszłe w dworze Edwulfa wypadki, a kiedy zamilkłem, monarcha spojrzał na dziewczynę spod ściągniętych brwi.

- A czy pozbawiła życia miejscowego księdza? - zapytał.

- Zabiłaś tamtejszego księdza, łajdaczko? - zwróciłem się do branki po duńsku.

- A jakże - odparła z uśmiechem. - Zabijam każdego klechę, jakiego napotkam.

- Zgładziła, panie.

Król wzdrygnął się.

- Wyprowadź ją - rozkazał Steapie - i trzymaj pod silną strażą. - I wzniosłszy dłoń, dorzucił stanowczo: - A bacz dobrze, aby nie przydarzyła się jej żadna krzywda! - Co rzekłszy, zwrócił się do mnie: - Cieszę się, że jesteś wśród nas, eldormanie Uhtredzie - rzekł serdecznie. - Ty i twoi ludzie, aczkolwiek spodziewałem się, że przybędziesz z liczniejszą drużyną.

- Przywiodłem tylu wojów, ilu trzeba, panie - odrzekłem.

- Ciekawe do czego? - szczekliwie wtrącił Asser.

Spojrzałem na lebiegę, który nie wiedzieć czemu, mimo sprawowania władzy biskupiej, nosił związane w pasie sznurem mnisie odzienie, ciasno opasujące jego szczapowate ciało. Wychudłe oblicze o cienkich, zaciętych ustach i bladozielonych, rzucających ukradkowe spojrzenia oczkach przywodziło na myśl wygłodniałego gronostaja. Walińczyk połowę swych dni spędzał na wędrówkach po pustaciach rodzinnej krainy, a w przerwach między nimi bez reszty poświęcał się nękanii króla. Alfred w bliskim porozumieniu z gorliwie sączącym mu do ucha jad sługą bożym sporządził zbiór prawideł, jakimi miał rządzić się Wessex. Znajdowałem szczególną uciechę w gwałceniu owych nakazów i zakazów, aż powstał w mojej głowie zamysł, by złamać każde z owych postanowień - i to jeszcze za życia króla i tego zdechlaka, jego zausznika.

- Tylu, ilu trzeba - podjąłem - by przemienić Haralda i jego zastępy w krwawą miazgę.

Ostra replika przywołała uśmiech na usta Aethelflaed. Królewska córka była jedyną prawdziwie sprzyjającą mi osobą w najbliższym otoczeniu władcy. Przyjrzawszy się przyjaciółce - a nie widziałem jej cztery lata - znalazłem ją posmutniałą i nieco postarzałą. Lecz okalające zgrabną głowę włosy nadal połyskiwały żywym złotem, a oczęta o barwie letniego błękitu z wiekiem nabrały głębi. Puściłem do niej oko, wiedząc, że rozdrażnię tym mego chorobliwie zawistnego pociotka. Kuzyn, niewiele myśląc, podjął wyzwanie.

- Gdyby wygubienie armii Haralda było taką błahostką - rzucił z pogardą - dawno byśmy się już z tym uporali.

- A niby jak? - zapytałem. - Przyglądając się im ze szczytu wyniosłego wzgórza?

Aethelred skwitował przymówkę tylko grymasem, chociaż znając jego dumną i kłótniawą naturę, spodziewałem się ostrej odpowiedzi. Zorientowałem się jednak, że oblicze krewniaka

jest jeszcze bardziej bezkrwiste niż zazwyczaj, co mogło oznaczać, iż znów dawała mu się we znaki trawiąca go słabość. Dopadająca eldormana Mercji ni stąd, ni zowąd niemoc na długi czas nadwątlala jego siły, a to musiał być jeden z jego gorszych dni. Mój chorowity krewny dobiegał już czterdziestki, o czym świadczyły bielejące wśród jego płomiennorudych loków siwe pasma, najgęstsze na skroniach.

- Harald panoszy się po kraju od dobrych paru tygodni - dalej prowokowałem go szyderstwami.

- Dość tego! - Alfred grzmotnął w podłokietnik tronu, płosząc zakapturzonego sokoła, dotąd przysypiającego na pulpicie ustawionym nieopodal ołtarza. Ptak zamachał skrzydłami, lecz ledwie poderwał się do lotu, zatrzymały go pęta krępujące szponiaste łapy. Król skrzywił się nieprzyjemnie. Zbolały wyraz jego twarzy powiedział mi to, o czym obaj doskonale wiedzieliśmy. Władca nie obyłby się bez mej pomocy, a było mu to wyraźnie nie w smak. - Wiadomo ci doskonale, że nie mogliśmy uderzyć na Haralda - wyłuszczył ze spokojem - dopóty, dopóki z północnej flanki groził nam atak Haestena.

- Haestena nie przelękłoby się ledwie co przyszłe na świat szczenię - orzekłem. - To człowiek małego ducha, żyjący w wiecznym strachu przed porażką.

Byłem butny i pewny siebie. Przysłuchujący się nam mężowie musieli zobaczyć mnie właśnie takim, gdyż sami, zamiast walczyć, prowadzili przez wszystkie te dni płonne dysputy. A im dłużej rozprawiali po próżnicy, tym bardziej wyolbrzymiali siły Haralda. Wreszcie nieprzyjacielskie hordy poczęły jawić się im jako niezwyciężone. Alfred, tak długo, jak to było możliwe, wstrzymywał się z wezwaniem mnie, gdyż zależało mu, by jego syn i zięć dali dowody swych przywódczych zdolności. Potem, jako zasłużeni przywódcy, łatwiej zyskaliby posłuch w Wessexie i Mercji. W końcu jednak, znalazłszy się w pilnej potrzebie i zniecierpliwiony nieporadnością krewnych, postanowił odebrać im przywództwo i zdać się na mnie. Toteż, by tchnąć w przelękłe serca wodzów z rady nieco wigoru, rozpraszałem dręczące ich niepokoje, okazując zuchwałość i zadufanie we własne siły.

- Haraldowa horda liczy sobie pięć tysięcy mieczy - głucho odezwał się eldorman Aethelhelm z Wiltunsciru. Wyglądało na to, że znanego mi mężnego wojownika także opadły lęki, pętające wolę władcy i jego najbliższych doradców. - Ponoć pogańskie zastępy przybyły w dwieście okrętów! - dorzucił z przejęciem.

- Jakkolwiek potężna by była wroga armia - stwierdził stanowczo Alfred - zostanie zatrzymana i złamana na wałach tego oto burhu, który zagradza jej drogę do serca Wessexu.

Wyrażone przez króla zdanie było z gruntu niedorzeczne. Nic nie wstrzymywało Haralda przed ominięciem Aescengum - czy to od północy, czy od południa. Nie sądziłem jednak, by

rozsądnym było wprost obnażać naiwność osądu władcy, żywiącego niezrozumiałe przywiązanie do tego uświęconego cudem miejsca.

- A zatem zamysłasz pokonać najeźdźców na przedpolu grodu, panie? - spytałem ostrożnie.

- Mamy dziewięciuset wojowników - odpowiedział rzeczowo - a prócz tego miejscowy garnizon. Teraz zasiliłeś nas swoją liczącą trzystu ludzi strażą. Harald połamie sobie zęby na naszym ostrokole.

Aethelred, a wraz z nim eldormani Aethelnoth z Sumorsaete i Aethelhelm z Wiltunsciru potakiwali monarsze.

- Ponadto pięć setek mercyjskich wojowników stoi w Silcestre - dopowiedział mój kuzyn, jakby właśnie to miało przesądzić o naszym zwycięstwie.

- A do czegoż oni mogą się tam nadać - zaciekawilem się - jeśli będą posikiwać do Tamizy, podczas gdy tu rozgorzeje walka?

Aethelfaed wyglądała na ubawioną, zaś jej brat Edward na wyraźnie zniesmaczonego. Zaczny ojciec Beocca potraktował mnie przeciągłym, pełnym bolesnego wyrzutu spojrzeniem, które znałem, odkąd udzielał mi - jako podrostkowi - lekcji dobrego wychowania. Alfred westchnął ciężko.

- Wojownicy Aethelreda będą szarpać tyły oblegających nas nieprzyjaciół.

- A zatem, panie - dopytywałem - powodzenie całej wojny ma zależeć wyłącznie od tego, czy Harald waży się przypuścić szturm na Aescengum? Od tego, czy jarl pośle swe zastępy na śmierć z rąk stojących na wałach obrońców?

Władca nie znalazł odpowiedzi. W nagle zapadłej ciszy dał się słyszeć furkot skrzydeł ścigającej się wokół krokwi pary jaskółek. Pałaca się na ołtarzu za królewskimi plecami gruba woskowa świeca zamigotała, przygasła i poczęła kopcić. Jeden z mnichów pospieszył, aby przyciąć knot. Ledwie tłący się płomyk uspokoił się i urósł, a w jego blasku zapłonął wysoki złoty relikwiarz, w którym, o ile wzrok mnie nie mylił, spoczywała uschnięta ludzka ręka.

- Harald będzie pragnął zetrzeć nas w boju - zabrał głos Edward, nieśmiało włączając się do narady.

- A po cóż miałby wdawać się w walkę? - zdziwiłem się. - Po cóż miałby narażać się na straty, skoro kryjąc się za palisadą, czynimy wszystko, by dać się pokonać? - Naturalnie moje słowa wzbudziły gniewne pomruki zebranych, lecz nie dałem sobie przerwać. - Pozwól, panie, iż wyjawię ci, co uczyni Harald - rzekłem, zwracając się do Alfreda. - Jarl najpewniej poprowadzi armię tak, aby okrążyć nas łukiem od północy i w ten sposób podejść pod słabo broniony Wintanceaster. Jak wszystkim wiadomo, w tamtejszej katedrze spoczywa mnóstwo

srebra i złota. Trudno o lepiej przygotowane do złupienia skarby. Duńczyk skorzysta z twej niefrasobliwości, panie, wedrze się na wały twojej stolicy i bez trudu zajmie bronione przez znacznie uszczuplony garnizon miasto. A jeśli rzeczywiście zechce zamknąć Aescengum w szczypcach oblężenia - podjąłem gromkim głosem, by zagłuszyć coraz żywsze protesty pieniącego się Assera - to mając nad nami znaczną przewagę liczebną, z łatwością otoczy burh pierścieniem zbrojnych i rychło zamorzy nas głodem, nawet nie stając do walki.

Król powstrzymał jednym gestem sprzeciwu bełkoczącego nieskładnie biskupa.

- Przeto zechciej nam wyjawić, jaką drogę postępowania radzisz obrać, eldormanie Uhtredzie? - w głosie monarchy dosłyszałem żal. Długie lata panowania i kiepskie zdrowie nadwerzęły siły władcy, który obawiając się, że Harald i jemu podobni zniweczą wszystko, co zbudował, popadał w coraz większe zniechęcenie.

Miałem gotową odpowiedź.

- W pierwszym rzędzie, panie, radziłbym, by eldorman Aethelred rozkazał owym pięciuset wojownikom, by przeprawili się przez Tamizę, po czym pospiesznie pomaszerowali do Fearnhamme.

Jeden z zalegających w podcieniach ogarów zawył przeciągle. Oczy wszystkich możliwych skierowane były na mnie w niemym zapytaniu, tylko niektóre błysnęły zrozumieniem. Zachodni Sasi, pogrążeni w zamęcie sprzecznych racji i znużeni niepewnością, potrzebowali czystego brzmienia żelaza.

Alfred przerwał przeciągającą się ciszę.

- Fearnhamme? - zapytał, unosząc brwi.

- Fearnhamme - powtórzyłem, spoglądając ku Aethelredowi, lecz blade jak pergamin oblicze kuzyna nie wyrażało sprzeciwu. Pozostali zgromadzeni w nawie mężowie także nie zabrali głosu.

Oczyma duszy przebiegałem rozciągające się na północ od Aescengum ziemie. Sztuka prowadzenia wojen nie polega bowiem wyłącznie na dbaniu o ludzi czy o ich właściwe zaprowiantowanie. Równie ważna jest znajomość terenu: nachylenia dolin i wzgórz, przebiegu rzek i położenia bagien, jako że wzniesienia to naturalne warownie, zwłaszcza kiedy podcięte są biegiem strumieni. Znajomość ziem i wód dopomaga w rozbiciu wroga. Dość często przejeżdżałem przez Fearnhamme - osadę leżącą na szlaku z Londynu do Wintanceasteru - i wielokroć przyglądałem się tamtejszym okolicom. Wiedziałem zatem, że w razie napaści zagrażającej stolicy doskonale nadają się do obrony.

- Bowiem w Fearnhamme - podjąłem - na północ od rzeki, wznosi się wyniosłe wzgórze.

- To prawda! Dobrze znam tamte strony - wykrzyknął naraz jeden z mnichów stojących po

prawicy władcy. - Istotnie, jest tam wysoki pagór, którego szczyt otaczają starodawne, dość strome wały ziemne.

Przyjrzałem się zażywnemu, sędziwemu mężczyźnie o wydatnym, haczykowatym nosie.

- Kim jesteś? - zapytałem chłodno.

- Zwą mnie Oslac, panie - przedstawił się. - A jestem tutejszym opatem.

- Owe wały... - dowiadywałem się. - Czy są w dobrym stanie?

- Odkąd usypały je dawne plemiona, minęło wiele wieków - odrzekł przeor - i szaniec obrósł gęstą trawą, ale nasyp jest wciąż mocny, a otaczająca go sucha fosa głęboka.

Podobne wały ziemne można napotkać w całej Brytanii. To niemi świadkowie burz wojennych przetaczających się przez te ziemie na długo przed tym, zanim dotarli tu Sasi, przynosząc nowe wojny.

- Czyli trawiasty wał pozwoli dać silny odpór nacierającym z dołu najeźdźcom? - wypytywałem dalej.

- Wystarczająco liczna załoga mogłaby utrzymać się tam do końca świata - odparł.

Zdecydowanie, z jakim udzielił mi odpowiedzi, kazało mi spojrzeć na niego baczniej. Pokazny nos opata nosił ślady złamań. Domyśliłem się, że Oslac, nim przywdział habit, musiał zaznać wojaczki.

- Nadal nie pojmuję, dlaczego mieliśmy bronić tamtejszej starej warowni, zamiast pozostać w Aescengum, gdzie chroni nas mocna palisada i gdzie mamy pełne zapasów składy - zaproponował król.

- A na jak długo wystarczą owe zapasy, panie? - odpowiedziałem pytaniem. - Prawda, mamy tu teraz garnizon tak potężny, że byłby w stanie odpierać szturmy aż po dzień Sądu Ostatecznego. Wszelako nagromadzona w składach żywność wyczerpałaby się, nim doczekalibyśmy Bożego Narodzenia. - Tymi słowami przypominałem Alfredowi, że Aescengum ma jedynie skromne zaprowiantowanie, a to dlatego, że nowo wznoszone burhy z założenia miały służyć zatrzymaniu najeźdźców jedynie do czasu, gdy nadciągną doskonale znający wojenne rzemiosło wojownicy z królewskiej straży i rozbiją oblegających.

- Ale dlaczego wydawać im bitwę akurat pod Fearnhamme? - władca zastanawiał się na głos.

- Albowiem to właśnie tam rozniesiemy zastępy Haralda - orzekłem niezbyt pomocnie, po czym zwróciłem się do Aethelreda: - Kuzynie, wydaj swym ludziom rozkazy, by pospieszyli do Fearnhamme, gdzie złapiemy Haralda w sidła.

Alfred zazwyczaj skrupulatnie rozważał przedstawione mu racje, ale tamtego dnia był chyba niezbyt schorowany i umęczony, by silić się na dyskusję. Najwyraźniej miał już szczerze

dość toczonych przez doradców utarczek słownych, a lata doświadczeń nauczyły go, iż w sprawach wojennych może pokładać we mnie pełne zaufanie. Dlatego spodziewałem się, że z miejsca poprze moje - skądinąd nie całkiem jasne - zamiary. Otóż myliłem się. Król okręcił się na tronie i omiółszy wzrokiem grupkę kleryków, przywołał gestem jednego. Biskup Asser podszedł do młodego, krępego mnicha i ująwszy go pod ramię, przywiódł przed monarsze oblicze. Młodzieniec miał wyraziste rysy, a jego wygoloną tonsurę okalał pierścień gęstej niby borsucze futro czarnej szczeciny. Oblicze mnicha można by uznać za wcale urodziwe, gdyby nie mgliste oczy - zasłte bielmem i niewidzące, najpewniej od maleńkości. Ociemniały zakonnik odszukał dłońmi tron i chwyciwszy się rzeźbionego oparcia, ukląkł, a następnie pokłonił się władcy do stóp. Alfred po ojcowsku położył dłoń na pochylonej łysinie.

- Bracie Godwinie? - ozwał się łagodnie.

- Słucham cię, panie, słucham gorliwie - chrypliwie zaszemrał kleryk.

- Słyszałeś zapewne mowę eldormana Uhtreda?

- Co do słowa, panie, co do słowa - zapewnił braciszek i zamilkł.

Pozostając na klęczkach, wyprostował plecy i uniósł głowę tak, że zdawało się, iż mlecznobiałymi oczyma wpatruje się w króla. Milczał. Naraz jego twarz poczęła krzywić się i drgać spazmatycznie jak u obłąkańców nawiedzanych przez widma ciemności. Z ust targanego drgawkami ślepcy wyrwał się urywany jęk i chociaż wydawać się mogło, że młodzian dusi się na oczach Alfreda, król spokojnie czekał, jakby wiedział, że opętańcze spazmy wkrótce ustaną. Wreszcie na twarz mnicha spłynął spokój.

- Wszystko obróci się ku dobremu, miłościwy królu - ze spokojem orzekł Godwin - wszystko obróci się ku dobremu.

Władca podziękował braciszкови, raz jeszcze kładąc mu dłoń na głowie, i rzekł, zwracając ku mnie rozpromienione uśmiechem oblicze:

- Tedy uczynimy tak, jak radzisz, eldormanie Uhtredzie - po czym stanowczo przykazał Aethelredowi: - Niezwłocznie pošlesz swych ludzi do Fearnhamme - i dorzucił, tym razem spoglądając na mnie: - Aetheling Edward stanie na czele sił Zachodniego Wessexu.

- Tak, panie - odrzekłem pokornie. Młodziutki Edward z widocznym zakłopotaniem spozierał to na mnie, to na ojca.

- Jakkolwiek - Alfred zmierzył syna surowym spojrzeniem - chcę, byś stosował się do rozkazów eldormana Uhtreda.

Aethelred musiał dać upust swemu niezadowoleniu.

- Któż może mieć pewność - wyrwał się - że poganie przybędą pod Fearnhamme?

- Ja - odparłem z mocą.

- To nie pewność, a jedynie przekonanie! - zaperzył się mój kuzyn.

- Harald stanie tam z nami do walki - zawyrokowałem butnie - i padnie w boju.

Przeznaczenie zrządziło jednak inaczej.

Posłańcy pognali do Silcestre z rozkazami, by zaraz z nastaniem świtu mercyjska armia spiesznym marszem wyruszyła do Fearnhamme. Dotarłszy na miejsce, ludzie Aethelreda mieli zająć pradawną warownię usadowioną na wzgórzu górującym nad północnymi brzegami rzeki. Tychże pięciuset ludzi stanowiło kowadło, o które miał rozgnieść Harald nasz młot - wojska stojące w Aescengum. Rzecz jasna, zdawałem sobie sprawę, jak wiele ryzykuję, dzieląc siły, lecz nie widziałem innego sposobu, by zwabić wroga w pułapkę. Według moich szacunków przeciwnik dysponował przewagą przynajmniej pięciuset włóczni i wiedziałem, że jeśli Duńczykom udałoby się zdobyć wały Fearnhamme, zanim uderzymy na ich tyły, byłibyśmy straceni.

- Powodzenie całego przedsięwzięcia będzie w dużej mierze zależeć od tego, czy Harald okaże się człkiem porywczym, panie - otwarcie powiedziałem Alfredowi, wpatrując się w majaczące w oddali łuny pożarów.

Król znalazł mnie na wschodniej części wałów. Przybył tam na czele swej rozmodlonej świty, którą wnet odprawił, by pomówić ze mną na osobności. Mimo iż zostaliśmy sami, monarcha - zatopiwszy spojrzenie w rozświetloną poblaskiem pożogi okolicę - przez dłuższą chwilę trwał w milczeniu, jakby liczył puszczone z dymem przez grabieżców sioła, chociaż podejrzewałem, że boleje najbardziej nad utratą kościołów, które najeźdźcy palili w pierwszej kolejności.

- Pytanie, czy Harald to istotnie taki zatracony gwałtownik? - odezwał się wreszcie.

- Z pewnością tobie łatwiej to rozsądzić niż mnie, panie - udatnie uchyliłem się od odpowiedzi.

- O ile wiem, to nieobliczalny barbarzyńca, z byle powodu wpadający we wściekłość - stwierdził Alfred. A wiedział niejedno. Pan Zachodnich Sasów nie szczędził srebra na opłacanie wędrowników gromadzących wieści o poczynaniach łupieżców z Północy. Relacje te skrzętnie zamieszczano w specjalnie do tego przeznaczonych księdze, gdzie odrębnie opisywano posunięcia co znacniejszych wikingów przywódców. Stąd władca wiedział, że Harald Krwawowłosa uprzednio łupił kraj Franków, którzy - by pozbyć się nieproszonych gości - złożyli mu sowity okup.

- Wiadomo ci zapewne, jak Harald zyskał ten okropny barbarzyński przydomek? - spytał mnie monarcha.

- Wziął się on stąd, panie, iż Duńczyk przed każdą bitwą obryzguje sobie czuprynę posoką

ogiera ofiarowanego Thorowi.

- Nie inaczej - przytaknął Alfred, chwytając rękoma zębate pale ostrokołu. - Ale do rzeczy. Czy możesz mi wyjawić, skąd tve niezachwiane przekonanie, że Harald stanie pod Fearnhamme? - Wpatrywał się we mnie pełnym napięcia wzrokiem.

- Skłonię go, panie, by wpadł w naszą pułapkę, a potem, osaczony, wykrwawił się na grotach saskich włóczni.

- Posłużysz się tą kobietą? - bardziej stwierdził, niż spytał, wzdrygając się mimowolnie.

- Powiadają, że jarl jest do niej niebywale przywiązany, panie.

- Istotnie, tak powiadają - odrzekł władca - ale gwałtownik może zwyczajnie wziąć sobie inną dziewczkę.

- Być może, panie, lecz droga mu kobieta to jedynie przynęta. Harald najpewniej i tak nie ominąłby Fearnhamme, niemniej jednak mając tak ponętny wabik, zyskujemy pewność, że ściągniemy tam jarla.

- Kobiety są źródłem wszelkiego grzechu, jaki pleni się na tym świecie - westchnął król szeptem tak cichym, iż z ledwością ułowiłem go uchem. Oplótł ramionami dębowe pale i wbił wzrok w ciemność, wypatrując majaczących w mroku ogników Godelmingum, osady leżącej zaledwie o parę mil na wschód. Na mój rozkaz tamtejsi mieszkańcy opuścili swe sadyby, a w opustoszałej wsi trzymało straż pięćdziesięciu ludzi z mej drużyny. Mieli nas zawczasu ostrzec o zbliżających się nieprzyjaciołach. - A już miałem nadzieję, że Duńczycy na dobre poniechają napadów na nasze ziemie - usłyszałem boleściwą skargę monarchy.

- Od zawsze patrzyli na Wessex chciwym okiem i nie zanosi się na to, by ustali w wysiłkach - zauważyłem.

- Wszystko, o co modłę się do Boga - ciągnął monarcha, nie zważając na wygłoszoną przeze mnie oczywistość - to by na tych ziemiach panował pokój, kiedy na tronie zasiądzie mój syn.

Nic na to nie rzekłem, jako że żadne prawo nie stanowiło, by po śmierci króla akurat jego syn miał przejmować obowiązki władcy. Co więcej, gdyby tron Wessexu w istocie dziedziczony był z ojca na syna, nigdy nie zasiadłby na nim Alfred, którego poprzednikiem był jego starszy brat. Zwłaszcza że ten także posiadał syna - Aethelwolda - usilnie pragnącego królewskiej władzy. Rzecz w tym, że Aethelwold, kiedy umarł jego rodziciel, był jeszcze nazbyt młody, by objąć rządy w Wessexie. I tak to Alfred został panem Zachodnich Sasów, a Aethelwold dożył ponad trzydziestu lat, choć wyglądał na znacznie więcej, czemu winna była jego słabość do ale.

- Edward będzie potrzebował cię jako doradcy - oświadczył król.

- Byłby to dla mnie wielki honor, panie.

Alfredowi wyraźnie nie spodobał się mój układny ton, gdyż zeszywniał. Spodziewałem się, iż raz jeszcze przyjdzie mi wysłuchać surowej reprimendy, lecz monarcha tylko posmutniał.

- Bóg wyświadczył mi ogromną łaskę - podjął z cicha. - Kiedy osadzono mnie na tronie, erlu Uhtredzie, powstrzymanie nawały Duńczyków wydawało się niemożnością. A jednak dzięki boskiej przychylności, Wessex uniknął zagłady. Zapanował ład i praworządność. Stanęły liczne kościoły, opactwa i szkoły duchowne. Cała ta kraina stała się ostoją naszego Pana i nie wierzę, by z Jego woli - gdy przyjdzie mi stanąć przed Sądem Bożym - wszystko to miało ulec zatracie.

- Oby dane ci było jeszcze wiele lat szczęsnego wladania, panie - odrzekłem, równie kornie jak uprzednio.

- Och, darowałbyś sobie te ugrzecznione brednie - huknął w nagłym przypiływie gniewu i przymknął oczy, zaciskając pięści na zębach ostrokołu, po czym zatrząsł się jak osika. W końcu przemówił głucho: - Bliski już jest kres mej drogi, erlu Uhtredzie. Śmierć czeka mnie, a ja, rad nierad, wychodzę jej naprzeciw. Jakbym wietrzył zasadzkę, lecz związany niemocą, szedł wprost w jej straszliwe objęcia. Wkrótce szczenę, nie chcę wszakże, by wraz ze mną umarło całe królestwo.

- Jeśli taka byłaby wola waszego boga - rzuciłem oschle - moje starania, czy najbardziej nawet wyężone wysiłki Edwarda, nie byłyby w stanie tego odmienić.

- Toć nie jesteśmy bezwolnym pomiotłem w rękach Pana - odpowiedział z cierpkim uśmiechem - lecz wykonawcami Jego woli. Aby dopełnił się los, trzeba nam wytrwałości w dokładaniu starań. - Co rzekłszy, spojrzął na mnie z nieskrywaną niechęcią, gdyż nie mógł mi wybaczyć, iż odrzuciłem chrześcijaństwo, darząc względami pradawnych bogów. - Czyliż twoi bogowie nie wywdzięczają ci się za dobre uczynki?

- Bogowie, którym hołduję, są kapryśni, panie - powiedzenie to usłyszałem z ust biskupa Erkenwalda, niewątpliwie pragnącego ubliżyć mi, lecz ja, pojawiwszy wymowę tych słów, uznałem je za celne. Zaiste, moi bogowie są kapryśni.

- Jak można służyć bogom kierującym się kaprysami? - zdumiał się Alfred.

- A kto tu mówi o służbie?

- Sam przecież rzekłeś...

- Zachcianki są przyjemnością bogów - wszedłem królowi w słowo - a nasze czyny ich rozrywka. Ale nie oznacza to jeszcze, iż jesteśmy na ich usługi. Nasze zadanie polega raczej na zapewnieniu im uciechy i jeśli me postęпки rozbawią niebian, spotka mnie za to nagroda w

zaświatach.

- Bogowie mieliby bawić się naszym losem? - Władca zdawał się nie wierzyć własnym uszom.

- A dlaczegożby nie? - zapytałem. - I my mamy ulubione stworzenia: koty, psy czy sokoły. Ich widok cieszy nasze oczy. Czemuż więc bogowie nie mieliby znajdować przyjemności w przypatrywaniu się nam? Po cóż inaczej trudziliby się, by dać nam życie?

- Pan stworzył człowieka, by ten dopomagał Mu w boskim dziele - stanowczo sprzeciwił się monarcha. - By posłużyć się twoim przykładem, jeśli Bóg hołubi mnie niczym kota, to dlatego, bym polował na rozpuszczone przez Antychrysta myszy. Taka jest moja służba, eldormanie Uhtredzie, moja święta powinność.

- Zaś moim zadaniem jest dopaść Haralda i odrąbać mu głowę, panie - odrzekłem - jeśli tak właśnie spodoba się niebianom.

- Zatem twoi bogowie wydają się nie tylko nieobliczalni, ale i okrutni - szepnął Alfred, wzdragając się.

- Nie bardziej niż ludzie - odparłem - bo czyż nie stworzyli nas na swe podobieństwo? Dlatego wśród niebian, podobnie jak tu, na ziemi, są zarówno okrutnicy, jak i poczciwcy. A my zdani jesteśmy na ich wyroki. Toteż, wedle ich widzimi się, w starciu z Haraldem równie dobrze to ja mogę stracić głowę - dodałem, dotykając kościanego młota Thora.

Monarcha zbył me słowa niecierpliwym grymasem.

- Czy chcesz tego czy nie, Bóg powołał cię do służby. Nie wiedzieć czemu wybrał akurat poganina, lecz tak się stało. A ty przez wszystkie lata, kiedy mi służyłeś, nigdy nie zawiodłeś mych oczekiwań.

Władca przemawiał z żarliwym zapałem, czym wprowadził mnie w zdumienie. Dlatego skłoniłem się w dowód wdzięczności za okazane uznanie.

- Dziękuję ci za łaskawe słowa, panie.

- I oczekuję, że z podobną gorliwością będziesz służył memu synowi - dopowiedział.

Naturalnie powinienem był się tego spodziewać, a jednak słysząc królewskie żądanie, z początku oniemiałem. Wreszcie, zebrawszy myśli, odparłem:

- Panie, niegdyś zgodziłem się ci służyć - rzekłem - co czynię po dziś dzień, ale czeka mnie jeszcze inna powinność.

- Bebbanburg - stwierdził z goryczą.

- Moja ojcowizna - przytaknąłem stanowczo. - I chcę dożyć dni, gdy mój znak będzie powiewał nad tamtejszymi bramami, chcę ujrzeć mego syna wzrastającego za murami rodowej siedziby. Chcę też widzieć, jak potomek staje się wystarczająco mężny, by mógł ją utrzymać,

kiedy dokonam żywota.

Władca popadł w ponure milczenie, wodząc wzrokiem po wschodnim widnokręgu upstrzonym łunami wznieconych przez wroga ogni. Sądząc po tym, jak szeroko rozrzucone były nieprzyjacielskie obozy, należało sądzić, że siły Haralda wciąż pozostawały podzielone na niewielkie drużyny. Zebranie pustoszących wsie i rozproszonych na tak dużej przestrzeni wojowników wymaga czasu. Doszedłem więc do przekonania, że nazajutrz Harald nie będzie jeszcze gotów do walnej bitwy, musi ona zatem zostać odłożona do dnia następnego.

- Bebbanburg to ledwie spłachetek angielskiej ziemi - po namyśle powiedział Alfred - który, niby-wyspę, ze wszech stron otacza morze Duńczyków.

- Można tak rzec, panie - zgodziłem się, z zaciekawieniem nastawiając uszu, gdyż król użył słowa „angielski” w sposób znamieny. Określenie to, wedle jego zamiarów, miało obejmować łącznie wszystkich osiadłych w Brytanii Sasów, Angłów i Jutów, a świadczyło o daleko idących ambicjach króla Zachodnich Sasów, z którymi władca nigdy wcześniej nie zdradzał się przede mną równie otwarcie.

- Aby zapewnić pełne bezpieczeństwo Bebbanburga - podjął monarcha - trzeba by wyzwolić otaczające go ziemie spod duńskiego jarzma.

- Czyli wyprzeć Duńczyków z Northumbrii?

- Jeśli taka byłaby wola boska - wyznał król - gorąco pragnąłbym, by mój syn dokonał tego wzniosłego dzieła. - Zwrócił ku mnie swe oblicze. Jego rysy złagodniały i zamiast oblicza władcy ujrzałem twarz stroskanego ojca. - Wspomóż go, eldormanie Uhtredzie - rzekł błagalnie. - Tyś jest moim niepokonanym *dux bellorum*¹². Prowadziłeś moich ludzi od zwycięstwa do zwycięstwa. Toteż ilekroć stajesz na ich czele, z radością idą gromić wrogów, ufając twej sławie pana wojen¹³. Przegoń Duńczyków z Anglii, a nie tylko odzyskasz swą warownię, lecz także zapewnisz naszym potomkom spokojne bytowanie. Uhtredowi w rodowym Bebbanburgu, a Edwardowi na darowanym mu przez Boga tronie.

Król nie schlebiał mi, lecz zwyczajnie powiedział szczerą prawdę. Moje imię rozbrzmiewało w całym Wessexie zawsze, kiedy mówiło się o toczonych z wikingami wojnach. A wspominano o mnie wówczas nie inaczej, jak o niezwyciężonym „panu wojen” gdyż zasłużyłem sobie na tak godziwe miano.

Szedłem w bój, połyskując srebrem i złotem, dufny w bijący ode mnie blask chwały. A przecież, znając drażliwość bogów, powinienem był się spodziewać, że duma - choćby i najbardziej zasłużona - może ich do mnie nieprzychylnie usposobić.

- Przyrzeknij, że będziesz służył Edwardowi z jednakim oddaniem, z jakim służysz mnie.

Tak oto Alfred zamyślał spleść mój los z losami Wessexu, krainy chrześcijan, leżącej w

ogromnym oddaleniu od mego domu na północy wyspy. W Bebbanburgu - twierdzy wzniesionej na potężnym skalnym występie, o który tłuką spienione fale Północnego Morza - spędziłem pierwsze lata życia. Mając dziesięć wiosen, opuściłem rodzinne strony, by po raz pierwszy ruszyć na wojnę. Po tym, jak wkrótce mój ojciec zginął w bitwie, okazało się, że nie mam już dokąd wracać, gdyż wuj zawładnął powierzona mu na czas wojny warownią. Moją ojcowizną.

- Mogę przysiąc ci dozgonną wierność, panie - rzekłem - lecz nie złożę podobnych ślubów nikomu innemu.

- Wszak poprzysięgałeś mi wierność aż po grób! - obruszył się król.

- I słowa dotrzymam.

- A kiedy umrę - zapytał z goryczą. - Co wtedy?

- Wtedy, panie, ruszę na Bebbanburg i odbiję go, aby osiąść tam i dożyć swych dni, słuchając grzmotu rozbijających się o jego podnóże morskich fal.

- A jeśli mój syn znajdzie się w potrzebie?

- Będzie musiał zdać się na miecze mężnych Zachodnich Sasów - odparłem. - Tak jak ty dziś polegasz na moim mieczu, panie.

- A skąd tve przeświadczenie, że mimo naszego ciężkiego położenia staniesz na wysokości zadania? - odwarknął na dobre już rozjuszony monarcha. - Zamyślasz poprowadzić armię pod Fearnhamme, zgadza się? A jaką dasz mi rękojmię, że Harald zechce się tam zjawić?!

- Stawi się, nie ma obaw - orzekłem beznamiętnie.

- Nie możesz tego wiedzieć!

- Wiem, bo go do tego przymuszę - wyjaśniłem oględnie.

- Tylko kiep może być tak pewny swego! - krzyknął władca.

- Jeśli nie masz do mnie dość zaufania, panie - odpowiedziałem z mocą - możesz uczynić panem bitew swego zięcia. Nikt bardziej nie pali się do tej roli. A może sam staniesz na czele zastępów? Mógłbyś też, korzystając z nadarzającej się sposobności, pozwolić Edwardowi okryć się wiekuistą chwałą.

Alfred zadygotał na całym ciele, jak sądziłem wskutek targającego nim gniewu, lecz kiedy się ozwał, był nadzwyczaj spokojny.

- Po prostu chcę wiedzieć - rzekł - co sprawia, że uparcie trwasz w mniemaniu, iż nieprzyjaciel pójdzie tam, gdzie przewidujesz.

- Wystarczy mi wiedzieć, że bogowie są kapryśni - odparłem zuchwale - a to, co chcę uczynić, winno ich ubawić.

- A trochę jaśniej? - spytał zmęczonym głosem.

- Harald to dureń - objaśniłem - i to rozkochany dureń. Pochwyciliśmy jego lubą. Wystarczy, bym zabrał ją ze sobą do Fearnhamme, by ściągnąć tam jarla, który jak mawiają, miłuje ją ponad wszystko... Zresztą - podjąłem po chwili - nawet gdybym nie pojmał jego ukochanej, Duńczyk tak czy inaczej stanąłby do walki.

Obawiałem się, że król wydrwi me racje, uznając za nieprzekonujące, tymczasem rozważał je w milczeniu, a potem złożył dłonie jak do modlitwy i przemówił:

- Mam wprawdzie wątpliwości co do twych zamysłów, lecz brat Godwin zapewnia mnie, że przyniosą nam zwycięstwo.

- A co może wiedzieć brat Godwin? - zdziwiłem się, pragnąc usłyszeć coś więcej o ślepym zakonniku.

- Bóg do niego przemawia - monarcha odpowiedział cicho, aczkolwiek z niezachwianym przeświadczeniem.

O mało nie parsknąłem śmiechem, lecz powściągnąłem się, gdyż nasza mnie myśl, że bogowie rzeczywiście dają nam wskazówki, chociaż zazwyczaj czynią to za pośrednictwem dziwnych znaków.

- Czy we wszystkim zdajesz się na jego decyzje, panie? - zadrwiłem.

- We wszystkim radzę się Boga - władca rzucił szorstko, po czym odwrócił się i oddalił bez słowa, przyzywany przez dzwony stojącego od niedawna w Aescengum kościoła, gdzie chrześcijanie zbierali się na wieczorne modły.

Bogowie to istoty kapryśne, a ja nadstawiałem karku, chcąc się im przypodobać.

Alfred słusznie nazwał mnie kpem.

Co popychało Haralda do walki? Czy to samo, co Haestena? W przypadku Haestena sprawa wydawała się bardziej oczywista, gdyż cechowała go lotniejsza wyobraźnia i wybujała żądza władzy. Morski rozbójnik pragnął opanować saskie ziemie i obwołać się królem.

W poprzednich latach panowie Północy przybijali do brzegów Brytanii, marząc o zagarnięciu rozległych ziemi. Kilku z nich poszczęściło się - obaliwszy saskich władców poszczególnych królestw, przejmowali rządy. I tak pewien przybyły zza Północnego Morza jarl władał Northumbrią, inny z kolei włożył na skronie koronę Wschodniej Anglii. Haesten, nie chcąc być gorszym, też zapragnął podobnych zaszczytów. Marzył mu się monarszy tytuł, związany z nim posłuch i poważanie, nieprzebrane bogactwa i piękności kobiety. A wszystko to mógł znaleźć w dwóch krainach. Jedną z nich była Mercja, drugą - Wessex.

Rozdarta przez bezkrólewie i targana przewlekłą wojną Mercja była bez wątpienia łatwiejszym celem. Północno-wschodnia część tego kraju znajdowała się pod władaniem

potężnych duńskich jarłów, którzy obwarowywali swe dworzyszczka i utrzymywali liczne drużyny, strzegące zatrzaskiwanych o zmroku bram. Z kolei południowo-zachodnie połacie Mercji nadal znajdowały się w rękach Sasów. Ci ostatni, chroniąc się przed zaciekłymi atakami osiedleńców z Północy, przysięgli służbę memu kuzynowi. Aethelred, korzystając z odziedziczonego majątku i stałego poparcia wpływowego teścia, udzielał im opieki. Na mocy saskiego prawa Mercja, podobnie jak Wessex, była niezależną krainą, lecz wedle ustaleń między mym krewniakiem a Alfredem, ten pierwszy, jako eldorman Mercji, we wszystkim musiał być posłuszny potężniejszemu sąsiadowi. Ujmując zaś rzecz zwięźle, ktokolwiek naruszał niepodległy byt Mercjan, zadzierał nie tyle z samym Aethelredem, ile ze stojącą za nim potęgą królestwa Zachodnich Sasów. Haesten doskonale to pojmował i nie zamierzał działać zbyt pochopnie. Urządziwszy się w warownym obozie na opustoszałych wschodnich rubieżach saskich ziem, powstrzymywał się od wszelkich działań zaczepnych. Rozsądek mu podpowiadał, że lepiej spokojnie poczekać, wymuszając na Alfredzie daninę, którą ten w istocie uiścił. Szczwany jarl, rzecz oczywista, przyjął trybut, lecz ociągał się z dotrzymaniem warunków ugody i pozostając w granicach Wessexu, spokojnie czekał, pragnąc przekonać się, co osiągną pustoszące saską krainę zagony Haralda.

Bardzo możliwe, że Krwawowłosa także z ochotą zająłby tron Wessexu, lecz - jak się zdawało - nie on był jego głównym celem. Jarl przede wszystkim pałał żądzą zdobywania kosztownych błyskotek. Srebro, złoto oraz ustrojone biżuterią piękne kobiety - czyli wszystko, co mieni się w słońcu - budziło w nim niezaspokojoną chęć posiadania. Aby to zdobyć, Duńczyk poczynił sobie jak wydzierający się wniebogłosa dzieciak, pragnący zacisnąć dłoń wokół upragnionego świecidełka. Owszem, władza nad całym królestwem mogła w końcu przypaść w udziale właśnie jemu, aczkolwiek wodzowi wikingów niespecjalnie na niej zależało. Przywiódł do Wessexu swą flotę przede wszystkim po to, by zagarnąć zgromadzone tam bogactwa, w poszukiwaniu których jego zwolennicy przeczesywali saskie ziemie.

Tymczasem Haesten przyglądał się temu wszystkiemu z niewzruszonym spokojem, oczekując, jak sędzę, aż zastępy Haralda nadwątlą siły Alfreda. Wtedy mógłby wkroczyć do królestwa Zachodnich Sasów i zająć miejsce osłabionego władcy. Gdyby przyrównać najazd na Wessex do polowania na jelenia, wojownicy Haralda byli atakującymi w sforze, żądnymi krwi psami. Kiedy już większość z nich zginęłaby w starciu z potężnym rogaczem, zadając mu jednak rany, Haesten, niby sam łowczy, dokończyłby dzieła. Aby zatem udaremnić jego zakusy, należało najpierw rozprawić się ze sforą Haralda. Jeleń musiał przetrwać, a psy polec. Wiedziałem, że ciągnąca ze wschodu nieprzeliczona horda składa się z wściekłych i zdradliwych drapieżników, lecz zdawałem sobie także sprawę, że rozporządzając

zdyscyplinowanym wojskiem, mam nad nimi pewną przewagę. Aby ją należycie wykorzystać, zamierzałem zwabić przybyszów, połyskującym przed oczyma klejnotem. Tym świecidełkiem był olśniewający powab Skade.

Pięćdziesięciu moich ludzi, stanowiących tymczasową załogę Godelmingum, wraz z nadejściem świtu w pośpiechu opuściło osadę, umykając przed parokrotnie liczniejszym oddziałem Duńczyków. Wycofujący się druzynnicy sforsowali bród, rozbryzgując sięgającą końskich brzuchów wodę, i przygnali do Aescengum, sznurem wjeżdżając przez jego bramę. Wkrótce potem nadciągnęli najeźdźcy i ustawili się w długim szeregu na przeciwnym brzegu rzeki, poczęli przyglądać się zatkniętym na wschodnim wale burhu wielobarwnym chorągwiom. Liczne proporce przedstawiały krzyże i wizerunki świętych, których w państwie Alfreda czczono bardzo wielu. Ponadto aby wróg nie miał wątpliwości, że król znajduje się za palisadą, przykazałem Osferthowi, by niespiesznie przechadzał się po umocnieniach, przyodziany w jaskrawy płaszcz i opaskę z lśniącego brązu na głowie.

Osferth, mój przyboczny, był nieprawym synem Alfreda, o czym mało kto wiedział, mimo iż podobieństwo syna do ojca było uderzające. Matką tego zaprzysiężonego mi młodego wojownika była dziewczka służebna, którą monarcha zbałamucił we wczesnych latach panowania, zanim jeszcze jego dusza całkowicie pogrążyła się w chrześcijańskim samoumartwieniu. Swego czasu, w przyływie szczerości, król zwierzył mi się, że z powodu spłodzenia Osfertha czeka go wieczne potępienie.

- Jego obecność przypomina mi - powiedział wtedy - w jakim żyłem grzechu.
- To musiał być przyjemny występki, panie - zażartowałem niefrasobliwie.
- Jak większość grzesznych postępów - odparł z całą powagą Alfred - do jakich przywodzi nas Antychryst

.Jakże przewrotną musi być wiara piętnująca wszelkie uciechy mianem grzechu.

Jednakowoż - dziwnym zrządzeniem losu - starzy bogowie, którzy pozostawiali nam swobodę w oddawaniu się radości, zdają się powoli popadać w niełaskę. Ludzie odwracają się od pradawnych sił, stawiając ponad nimi Chrystusa, który choć przykuty do krzyża, w jeden ręce dzierży bat, a w drugiej uzdę.

Tamtego poranka właśnie ów wiecznie przypominający władcy dawne przewiny Osferth paradował na wałach w królewskim stroju. Nie podejrzewam, by sprawiło mu to satysfakcję, gdyż nieślubny syn Alfreda żywił do ojca nieodpartą niechęć. Nie dziwiłem się temu uczuciu, gdyż monarcha zamyślał skazać owoc swego grzechu na żywot mnisi. Jednakże bękart, wymawiając rodzicielowi posłuszeństwo, porzucił habit i wystarał się o miejsce w mej straży przybocznej. Wprawdzie nie okazał się urodzonym wojownikiem, jak chociażby Finan, lecz

wyróżniał się bystrością umysłu, wielce użyteczną w czasie działań wojennych, bowiem często zmyślnością można pokonać wroga prędzej niżli długą i ostrą klingą.

Wszystkie wojny kończą się podobnie. Rozstrzyga je bezpośrednie starcie wojowników ustawionych w dwa mury tarcz. Tworzący te szyki mężczyźni są już nieźle podpici - dla dodania sobie odwagi - więc wściekle rąbią wroga toporami bądź sieką go mieczami. Mając takich zbrojnych, prawdziwa sztuka dowodzenia polega na tym, by przed ustawieniem muru tarcz zwodzić wroga tak długo, aż znajdzie się na przegranej pozycji - i dopiero wtedy rzucić się na niego z szaleńczym rykiem.

Wybieg z ukazaniem przeciwnikom przechadzającej się po umocnieniach postaci w pysznych monarszych szatach miał za zadanie przyciągnąć uwagę Haralda i podjudzić go do działania. „Gdzie bawi król - unaoczniałem przybyszom - tam spodziewać się można nie lada zdobyczy”. Chciałem w ten sposób zwabić siły Haralda do Aescengum, a żeby dolać oliwy do ognia, wystawiłem na wały także Skade. Była doskonale widoczna dla duńskiej konnicy, ustawionej w szyku na przeciwległym brzegu rzeki Wey.

Kiedy pokazałem się wraz z nią na szczycie umocnień, z początku posłano w naszym kierunku kilka strzał, lecz gdy tylko wróg rozpoznał Skade, zaprzestał beładnego ostrzału. Dunka, chociaż jej o to nie prosiłem, dopomogła mi nieświadomie, wykrzykując do swych ziomków na całe gardło:

- Przybywajcie i wybijcie psubratów co do jednego!
- Uciszę jędzę - oświadczył Steapa.
- Nie. Niech się suka wykrzyczy - powstrzymałem przyjaciela.

Skade, która udawała tylko, że nie pojmuje mowy Sasów, rzuciła mi złowrogie spojrzenie i znów odwróciła się ku rzece.

- To tchórze! - wrzasnęła. - Nikczemni sascy tchórze! Powiedzcie Haraldowi, że wyrznie ich jak owce!

Postąpiła krok naprzód i wsparła się o wieńczącą wał palisadę. Bardziej nie mogła się już oddalić, bowiem zanim pozwoliłem jej wspiąć się na umocnienia, dopilnowałem, by jeden z ludzi Steapy zarzucił jej sznur na szyję. I poleciłem mu, by ją krótko trzymał.

- Przekażcie Haraldowi, że trzymamy tu jego dziwkę! - zawołałem gromko. - A ta okrutnie pyskuje! I jeśli nie poskromi języka, urzniemy go i odeślemy waszemu jarlowi, by mógł się nim uraczyć w czas wieczerzy!

- Cuchnący capie! - warknęła i sięgnęła poza zęby ostrokołu, skąd wyrwała wbitą w pale duńską strzałę.

Steapa, niewiele myśląc, ruszył, by rozbroić dziewczynę, lecz powstrzymałem go

zdecydowanym gestem. Skade nie zwracała na nas uwagi. Ścisnęła oburącz pocisk, wbiła wzrok w jego grot, po czym gwałtownym szarpnięciem oderwała go od opierzonego drzewca. Zatrzymując tylko żelazne ostrze, resztę strzały cisnęła za umocnienia. Potem, rzuciwszy mi ponure spojrzenie, podniosła grot do ust, przymknęła powieki i pocałowała metal. Wymamrotała coś, czego nie usłyszałem. Ponownie ucałowała żelazo i szybkim ruchem wsunęła je pod tunikę, by - po chwili wahania - wbić sobie jego szpic w pierś. Wysunąwszy spod materiału okrwawiony grot, zmierzyła mnie śmiałym spojrzeniem i rzuciła ostrze wprost w wody rzeki. Wtedy wyciągnęła rozcapierzone dłonie i uniosła wzrok na błądzący błękit nieba. Wrzasnęła rozzwierając, by przyzwać bogów, a kiedy przebrzmiał jej okrzyk, zwróciła ku mnie beznamiętne oblicze.

- Zostałeś przeklęty, Uhtredzie - rzekła z chłodną obojętnością, jakby od niechcenia rzucała uwagę o czymś tak powszednim jak stan pogody.

Powstrzymałem się od odszukania dłonią wiszącego na mej szyi młota Thora, by nie wyglądało na to, że obawiam się skutków rzuconej przez nią klątwy. Aby ją w pełni przekonać, jak mało mnie to wszystko obeszło, zdobyłem się nawet na drwinę:

- Szkoda twego trudu, dziwko.

Oparłem jednak dłoń na głowicy miecza, odnajdując pod palcami wypukłość zatopionego w niej srebrnego krzyżyka. Nie, żeby ten miał dla mnie jakieś większe znaczenie ponad to, że był darem od Hildy - niegdysiejszej ukochanej, kobiety niebywale pobożnej, która została ksienią klasztoru. Czy mógłbym sądzić, że dotykając krucyfiksu, odżegnam zło tak samo, jak gdybym pochwycił młot boga gromu? Nawet jeśli tak, bogowie niechybnie byłiby innego zdania.

- Pewnego dnia, kiedy byłam małą dziewczynką - Skade ozwała się tonem przyjacielskiej pogawędki - mój ojciec stłukł matkę do nieprzytomności.

- Czyżby twoja rodzicielka była równie ujmująca jak ty? - zakpiłem.

Dunka puściła przytyk mimo uszu.

- Pogruchotał jej żebra, złamał rękę i zmiażdżył nos - ciągnęła - a później, tego samego dnia, zabrał mnie na położone wysoko pastwiska, bym pomogła mu spędzić owce do zagrody. Miałam dwanaście wiosen. Pamiętam lecące z nieba wielkie płatki śniegu i obezwładniający strach przed własnym ojcem. Chciałam zapytać, za co tak okrutnie stłukł mamę, lecz obawiałam się, że wpadnie we wściekłość i oberwę. Wreszcie sam z siebie oznajmił, że zamyśla oddać mnie za żonę swemu najbliższemu przyjacielowi, a matka jest temu przeciwna. Czułam odrazę na samą myśl o ożenku, lecz ani się tym przejął. Burknął, że wyda mnie, za kogo zechce, czy mi się to podoba, czy nie.

- Nie oczekujesz chyba, że będę płakał nad twym losem? - spytałem, gdy przerwała.

- I wtedy zepchnęłam go z urwiska - podjęła niezrażona. - Patrzyłam, jak zlatuje pośród wirujących płatków śniegu. Usłyszałam jęk, gdy odbijał się od wystających skał. A kiedy grzmotnął o ziemię na samym dole, nie ruszał się. Miał strzaskany kręgosłup - urwała i uśmiechnęła się szeroko. - Zostawiłam go tam, gdzie leżał, i zajęłam się owcami. Sprowadziłam stado w dolinę. Ojciec wciąż jęczał, więc obsikałam jego twarz. - Po tych słowach umilkła na dłuższą chwilę i patrząc mi prosto w oczy, dodała: - Ojciec był ofiarą mej pierwszej w życiu klątwy, eldormanie Uhtredzie. Później rzuciłam ich wiele. Zdejmę ciężące na tobie przekleństwo, jeśli w zamian zwrócisz mi wolność.

- Myślisz, że groźby skłonią mnie, bym wyprawił cię z powrotem do Haralda? - zapytałem ubawiony.

- Uczynisz tak - odparła z przekonaniem. - Ja to wiem.

- Odprowadzić ją - rozkazałem, gdyż zaczynała mnie już nużyć jej paplanina.

Harald przybył w samo południe. Gdy tylko doniósł mi o tym jeden z ludzi Steapy, wspiałem się na wschodnią część wału, by przekonać się, że na brzegu rzeki stanął potężny mężczyzna w asyście pięćdziesięciu jeźdźców w pełnych zbrojach. Na powiewającym nad głową wodza proporcu wymalowane były żeleźce topora, zaś wierzchołek drzewca chorągwi zwieńczono pociągniętym czerwoną farbą wilczym czerepem.

Jarl był tak rostry, że wierzchowiec, którego dosiadał, chociaż wyższy od większości koni, pod nim wydawał się mały. Wprawdzie zbytne oddalenie nie pozwalało mi dokładnie przypatrzeć się wodzowi wikingów, dostrzegłem jednak żółte, spływające na ramiona włosy i gęstą, jasną brodę. Czupryna Haralda nie nosiła znamion bitewnych przygotowań. Ogromny jeździec najpierw uważnie przyjrzał się umocnieniom Aescengum, a potem odpiął pas i rzuciwszy swe dwa miecze jednemu z ludzi, spiął konia, wprowadzając go do rzeki. Chociaż wciąż trwało lato i stojące wysoko na bezchmurnym niebie słońce zdrowo przygrzewało, zbroję Duńczyka okrywał długi płaszcz z futra czarnego niedźwiedzia, nadający jego pleczystej sylwetce nadludzkie wręcz rozmiary. Ciężkie złote ozdoby połyskiwały na nadgarstkach i szyi jarla. Ogłowie jego okazałego wierzchowca też kapało od złota. Gdy woda poczęła wlewać się wodzowi do wysokich butów, zatrzymał konia pośrodku bystrego nurtu, gdzie bez trudu mogły go dosięgnąć wypuszczone zza palisady strzały. Jednakże - widząc, jak jarl pozbywa się oręża, jednoznacznie dając do zrozumienia, że chce pertraktować - przykazałem strzelcom opuścić łuki.

Harald ściągnął hełm i powiódłszy wzrokiem po stojących na wałach wojownikach, zatrzymał spojrzenie na Osfercie. Jarl, który nigdy wcześniej nie widział władcy Sasów,

mylnie uznał, iż ma przed sobą samego monarchę.

- Alfredzie! - zakrzyknął.

- Król nie rozmawia ze zbójcami - zawołałem w odpowiedzi.

Przywódca wikingów wyszczerzył zęby. Z jego twarzy - szerokiej jak łopata do jęczmienia, a ozdobionej spłaszczonym i pokrzywionym nosem - wyglądały dzikie, nieufne oczy wilka.

- Tyś jest Uhtred Wypierdson? - zagadnął na powitanie.

- A ty, ani chybi, osławiony Harald Trzęsidupa - odwzajemniłem obelgę.

Zmierzył mnie spojrzeniem. Dopiero teraz, kiedy się nieco przybliżył, dostrzegłem, że jego słomianożółte włosy i broda układają się w pozlepiane błotem, oślizgłe strąki, plugawym kudły zagrzebanego w gnoju umarlaka. Rzeka toczyła swe wody, burząc się wokół stojącego w poprzek jej biegu wierzchowca wodza najeźdźców.

- Przekaż królowi, że oszczędzi sobie wiele trudu - zawołał Duńczyk - jeśli od razu zrzeknie się tronu.

- Władca zaprasza cię, byś przybył i sam go sobie wziął! - zakrzyknąłem.

- Najpierw jednak - jarl pochylił się lekko i poklepał konia po szyi - zwróćcie mi moją własność.

- Nie mamy nic, co mogłoby do ciebie należeć - odparłem.

- Skade - rzucił.

- A jaka ona twoja? - zapytałem z udanym zdumieniem. - Toż ta dziwka służy temu, kto jej płaci.

W jego oczach pojawił się nienawistny błysk.

- Jeśli ją tknąłeś - ryknął, grożąc mi palcem dłoni w skórzanej rękawicy - albo pozwoliłeś na to któremuś ze swoich ludzi, klnę się na klejnoty Thora, że sprawię, byście zdychali z wrzaskiem zdolnym obudzić umarłych w krainie wiecznego lodu.

„A jednak okazał się zapalczywym tępakiem” - pomyślałem. Na jego miejscu każdy trzeźwo myślący mężczyzna, zamiast zdradzać, jak zależy mu na pojmanej, udawałby, iż ta niewiele go obchodzi. Harald zaś od razu ukazał nam swą słabość.

- Chcę ją zobaczyć! - zażądał.

Zwlekałem z odpowiedzią, jakbym się namyślał, choć życzenie to było mi jak najbardziej po myśli. W końcu rozkazałem dwóm spośród ludzi Steapy, by przyprowadzili Skade. Dunka pojawiła się na wałach, wprawdzie z hańbiącą pętlącą na szyi, lecz jej uroda i niewzruszona godność sprawiały, iż bijący od niej blask przyćmiewał wszystko wokół. Dumna niewiasta wydała mi się podobna do królowej bardziej niż jakakolwiek inna z kobiet, które dane mi było

ujrzeć. Wychylając się zza ostrokołu, uśmiechnęła się na widok Haralda, który trąciwszy konia piętami, przybliżył się o kolejne parę kroków.

- Czy nikt cię nie zhańbił?! - zawołał.

Wiedźma rzuciła mi kpiące spojrzenie.

- Nie poważyli się, mój panie.

- Przysięgnij mi, że to prawda! - krzyknął desperacko.

- Przysięgam - ozwała się głosem pełnym pieszczoty.

Jarl obrócił wierzchowca pyskiem w górę rzeki i wycelował we mnie dłoń w rękawicy.

- Wystawiłeś jej nagość na wzrok ludzki, Uhtredzie Wypierdsonie! - ryknął.

- Jeśli chcesz, mogę to zaraz powtórzyć - zadrwiłem.

- Odplacę ci za to, wyłupiając twe plugawe oczy - obwieścił, prowokując tym Skade do śmiechu. - A teraz uwolnij ją - ciągnął - a ujdiesz z życiem! Oślepię cię tylko i nagiego, ze sznurem na szyi, będę prowadził po świecie, wystawiając na widok gawiedzi.

- Skamlesz jak szczenię - odparowałem.

- Zdejmij jej pęta - nakazał gniewnie - i zwróć jej wolność, ale już!

- Zamiast ujadać tam z dołu, przyjdź i sam ją sobie weź, pętaku! - odkrzyknąłem. Radość rozpieła moją pierś, gdyż upór Haralda potwierdzał szerzące się o nim pogłoski. Wszystko wskazywało na to, że ta kobieta znaczyła dla niego więcej niż Wessex i wszystkie jego bogactwa. Pamiętam, jaką uciechę sprawiła mi myśl, że zdołałem podprowadzić go tam, gdzie chciałem. Sądziłem, iż - tak jak jego ukochaną - mam go na smyczy. Wtedy jarl obrócił konia i zwracając się ku zbierającym się za rzeką Duńczykom, wykonał przywołujący gest.

Z gąszczu porastających przeciwny brzeg Wey wyprowadzono kolumnę kobiet i dzieci. Jeńcy pojmani na naszych ziemiach szli spętani długim sznurem. W pogoni za zdobyczą ludzie Haralda przeczesali zapewne cały wschodni Wessex, wyłapując przy tym kobiety i dziatwę, by nacieszywszy się nimi do woli, załadować nieszczęśników na statki i sprzedać na targach niewolników w kraju Franków.

Kobiety, połączone powrozami ze swymi pociechami, zagnano na brzeg rzeki, gdzie na rozkaz Haralda zmuszono je do uklęknienia przodem do nas. Najmłodsza dziewczynka, nie większa od mej ukochanej Stiorry, wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Maleństwo ujrzało pana mieczy w glorii chwały, a ja - rozpaczliwe, ściskające za serce spojrzenie biedactwa. Wryło mi się w pamięć.

- Zaczynajcie - jarl zawołał do swoich ludzi.

Jeden z wojowników, szczerzący się głupawo osiłek, który mógłby powalać byki gołymi rękami, stanął za plecami kobiety. Uniósł brodaty topór na długim trzonku, wychylił go daleko

za głowę, zamachnął się i rozłupał nie tylko czaszkę klęczącej, ale niemal rozrąbał na dwoje całe jej ciało. Suchy trzask kości dał się słyszeć wśród nagłej ciszy, zakłócaney jedynie przez szum rzeki. Krew bluznęła spod ciężkiego żelźca topora. Czerwone krople prysnęły na wysokość głowy siedzącego na koniu Haralda.

- Raz! - zawołał jarl i dał znak osiłkowi obryzganemu krwią ofiary. Oprawca postąpił krok w lewo, stając za szlochającą dziewczynką, przerażoną kaźnią matki. Wojownik uniósł broń do kolejnego ciosu.

- Wolnego! - wykrzyknąłem.

Wódz wikingów uniósł rękę, a siłacz zamarł z toporem nad głową.

- Mówiłeś coś, eldormanie Uhtredzie? - zapytał jarl, uśmiechając się szyderczo.

Milczałem, zapatrzony w ciemną smugę krwi, unoszoną w dół rzeki i szybko rozpraszającą się w przejrzystej wodzie. Pomocnik kata odciął sznur łączący dziewczynkę ze zwłokami rodzicielki i kopnięciem bezceremonialnie strącił rozplątane ciało do rzeki.

- Słucham cię, eldormanie Uhtredzie, niech usłyszę, co ci leży na sercu - zachęcał mnie wódz wrogów z nieprzystającą do własnych czynów ogładą.

Na brzegu rzeki Wey, klęcząc, czekało jeszcze przeszło trzydzieścioro niewolnych i gdybym nie zaprotestował, saskie niewiasty zostałyby stracone wraz z dziatwą.

- Uwolnić ją - rozkazałem z cicha.

Moi ludzie przecięli linę zakończoną pętlą na szyi Skade.

- Odejdź - powiedziałem.

Życzyłem jej w duchu, by - skacząc ze zrębu palisady - połamała sobie nogi, lecz Dunka wylądowała zgrabnie niczym kotka, pokonała stromiznę suchej fosy i sprężystym krokiem ruszyła ku rzece. Harald wyjechał po nią na płytką wodę i podał kochance rękę. Wiedźma ją schwyciła, wskoczyła na grzbiet wierzchowca za plecami mężczyzny, po czym obejrzała się i zawołała z uśmiechem:

- Zostałeś przeklęty, eldormanie Uhtredzie!

Harald spiął wierzchowca i powiódł go na przeciwległy brzeg, gdzie połączone powrozem kobiety i dzieci pędzono już z powrotem do lasu.

Wódz wikingów odzyskał to, co było mu tak drogie.

Lecz Skade chciała czegoś więcej - pragnęła zostać królową - a zadurzony w niej jarl poprzysiął, że pozbawi mnie wzroku.

- I co teraz? - usłyszałem chrypliwy pomruk Steapy.

- Poślemy bękarta na tamten świat - odburknąłem.

Na karku poczułem dotknięcie klątwy, zimne jak cień w upalne popołudnie.

Po zapadnięciu zmroku obserwowałem ognie nieprzyjacielskich obozów. Nie skupiałem się jednak na znajdującym się bliżej skupisku świateł - tworzącym łunę nad Godelmingum - lecz na migoczących w oddali ognikach. Im dalej sięgałem wzrokiem, tym były mniej liczne, a niebo ciemniejsze. Czyli drużyny Haralda, dotąd rozproszone na rozległych połaciach wschodniego Wessexu, przybliżyły się do nas wyraźnie i skupiły, co mogło oznaczać tylko jedno - jarl zwoływał armię. Najpewniej liczył na to, że siły Alfreda pozostaną za umocnieniami Aescengum. Jak podejrzewałem, skrzykiwał ludzi nie po to, by nas oblegać, ale raczej, by przypuścić nagły i niespodziany szturm na główną królewską siedzibę, Wintanceaster.

Wprawdzie pojedyncze grupy duńskich jeźdźców sforsowały bród na Wey i okrażały burh, lecz zdecydowana większość wrogich wojsk pozostała na drugim brzegu rzeki. Wikingowie postępowali zgodnie z moimi przewidywaniami, lecz w moim sercu zapanował mrok i musiałem się pilnować, by nie zdradzić się przed otoczeniem ze swymi obawami.

- Jutro, panie - zwróciłem się do Edwarda, syna Alfreda - nieprzyjaciel przekroczy rzekę w pościgu za mną i moimi ludźmi. Pozwolicie im spokojnie ominąć burh, a odczekawszy pełną godzinę, ruszycie ich śladem.

- Pojmuję - z przejęciem odrzekł aetheling.

- Macie deptać im po piętach - podjąłem - lecz tak, by nie doszło do walk, póki nie dotrzecie pod Fearnhamme.

Steapa zmarszczył brwi.

- A jeśli tamci zwrócą się przeciwko nam? - spytał ponad ramieniem Edwarda.

- Nie dojdzie do tego - orzekłem. - Jeśli dacie przejść armii Haralda i ruszycie godzinę później, dopędzicie ich dopiero pod Fearnhamme.

Te rozkazy z pozoru wydawały się jasne, obawiałem się jednak, że jak zwykle w podobnych przypadkach pojawią się nieuniknione trudności. Byłem wprawdzie przekonany, że większa część nieprzyjacielskich sił przewali się gwałtowną falą przez rzekę, rzucając się za nami w pogoń, jednakże należało się przecież spodziewać maruderów, ciągnących za trzonem wikińskiej armii. Musiałem zdać się w tym na Edwarda - do niego miał należeć osąd, kiedy nadejdzie właściwy czas, by ruszyć w ślad za Haraldem. Podjęcie takiej decyzji mogło sprawić młodzieńcowi kłopot, ale pocieszałem się, że w razie czego dopomoże mu w tym Steapa. Zwalisty Sas - mimo iż ongiś nadano mu przydomek Roztropny - bezwzględnie nie należał do najbystrzejszych, ale jak mało kto znał swoje krwawe rzemiosło, dlatego wiedziałem, że mogę polegać na jego intuicji wytrawnego wojownika.

- Pod Fearnhamme... - podjął Edward niepewnie, lecz urwał w pół zdania.

Wyglądający zza postrzępionych chmur półksiężyc oświetlił bladawe, pełne niepokoju oblicze młodzieńca podobnego do ojca jak dwie krople wody. Na twarzy chłopaka znać było dręczącą go niepewność, co mnie wcale nie zaskoczyło, gdyż na barkach siedemnastolatka spoczął nagle ciężar prawdziwie męskich obowiązków. Aetheling mógł wprawdzie liczyć na wsparcie Steapy, ale jeśli miał władać królestwem, musiał posiadać niełatwą umiejętność samodzielnego podejmowania ważkich decyzji.

- Zobaczysz, wszystko pójdzie gładko - rzuciłem lekko. - Będę na was czekał z Mercjanami na obwiedzionym wałami wzgórzu na północ od rzeki. Harald i jego ludzie sforsują bród z zamiarem przypuszczenia na nas szturmu. Wtedy ruszycie do natarcia, szarpiąc ich tyły, a my zaatakujemy ich od czoła.

- Gładko? - z niejakim rozbawieniem powtórzył Steapa.

- Pochwyciwszy wroga w kleszcze, zmiążdżymy go - odrzekłem.

- Z bożą pomocą - z nagłą stanowczością dopowiedział Edward.

- A nawet i bez niej - odparowałem gniewnie.

Królewski syn począł zasypywać mnie pytaniami. Dopiero kiedy ozwały się dzwony, zaprzestał dociekań i pospieszył do kościoła. Podobnie jak jego ojciec pragnął ogarnąć rozumem każdą możliwość, by zawczasu wszystko starannie poukładać sobie w głowie. Tyle że wojna oznacza niewiadomą i nie na wiele się tu zdaje zbytnia skrupulatność. Byłem przeświadczony, że Harald w ślad za mną pociągnie do Fearnhamme. Nie wątpiłem też, że Steapa, depcząc Duńczykom po piętach, przywiedzie na pole bitwy główne siły Alfreda. Ale jaką miałem dać Edwardowi rękojmię, że moje przewidywania okażą się słuszne? Młodzik chciał zapewnień, których nie mogłem mu udzielić, bowiem niepodobna wszystkiego przewidzieć, gdy toczy się bój. Toteż odetchnąłem głęboko, gdy niestrudzony w pytaniach chłopak nareszcie się oddalił, by modlić się u ojcowskiego boku.

Wielki Sas również poszedł w swoją stronę, pozostawiając mnie własnym myślom. Krążący po wałach wartownicy także trzymali się z daleka, sobie tylko wiadomym sposobem odgadując, iż nie jestem usposobiony do pogawędek. I kiedy wsparty o bale palisady rozmyślałem w samotności, dosłyszałem zbliżający się odgłos kroków. Nie odwróciłem się, mając nadzieję, że ktokolwiek to jest, pójdzie dalej.

- Eldorman Uhtred, jeśli mnie wzrok nie myli - usłyszałem czyjś kpiący głos.

- Pani Aethelflaed - odrzekłem, ale się nie odwróciłem.

Córka Alfreda podeszła i oparła się o ostrokół tuż koło mnie, tak iż zetknęły się poły naszych płaszczy.

- Jakże się miewa Gisela?

Odszukawszy dłonią młot Thora, odparłem:

- Lada dzień legnie w połogu.

- To będzie wasz czwarty potomek?

- Tak. - W duchu posłałem do krainy bogów błagalne wołanie, by żona znalazła siły na kolejny poród. - A co u Aelfwynn? - zapytałem o córkę Aethelflaed, właściwie jeszcze oseska.

- Ma się doskonale.

- Wciąż jest jedynaczką?

- I pozostanie nią na zawsze - odpowiedziała znacząco. Słyszac przepojone goryczą słowa, spojrzałem na przyjaciółkę kątem oka i przypatrzyłem się jej delikatnemu, oblanemu łagodnym księżycowym blaskiem licu. Znałem ją, odkąd tylko chodziła po ziemi, i pamiętałem z czasów, kiedy płaszała beztrosko pod okiem opiekunki. Ta niegdyś najradośniejsza z pociech Alfreda wydała mi się naraz pełna rezerwy i chłodu. Jej rysy były ściągnięte jak u kogoś, kto nie może się otrząsnąć ze złego snu.

- Ojciec gniewa się na ciebie - stwierdziła beznamiętnie.

- To chyba nic nowego?

Na jej obliczu zawitał nikły uśmiech, ale zaraz umknął.

- Zależy mu, byś poprzysiągł służbę Edwardowi.

- Wiem, sam mi o tym mówił.

- Dlaczego zatem nie chcesz uczynić zadość jego woli?

- Albowiem nie przysięgałem mu służyć po kres mych dni. Tylko niewolni są dobrem dziedziczonym z ojca na syna.

- Zaiste - parsknęła szyderczo. - Czyli nie pozwolisz sobą powodować jak, nie przymierzając, baba?

- Od dawna noszę się z zamiarem wyruszenia z bliskimi na północ - wyjaśniłem.

- Wszystko bardzo ładnie, ale jeśli mój ojciec... - urwała i po namyśle podjęła: - ...kiedy mój ojciec umrze, co stanie się z Wessexem?

- Rządy obejmie Edward.

- A jak sprosta wrogom bez twojej pomocy? - zapytała, a ja w odpowiedzi wzruszyłem ramionami. - Tak długo, jak ty prowadzisz Zachodnich Sasów, erlu Uhtredzie - ciągnęła - Duńczycy będą się trzymać z dala od Wessexu.

- Moja sława nie powstrzymała jakoś Haralda - zauważyłem trzeźwo.

- Toż to dureń - orzekła z pogardą. - Poślesz go w zaświaty przed jutrzejszym zachodem słońca.

- Jeśli taka będzie wola bogów - odparłem powściągliwie.

Szum ożywionych głosów zwrócił uwagę Aethelflaed. Odwróciła się, by spojrzeć na wysypującą się na dziedziniec kościoła ciżbę.

- Mój małżonek - rzekła, wymawiając te słowa z uchwytną odrazą - jak zapewne ci wiadomo, pchnął posłańca z rozkazami dla erla Aldhelma.

- Aldhelm dowodzi armią Mercji?

Królewska córka przytaknęła.

Znałem tego mercyjskiego pana, najbliższego zauszniaka eldormana Aethelreda, człeka o niepohamowanych ambicjach i byстрыm umyśle.

- A zatem twój mąż przykazał Aldhelmowi, by ten chyżo poprowadził ludzi do Fearnhamme?

- I owszem - odpowiedziała sucho, po czym nabrzmiałym emocją półszepetem dopowiedziała: - Ponadto skreślił jeszcze parę słów, w których przestrzegł Aldhelma, by wycofał swych ludzi, w razie gdyby ten uznał siły wroga za nazbyt potężne.

Liczyłem się z czymś podobnym.

- Czyli Aldhelm ma zadbać, by mercyjska straż zbyt nie wykrwawiła?

- Aethelredowi potrzebni są wojownicy. Bez nich trudno będzie mu zająć tron po tym, jak mój ojciec przeniesie się na tamten świat - orzekła słodkim głosem niewiniątka.

Zdumiony, zerknąłem na nią z ukosa. Aethelflaed wpatrywała się w skupisko ognisk rozświecających Godelmingum.

- Sądzisz, że Aldhelm opuści mnie w potrzebie?

- Tak, jeśli uzna, że walka znacznie osłabi jego armię.

- Będę zatem zmuszony zadbać, by erl Aldhelm czynił to, co powinien.

- Wątpię, by cię posłuchał. W razie czego wytknie ci, że nie masz nad nim żadnej władzy.

Położyłem dłoń na głowni Oddechu Węża.

- Mam coś, co go przekona.

- A on pięciuset ludzi pod bokiem - odrzekła rzeczowo. - Jest jednak ktoś, kogo posłucha.

- Ty? - domyśliłem się.

- Dlatego jutro pojedę z tobą - oświadczyła.

- Twój mąż nigdy na to nie przystanie - odparłem.

- istotnie, toteż go o tym nie powiadomię. Wyświadcz mi tę przysługę i także trzymaj język za zębami, erlu Uhtredzie.

- Zawsze do usług, moja pani. - Skłoniłem się dwornie.

- Czyżby? - spytała, podnosząc na mnie wzrok. Jej oblicze - urocze, mimo widocznego na nim smutku - potwierdzało powagę postawionego pytania.

- Tak, moja pani - potwierdziłem ze spokojem.

- Skoro tak - odpowiedziała z niespodzianą zawziętością - nie oszczędzaj jutro wrogów. Wyłucz Duńczyków do ostatniego. Uczyn to dla mnie, erlu Uhtredzie - poprosiła, muskając palcami moją prawicę. - Wygnieć ich jak gnidy.

Niegdyś Aethelflaed - z miłości do pewnego Duńczyka - gotowa była rzucić wszystko i uczyniłaby to, lecz jej luby poległ, cięty mieczem w bratobójczej walce. Od tamtego czasu jednak wiele się zmieniło i teraz chciała widzieć martwymi wszystkich ludzi Północy, jacy najechali saskie ziemie.

Wśród korzeni Yggdrasila, Drzewa Życia, zasiadają trzy Przędki¹⁴, splatając nici ludzkiego żywota. I chociaż dla Aethelflaed usnuły materię z najczystszego złota, to w tamtych dniach poprzetykały ją o wiele ciemniejszym wątkiem. Przędki rozstrzygają o naszym losie. A bogowie - w swej wspaniałomyślności - sprawiają, iż wyroki przeznaczenia do ostatniej chwili pozostają dla nas tajemnicą. Dlatego nigdy nie wiemy, dokąd wiedzie utkana dla nas nić.

Z oddali dobiegały mnie strzępy gromkich pieśni śpiewanych przez obozujących za rzeką Duńczyków.

Słuchając ich, przemyślałem, jak zwabić całą tę hałaśliwą bandę pod górującą nad rzeką Wey warownię dawnych ludzi.

I do szczętu wygubić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Był czwartek, czyli dzień Thora¹⁵, co uznałem za szczęśliwy znak. Swego czasu Alfredowi marzyło się, by ochrzcić dni tygodnia na własną modłę. *Thursday* chciał przemianować na *Maryday*, a może *Haligastday*¹⁶, już nie pomnę. Tak czy inaczej, ów szczególny zamysł zniknął niczym rosa w jasny, letni poranek. Czy się to królowi podobało, czy nie, chrześcijańscy mieszkańcy Wessexu wciąż nazywali dni, nadając im imiona prastarych bogów: Tyra, Odyna, Thora i Frigg¹⁷.

A zatem nastał dzień Thora, ja zaś szykowałem się, by poprowadzić jezdnych pod Fearnhamme. Zanim jeszcze na niebie ukazała się słoneczna tarcza, na długiej ulicy burhu ponad sześciuset mężczyzn zaczęło uwijać się w gorączkowych przygotowaniach. Panował rejwach i zamęt. Ostrzono miecze. Gdzieniegdzie pękały podciągane puśliska i zdesperowani wojownicy w pośpiechu szukali zapasowych. Dzieciarnia, znajdując uciechę w powszechnym zamieszaniu, urządziła gonitwy pod końskimi brzuchami. Gotowano strawę. Wydobywający się z otworów w dachach chałup dym, snuł się gęstym tumanem pomiędzy chatami. Dzwony podzwaniały, a mnisi - jak to mnisi - zawodzili monotonne pieśni. Ja zaś stałem na wałach i wpatrywałem się w przeciwległy brzeg Wey.

Duńczycy, którzy poprzedniego dnia wypuszczali oddziały objeżdżające gród, przed zapadnięciem zmroku wycofali się za rzekę. Ponad wierzchołkami drzew snuły się smużki dymu z ognisk, lecz jedynymi widocznymi nieprzyjaciółmi byli dwaj wartownicy kucający tuż za wodą. Przyszło mi na myśl, by nie dbając o starannie ułożony plan, powieść sześciuset ludzi, sforsować dzielący nas bród i napaść na obóz Haralda - lecz oparłem się tej przelotnej pokusie. Przypuszczałem, iż tron duńskich sił stoi w Godelmingum, a więc zanim uderzylibyśmy na najbliższe wrogie obozowisko, tamci byłiby już na nogach. Gdybym w takiej sytuacji związał swoją konnicę w walce z czołowym oddziałem wroga, wprawdzie z początku uzyskałbym powodzenie, ale Duńczycy w końcu zmiarkowaliby, że dysponują miażdżącą przewagą i w końcu rozszarpałoby nas na strzępy. A przecież zobowiązałem się przed Aethelfaedą, że zniszczę armię Haralda.

Wstępne działania podjąłem, gdy tylko się rozwidniło, robiąc przy tym możliwie dużo hałasu. Najpierw kazałem zadać w rogi, a potem otworzyć północne wierzeje Aescengum, przez które wyjechało sznurem czterystu wojowników. Pierwsi ustawiali się na nadrzecznych błoniach, doskonale widoczni dla nieprzyjaciela, i oczekiwali, aż dołączą do nich pozostali. Kiedy szyk został utworzony, cały zastęp spał wierzchowce i żwawo ruszył na zachód, rychło

znikając w lesie. Kierunek, który obrali, sugerował, iż udają się wprost ku wiodącemu do Wintanceasteru gościńcowi. Trwałem na wałach, skąd obserwowałem gromadzących się za wstęgą Wey wrogów. A ci z zaferowaniem przyglądali się urządzonemu na ich użytek zgiełkliwemu przedstawieniu. Mogłem być pewien, że do Haralda pogalopowali posłańcy z wieścią o ucieczce saskich wojsk.

Była to, rzecz jasna, jedynie gra pozorów, bowiem konny oddział po tym, jak się skrył w leśnej gęstwinie, zawrócił ku Aescengum i wjechał do niego na powrót, korzystając z niewidocznej dla nieprzyjaciół zachodniej bramy. Dopiero wtedy udałem się na główną ulicę burhu i przysposobiony do boju - w pełnej zbroi, pod bronią i ze złotymi pierścieniami na ramionach - wspiąłem się na grzbiet swego wierzchowca. W drzwiach kościoła ukazał się Alfred. Wychodząc z pogrążonej w mroku świątyni, zmrużył oczy i popatrzył w wyglądające znad palisady, nisko wiszące słońce. Na moje słowa powitania odpowiedział skinieniem siwej głowy. Za to mój kuzyn nie żałował głosu, próbując dowiedzieć się, gdzie podziewa się jego małżonka. Pieklił się dłuższą chwilę, póki nie zjawił się pacholek, który zawiadomił wodza Mercjan, iż Aethelflaed udała się do żeńskiego klasztoru, by oddać się modłom. Najwyraźniej uspokojony takim stanem rzeczy Aethelred zwrócił się do mnie, obwieszczając uroczyście, że mercyjska armia będzie na mnie czekać w Fearnhamme.

- Aldhelm to dzielny wojownik - dorzucił na cały głos - i skory do bitwy.

- Rad jestem to słyszeć - odparłem przyjaźnie, choć wiedziałem, że krewniak kłamie, przekonując mnie o wielkiej chęci swego zauszniaka do bitwy. Wiedziałem przecież, że wydał mu sekretne rozkazy, zalecające, by dowódca mercyjskich sił dał znak do odwrotu i chyżo umknął na północ, jeśli tylko uzna, iż nie warto zbytnio nadstawiać karku, stając przeciwko przeważającemu wrogowi. Posunąłem się jeszcze dalej w zwodzeniu kuzyna: wyciągnąłem do łgarza prawicę. - Wspólnymi siłami odniesiemy wspaniałe zwycięstwo, eldormanie Aethelredzie - rzekłem serdecznie, podchwytyjąc jego podniosły ton.

Pan Mercji wydawał się szczerze zdumiony tym, że podaję mu dłoń, pomimo to ją uścisnął.

- Za boskim wspomóżeniem, kuzynie - rzucił - za boskim wspomóżeniem.

- Pomodlę się w tej intencji - dorzuciłem, może cokolwiek przebierając miarę, gdyż Alfred począł mi się podejrzliwie przyglądać. Na jego krzywe spojrzenie odpowiedziałem pogodnym uśmiechem. - Wydadaj rozkaz do wymarszu, gdy uznasz, iż nadszedł po temu czas - zakrzyknąłem do Edwarda, dodając jeszcze: - I zawsze stosuj się do rad eldormana Aethelreda.

Młodzieniec nie bardzo wiedział, jak ma potraktować me sprzeczne wskazówki. Widziałem, że spogląda ku ojcu, u niego szukając pomocy.

- Uczynię, jak radzisz, eldormanie Uhtredzie - odrzekł wreszcie, nie doczekawszy się

królewskiego wsparcia. - I niechże cię Bóg prowadzi!

Nie wiem, czy towarzyszył mi chrześcijański bóg, ale wiem, że na pewno nie było ze mną kuzyna. Przypuszczałem, że uznał za właściwsze walczyć w szeregach Zachodnich Sasów, czyli w zastępie Edwarda, i uczestniczyć w przynoszącym większą chwałę zamknięciu ludzi Haralda w pułapce. Sądził zapewne, iż jako przywódca - rzecz jasna, obok Edwarda - miażdżącego wikińską hordę stalowego młota, będzie miał możność przypisywania sobie większych zasług. A takiej szansy by nie miał, gdyby stanął na czele podległych mi Mercjan, przyjmujących pierwsze nieprzyjacielskie uderzenie. Widząc zatem, że krewniak zasili swoją osobą zastęp Edwarda i dzięki temu nie będzie wchodził mi w drogę, poczułem niezmierną ulgę. Zresztą powinienem był od razu zgadnąć, że Aethelred nie ruszy ze mną - dzięki temu, w razie gdyby Aldhelm rzeczywiście zdecydował się na odwrót, mógł wyłgać się od winy, przerzucając zdradę na swego wodza. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, iż chytry lis kierował się jeszcze innymi, głębszymi pobudkami. Wprawdzie Alfred wyraził wolę, by po jego śmierci miejsce na tronie zajął Edward, lecz po zgonie panującego rada witanu¹⁸ mogła się temu sprzeciwić, obierając bardziej doświadczonego i starszego członka rodu królewskiego, czyli Aethelreda. Z tego wszystkiego domyślałem się, że kuzyn, dbając o swe dobre imię, tak ważne dla przyszłego władcy, wolał dołączyć do sił Zachodnich Sasów, niż poprowadzić własnych ludzi. A mnie było to tylko na rękę.

Wsunąwszy na głowę hełm zwieńczony figurką głowy wilka, trąciłem Smocę piętami i podjechałem do Steapy. Zwalisty wojownik, także już w zbroi, z ponurą miną stał u wrót kuźni, z której przez półotwarte wierzeje wydobywał się swąd węgla drzewnego. Pochyliłem się i pacnąłem przyjaciela w dzwon hełmu.

- Wiesz, co do ciebie należy? - bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

- Powtórz mi to raz jeszcze - olbrzym wydał z siebie głęboki pomruk - a wydrę z ciebie wątrobę, ugotuję ją w kotle i zeżrę.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- Widzimy się pod wieczór - rzekłem.

Wprawdzie starałem się zachować pozory - traktując Edwarda jak przywódcę Zachodnich Sasów, a także z udawanym szacunkiem odnosząc się do Aethelreda, jego głównego doradcy - jednakże tylko udział Steapy w podstępie pozwalał mi wierzyć, że tego dnia wszystko potoczy się po mojej myśli. Chciałem, by to on zdecydował, kiedy nastąpi właściwy moment, by siedmuset wojowników opuściło Aescengum, wyruszając w pogoń za ludźmi Haralda. Gdyby pospieszono się z tą decyzją, wódz wikingów mógłby zawrócić i porządzić Sasów na krwawe plastry. Z drugiej strony, gdyby ludzie Edwarda przybyli do Fearnhamme zbyt późno,

oznaczałoby to zgubę dla kilkuset moich ludzi broniących tamtejszego wzgórza.

- Czeka nas dziś wielkie zwycięstwo - powiedziałem Steapie na odjeźdźnym.

- Jeśli taka jest wola Boga, panie - odrzekł.

- Jeśli taka jest twoja i moja wola - odparłem z mocą.

Pochyliłem się, by podjąć ciężką lipową tarczę z rąk służebnego, zarzuciłem ją sobie na plecy i spiąłem Smocę do kłusa, kierując się ku bramie północnej, przy której czekał przygotowany do wyjazdu pstrokaty, zaprzężony w szóstkę koni wóz Alfreda. Kazałem użyć konnego zaprzęgu, gdyż woły ciągnące wcześniej ten pojazd byłyby zbyt wolne w czekającym nas zadaniu. Osferth, o twarzy wykrzywionej nieszczęśliwą miną, wsiadł do powozu, w którym miał jechać samotnie. Ramiona królewskiego bękarta okrywał jasnoblękitny płaszcz, a głowę zdobił diadem z wypolerowanego do połysku brązu. Zastosowaliśmy te wabiki, gdyż zamorscy zbójcy nie mogli wiedzieć, że Alfred unikał obnoszenia się z atrybutami władzy. Duńczycy mieli już z daleka ujrzeć „monarchę” w pełnej krasie - czyli takim, jakim go sobie wyobrażali.

Ponadto przekonałem opata Oslaca, by dla dobra sprawy poświęcił dwa najmniej cenne relikwiarze z miejscowego klasztoru. Pierwszym była skrzynka ze srebra, wysadzana bursztynem i gagatem tak przemyślnie, że na zdobionych ściankach widniały wizerunki świętych. Spoczywające w środku kości palców nóg świętego Cedda¹⁹ opat zastąpił garstką zwyczajnych kamyków. Otoczaki miały wprawić w zdumienie Duńczyków, którym - zgodnie z moimi zamysłami - musiał wpaść w ręce królewski wóz. Drugi relikwiarz, także srebrny, zawierał gołębie pióro, gdyż każdy, kto słyszał cokolwiek o królu Zachodnich Sasów, wiedział, że władca - udając się w drogę - nigdy nie rozstaje się z lotką ze skrzydła ptaka, którego chrześcijański praojciec Noe wypuścił w świat ze swej arki.

Wewnątrz barwnej fury kazałem postawić także okutą żelazem drewnianą skrzynię, w połowie wypełnioną srebrem. Liczyłem się z tym, że mogę ją utracić, lecz wygrana bitwa wynagrodziłaby mi to z nawiązką. Przeor Oslac - pod którego mnisimi szatami połyskiwała wypolerowana kolczuga - stawił się u bram, jako że uległem jego błaganiom i pozwoliłem mu dołączyć do mnie i moich wojowników. Przez lewe ramię postawnego opata przewieszane były pętlice tarczy. Na jego szerokich plecach ujrzałem olbrzymi wojenny topór.

- Zdaje się być wysłużony - rzekłem na przywitanie, przyjrzawszy się poznaczonemu szczerbami brodatemu ostrzu.

- A to dlatego, eldormanie Uhtredzie, że wielu pogan, posmakowawszy tego żelaza, trafiło do piekieł - z promiennym uśmiechem odparł zakonnik.

Wyszczerywszy się do śmiałego mnicha, wbiłem pięty w boki wierzchowca i

podjechałem do stojącego na uboczu ojca Beocci - mego starego, wiernego przyjaciela - który, jak zgadywałem, chciał udzielić nam błogosławieństwa.

- Niech was Bóg prowadzi - przywitał mnie zacny ksiądz.

Uśmiechnąłem się do zadartej ku mnie, okolonej siwizną twarzą o rozbieganych oczach. Beocca miał nie tylko zeza, ale też zniekształconą stopę i częściowo niewładną jedną stronę ciała. Ten niegrzeszący urodą sędziwy kleryk był najserdeczniejszą duszą, jaką dane było mi poznać, choć miał w zwyczaju rugać mnie za niepoprawne, jak to ujmował, postępowanie.

- Módl się za mnie, ojcze - poprosiłem na poły żartobliwie.

- Nigdy nie ustaję w modłach w tejże intencji - odrzekł z powagą.

- I powstrzymaj Edwarda przed nazbyt wczesnym pościgiem! Zaufaj osądowi Steapy! Niech nie zwiedzie cię jego oblicze kapuścianego głąba. To wielki wojownik, zapewniam cię. Na wojaczce zna się jak mało kto!

- Będę prosił Boga, aby pozwolił im dokonać mądrego i zgodnego wyboru - zapewnił mój opiekun z dzieciństwa, po czym powoli uniósł władną rękę i ujmując mą obleczone w rękawicę dłoń, zapytał: - Jakże się miewa Gisela?

- Spodziewa się dziecka. A Thyra?

Twarz pocziwego księdza rozpromieniła się żarem tak nagłym, jak zajmująca się płomieniem smolna żagiew. Ten nickszemnej urody, niedołączny człek, wytykany palcami przez ulicznych łobuzów, miał szczęście poślubić olśniewającej urody Dunkę.

- Bóg hołubi ją w swych kochających dłoniach - powiedział. - To istna perła!

- Podobnie jak i ty, ojcze - rzekłem serdecznie i z szelmowskim uśmiechem zmierzwiłem jego białe włosy.

Finan zbliżył się, zatrzymując wierzchowca łeb w łeb ze Smocą.

- Wszystko gotowe, panie.

- Rozewrzeć wrota! - zakrzyknąłem.

Najpierw pod łukiem bramnym przetoczył się ciągnięty przez sześciokonny zaprzęg królewski wóz. Wieńczące go proporce załopotwały, gdy ogromne koliska zachybotwały się na koleinach. Zostawiając słońce za plecami, w ślad za pstrokatą furą wyjechali dwójkami wojownicy w lśniących zbrojach. Nad naszymi głowami powiewały sztandary. Odjazd obwieszczał rozgłośny dźwięk trąb. Duńczycy ujrzeni mający służyć za wabik barwny zaprzęg, a potem ciągnącą za nim drużynę.

Rozpoczęły się łowy.

Wóz niemrawo posuwał się wiejską drogą, łączącą się z wiodącym do Wintanceasteru traktem. Gdyby Duńczycy wykazali się przenikliwością, zastanowiłoby ich może, dlaczego

wycofujący się do stolicy król wyjeżdżał z Aescengum przez bramę północną, a nie zachodnią, z której prowadził bezpośredni szlak do gościńca. Lecz nieszczególnie mnie to trapiło, wątpiłem bowiem, by nieprzyjaciele wdawali się w tak wnikliwe rozważania, a nawet jeśli któremuś z nich powstałyby one w głowie, nie podejrzewałem, by doszły one do uszu Haralda. Byłem przekonany, że jego ludzie pognali zanieść mu nagłą wieść, iż król Wessexu opuszcza Aescengum, pozostawiając tam jedynie stałą załogę - a tę stanowią przecież mężczyźni z fyrdu, wśród których wytrawni wojownicy są prawdziwą rzadkością. W tej ochotniczej armii służą bowiem prości wyrobnicy, kerlowie²⁰ i rękodzielnicy, na co dzień parający się ciesielką lub kładzeniem strzech. Słabo broniony burh musiał stanowić pokusę dla jarla, lecz nie przypuszczałem, by jej uległ i zdecydował się szturmować gród, mając na widoku o wiele cenniejszą zdobycz - orszak monarchy. Harald, gdy zwiadowcy zameldowali mu, że Alfred porusza się w powolnym wozie przez knieje, a jest chroniony przez liczącą zaledwie dwustu wojowników straż, mógł uczynić tylko jedno - pchnąć swe siły za rzekę i urządzić polowanie na niemalże bezbronnego władcę.

Finan sprawował komendę nad naszą tylną strażą, mającą za zadanie w porę przestrzec mnie, gdyby wrogowie zbyt się przybliżyli. Jechałem stępa tuż za kolebiącą się furą. Nie ujechaliśmy nawet pół mili na zachód - ledwie dotarliśmy do miejsca, gdzie droga z Aescengum łączyła się z prowadzącym ku stolicy gościńcem - gdy zrównał się ze mną niezwykle jeździec na zgrabnym koniu. Była to Aethelflaed, ubrana w sięgającą ud, srebrną suknię z misternie połączonych drobnych pierścieni, opinających tunikę z miękkiej, najpewniej jeleniej skóry. Ta długa koszula kolcza tak ciasno opinała jej drobne, kobiece kształty, że domyśliłem się, iż na plecach spinają ją guziki z pętelkami, gdyż nie było mowy, by tak obcisłą kolczugę mogła wciągnąć przez głowę i ramiona. Na tę niebywale kobiecą zbroję mercyjska pani miała zarzucony obrębiony czerwonym sukmem biały płaszcz, a przy boku zawieszoną białą pochwę, z której wystawała zdobiona głowica miecza. Na łęku siodła wisiał zbyt duży na głowę królewskiej córki, sfatygowany hełm z osłonami na policzki. Jak przypuszczam, właśnie założenie takiego szłomu pozwoliło niewieście wmieszać się między moich ludzi, gdy opuszczaliśmy burh. Z tych samych powodów jaśniejący śnieżną bielą płaszcz i oręż osłaniała wcześniej obszerna, znoszona, czarna kapota, którą Aethelflaed, wysforowawszy się na czoło pochodu, cisnęła w zarośla. Oblicze mojej przyjaciółki rozpromieniło się w uśmiechu, jakiego nie widziałem od dnia, gdy wydana została za Aethelreda. Bystre spojrzenie rezolutnej kompanki zatrzymało się na wlokącym się przed nami wozie.

- Czy aby w środku nie siedzi mój przyrodni brat?

- Owszem. Widywałaś go chyba na dworze?

- Tylko przelotnie. Aż dziw bierze, jak bardzo przypomina ojca.

- Zaiste - przyznałem. - Ale ty nie wdałaś się w niego, co, śmiem twierdzić, wyszło ci na dobre. - Ukryta pochwała wzbudziła jej śmiech. - Skąd ta wspaniała zbroja? - zapytałem, dając upust dręczącej mnie ciekawości.

- Aethelred lubi, gdy szykownie wyglądam - odrzekła bez ogródek. - Podarował mi ją kiedyś, a do jej wykonania najął najlepszych mistrzów z kraju Franków.

- Te oczka ukuto chyba ze srebrnego drutu? - zauważyłem. - Można je przebić zaostrzonym kijem!

- Nie wydaje mi się, by mój mąż życzył sobie, abym toczyła walki - zauważyła trzeźwo. - To strój paradny, mający podkreślać me wdzięki, z których Aethelred jest tak bardzo dumny.

Spoglądając na nią z ukosa, z łatwością pojmowałem upodobania kuzyna. Aethelflaed, przeurocza już jako dziewczynka, wyrosła na jeszcze piękniejszą kobietę, jakkolwiek ostatnimi laty jej niewątpliwą urodę przyćmiewał niemalże stale goszczący na pełnym wdzięku obliczu cień rozczarowania. Jej wzrok był przenikliwy, lico gładkie, usta pełne, a włosy lśniły jak najjaśniejsze złoto. Mercyjska pani odziedziczyła po rodzicielu niebywale lotny umysł, którym znacznie górowała nad mężem. Jednakże jej małżeństwo z Aethelredem zasadzało się nie tyle na wzajemnej sympatii, ile na racji stanu, jaką było podporządkowanie saskiej części Mercji władzy Alfreda - i jedynie pod tym względem był to udany związek.

- Powiedz mi coś jeszcze o Aldhelmie - poprosiłem.

- To, co już wiesz, winno ci w zupełności wystarczyć - stwierdziła, drocząc się.

- Wiem jedynie, że nie przepada za mną - odparłem z uśmiechem.

- Czy to go w jakiś sposób wyróżnia? - zapytała ze złośliwym uśmieszkiem, lekko ściągając przy tym wodze zniecierpliwionego leniwą jazdą wierzchowca, który sam z siebie wrywał do przodu, niemalże wpadając na zajmujący całą drogę wóz. Drobne dłonie królewskiej córki okryte były rękawiczkami z delikatnej koźlęcej skóry, a na co drugim palcu pobłyskiwał wysadzany drogimi kamieniami złoty pierścień. - Aldhelm - ozwała się z cicha - jest najbardziej zaufanym doradcą mego męża. Niektóre zamysły tego drania w szczególności spodobały się Aethelredowi. A przede wszystkim ten, że Mercja potrzebuje niezależnego od Wessexu króla.

- Cóż z tego, skoro twój ojciec sam chce tam królować? - raczej stwierdziłem, niż zapytałem, wiedząc, jak bardzo Alfred życzył sobie, by Mercja bezpośrednio podlegała jego woli.

- Nikt nie jest wieczny - odrzekła sentencjonalnie. - Ponadto Aldhelmowi udało się wmówić memu małżonkowi, że jako przyszły król powinien postarać się o męskiego potomka.

- Musiałem się chyba paskudnie skrzywić, gdyż moja towarzyszka zaniósła się perlistym śmiechem. - Tyle że nie ze mną! Bo i dość się nacierpiałam, wydając na świat Aelfwynn! - zapewniła ciszej i wzruszyła ramionami. - Niepodobna opisać tej udręki. Tak czy siak, mój drogi Aethelred czuje wstręt do wszystkiego, co wiąże go z Wessexem. Marzy mu się niezależność, dlatego gdyby mógł, pokąsałby karmiącą go rękę. Toteż pragnie męskiego potomka zrodzonego z mercyjskiego łona.

- Czyżby chciał ciebie...

- Nie, nie posunie się do skrytobójstwa - stwierdziła z niefrasobliwą miną, zgadując, co chciałem powiedzieć. - Raczej postara się o rozwód.

- Nie ważyłby się chyba zwrócić z podobną prośbą do twego ojca!

- Ważyłby się, gdyby udało mu się udowodnić mi cudzołóstwo - wyłuszczyła nad podziw beznamiętnie. Nie wierząc własnym uszom, gapiłem się na nią oniemiały. Widząc moje niepomierne zdumienie, patrzyła z kpiącym uśmiechem. - Czyż nie podpytywałeś mnie o Aldhelma?

- Twój mąż pragnie, abyś...

- Otóż to - odrzekła pospiesznie, wybawiając mnie od wypowiedzenia podejrzeń, które nie przechodziły mi przez usta. - Albowiem wówczas mógłby uznać nasze małżeństwo za niebyłe i skazać mnie na zapomnienie za murami klasztoru.

- I Aldhelm popiera te knowania?

- O tak, popiera, i to z całego serca - odrzekła z pobłażliwym uśmiechem, jakim matki obdarzają dzieci zadające niemądre pytania. - Na szczęście mam oddaną straż, w całości składającą się z Zachodnich Sasów - podjęła. - Ale kiedy zabraknie mego ojca... - dopowiedziała z zastanowieniem i urwała, nie kończąc myśli.

- Dlaczego nie zwrócisz się do niego z prośbą o wsparcie? - zdziwiłem się.

- Powiedziano mu już o wszystkim - rzekła, marszcząc śliczne czoło - nie wydaje mi się jednak, by król chciał dać temu wiarę, przynajmniej nie tak bardzo, jak wierzy w moc modłów i znaczenie pokory. Toteż za całą pomoc ze swej strony rodziciel przysłał mi grzebień należący ponoć do błogosławionej Milburgi²¹, a wraz z nim zapewnienie, że owa relikwia uchroni mnie od wszetecznych uczynków. Mych własnych, oczywiście.

- Nie pojmuję. Jakże to? Alfred miałby wątpić w twe słowa?

- Ojczulek wmówił sobie, że cierpię na złowróżbne urojenia. Nic nie jest w stanie zachwiać jego przekonaniem o lojalności Aethelreda, którego moja matka darzy bezgranicznym uwielbieniem.

- To do niej podobne - poświadczyłem ponuro. Żona Alfreda, Aelswith, zawsze jawiła mi

się jako na wskroś zgorzkniała istota, a na dodatek, podobnie jak jej zięć, pochodziła z Mercji.
- Zawsze możesz podsunąć mu truciznę - pomyślałem na głos. - Znam w Londynie pewną kobietę, która warzy śmiertelne mikstury.

- Uhtredzie! - prychnęła zgorziona, lecz nie zdążyła mnie zbesztać, gdyż dziko pędząc, przygalopował do nas jeden z wojowników straży tylnej. Spod kopyt jego rączego wierzchowca wypryskiwały grudy ziemi wyrywanej wraz z kępami zielska.

- Panie! - wrzasnął. - Pora gnać, co koń wyskoczy!

- Osferth! - zawołałem i nasz król-przebieraniec żwawo zeskoczył z monarszego wozu. Dosiadł luźnego wierzchowca, po czym z niekrytą radością ściągnął z czoła opaskę z brązu, wrzucił ją do wnętrza fury i założył hełm.

- Wywróć to cholerstwo! - zakrzyknąłem do woźnicy. - Wjedź kołami do rowu!

Wozak skręcił i zagłębiając dwa drewniane koliska w rozmięktą ziemię przydroża, udatnie wywrócił ciężki pojazd na bok. Przelęknione konie zaprzężone do unieruchomionej fury szarpały się i rżały. Tymczasem od tyłu szybko narastał tętent kopyt rumaków naszej tylnej straży z Finanem na czele. Widząc ich w galopie, ostro przynagliliśmy konie i zatrzymaliśmy się dopiero wtedy, kiedy zagłębiliśmy się w gąszczu drzew, gdzie czekaliśmy na ludzi Irlandczyka. Ledwie nas dopędzili, daleko za ich plecami ujrzałem pierwszych ścigających nas Duńczyków, którzy bez litości popędzali wierzchowce. Przewidywałem jednak, że porzucony wóz i znajdujące się w nim jarmarczne świecidełka zajmą wikingów wystarczająco długo, byśmy zdołali ich odsadzić. I nie myliłem się, gdyż rychło zobaczyłem, jak nieprzyjaciele kołem objeżdżają wywrócony w błocie barwny pojazd.

- Zaczęła się prawdziwa gonitwa - rzucił Finan.

- Ale to my mamy lepsze konie - stwierdziłem, a miałem całkowitą rację. Duńczycy dosiadali bowiem takich zwierząt, które zdołali zrabować po wsiach Kentu, my zaś mieliśmy pod sobą najdorodniejsze ogiery Wessexu, specjalnie chowane do galopad i przygotowywane do boju.

Nim całkiem zagłębiliśmy się w gęstwinię, jeszcze raz się obejrzałem i z zadowoleniem dostrzegłem chmarę wrogów, którzy zsiadłszy z koni, niby pszczeli rój opadli pozostawiony na ich pastwę łup.

- Ilu naliczyłeś? - zawołałem do jadącego przede mną Irlandczyka.

- Całe setki - odkrzyknął uradowany.

Jego szeroki uśmiech pozwalał przypuszczać, że wszystko idzie po mojej myśli, czyli Harald, skrzyknąwszy całą swą konnicę, ciągnie naszym śladem. Jarl - upojony łatwym podbojem wschodniego Wessexu - ani chybi doszedł do przekonania, że samym swym

pojawieniem się na podgrodziu Aescengum sprowokował saską armię do pospiesznej ucieczki. Pręca na zachód fala najeźdźców nie została do tej pory powstrzymana, co mogło skłonić wodza wikingów do uwierzenia, iż serce saskiego kraju stoi przed nim otworem. A nasz pozorowany odwrót winien właśnie utwierdzić go w tym mniemaniu. Niemniej jednak, by w spokoju oddać się swawolom dalszego podboju, nieprzyjaciel chciał najpierw dopaść Alfreda, o czym świadczył fakt, że jego ludzie gnali za nami bezładną watahą. Dufny w swe powodzenie Harald nie zatroszczył się nawet o zaprowadzenie w swych zastępach jakiegokolwiek karności. Po prostu puścił ludzi jak ogary, by osaczyły króla Wessexu.

Prowadziliśmy uganiających się za nami wojowników z Północy jak na postronku, kusząc ich i nęcąc. Zamiast daleko odsadzać pogoń, celowo jechaliśmy nieco wolniej, niż pozwalały nam konie, aby najszybsi spośród duńskich jeźdźców nie stracili nas z oczu. Wskutek tego śmiałego postępowania piraci rzeczywiście nas dogнали, lecz tylko dlatego, że jadący prawym skrajem łąki wierzchowiec Rypere'a - jednego z mych najwierniejszych ludzi - wywrócił się, utkwivszy kopytem w krecim kopcu. Mimo że dzieliło nas jakieś trzydzieści kroków, dosłyszałem suchy trzask kości zwierzęcia, które z rozdzierającym rżeniem grzmotnęło o ziemię. Na szczęście chudy Angl odtoczył się na bok. Zawróciłem konia w stronę spieszzonego druha, ku któremu wyciągniętym galopem spieszyło już kilku wikingów. Wyciągając rękę do jednego z mych ludzi, wrzasnąłem:

- Włócznia!

Pochwycivszy ciężkie jesionowe drzewce, przynagliłem wierzchowca, zmierzając na spotkanie prącej ku Rypereowi wikińskiej szpicy. Finan i kilkunastu wojowników poszło za moim przykładem. Nieprzyjaciele, zobaczywszy nas, gwałtownie odbili w bok, lecz Smoca, tłukąc kopytami o ziemię, wciąż szedł wprost na nich, szeroko rozwierając chrapy. Opuściłem włócznię i wraziłem ją w bok wiodącego pogoń wroga. Jesionowe drzewce broni zadrżało, a moja dłoń w rękawicy bezwładnie przesunęła się po nim, ale siła uderzenia okazała się wystarczająca, by grot przebił zbroję, wchodząc między żebra wroga. Wokół trafienia pokazała się krew, wypływając przez oczka kolczugi Duńczyka. Ugodzony jeździec pozostał w siodle. Puściwszy grube drzewce, odbiłem tarczą ostrze drugiego wroga. Obróciłem Smocę uciskiem kolan, pozwalając Finanowi rozplatać twarz napastnika błyskawicznym cięciem jego smukłej klingi. Ujawszy wodze konia przebitego włócznią najeźdźcy, powiodłem go ku Rypereowi.

- Ściągnij bękarta na ziemię i wsiadaj! - zawołałem.

Mniej liczni od naszej grupki towarzysze dwóch powalonych nieprzyjaciół pospiesznie się wycofali. Ci Duńczycy dosiadali najszybszych wierzchowców, jakie posiadali ścigający nas

wikingowie, dlatego znacznie wysforowali się przed resztę pogoni. Zanim ich towarzysze przygnali z odsieczą, zdążyliśmy oddalić się na tyle, by bezpiecznie im umknąć. Rypere, dosiadający zdobycznego czworonoga, przeklinał swój nikczemny wzrost, bowiem nie sięgał butami strzemion i musiał kurczowo trzymać się łąku. Widząc to, jadący obok Irlandczyk szczyrzył zęby.

- Takie dźgnięcie pod żebro, panie, ani chybi ich podjudzi - rzucił z uciechą, zwracając się do mnie.

- Tego właśnie chciałem - odrzekłem.

Albowiem pragnąłem rozwścieczyć wrogów, by działali pochopnie, powodowani bezmyślną żądzą mord. „Jak dotąd - myślałem, gnając traktem idącym teraz wzdłuż krętego biegu strumienia, płynącego pośród ubarwionych jaskrami łąk - Harald robi wszystko podług moich przewidywań”. Czy byłem wtedy przekonany o nadchodzącym zwycięstwie? Niebezpiecznie jest zakładać, że wróg zastosuje się do naszych życzeń, jednakże - w miarę jak toczyły się kolejne godziny dnia Thora - wciąż narastało we mnie przekonanie, że Krwawowłosa wpadnie w pieczołowicie przygotowaną nań pułapkę.

Droga zawiodła nas na powrót ku Wey, gdzie po przeprawieniu się na drugi brzeg mogliśmy dotrzeć do Fearnhamme. Gdybyśmy rzeczywiście umykali do Wintanceasteru, pojechalibyśmy rzymskim traktem dalej na zachód, cały czas pozostając na południe od rzeki. A że zależało mi, by nieprzyjaciel wierzył, iż takie właśnie mieliśmy zamiary, zatrzymaliśmy się przed brodem. Chciałem, by ścigający odnieśli wrażenie, że stojąc na rozstajach, nie możemy zdecydować, co czynić. Pragnąłem, by wyglądało to tak, jakbyśmy w popłochu rzucali się do ucieczki.

Znajdowaliśmy się na nadrzecznych łąkach, tu i ówdzie wyskubanych przez owce, a może kozy. Na wschód od nas błonia kończyły się ścianą lasu, z którego wysypywali się już pierwsi Duńczycy. Droga wiodła dalej na zachód - wprost do stolicy. Na północ od nas sterczały z wody kruszejące pozostałości spinającego niegdyś brzegi Wey kamiennego mostu, wzniesionego jeszcze przez Rzymian. Za rzeką, u stóp niewysokiego wzgórza, leżało Fearnhamme. Chociaż uparcie wpatrywałem się w trawiasty pagór, nie dostrzegłem na nim błysku oręża.

- Tam miał czekać Aldhelm - warknąłem, wskazując nagie wzniesienie.

- Panie! - usłyszałem nagłący głos Finana.

Duńczycy zatrzymali się na skraju lasu, o jakieś pół mili na wschód - skąd doskonale nas widzieli i z łatwością mogli się zorientować, że moja drużyna jest nazbyt liczna, by mogli się z nią mierzyć, toteż czekali na posiłki. A co chwila zasilaly ich nowe grupki jezdnych. Raz

jeszcze omiotłem spojrzeniem garb po drugiej stronie Wey, lecz nie dostrzegłem niczego prócz trawy. Wzgórze, a właściwie jego obwałowany wierzchołek, miał stanowić kowadło naszej armii. Miało tam stać pięciuset mercyjskich wojowników, a jednak nie widziałem na nim żywej duszy. „Czy moich dwustu ludzi ma szansę utrzymać ziemny gród?” - zapytywałem się w myślach.

- Panie! - znów zakrzyknął Irlandczyk. Pobrzmiwające w jego głosie ostrzeżenie kazało mi spojrzeć ku wikingom. Zebrawszy już siły dwukrotnie przewyższające moją drużynę, spięli konie i ruszyli ku nam szeroką ławą.

- Forsuj bród! - krzyknąłem, zdecydowany trzymać się ustalonego planu. Wpędziliśmy strudzone wierzchowce do rzeki, przekraczając jej nurt nieco powyżej wystających z wody filarów starego mostu. Woda sięgała zwierzętom do brzuchów, a kiedy wszyscy znaleźliśmy się na przeciwnym brzegu, rozkazałem ludziom, by puścili się galopem i nie zatrzymywali, dopóki nie dotrą na wierzchołek wzgórza. Nasz odwrót miał sprawiać wrażenie panicznej ucieczki, by przekonać nieprzyjaciół, iż porzucamy wiodący do Wintanceaster gościniec, szukając schronienia na najbliższym wzniesieniu.

Popędziliśmy drogą przez Fearnhamme, mijając kryte strzechą chaty, ciasno skupione wokół kamiennego kościoła, z którym sąsiadowała wyniosła, pozbawiona dachu, także wykonana z ciosanego kamienia budowla. Osada była całkowicie wyludniona. Jediną żywą istotą, na którą się natknęliśmy, była krowa, przeciągłym rykiem domagająca się, by ją wydojono. Jak zgadywałem, mieszkańcy, w porę przestrzeżeni o nadciągających hordach wrogów, zdążyli rozpieczchnąć się po okolicy.

- Mam nadzieję, że twoi cholerni ludzie czekają na szczycie! - zawołałem do Aethelflaed, jadącej ze mną ramię w ramię.

- Będą tam! - odkrzyknęła.

Pewność w jej głosie świadczyła, że mercyjska pani z ufnością patrzyła w przyszłość, podczas gdy mnie dręczyły wątpliwości. Wiadomo mi było przecież, że najpierwszą powinnością Aldhelma, zgodnie z wolą jej męża, była troska, by jego oddział wyszedł z bitwy bez większego szwanku. Czyżby zatem dowódca Mercjan zwyczajnie nie stawił się pod Fearnhamme? Jeśli tak, oznaczało to, że zdając się na ledwie dwustu ludzi, będę musiał dać odpór całej armii Duńczyków, którzy gnali naszym śladem, nie żałując koni. Ufni w zwycięstwo, falą przewalili się przez bród i wpadli do Fearnhamme.

Zbliżając się do wzniesionych przez dawnych ludzi wałów, słyszałem za plecami grzmot kopyt wrogich koni i wznoszone przez wikingów okrzyki. Smoca wspiał się na trawiasty garb, a wtedy przekonałem się, że Aethelflaed miała słuszość. Aldhelm rzeczywiście przybył na

wyznaczoną pozycję, przywodząc pięciuset wojowników. Byli niewidoczni z dołu, gdyż ich dowódca z rozmysłem ustawił swe zastępy w szyku po północnej stronie starej warowni, aby nie zostać zawczasu zauważonym przez nadciągających z południa wrogów.

Zatem, dokładnie tak jak to sobie umyśliłem, miałem na wzgórzu siedmiuset ludzi - połowę saskiej armii, której druga połowa miała wkrótce nadciągnąć z Aescengum. Pomiędzy naszymi rozdzielonymi siłami znajdowało się blisko dwa tysiące żądnych łupu najeźdźców - lekkomyślnych i nazbyt pewnych siebie, przepelnionych wiarą, iż lada chwila dokonają tego, o czym marzyło kilka pokoleń wikińskich piratów: podporządkują sobie Wessex.

- Mur tarcz! - rozkazałem. - Mur tarcz!

Należało ostudzić zapal Duńczyków, a nic tak nie zniechęca nieprzyjaciół, jak widok wieńczącej szczyt wzgórza ściany tarcz. Powstał chwilowy zamęt, kiedy moi ludzie zeskakiwali z końskich grzbietów i spieszyli na stary wał. Jednakże byli to dobrze wyćwiczeni, wypróbowani wojownicy, więc ich tarcze rychło się zwały. Wysypujący się z wiejskiej drogi na podnóże stoku łupieżcy ujrzeli zaporę utworzoną przez okute żelazem lipowe drewno i połyskujący nad nią las włóczni. Ujrzeli zbrojnych gotujących miecze i topory, a stojących u kresu czekającego wikingów strome go podejścia. Szaleńcza szarża przeciwnika została powstrzymana samym widokiem naszych szeregów. Wrogowie czekali, oglądając się na pędzących za nimi kompanów. Bród zappełnił się Duńczykami, a kolejna liczna grupa wyłaniała się właśnie z lasu na południowym brzegu Wey. W krótkim czasie wróg miał dysponować wystarczającymi siłami, by zdruzgotać nasz krótki mur. Zyskaliśmy jednak chwilę wytchnienia.

- Rozwinąć chorągwie! - rozkazałem i nad moją głową zafurkotał proporzec z łbem wilka, a obok dzierzony przez drugiego chorążego sztandar ze smokiem Wessexu. Powiewające dumnie znaki były rzuconym wojskom Haralda wyzwaniem.

Aldhelm, sztywno wyprostowany, zbliżył się, by dopełnić powitań. Na ziemistym obliczu Mercjanina jak na dłoni widoczne było niemiłe zaskoczenie, z jakim spoglądał na mrowie zgromadzonych po obu stronach brodu nieprzyjacielskich jeźdźców.

- Podziel swe siły na dwie drużyny - rozkazałem stropionemu przywódcy sprzymierzeńców - i rozstaw ich na obu krańcach mojego muru tarcz.

- Rypere! - zawołałem.

- Tak, panie?

- Weź dwunastu ludzi i uwiążcie konie! - poleciłem to, gdyż obawiałem się, że porzucone w pośpiechu wierzchowce, które już zaczynały samopas błąkać się po trawiastym wzniesieniu, rozpierzną się, gdy przyjdzie do bitwy.

- Ilu Duńczyków was goni? - chciał wiedzieć Aldhelm.

- Akurat tyłu, byśmy mogli zasłać to wzgórze ich trupami - odparłem wyzywająco. - A teraz co żywo przywiedź swych ludzi na wał.

Moja obcesowa odpowiedź zagniewała noszącego się z pańska erla. Jego smukłe ciało okrywała znakomita, długa kolczuga, którą na piersi zdobiły umocowane do stalowych ogniw półksiężycy z lśniącego brązu. Na tę pyszną zbroję miał zarzucony płaszcz z błękitnego, podbitego czerwonym sukniem lnu. Wokół jego chudej szyi połyskiwał dwukrotnie spleciony łańcuch z grubego złotego drutu. Buty i rękawice Mercjanina wykonano z czarnej, wypolerowanej na błysk skóry, a szeroki pas tej samej barwy był ozdobiony przez złote krzyże. Całości obrazu wodza dopełniało osobliwe uczesanie - do podłużnej czaszki przylegały nasmarowane oliwą, trefione krucze włosy, ściągnięte na karku rzeźbionym i oprawnym w złoto kościanym grzebieniem.

- Otrzymałem już rozkazy - odrzekł z dumą.

- I owszem. By przywieść tu pięciuset swoich wojowników i wysiec Duńczyków.

Ten mercyjski piękniś od czasu, gdy złamałem mu szczękę i zmiażdżyłem nos, pałał do mnie zapiekłą nienawiścią. Nigdy mi nie wybaczył, że przeze mnie utracił swój wrodzony wdzięk. A może raczej chodziło mu o hańbę, jaką się wówczas okrył, gdyż walczył uzbrojony, mimo iż ja, wyzywając go, odrzuciłem miecz. Teraz, ani razu nie podniósłszy na mnie wzroku, wpatrywał się w zbierających się u stóp wzgórza wikingów.

- Otrzymałem rozkazy - wycedził wreszcie - by nie wystawiać ludzi eldormana Mercji na pewną zgubę.

- Cóż, uległy one zmianie, erlu Aldhelmie - zza moich pleców dobiegł srebrzysty kobiecy głos, na którego dźwięk Mercjanin okręcił się na pięcie. Przez dłuższą chwilę z bezgranicznym zdumieniem wpatrywał w uśmiechającą się do niego z wysokości siodła Aethelflaed.

- Moja pani. - Skłonił się nisko i popatrując, to na mnie, to na nią, zapytał: - Czy eldorman Aethelred także tu jest?

- Mój małżonek posłał mnie przodem, abym powiadomiła cię o jego nowych rozkazach - oznajmiła z ujmującą słodyczą. - Przekonany o czekającym nas zwycięstwie, eldorman życzy sobie, byś stawił czoło najeźdźcom, nie bacząc na ich liczebność.

Aldhelm otworzył usta, gotów wyrazić otwarty sprzeciw, lecz powściągnął język, najwyraźniej nie chcąc w mej obecności zdradzać natury poufnych poleceń, które otrzymał wcześniej od mego kuzyna.

- Twój mąż posłał cię z poruczeniem dla mnie, moja pani? - spytał, nazbyt zdumiony widokiem królewskiej córki, by składnie rozumować.

- A czy w przeciwnym razie oglądałbyś mnie tutaj? - odpowiedziała pytaniem i zmierzyła wodza wyniosłym wejrzeniem. - Jak sądzisz, mój panie, czy gdyby małżonek uważał, iż grozi mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, posłałby mnie tam, gdzie lada moment ma rozgorzeć walka? - dodała z czarującym uśmiechem.

- Nie, moja pani - odparł, aczkolwiek bez wielkiego przekonania.

- Gotujmy się zatem do bitwy! - przemówiła donośnym głosem, jako że słowa te kierowała do mercyjskich wojowników, po czym obróciła swą stalowoszarą klacz, zwracając się twarzą do szeregów poddanych i w milczeniu powiodła po nich wzrokiem. - Dziś wyrzniemy Duńczyków! - zawołała. - Mój małżonek posłał mnie, bym była świadkiem waszych męźnych czynów! Nie sprawcie mi więc zawodu! Wytnijcie ich w pień!

Wojownicy odpowiedzieli radosną wrzawą. Aethelflaed przejechała wzdłuż pierwszego szeregu, witana gromkimi okrzykami, przelewającymi się falą nad zastępami pieszych wojów. Mercja, gnębiona wieloletnią wojną podjazdową i pozbawiona króla, jawiła mi się zawsze jako nędzna i posępna kraina, zaś sami Mercjanie wydawali mi się ludem zgnębnym i przegranym. Wówczas ujrzałem jednak, jak córka Alfreda - olśniewająca w srebrnej zbroi - jednym spojrzeniem potrafi wykrzesać ze swych poddanych zapal bojowy. Ubóstwiali ją, choć Aethelred nie cieszył się ich względami jako namiestnik Alfreda, którego relacje z Mercją były zbyt niejasne, aby jej mieszkańcy mogli uważać go za swego opiekuna. Za to dla jego zachwycającej córki gotowi byli do wielkiego zrywu. Kochali ją na zabój, była powodem ich dumy.

Tymczasem u stóp wzgórza gromadzili się Duńczycy. Część z nich, zsiadłszy z koni, utworzyła długi na około trzystu mężczyzn mur tarcz. Nie trudzili się jego rozbudowywaniem, a to dlatego, że wciąż widzieli na szczycie pradawnych umocnień tylko moich dwustu ludzi. Uznałem, iż nadszedł odpowiedni czas, by ukazać wrogowi przynętę.

- Osferth! - zawołałem. - Weź jakiegoś dobrego wierzchowca, przyjedź tu i ukaż się im niczym prawdziwy król.

- Czy to naprawdę nieodzowne, panie?

- Jasne, że tak!

Przykazałem, by zajął miejsce pod smoczym sztandarem. Monarszy bękart raz jeszcze przywdział błękitny płaszcz, a ja oplotłem ponad otokiem jego hełmu mój złoty łańcuch, by do złudzenia przypominał koronę wsuniętą na bojowe okrycie głowy. Sposobiący się do ataku u stóp łagodnego stoku wikingowie, ujrzawszy dostojnego jeźdźca, poczęli wywrzaskiwać obelgi. Przebieraniec mógł być mylony z Alfredem, szczególnie z pewnej odległości, chociaż każdy, kto dobrze znał władcę Wessexu, z miejsca przejrzałby oszustwo. A to z tej prostej

przyczyny, iż prawdziwego króla nieodmiennie otaczał wianek kleryków. Nie spodziewałem się wszakże, by Harald zauważył ich brak. Z zaciekawieniem zaobserwowałem, że Aethelflaed - wyraźnie zaintrygowana swym przyrodnim bratem - ponagliła swą klacz i ustawiła ją obok konia Osfertha.

Zwróciłem spojrzenie na południe i przekonałem się, że wrogów wciąż przybywa. Do końca życia nie zapomnę widoku łąk, na których - aż po skraj lasu - roilo się od wojowników Północy. Gęsta kurzawa wzbijała się spod kopyt setek wierzchowców, popędzanych przez pracujących ku nam jeźdźców. Wyglądało na to, że wszyscy wikingowie Haralda aż się palili do przyłożenia ręki do upadku Alfreda, a wraz z nim całego królestwa Zachodnich Sasów, skutkiem czego u przeprawy nagromadziło się mrowie nieprzyjaciół. Niby stado kłębiących się, najeżonych stałą drapieżników czekali na swoją kolej, by sforsować bród.

Aldhelm podporządkował się moim rozkazom i jego ludzie już formowali mur tarcz. Mercyjski dowódca, jak mi się zdawało, raczej niechętnie włączał się do walki, lecz nie chciał narazić się Aethelflaed ani samym wojownikom, którym udzielił się entuzjazm królewskiej córki. Wkrótce spoglądający z dołu Duńczycy ujrzeli, jak mur tarcz, ustawiony na wieńczących zbocze wałach, trzykrotnie się powiększa. Nad pobłyskującym żelazem szykiem pojawiły się teraz i mercyjskie sztandary. Wprawdzie nieprzyjaciel nadal był od nas liczniejszy, lecz do przypuszczenia szturm na obsadzoną przez nas starą warownię potrzebował obecnie już połowy swojej armii.

Rosły jeździec w czarnym płaszczu, wywijając toporem o długim, czerwonym stylisku, ustawiał ludzi Haralda w długim szeregu. Nad widniejącą naprzeciw nas ścianą tarcz sterczało już co najmniej pięćset włóczni, a nadal dołączali do niej świeżo przybyli wojownicy. Niektórzy łupieżcy pozostali na grzbietach wierzchowców, więc nietrudno było się domyślić, że noszą się z zamiarem okrążenia wzgórza i - kiedy ich spieszeni towarzysze zwiążą nas walką - zaatakowania naszych tyłów. Dzieląca obie armie odległość nie przekraczała dwustu kroków, tak iż wyraźnie widziałem kruki, węże, orły i topory wymalowane wokół żelaznych umb nieprzyjacielskich tarcz. Jakiś wiking począł uderzać orężem o tarczę. Inni szybko podjęli rytm, miarowo przeradzający się w gniewny wojenny grzmot. Z najdonośniej wznoszonych po duńsku okrzyków zrozumiałem, że wrogowie, zagrzewając się do walki, wymyślają nam od chłystków, wymoczków i wyciągniętych spod koziego ogona bękartów.

- Są wyjątkowo wrzaskliwi - zauważył Finan, na co tylko się uśmiechnąłem. Irlandczyk podniósł nagie ostrze miecza, powoli zbliżył klingę do twarzy i ją ucałował. - Pamiętasz tę fryzyjską dziewczynę, którą znaleźliśmy wśród bagien? - zapytał ni stąd, ni zowąd. - Ta to

dopiero wrzeszczała.

Mężczyznom gotującym się do bitwy przychodzą do głowy najdziwniejsze myśli. Wspomniana przez mego przyjaciela dziewczka błąkała się po moczarach, wykrzykując chrypliwe skargi. Z trudem udało się nam od niej dowiedzieć, że wymknęła się z duńskiej niewoli. Zastanawiam się, co później przyniósł jej los.

Aldhelm okazywał zaniepokojenie, które wkrótce tak się wzmogło, że Mercjanin przewyciężył swoją niechęć do mnie, zbliżył się i spytał niepewnie:

- A... jeśli Alfred nie przyjdzie nam z odsieczą?

- Wtedy każdy z nas będzie musiał położyć trupem dwóch wrogów. To wystarczy, by reszta Duńczyków straciła ducha - odparłem z udawanym przekonaniem, albowiem doskonale wiedziałem, że pozbawieni wsparcia siedmiuset Zachodnich Sasów rychło zostalibyśmy okrążeni i wygubieni.

Oceniłem, że dopiero połowa nieprzyjacielskich zastępów przeprowiła się na nasz brzeg. Zator na niezbyt szerokim wypłyceniu Wey wstrzymywał pozostałych. Z lasu wciąż wysypywali się nowi jeźdźcy, pospiesznie dołączając do oczekujących na przystęp do brodu. Najeźdźcy wypełnili też Fearnhamme, gdzie w poszukiwaniu łupów ściągali z chałup strzechy. Zewłok pozostawionej przez uciekających wieśniaków krowy leżał na placu przed kościołem.

- A co się stanie, jeśli Alfred będzie nazbyt długo zwlekał? - podjął mercyjski erl.

- Wówczas wszyscy Duńczycy znajdą się za rzeką - odparłem rzeczowo.

- I opadną nas ze wszech stron? - dokończył z goryczą.

Myślał o odwrocie, widziałem to wyraźnie. Za nami, na północy, wznosiły się wyższe wzgórza, łatwiejsze do obrony. Stamtąd można też było przedrzeć się aż na brzeg Tamizy, a potem, przy odrobinie szczęścia, bez większych strat w ludziach przeprowić na jej drugi brzeg. Zadrżałem, z całą jasnością pojmując grozę naszego położenia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak ryzykowne było założenie, że Duńczycy uczynią dokładnie to, co przewidziałem, zaś postępujący za nimi Zachodni Sasi zdążą na czas. A przybycie Alfreda było dla nas jedynym wybawieniem, tkwiliśmy przecież na niewielkim wzgórzu, u podnóża którego zbierała się potężna armia. Wprawdzie spora część ludzi Haralda pozostawała wciąż za rzeką, lecz niebawem miała stanąć przeciwko nam cała wikińska potęga.

Dopadło mnie widmo nieuchronnej klęski. Serce - bijące w piersiach niby bojowy bęben - ścisnęło się boleśnie, jakby gniótł je wężowy splot śmierci. Poczulem brzemień ciężącej na mnie odpowiedzialności i strach przed ostateczną klęską. Przypomniały mi się słowa Haralda, gdy ten odgrażał się, że kiedy mnie dostanie, wyłupi oczy, by okaleczonego i nagiego wodzić po świecie z powrozem na szyi. Ażeby odżegnać zło, dotknąłem amuletu Ihora i musnąłem

głowicę Oddechu Węża.

- Jeśli wojska Zachodnich Sasów nie przybędą... - Aldhelm zaczął ze złowieszczą stanowczością cedzić słowa, lecz nie dokończył, gdyż w tejże samej chwili Aethelflaed krzyknęła z uniesieniem:

- Chwała Bogu!

Za rzeką, pośród odległych zarośli, zaśniło żelazo. Na błonia wyjechało w zwartym szyku kilkuset jeźdźców. Zachodni Sasi przybywali z odsieczą. Duńczycy znaleźli się w potrzasku.

Poeci łatwo popadają w przesadę - ale w końcu właśnie wiązaniem słów zarabiają na chleb. Moi nadworni bardowie nieodmiennie wyolbrzymiają me zasługi, sądząc chyba, że w przeciwnym razie poskapiłbym im srebra. Utarczki, w których postradało życie kilkunastu ludzi, urastają w pieśniach do walnych bitew z tysiącami zabitych. Wierszokleci kadzą mi, układając przydługie poematy. Gdyby wierzyć każdemu ich słowu, można by sądzić, że gdyby nie ja, kruki już dawno wyginęłyby z głodu. Jednakowoż opisując rzeź, do której doszło pod Fearnhamme nad brzegami Wey, rymopisowie dość wiernie trzymają się prawdy, bo nie sposób jej wyolbrzymić.

W ów dzień Thora wszystko rozegrało się błyskawicznie. Rzadko kiedy bitwa wywiązuje się w mgnieniu oka. Z reguły, zanim choć jedna ze stron zbierze się na odwagę, przeciwnicy obserwują się nawzajem, obrzucając obelgami i prowokując. Tym razem wszakże jadący na czele saskiej armii Steapa, widząc kotłujących się na południowym brzegu Wey Duńczyków, zebrał silną drużynę i nie zwlekając, poprowadził konną szarżę. Aethelred, jak później dowiedziałem się z ust Steapy, sprzeciwiał się tej decyzji, nalegając, aby czekano, aż zbierze się wszystkich siedmiuset wojowników Alfreda. Jednakże olbrzymi Sas, nie zważając na obiekcje eldormana Mercji, powiódł trzystu jeźdźców wprost w duńską ciżbę, a pozostali wojownicy Wessexu włączali się do walki w miarę, jak wyłaniali się z lasu.

Trzystu Zachodnich Sasów opadło tyły wroga, gdzie - jak to zwykle bywa - znaleźli się najmniej bitni ludzie Haralda. Naturalną kolejną rzeczą maruderzy i ciury obozowe - w tym także służebni, podrostki, jak też nieliczne kobiety i ich dzieci - ciągnęli w ogonie wojsk najeźdźców. Większość z nich obładowana była zrabowanym po drodze dobytkiem. Cała ta hałastra, zaatakowana z zaskoczenia, nie wiedziała, jak się bronić. Biedacy nie zdołali uformować szyku obronnego, wielu nawet nie posiadało tarcz. Co bitniejsi Duńczycy już dawno sforsowali rzekę i właśnie sposobili się do natarcia na wzgórze, na razie nieświadomi, że na południowym brzegu Wey dochodzi do rzezi.

- Zarzynaliśmy ich jak prosiaki - tak później zwięźle ujął to Steapa. - Było mnóstwo wrzasku i bryzgającej krwi.

Konnica spadła na wikingów jak grom z jasnego nieba. Wielki Sas prowadził straż przyboczną Alfreda, pozostałą setkę moich ludzi oraz zaprawionych w boju wojowników z Wiltunsciru i Sumorsaete. Wszyscy oni byli pełni zapału, mieli doskonałe wierzchowce i najprzedniejszy oręż. Ich szarża wywołała chaos wśród wrogów. Duńczycy, niezdolni do utworzenia muru tarcz, próbowali uciekać, lecz bród był już i tak przepelniony, a teraz powstał na nim jeszcze większy ścisk, całkowicie uniemożliwiający łupieżcom sformowanie szyku. Dosiadający rosnących koni ludzie Steapy torowali sobie drogę przez nieprzyjaciół, dźgając, rąbiąc i tnąc. Siejącą spustoszenie drużynę królewską zasilali wypadający z lasu spóźnieni Sasi. Ich konie aż po pęciny grzęzły we krwi zabitych, a siedzący na ich grzbietach ludzie nie przestawali młócić mieczami i toporami. Alfred, przemagając boleści, jakie sprawiała mu jazda w siodle, przybył na pole bitwy i śledził jej przebieg ze skraju leśnej gęstwiny, podczas gdy otaczający go wianek kleryków wyśpiewywał pochwalne hymny do swego boga, dziękując mu za rzeź, jaką zgotował poganom. Duńska krew - tworząc ciemne bajora - długo jeszcze stała na podmokłych łąkach na południowym brzegu Wey.

Edward walczył u boku Steapy. Aetheling, pomimo drobnej budowy i niedostatku doświadczenia bojowego, zasłużył na pochwały dowódcy królewskiej straży.

- Nie brak mu odwagi - z uznaniem stwierdził zwalisty Sas, kiedy było już po wszystkim.

- A jak radzi sobie z mieczem?

- Chłopak ma wcale zręczny nadgarstek - odrzekł z aprobatą dowódca straży przybocznej monarchy.

Aethelred prędszej niż Steapa zrozumiał, że napór naszej konnicy siłą rzeczy zostanie wstrzymany przez natłok wrogów - tak poległych, jak i tych wciąż żywych - skłonił więc eldormana Aethelnotha z Sumorsaete, by ten rozkazał stu wojownikom zsiąść z koni i zewrzeć tarcze. Tak ustawieni ludzie Aethelnotha krok po kroku poczęli posuwać się do przodu, a w miarę jak coraz większa liczba wierzchowców - rannych bądź martwych - padała, do nowo utworzonego muru dołączali kolejni Sasi. Ściana wydłużała się i parła, kładąc wrogów niczym rząd pracujących sierpami kerłów. Słońce stało wysoko. Duńczycy nie zdołali dać atakującym odporu, toteż wkrótce dopełnił się ich los. Niewielu udało się przemknąć na drugi brzeg Wey. Całe setki wrogów poległy na łąkach za rzeką, a pozostałych pojmano w niewolę.

Jednakże mniej więcej połowie wikińskiej armii udało się przeprawić. Na drugim brzegu gotowała się do ataku na nasz wał, mimo że za rzeką mordowano ich współplemieńców.

Pojawił się też i sam Harald. Abyśmy mogli dokładnie przyjrzeć się rytuałowi, za pomocą którego wzbudzał trwogę w sercach wrogów, jarl postąpił parę kroków przed wciąż wydłużającym się nieprzyjacielski mur. Towarzyszył mu pachołek prowadzący nieosiodłanego

luzaka.

Harald - w zarzuconym na zbroję płaszczu z niedźwiedziego futra wyglądający na jeszcze większego niż w rzeczywistości - stanął twarzą do nas, uniósł ręce i zamarł w bezruchu, jakby był ukrzyżowany. W prawej ręce dzierżył masywny wojenny topór. Zakrzyknawszy wielkim głosem, iż obróci nas w spyżę dla wijących się pod ziemią robaków, powalił ofiarne zwierzę. Rażony potężnym ciosem koń padł od razu. Zwierzęciem miotały jeszcze przedśmiertne drgawki, gdy jarl rozplątał mu brzuch i przyklęknawszy, zanurzył głowę w okrwawionych wnętrznościach. Moi ludzie w milczeniu przyglądali się targanej ostatnimi spazmami ofierze i wodzowi wikingów, klęczącemu między drobiaźcami jeszcze w powietrzu kopytami. Po chwili przywódca najeźdźców podniósł się i skierował ku nam swe szkarłatne oblicze. Posoka łała mu się z włosów, oblepiała twarz i ściekała z krzaczastej brody. Harald Krwawowłosa był gotów do boju.

- Na Thora! - zagrzmiął prosto w niebo, unosząc przy tym topór. - Na Thora! - zawołał ponownie i wymierzył ociekający posoką oręż w naszą stronę. - Wszystkich was zarżniemy! - wrzasnął i odwrócił się do pachołka, który podał mu wielką tarczę z wymalowanym na niej toporem.

Trudno powiedzieć, czy wiedział, co dzieje się na błoniach za rzeką, albowiem toczący się tam bój przesłaniały mu zabudowania Fearnhamme. Wydaje się jednak nieprawdopodobnym, by nie zdawał sobie sprawy z tego, że Sasi zaatakowali tyły jego armii. Wszak od samego rana musiały do niego docierać wieści o toczących się na tyłach wikińskiego pochodu utarczkach, gdyż - jak wynikało z późniejszej opowieści Steapy - po drodze z Aescengum saska kolumna co rusz napotykała gromady duńskich maruderów. Harald jednak bez reszty pochłonięty był myślą o zdobyciu wzgórza Fearnhamme, gdzie spodziewał się osaczyć Alfreda. Był przekonany, że gdyby mu się powiodło pokonać siły królewskie stojące na północnym brzegu Wey, wywalczyłyby sobie drogę do tronu bez względu na ostateczny wynik walk na tyłach. Toteż dał sygnał do ataku.

Zrazu zamierzałem czekać na szturm Duńczyków, polegając na prastarych wałach, ułatwiających odparcie ataku. Poniechałem jednak zamierzonego planu, widząc zbliżających się z wściekłym wrzaskiem wrogów. A to dlatego, iż dostrzegłem w ich szeregach oznaki słabości. Być może sam jarl nie uświadamiał sobie rozmiarów klęski zadanej przeprowadzającym się przez Wey tyłom jego armii, ale wielu wojowników obracało głowy, próbując się zorientować, jak radzą sobie ich krajanie nad rzeką. A człek, który z trwogą oglądał się za siebie, nie walczy zbyt mężnie. Uznawszy, iż jedynym słusznym posunięciem jest przejście do natarcia, wsunąłem Oddech Węża do pochwy i dobyłem Żądło Osy - krótszego z

mych saksów.

- Kieł dzika! - zawołałem gromko. - Kieł dzika!

Moi ludzie wiedzieli, co czynić. Setki razy ćwiczyliśmy to ustawienie. Powtarzana aż do znużenia nauka nie poszła na marne, czego dowodziły sprawne ruchy wojowników, którzy szybko podążyli za mną, gdy zstępując z trawiastego wału, w paru skokach przesadziłem suchą fosę.

Kieł dzika to formacja klina, którego zadaniem jest rozbitcie nieprzyjacielskiego szyku. Tworzący go mężczyźni uderzają wroga niczym szpikulec olbrzymiej włóczni. To taktyka prosta, ale niezastąpiona, gdy chce się przełamać mur tarcz. Stałem na samej szpicy, stanowczym gestem powstrzymując Finana, cisnącego się, by się przede mnie wysunąć. Duńczycy zwolnili, najpewniej zaskoczeni widokiem występujących za wały obrońców. A może zgubili krok, dopiero w tej chwili pojmując, że zapędzono ich w pułapkę? Aby wydostać się z matni, musieli nas pokonać. Harald doskonale o tym wiedział, dlatego ryknął gniewnie na swych ludzi i wikińska ściana ruszyła truchtem w górę stoku, ja zaś grzmiałem na swoich, by biegiem puścili się w dół - na spotkanie wroga. Walka rozpoczęła się w szaleńczym tempie. Kieł dzika rozpędzał się po niewielkiej stromiznie, podczas gdy nieprzyjacielski mur, zagrzewany okrzykami jarla, parł pod górę. Widocznie jednak Duńczyków obleciał strach, gdyż ich linia poczęła się chwiać, zanim jeszcze zdążyliśmy w nią uderzyć. Część nieprzyjaciół, posłuszna rozkazom wodza, szła szparko, inni się ociągali, więc wrogi szyk się złamał. Jedynie w samym środku - gdzie powiewał proporzec ze znakiem topora i sterczącym na drzewcu wilczym czerepem - mur tarcz pozostał zwarty. Znać było, że tam ramię w ramię idzie drużyna przyboczna Haralda. Tam też mierzył grot naszej żywej włóczni.

Moi ludzie dołączyli do mnie w gromkim bojowym ryku. Na lewym ramieniu czułem ucisk pętlic ciężkiej, wzmacnianej żelaznymi okuciami tarczy, a w prawej ręce trzymałem odwiedzione do tyłu Żądło Osy - ostrze o wiele poręczniejsze od Oddechu Węża, kiedy przychodziło do walki w ścisku. Długi miecz w takim starciu byłby tylko zawadą, podobnie jak topór o zbyt długim stylisku, bowiem gdy napierają na siebie zwarte szeregi, wrogowie stoją przyciśnięci do siebie niczym kochankowie.

Mierzyłem prosto w Haralda. Miał odkrytą głowę, aby połyskującą w słońcu, oblepioną posoką czupryną wzbudzać trwogę wśród wrogów. Zwalisty, ryczący niczym odyniec jarl rzeczywiście wyglądał groźnie, szczególnie gdy się patrzyło w wyzierające spod krwawej maski oczy dzikiej bestii. Z pozlepianych w strąki włosów ściekały krople szkarłatu. Na tarczy wodza widniał malunek bojowego topora - podobny do tego, który Duńczyk ścisnął w prawicy - o długim, brodatym ostrzu i krótkiej rękojeści. Krwawowłosy wbijał we mnie wściekle

spojrzenie i wrzeszczał jak opętany, wykrzywiając się przy tym okrutnie. Pamiętam, że kiedy tak biegłem na czele szyku, przemknęło mi przez myśl, że Harald uderzy na mnie z góry ciężkim żeleźcem, co zmusiłoby mnie do uniesienia tarczy - zaś sąsiad jarla, mężczyzna o ogorzalej twarzy, niechybnie dybał na okazję, by pchnąć mnie wtedy krótkim saksem pod uniesioną zasłonę i wypruć mi flaki. Uzmysłowiłem sobie jednak, że po mojej prawej ręce walczy Finan, siepacz jakich mało, dlatego los ciemnonicego uznałem za przesądzony.

- Wyrżnąć ich w pień! - wykrzyknąłem, powtarzając życzenie Aethelflaed. - Wyrżnąć w pień!

Nie odwróciłem się nawet, aby przekonać się, czy Aldhelm poprowadził swych ludzi do boju. Na szczęście uczynił, co do niego należało, lecz ja - ślepy i głuchy na wszystko dookoła - czułem już tylko radość ze zbliżającej się walki w murze tarcz, podszytą nieodłącznym strachem.

- Wyrżnąć ich w pień! - wrzeszczałem.

I drewniane osłony zderzyły się z łomotem.

Składacze wersów śpiewają, że nad rzeką Wey stanęło przeciwko nam sześć tysięcy Duńczyków. Zdarzyło mi się nawet słyszeć pieśń, wedle której wroga armia liczyła dziesięć tysięcy mieczy. Nie ulega wątpliwości, że w miarę upływu lat rymopisowie pomnożą siły nieprzyjaciół. W istocie Harald doprowadził na miejsce bitwy około tysiąca sześciuset wojowników, albowiem część jego jazdy pozostała w Aescengum. Co prawda jarl przybył z ziemi Franków na czele dwustu okrętów, na pokładach których przyplłynęło pięć do sześciu tysięcy wikingów, lecz tylko mniej niż połowa zamorskich zbójów zdołała zdobyć wierzchowce. Nadto wielu z tych, którym się to udało, nie dotarło do Fearnhamme. Co poniektórzy, od razu zasiedlając zajęte ziemie, pozostali w Kencie. Inni - znalazłszy obfite łupy - zamarudzili w Godelmingum. A zatem ilu wrogów stanęło owego dnia przeciwko nam? Zaledwie połowa spośród ścigających nas zastępów sforsowała bród, z czego wynikałoby, że za rzeką znalazło się co najwyżej ośmiuset nieprzyjaciół. Większość z nich utworzyła mur tarcz, z którym zmierzyli się moi ludzie i Mercjanie Aldhelma, lecz byli i tacy, którzy woleli przetrząsać strzechy chałup w pobliskiej osadzie. Bardowie rozślawiający zwycięstwo Sasów powiadają, iż najeźdźcy mieli nad nami miażdżącą przewagę. W istocie rzecz miała się inaczej, gdyż nasz mur tarcz był nieco dłuższy od idącego naprzeciwko szeregu Duńczyków.

Poza tym moja armia była bardziej zdyscyplinowana i z wielką siłą natarła na wrogą ścianę. Wykorzystaliśmy przewagę, jaką dawała nam pozycja na wzgórzu.

Kieł dzika, aby rozbić nieprzyjacielski szyk, musi weń uderzyć z możliwie jak największą mocą.

- Wyrznąć ich w pień! - wzniosłem okrzyk bojowy, jakim Aethelflaed zagrzewała ludzi do boju.

Jeszcze w biegu wybiłem się w powietrze i całym ciężarem napałem na trzymaną w lewej ręce lipową tarczę, godząc nią w Haralda. Siła uderzenia odrzuciła jarla do tyłu. Pchnąłem Żądłem Osy tuż pod żelaznym otokiem lipowej zasłony. Ostrze saksa napotkało opór, ale go pokonało. Wszystko działo się tak szybko, że trudno mi dziś odtworzyć szczegóły. Wiem na pewno, że wódz łupieżców zamachnął się toporem, którego brodate ostrze omsknęło się po oczkach kolczugi na mych plecach. Nie przecięło zbroi. Podejrzewam, że uratował mnie nagły sus, dzięki któremu minąłem się z wymierzonym we mnie żeleźcem. Styliśko broni jarla musiało zatrzymać się na mym ramieniu, bo jeszcze długo potem widniał tam wielki siniak. Ból poczułem dopiero wtedy, gdy bitwa została rozstrzygnięta.

Szumnie nazywam owo starcie bitwą, chociaż trwało krócej niż niejedna drobna potyczka. Wyraźnie pamiętam uczucie, iż Żądło Osy, przebiwszy się przez pancerz, wkłuło się w ciało wroga. Zraniłem Haralda, co do tego nie mam wątpliwości. Zaraz potem napór naszego ataku rzucił mnie naprzód i moje ostrze wyslizgnęło się z rany zadanej jarlowi. Po mej prawicy szedł Finan, zasłaniając mnie tarczą. Kłując saksem, przebiłem się przez drugi szereg nieprzyjaciół i wciąż parłem do przodu. Żelaznym umbem tarczy obaliłem kolejnego Duńczyka, a Rypere wraził mu grot włóczni wprost w oko. W powietrze tryskały strugi krwi, czemu towarzyszyły nieprzytomne wrzaski. Z prawej strony wysunęło się ostrze miecza, trafiając pomiędzy mnie a moją tarczę. Nie bacząc na to parłem uparcie, podczas gdy Irlandczyk szybkim cięciem rozplątał przeciwnikowi ramię, tak iż opadło bez sił, upuszczając godzący we mnie oręż. Wciąż, choć coraz wolniej, posuwałem się naprzód, popychany z tyłu przez mych ludzi. Napierałem na ściśnięty nieprzyjacielski szyk. Zadawałem saksem krótkie, zdecydowane pchnięcia. Ta część bitwy zapadła mi w pamięć jako zupełnie bezgłośna. Wokół musiał panować nieziemski zgiełk, lecz ja zachowałem we wspomnieniach tylko głuchą ciszę. Jak dziś widzę rozdziawione usta walczących, ukazujące popsute zęby. Przypominam sobie wykrzywione gniewem oblicza i błysk ścierających się ostrzy, lecz żadnych okrzyków ani brzęku żelaza. Pamiętam, że przysiadłem nisko na nogach, cisnąc się głębiej w ciżbę nieprzyjaciół. Widzę przybliżające się ku mnie od lewej żeleźce topora, które Rypere zatrzymał na tarczy. Cios był potężny, rozłupał lipowe deski. Następnie moment trwogi, gdy potknąwszy się o truchło konia - którego Harald poświęcił w ofierze dla Thora - straciłem równowagę. Byłbym upadł, odzyskałem jednak władzę w nogach dzięki pewnemu Duńczykowi. Chcąc mnie wypatroszyć, pchnął krótkim saksem, ale na szczęście trafił w złotą klamrę mego pasa. Odpowiedziałem szybkim sztychem, wrażając Żądło Osy między nogi

niefortunnego napastnika, po czym wyszarpnąłem klingę. Oczy wybebeszonego mężczyzny rozszerzyły się w przedśmiertnym bólu. W jednej chwili rozpruty Duńczyk zniknął mi z oczu. I zdumiałem się, gdyż równie niespodzianie ukazał się mym oczom - zamiast nieprzyjacielskich tarcz - obsiany warzywami zagon, sterta gnoju i chałupa ze zdartą strzechą, której resztki walały się wokoło. Wszystko to stoi mi przed oczyma jak żywe, jakkolwiek nie pamiętam żadnych towarzyszących walce dźwięków, jak gdyby bój toczył się w zupełnej ciszy.

Aethelflaed mówiła mi potem, że nasz kiel dzika w okamgnieniu przebił się przez szyki Haralda. Być może dla kogoś przyglądającego się atakowi z wieńczących wzgórze wałów wyglądało to jak drobnostka, jednak mnie przerwanie wrogiej linii wydało się trudnym i mozolnym zadaniem. Niemniej siły jarla zostały rozbite. Wrogi mur pękł na dwoje i rozpoczęła się istna rzeź.

Duński szyk poszedł w rozsypkę. Nieprzyjaciele nie stali już ramię w ramię, w zwartej ścianie, gdzie każdego mężczyznę chronią jego sąsiedzi, lecz rozbiegli się w popłochu i każdy musiał radzić sobie, jak potrafił. Nasi ludzie - Zachodni Sasi na równi z Mercjanami - zachowali szyk. Ich tarcze wciąż się zazębiały, tworząc zwartą osłonę, zza której rąbali, cięli i kłuli zdezorientowanych łupieżców. We wrogich szeregach zapanował popłoch, szerząc się niczym fala ognia na spieczonym słońcem rżysku. Wkrótce piraci podali tyły. Żałowałem, że nasze wierzchowce pozostały pod okiem pachołków na wierzchołku warownego wzgórza, gdyż mając je przy sobie, moglibyśmy puścić się w pogoń za tą hałastrą i urządzić jatkę, chlastając uciekających po plecach.

Jednak nie wszyscy Duńczycy stracili ducha. Ci, którzy pozostali w siodłach, gotując się do okrążenia wzgórza, by zaatakować nasze tyły, zdecydowali się przypuścić szturm na nasz mur, mimo iż konie niechętnie nacierają na najeżoną ostrzami ścianę tarcz. Wikińscy jezdni naparli grotami włóczni na saskie lipowe zasłony, zmuszając nasz pierwszy szereg do cofnięcia się. Widząc, jak nasza linia ugina się pod naporem konnicy, speszeni Duńczycy zaczęli dołączać do atakującej konnicy. Prowadzony przeze mnie kiel dzika nie tworzył już ostrego klina, lecz nadal staliśmy ramię przy ramieniu, zatem powiodłem swoich ludzi w najgorętszy wir walki. Jakiś wrogi wojownik spiął wierzchowca, który młócąc kopytami, uderzył w moją tarczę. Ogier próbował ucaścić mnie zębami, podczas gdy jeździec ciął mieczem. Szczęściem udało mi się zatrzymać cios żelaznym okuciem tarczy. Moi wojowie zaczęli okrążać nacierających Duńczyków, a ci, zmiarkowawszy, co się święci, pospiesznie przeszli do odwrotu. Dopiero wówczas pojąłem, co przywiodło ich do przeciwnatarcia. Wikińska konnica zwróciła się przeciwko nam, by ratować ранego wodza. Proporzec Haralda z wymalowanym nań okrwawionym toporem - i przymocowanym do drzewca czerwonym

wilczym czerepem - znalazł się w rękach moich ludzi, zaś sam jarl, zalany krwią, leżał wśród oplecionych zielonym grochem tyk. Zobaczywszy przywódcę piratów, skrzyknąłem swoich drużynników, wskazując im rannego. By go jednak pochwycić, musiałem najpierw pokonać stojącego mi na drodze i z zapamiętaniem młócaącego mieczem jeźdźca. Wkłułem Żądło Osy w trzewia ogiera. Jednocześnie zauważyłem, że przeciwnicy pochwycili Haralda za pięty i zaczęli go odciągać. Jakiś rosły jeździec zeskoczył z konia i przerzuciwszy rannego wikińskiego wodza przez siodło, powiódł go między swoich. Chciałem dopaść jarla, lecz Żądło Osy utkwiło w brzuchu miotającego się w agonii zwierzęcia, a na dobitkę siedzący w jego siodle Duńczyk wymachiwał mieczem, starając się zadać mi skuteczny cios. Puściłem rękojeść krótkiego saksa i pochwyciwszy jeźdźca za nadgarstek, ściągnąłem go na ziemię. Usłyszałem wrzask padającego.

- Zarżnąć go - warknąłem do któregoś z mych ludzi i wyszarpnąłem Żądło Osy z końskich wąpeli. Sposobność ujęcia Haralda została zaprzepaszczona, albowiem jego ludzie zniknęli mi z oczu, zabierając ze sobą rannego wodza.

Wsunąłem Żądło Osy do pochwy i dobyłem Oddech Węża. Już nie tworzyliśmy muru tarcz, pozostało nam teraz wygubić Duńczyków kryjących się wśród zabudowań Fearnhamme i tych, którzy rozpiechli się po okolicznych łąkach. Większości ocalałych łupieżców udało się umknąć na wschód, lecz byli i tacy, którzy mieli mniej szczęścia. Nasze rozdzielone siły ujęły wikińską horde w kleszcze, rozbijając ją w drobny mak. Dlatego wielu piratów, nie mając innego wyboru, pierzchało na zachód - w głąb Wessexu - i gdy tylko pierwsi sascy jeźdźcy przekroczyli bród na Wey, z miejsca puścili się w pogoń za owymi uciekinierami. Najeźdźcy szukający schronienia na zachodzie nie mieli większych szans na przeżycie. Nawet jeśli udałoby im się umknąć zbrojnej pogoni, czekała ich śmierć z rąk chłopów. Ci zaś, którzy wycofali się na wschód, wioząc rannego wodza, byli zdecydowanie liczniejsi. Zatrzymali się nawet pół mili od placu boju, czekając na spóźnionych towarzyszy. Kiedy jednak Sasi Steapy pokonali bród, duńska drużyna pognała w siną dal. Pozostali jeszcze grasanci, którzy chowali się po chałupach. Tych wybiliśmy jak szczury. Nie zważaliśmy na prośby o litość, posłusznie wypełniając żądanie wykrzywane przez Aethelflaed na początku bitwy.

Dognałem jednego z wrogów, kryjącego się za stertą łajna, i ciąłem go okrutnie, a gdy padł w gnojówkę, skróciłem cierpienia rannego, wbijając mu sztych Oddechu Węża w gardło. Finan wszedł do chałupy, gdzie schroniło się dwóch Duńczyków, więc pospieszyłem mu z pomocą, ale kiedy wpadłem do środka, obaj nieprzyjaciele leżeli już martwi. Irlandczyk rzucił mi złoty pierścień naramienny i wyszliśmy na opromienioną słońcem, ogarniętą zamętem bitewnym ulicę. Sascy jeźdźcy przeczesywali wieś w poszukiwaniu ofiar. Zza jednej z chat

dobiegł nas zgiełk oręża, więc popędziliśmy z Finanem w tamtą stronę. Źródłem hałasu okazał się rosły Duńczyk - o masywnych ramionach oplecionych mnóstwem srebrnych i złotych pierścieni. Szyję osłaniającego się przed ciosami trzech Mercjan mężczyzny zdobił gruby, złoty łańcuch. Był to zapewne szyper²² jednego z wikińskich okrętów, który w nadziei zdobycia dóbr Zachodnich Sasów wraz ze swoimi ludźmi poprzysiął służbę Haraldowi. Tymczasem, miał zawładnąć saską ziemią, miał zostać w niej pogrzebany. Udatnie parował cięcia, zręcznie odbijając je mieczem i na poły rozbitą tarczą. Kiedy pojawiłem się w jego polu widzenia, dostrzegł mój bojowy rynsztunek i z miejsca poznał godnego przeciwnika. Jakby na dany znak trójka Mercjan odstąpiła, pozwalając mi rozprawić się z wielkim wikingiem.

- Mocno trzymaj miecz - przestrzegłem wroga.

Tylko kiwnął głową. Zauważyłem, że jego wzrok padł na wiszący na mej szyi młot Thora. Na skórze Duńczyka mieniły się krople potu, lecz nie wyglądał na przestraszonego. Po prostu dzień był parny, a walczyliśmy odziani w skórzane pancerze i kolczugi.

- Czekał na mnie w pałacu umarłych - rzekłem.

- Zwą mnie Othar...

- Uhtred.

- ...Othar Pływający Pośród Sztormów.

- To głośne imię - odparłem z powagą, chociaż nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, świadom byłem jednak, że Othar przedstawia się, abym uczynił światu wiadomym, iż zmarł godnie. Z kolei ja po to przestrzegłem go, by nie upuścił miecza, żeby jako poległy z bronią w rękę miał prawo zasiąść za stołem biesiadnym w Walhalli, dokąd odchodzą wojownicy padli w boju. Ja sam po dziś dzień stale noszę u boku Oddech Węża - mimo że jestem już stary i słaby - abym, gdy przyjdzie mi umierać, mógł powędrować do dworzyszczu bogów, gdzie czekać na mnie będą podobni Otharowi dzielni bojownicy. W duchu już cieszę się na ten dzień.

- A oto Jasny Płomień - podjął, unosząc miecz do ust. - Nigdy mnie nie zawiódł - dorzucił, ucałowawszy klingę. - Tyś jest Uhtred z Bebbanburga?

- Ten sam.

- Swego czasu poznałem Aelfrica Szczodrobliwego - rzekł Othar.

Minęło kilka uderzeń serca, nim pojąłem, że mowa o moim wuju, który uzurpował sobie prawo do moich rodzimych włości w Northumbrii.

- Szczodrobliwego? - zdziwiłem się.

- A jakim sposobem miałby utrzymać swe ziemie - wiking odpowiedział pytaniem - jeśli

nie dzięki sowitym daninom płaconym nam, Duńczykom?

- Nastanie dzień, kiedy poślę bękartą w zaświaty - odparłem.

- Aelfric ma silną drużynę - stwierdził Othar, jednocześnie doskakując i wykonując błyskawiczne pchnięcie. Gdyby udało mu się dosięgnąć mnie Jasnym Płomieniem, oszczędłby do Walhalli chlubiąc się, iż pokonał osławionego pana mieczy, lecz uprzedziłem jego cios. Oddech Węża przeciął powietrze, by z brzękiem odtrącić wraz ostrze. Wtedy napałem na wroga umbem tarczy, zmuszając go do kroku wstecz. Zakręciwszy mieczem, przeciąłem odsłonięte gardło wroga. Dopiero poniewczasie zdałem sobie sprawę, że duński szyper nawet nie starał się osłonić.

Wyłuskałem Jasny Płomień z martwej dłoni. Przeciąłem Otharowi gardło, dbając, by nie uszkodzić znakomitej kolczugi. Przednia zbroja to drogocenna rzecz, równie wartościowa, co dziesiątki pierścieni zdobiących ramiona pokonanego.

Wieś Fearnhamme i otaczające ją błonia zasłane były ciałami poległych, pomiędzy którymi chodzili triumfujący zwycięzcy. Jedynymi Duńczykami, którzy ostali się przy życiu, byli ci, którzy schronili się za wierzejami miejscowego kościoła. Ocalenie zawdzięczali samemu Alfredowi. Król, przeprawiwszy się przez bród, orzekł, iż dom boży jest miejscem świętym, i tych, którzy się tam skryli, postanowił uchronić od zguby. Władca, z wysokości siodła i z obliczem ściągniętym boleścią, przyglądał się wyprowadzanym na kościelny dziedziniec jeńcom. Monarsze, oprócz nieodstępnej czeredy księży, towarzyszył Aethelred, dzierżący okrwawiony miecz. Stojący nieopodal Aldhelm szczyrzył zęby w uśmiechu, bowiem odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo. Wieść o rzezi, jaką zgotowaliśmy ludziom Północy, podawana z ust do ust, wkrótce dotarła wszędzie, gdzie dobijały wikińskie okręty. Miała posłużyć jako przestroga dla nastających na Wessex piratów - musieli wiedzieć, że jeśli wejdą na ziemię Zachodnich Sasów, rychło spoczną tam w mogiłach.

- Chwała Bogu! - przywitał mnie król.

Moją zbroję pokrywała skorupa przysychającej krwi. Wiedziałem, że uśmiecham się równie szeroko jak Aldhelm. Ojciec Beocca niemalże płakał z radości. Aethelflaed zbliżyła się do nas na szarej klaczy, a za nią postępowało dwóch Mercjan wiodących jeńca.

- Ta kobieta próbowała cię zabić, eldormanie Uhtredzie - z promiennym uśmiechem oznajmiła królewska córka. Wówczas rozpoznałem jeźdźca, którego pozbawiłem wierzchowca, kłując zwierzę Żądłem Osy.

Skade.

Aethelred wpatrywał się w żonę, oniemiały ze zdumienia, że widzi ją w Fearnhamme, do tego przyodzianą w paradną zbroję. Nie miał wszakże sposobności, by wziąć Aethelflaed na

spytki, gdyż zanim odzyskał mowę, branka poczęła wyc jak opętana. Z jej gardła wydobył się przejmujący skowyt, przywodzący na myśl agonię istoty, z której wysysał życie wąż z krainy podziemi²³. Dunka wczepiła palce w swe długie, krucze włosy i poczęła nimi gwałtownie targać, po czym rzuciła się na ziemię.

- Wszystkich was dosięgnie ma klątwa - zawodziła, tarzając się w błocie i nabierając go pełne garście. Wcierała rozmokłą ziemię we włosy i pakowała do ust, nie przestając przy tym wic się ani wydawać obłąkańczych jęków. Po bitwie odebrano jej koszulę kolczą - którą jeden z baczących na Skade Mercjan miał przerzuconą przez ramię - pozostawiając brankę w lnianej tunice. Pojmana raptownie podniosła się na klęczki i rozszarpała cieką materię, obnażając piersi, po czym je także umazała błotem. Pamiętam, że setnie się ubawiłem, widząc Edwarda wlepiającego wzrok w nagość Dunki oraz Alfreda stojącego obok ze zboląłą miną.

- Uciszyć ją - rozkazał król.

Jeden z mercyjskich strażników wypełnił wolę władcy, drzewcem włóczni zadając Skade cios w skroń. Padła na błotnistą drogę, a na jej kruczoczarnych, pozlepianych ziemią włosach załśniła krew. Sądziłem, że straciła przytomność, ale myliłem się, bowiem harda Dunka splunęła błotem i zwróciła na mnie swe oczy.

- Przeklęty - wychrypiała.

Jedna z Prządek ujęła wtedy nic mego żywota. Może pochlebiam sobie, myśląc, iż drgnęła jej ręka, co jest niewykluczone, lecz równie dobrze mogła sięgnąć po nią z niefrasobliwym uśmiechem. Tak czy inaczej, jej kościana igła wybrała właśnie ciemniejszy wątek.

Wyrđ bid ful arced.

ROZDZIAŁ CZWARTY

*Dopóki pośród kling szczęku i grotów zdradliwych
Aethelred Pogromca krocie łbów rozszczepiał,
dopóty krwią pogańską przybierała rzeka.
Takoż Aldhelm, wojownik przezacny,
w najgorętszy bitewny parł zamęt,
panu idąc w sukurs, wrogów kładł łan za łanem...*

Ów wiekopomny poemat liczy niezliczoną ilość wersów. Trzymam stos pergaminów, na których spisano kłamliwą opowieść. Wkrótce pochłona ją płomienie. Ojcowie owej przydługiej bajdy nie raczyli choćby wspomnieć mego imienia, co samo w sobie jest już dostatecznym powodem, bym nie wahał się cisnąć bałamutnych kart w ogień. Mężczyźni odchodzą - podobnie jak kobiety i wszystkie żywe istoty - a wszystko, co po nich pozostaje na tym świecie, to dobre imię, którego brzmienie długo jeszcze dobiega ludzkich uszu niczym pogłos wiecznie żywej pieśni. Dlaczego więc miano by wychwalać właśnie Aethelreda? Wprawdzie stawał pod Fearnhamme na równi z innymi, jednakże tamtego pamiętnego dnia to ja rozstrzygnąłem losy bitwy, a nie mój szczywany pociotek.

Mógłbym opłacić własnych pieśniarzy, by przelali na pergamin swoje wersy, wszelako ci chętniej oddają się wychylaniu garnców ale i wylegiwaniu się na zalanym słońcem dziedzińcu. Zresztą jeśli mam być szczery, kompania wierszokletów nuży mnie niepomrotnie. Znoszę ich jedynie przez wzgląd na upodobania mych gości, w czas uczt znajdujących przyjemność w przysłuchiwaniu się harfistom i ich chwalebnym pieśniom, którym zazwyczaj wtórują gromkie toasty na cześć opiewanych śmiałków.

Prawdę powiedziawszy, do przejrzenia owych zdatnych jedynie na opał pergaminów skłoniła mnie zwyczajna ludzka ciekawość. Nabyłem je od mnicha wędrującego od dworu do dworu w nadziei uzyskania paru sztuk srebra w zamian za odpisy podobnych dzieł. Nietrudno zgadnąć, iż zakonnik ów przybył z ziem niegdysiejszej Mercji. Nie dziwi mnie wcale, iż tamtejsi poeci rozślawiają męstwo swych krajan pod niebiosą - gdyby tego nie czynili, ziemia ich ojców mogłaby zostać do szczętu zapomniana. Toteż układają niestworzone historie, brak im wszakże polotu, z jakim zazwyczaj słudzy Kościoła głoszą swe kłamstwa. A przecież annały, w których utrwała się nasze dzieje, spisywane są przez duchowieństwo, skutkiem czego nawet człowiek małego serca, zawsze znajdujący dość sił w nogach, by nie stanąć oko w oko z wrogiem, może być spokojny o pamięć o sobie, jeśli tylko szczerze sypnie srebrem

na kościelną posadzkę. Jego imię utrwalone zostanie na wieki wraz z przypisanymi mu nieprawnie mężnymi czynami.

O naszym powodzeniu pod Fearnhamme zadecydowały dwie decyzje. Przede wszystkim bezbłędne wyczucie Steapy, który wraz z ludźmi Alfreda włączył się do bitwy w najodpowiedniejszym po temu momencie. Spoglądając wstecz, z całą jasnością zdaję sobie sprawę, jak mało brakowało, by stało się inaczej. Wszak aetheling Edward został mianowany dowódcą połowy armii i zarówno jego zdanie, jak i stanowisko eldormana Aethelreda miały o wiele większą wagę niż osąd Steapy. Na szczęście gdy tytułarni dowódcy wydali rozkaz do przedwczesnego wymarszu z Aescengum, zwalisty Sas wyraził stanowczy sprzeciw. Alfred nie dał posłuchu swym krewniakom - wprawdzie stary król był nazbyt schorowany, by samemu poprowadzić armię w bój, miał jednak dość rozsądku, by zawierzyć zwierzęcemu wyczuciu wytrawnego wojownika. I tak dzięki dowódcy królewskiej straży nasza konnica uderzyła na tyły armii Haralda akurat wtedy, gdy najeźdźcy byli w rozsypce, jako że połowa z nich nie zdążyła sforsować brodu na Wey.

Drugą decyzją, która przyczyniła się do zwycięstwa, był wydany moimi ustami rozkaz przejścia do niespodziewanego szturmu, który w mgnieniu oka roztrzaskał mur tarcz Haralda. Kieł dzika nie jest niezawodnym sposobem na złamanie wrogiego szyku, ale tamtego dnia przyniósł zamierzony skutek, a stało się tak po części dlatego, że mieliśmy przewagę, nacierając z góry. Nadto Duńczycy, widząc, jak Sasi krwawo rozprawiają się z ich kompanami po przeciwnej stronie rzeki, podupadli na duchu. Toteż ich pokonaliśmy.

*Pan Bóg łaskawy zwycięskie nam zesłał anioły
i Aethelreda, któren po wsze czasy błogosławiony.
On to pogański mur strzaskał, grotami zjeżony.
A z nim w bój szedł cny Edward, Alfredowe dziecię,
nad którym brać anielska roztaczała pieczę,
on to widział, jak Aethelred jarla na wpół siecze...*

Rozważywszy rzecz na zimno, zdecydowałem, że nie rzucę plugastwa na pastwę płomieni. Zamiast tego podrę wierszydło na poręczne skrawki i pozostawię w wychodku.

Byliśmy zbyt znużeni, by urządzić pogoń za rozproszonymi niedobitkami. Nasi ludzie, odurzeni szalonym atakiem i odniesionym zwycięstwem, chwycili za znalezione w duńskich sakwach bukłaki wypełnione piwem, syconym miodem bądź frankijskim winem i wnet się upili. Niektórzy chwyтали ciała poległych najeźdźców i zaciągali je na brzeg, by puścić je z prądem rzeki. Umarlaków było tak wielu, iż zatrzymujące się na filarach mostu zwłoki

spiętrzyły się, formując zwałowisko ciał, skutkiem czego wody Wey poczęły się podnosić.

Zdobyczne zbroje i oręż rzucono na stosy. Nieliczni jeńcy zostali zapędzeni do jednej ze stodół, a pozostałe przy życiu duńskie kobiety i dzieci - otoczone przez saskich wartowników - lamentowały na przyległym podwórzu. Skade uwięziono w pustym spichrzu, przy którym wartowało dwóch ludzi z mej straży. Alfred, jak należało się spodziewać, udał się wprost do kościoła, by oddać się dziękczynnym modłom. Śladem władcy ciągnęła długa kolumna księży i mnichów. Biskup Asser, widząc mnie, przystanął. Omiótlszy zimnym spojrzeniem zasłane trupami błonia i pijanych zwycięstwem wojowników, składających łupy w kopiaste sterty, zatrzymał na mnie swój nieprzyjazny wzrok. Przez długą chwilę przypatrywał mi się bez słowa. Na jego nieodgadnionym zazwyczaj obliczu malowało się nieskrywane zdumienie, jakby Walińczyk przyglądał się jakiemuś dziwolągowi w rodzaju dwugłowego cielęcia, jakie ku uciesze gawiedzi pokazuje się na jarmarkach. Wreszcie, wzdrygnąwszy się, dołączył do spieszących na mszę. Gestem przywołał stojącego nieopodal Edwarda, by szedł za nim.

Aetheling jednak wyraźnie się ociągał. Królewski syn wydawał się cokolwiek speszony - widać było po nim, iż pragnie coś rzec, chociaż nie ma pojęcia, jakich słów użyć. By wybawić go z opresji, odezwałem się pierwszy:

- Wszyscy cieszymy się twoim zwycięstwem, panie.

Młodzieniec zmarszczył brwi i przez okamgnienie wahał się, wyraźnie skonsternowany, lecz naraz zebrał się w sobie.

- Nie jestem durniem, eldormanie Uhtredzie - stwierdził z wysoko uniesionym czołem.

- Podobna myśl nigdy nie powstałaby mi w głowie - odrzekłem.

- Musisz udzielić mi nauk - podjął już spokojniej.

- Względem czego, panie?

Edward szerokim gestem wskazał otaczające nas pobojowisko i przez jedno uderzenie serca na jego obliczu odmalowała się zgroza.

- Jak dokonuje się czegoś podobnego... - wyrzucił z siebie.

- Cała rzecz sprowadza się do tego, aby przeniknąć zamysły przeciwnika, panie - stwierdziłem - a następnie udatnie je pokrzyżować...

Miałem rzec coś nadto, gdy w prześwicie między chałupami dojrzałem Cerdica. Już odwracałem się w tamtą stronę, ale słysząc głos Assera, surowo przywołującego Edwarda do siebie, obejrzałem się na biskupa. Kiedy znów skierowałem wzrok na wiejski zaułek, po znajomej postaci nie było już śladu. „Przecież w ogóle nie mogło go tam być” - tłumaczyłem sobie, jako że na moje wyraźne życzenie Cerdic miał pozostać w Londynie, aby strzec bezpieczeństwa Giseli. Uznałem zatem, że było to jedynie przywidzenie, jakie może się

przydarzyć, gdy człowieka opada nagłe znużenie.

- Spójrz, com ci przyniósł, panie. - Sithric, którego niegdyś przyjąłem do służby, a gdy wyuczył się wojennego rzemiosła, wcieliłem do straży przybocznej, położył u mych stóp długą kolczugę. - Jest przetykana złotymi ogniwami, panie - dorzucił podekscytowany.

- Zatrzymaj ją dla siebie - powiedziałem.

- Panie? - Młodzik wpatrywał się we mnie wielkimi oczyma.

- Twa połowica, zdaje się, ma słabość do zbytku? - zapytałem. Sithric poślubił ladacnicę, Ealhswithę, chociaż starałem się odwieść go od tego zamiaru, a wreszcie zwyczajnie wzbronilem ożenku. Wybaczyłem mu potem jawne nieposłuszeństwo, a ku memu zdumieniu ich małżeństwo okazało się ze wszech miar szczęśliwe. Jego owocem była para krzepkich chłopców. - Bierz, kiedy dają - rzekłem krótko.

- Wielkie dzięki, panie. - Sithric skłonił się i poniósł z ziemi chrześzczącą zbroję.

Czas spowolnił swój bieg.

Nie pojmuję, jak to się dzieje, że jedne zdarzenia z mego życia zasnute są mgłą niepamięci, a inne stają mi przed oczyma z całą jasnością. Dziwi mnie, że nie jestem w stanie przypomnieć sobie, co działo się wokół, kiedy prowadzony przeze mnie kiel dzika skruszył szyki Haralda. Czy mój wzrok napotkał wzrok jarla? Czy rzeczywiście widziałem, jak świeżo utoczona z końskich wnętrzności posoka kroplami odrywa się od brody Krwawowłosego, gdy ten szarpnął głową? A może patrzyłem wówczas na wojownika pilnującego lewego boku duńskiego wodza? Coraz więcej wspomnień ulatuje mi z głowy, pamiętam jednak wszystko, co stało się zaraz po tym, jak Sithric pochylił się, by zgarnąć z drogi przetykaną złotem kolczugę. Widziałem wówczas, jak przez wezbrany bród przeprawia się wojownik prowadzący na wodzy kilkanaście schwytych za rzeką wierzchowców. Ze zbitej masy ciał - spiętrzonych na wysokości zrujnowanego mostu - dwóch mężczyzn wyszarpywało poległych, by wrzucić ich na powrót do wody, poza powstałą z trupów zaporę. Przypominam sobie nawet, iż jeden z nich miał gęstą rudą czuprynę, a drugi - wyraźnie czymś ubawiony - roześmiał się na całe gardło, zginając się przy tym wpół. Nieco dalej, w zakolu rzeki, trzech ludzi strącało truchła Duńczyków ze skarpy, jedno po drugim, niweczając tym samym wysiłki pracującej poniżej pary. Bliżej, pośrodku drogi, wychudzony kundel drapał się zawzięcie, a obok Osferth, bękarci syn Alfreda, rozprawiał z Aethelflaed, żywo gestykulując. Pamiętam, że zastanowiło mnie, dlaczego inercyjska pani gawędzi ze swym bratem z nieprawego łoża, miast wraz z ojcem, mężem i bratem modlić się w kościele. Przemknęło mi przez myśl, że Aethelflaed i Osferth wyraźnie przypadli sobie do serca. Następnie moje spojrzenie podążyło za Oswim - pacholkiem, którego niedawno przyjąłem do służby - trzymającym Smocę za uzdę. Chłopak

zatrzymał się, by zagadnąć wieśniaczkę, co uprzytomniło mi, że mieszkańcy Fearnhamme powracali już do swych sadyb, najpewniej z pobliskiego lasu, gdzie - jak dorozumiewałem - zawczasu skryli się, widząc zbliżającą się do brodu konnicę. Dostrzegłem także kobiecinę w szaroburej kapocie, pochylającą się nad leżącym w błocie martwym wikingiem. Widziałem, jak wyciąga zza pazuchy kozik i obcina upierścieniony palec leżącego. Wciągnąłem nosem powietrze, w którym wyraźnie wyczuwalny był odór krwi. Uniosłem głowę ku niebu i ujrzałem kołującego nad mną głową kruka. Jak urzeczony wpatrywałem się w jego czarne, pobłyskujące błękitem nieboskłonu skrzydła. Naraz poczułem przyływ ogromnej radości. „Czyżbym miał przed oczyma jednego z Odynowych posłańców²⁴? - pomyślałem. - Jeśli to on, wieść o masakrze już wkrótce dotrze do uszu samych bogów”. Wydaje mi się, że roześmiałem się nawet w głos, chociaż w mej pamięci owe wspomnienia zachowały się jako pozbawione jakiegokolwiek dźwięku, jak gdyby wszystko odbywało się w zupełnej ciszy.

Ciszę przerwało dopiero nieśmiałe nagabnięcie Aethelflaed.

- Panie? - Mercyjska pani stała teraz naprzeciw i patrzyła mi prosto w oczy. - Uhtredzie? - zwróciła się do mnie po przyjacielsku.

Wtedy, o parę kroków za jej plecami, ujrzałem Finana, a obok niego Cerdica i naraz pojąłem wszystko. Wiedziałem, co chcą mi powiedzieć. Aethelflaed zbliżyła się i ujęła moje ramię.

- Uhtredzie?

Nie mogłem wydusić słowa. W przyglądających mi się błękitnych oczach ujrzałem łzy.

- Połóg - powiedziała półszepem.

- Nie - wykrztusiłem przez ściśnięte gardło. - Nie.

- Tak - odrzekła z uderzającą prostotą, a Finan posłał mi pełne bólu wejrzenie.

- Nie - ozwałem się zduszonym głosem.

- Matka i dziecko - dopowiedziała jeszcze ciszej.

Nie wiem nawet, czy zacisnąłem powieki, czy pociemniało mi w oczach. Gisela odeszła. Czarna zasłona przesłoniła słońce i pochłonał mnie mrok.

Wyn eal gedreas. To jeden z wersów pieśni, którą poeci wyśpiewują niekiedy w halli mego dworu. Wyjątkowo smutnej pieśni, a przez to bardzo prawdziwej. *Wyrđ bid ful arced,* jak napomina nas twórca owej pięknej opowieści: „przeznaczenie jest wszystkim”. Następnie padają słowa: *Wyn eal gedreas.* „Zginęła wszelka radość”.

Iskra życia zagasła i ogarnął mnie mrok. Finan wyjawiał później, iż z mego gardła dobył się isticie wilczy skowyt. Być może, aczkolwiek zupełnie sobie tego nie przypominam. Nie trzeba

obnosić się z nękającą nas boleścią. Bard, który ukuł słowa „przeznaczenie jest wszystkim” powiada także, iż nasze najskrytsze myśli należy głęboko pogrzebać. „Posępna głowa niewiele zdziała - jak dalej mówi pieśń - a smętne myśli lepiej pozostawić niewypowiedziane”. Być może rzeczywiście zawyłem niczym ranny zwierz? Już nie pomnę. Wiem za to, że zaraz potem uwolniłem rękę z pogrzipiającego uścisku Aethelflaed i zakrzyknąłem do trójki spychającej ciała do rzeki powyżej mostu, by się pomiarkowali. A zaraz potem rozkazałem dwóm z nich, by dołączyli do oczyszczających zator powstały pomiędzy kruszejącymi rzymskimi filarami.

- Zadbaj, by wszystkie wierzchowce sprowadzono ze starego fortu - przykazałem Finanowi.

Byłem tak doszczętnie skołowany, że nawet nie pamiętałem o istnieniu Skade. Gdybym wówczas miał dość przytomności umysłu, by składnie rozumować, niechybnie pochwyciłbym Oddech Węża i wypruł wyrodną duszę z jej wspaniałego ciała. Jednakże dopiero znacznie później uprzytomniłem sobie, że Gisela umarła w tym samym czasie, kiedy Harald wymógł na mnie oswobodzenie swojej wybranki. Przyczyną śmierci mej ukochanej była rzucona przez wiedźmę klątwa. Jeszcze tego samego dnia Cerdic opuścił nasz dom nad Tamizą, niosąc mi straszną wieść. Jak powiadał, z ciężkim sercem wędrował przez ziemie, gdzie grasowali Duńczycy. Dotarłszy do Aescengum zbyt późno, podążył naszym śladem na pole bitwy.

Alfred, posłyszawszy ponurą nowinę, odnalazł mnie i ująwszy za ramię, poprowadził drogą przebiegającą przez Fearnhamme. Sędziwy monarcha kurczowo ścisnął mój łokieć i utykając powoli posuwał się naprzód. Wojownicy, widząc nas, kłaniali się z szacunkiem i usuwali z drogi. Władca najwyraźniej zbierał myśli. Co rusz brał głębszy oddech, jakby chciał się ozwać, lecz słowa zamierały mu w ustach, przemieniając się w westchnienia. Wreszcie zatrzymał się i zatopił we mnie przenikliwe spojrzenie.

- Doprawdy, nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego Bóg wystawia nas na tak okrutne cierpienia - rzekł, a ja odpowiedziałem milczeniem. - Twoja żona była istnym klejnotem - podjął, po czym umilkł, marszcząc brwi. - Będę się za ciebie modlił, erlu Uhtredzie. Obyś znalazł pocieszenie u twych bogów - rzekł po namyśle.

Były to chyba najprzychylniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałem z ust króla, którego pobożność zazwyczaj utrudniała nam porozumienie. Następnie władca zawiódł mnie do rzymskiej budowli, która zajęta została przez jego dwór. Zaraz przy wejściu natknąłem się na Aethelreda, ten jednak unikał mego wzroku. Ojciec Beocca zaś wprowadził mnie w niemałe zakłopotanie, albowiem pochwyciwszy mą wspartą na głównej miecza prawicę, zażarcie i głośno modlił się do swego boga, by ten umiłował się nad mą duszą. Płakał przy tym rzewnymi łzami. Beocca szczerze kochał Giselę, a to, że czciła starych bogów, nie zmniejszało jego

uczuc. Nawet biskup Asser, mimo że nigdy dobrze mi nie życzył, także znalazł dla mnie serdeczne słowo, zaś brat Godwin - niewidomy mnich, ponoć słyszający myśli Boga - uderzył w rzewny lament i wył przeciągle, póki Asser nie wyprowadził go z sali.

Z nadejściem wieczoru Finan siadł u mego boku ze słojem syconego miodu. Irlandczyk melodyjnym głosem śpiewał pieśni ze swych rodzinnych stron, długo w noc pojąc mnie, aż popadłem w senność. Tylko on widział moje łzy i nikomu się z tym nie zdradził.

- Mamy rozkazy, by wracać do Londynu - powiadomił mnie następnego ranka.

Pokiwałem smętnie głową, niezdolny do wykrzesania z siebie choćby krzty zainteresowania ciężącymi na mnie powinnościami.

- Król wraca do Wintanceaster - ciągnął Irlandczyk - zaś eldorman Aethelred i aetheling Edward udadzą się w pościg za Haraldem.

Niedobitki wikińskiej armii wycofywały się na północ, uwożąc ze sobą ciężko rannego wodza. Ledwie Duńczycy przeprawili się przez Tamizę, niezdolny do dalszej wędrówki jarl wydał rozkazy, by rozglądali się za dogodnym miejscem na założenie obozu. Drużyna Haralda znalazła schronienie na porośniętej ciernistymi krzakami wysepce o wiele mówiącej nazwie Torneie²⁵. Ów niewielki ostrów leży na rzece Colaun, nieopodal jej ujścia do Tamizy. Ludzie Haralda umocnili brzegi wałem ziemnym zwieńczonym kolczastą roślinnością. Eldorman Aethelred i aetheling Edward, podążając za zbiegami, wkrótce dotarli do naprędce stworzonego fortu i przystąpili do oblężenia.

Natomiast straż przyboczna Alfreda pod wodzą Steapy, posuwając się miarowo na wschód, przeczesywała kentyjskie ziemie i wypierała osiadłych tam Duńczyków, przy okazji odzyskując ogromne ilości zagrabionej przez najeźdźców zdobyczy.

Bitwa pod Fearnhamme okazała się prześwietnym zwycięstwem. Haralda zapędzono na podmokłą wysepkę - gdzie od powolnej śmierci głodowej mogła go wybawić jedynie gorączka gnilna - podczas gdy resztę jego rozbitej i rozproszonej armii wyparto z Wessexu. Duńczycy, którzy przeżyli pogrom, czym prędzej powrócili na okręty i odbili od saskich wybrzeży, chociaż, co było nieuchronne, wielu z nich miało wkrótce przyłączyć się do stojącej u północnych wybrzeży Kentu floty Haestena.

Ja zaś ściągnąłem na powrót do Londynu. Jeszcze teraz łzy stają mi w oczach, gdy wspomnę spotkanie ze Stiorrą, moją słodką, na póły osieroconą córeczką, która przytuliwszy się, ścisnęła mnie tak długo i mocno, jakby na zawsze chciała pozostać w mych objęciach. Spłakaliśmy się jak bobry. Kiedy tak trzymałem ją na rękach, czułem, że ta drobna istota jest jedyną rzeczą, dla której warto żyć. Mój ledwie odrosły od ziemi syn, Osbert, także chlupał, uczepiony sukienki mamki. Natomiast pierworodny, Uhtred Młodszy, nie pokazywał po sobie

żadnych uczuć. Najpewniej i jemu zbierało się na płacz, lecz nie chciał mazgaić się w mojej obecności. Obawiam się, iż jego powściągliwość nie była objawem męstwa, lecz przemożnej bojaźni, jaką wobec mnie odczuwał. Był grymaśnym i skłonny do hysterii dzieckiem, co niezmiernie mnie denerwowało. Zawsze go zachęcałem, by wyuczył się sztuki władania mieczem, lecz ćwiczenia szły mu wyjątkowo opornie. Kiedy po raz pierwszy zabrałem go na *Srebrzystego Wilka*, popłynęliśmy w dół rzeki - ku otwartym wodom - a łapserdak nie okazał najmniejszego choćby zainteresowania okrętem ani życiem na morzu.

Uhtred Młodszy stał u mego boku na półpokładzie dziobowym *Srebrzystego Wilka* tego dnia, kiedy ponownie natknąłem się na Haestena. Londyńskie nabrzeże opuściliśmy pod osłoną nocy, korzystając z odpływu. Sunęliśmy w dół rzeki, w której lustrze przeglądało się blade oblicze księżyca. Alfred wydał polecenie - wprowadzanie coraz to nowych zakazów i nakazów należało do jego ulubionych zajęć - by eldormani i tenowie oddawali swych synów na kościelne nauki. Ja wszakże nie zamierzałem dopuścić do tego, by biskup Erkenwald czy podlegli mu księża nauczali mego syna. Nie zależało mi zbytnio, by chłopak posiadał zdolność czytania i pisania, które to umiejętności, moim zdaniem, są cenione ponad miarę. Nade wszystko zaś nie chciałem, by słudzy Kościoła nękali młodzika swymi kazaniami. Biskup próbował wymóc na mnie podporządkowanie się nowemu prawu, ale utrzymywałem, że skoro Londyn należy do Mercji - co zgadzało się z ówczesnym stanem rzeczy - rozporządzenie Alfreda nie dotyczy mej rodziny. Jego wielebność zgromił mnie wzrokiem, lecz nie mógł wymóc, abym powierzył jego pieczy wychowanie chłopaka. Zawsze ponad wszelkie nauki przedkładałem cnoty wojownika, dlatego też, przygotowując Uhtreda Młodszego do morskiego wypadu, podarowałem mu zgrabny skórzany pancerz i pas z krótkim chłopięcym mieczem. Kazałem mu je przywdziać, aby oswajał się z bojowym rynsztunkiem. A smarkacz, zamiast z dumą nosić nowy strój, wydawał się nim skrepowany.

- Wyprostuj się - obsztorcowałem go - i opuść ramiona, zamiast kulic się jak złężnione szczenie!

- Tak, ojcze! - zaskomlił, jeszcze bardziej się garbiąc.

- Kiedy umrę, zostaniesz panem Bebbanburga - tłumaczyłem, a on dalej stał jak niemota, wbijając wzrok w deski pokładu.

- Trzeba, byś pokazał mu Bebbanburg, panie - zauważył Finan.

- Kto wie, może wkrótce to uczynię - odrzekłem.

- Zabierzemy chłopaka na Północ, na prawdziwą morską wyprawę! - Irlandczyk przyjaźnie poklepał mego syna po ramieniu. - To ci się spodoba, Uhtredzie! Jeśli się nam poszczęści, ujrzymy wieloryby!

Mój pierwotny wpatrywał się w Finana w milczeniu.

- Bebbanburg to potężna nadmorska warownia - wyłuszczyłem synowi. - Wyniosła, omiotana wiatrem i omywana falami niezdojta twierdza - mówiąc to, poczułem ukłucie żalu, jako że przez całe lata hołubiłem w sercu nadzieję, że panią Bebbanburga uczynię Gisełą.

- Niezdojta. Jak dotąd - dopowiedział kompan z Wyspy Irów - lecz my ją zdobędziemy.

- Zdobędziemy - powtórzyłem za nim, lecz nie czułem zapału do działania. Nawet wizja szturm na rodzinną warownię, zawłaszczoną przez mego wuja, nawet wizja zgładzenia Africa Uzurpatora i wszystkich jego zwolenników nie wzbudzały we mnie zapału. Odwróciłem się plecami do bladego, chermawego syna i stojąc pod wyrzezaną w drewnie wilczą paszczą na stewie, wbiłem wzrok w horyzont, gdzie ukazywało się wschodzące słońce. Gdy złota tarcza uniosła się nad połyskliwymi, lekko falującymi wodami, wśród oparów świtu, prześwieconych słonecznym blaskiem, ujrzałem przecinający nasz kurs sznur statków.

- Wiosła! - zawołałem. - Powoli naprzód!

Rzędy wiosel *Srebrzystego Wilka* podnosiły się i opadały miarowo, wspomagając odpływ niosący nas ku flocie.

- Wiosła w górę! - rozkazałem. Zwolniliśmy, potem zatrzymaliśmy się i ustawiliśmy burtą do spychającego nas na pełne morze prądu.

- To ani chybi Haesten - stwierdził po dłuższej chwili stojący u mego boku Finan.

- Wygląda na to, że rzeczywiście wynosi się z Wessexu - potwierdziłem. Byłem pewien, że mam przed sobą flotę samozwańczego jarla. Wkrótce dostrzegłem zmierzający w naszą stronę pojedynczy okręt. Blask słońca odbijał się od przesuwających się rytmicznie nad wodą mokrych piór. Pozostałe smocze łodzie parły dalej na północ. Chociaż ich nie policzyłem, od razu się zorientowałem, że jest ich więcej niż osiemdziesiąt. Zgodnie z przewidywaniami przemysłnego Duńczyka jego stacjonującą dotąd u brzegów Kentu flotę zasilili okręty ocalałych z rajdu na Wessex Haraldowych sojuszników. Statek prędko się zbliżał. - To *Smoczy Wędrowiec* - zauważyłem, bez trudu rozpoznając zgrabną sylwetkę okrętu, który wraz z trybutem pozostawiłem Haestenowi u brzegów Scaepege, w zamian za co przechera darował mi dwóch przystrojonych w wykwiłne szaty pacholców.

- Tarcze? - zapytał Irlandczyk.

- Niech leżą tam, gdzie są - zdecydowałem. Gdyby jarl chciał użyć siły, parłby na nas w kilka okrętów, dlatego kazałem pozostawić tarcze w brzuchu *Srebrzystego Wilka*.

Smoczy Wędrowiec zwalniał, a jego wiosła poczęły pracować wstecz. Zatrzymał się o pół długości statku od nas. Obie łodzie bojowe, ustawione do siebie burtami, kołysały się na łagodnej fali, tak iż wyraźnie widziałem zwrócone ku nam z zaciekawieniem brodate oblicza

wikińskich wiosłarzy. Ich szypra dostrzegłem dopiero, gdy wspiał się na półpokład sterowy. Był to, oczywiście, Haesten. Morski rozbójnik uniósł dłoń i machnął nią niedbale.

- Zaprosisz mnie na pokład?! - zawołał.

- Masz moje zaproszenie - odkrzyknąłem.

Zasiadający przy tylnych wiosłach *Smoczego Wędrowca* piraci zanurzyli pióra w wodzie i z podziwu godną wprawą obrócili długą łódź w miejscu, by nasze rufy się przybliżyły. Wiosła zostały złożone na stojaki i gdy obie burty niemalże się stykały, wódz łupieżców przesadził zręcznym skokiem dzielącą je przestrzeń. Na jego okręcie ujrzałem mężczyznę żywiołowo wymachującego do mnie rękoma. Rozpoznawszy w nim ojca Willibalda, odpowiedziałem na jego pozdrowienie i udałem się na półpokład rufowy, by powitać przybysza.

Jarl miał odkrytą głowę. Widząc mnie, rozłożył ręce jako wyraz niemożności ulżenia mym strapieniom. Milczał chwilę, jakby rzeczywiście szukał w myślach właściwych słów.

- Łączę się z tobą w żalu, panie - rzekł wreszcie z niekłamaną, jak mogło się zdawać, pokorą. - Nie potrafię znaleźć słów, eldormanie Uhtredzie - dorzucił po chwili, cokolwiek zmieszany.

- To była wspaniała kobieta - odparłem.

- Taką też miała sławę - oświadczył układowie - dlatego z prawdziwą przykrością przyjąłem wieść o jej odejściu, panie.

- Dzięki za dobre słowa - odrzekłem.

Haesten powiódł wzrokiem po zajmujących ławki wiosłarskie wojownikach, niewątpliwie po to, by przyjrzeć się ich rynsztunkowi, po czym zwrócił się do mnie:

- Wieść o tym nieszczęściu rzuciła cień na nowiny o odniesionym przez ciebie wspaniałym triumfie, panie.

- Czyżby to właśnie owe nowiny skłoniły cię do opuszczenia Wessexu? - rzuciłem oschle.

- Tak czy inaczej zamyślałem udać się w morską podróż, panie, w myśl tego, co uzgodniliśmy podczas naszego ostatniego spotkania - odparował gładko. - Co też właśnie czynię. Potrzebowaliśmy wszak czasu na dokonanie niezbędnych napraw. - Uważny wzrok jarla wyłowił Uhtreda Młodszeo i zatrzymał się na wzmocnianym srebrnymi płytkami pasie z mieczykiem. - To zapewne twój syn, panie?

- Zaiste, mój pierworodny - odrzekłem. - Uhtred Młodszy.

- Godziwie prezentuje się w bojowym rynsztunku - wódz piratów wciąż był zadziwiająco miły.

- Uhtredzie! - zawołałem. - Podejdźże tu!

Chłopak zbliżył się nieśmiało, rzucając na boki strwożone spojrzenia, jakby zewsząd

spodziewał się ataku. Wyglądał równie chwacko, co zestrachane kacze piskłę.

- Oto sławetny jarl Haesten. Duńczyk. Nastanie dzień, gdy spotkamy się na ubitej ziemi i położę go trupem - objaśniłem mu - chyba że to on najpierw mnie uśmierci.

- Wiking wydał z siebie stłumiony chichot, lecz mój syn nawet nie podniósł wzroku. - Gdybym zginał z jego ręki, na ciebie spadnie powinność zglądzenia go w zemście.

Gość spoglądał na stropionego dzieciaka, a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, wyszczerzył się w szelmowskim uśmiechu.

- A jak miewa się mój syn, eldormanie Uhtredzie? - zapytał, jak gdyby nigdy nic. - Jakże się sprawuje jako zakładnik?

- Jakiś miesiąc temu utopiłem bękartą w rzece - odrzekłem.

Haesten roześmiał się w głos, ubawiony naprędce wymyślonym łgarstwem.

- Mniejsza o to. Po cóż nam poręka w postaci zakładników - stwierdził beztróska. - Masz moje słowo, że dotrzymam warunków ustanowionej na Scaepege ugody. A gdybyś wątpił w moją prawdomówność, rozmów się z ojcem Willibaldem, który, jak amen w pacierzu, rozwieje twoje obawy. - Skinął w stronę *Smoczego Wędrowca*. - Nosiłem się właśnie z zamiarem wyprawienia księdza do Londynu z pismem do waszego króla. Ale skoro spotkaliśmy się w pół drogi, skorzystam ze sposobności i poproszę cię, byś przyjął go na statek.

- Tylko ojca Willibalda? - zdziwiłem się. - Czyż nie powierzyłem ci dwóch kleryków?

- Ten drugi zaniemógł - beznamiętnie odparł jarl - i umarł... obzarłszy się węgorzami. Zatem zgadzasz się zabrać ojca Willibalda do Londynu?

- Oczywiście - zapewniłem, przypatrując się niekończącemu się sznurowi smoczych łodzi. - Dokąd zmierzasz?

- Na północ - stwierdził oględnie. - Może do Wschodniej Anglii, a może dalej. W każdym razie na dobre opuszczam Wessex.

Wprawdzie Haesten nie kwapił się, by zdradzić mi swe zamiary, lecz przewidywałem, że jego flota zmierzała wprost do Beamfleot, gdzie pięć lat wcześniej rozegrała się wielka bitwa z wikingami. Nawet jeśli zakątek ten przypominał mu o poniesionej wówczas klęsce, był to nadzwyczaj dogodny port dla tak dużej floty. W tamtejszej zatoce Hothlege, osłoniętej od rozlewiska Tamizy wyspą Canninga, mogły stanąć nawet trzy setki smoczych łodzi. Co więcej, przystań ta była o tyle bezpieczna, iż górowało nad nią strome wzgórze, na którym od najdawniejszych czasów znajdowały się umocnienia niedostępnego grodu. W takiej ostoi morski zbójnik i jego zwolennicy mogli czuć się o wiele bezpieczniej niż w doraźnym obozie, który urządzili sobie na kentyjskim brzegu. Nie ulegało zresztą wątpliwości, iż zbudowali go

jedynie po to, by skłonić Alfreda do uiszczenia trybutu w zamian za obietnicę, że wikingowie opuszczą jego ziemie. Jak mogłem się teraz naocznie przekonać, ludzie Północy rzeczywiście porzucili saskie królestwo, chociaż tylko po to, by przenieść się w miejsce, gdzie ich bytność o wiele bardziej godziła w spokój Wessexu. Stojąc w Beamfleot, piraci zajmowali bowiem nadzwyczaj trudną do zdobycia pradawną twierdzę, znajdującą się o niespełna dzień żeglugi od Londynu. Co więcej, gdyby tylko zechcieli, mogli stamtąd uderzyć na Wessex. A znałem Haestena nie od wczoraj i niejednokrotnie miałem okazję przekonać się, na co stać przewrotnego Duńczyka.

Wracający z misji chrystianizacyjnej Willibald miał zgoła odmienne zdanie o samozwańczym jarlu. Po to, by ksiądz mógł przedostać się z okrętu na okręt, przysunęliśmy rufy obu łodzi tak blisko, iż niemalże się dotykały. Dopiero wtedy ojczulek odważył się przejść z jednej na drugą. A kiedy, kurczowo trzymając się burty, niezgrabnie wgramolił się na nasz półpokład rufowy, przyjaznymi słowy pożegnał się z Haestenem. Jarl wyszczerzył się na pożegnanie i przeskoczył na swój statek.

W sercu ojca Willibalda najwyraźniej walczyły sprzeczne uczucia. W jednej chwili jego oblicze ściągała głęboka troska, to znów rozpromieniało się w radosnym podnieceniu. Ksiądz kręcił się niespokojnie, nie mogąc znaleźć słów, by wyrazić stan swego ducha. Wreszcie zdobył się na odwagę.

- Panie - ozwał się zafrasowany - proszę, powiedz mi, że wieści, które słyszałem, to jedynie ludzkie wymysły.

- Niestety, ojcze, to najprawdziwsza prawda.

- Dobry Boże! - wysapał Willibald i przeżegnał się, opuściwszy głowę. - Będę modlił się za nią, panie, noc w noc modlił się za jej duszę i za dusze twych uroczych pociech... - Pobożny przyjaciel dostrzegł chyba me niechętnie spojrzenie, gdyż naraz jego głos stał się niewyraźny i ścichł. Wkrótce jednak, nie mogąc opanować targających nim uczuć, odzyskał mowę: - Niosę wielkie nowiny, panie - wyrzucił z siebie z błogim uśmiechem. - Wspaniałe nowiny! - Znowu urwał i najwidoczniej nie mogąc znieść mego przepelnionego bólem wejrzenia, schylił się, by podjąć z pokładu rzucony ze *Smoczego Wędrowca* tobołek, w którym mieścił się cały jego skromny dobytek.

- Cóż to za nowiny?

- Jarl Haesten, panie - ksiądz wyłuszczył skwapliwie - zwraca się z prośbą do króla, by ten swą obecnością uświetnił chrzest jego małżonki i dwóch synów, panie! - Rozanielony Willibald wpatrywał się we mnie wyczekująco, jakby spodziewał się, iż pocznę skakać z radości.

- Nie może być. Haesten? - zdumiałem się.

- Ależ tak! Jarl pragnie, by jego rodzina przyjęła chrzest! Dopiero co skreśliłem list, w którym wódz zwraca się do króla w tejże sprawie! Jakże prędko pokazały się owoce naszego posłannictwa, panie! Żona jarla, niech dobry Bóg ma ją w swej opiece, ujrzała Światło Chrystusa! W jej sercu rozgorzało pragnienie zbawienia! Cna niewiasta łaknie miłości Pana naszego i Zbawcy. A, co nie mniej istotne, jej mąż gorąco popiera gotowość niebogi do nawrócenia.

Mój cierpki uśmiech i nieruchomy wzrok zdołały ostudzić entuzjazm ojca Willibalda jedynie na parę uderzeń serca, po których na nowo podjął swój wywód, i to ze zdwojonym zapałem:

- Czyżbyś nie pojmował doniosłości tego, co się stało, panie? Jeśli małżonka jarla się nawróci, wkrótce uczyni to także on sam! Często tak właśnie się dzieje, iż niewiasta, sama dostąpiwszy zbawienia, zjednuje męża. A prawy mężczyzna pójdzie za swą połowicą choćby i w ogień!

- Haesten chce tym sposobem uspić naszą czujność - odrzekłem sucho, obserwując, jak *Smoczy Wędrowiec* dołącza do długiego sznura ciągnących na północ okrętów.

- Jarl trapiiony jest ciągłym niepokojem duszy - oświadczył klecha. - Często mi o tym opowiadał. - Uniósł ręce, spoglądając na łopoczące skrzydłami ogromne stadowodnego ptactwa. - W niebiesiech panuje radość, ilekroć choćby jedna dusza obmyje się z grzechu. Zaprawdę, bliski jest dzień, gdy jego czarna dusza znajdzie odkupienie! A kiedy wódz przyjmie naszą wiarę, panie, jego ludzie pospieszą za jego przykładem i przyjdą do Chrystusa!

- Jakiż tam z niego wódz! - parsknąłem. - Haesten to żalosny wypierdek! A jedyne, co trapi parszywego mąciwodę, to nieposkromiona żądza zawładnięcia wszystkim, na czym spocznie jego wzrok, ojcze. Przyjdzie jeszcze do tego, że będziemy zmuszeni go ubić.

Willibald, nie mogąc już dłużej znieść przebijającej z mych słów goryczy, zostawił mnie własnym myślom i przysiadł się do Uhtreda Młodszeo, z którym wkrótce wdał się w rozmowę. Przyglądałem się im obu i zachodziłem w głowę, czemu syn z takim zajęciem wsłuchuje się w słowa księdza, podczas gdy moje słowa zwykle traktuje ze źle skrywaną obojętnością, jeśli nie jawną niechęcią.

- Mam nadzieję, że nie zaprzątasz mu głowy jakimiś szkodliwymi bzdurami - rzuciłem gniewnie.

- Rozprawiamy o ptakach, panie - z uśmiechem odrzekł duchowny. - Zastanawiamy się właśnie, dokąd odlatują na zimę.

- Dokąd?

- Do zamorskich stron? - usłyszałem w odpowiedzi.

Odpyw powoli tracił na sile, wody uspokoiły się na krótko i zaczął się przypyw. Siedziałem na pokładzie rufowym wsparty o burtę i oddawałem się ponurym rozmyśleniom, pozostawiając wiosło sterowe w rękach Finana. Wioślarze pochylali się miarowo, spokojnymi, długimi pociągnięciami piór wspomagając działanie pchającego nas w górę rzeki prądu. Któryś z nich zaintonował pieśń ku czci boga mórz Aegira i jego żony Ran, która dała mu dziewięć córek. Wędrujący po wodnym przestworze szyprowie, którzy nie obłaskawiają dziewięciu władających falami cór Aegira, mogą już nigdy nie zobaczyć stałego lądu. Załoga śpiewała moją ulubioną pieśń, lecz nie dałem się porwać jej rytmowi - słowa morskiej opowieści wydawały mi się wówczas pozbawione wymowy, więc nie przyłączyłem się do nich. Pograżony w milczeniu, wpatrywałem się w tuman dymu nad Londynem - kładący się mrocznym cieniem na szarzejącym letnim niebie - i śledząc malejące w oddali ptaki, zazdrościłem im lekkości, z jaką wzbijają się w górę i znikają w przestworzach.

Pismo, które Willibald skreślił na polecenie Haestena, rozbudziło w Alfredzie nowe pokłady wiary w ludzi. Władca orzekł, iż list ów jest widomą oznaką przychylności niebios, a biskup Erkenwald, ma się rozumieć, skwapliwie się z nim zgodził. Bóg, pokarawszy pogan na błoniach Fearnhamme - jak; wszem i wobec głosił jego wielebność - wnet sprawił kolejny cud, sprowadzając duszę Haestena na drogę prawości. Przeto wyprawiono Willibalda do Beamfleot, aby zaprosił Duńczyka do Londynu. Właśnie tam miała się odbyć uroczystość, podczas której Alfred i Aethelred postanowili pełnić rolę ojców chrzestnych przyjmującej nową wiarę rodziny jarla: jego małżonki Brunny i dwóch synów - Haestena Młodszego i Horika. Dostojnicy dworscy, przejęci doniosłymi zdarzeniami mającego się ku końcowi lata, puścili w niepamięć niecny podstęp Duńczyka i nikt już nie dbał o ułomnego pacholka udającego Horika, którego jarl miał czelność podsunąć mi jako zakładnika, zarzekając się przy tym, że to jego latorośl.

Rzekomy Horik, chociaż głuchy i niemy, okazał się wcale bystrym młodzieńcem, o czym przekonałem się, gdy wcieliłem go do mej przydomowej straży. Harald - gdyż tak zacząłem na niego wołać - wkrótce zajął się pracami w zbrojowni, gdzie ze znajomością rzeczy ostrzył broń, wykazując przy tym niebywały zapał w przyswajaniu kunsztu posługiwania się narzędziami służącymi do zadawania śmierci.

Pod swój dach przyjąłem również Skade, której losem nikt inny się nie interesował. Z początku trzymałem sekutnicę uwięzioną w kojcu, który kazałem ustawić w izbie przylegającej do mej alkowy, chcąc w ten sposób ukarać wiedźmę za wyrządzone mi krzywdy. Wnet jednak pojąłem, że upokarzanie branki nie zwróci mi ukochanej. Zresztą trzymanie Dunki w niewoli

wydawało mi się bezcelowe, jako że osaczony przez saskie zastępy Harald Krwawowłosy tkwił na wyspie Torneie, gdzie nie mógł już nikomu zagrozić. Któregoś ranka zabrałem Skade na pokład niewielkiego, przeznaczonego do żeglugi rzecznej statku, po czym wyruszyłem w górę rzeki.

Towarzyszających mi trzydziestu ludzi zasiadło do wiosł i zanim słońce wspięło się zbyt wysoko, pokonaliśmy niewielką odległość, dzielącą londyńskie przystanie od miejsca, gdzie Colaun oddaje swe wody Tamizie. Następnie, wiosłując niespiesznie, wpłynęliśmy w ujście pomniejszej strugi. Wkrótce wśród rozlewisk ukazał się pas trzciny, za którym dostrzeżliśmy umocniony kolczastą roślinnością ziemny wał. Na tymże spłachetku ziemi schronił się ranny jarl wraz z niespełna trzema setkami wojowników. Za osłoną ciernistego ostrokołu dojrzeliliśmy groty włóczni wikińskich wartowników. Na podmokłej, omywanej przez leniwy nurt wyspie nie rosło ani jedno drzewo, przez co oblegani nie mogli wznieść żadnego solidnego schronienia. Ujście rzeki porastały podmokłe trzcinowiska, za którymi, po obu stronach wody, rozłożono saskie obozy. Przy każdym cumował obsadzony mercyjską załogą okręt - jeden nieco powyżej wysepki, a drugi poniżej - zamykając pułapkę, w której znalazł się jarl i jego ludzie.

- Twój luby zaszył się w tamtych zaroślach - powiedziałem Skade, wskazując pierścien trzciny, ponad którym ciemniała zwieńczona koroną cierni grobla.

Przykazałem sternikowi Ralli, by skierował łódź jak najbliżej wysepki, a kiedy jej dziób nieomal dotykał trzciny, chwyciłem brankę za ramię i powlokłem ją przód statku.

- Oto, gdzie króluje twój beznogi, pozbawiony przyrodzenia kochanek - rzekłem, powołując się na relację garstki Duńczyków, którzy opuściwszy Haralda pod osłoną nocy, oddali się w saską niewolę. Ich słowa potwierdziły moje podejrzenia, że Krwawowłosy padł rażony moim pchnięciem, które rozszczepiło jego lewe udo. Pamiętałem także, że Żądło Osy wsunęło się pod koszulę kolczą jarla i rozciąwszy ciało, zatrzymało się na kości. Pchnąłem wówczas mocniej, tnąc żyły i mięśnie, póki wierzchołek saksa nie uwiązał w pachwinie. Jeńcy zdradzili, że rozległa rana jątrzyła się i nogę trzeba było uciąć u samej nasady. Harald wprawdzie wywinął się śmierci, lecz stracił czucie w jedynej pozostałej mu nodze i przyrodzeniu. Przypuszczałem, iż tylko zapiekła gorycz okaleczonego jarla pozwalała mu utrzymać w ryzach drużynę, której los zdawał się przesądzony.

Skade, ubrana w zgrzebną, niewolniczą tunikę, przewiazaną sznurem ciasno oplatającym szczupłą talię, bez słowa wpatrywała się w kolczaste opłotki, ponad którymi tu i ówdzie połyskiwały groty włóczni trzymany przez niewidocznych z pokładu wojowników.

- Najpierw spałaszowali konie - podjąłem - a teraz pozostaje im już tylko łapanie ryb i

chwytywanie węgorki w wiklinowe pułapki. Niedługo zaczną piec żaby.

- Przeżyją - głucho ozwała się Dunka.

- Są osaczeni - odrzekłem ze wzgardą - i nie mogą liczyć na to, że Alfred opłaci ich złotem, by odeszli. Z nastaniem mrozów zaczną przymierać głodem i zmuszeni będą się poddać, a wtedy król każe ich ścinać, jednego po drugim.

- Przeżyją - powtórzyła, już mocniejszym głosem.

- Jesteś wieszczką?

- Tak - przytaknęła spokojnie, a wtedy moja dłoń samorzutnie poszukała młota Thora.

Przepełniała mnie nienawiść do tej kobiety, choć nie mogłem oderwać od niej oczu. Bogowie obdarzyli ją prawdziwie zabójczą urodą. Skąd była smukła, zwinna i lśniąca jak dobra klinga. Bijącego od niej blasku nie przyćmiewały ni upokorzenia, ni brud, ni łachmany niewolnej. Ostre rysy jej twarzy były łagodzone zmysłowymi ustami. Także moi ludzie wodzili za nią wzrokiem. Doskonale wiedziałem, czego pragną. Chcieli, bym im ją oddał, a następnie zgładził. Władająca magią harda Dunka wzbudzała w nich przemożną bojaźń, ale i równie gwałtowne pożądanie. Ja także znajdowałem się pod wpływem jej zniewalającego uroku. Mimo iż trwałem w przekonaniu, że za sprawą jej klątwy utraciłem Gisełę, i mimo iż wiedziałem, że Alfred nie sprzeciwiłby się, gdybym wiedźmę ukatrupił - nie mogłem zdobyć się na to, by pozbawić życia tę olśniewającą piękność.

- Jesteś wolna. Skacz - rzekłem, wskazując wyspę.

Zwróciła ku mnie swe wielkie ciemne oczy, wyrażające nieme pytanie.

- Skacz, mówię - ponagliłem brankę. Wprawdzie dziób okrętu dzieliła od płaskiego brzegu niewielka odległość, przyszło mi jednak do głowy, że woda może być głęboka, dlatego zapytałem: - Umiesz chyba pływać?

- Umiem.

- To idź do niego - powiedziałem i czekałem na odpowiedź. W końcu dorzuciłem z drwiną:

- Już nie chcesz być królową Wessexu?

Odwróciwszy się na powrót ku ponurej wysepce, Skade ozwała się półszepem:

- Mam sny, w których przychodzi do mnie Loki.

Loki jest największym przecherą spośród niebian, wiecznym utrapieniem Asgardu, można by rzec - bogiem, który swymi zuchwalstwami po wielokroć zasłużył sobie na śmierć. Kiedy chrześcijanie prawią o podstępym wężu, zamieszkującym ich krainę wiecznej szczęśliwości, od razu przychodzi mi na myśl Loki.

- Czy namawia cię do złego? - zapytałem.

- Jest smutny - wyjaśniła - i opowiada o swych troskach. A ja koję jego smutki.

- I jak owe sny mają się do tego, czy skoczysz za burtę?

- Nie takie jest moje przeznaczenie - stwierdziła.

- Czy tak właśnie powiedział ci Loki?

Przytaknęła.

- Czy mówił ci także, że zostaniesz królową Wessexu? - dopytywałem.

- Tak - odrzekła bez zmruczenia powiek.

- Odyn jest od niego potężniejszy - rzekłem i poczułem żal do Odyna, że osłaniał Wessex, zamiast uchronić moją ukochaną Giselę od najgorszego. Zastanawiało mnie, dlaczego pod Fearnhamme bogowie odwrócili się od czczących ich pogan, pozwalając, by zwyciężyli wyznawcy Chrystusa. Ale zmienność jest naturą bogów. Niebianie są kapryśni i przewrotni, lecz żaden nie dorównuje sprytem Lokiemu. Dlatego spytałem ostro: - A co teraz radzi ci Loki?

- Pogodzić się z losem.

- Nie potrzebuję cię - odparłem. - Skacz, pływ i zejdz mi z oczu.

- Nie takie jest moje przeznaczenie - raz jeszcze powiedziała z dziwną obojętnością, jakby w jej duszy ledwie tliło się życie.

- A jeśli zwyczajnie wypchnę cię za burtę?

- Nie uczynisz tego - stwierdziła bez wahania.

Miała rację. Pozostawiłem ją pod wygiętą dziobnicą i przeszedłem na rufę. Obróciliśmy się dziobem w dół rzeki i niesieni wartkim prądem spłynęliśmy Tamizą do Londynu. Tego wieczoru wypuściłem brankę z kojca, w którym dotąd zamykano ją na noc. Przykazałem też Finanowi, by nikt z moich ludzi nie ważył się jej tknąć ani powstrzymywać, gdyby zapragnęła wolności. Następnego ranka spotkałem ją, gdy przypatrywała mi się w milczeniu, przycupnięta pod filarem, na dziedzińcu mego domu.

Przydzieliłem ją do zadań kuchennych. Służba i inni niewolni wystrzegali się wiedźmy, gdy snuła się po domu, bez słowa omiatając wszystko nieodgadnionym spojrzeniem. Moi ludzie - po większej części chrześcijanie - kiedy tylko obojętna na wszystko Dunka pojawiała się w ich polu widzenia, czynili w powietrzu znak krzyża. Niemniej moje rozkazy, by jej nie tykano, zostały uszanowane. Skade była wolna - mogła w każdej chwili odejść i doskonale o tym wiedziała - a jednak pozostała. Trudniąc się pracą w kuchni, z łatwością mogła nas potruć, lecz wszyscy pozostaliśmy w zdrowiu.

Jesień przyniosła dojmująco zimne wiatry. Kościelni emisariusze zostali wyprawieni do Walii i dalej, do zamorskich krain, by na tamtejszych dworach obwieścić, iż rodzina Haestena ma zostać nawrócona, oraz sprosić gości na chrzest i towarzyszące mu ceremonie. Wynikły z

zachcianki Duńczyka zamęt pozwalał przypuszczać, że Alfred przypisywał gotowości morskiego zbója do przywiedzenia żony i synów przed chrześcijański ołtarz, nie mniejsze znaczenie niż zwycięstwu pod Fearnhamme. Najlepszym tego świadectwem były okazjonalne sztandary, jakimi dla uświetnienia przybycia nawracających się grzeszników udekorowano londyńskie ulice. Król przybył do miasta w przeddzień uroczystości późnym popołudniem i wśród rozszalałej nawałnicy pospieszył wprost do górującego nad miastem biskupiego pałacu. Z siedzibą Erkenwalda sąsiedował niedawno pobudowany kościół, gdzie tego wieczoru odprawiano dziękczynne nabożeństwo, w którym nie brałem udziału, mimo że otrzymałem zaproszenie.

Następnego ranka zabrałem moje trzy pociechy do pałacu Aethelreda. Eldorman Mercji i jego żona - zachowujący pozory układowego małżeństwa, gdy wymagał tego ceremoniał - także zjechali do Londynu. Aethelflaed zaproponowała, bym przyprowadził dzieci, aby mogły spędzić czas wspólnie z jej córką, a ja skwapliwie przystałem na ową serdeczną propozycję.

- Czyżbyś miała zamiar wykipić się od kościelnych obowiązków? - zapytałem.

- Ależ skąd, ma się rozumieć, że będę w kościele - odrzekła z uśmiechem - jeżeli tylko Haesten nie wystawi nas do wiatru i raczy się pojawić.

Tymczasem w mieście rozbrzmiały wszystkie dzwony, obwieszczając rychłe przybycie Duńczyków. Słyszając je, ludzie poczęli tłumnie wylęgać na ulice pomimo siekącego deszczu, przygnanego przez przenikliwy wschodni wiatr.

- Haesten niebawem dobije do londyńskich nabrzeży - oznajmiłem.

- To pewne?

- Ruszył w drogę wraz z nastaniem świtu - wyjaśniłem.

Miałem ludzi rozstawionych na brzegach rozszerzającego się ku morzu koryta Tamizy. Ci pozapalali stopy ostrzegawcze, zanim jeszcze słońce pokazało się nad horyzontem, dzięki czemu wiedziałem, kiedy okręty wyruszyły z Beamfleot w górę rzeki - a stało się to na długo przed tym, jak można je było spostrzec z londyńskich czatowni.

- Jestem przekonana, że obłudnik uknuł sobie to wszystko, ażeby wkraść się w łaski mego ojca.

- To załgany łachudra - przyświadczyłem.

- Jak nic dybie na tron Wschodniej Anglii - mówiła dalej. - Eohric to niedołączny władca. Jestem przekonana, że Haesten chce zająć jego miejsce.

- Niewykluczone - odrzekłem bez większego przekonania - jednakże największą ambicją tego łotra jest zawładnięcie ziemiami Wessexu.

Królewska córka potrzęsła złocistymi lokami.

- Mój mąż ma w otoczeniu jarla zaufanego człowieka, który upewnia go, iż morski łotrzyk zamysła najechać Grantaceaster.

Wspomniany przez nią gród był siedzibą ówczesnego wschodnioangielskiego władcy, także Duńczyka. Haesten żywił królewskie ambicje, co nie było dla nikogo tajemnicą. Jego zwolennicy byli z pewnością wystarczająco liczni, by wynieść go na tron zajmowany przez Eohrica, który - jak się ogólnie zgadzano - najlepsze lata panowania miał już za sobą. Było wiadomym, że Guthrum - poprzednik Eohrica - zawarł z Alfredem ugodę²⁶ stanowiącą, iż sprawy Wschodniej Anglii nie leżą w gestii władcy Zachodnich Sasów. Zatem gdyby Haesten rzeczywiście nosił się z zamiarem odebrania korony podstarzałemu, rezydującemu w Grantaceaster krajanowi, czy dokładałby starań, by przejednać świętoszkowatego władcę Wessexu? Nie, dlatego miałem pewność, że samozwańczy jarl pragnął władztwa nad Zachodnimi Sasami, lecz to, co stało się pod Fearnhamme, dało mu do myślenia. Toteż pozostawała mu tylko jedna droga do tronu, a wiodła ona przez Mercję, krainę, gdzie panowało bezkrólewie.

- Widzi mi się, że w drodze do korony Wessexu będzie chciał najpierw zostać władcą Mercji - stwierdziłem.

Po krótkim namyśle Aethelflaed stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie, bo doskonale wie, że wypowiadając nam wojnę, sprowadziłby sobie na kark Zachodnich Sasów. Poza tym przeczyłoby to doniesieniom zauszniaka mego męża, który zna zamysły Haestena.

- To się jeszcze okaże - stwierdziłem.

Młoda matka czujnym spojrzeniem ogarnęła dokazujące w przyległej bawialni dzieci. Te zajęte były rzezanymi w drewnie zabawkami.

- Uhtred jest już wystarczająco duży, by pobierać kościelne nauki - zauważyła.

- Nie wychowuję go na chrześcijanina - odrzekłem stanowczo.

Królewska córka uraczyła mnie promiennym uśmiechem. Jej modre oczęta błysnęły figlarnie, a urocze lico przybrało swawolny wyraz, jaki pamiętałem z jej dziewczęcych lat.

- Jak widzę, drogi erlu Uhtredzie - rzekła z udawaną przyganą - uparcie przesz pod prąd.

- A ty, pani? - zaciekawilem się, wspominając czasy, gdy idąc za głosem serca, o mały włos nie odpłynęła na wikińskiej smoczej łodzi z jarlem, który czcił starych bogów.

- Płynę tam, gdzie poniesie mnie okręt mego męża - westchnęła, a ledwie dopowiedziała te słowa, zjawiała się służba z nagłym wezwaniem, by Aethelflaed dołączyła do małżonka. Ponoć łódź Haestena była już widoczna z murów miejskich.

Duńczyk przyplłynął na pokładzie *Smoczego Wędrowca*. Przybił do jednego z butwiejących

pomostów, ciągnących się poniżej mego domu. Tam powitali go Alfred i Aethelred - obaj przystrojeni w wytworne, obszyte futrem płaszcze i paradne korony z połyskliwego brązu. Zadęto z trąby. Do fanfar dołączył rytm werbli. Ich pulsujące tętno jednak rychło straciło na żywości wskutek wzmagającej się ulewy, przez co rozmokłe bębny zamilkły zupełnie. Haesten - najpewniej za radą Willibalda - pozostawił swe miecze na okręcie, a zamiast zbroi miał na sobie długi płaszcz z grubej skóry, tak mocnej, iż z powodzeniem mogłaby zatrzymać klingę najostrzejszej broni. Jego broda, jak uprzednio, zapleciona była w misterne warkocze, tym razem jednak ściągnięte siermiężnymi rzemieniami, lecz gotów byłem przysiąc, że w środkowym - i najgrubszym - ze splotów dojrzałem ukryty przemyślnie młot Thora. Małżonka i dzieci jarla, przybrani w pokutne białe szaty, boso stąpali po pnącej się na londyńskie wzgórze ulicy. Niska i pucołowata Brunna owego słotnego dnia miała przybrać nowe, chrześcijańskie imię. Niepozorna kobiecina strzelała niespokojnymi oczyma na lewo i prawo, bacznie obserwując zapełniający wąskie ulice tłum, jakby obawiała się napaści. Jej nieszczególna uroda wprawiła mnie w niemałe zdumienie, gdyż nie przystawała do wygórowanych ambicji Haestena, który pragnął być postrzegany jako znamienity pan mieczy. Dla mężczyzny o tak nieposkromionej dumie godna podziwu prezencja połowicy winna być równie istotna jak świetność jego rynsztunku czy mnogość idących z nim w bój wojowników. Domniemywałem zatem, iż jarl nie poślubił Brunny ze względu na jej wdzięki, lecz zasobność wniesionego przez nią wiana, które otworzyło gołodupcowi drogę do bogactwa. Przysadzistą niewiastę mogły wprawdzie wiązać z Duńczykiem śluby, lecz nic ponadto, albowiem nie wydawało się możliwe, by tych dwoje wspólnie przepędzało czas w halli, łożnicy czy gdziekolwiek indziej. Byłem przeświadczony, iż Haesten pozwolił jej przyjąć religię chrześcijańską, bowiem połowica nic dla niego nie znaczyła. Jarl wiedział doskonale, że Alfred, z nabożną powagą traktujący więzy małżeńskie, nie mógł przeniknąć myślą podobnego wyrachowania. Domyślałem się również, że równie obojętna jest mu kwestia chrztu synów. Spodziewałem się, że po odbiciu od londyńskich nabrzeży nakaże potomkom, by uznali całą uroczystość za niegodny uwagi żart, gdyż wiadomo, że dzieci z właściwą im naiwnością dają wiarę słowom kapłanów. Cała pociecha w tym, że większość ludzi wraz z wiekiem opamiętuje się w tej łatwowierności.

Procesję otwierała grupa wyśpiewujących hymny mnichów. Za nimi szły wymachujące zielonymi gałązkami dzieci, a potem znów zakapturzone postacie. Następnie cała sfera biskupów i opatów. Za klerykami postępował Steapa, który prowadził pięćdziesięciu ludzi z królewskiej straży, a następnie sam władca i zaproszeni przez niego dostojni goście. Alfred posuwał się naprzód z widocznym wysiłkiem. Wprawdzie pstrokaty wóz, który pozostawiłem

w lesie nieopodal Fearnhamme, został odzyskany, ale władca nie dał się namówić, by jechać nim do kościoła, gdyż trwał w uporze, iż pokorny chrześcijanin winien zbliżyć się do Boga o własnych nogach. Wypełniał więc zadaną sobie pokutę i z trudem włókł się pod górę, wspierając się na ramieniu Aethelreda. Parę kroków za podtrzymującym władcę małżonkiem noga za nogą postępowała Aethelflaed. Za nią kroczył Haesten wraz z rodziną. Pochód zamykali wysłannicy z walijskich i frankijskich dworów - przybyli, by być świadkami cudownego nawrócenia zamorskich bałwochwalców.

Jarl, wyraźnie nieswój, zatrzymał się u wrót kruchty, jakby obawiał się zasadzki. Dopiero zachęcony łaskawym słowem Alfreda ostrożnie przestąpił próg bożego przybytku, gdzie jedynym zagrożeniem mogli być dla niego zgromadzeni tam i zbici w czarną masę mnisi.

Nie uśmiechało mi się przebywanie w wypełnionym po brzegi kościele, lecz król posłał po mnie umyślnego z wyraźnym życzeniem, abym się tam zjawił. Toteż się stawiłem. Znalazłszy miejsce pod tylną ścianą, oparłem się o nią i przyglądałem snującym się z wysokich świec smugom dymu. Łomot nawałnicy napierającej na chroniącą nasze głowy strzechę chwilami zagłuszał jednostajne pieśni kleryków. Ludzie, którzy nie zmieścili się wewnątrz kościoła, zgromadzili się na niewielkim placu, gdzie także panował ścisk. Stojący w drzwiach kruchty ksiądz powtarzał im słowa biskupa Erkenwalda, a oni sterczeli wśród ulewy, słuchając przemokniętego, stojącego na stołku kleryka, grmiącym głosem intonującego słowa liturgii, by słyszano go wśród wycia wichury i chlupotu deszczu tłukącego o kamienie.

Na podniesieniu, u stóp ołtarza, stały trzy beczki, spięte srebrnymi obręczami i na wpół wypełnione wodą z Tamizy. Z wielkim trudem udało się namówić Brunnę, by weszła do stojącej pośrodku faski. Nieboraczka wdrapała się na jej krawędź i z okrzykiem trwogi opuściła się do środka, po czym - skrzyżowawszy dłonie na piersiach - poczęła dygotać. Jej synów bezceremonialnie wrzucono do pozostałych dwóch beczek, po czym biskupi Asser i Erkenwald chwycili warząchwie i zaczęli polewać głowy strwożonych chłopców zaczerpniętą z pojemników wodą.

- „Ujrzałem Ducha, który jak gołębica zstępował z nieba i spoczął na nich!”²⁷ - zakrzyknął Asser.

Następnie obaj kościelni dostojnicy oblali wodą z warząchwie długie włosy Brunny i ogłosili jej nowe, chrześcijańskie imię - Aethelbrun. Na uśmiechniętym obliczu Alfreda malował się błogi zachwyty. Potem trójka przemoczonych Duńczyków stała, trzęsąc się jak osiki, podczas gdy chór przystrojonych w śnieżnobiałe tuniki dzieci odśpiewywał niemiłosiernie długą pieśń. Wtedy, co doskonale pamiętam, Haesten niespiesznie obrócił głowę, a napotkawszy mój wzrok, uniósł jedną brew. Jego oczy błysnęły z uciechy, a na ustach

bląkał się uśmiech, który jarl starał się powściągnąć. To przelotne, aczkolwiek znaczące spojrzenie tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że drań z niemałą uciechą przyglądał się upokarzającej kąpieli, jaką na oczach wszystkich urządzono jego pulchnej ślubnej.

Zaraz po uroczystości Haesten przeprowadził z Alfredem poufną rozmowę i niedługo potem udał się do portu, obładowany szczodrymi podarkami. Król, prócz wspaniałego srebrnego krucyfiks i odpisu wszystkich ewangelii, podarował rodzinie jarla wypełnioną srebrem szkatułkę i relikwiarz zawierający palec świętej Ethelburgi²⁸, zakonnicy, która - jak powiadano - została uniesiona do nieba na złotych łańcuchach, dlatego nie pojmuję, jak mogła pozostawić na ziemi ów palec. *Smoczy Wędrowiec* odbijał od nabrzeży wśród istnego oberwania chmury. Z brzegu słyszałem jeszcze, jak Haesten wydaje wioślarzom komendy. Ci wysunęli pióra z dulek i zawiesili je nad wodą, po czym kilkadziesiąt wiosł jednocześnie zanurzyło się w brudnych wodach Tamizy, a duński okręt z gwałtownym szarpnięciem ruszył na wschód.

Z nastaniem wieczoru wyprawiono przyjęcie, by uczcić doniosły dzień. Haesten, jak się domyślałem, grzecznie wymówił się od udziału w owej biesiadzie, co mogło zostać poczytane za poważne uchybienie - jako że jadło i ale zostały przygotowane na jego cześć - jednakże postępowanie jarla wydało mi się całkiem mądre. Wprawdzie na królewski dwór nie wolno było wnosić broni, lecz zaprawieni piwem wojownicy zawsze skorzy są do bitki - a tak Sasi i Duńczycy nie mieli okazji, żeby się wadzić. Zresztą przepelniony radością Alfred nie żywił żalu do gościa, który odjechał bez zaznania uroków uczy. Król czuł, że bliski jest już dzień, gdy przyjdzie mu umrzeć, cieszył się więc, że w późnej jesieni żywota jego bóg okazał się dla niego nadzwyczaj przychylny, pozwalając mu ujrzeć doszczętnie rozbite zastępy Haralda i przyjmującą chrzest rodzinę Haestena.

- Mogę odejść spokojny o losy Wessexu - powiedział w mojej obecności Erkenwaldowi.

- Będziesz nam panował jeszcze przez długie lata, czcigodny panie - ze służalczą pokorą odrzekł sługa Kościoła.

Monarcha poklepał klechę po ramieniu.

- Wszystko w rękach Boga, drogi biskupie.

- A Bóg słucha próśb oddanych mu dusz, panie.

- Przeto módl się za powodzenie mego syna - z żarem poprosił władca, spoglądając na Edwarda, nieśmiało zajmującego miejsce przy ustawionym na podniesieniu honorowym stole.

- Dniami i nocami zanoszę do Wszechmogącego modły w tej intencji, panie - solennie zapewnił biskup.

- Zatem zwróć się do Niego także teraz - ochoczo podjął Alfred - i poproś Boga, by

pobłogosławił nasze przyjęcie!

Erkenwald, odczekawszy, aż król zasiądzie za wysokim stołem, odmówił na głos długą modlitwę, prosząc swego boga, by łaskawie pobłogosławił poczęstunek - który tymczasem stygł na stołach - po czym podziękował mu za ład, jaki zapanował w Wessexie, a w końcu wyraził życzenie, by pokój trwał po wsze czasy.

Chrześcijański bóg okazał się głuchy na te pobożne prośby.

Dręczyło mnie przecucie, że królewskie przyjęcie nie przyniesie niczego dobrego. Sądzę, że złąknionym uciechy bogom zbrzydło przypatrywanie się panującej na dworze Alfreda niczym niezmaconej szczęśliwości. Znużeni niebianie, tak jak to mają w zwyczaju, postanowili się zabawić i rzucili kośćmi.

Uczta odbywała się w głównym pomieszczeniu rzymskiego pałacu - wzniesionego z cegły i marmuru, którego ściany Sasi łatali słomą, wikliną i gliną. Na podwyższeniu, gdzie zazwyczaj stał tron, tego dnia znajdował się podłużny, nakryty zielonym sukrem stół na kozłach. Przy nim, pośrodku, zasiadał król, mając po prawicy małżonkę, Aelswith, a po lewicy córkę, Aethelflaed. Wyjąwszy służbę, były to jedyne obecne na sali niewiasty. Aethelred siedział obok swej połowicy, a Edward przy matce. Pozostałe sześć miejsc przy wysokim stole zajmowali biskupi Erkenwald i Asser oraz najznacniejsi posłowie z innych królestw. Pod ścianą, na skraju podniesienia, przycupnął harfista, wyśpiewujący pochwalną pieśń na cześć chrześcijańskiego boga.

Poniżej, wśród potężnych kolumn, przy czterech długich stołach biesiadowali pozostali goście - klerycy i wojownicy. Ja rozsiadłem się w najdalszym i najciemniejszym kącie sali, pomiędzy Finanem a Steapą. Nie ukrywam, iż byłem w wyjątkowo podłym nastroju. Ubolewałem nad kłującą w oczy prawdą - Haesten srodze zakpił sobie z Alfreda. Król, bez wątpienia jeden z najroztropniejszych ludzi, jakich znałem, miał jedną słabość - ślepą wiarę we wszechmoc swego boga. Dlatego nie powstało mu nawet w głowie, że za pozorną ustępliwością jarla kryje się zimne wyrachowanie. Co więcej, matactwa wodza łupieżców jawiły się władcy jako cudowne zrządzenie niebios. Ma się rozumieć, że monarcha wiedział - chociażby z relacji zwiadowców, tak własnych, jak i opłacanych przez zięcia - o planach Duńczyka dotyczących wschodnioangielskiego tronu, lecz to nie miało dla niego większego znaczenia, jako że kraj Wschodnich Anglów już wcześniej scedował na współrodaków jarla. Rzecz jasna, królowi Zachodnich Sasów marzyło się wyrwanie owych niegdyś utraconych ziem z duńskich rąk, wiedział jednak, że jest to jedynie pobożne życzenie, którego ziszczenie nie leży w jego mocy. W ostatnich latach panowania Alfred lubił nazywać siebie władcą

Angelcynnu²⁹ - przez które to słowo rozumiał zarówno zjednoczone królestwo Anglów i Sasów, jak też ludność wszystkich zakątków Brytanii, gdzie posługiwano się anglosaską mową.

Zarazem jasno zdawał sobie sprawę, że ów tytuł jest jedynie wyrazem jego pragnień, które nie odpowiadały rzeczywistości. Prawda, za jego władztwa Wessex urósł w siłę, opierając się najeźdźcom, monarsze udało się także podporządkować swej woli Anglów i Sasów z południowej Mercji. Jednakże pozostałe krainy Angelcynnu znajdowały się pod duńskim władztwem i Alfred niewiele mógł na to poradzić. Miał wszakże powód do słusznej dumy, bowiem podźwignięte przez niego królestwo dało twardy odpór potężnej armii Haralda, tym samym zniechęcając Haestena do najazdu i skłaniając go do ochrzczenia swych bliskich.

Zadręczałem się podobnymi myślami, jednym uchem słuchając pomruków Steapy. Finan niekiedy raczył mnie niewybrednymi żartami, a ja udawałem, że się uśmiecham, ale tylko wyglądałem chwili, kiedy będę mógł opuścić królewskie progi. Urządzane przez Alfreda biesiady nie były ani wystawne, ani wesołe. Ale nie dolewano zbyt szczerze, a jedyną rozrywką były nabożne pieśni, których nie oszczędzono nam i tym razem. Najpierw trzech mnichów odśpiewało ciągnącą się w nieskończoność łacińską litanię, a potem grupka malców w zgrzebnych sukniach uraczyła nas wytym do wtóru harfy wierszykiem, w którym Sasów przyrównywano do boskiej trzody. Władca z błogim uśmiechem przysłuchiwał się dziecięcemu zawodzeniu.

- Urzekające! - zawołał, gdy kocia muzyka nareszcie umilkła. - Doprawdy urzekające!

Naszły mnie obawy, że jego szalony zachwyty będzie miał ten skutek, że raz jeszcze przyjdzie nam słuchać szczenięcego jazgotu. Na szczęście biskup Asser wybawił nas z opresji, albowiem wychyliwszy się w tył - za plecami Aelswith - rzekł do monarchy coś, co sprawiło, iż królewskie oczy zapłonęły żywszym blaskiem. Alfred, wypatrzywszy wśród gości okoloną szceciną tonsurę swego ulubieńca - ślepego zakonnika - zakrzyknął podekscytowany:

- Bracie Godwinie, dawno już nie słyszeliśmy twego śpiewu!

Młody mnich struchlał, najwyraźniej zdumiony królewskim życzeniem, lecz sąsiad pochwycił go za łokieć i powiódł przed podniesienie, podczas gdy mająca pieczę nad dziecięcym chórem zakonnica wyprowadziła maluchy z sali. Harfista uderzył w struny z końskiego włosia. Zacząłem powątpiewać, czy pozostawiony na środku sali zakonnik zbierze się na śmiałość, gdyż z początku stał jak skamieniały. Lecz w miarę jak powłóczyły ruchy grajka nabierały mocy, osadzona na chudej szyi głowa brata Godwina poczęła kolebać się w tył i w przód, jakby szarpana niewidoczną siłą. A kiedy z jego ust jęły się dobywać żałośliwe jęki, wielu spośród przyglądających się temu mężczyzn uczyniło znak krzyża.

- To istny pomylenieć - mruknąłem półgębkiem do Finana.

- Nic podobnego, panie - odparł szeptem. - To człek opętany przez moce. - Sięgnął dłonią do zwisającego mu z szyi krucyfiks i podjął szeptem: - W Irlandii widziałem podobnych mu wieszczbiarzy.

- Duch przemawia przez jego usta - dorzucił z przejęciem Steapa.

Alfred, dosłyszawszy przyciszoną rozmowę, zgromił nas spojrzeniem, więc umilkliśmy. Tymczasem ciałem Godwina poczęły targać spazmy. Mnich prężył się i skręcał, wymachując rękoma. Naraz wrzasnął potężnie. Przeraźliwy krzyk odbił się pogłosem od ścian. Dym, snujący się z metalowych koszy wypełnionych płonącymi drwami, kłębił się nad głową trawionego szalem zakonnika, po czym, porywany przez ciąg powietrza, ulatywał przez dymnik w wieńczącej rzymską salę strzesze.

O wiele później dowiedziałem się, że brat Godwin pozostawał zamknięty w celi klasztornej w Aethelingaeg, gdzie znalazł go biskup Asser. Młody, niewidomy zakonnik został uwięziony, gdyż tamtejszy opat uważał go za niebezpiecznego szaleńca. Walijski biskup jednak, przekonany, że dziwak rzeczywiście słyszy głos swego boga, kazał go oswobodzić, a potem przywiódł przed oblicze Alfreda. Władca zaś - słysząc, iż stojąca przed nim niespokojna dusza przybywa z Aethelingaeg - uznał to za obiecujący omen, jako że w tamtych stronach sam znalazł schronienie przed laty, pewnej strasznej zimy, gdy on sam, jak i całe jego królestwo stały na skraju zagłady.

Jęki Godwina przeszły w przejmujące, pełne boleści zawodzenie. Harfista, niepewny, co ma czynić, poniechał gry, za to zamknięte na tyłach pałacu królewskie ogary, słysząc donośny, opętańczy lament mnicha, odpowiedziały nań przeciągłym skowytom.

- Duch Święty zstępuje z niebios - wyszeptał Finan, żegnając się pospiesznie.

Godwin, naprężywszy ciało, wyrzucił z siebie niemożliwy wrzask, jak straceniec, któremu wyszarpnęto wnętrzności.

- Chwała Panu Wszechmogącemu - odezwał się Alfred, gdy przebrzmiał okrutny krzyk.

Król i cała jego rodzina w nabożnym skupieniu wpatrywali się w mnicha, zastygłego z ramionami rozpostartymi niczym ukrzyżowany chrześcijański bóg. Wówczas zakonnik powoli opuścił ręce i dygocząc na całym ciele, począł przemawiać. Jego głos to słabł i stawał się chrypliwy, to znów przybierał za siłę, przechodząc w przejmujące skrzeczenie. Jeśli owo urywane rżenie uznać za śpiew, niewątpliwie byłaby to najbardziej osobliwa pieśń, jaką słyszałem w całym moim długim życiu. Zrazu recytacja zakonnika brzmiała niczym bełkot, w którym nie sposób rozróżnić słów. Dopiero po jakimś czasie jakanina przybrała kształt spójnych zdań. Mnich ogłosił Alfreda bożym wybrańcem, a Wessex ziemią obiecaną - krainą

miodem i mlekiem płynącą. „Łono niewiasty to macierz wszelkiego grzechu i szkaradzieństwa, jakie pleni się na świecie. Służące Panu anioły rozpostarły nad nami obleczone zaświatowym światłem skrzydła. Pan Wszechmocny zapłonął świętym gniewem. Wody Izraela obróciły się w krew. Wielka Nierządnicza z Babilonu kryje się pośród nas”³⁰.

Wyrzuciwszy z siebie to ostatnie zdanie, urwał nagle. Harfista - z cicha wtórujący wieszczbie, odkąd udało mu się odnaleźć ukryty w niej rytm - wstrzymał drgające struny. A mnich, ze zdumieniem na twarzy, począł się obracać, tocząc wkoło zaszlými bielmem oczyma.

- Wielka Nierządnicza! - rzekł gromko. - Nierządnicza! Nierządnicza! Wielka Nierządnicza kryje się pośród nas! - wykrzykiwał raz po raz. A potem miauknął piskliwie, padł na kolana i począł szlochać.

Wszyscy siedzieli osłupiali. W nagłej ciszy dał się słyszeć świst wiatru w dymniku. Pomyślałem o moich dzieciach, bawiących się w komnatach Aethelflaed, i przyszło mi do głowy pytanie, czy rzucane przez odmieńca okrzyki dobiegają aż do ich uszu.

- Nierządniczaaa... - zawył ze złością Godwin, przeciągając potępieńcze słowo w długi warkliwy skowyt. Później uspokoił się i wyglądał, jakby odzyskał rozum. Wstał, zwrócił się w stronę królewskiego podniesienia i rzekł swoim zwykłym głosem: - Wielka Nierządnicza kryje się pośród nas, panie.

- Nierządnicza? - wykrztusił Alfred.

- Wielka Nierządnicza! - zakonnik ryknął rozdzierająco, jakby znów ogarniało go szaleństwo, ale rychło doszedł do siebie i dodał: - Wielka Nierządnicza, czcigodny panie, to czerw trawiący owoc, to szczury pustoszące spichrze, to plaga żarłocznej szarańczy w zbożu, to wyrodna choroba wiecznie nękająca Bożego Syna. To ona pogrąża naszego Pana w żalu, panie - wyluszczył ze skargą w głosie, a później uderzył w płacz.

Prawicą musnąłem zawieszzone na szyi wyobrażenie Thora. Godwin miał ze szczętem pomieszane zmysły, co do tego nie było wątpliwości, niemniej wszyscy chrześcijanie wlepiali w niego cielejące spojrzenia, jak gdyby mieli przed sobą przybyłego z niebios posłańca.

- Gdzie leży Babilon? - po cichu zapytałem Finana.

- W bardzo dalekich stronach, panie - odpowiedział mi szeptem. - Tak odległych jak Rzym, a może i odleglejszych?

Zakonnik łkał bezgłośnie, nie odzywając się ani słowem. Alfred zachęcił gestem harfistę, by podjął grę. Rozbrzmiała fala dźwięków, a młody wieszcz, poderwawszy ogoloną głowę, jął recytować, aczkolwiek tym razem jego pieśń nie współgrała już z muzyką.

- Babilon to gniazdo diabłów i demonów - zawył. - Za sprawą szatańskiego pomiotu nie urosnie chleb. Wszetecznicza, źródło wszelkiego zła, kryje się wśród nas. Wszetecznicza

ostatnie wydała tchnienie. Antychryst tchnął w nią nowe życie na nasze zatracenie! Dość!

Złęczniony harfista, do którego najwyraźniej odnosiła się nagła komenda, posłusznie przesunął dłońmi po wibrujących strunach, tłumiąc ich dźwięk.

- Bóg stoi po naszej stronie - pełnym łaskawości głosem rzekł Alfred. - Któż więc miałby nas wytracić?

- Wielka Nierządnicą może nas wszystkich przywieść do zguby, panie - pospieszył z wyjaśnieniem biskup Asser i zdawało mi się, chociaż nie mogłbym przysiąc, że mówiąc to, zawadził o mnie spojrzeniem. Wątpię jednak, by mógł mnie dojrzeć, gdyż siedziałem w najdalszym i pograżonym w półmroku zakątku sali biesiadnej.

- Nierządnicą, ty głupcze! - szalencie bluznął w twarz władcy. - Wielka Nierządnicą!

Nikt go nawet nie zganił, mimo iż jawnie znieważył króla.

- Atoli Bóg ustrzeże nas od złego! - stanowczo stwierdził biskup Erkenwald.

- Wielka Nierządnicą wemknęła się pomiędzy nas, ale oddała ducha, Bóg zrzucił ją w piekielne czeluście, by szeszła. Lecz za sprawą siły nieczystej jawno grzesznica powróciła do żywych - Godwin podjął nieustępliwie. - I teraz znów jest wśród nas! A ciągnący się za nią plugawy swąd mąci spokój zbożnego ludu! Bezwstydnicą musi opuścić ten świat. Musi zostać poćwiartowana, a każda część jej sprośnego ciała rzucona w bezdenną morską otchłań! Tak przykazuje nasz Pan! Bóg w niebiesiech łka, bowiem wierni nie przestrzegają jego poleceń. A teraz nakazuje, by Nierządnicą dała głowę! Bóg cierpi! Bóg zalewa się łzami, które spadają na świat jako kule ognia! Sprawczynią boleści bożej jest Wielka Nierządnicą!

- Jaka nierządnicą? - spytał Alfred, a Finan położył mi dłoń na ramieniu.

- Najpierw zwała się Gisela - syknął zakonnik.

Zrazu sądziłem, że musiałem się przesłyszeć. Spojrzenia biesiadników skupiły się na mnie, Irlandczyk zaciskał mi dłoń na ramieniu, a ja wciąż nie dowierzałem uszom. Wówczas szalony mnich podjął swą śpiewkę:

- Gisela, Wielka Nierządnicą, to dziś Skade. Wypchana ścierwem wywłoka w ludzkim przebraniu, rozpustnicą śmierdząca rozkładem, piersiate szatańskie łajno, Wielka Rozpustnicą, Gisela! Nasz Pan zgładził to łęgowisko nierządu, a ona wróciła jako Skade!

- Nie - usłyszałem przyciszoną przestrożę Finana, gdy podniosłem się, odtrącając powstrzymującą mnie dłoń przyjaciela.

- Erlu Uhtredzie! - król surowym tonem starał się przywołać mnie do porządku. Biskup Asser wpatrywał się we mnie wężowym wzrokiem, podczas gdy jego podopieczny ciskał się i mi uwłaczał. - Erlu Uhtredzie! - ponownie zawołał władca, uderzając pięścią w stół.

Wyszedłem na środek, chwyciłem kościste ramię ślepeca i okręciłem nim tak, że wieszcz

stał do mnie twarzą.

- Erlu Uhtredzie! - Monarcha wstał.

- Łiesz, mnichu - rzuciłem, wpatrując się w białe, niewidzące oczy młodzieńca.

- Rozpustna suka! - wydarł się, splunął mi w twarz i jął z furią tłuc pięściami w moją pierś. - Twoja żona była kochanicą szatana, latawicą, ubliżającą naszemu Panu ohydną wywłoką! Tak jak ty jesteś narzędziem szatana, bezwstydną suczy oblubieńcu! Pławiący się w grzechu bezbożniku!

Na sali zapanowało ogólne wzburzenie. Nie byłem świadom niczego prócz dławiącego, wzbierającego gniewu, wściekłym skowytom wypełniającego mi uszy. Nie miałem przypasanych mieczy, przebywałem wszak w królewskim pałacu. Zakonnik w obłąkańczym szale młócił pięściami, a przy tym niecierpliwie mi urągał, więc odwiodłem prawicę i wymierzyłem cios.

Pięść omsknęła się po twarzy furiata, który sobie tylko znanym sposobem przeczuł niebezpieczeństwo i uczynił szybki unik. Jednakże udało mi się wybić mu szczękę, tak iż jego parszywa, skrwawiona gęba wyraźnie się przekrzywiła. Godwin wypluł ząb i próbował odwzajemnić uderzenie, wykonując szeroki zamach.

- Dość! - huknął król. Jego ludzie ruszyli ku nam, lecz ich ruchy wydały mi się niezmiernie opieszale. Tymczasem klecha plunął na mnie krwią.

- Suczy przydupas! - o ile dobrze zrozumiałem, wybełkotane chyba właśnie takie przekleństwo.

Wtedy zadałem kolejny cios i przetrąciłem mu kręgosłup.

Nie pragnąłem pozbawić go życia, a jedynie uciszyć. Lecz ku memu niepomiernemu zdumieniu, usłyszałem chrzęst łamanych kości i ujrzałem, jak głowa mnicha nienaturalnie zwiesza się na bok. Zakonnik zachwiał się i osunął prosto w żar najbliższego kosza z płonącymi polanami. Jego podgolona czupryna zajęła się jasnym płomieniem, a kiedy padł na płyty posadzki, był już gorejącym trupem, od którego bił swąd spopielonych włosów i przypalanej skóry.

- Pojmać go! - usłyszałem donośny głos Assera.

- Za to musi go spotkać śmierć! - wrzasnął biskup Erkenwald.

Alfred zatopił we mnie przepojone zgrozą spojrzenie. Jego małżonka, żywiąca do mnie zapiekłą nienawiść, zdzierła gardło, domagając się, bym zapłacił ze swe grzechy.

Finan chwycił mnie za ramię i pociągnął w stronę wyjścia.

- Pora nam wracać do domu, panie.

- Steapa, zatrzymaj go! - rozkaz Alfreda doszedł mnie już zza pleców.

Zwalisty dowódca straży pozwolił mi odejść, a to z racji wiążącej nas serdecznej przyjaźni. Wprawdzie postąpił w moją stronę, ale na tyle niespiesznie, abym bez przeszkód dotarł do drzwi, gdzie para strażników z ociąganiem zastawiła mi drogę. Wystarczyło wszakże groźne warknięcie Finana i skrzyżowane włócznie się rozsunęły. Irlandczyk powiódł mnie w ciemność.

- Umykajmy - przynaglił - co tchu!

I puściliśmy się biegiem po ulicy schodzącej ku ciemnemu pasmu rzeki, zostawiając za sobą martwego zakonnika i obłądny zamęt.

CZEŚĆ DRUGA

Wiking

PROLOG

Znalazłszy się w domu nad rzeką, powodowany przemożnym gniewem przemierzałem obszerną izbę tam i z powrotem, podczas gdy pochylony nad paleniskiem służebny - obawiając się odezwać - podsycił przygasły ogień. Wieści roznoszą się po mieście z niewiarygodną wprost chyżością. W przeciągu krótkiego czasu pod bramą mego domu zaroilo się od ciekawskich, czekających na dalszy obrót wydarzeń. Zbici w ciasną gromadę, stali w milczeniu i wpatrywali się we wrota jak sroka w gnat. Finan zawarł i zarygłował podwoje dające dostęp z ulicy na dziedziniec mojego pałacu, gdzie na podtrzymujących arkadowe krużganki filarach kazał zatknąć pochodnie. Gorejące głównie syczały w rześistym deszczu, a ich blask odbijał się w spływających wodą kamiennych płytach podwórca. Moi ludzie, po większej części zamieszkujący w pobliżu, przybywali jeden po drugim - niektórzy dobrze już podpici. Finan i Cerdic, wartujący przy wrotach, wpuszczali ich, przykazując udawać się wprost do zbrojowni, gdzie każdy przyoblekał zbroję i przypasywał broń.

- Spodziewasz się walki? - spytałem Irlandczyka.

- To wojownicy - odrzekł węzłowato.

Jego rzeczowa odpowiedź otrzeźwiła mnie, pobudzając do działania. Wciągnąłem na siebie kolczugę i przyodziałem się, jakbym sposobił się do boju. Me ramiona połyskiwały od złotych pierścieni. Przypinałem właśnie miecze, gdy zapowiedziano pojawienie się królewskiego emisariusza.

W pełnym splendorze pana bitew przyjąłem wysłannika, a okazał się nim ojciec Beocca. Mój stary przyjaciel przybył bez żadnej asysty, w przemoczonej do szczytu sutannie, której skraj oblepiało londyńskie błoto. Dygotał z zimna, przeto usadowiłem go na zydlu naprzeciw buzujących płomieni i opatuliłem jego zziębnięte ramiona futrzanym płaszczem. Siwy kapłan zapatrzył się w ogień i wyciągnął ku niemu władną rękę. Finan, przyprowadziwszy gościa, stanął na uboczu. Po chwili w wejściu pokazała się Skade. Napotkawszy jej wzrok, nieznacznym skinieniem głowy dałem jej do zrozumienia, że może zostać, Dunka przycupnęła więc w pograżonym w mroku kącie sali.

- Sprawdziłeś może, co kryje się pod posadzką? - naraz ozwał się Beocca.

- Pod posadzką?

- Rzymianie, którzy wzniesli ten dom - podjął - rozpalali ogień w piecu, skąd ciepło rozchodziło się wydrążonymi pod podłogą kanałami.

- Wiadomo mi o tym.

- A my budujemy otwarte paleniska i wybijamy dziury w dachach tych wspaniałych

budowli - dorzucił z westchnieniem.

- W tak zimną, dżdżystą noc nie powinieneś wytykać nosa za próg, ojcze. Nabawisz się jakiegoś choróbka - odrzekłem.

- Rzecz jasna, w wielu przypadkach podpodłogowe korytarze się zapadły - zauważył ksiądz, ciągnąc swój wywód, jakby rzeczywiście zajmowała go ta kwestia. Postukał w kamienne płyty laską, która od paru lat służyła mu jako podpora. - Jakkolwiek twoja posadzka zdaje się być w nienagannym stanie.

- Lubię zasiadać przy otwartym palenisku - odrzekłem.

- Zaiste, bije od niego ożywcze ciepło - zgodził się mój dawny opiekun i uśmiechnął się, spoglądając zdrowym okiem. - W klasztorze w Aescengum mnisi dopuścili do zalania wydrążonych pod podłogą kanałów nieczystościami, trzeba więc było rozebrać budynek i wznieść go od podstaw! Ostatecznie jednak znój okazał się wart zachodu, a niedbalstwo zakonników - istnym błogosławieństwem!

- Błogosławieństwem?

- Wśród łajna znaleziono zasobną składnicę złotych monet - wyłuszczył duchowny - co każe mi zgadywać, że Bóg, w swej przemyślności, pokierował klasztornymi nieczystościami, nie uważasz?

- Moi bogowie mają lepsze zajęcia niż babranie się w zafajdanym rynsztoku - rzuciłem cierpko.

- Toteż nigdy nie znalazłeś złota wśród swoich bobków! - odparował Beocca i roześmiał się, szczerze ubawiony własnym konceptem. - I tak oto, Uhtredzie - oznajmił z satysfakcją - nareszcie udało mi się wykazać wyższość mojego Boga nad twoimi wydumanymi bożkami! - Siwy ksiądz zwrócił ku mnie uradowane oblicze, które jednak zaraz spochmurniało. Zmarszczki staruszka zarysowały się wyraźniej, przydając mu posępny wyraz. Darzyłem opiekuna serdecznymi uczuciami, bowiem od najwcześniejszych lat uczył mnie ogłady. Wprawdzie skrupulatność księdza gniewała mnie w dzieciństwie, lecz nawet wtedy ceniłem jego wielkie serce.

- Masz czas do świtu - ozwał się strapiony i głośno wypuścił powietrze.

- Na co?

- By stawić się przed królewskim obliczem i okazać skruchę - odpowiedział ze znużeniem, jakby słowa, które wypowiadał, przywodziły go do rozpacz. - Staniesz przed Alfredem bez zbroi i mieczy, aby się ukorzyć. Przyrowadzisz też tę wiedźmę i oddasz ją w ręce monarszej straży. Wszystkie nadane ci w Wessexie ziemie zostaną skonfiskowane. Prócz tego zobowiązany jesteś do uiszczenia głów szczyzny na rzecz Kościoła - za dokonany na bracie

Godwinie mord. Nadto twe dzieci zostaną zatrzymane jako zakładnicy. Do czasu, gdy należność zostanie spłacona.

Zaległa cisza.

W palenisku przewróciły się przepalone drwa, śląc w powietrze wir iskier. Dwa z moich wilczarzy przyczłapały z sieni. Jeden z nich, obwąchawszy szaty gościa, zaskomlił z cicha, po czym oba ułożyły się przy ogniu i łypnąwszy na mnie smętnymi oczyma, przymknęły powieki.

- Owa główszczyzna - zapytał w moim imieniu Finan - w jakiej wysokości?

- Tysiąc pięćset szylingów - odrzekł Beocca.

Zaśmiałem się z niedowierzaniem.

- Dla okupienia śmierci obłąkanego mnicha?

- Dla okupienia mordu dokonanego na świętym mężu.

- Za opętanego dziwaka?! - wykrzyknąłem.

- Za kanonizowanego dziwaka - łagodnie sprostował Beocca.

Główszczyzna to kara pieniężna, jaką należy wnieść, popełniwszy bezzasadny mord. Jeśli komuś udowodni się przewinę, jaką jest niczym nieusprawiedliwione zabójstwo, winny zobowiązany jest do wynagrodzenia straty bliskim zmarłego bądź zmarłej. Wysokość kary, rzecz jasna, idzie w parze ze znaczeniem ofiary. Tak stanowi prawo. Jednakowoż wergild³¹, jakiego Alfred i jego Kościół zażyczyli sobie za głowę Godwina, wynosił tyle, ile trzeba by zapłacić za zgładzenie pomniejszego króla.

- Aby wnieść naznaczoną opłatę - zaprotestowałem - musiałbym spieniężyć wszystkie swoje posiadłości. A te, jak słyszę, mają zostać zajęte.

- Co więcej - rzeczowo dodał Beocca - król oczekuje, iż złożysz aethelingowi przysięgę dozgonnej wierności. - Sędziwy ksiądz miał w zwyczaju wpadać w złość, ilekroć przyszło mu się ze mną spierać, jednakże tamtej nocy, zamiast się zaciętrzewiać, mówił powoli, jakby odrętwiały.

- Zatem król umyślił sobie, że upokorzy mnie, wpędzając w skrajną nędzę - dopytywałem z goryczą - a zarazem uczyni dożywotnim sługą swego potomka...

- Zaś co do czarownicy - ciągnął gość, spoglądając ku mrocznemu narożnikowi, gdzie błyskały oczy owiniętej w czarną opończę Skade - zostanie odesłana tam, gdzie przynależy, to jest do domu swego małżonka. Skirnir wyznaczył nagrodę dla tego, kto mu ją przywiedzie.

- Skirnir? - zdziwiłem się, słysząc obce mi imię. - A kimże jest ów Skirnir?

- Jako rzekłem, jest to imię jej męża - cierpliwie wyjaśnił kapłan - rodem z Fryzji.

Zwróciwszy pytający wzrok ku przycupniętej w mroku Skade, ujrzałem, jak potakująco kiwa głową.

- Powrót do porzuconego męża - zauważyłem - może oznaczać dla niej zgubę.
- Zaprawdę nie masz własnych zmartwień? - sarknął Beocca.
- Uśmiercanie niewiast budzi mój sprzeciw, czyżby cię to dziwiło, ojcze?
- Jak Pan pouczał Mojżesza, odstępcy winni zostać straceni - stwierdził niewzruszony ksiądz. - Zresztą to nie tylko czarownica, ale i cudzołożnica. Zatem mąż ma święte prawo odebrać jej życie.

- Czyżby ów Skirnir był chrześcijaninem? - zainteresowałem się, popatrując to na duchownego, to na kobietę, lecz oboje zbyli pytanie milczeniem. - Czy grozi ci śmierć z jego ręki? - zwróciłem się do Dunki, która skinieniem potwierdziła moje obawy. - Podsumowując - upewniłem się, mierząc królewskiego wysłańca zimnym wzrokiem - dopóki nie uiszczę główszczyzny, nie poprzysięgnę służby Edwardowi i nie oddam Skade w ręce męża-kata, moje dzieci mają być przetrzymywane jako zakładnicy?

- Wolą króla jest, aby twoje dzieci do czasu dopełnienia warunków pozostały na dworze jego córki, pani Aethelflaed - wyłuszczył ojculek, po czym obejrzał mnie od stóp do głów i zapytał: - Dlaczegoż to paradujesz po domu w bojowym rynsztunku? - Nie doczekawszy się wyjaśnień, wzruszył ramionami i sam sobie odpowiedział: - Pewnie sądziłeś, iż król wyprawi po ciebie swoje straże?

- Owszem. Powziąłem takowe przypuszczenie.
- I ważyłbyś się stawić im opór? - Wydawał się wielce zdziwiony.
- Pokazałbym im, na co się porywają, chcąc mnie pojmać - odparłem oględnie.
- Opamiętaj się, Uhtredzie, już ubiłeś człowieka! - zaperzył się Beocca, odzyskawszy nieco wigoru. - Prawda, człek ów srodze ci naubliżał, ale przez jego usta przemawiał sam Duch Święty! Jak mogłeś podnieść na niego rękę, Uhtredzie?! Król wybaczyłby ci jeszcze pierwszy, zadany w gniewie, cios, ale ty uderzyłeś ponownie! I za to spotka cię słuszna kara! - wykrzyczawszy swe racje, oparł ręce na kolanach i jakby zapadł się w siebie, by po chwili podjąć ze znużeniem: - Zresztą główszczyzna nie wykracza poza twoje możliwości majątkowe. Biskup Asser domagał się o wiele pokaźniejszej sumy, lecz władca załagodził gniewne żądania Kościoła.

Jedno z polan bluznęło ognistymi błyskami. Suchy trzask rozbudził psy, które raptownie się wzdrygnąwszy, zaskomliły żałością. Płomienie, nabrawszy nowego życia, rozświetliły izbę, miotając wkoło długie, chybotliwe cienie.

Zbliżyłem się do paleniska.

- A właśnie, biskup Asser - rzuciłem w gniewie, patrząc gościowi prosto w twarz.
- Co właśnie?

- Godwin był jego podopiecznym.
- To prawda, biskup od samego początku dostrzegł w nim boskiego posłańca.
- Posłańca! - warknąłem. - Posłańca mającego utorować tej gnidzie drogę do zaspokojenia trawiących go ambicji, z których najpierwszą jest chęć pozbycia się mnie. - Od chwili gdy rażony mym ciosem Godwin wyzionął ducha, przywoływałem w pamięci zdarzenia zaszłe w czasie uczyty i doszedłem do przekonania, że każde wypowiedziane przez szalonego ślepeca słowo zostało mu włożone w usta przez opiekuna i wspomóżyciela. Biskup Asser, w przeświadczeniu, iż Wessex umocnił swą pozycję - jako że zakusy Haralda zostały zniweczone, a Haesten ukorzył się przed królem, przywodząc swych bliskich na uroczystość chrztu - zdecydował, iż Zachodni Sasi nie potrzebują już pogańskiego pana mieczy. Zatem podjudził swe obłąkane pomiotło, które władca uważał za boską wyrocznię, aby wrogo usposobić do mnie pobożnego monarchę. - Ten pokrętny kłęb walijskiego łajna urobił Godwina swymi podszeptami - stwierdziłem na głos. - Przez usta mnicha nie przemawiał Duch Święty, ojcze, lecz biskup Asser.

Ojciec Beocca wpatrywał się we mnie ponad rozedrganymi płomieniami.

- Czy wiadomo ci jest, Uhtredzie - przerwał milczenie - że ogień piekielny pozbawiony jest jakiegokolwiek blasku?

- Nie.

- To jedna z tajemnic boskiego porządku - dorzucił, po czym dźwignął się ze stęknieniem i oparłszy się ciężko na lasce, strząsnął z ramion futrzany płaszcz. - Jaką odpowiedź mam zanieść królowi?

- Czy znaczy to, iż władza twego boga obejmuje także piekło? - zaciekawilem się.

Ksiądz zmarszczył brwi.

- Dobre pytanie - stwierdził po chwili - podobnie jak i moje. Zatem, co mam przekazać władcy?

- Powiedz mu, że wraz z nadejściem świtu otrzyma moją odpowiedź.

Duchowny uśmiechnął się lekko.

- A jaka to będzie odpowiedź, erlu Uhtredzie?

- Alfred pozna ją o brzasku.

Opiekun mego dzieciństwa pokiwał głową.

- Masz przybyć odziany skromnie, bez mieczy, zbroi. I bez jakiegokolwiek świty. Przyślemy tu ludzi, którzy sprowadzą wiedźmę do pałacu. Wiedz też, że twoje pociechy zostaną oswobodzone, kiedy tylko uiścisz zadatek w wysokości stu szylingów, zaś pozostała część główoszczyzny ma wpłynąć do kościelnej skarbnicy przed upływem sześciu miesięcy - to

rzekłszy, książd, utykając, skierował się ku wyjściu na dziedziniec, lecz po paru krokach odwrócił się i rzekł, łypiąc na mnie zdrowym okiem: - Pozwól, bym w pokoju spoczął w Bogu, erlu Uhtredzie.

- Czy widząc mnie poniżonym, osiągniesz spokój ducha?

- Spokój ów osiągnę, wiedząc, iż twój miecz służyć będzie królowi Edwardowi, co zapewniłoby Zachodnim Sasom bezpieczne bytowanie. Leży mi na sercu, by dzieło Alfreda, gdy nadejdzie jego godzina, nie obróciło się wniwecz.

Pierwszy raz słyszałem, by ktoś obdarzył Edwarda tytułem królewskim.

- Nazajutrz o wschodzie słońca dam wam moją odpowiedź - zapewniłem go na pożegnanie.

- Zostań z Bogiem - odrzekł Beocca i pokuśtykał w noc, stukając laską.

Głuchy łoskot zatraskujących się za nim ciężkich podwoi odbił się echem na dziedzińcu. Potem szczęknęła zabezpieczająca je sztaba, spadająca na haki. Wsłuchując się w nagłą ciszę, wspomniałem słowa Ravna, rodziciela Ragnara Starszego. Ten oślepy na stare lata skald powiedział mi niegdyś, że życie można przyrównać do morskiej wędrówki po nieznanych wodach: może się zdarzyć, iż opatrzą się nam spokojne fale i łagodna bryza. A wówczas nie pozostaje nic innego, jak z mocą pchnąć ciężkie wiosło sterowe, wziąć kurs na wytaczające się spod ciemnych chmur groźne grzywacze i przec wprost w tumult niebezpieczeństwa. „To dar, jaki składamy w hołdzie dla bogów” - rzekł na koniec. Wprawdzie po dziś dzień nie mam pewności, czy właściwie pojąłem to przesłanie, wiem jednak, że tamtej nocy głuchy dźwięk uderzających o siebie skrzydeł wrót zadudnił w mych uszach niczym łomot uderzającego o burtę drzewca steru.

- Co zamýślasz uczynić, panie?

- Najpierw powiem ci, czego z całą pewnością nie uczynię - odwarknąłem. - Otóż nie zamierzam składać przysięg temu przekłtemu dzieciakowi.

- Edward nie jest już dzieckiem - spokojnym głosem upomniał mnie Finan.

- To niemrawy chłystek - oparłem ze złością. - I podobnie jak jego ojciec skołowany ciągłym modleniem się do swego boga. Szczeniak rósł karmiony octem wyssanym ze sparszywiałych sutków tej zajadłej suki. Nie złożę mu ślubowania!

- Niebawem obwołają go królem Wessexu - trzeźwo zauważył przybysz z Wyspy Irów.

- Jeśli tak się stanie, to jedynie dzięki temu, że ty i ja utrzymaliśmy granice tego królestwa. Ty i ja! Wessex nie przetrwałby do dziś, mój przyjacielu, gdyby northumbryjski poganin i irlandzki cherlak nie stali na straży jego granic! Czyżby już o tym zapomnieli?!

- Cherlak? - zapytał Finan, szczerząc się w uśmiechu.

- Tylko spójrz na siebie - lubiłem przymawiać staremu druhowi, kpiąc z jego drobnej

postury, mimo że z niepojętą łatwością robił mieczem, błyskawicznie kładąc wrogów. - A niechże ich przeklęty bóg zniszczy to nic niewarte królestwo! - burknąłem gniewnie, po czym podszedłem do stojącej w rogu skrzyni. Otworzywszy ją, po omacku odszukałem podłużne zawiniątko, które zaniósłem Skade. Kiedy wyczułem palcami miękką skórę, moje serce ścisnęło się boleśnie, bowiem to, co znajdowało się w środku, jeszcze niedawno należało do Giseli. - Odczytaj runy - przykazałem.

Rozsupłała skórzany tobołek i wyciągnęła olchowe patyczki. Było ich dwa tuziny, żaden nie dłuższy niż przedramię dorosłego mężczyzny, a wszystkie natarte do połysku pszczelim woskiem. Finan, widząc, iż chcę posłużyć się starą pogańską magią, przeżegnał się, lecz doświadczenie mnie nauczyło, by ufać odczytanym z run wyrokom. Skade ujęła cienkie drewnienka, uniosła nieco i pozwoliła im upaść.

Patyczki zastukotały, rozsypując się po kamiennej posadzce. Dunka pochyliła się, by wyczytać ukryte w znakach posłanie.

- Na pewno nie zobaczy w nich własnej śmierci - ostrożnie zauważył Irlandczyk, dając mi do zrozumienia, bym zbytnio nie ufał jej wieszczbie.

- Śmierć dosięga wszystkich - odparła wiedźma - a runy nic nie mówią o moim losie.

- A o czym? - chciałem wiedzieć.

Zatopiła wzrok w olchowych drewnienkach.

- Widzę twierdzę - ozwała się po długim milczeniu - u stóp której przewala się morze. Siwe morze.

- Siwe morze? - upewniłem się.

- Siwe, panie - przytaknęła, po raz pierwszy tytułując mnie w ten sposób. - Białawe jak lód pokrywający ciała Oszronionych Olbrzymów - dodała jeszcze, domyślałem się więc, że miała na myśli daleką Północ, gdzie morze jest skuwane lodem, po którym ponoć wędrują owe wielkie stwory³².

- Jak wygląda ta twierdza? - dopytywałem.

- Płonie, panie. Stoi w płomieniach, a popioły niosą się daleko i czarnym całunem kładą na nabrzeżnym piasku.

Gestem nakazałem, by zebrała patyczki, po czym wyszedłem na taras. Panowała ciemna noc, niebo zasnuwane było chmurami niosącymi uporczywą mżawkę. Wsłuchiwałem się w szum napierających na stary most wód i myślałem o mojej córeczce, Stiorze.

- Siwe morze? - zapytał Finan, wspierając się koło mnie na nadrzecznej balustradzie.

- To szare wody Północy - stwierdziłem. - Takie same fale oblewają Bebbanburg na północy wyspy, skąd południowy wiatr zaniósłby popioły aż na piaski pobliskiej wyspy

Lindisfarenym.

- A zatem północ wyspy - cicho rzekł Irlandczyk.

- Powiedz ludziom, że pozostawiam im wybór - podjąłem. - Mogą pozostać i służyć Alfredowi lub ruszyć ze mną. To samo dotyczy ciebie.

- Wiesz przecież, co uczynię.

- W takim razie każ oporządzić *Srebrzystego Wilka*, by był gotów o świcie.

Czterdziestu trzech mężczyzn zdecydowało się płynąć za mną. Pozostali woleli pozostać w Londynie. Prócz owych czterdziestu trzech wojowników zabrałem towarzyszące im dwadzieścia sześć żon, pięć ładownic, gromadkę dzieci i szesnaście wilczarzy. Niestety, nie mogłem wziąć koni, bowiem nie wyposażyłem statku w drewnianą rampę, która pozwalałaby zwierzętom bezpiecznie przetrwać podróż na chyboczącym się okręcie. Żał mi było rozstawać się z wiernym Smocą, parskającym przyjaźnie, gdy na pożegnanie gładziłem go po nosie. Skąd przyszła na nabrzeże i dołączyła do nas, jako że pozostając w Londynie, doczekałaby się jedynie śmierci. Widziałem, jak w schowku pod półpokładem sterowym, obok mojego dobytku - zbroi, oręża, hełmów, tarcz i kufra ze srebrem - umieszcza tobołek ze swoimi ubraniami.

Nie mieliśmy pełnej załogi, lecz dostatecznie liczną, by obsadzić ławki wiosłarskie. Zaczęło się przejaśniać, gdy rozkazałem, by na dziobie zatknięto głowę wilka. Wyrzeźbiona w drewnie, szczyrząca zęby paszcza była dotąd przechowywana pod pokładem dziobowym, skąd wyjmowałem ją tylko wtedy, kiedy *Srebrzysty Wilk* wypływał na obce wody. Smocze, wilcze czy krucze łby zdejmują się z dziobnicy podczas wchodzenia do rodzimego portu, by nie ubliżać miejscowym duchom. Ale że podążałem na wygnanie, nie miałem już domu, przeto rzuciłem otwarte wyzwanie londyńskim demonom. O świcie Alfred przysłał swą straż, by otoczyła mój dom, lecz odziani w zbroje włócznicy przyglądali się tylko, jak odbijamy od sąsiadującego z rzymskim tarasem nabrzeża. Nie usiłowali nas zatrzymać. Rzuciliśmy cumy i oddaliliśmy się od nieprzyjaznego brzegu. *Srebrzystego Wilka* porwał wartki nurt Tamizy. Odwróciłem się jeszcze i przebiegłem spojrzeniem po pnących się ulicach miasta, nad którym wisiała chmura dymu z wiecznie kopcących kominów.

- Wiosła! - rozległ się rozkaz Finana i dwadzieścia par piór zastygło nad zalatującą rynsztokiem wodą. - Naprzód! - zakomenderował Irlandczyk i nasza łódź pomknęła w stronę jaśniejącego na wschodzie nieba.

Biorąc rozbrat z Alfredem, stałem się wygnańcem. Człowiekiem bez pana. Człowiekiem wolnym. Wyruszałem więc na wiking³³.

Na wodzie odczuwa się wyzwalałą swobodę. Wprawdzie wciąż jeszcze powracałem

myślami do śmierci Giseli, lecz widok rozlewającego się coraz szerzej lustra Tamizy przepelniał me serce otuchą. Nie zrzuciłem jeszcze jarzma rozpacz, ale z każdą chwilą mniej mi ono ciążyło. Kiedy prowadzi się łódź po garbach szarych fal - patrząc, jak zdobiąca dziób paszcza bestii wgryza się w zmierzwione morskie grzbiety, rozbryzgując białą pianę - kiedy twarz smaga otrzeźwiający, rześki wiatr, wypełniający żagiel niczym brzuch brzemiennej niewiasty, i kiedy słyszy się szemrzące wokół burt morze, a pod palcami wyczuwa łagodne dygotanie steru, które jest pulsem okrętu - doznaje się radosnego upojenia.

Minęło pięć wiosen, odkąd ostatni raz miałem sposobność powieść swój okręt poza wody obszernego rozlewiska Tamizy. Teraz zaś, minawszy zdradliwe płycizny wokół wyspy Fughelness, kazałem wciągnąć żagiel i złożyć wiosła na dnie łodzi. Obracając dziób ku północy, pozwoliłem *Srebrzystemu Wilkowi* złapać wiatr. Szliśmy pełnym kursem ku otwartym wodom mroźnej Północy, ku chłostanemu wściekłymi wichrami bezmiarowi pochłaniającemu niemające szczęścia okręty. Od naszej lewej burty z wolna oddalały się ponure mokradła Wschodniej Anglii. Po prawej zaś bezbrzeżne stalowoszare morze zlewało się z niebem. Parliśmy w nieznane.

Byli ze mną Cerdic, Sithric i Rypere, jak też większa część mych najlepszych wojowników. Przyłączył się także Osferth, bękarci syn Alfreda, co wielce mnie zdziwiło. Wszedł na okręt jako jeden z ostatnich, a kiedy uniosłem pytająco brew, odpowiedział mi lekkim uśmiechem i bez słowa zasiadł na wolnej ławce. Później, gdy pomagał mi podwiązać drzewce wiosel do pałakowatych podpór, w których zazwyczaj spoczywa zamocowany do długiej rei żagiel, zapytałem, czy dobrze przemyślał swą decyzję.

- A niby dlaczego miałbym od ciebie odejść, panie? - odpowiedział pytaniem.

- Jesteś synem Alfreda - rzekłem. - I Zachodnim Sasem.

- Połowa z tych ludzi to Zachodni Sasi, panie - odparł, spojrzeniem wskazując załogę. - Jeśli nie więcej.

- Twój ojciec nie będzie rad, że ze mną pożeglowałeś - zauważyłem.

- A cóż go obchodzi mój los? - sarknął Osferth. - Dał mnie klerykom na wychowanie, przymuszając do przywdziania mnisiego habitu, względnie księżej sutanny, aby zapomnieć o moim istnieniu. Dobrze sobie, miałbym tkwić w Wessexie i oczekiwać, aż wyciągnie do mnie ojcowską dłoń? - gorzko się roześmiał.

- Być może nigdy już nie zobaczysz swych rodzimych ziem - przestrzegłem.

- Dziękowałbym Bogu, gdyby tak się stało - odparł z zawziętością i nieoczekiwanie się rozpromienił. - Nareszcie rozwiał się ów paskudny smród, panie.

- Jaki smród?

- Odór londyńskich nieczystości - objaśnił - uleciał z wiatrem, panie.

Jak słusznie zauważył, londyński śwąd pozostał w dali za rufą, rozpedzony przez rześkie morskie podmuchy. Cały dzień szliśmy pod żaglem, nie napotykając po drodze nikogo prócz nielicznych rybaków, którzy na widok sterczącej wysoko nad zadartym dziobem *Srebrzystego Wilka* głowy potwora rzucali się do wiosła, by czym prędzej zejść nam z kursu. Przed nastaniem zmierzchu zbliżyliśmy się do wybrzeży, zwinęliśmy żagiel i na samych wiosłach wpłynęliśmy ostrożnie do wąskiego przesmyku, gdzie zesliśmy na ląd, by rozłożyć się obozem. Jako że miało się już ku zimie, szary dzień prędko przeistoczył się w wieczorną pomrokę, z którą przyszedł przejmujący chłód. Nie mogliśmy rozesłać zwiadowców, by przepatrzyli dalszą okolicę, lecz nie martwiło mnie to, gdyż płaskie jak okiem sięgnąć wybrzeże było bezludne, jeśli nie liczyć osamotnionej krytej strzechą chaty. Majaczyła w oddali, na północ od naszego cumowiska. Jej mieszkańcy, jeśli w ogóle dostrzegli maszt statku, musieli się nas obawiać o wiele bardziej niż my ich. Ze wszystkich stron rozciągało się podmokłe pustkowie - porośnięte trziną i sitowiem mokradła, nad którymi rozciągał się przepastny nieboskłon. Hulał wiatr. Powiedziałem, że rozłożyliśmy obóz, a przecież wynieśliśmy na brzeg jedynie płaszcze, które rzuciliśmy w kręgu, powyżej linii przyływu, gdzie morze pozostawiło wyrzucone na brzeg wodorosty i kawałki drewna. Wystawiwszy strażę na okręcie i na dwóch przeciwległych krańcach spłachetka lądu, przyzwoliłem moim ludziom, by rozpalili ogień, przy którym siedzieliśmy pod sunącymi po nocnym niebie chmurami i śpiewaliśmy pieśni.

- Potrzeba nam ludzi - ozwał się siedzący po mej prawicy Finan.

- Zaiste - przytaknąłem.

- A gdzie ich znajdziemy?

- Na północy wyspy - odrzekłem, ciesząc się, że z każdym dniem oddalał się będę od Wessexu i panoszących się tam księży. Niebawem miałem ujrzeć Northumbrię, gdzie stały dwie warownie. Jedna w zakolu rzeki - władał nią mój mleczny brat - a druga na morskim brzegu, które należało do mego wuja.

- Gdyby nas napadnięto... - podjął Irlandczyk, lecz umilkł, nie dokończywszy myśli.

- Nikt nie waży się nas zaatakować - odrzekłem z przekonaniem. Prawda, każdy wypływający w morze statek może paść ofiarą piratów, ale *Srebrzysty Wilk* był przecież łodzią bojową, a nie handlową. Miał wprawdzie dość obszerny brzuch, lecz długi kadłub odznaczał się smukłością właściwą wikińskim smoczom okrętom. Nadto z większej odległości wrogowie szyper uznaliby zapewne, że mamy pełną załogę, a to za sprawą licznie towarzyszących moim ludziom kobiet. Zresztą nawet gdybyśmy napotkali aż kilka pirackich okrętów, wątpię, by

te porwały się na atak na łódź wojenną. Przecież po wodach przybrzeżnych kręciło się mnóstwo mniejszych statków kupieckich, stanowiących o wiele łatwiejszy łup. - Co nie zmienia faktu, że potrzeba nam znacznie więcej ludzi - podjąłem. - Jak i srebra.

- Srebra? - Finan uśmiechnął się lekko. - A co kryje się w tamtej wielgachnej skrzyni? - dorzucił, wskazując głową stojący przy brzegu okręt.

- Brzęczące monety - odrzekłem - ale potrzebujemy więcej. O wiele więcej. - W oczach przyjaciela dostrzegłem zadziwienie, więc wyjaśniłem: - Jestem panem Bebbanburga. A skoro chcę odbić rodową siedzibę, muszę zebrać liczną drużynę. Mówię o co najmniej trzech załogach, Finanie. Co najmniej.

Irlandczyk pokiwał głową.

- A jak zamysłasz zdobyć taką moc srebra?

- Zagrabie ją, jakżeby inaczej?

Druh zatopił spojrzenie w samym sercu ognia, gdzie zebrane na morskim brzegu drwa gorzały pulsującym blaskiem. Powiadają, że wpatrując się w żar i rodzące w nim zmiennokształtne poblaski, można wejrzeć w przyszłość. Przemknęło mi przez myśl, iż pogrążony w milczeniu, zapatrzony w płomieniste obrazy przyjaciel stara się wyczytać z nich wyroki losu. Naraz Finan zmarszczył brwi.

- Ludność coraz pilniej strzeże swego dobytku - ozwał się cicho. - Wilki się plenią, to i owce się wycwaniły.

- To prawda - przyznałem. Za mych dziecięcych lat, gdy ludzie Północy najeżdżali Brytanię, grabież była łatwa. Wikińscy wojownicy wysypywali się na nasze brzegi, po czym łupili i mordowali, zazwyczaj nie napotykając większego oporu. Jednakże lata napaści i wojen uczyniły ludzi przezornymi i teraz bez mała wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, znajdowało się za strzeżonymi przez włóczników wałami. Jedyne odstępstwo stanowiły nieliczne opactwa i kościoły, których pobożni mieszkańcy, zamiast otaczać swe siedliska palisadami, zanosili modły do swego ukrzyżowanego boga.

- A święte przybytki będziesz musiał pozostawić w spokoju - stwierdził druh, którego myśli biegły podobnymi do moich ścieżkami.

- A to dlaczego?

- Większa część załogi to chrześcijanie - zauważył. - Pozwolą ci, panie, powieść się wszędzie, byle nie do piekielnych czeluści.

- Tedy będziemy łupić pogan - stwierdziłem.

- Mamy napadać na grabieżców, panie?

- Właśnie grabieżcy powinni mieć to, czego mi trzeba - odrzekłem.

- A co z nią? - zapytał ściszym głosem, popatrując ku Skade przycupniętej w mym cieniu, poza otaczającym ognisko kręgiem. - Pozostałe kobiety stronią od niej, panie, nie kryjąc lęku.

- A cóż tak je trwoży? - zdziwiłem się.

- Wszak znasz odpowiedź, panie.

- Pewnikiem obawiają się jej uroków? - podkpiwałem i odwróciwszy się ku Duncce, zadałem pytanie, które postawiłem już wcześniej: - Potrafisz wieszczyć?

Zrazu zmierzyła mnie tylko spojrzeniem. W ciemnościach rozległ się okrzyk nocnego ptaka i może to jego przenikliwe zawołanie wyrwało ją z odrętwienia, gdyż zaraz potem potaknęła i przyznała:

- Niekiedy miewam widzenia, panie.

- Zdradź nam zatem, co ci się w nich objawia - przykazałem. - Powiedz wszystkim, co widzisz.

Wstała powoli, jak gdyby z wahaniem. Spowijająca ją czarna wełniana opończa i krucze włosy - spływające na plecy, jak u młodego, niezamężnego dziewczęcia - upodabniały wiedźmę do ciemnej niczym głębia nocy zjawy o białym obliczu. Śpiewający zgubili rytm i wnet ucichli zupełnie. Wielu uczyniło znak krzyża.

- Powiedz nam, co widzisz - powtórzyłem twardym głosem.

Uniosła bladą, wyrazistą twarz ku chmurom i zamarła. Krąg słuchaczy trwał w niemym oczekiwaniu. Naraz zwiewną - nieruchomą dotąd - kruczoczną postacią targnął dreszcz, co przywołało przykre wspomnienie dopiero co minionych zdarzeń, gdyż drzenie wieszczki do złudzenia przypomniało drgawki Godwina, jakoby wsłuchującego się w podszepty chrześcijańskiego boga. Istnieją kobiety i mężczyźni obdarzeni słuchem wrażliwym na głosy niebian, nigdy w to nie wątpiłem. Coś mi podpowiadało, że Skade naprawdę była jedną z owych istot, które postrzegają to, czego większość z nas nie jest zdolna ani dosłyszeć, ani dojrzeć - i dlatego wzbudzała ludzki strach. Wreszcie, gdy wydawało się już, iż nie usłyszymy żadnej wieszczby, Dunka gromko się roześmiała.

- Mówże, co widzisz, kobieto - rzuciłem, tracąc cierpliwość.

- Staniesz na czele armii, panie - oznajmiła - przepotężnej armii, której cień przesłoni całe królestwa. A tam, gdzie przejdiesz, panie, ziemia nasączona krwią twych wrogów wyda obfity plon.

- A co stanie się z tymi ludźmi? - zapytałem, szerokim gestem wskazując krąg zwróconych ku nam twarzy.

- Toż jesteś im panem, a przeto i rozdawcą złota. Twoje zwycięstwa przysporzą im bogactw.

Słowom tym odpowiedział pogwar uradowanych głosów. Poweselałe oblicza mówiły, że przepowiednia Skade spotkała się z ogólną przychylnością. Wiadomo, ludzie o wiele chętniej służą panu, który szczerze wynagradza ich zasługi.

- A skąd mamy wiedzieć, że to, co mówisz, jest prawdą? - zapytałem.

- Jeśli skalałam się kłamstwem, panie - odparła z butą - niechaj szczenę rażona gromem. - Rozpostarła ramiona i podniosła głowę ku niebu, jakby przyzywała zemstę Thora. Czekwała jak wrośnieta, lecz gromowładny nie odpowiadał na jej wyzwanie. W ciszy dały się słyszeć jedynie poszum poruszanych wiatrem trzciny, trzask przepalających się polan i chlupot przybierającego pomału morza.

- A ciebie jaki los czeka?

- Mój los ma być świetniejszy nawet od twojego, panie - oznajmiła, co moi ludzie przyjęli niechętnymi psyknieniami, lecz ja nie dopatrzyłem się w jej słowach powodu do urazy.

- A cóż to za szczęśny los? - zaciekawiony, ciągnąłem wieszczkę za język.

- To mogą wiedzieć tylko Norny³⁴ - odrzekła, więc machnąłem ręką, dając znak, by usiadła. Przypomniała mi się wówczas przepowiednia innej kobiety, która potrafiła dosłyszeć głosy niebian, albowiem owa dawna wróżba niemalże co do słowa pokrywała się z tym, co powiedziała Skade. Tamta wieszczka także zapewniała mnie, że stanę na czele przepotężnej armii. Jakże miałem pogodzić te wielce obiecujące słowa z pożałowania godną dolą człeka, który łamiąc daną przysięgę, odstąpił od swego pana?

Śluby, jakie składają sobie ludzie, wiążą ich na całe życie. Składający mi przysięgę wierności wojownik staje się mi bliższy niżli rodzony brat. Odtąd moje życie spoczywa w jego rękach, a jego w moich. „Ale przecież ślubowałem Alfredowi dożgonną wierność” - myślałem, kątem oka przyglądając się przykucniętej za mną Duncie, podczas gdy zasiadający w kręgu podjęli urwaną pieśń. Będąc zaprzysiężonym królowi Zachodnich Sasów, winienem być posłusznym jego woli aż po kres dni, a ja odpłynąłem w swoją stronę, narażając się na podły los bezpańskiego psa.

Wszelako nie jesteśmy panami swego losu. Trzy Prządki snują nić naszego żywota.

Wyrd bid ful arced - jak mawiają - bo taka jest prawda. Przeznaczenie nieustępliwie wodzi nas za nos. Zatem skoro los spoczywa w rękach Norn i tylko one mogą go znać, po cóż silić się na jakiegokolwiek przyrzeczenia? To pytanie dręczy mnie, odkąd tylko sięgam pamięcią, ale do dziś nie znalazłem na nie lepszej odpowiedzi niż taka, że ludzie składają śluby - niepomni tego, iż ich losy zależą od boskich kaprysów - starając się wpłynąć na bieg swego życia. Nie są jednak w stanie zmienić wyznaczonego im z góry przeznaczenia. Można by rzec, iż dając komuś słowo, nadajemy naszym poczynaniom na ziemi pewien kurs. Nie na wiele się to

wszakże zdaje w obliczu nieokiełznanych sił wyższych, które niby szaleństwo żywiołów wrywają nam wiosło sterowe z rąk. I tak nasze wysiłki, by się czegoś trzymać, zostają zniweczone przez *wyrd*³⁵. „Umykając z Londynu, utraciłem honor i pozycję, ale wszystko to się stało za sprawą wyroku losu” - myśl ta dodawała mi otuchy w ową mroczną noc, którą tak nieoczekiwanie przyszło mi spędzić na podmokłych wschodnioangielskich brzegach.

I chociaż była to marna pociecha, tej samej nocy wydarzyło się coś jeszcze. Coś, co osłodziło mi gorycz wygnania. Przebudziwszy się pod czarnym niebem, poszedłem na brzeg, by przekonać się, co się dzieje z okrętem. Upewniłem się, że wody przyływu ledwie co unoszą lekko kolebiącą się na drobnych falach rufę. Zluzowałem ludzi wartujących na pokładzie.

- Idźcie i zdrzemnijcie się przy ogniu - poleciłem, jako że wciąż podsycane płomienie dawały jeszcze ciepło. - Będę miał baczenie na okręt - dorzuciłem - a wy idźcie i ogrzejcie się przy waszych niewiastach.

Gwoli prawdy nie było powodów, by strzec *Srebrzystego Wilka*, bo chociaż wokół panowały ciemności, o zmierzchu przekonałem się, że okolica jest bezludna. Wystawianie wart jest wszakże kwestią przyzwyczajenia. Zasiadłem na dębowym pokładzie i popadłem w zadumę, wsparłszy się o stewę dziobową. Przebiegałem myślą wstecz, wspominając wyroki losu, które złączyły mnie z Alfredem, a potem z nagłą rozdzieliły. Przywoływałem chwile spędzone z Giselą, a także z Iseultą, Bridą i Hildą - kobietami, z którymi złączyły mnie kaprysy Prądek. A kiedy okręt zakołysał się nieznacznie - co oznaczało, że ktoś wszedł na tkwiący wciąż w przybrzeżnym mule dziób - nie poruszyłem się, lecz obserwowałem majaczący w mroku, zbliżający się pomiędzy ławkami cień.

- Nie zabiłam jej, panie - usłyszałem głos Skade.
- Rzuciłaś na mnie klątwę, kobieto - odburknąłem.
- Byłeś moim wrogiem - odrzekła. - Cóż miałam zrobić?
- Twoje przekleństwo zabiło Giselę - stwierdziłem z goryczą.
- Moja klątwa nie odebrała jej życia - oznajmiła z niezachwianą pewnością.
- Co zatem ją zabiło? - warknąłem.
- Ja tylko prosiłam bogów, by sprawili, aby Harald pojmał cię w niewolę - odparła spokojnie.

Podniosłem wzrok i spojrzałem jej prosto w oczy, pierwszy raz, odkąd znalazła się na pokładzie.

- Jeśli to prawda, twe zaklęcie okazało się nieskuteczne - stwierdziłem.
- Najwyraźniej.

- To co z ciebie za wiedźma?

- Przelękniona.

Gdybym przyłapał któregoś z moich ludzi na tym, że - głuchy i ślepy na wszystko dokoła - zamiast pełnić służbę, zajmuje się czym innym, kazałbym go wybitożyć. Owej nocy pod nasz obóz mogła z powodzeniem podejść wielotysięczna armia, a ja nie miałbym o tym pojęcia, gdyż zabrałem Dunkę pod pokład sterowy, haniebnie zaniedbując swe obowiązki. Zacisną wnetkę zaścieliłem wełnianą opończą, na której ułożyłem niewiastę, a kiedy opadliśmy z sił - oboje wzruszeni do łez - pozostaliśmy złączeni w uścisku, nie poruszając się ani nie odzywając. I choć wyczułem, jak *Srebrzysty Wilk* podnosi się z mułu i napina cumę z foczych skór, nie reagowałem, lecz trzymałem Skade mocno przyciśniętą do siebie, pragnąc, by noc nie dobiegła kresu.

Próbowałem sobie wmówić, że wypowiedziałem Alfredowi posłuszeństwo, wzbraniając się przed składaniem przysięgi, jaką ten usiłował na mnie wymóc. Istotnie, nie chciałem składać ślubów wierności jego synalkowi, wszakże nie była to jedyna przyczyna mego odstępstwa. Król żądał ode mnie jeszcze innej ofiary - ofiary nie do przyjęcia - co uzmysłowiłem sobie z całą jasnością dopiero wtedy, trzymając ową ocaloną od zguby ofiarę w objęciach.

- Pora wstawać - ozwał się, albowiem doszły mnie głosy krzątających się na brzegu ludzi, stwierdziłem więc, że nie godzi się dłużej zwlekać. Potem dowiedziałem się od Finana, iż na jego polecenie nikomu nie wolno było zbliżać się do okrętu. I chociaż z ociąganiem rozluźniłem miłosny uścisk, jej muskularne ramiona nadal oplatały mą szyję.

- Wiem, gdzie znajdziesz całe złoto świata - wyszeptała.

Patrząc jej w oczy ze zdumieniem, spytałem:

- Całe złoto świata?

Po jej wyrazistej twarzy przemknął lekki uśmiech.

- Tyle złota, ile ci trzeba, panie - wyjaśniła. - A nawet o wiele więcej. To skarbiec nad skarbcę. Strzeżony przez smoka kopiec złota.

Wýrd bid ful arced.

Z zawierającej mój dobytek skrzyni wyjąłem złoty łańcuch i zawiesiłem go Skade na szyi, by w ten sposób unaocznic jej nowy status, chociaż ten z pewnością nie był już dla mych ludzi tajemnicą. Obawiałem się, że wielkopański gest może wzmoc ich niechęć do Dunki, tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Ci, którzy dotąd postrzegali ją jako złowrogą wiedźmę, bez cienia sprzeciwu przyjęli do wiadomości, iż stała się częścią załogi. Widząc to, odetchnąłem z ulgą. Pożegnaliśmy się dalej.

Wśród szarugi, gnani południowym wiatrem, który niósł pasma gęstej mgły, zmierzaliśmy wciąż na północ wzdłuż płaskich jak stół wybrzeży Wschodniej Anglii. Kiedy mleczne tumany całkiem przesłaniały nam widoczność, zmuszeni byliśmy szukać schronienia w otoczonych moczarami zatokach. Zdarzało się też, że fala mgły ogarniała nas zbyt szybko, nie dając możliwości odnalezienia bezpiecznego kotwicowiska. Wówczas kierowałem okręt na wschód, na pełne wody, by w nocy nie zniosło nas na bagniste brzegi.

Wskutek tak niesprzyjającej aury wędrówka znacznie się przeciągała i dopiero po sześciu dniach dotarliśmy do Dumnocu. Owego mglistego popołudnia na wiosłach weszliśmy w ujście tamtejszej rzeki. Po obu burtach *Srebrzystego Wilka* przesuwały się rojące się od wodnego ptactwa muliste brzegi. Wejście do portu zostało wprawdzie wytyczone zbiegającymi palami, niemniej na dziobie ustawiłem człowieka, który wiosłem badał głębokość wody. Wiedziałem bowiem, że częstokroć oznaczenia takie ustawiano rozmyślnie nieprawidłowo, by uwięzić obce okręty na przybrzeżnych mieliznach. Kazałem też zdjąć paszczę wilka z dziobnicy na znak, że przybijamy w pokojowych zamiarach, jednakże gdy wychynęliśmy zza zakrętu rzeki i zauważono nas ze szczytu drewnianej wieżyczki wartowniczej, po rozchybotanej drabince zbiegł wyrostek i pędem pognał do osady, by przestrzec jej mieszkańców.

Dumnoc to tętniący życiem port, położony na południowym brzegu rzeki. Osadę od strony lądu otacza łuk palisady, sama przystań zaś otwarta jest dla wpływających od morza przybyszów. Przy licznych pomostach ujrzyliśmy bezlik zacumowanych łodzi rybackich i statków kupieckich. Zalewające już najwyższe terasy wody przyływu podtapiały dolne krańce ostrokołu, jak też pale, na których opierały się zbudowane na brzegu domy. Ściany owych nadbrzeżnych budowli pokrywał srebrzystobiały nalot, co - wraz z unoszącą się wonią ryb i soli - przydawało osadzie swoistego uroku. Nad posrebrzoną przez sztormy przystanią portową górowała wysoka kościelna wieża, ze szczytu której sterczał drewniany krzyż. Przypominał, że niegdyś osiadły na wschodnioangielskim tronie jarl Guthrum - sam przyjąwszy chrzest - narzucił nową wiarę całej podległej mu krainie.

Pamiętam, jak ojciec narzekał na Sasów ze Wschodniej Anglii, gdyż ci - na długo przed moim urodzeniem - pokumawszy się z Mercjanami, uderzyli na Northumbrię. Ich zdradziecka natura - jak z goryczą mówił mi za młodu rodziciel - ukazała się raz jeszcze, gdy nasi południowo-wschodni sąsiedzi użyczyli przybyłym zza morza Duńczykom gościny, prowiantu i, co gorsza, wierzchowców. Wikingowie, dosiadłszy owych koni, najechali Northumbrian, rozgromili ich i przejęli władanie nad tym angielskim dotąd królestwem. Zresztą ów zwodniczy postępek nie wyszedł Wschodnim Anglom na dobre, jako że osiadli na północy wyspy wikingowie wkrótce obrócili się przeciwko nim i zajęli całą ich krainę, która do dziś

pozostaje w rękach ich duńskich potomków. Niemniej - o czym dowodnie świadczył bijący w niebo nad Dumnoc krzyż - jej mieszkańcy podawali się za chrześcijan. Napływające wciąż z południa strzępiaste kłęby mgły spowiły kościelną wieżę. Mijając nabrzeże, odbiłem sterem na lewą burtę, kierując *Srebrzystego Wilka* ku głównemu nurtowi rzeki. Potem, dając połowie wiosłarzy komendę „wiosła wstecz” obróciłem okręt dziobem ku morzu i dopiero wtedy przybiłem do najszerzego z pomostów, burta w burtę z zacumowanym do niego pękatym statkiem kupieckim. Finan uśmiechnął się znacząco.

- Wolisz być gotów do szybkiego wyjścia w morze, panie? - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Zawsze - odparłem. - Przypominasz sobie zapewne *Morskiego Kruka*?

Irlandczyk się roześmiał. Niedługo po tym, jak razem; zdobyliśmy Londyn, ów duński okręt wszedł do tamtejszego portu. Nieświadom grożącemu mu niebezpieczeństwa szyper spokojnie przycumował *Morskiego Kruka* i dopiero poniewczasie zmiarkował, iż do niedawna jeszcze przyjazna dla wikińskich łodzi przystań opanowana została przez Zachodnich Sasów. Duńczycy zeszli na ląd, a zastawszy nowe porządki, w popłochu rzucili się ku swemu okrętowi. Odbijali już od pomostu i byliby ocaleli, nie mieli wszakże szczęścia, bowiem w popłochu ich wiosła skrzyżowały się i zamiast obrócić okręt, pozwolili wartkiemu prądowi Tamizy przyprzeć się na powrót do nabrzeża, gdzie zostali pojmani. Niestety, zdobyczny statek okazał się niewiele wart. Stary kadłub przeciekał i butwiał wskutek gromadzenia się na dnie smrodliwej wody. Kazałem rozebrać niezdatny do żeglugi kadłub i spożytkować łukowate wręgi jako belki dachowe do chat wznoszonych podówczas na wschodnim skraju miasta.

Mężczyzna o kilku podbródkach i pokaźnym brzuchu, który z ledwością opinała pokryta rdzą zbroja, z trudem wgramolił się na pokład sąsiadującego z nami statku, a następnie - otrzymawszy po temu moje przyzwolenie - równie nieporadnie wszedł na *Srebrzystego Wilka*.

- Jestem Guthlac - przedstawił się - reeve³⁶ Dumnocu. A wy, coście za jedni? - zapytał z pewnością siebie człowieka, który wie, że tuż za nim, na pomoście, stoi kilkunastu uzbrojonych w miecze i topory wojowników. Nie puszyłby się może tak bardzo, gdyby widział nietęgę miny swych drużynników, po których znać było, iż zdają sobie sprawę, iż moja załoga jest od nich kilkakrotnie liczniejsza.

- Zwę się Uhtred - odparłem.

- Uhtred skąd? - brzuchacz zapytał buńczucznie, przechodząc przy tym na duński. Jego spojrzenie pospiesznie prześlizgnęło się po wspaniałym uzbrojeniu mych ludzi. I chociaż starał się nie dać po sobie poznać, jakie moja załoga wywiera na nim wrażenie, wciąż pociągał za jeden z długich, obwiązanych smołowanym szpagatem wąsów spadających na

gładko ogolone podbródki.

- Uhtred z Bebbanburga.

- A gdzie leży Bebbanburg?

- W Northumbrii.

- Zawędrowałeś daleko od domu, Uhtredzie z Bebbanburga - stwierdził Guthlac, z ciekawością łypiąc ku naszej ładowni, by przekonać się, jaki ładunek wieziemy. - Daleko od domu... - powtórzył. - Parasz się handlem?

- A wyglądamy na kupców? - zauważyłem, że na nadbrzeżnej uliczce gromadzą się mężczyźni i chociaż jedynie nieliczni byli uzbrojeni, nie miałem pewności, czy czynią to jedynie ze zwykłej ciekawości.

- Wyglądacie jak kompania włóczęgów - srożąc się, orzekł reeve. - Przed dwoma tygodniami dokonano pirackiego ataku o parę mil na południe stąd. Mężczyzn wymordowano, kobiety porwano, a zagrody puszczone z dymem. Skąd mam wiedzieć, że to nie wasza sprawka?

- Nie wiesz tego, tak samo, jak nie możesz wiedzieć, czy jesteśmy winni - stwierdziłem układnie w odpowiedzi na jego jawną wrogość.

- A może powinienem zatrzymać was tu dopóty, dopóki nie dowiedziemy, jak jest w istocie?

- A może powinieneś wyczyścić zbroję? - odparłem obcesowo.

Zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem. Przez parę uderzeń serca uparcie wpatrywaliśmy się jeden w drugiego. Wreszcie wścisnął głowę.

- Zatem, co was tu sprowadza? - zapytał władczo.

- Chcemy nabyć żywność i ale.

- To dobrze trafiliście - odrzekł i urwał, czekając, aż wykrzyczą się kołujące nad nami mewy - ale najpierw zdałoby się uiścić opłatę portową. - Wyciągając przed siebie otwartą dłoń. - Dwa szylingi.

- Chyba raczej dwa pensy.

Stanęło na czterech pensach, z których dwa na pewno pozostały w kiesie reeve'a, który łaskawie przyzwolił nam zejść na ląd, z tym jednak zastrzeżeniem, by ostrza dłuższe niż podręczne noże pozostały na okręcie.

- Jest tu zacna karczma, a zwie się „Gęś” - dorzucił jeszcze, wskazując palcem okazały budynek, nad którego gankiem widniał znak z wymalowanym nań białym ptakiem. - Tam znajdziecie wszystko, czego wam trzeba: mąkę, suszone śledzie i ostrygi, zacne ale i saskie dziewczki.

- To twoja karczma? - domyśliłem się.

- I cóż z tego?

- Mam nadzieję, że twoje piwo wprawi nas w lepszy nastrój niż twoje przywitanie - odrzekłem.

Na to *reeve* zaśmiał się krótko.

- Witajcie w Dumnocu - rzekł i ze stęknieniem przebył naszą burtę. - Daję wam czas do jutra, abyście się zabawili i uzupełnili zapasy. - I dorzucił już z pokładu sąsiedniego statku: - Byle bez hultajstwa! Ostrzegam, że jeśli któryś z was dopuści się jakiegokolwiek występku, każę was wszystkich zamknąć! - Nastroszywszy brwi, powiódł wzrokiem po moich ludziach. Jego spojrzenie zatrzymało się na rufie *Srebrzystego Wilka*.

- Kim jest ta dziewczka?

Wpatrywał się w Skade, jakby dopiero co ją ujrzał, choć wydało mi się mało prawdopodobnym, by dostrzegł ją dopiero na odchodnym. „Odziana w czarna opończę niewiasta z połyskującym na piersiach złotym łańcuchem nie mogła przecież umknąć uwadze tego natręta” - pomyślałem, mając przed oczyma błyszczące niezwykle blaskiem jasne lico Skade.

- Ma na imię Edith - odrzekłem sucho. - To moja saska dziewczka.

- Edith - powtórzył przeciągle i z chytrym błyskiem w oku dodał: - Być może ją od ciebie odkupię?

- Może - odparłem, wbijając w niego wzrok. Nasze spojrzenia zwały się na moment, a nie było w nich ani krzty zaufania. Guthlac machnął lekceważąco ręką i zszedł nam z oczu.

Ciągnęliśmy losy, ażeby zdecydować, kto ma wyjść na ląd. Część z nas musiała pozostać na pokładzie *Srebrzystego Wilka* pod wodzą Osfertha, który sam zaoferował się, iż będzie trzymał straż w porcie. Do drewnianej miski wrzuciliśmy dwadzieścia trzy ziarna suszonego grochu i dwadzieścia srebrnych monet. Finan stanął do mnie plecami z miską w rękach, a ja ustawiłem się twarzą do załogi. Następnie Irlandczyk wyciągał albo srebrniki, albo groch i trzymając wylosowany przedmiot w ręce, tak iż widzieli go moi ludzie, pytał: „Kto weźmie ten los?”. A wówczas ja wskazywałem człowieka, nie widząc, co przypadło mu w udziale. Ci, którzy nie wylosowali srebra, zostawali z Osferthem, pozostali zaś mieli zejść ze mną na ląd. Oczywiście mogłem zwyczajnie przydzielić ludzi, jacy mieli strzec statku, lecz załoga lepiej się sprawuje, kiedy każdy należący do niej wojownik widzi, iż w podobnych przypadkach ich pan nikogo nie wyróżnia. Działwa, ma się rozumieć, pozostała w łodzi, lecz pozwoliłem schodzącym na ląd mężczyznom zabrać swe żony.

- Idziemy do karczmy i nigdzie indziej, zrozumiano? - przykazałem, zanim jeszcze

opuszciliśmy okręt. - Tutejsi nie są nam przychylni, zatem trzymamy się razem! - zaznaczyłem dobitnie.

Reeve Dumnocu wprawdzie nie przywitał nas z otwartymi rękoma, lecz w prowadzonej przez niego gospodzie nie brakowało niczego. Tamtejsze ale - mocne i smakowite - warzono w potężnych kadziach na tyłach przybytku. Główna sala, o powale ułożonej na legarach sporządzonych ze stępek rozbitych okrętów, była obszerna i ciepła, gdyż w żarzącym się pośrodku palenisku gorzały obłe, przyniesione przez morze drwa. Wokół ognia ustawiono ławy i stoły, lecz nie od razu pozwoliłem swym ludziom zasiąść nad kuflami. Najpierw zająłem się sprawunkami i dopiero gdy wytargowane przeze mnie zapasy - suszone śledzie, wędzone węgorze, boczek i miejscowe piwo - znalazły się na pokładzie *Srebrzystego Wilka*, pozwoliłem załodze na zabawę. Guthlac pozostawił strażników na bliższym lądzie skraju kei. Ludzie ci, gdy ich mijaliśmy, przyglądali się nam bacznie, upewniając się, że żaden z nas nie wnosi broni do osady. Ostrożność nakazała mi jednak ukryć Żądło Osy pod płaszczem tak przewieszane przez plecy, że nikt nie mógł go zauważyć. Moi towarzysze - jak się domyślałem - postąpili podobnie. Ledwie usadowiliśmy się do biesiady, przeszedłem dookoła sali i zatrzymywałem się przy każdym stole, przestrzegając swoich ludzi, by nie wszczynali awantur.

- Chyba że chcecie skrzyżować ze mną miecz - otwarcie uprzedzałem roześmianą kompanię.

Nie zanosilo się jednak na kłopoty. Prócz nas w gospodzie siedziało raptem kilkunastu miejscowych, bez wyjątku Anglów lub Sasów, i żaden nie wykazywał najmniejszego choćby zainteresowania załogantami *Srebrzystego Wilka*. Mimo to przykazałem Sithricowi - jako że w loterii wylosował srebrny szyling - by co jakiś czas wychodził na tylny podwórzec.

- Wyzieraj w miarę często i zawiadom mnie, jeśli tylko dostrzeżesz mężczyzn pod bronią - dodałem.

- Czego się obawiasz, panie? - spytał.

- Zasadzki - odparłem węzłowato. *Srebrzysty Wilk* wart był bowiem tyle, co całoroczne wpływy tena, i to włodarzącego na znacznych połaciach ziemi, a Guthlac musiał się domyślać, że na naszym pokładzie znajduje się także spory zasób gotowizny. Drużyna reeve'a mogłaby mieć trudności, gdyby usiłowała rozbić broniących końca pomostu ludzi Osfertha, ale podchmieleni i na pozór bezbronni żeglarze biesiadujący w gospodzie z łatwością mogli zostać otoczeni. Czułem niejasne obawy, że grubas połaszczy się na taki kąsek i będzie usiłował pojmać nas po to, by zaraz potem zażądać wygórowanego okupu.

Sithric co jakiś czas wstawał od stołu i pozorując potrzebę, zmierzał ku tylnemu wyjściu, a po powrocie spoglądał ku mnie, by nieznacznym skinieniem głowy uspokajać me obawy.

Musiał przy tym jednak znosić drwiny współbiesiadników.

- Masz zbyt mały pęcherz, przyjacielu - kpili z niego, czyniąc przy tym i bardziej nieprzystojne żarty.

Zająłem miejsce w rogu, lekko na uboczu i stamtąd bacznie obserwowałem salę. Moi ludzie, nieco już sobie podpiwszy, intonowali gromkie pieśni, wznosili toasty i śmiali się rozgłośnie, a ja - siedząc wraz ze Skade, Finanem i jego szkocką żoną, Ethne - zapytywałem się w duchu, jak wielu mężczyzn może zamieszkiwać Dumnoc. Czym zajęci są ci, którzy nie pojawili się w oberży i czy przypadkiem nie ostrzeniem broni? Gubiłem się w domysłach, póki nie zadałem sobie innego pytania, wspomniałem bowiem wyszeptane mi na ucho słowa Skade.

- A zatem zdradź mi - zwróciłem się do niej - gdzie kryje się ów skarbiec, w którym ma spoczywać całe złoto świata?

- We Fryzji - odpowiedziała.

- To całkiem rozległa kraina.

- Mój mąż - podjęła - ma stanicę na pewnej wyspie.

- A kimże jest twój mąż?

- Nazywa się Skirnir Thomson.

- Gdzieś już słyszałem to miano - rzuciłem z przekąsem.

- A nosi przydomek Wilk Morski - ciągnęła Dunka, patrząc wprost na mnie, lecz świadoma, że spoczywa na niej także wzrok Finana i Ethne.

- To, jakie przydomek nosi, niewiele zmienia - zauważyłem. - Istotniejsze jest to, jak wiele prawdy mówi o człowieku.

- W tamtych stronach mój mąż cieszy się wielkim poważaniem - stwierdziła i jęła opowiadać o Skirnirze. A historia owa wydała mi się całkiem dorzeczna, albowiem od dawien dawna wszelkiego rodzaju morskie szumowiny gnieździły się na fryzyjskim wybrzeżu, tej zdradliwej gmatwaninie płycizn i nieustannie przemieszczających się ławic piasku. Niegdyś Finan i ja wskutek zrzędzenia losu spotkaliśmy się na statku kupca Sverriego jako niewolni wioślarze. Wtedy to, smagani batem, pochylając się nad wiosłami, kilkakrotnie mieliśmy sposobność przekonać się, iż jeśli się nie zna tamtejszych naturalnych kanałów, niepodobna tam żeglować. Na własne oczy widzieliśmy, jak nasz szyper, wykorzystując swe obeznanie, bez trudu wymanewrował idący jego śladem purpurowy okręt. A któż mógł lepiej orientować się w pułapkach owej grząskiej matni niż Skirnir, pan krainy mielizn? Małżonek Skade żywił ponoć pretensje do tytułu jarła - a więc pana o znaczeniu i wpływach podobnych saskim eldormanom - choć, tak po prawdzie, był tylko pospolitym morskim zbójem. Wyspy

Fryzyskie jak świat światem stanowiły schronienie dla zasadzających się na zbłąkane okręty piratów i wyrzuconych na łachy rozbitków. Jedni i drudzy prędzej czy później ginęli bez wieści, lecz Skade upierała się, że Skirnir - łupiąc trafiające do Fryzji okręty bądź też wymuszając na szyprach myto - doszedł do znacznych bogactw, a jego przybrzeżne królestwo cieszyło się wyjątkowo złą opinią.

- Jak wiele załóg mu służy? - wypytywałem.

- Za mojej bytności - odrzekła - jego flota liczyła szesnaście pomniejszych statków i dwie długie smocze łodzie.

- Kiedy to było?

- Przed dwoma laty.

- A dlaczego stamtąd odeszłaś? - wtrąciła Ethne.

Dunka zmierzyła dociekliwą niewiastę badawczym spojrzeniem, lecz rudowłosa Szkotka nie odwróciła wzroku. Odkąd oswobodziliśmy ją z niewolniczych pęt, nie odstępowała Finana, została jego żoną i dała mu dwójkę dzieci - syna i córkę. Doskonale rozumiejąc, dokąd zmierza nasza rozmowa, wiedziała, iż jej mąż ma iść w bój, a skoro tak, chciała wiedzieć z kim i o co.

- Odeszłam - odparła oziębłe Skade - bo Skirnir to skończony wieprz.

- Mężczyzna to mężczyzna - stwierdziła Ethne, a mąż z wyrzutem w oczach trącił ją łokciem w żebra.

Powiodłem wzrokiem za niosącą naręczę drew służką. Wkrótce dorzucone do paleniska polana zajęły się ogniem, rozświetlając pustawą salę i znów wydało mi się podejrzanym, że pomimo wieczornej pory w „Gęsi” przesiaduje zaledwie garstka miejscowych.

- Skirnir parzy się jak wieprz, chrząka jak wieprz i znęca się nad kobietami - stwierdziła wieszczka.

- A jak udało ci się umknąć owemu wieprzkowi? - dociekała krewka Szkotka.

- Skirnir zdobył okręt wiozący skrzynię pełną złota - wyłuszczyła wiedźma. - Niedługo potem wybrał się do duńskiego miasta Haithabu, by nabyć nową broń. Mnie też tam zabrał.

- Po cóż cię tam włókł? - przerwałem jej, zaciekawiony.

Dunka spojrzała na mnie nieruchomym wzrokiem.

- Zabierał mnie wszędzie, gdyż nie potrafił znieść dłuższej rozłąki.

Wyjaśnienie przyjąłem z uśmiechem.

- W takim razie z pewnością nie pozostawił cię w Haithabu bez straży - stwierdziłem.

- Towarzyszyły mu trzy załogi - przytaknęła.

- A jak to się stało, że twój mąż dopuścił, abyś zgadała się z Haraldem?

Potrząsnęła przecząco głową.

- W ogóle nie mówiłam z Krwawowłosym - odparła. - Starczyło, że wymieniliśmy spojrzenia.

- A potem?

- Tamtej nocy Skirnir tęgo sobie podpił - Skade ciągnęła opowieść. - Leżał rozwalony na pokładzie i chrapał. Jego ludzie także się spili. Niezatrzymywana przez nikogo, zwyczajnie przeszłam na okręt Haralda i odpłynęłam z nim, choć wcześniej nie zamieniłam z nim ani słowa.

- Uspokoić się! - huknąłem na mych ludzi, którzy wdali się sprzeczkę o miejscową dziewczkę. Ladacznice z „Gęsi” zarabiały na swe utrzymanie, zabierając gości na strych, dokąd prowadziła dębowa drabina. Jeden w mych ludzi właśnie po niej wchodził, a drugi próbował go zeń ściągnąć.

- Ty pierwszy - zakrzyknąłem do tego, który wydał mi się bardziej pijany - a ty czekaj - przykazałem temu drugiemu. - Albo idźcie razem, wedle woli! Byle nie wszczynać burd!

Upewniwszy się, że zaniechali sporu, zwróciłem się na powrót ku Skade.

- Skirnir - przypominałem.

- Mieszka na wyspie Zegge, na której stoi jego terp.

- *Terp?*

- Wzgórze usypane i umocnione przez jego ludzi - objaśniła. - Tylko dzięki terpom można się osiedlić w tamtej okolicy. Najpierw na piaszczystych łąkach buduje się obwiedziony palami, wypełniony gliną wzgórek, a dopiero na nim wznosi domy. Tak też wzniesiony jest dwór Skirnira na Zegge. Zdarza się jednak, że i takie umocnienia są zabierane przez morze.

- A jak wygląda jego flota?

- Większość to niewielkie, płaskodenne okręty - stwierdziła. Z tego, co mówiła, wynikało, że morskemu zbójowi służy od trzystu do pięciuset wojowników. Moja drużyna składała się zaś z ledwie czterdziestu paru. - Zegge jest zbyt mała, by pomieścić wszystkich jego ludzi, dlatego większość ma domy na sąsiednich wyspach.

- Czy stoi tam jakaś warownia?

- Tylko dwór, ale jest wzniesiony na terpie i obwiedziony palisadą.

- Niemniej - zauważyłem - by dotrzeć do samego dworu ani chybi trzeba minąć te pomniejsze wyspy.

Rozumiałem, że okręt idący ku Zegge musiałby przedrzeć się przez jeden z tamtejszych wąskich, płytkich przesmyków, przynajmniej po części wysychający podczas odpływu. Zamieszkujący pomniejsze wyspy zwolennicy Skirnira niechybnie ruszyliby śladem obcego

statku, odcinając odwrót. Nie chciałem sobie nawet wyobrazić, że znajdziemy się w takim położeniu.

- To prawda, lecz we dworze - ciągnęła Skade, zniżając głos - pod podłogą znajduje się wyłożony wiązem obszerny skarbiec, a w nim spoczywa góra złota.

- Albo spoczywała - dodał Finan.

Dunka zaprzeczyła ruchem głowy.

- Skirnir zazdrośnie strzeże swego skarbcza. Jest wprawdzie szczodry względem ludzi, wyposaża ich w broń, zbroje, nowe wiosła, a czasem i statki. Kupuje im nawet żywność i niewolnych, lecz dba o swój skarb i wciąż coś do niego dokłada. Nie może sobie odmówić uciechy otwierania przykrywającej jamy klapy. Czyni to dość często. Uchyła ją i gapi się na zgromadzone tam bogactwa. Aż drży z przepelniającej go rozkoszy. Skirnir ubóstwia swoje złoto. Kiedyś przygotował mi nawet posłanie ze złotych monet.

- A te wpijały ci się w plecy? - kpiąco dopowiedziała Ethne.

Wiedźma nie spojrzała nawet na Szkotkę.

- W skarbcu złożona jest moc srebra i złota, panie - mówiła dalej, patrząc na mnie. - Ta góra szlachetnych kruszców zdolna jest opromienić swym blaskiem twe najśmielsze marzenia.

- Czy inni nie próbowali zawładnąć ową skarbnicą? - zapytałem.

- Próbowali - odrzekła - jednak woda, piasek i prądy czynią dwór Skirnira równie niedostępnym, co otoczone kamiennym murem warownie. A jego straż jest mu szczerze oddana. Mój mąż ma również trzech braci i sześciu kuzynów, którzy służą mu swymi mieczami.

- A ma synów? - chciała wiedzieć Ethne.

- Po jego dworze pałęta się cała zgraja smarkaczy, których matkami są niewolnice Skirnira. Mnie wszakże nie zrobił żadnego dzieciaka.

- Dlaczego wzięłaś go za męża? - dopytywała Szkotka.

- Zostałam mu sprzedana, gdy skończyłam dwanaście wiosen. Moja matka była biedna, a Wilkowi Morskiemu na niczym nie zbywało i zapragnął mnie mieć.

- I wciąż tego pragnie - pomyślałem na głos, pamiętając, iż wieść o naznaczonej za zbiegłą żonę nagrodzie doszła aż na dwór Alfreda.

- Bękart ma pod bokiem nielichą armię - z niechęcią stwierdził Finan.

- I ja znajdę ludzi - powiedziałem półgłosem, po czym się odwróciłem, słysząc, jak Sithric pospiesznie zatraskuje za sobą tylne drzwi oberży i biegnie ku mnie.

- Zbrojny lud kupi się na podwórku - oznajmił. - Widziałem co najmniej trzydziestu mężczyzn, panie.

Moje domysły okazały się słuszne. Guthlac zwabił mnie w zasadzkę, chcąc osiąść mój okręt, mój skarbiec i moją kobietę.

A ja pragnąłem zagarnąć złoto Skirnira.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Doskoczyłem do głównych drzwi, raptownie je otworzyłem i ujrzałem zgromadzonych na nabrzeżu mężczyzn. Większość mimowolnie postąpiła krok w tył, przestraszona nagłym pojawieniem się mojej osoby. Omiotłem spojrzeniem zbrojne zbiegowisko i stwierdziłem, że wrogów jest około pięćdziesięciu. Niektórzy przynieśli włócznie i miecze, kilku dzierżyło siekiery, ale większość dzierżyła tylko sierpy bądź cepy - czyli byli to głównie mieszcianie, podburzeni przez reeve'a do wspomnienia go w urzędzeniu podstępnej nocnej napaści. Dostrzegłem wśród nich paru łuczników, co mnie już mniej ucieszyło. Ludzie ci zwróceni byli plecami do wody, co kazało mi zgadywać, iż nawet nie myślą o zdobywaniu *Srebrzystego Wilka*. Okręt lśnił w półmroku rozświetlanym przez blask ognisk, które suszący śledzie rybacy rozpalili na wąskim piaszczystym brzegu, nad samą wodą. Ogniste blaski grały także na hełmach, zbrojach i umbach tarcz moich ludzi, na ostrzach ich włócznie, mieczy i toporów. Drużyna Osfertha stała murem w poprzek szerokiej kei, we wzorowym szyku, prezentującym się zaiste znakomicie.

Zamknąłem podwoje oberży i zabezpieczyłem je sztabą. Tak jak podejrzewałem, Guthlac nie chciał narażać się na olbrzymie straty, więc nie porywał się na regularną walkę z murem tarcz. Zamiast tego wolał pojmać bawiących w karczmie gości, zrobić z nich zakładników i przejąć okręt.

- Przyjdzie nam się bić - oznajmiłem swoim ludziom i wysunąłem pochwę z Żądłem Osy spod płaszcza, a potem przyglądałem się z rozbawieniem, jak moi towarzysze wyłuskują ukryte pod ubraniem przeróżne ostrza. Po chwili prawie wszyscy mieliśmy w rękach krótkie saksy. Tylko Rorik, pojmany podczas jednej z odwetowych wypraw do Wschodniej Anglii Duńczyk, który potem zaprzysiągł mi wierność, niewiadomym dla mnie sposobem zdołał przytaszczyć do gospody ciężki bojowy topór.

- Za tymi drzwiami czeka na nas czereda zbrojnych - rzekłem, wskazując główne wyjście - a za tamtymi - ciągnąłem, mierząc mieczem w tylne wrota - podobnie.

- Ilu, panie? - spytał Cerdic.

- Zbyt wielu - odrzekłem.

Nie sądziłem, by przedarcie się przez ciżbę uzbrojonych jedynie w cepy czy sierpy mieszczań, mogło sprawić większą trudność mojej zaprawionej w bojach drużynie, powstrzymywała mnie jednak myśl, iż nieprzyjacielskie strzały mogłyby przynieść znaczny uszczerbek i tak już szczupłej załodze statku. Mieszkańcy Dumnocu mieli krótkie łuki myśliwskie, lecz wypuszczone z nich z niewielkiej odległości strzały potrafią przeszyć na

wskroś człowieka pozbawionego zbroi.

- Jeśli jest ich zbyt wielu, panie - podsunął Finan - najśluszniej byłoby zaatakować, zanim zbierze się ich jeszcze więcej.

- Albo poczekać, aż tamtym sprzykrzy się marznięcie po nocy - ledwie wyrzekłem te słowa, gdy rozległo się ciche pukanie.

Skinąłem na Sithrica, a ten zdjął sztabę z tylnych wrót i kryjąc się za nimi, ostrożnie je otworzył. W odrzwiach ukazał się żaloszny wypłosz w wytartej sutannie. Strwożony emisariusz, kurczowo ściskając drewniany krucyfiks, skłonił się lekko. Na mój znak wsunął się do środka - przez moment mignęli mi zbrojni na podwórzu - po czym Sithric pchnął drzwi i opuścił sztabę.

- Ksiądz? - zdziwiłem się, a on potaknął. - Nie do wiary, że nasz poczciwy gospodarz, bojąc się spojrzeć gościom w oczy, wysługuje się księdzem.

- Reeve nie chce wam uczynić żadnej krzywdy, panie - odrzekł kleryk, a co najdziwniejsze, po duńsku. Wprawdzie większość Duńczyków ze Wschodniej Anglii przyjęła chrzest, lecz zawsze sądziłem, iż czynili to z musu, wszak był to jeden z warunków ugody, jaką Guthrum zawarł niegdyś z Alfredem. Tymczasem stał przede mną żywy dowód, iż się myliłem.

- Jak cię zwa, ojczulku?

- Cuthbert, panie.

Uśmiechnąłem się szyderczo.

- Przyjąłeś chrześcijańskie miano?

- Tak, panie, to część ceremonii nawrócenia - wymamrotał niepewnie duński ksiądz. - A to dlatego, że Cuthbert był najświętszym człowiekiem...

- Wiem, kim był święty Cuthbert - przerwałem duchownemu. - Na własne oczy widziałem jego truchło. Skoro, jak prawisz, Guthlac nie chce naszej krzywdy, wnoszę, iż bez przeszkód możemy wracać na okręt?

- Twoi ludzie mogą odejść... lecz ty, panie - kleryk mówił łamiącym się głosem - i ta kobieta, macie tu... zostać.

- Kobieta? - zapytałem z udawanym zdziwieniem. - Nie pojmuję. Czyżby Guthlac pragnął, bym na jego oczach wychędożył którąś z karczemnych dziewczek?

- Karczemnych dziewczek? - ksiądz zrazu się zdumiał, a potem energicznie potrząsnął głową. - Nie, panie, reeve chce zatrzymać tamtą kobietę. - I dodał: - Skade, panie.

Tym samym rozwiały się wszelkie wątpliwości. Guthlac doskonale wiedział, kim jest Dunka, najpewniej jeszcze zanim przybyliśmy do Dumnocu. Przekląłem w duchu uciążliwą mgłę, która spowolniła żeglugę. Alfred musiał się domyślać, że zwinę do któregoś ze

wschodnioangielskich portów, aby uzupełnić zapasy. Ani chybi za pojmanie nas wyznaczył okazałą nagrodę, o czym przez umyślnych powiadomił króla Eohrica. Guthlac zwabił nas do swej karczmy, chwytając się sposobności, by szybko i bez większego zachodu napchać sobie kiesę.

- Chcecie ująć mnie i Skade? - upewniłem się.

- Tylko was dwoje, panie - przytaknął ojciec Cuthbert. - Jeśli z własnej woli oddacie się w nasze ręce, twoi ludzie, panie, mogą opuścić port wraz z porannym odpływem.

- Zatem zacznijmy od kobiety - rzekłem i położyłem Żądło Osy na stole przed Skade, a kiedy ujęła rękojeść saksa i wstała, odstąpiłem parę kroków, robiąc jej miejsce. - Możesz ją sobie wziąć - oznajmiłem wysłannikowi reeve'a.

Ksiądz przyglądał się z niepokojem, jak uzbrojona niewiasta niespiesznie przeciąga kciukiem po ostrzu krótkiego saksa, a kiedy zęby Dunki błysnęły w uśmiechu, kleryk się wzdrygnął.

- Panie? - jęknął żałośnie.

- Dalejże! Bierz ją! - przynagliłem duchownego.

Skade trzymała broń nisko, ale zwróconą ostrzem lekko ku górze, więc wypłoszowaty księżyna nie potrzebował wysilać wyobraźni, by przewidzieć, że jeśli się tylko ruszy, połyskliwe żelazo otworzy mu brzuch. Stojąc sztywno naprzeciw sprężonej do ciosu wieszczki, stropiony ojczulek zmarszczył czoło, podczas gdy moi ludzie pobłażliwie się uśmiechali. Wreszcie, zebrawszy się na odwagę, Cuthbert skinął na Skade.

- Odłóż broń, kobieto - rzekł - i chodź za mną.

- Erl Uhtred powiedział ci chyba wyraźnie, że masz mnie ująć - odparła.

Wysłannik oblizwał wargi.

- Toż ona mnie zasiecze, panie - rzekł tonem skargi.

Udałem zamyślenie, jakbym rozważał jego słowa.

- Wszystko na to wskazuje - odrzekłem niefrasobliwie.

- Muszę zasięgnąć rady reeve'a - ksiądz stwierdził w końcu, po czym, starając się zachować cień godności, drobnymi kroczkami wycofał się w kierunku drzwi. Dałem znak Sithricowi, by wypuścił złąknionego posła, a sam odebrałem Skade swój miecz.

- To co, wyskakujemy i przedzieramy się na statek, panie? - zasugerował Finan. Kucnął właśnie przy głównych drzwiach, z okiem przy dziurze po sęku. Najwyraźniej to, co ujrzał przez otwór, kazało mu sądzić, że oblegająca karczmę zbieranina nie może nam zbyt łatwo zaszkodzić.

- Nie przeoczyłeś przypadkiem łuczników? - zapytałem.

- Zaiste, widzę łuki - odrzekł. - Czyli zafajdany spaślak ma nas w garści? - dorzucił, prostując się. - A zatem czekamy, aż cała ta hałastra znudzi się i rozlezie, panie?

- Chyba że wcześniej przyjdzie mi do głowy lepszy pomysł - odparłem. Wówczas rozległo się kołatanie do tylnych wrót, głośniejsze niż poprzednio. Dałem znak Sithricowi, by zdjął sztabę.

Tym razem w drzwiach pojawił się sam Guthlac. Tak jak wcześniej paradował w zapuszczonej, długiej zbroi, nadto założył hełm, a w ręku trzymał tarczę.

- Rozejm na czas układów? - rzekł na przywitanie.

- Domagasz się rozejmu, jakby istniał między nami jakiś zatarg - zakpiłem.

- Domagam się, abyście pozwolili mi rzec, co mam do powiedzenia, a potem dali odejść wolno - reeve wygłosił chyba długo ćwiczoną odpowiedź, wolną ręką szarpiąc sumiasty wąs.

- A zatem rozmówmy się - odrzekłem układnie - i nie lękaj się, nie będziemy cię zatrzymywać.

Brzuchacz z nieufnością przestąpił próg gospody i potoczywszy spojrzeniem, z widocznym zdumieniem zrozumiał, że wszyscy moi ludzie są uzbrojeni.

- Wezwałem drużynę przyboczną mego pana - oznajmił na wstępie.

- Bardzo roztropnie - zauważyłem - albowiem twoi ludzie nie mogą się z nami mierzyć.

Urzędnik zmarszczył czoło.

- Nie chcemy tu jatki!

- Za to nas aż ręce świerzbią! - odparłem zaczepnie. - Mieliśmy nadzieję, że nadarzy się okazja do bitki! Nic tak nie ubarwia zabawy w karczmie, jak bitka, mam rację?

- I kobiece wdzięki - dopowiedział Finan, z szelmowskim uśmiechem popatrując na Ethne.

- Szczera prawda - potwierdziłem. - Najpierw zacne ale, później szczęk oręża, a na ostatek jądrna niewiasta. Czyli wszystko, co czeka bohaterów w Odynowej Walhalli. Daj nam tylko znać, gdy będziecie gotowi, Guthlac, a staniemy do walki.

- Nie możesz się opierać królewskim rozkazom, panie - nastawał wąsacz. - Pchnięci przez króla Wessexu posłańcy przestrzegli nas o waszym przybyciu, przykazując pojmać zbiegów. Alfred najwyraźniej nie pragnie waszej śmierci, panie. Chce widzieć was żywych. Zgodnie z jego poleceniem trzeba ciebie i tę kobietę przywieść mu w pętach.

- Sam będę decydował, dokąd się udam - odparowałem.

Guthlac głośno wypuścił powietrze.

- Moi ludzie nie pozwolą ci stąd odejść, panie - podjął nieustępliwie. - Na zewnątrz czeka czternastu myśliwych wprawnych w szyciu z łuku. Gdyby doszło do walki, twoi ludzie ani chybi wysiekliby część mieszczan, ale to tylko wydłużyłoby listę wytoczonych przeciwko

tobie oskarżeń. Moi łucznicy także niechybnie pozbawiliby życia część z was, a nikomu chyba na tym nie zależy. Cała załoga *Srebrzystego Wilka* może stąd swobodnie odpłynąć, ale ty, panie, zostaniesz zatrzymany, a wraz z tobą ta kobieta - spojrzał na Skade - Edith.

Mowę reeve'a przyjąłem z uśmiechem.

- Chcesz mnie pojmać, to stawaj! Pamiętaj jednak, że porywasz się na człowieka, który na morskim brzegu zwyciężył Ubbę Lodbroksona!

Grubas popatrzył na wymierzone w siebie Żądło Osy, poskubał wąs, po czym cofnął się o krok.

- Zamiast ginąć od twego miecza, panie - odrzekł - poczekam, aż przybędzie drużyna mego pana. A ta najpierw wybiję wszystkich twoich ludzi, a potem spęta ciebie. Lepiej usłuchaj mej rady, panie, i poddaj się dobrowolnie, zanim nadciągnie odsiecz.

- Chcesz mnie namówić do złożenia broni już teraz, żeby nie ominęła cię nagroda?

- A cóż w tym dziwnego? - obruszył się urzędnik.

- Ile obiecuje Alfred?

- Dość - rzucił. - Poddajesz się?

- Poczekaj na podwórku - odparłem - a wkrótce poznasz naszą odpowiedź.

- A oni? - zapytał wąsacz, ruchem głowy wskazując grupę miejscowych, którzy wraz z nami znaleźli się w potrzasku. Ludzie ci nie przedstawiali dla mnie żadnej wartości, dlatego kazałem im wynosić się z reeve'em. Poderwali się z ław i skwapliwie wymknęli z karczmy, zadowoleni, że mogą odejść, zanim wywiązała się walka, w wyniku której - jak niechybnie mniemali - karczemna polepa miała spłynąć krwią.

Gdyby Guthlac wykazał się choć odrobiną sprytu, kazałby swoim ludziom wtargnąć do gospody i przypuścić na nas zmasowany szturm. I chociaż był to najprostszy sposób, by nas pokonać, brzuchacz - ze strachu albo głupoty - rozmieścił swe siły pod wrotami, dzieląc je na dwie drużyny, liczące po około pięćdziesięciu mężczyzn każda. Skoro nie ważył się na atak, powinien był przynajmniej przytoczyć parę sążnistych beczek z piwem i zastawić nimi oba wyjścia. A potem czekać na drużynę swego pana. Chcąc wykorzystać niezaradność wroga, zamierzałem rozpędzić stojącą u głównych wrot zbrojną ciżbę i dotrzeć do *Srebrzystego Wilka*. Musiałem wszakże uczynić to tak, by żaden z moich ludzi nie stracił życia.

Nakazałem Sithricowi, by miał na oku czatujących na tyłach „Gęsi” mieszczan, których obserwował przez niewielką, wydłubaną w glinianej ścianie dziurę.

- Daj znać, gdy się rozpierzchną - poleciałem.

- A rozpierzchną się? - ucieszył się Finan. - A to dlaczego?

- Jako że dołożymy starań, by stali się posłuszni naszym życzeniom - oznajmiłem, po czym

wspiałem się po drabinie na stryszek pełniący funkcję miejscowego przybytku rozkoszy. Na górze ujrzałem trzy dziewczki, skulone obok siebie w kącie na sienniku.

- Jak się macie, dziewczyny? - zagadnąłem, ale nie odpowiedziały na powitanie, tylko niepewnie przyglądały się, jak kłuję strzechę Żądłem Osy. - Wkrótce opuszczamy te strony - podjąłem po angielsku - i miłe byłoby nam wasze towarzystwo. Wielu moich ludzi nie ma kobiety, a przecież lepiej zostać połowicą wojownika, niż rozkładać nogi przed każdym, kto przybłąka się pod ten dach, aby napchać kiesę tego obmierzłego żarłoka. Czy spaślak przynajmniej godziwie was traktuje?

- A gdzie tam - z kąta doszło mnie ledwie słyszalna skarga.

- Pewnie nie żałuje wam cięgów - zgadywałem, wrywając z dachu gruby pęk słomy. Przez powstały otwór jał wydobywać się na zewnątrz wiszący na strychu gęsty dym, który musiał być wkrótce zauważony przez Guthlaca i jego ludzi. Nie spodziewałem się wszakże, by reeve prędko posłał kogokolwiek na dach, gdyż do tego potrzebowałby drabin.

- Finan! - krzyknąłem. - Przynies płonące żagwie!

Głuche uderzenie w strzechę utwierdziło mnie, iż dostrzeżono dym i wybity w dachu otwór. Reeve musiał sądzić, iż będę chciał przezeń wyprowadzić mych ludzi, gdyż łucznicy poczęli szyc w słomę strzałami. Na szczęście pierzaste pociski nie mogły nam zaszkodzić tak długo, jak nie wychylaliśmy się z otworu, a przecież nie mieliśmy zamiaru piąć się po przegnitej strzesze.

- Lada chwila udamy się z powrotem na nasz okręt - zwróciłem się do dziewczek. - Przeto jeśli chcecie płynąć z nami, odziejcie się, zejździe na dół i czekajcie na mój znak przy głównym wyjściu.

Zamysł był bardzo prosty. Moi ludzie, ustawivszy się w rzędzie, podawali mi płonące drwa na górę, a ja ciskałem je najdalej, jak się dało. Wystarczyło, abym rozrzucił parę wydobytych z karczennego paleniska żagwi na dachy sąsiadujących z oberżą chat. Wprawdzie sparzyłem sobie dłoń, lecz trzcinowe poszycia rychło się zajęły i kilka najbliższych chałup stanęło w ogniu.

Nikt nie potrafi się beczymnie przyglądać, jak w jego osadzie szerzy się pożoga. Czerwony kur wzbudza w ludziach przemożny strach, gdyż ogień w mgnieniu oka przenosi się z jednego słomianego dachu na drugi i niewiele trzeba, by całe wzniesione z drewna osiedle poszło z dymem. Zgromadzeni pod karczmą mężczyźni, słysząc podnoszące larum kobiety i dzieci, natychmiast zapomnieli o Guthlacu i rozbiegli się, by ratować swe chaty. Jedni, pochwycivszy grabie, poczęli ściągać na ziemię stojące w płomieniach strzechy. Inni pobiegli do rzeki, by napełnić wodą cebrzyki. My zaś, korzystając z powstałego zamętu, otworzyliśmy drzwi

gospody i bez przeszkód powróciliśmy na okręt.

Przykazałem mym ludziom, by udali się na *Srebrzystego Wilka*, zabierając dwie karczemne dziewczki, którym najwyraźniej sprzykrzyło się dotychczasowe zajęcie. Nikt nie starał się powstrzymać mojej załogi, gdy biegła ku połyskującej żelazem ścianie tarcz Osfertha. Natomiast Finan i ja chyłkiem wślizgnęliśmy się do zaułka za gospodą. Nad Dumnoc królowała już krwawa luna. Panował rwetes - ludzie ponaglali się okrzykami, psy szczekały, a rozbudzone mewy kołowały nad nabrzeżem, wydając skrzekliwe wrzaski. Ogień huczał, zaś oszołomieni mieszczanie biegali we wszystkie strony i wykrzykiwali przy tym sprzeczne polecenia, starając się ocalić dobytek. Ulice były rozświetlone ściągniętymi z krokwi, płonącymi zwałami słomy, a niebo roziskrzało się od strzelających płomieni. Guthlac, chcąc uchronić „Gęś” od zatury, ciskał się, pokrzykując na przebiegających obok ludzi, by ogołocili sąsiadujący z karczmą dom ze słomy, lecz nikt nie zważał na jego żądania. Wśród ogólnego zamętu nikt nie zwrócił też uwagi na mnie i Finana, gdy cichcem zakradliśmy się na tyły gospody.

Dzierżąc w dłoni długie, grube polano, wyciągnięte ze sterty złożonych pod budynkiem drew, zaszedłem reeve'a od tyłu i zamachnąłem się, mierząc w osłoniętą hełmem skroń.

Urzędnik padł na ziemię jak byk rażony włócznią między oczy, a ja chwyciłem kołnierz jego kolczugi i z pomocą Finana zaciągnąłem wężacza na nabrzeże. Grubas był tak ciężki, iż trzeba było aż trzech ludzi, by przenieść go z pomostu, przez pokład statku handlowego, na *Srebrzystego Wilka*. Z zadowoleniem stwierdziłem, że cała załoga bezpiecznie dotarła na okręt, po czym kazałem rzucić cumy. Przyptyw począł spychać nas w górę rzeki, wioślarze zasiedli więc na ławkach i długimi, spokojnymi pociągnięciami piór utrzymywali łódź w miejscu, czekając na przesilenie pływu.

Tymczasem na brzegu szalał niszczycielski żywioł. Huczący niczym piec kowalski ogień ogarnął już sześć czy siedem chałup. Pełzające po ich dachach jężory ognia pluły w nieboskłon skrzącymi się ognikami. Powstała nad osadą luna pozwalająca nam oglądać wysiłki biedzących się mieszczan. W jaskrawym świetle widzieliśmy, jak ściągali strzechy z budynków stojących najbliżej płonących chat, aby czerwone jężory nie przeskoczyły na kolejne domostwa. Nad rzeką, w której odbijała się chybotliwa poświata, ustawił się łańcuch ludzi napełniających cebrzyki wodą. I podczas gdy na lądzie panował chaos, my przyglądaliśmy się temu spokojnie, stojąc pośrodku nurtu. Kiedy Guthlac ocknął się na półpokładzie dziobowym - gdzie go rzuciliśmy po zdarciu z wężacza zbroi oraz spętaniu mu rąk i nóg - ujrzał nad głową założoną na dziobnicę głowę wilka.

- Przetrzyj oczy i podziwiaj widoki - rzekłem, wskazując jaskrawą lunę.

Reeve jęknął, rozejrzał się niespokojnie i nagłym ruchem wymacał sakiewkę, do której za dnia wrzucił także srebro otrzymane ode mnie za nabyte w „Gęsi” wiktuały. Znalazłszy ją pustą, westchnął ciężko i podniósł wzrok, a wówczas ujrzał wojownika, który wdeptał Ubbe Lodbroksa w morski piasek, gdyż stałem nad nim w pełnym rynsztunku bojowym - w lśniącej kolczudze, zdobionym srebrem hełmie i z Oddechem Węża przytroczonym do wysadzanego srebrnymi płytkami pasa.

- Tylko wykonywałem rozkazy, panie - tłumaczył się niezręcznie.

Na brzegu spostrzegłem grupę zbrojnych. Domyśliłem się, że to drużyna przyboczna człowieka, któremu służył urzędnik. Przybyli nie mogli nam zaszkodzić, chyba żeby zdecydowali się wsiąść na jeden z zacumowanych w porcie okrętów. Na to się wszakże nie zanosilo, gdyż wojownicy, podobnie jak my, przyglądali się wysiłkom gaszących pożar, tylko od czasu do czasu spoglądając ku naszej łodzi bojowej.

- Wałkonie, zamiast sterczeć beczynnie, mogliby chociaż odlać się w płomienie! - Finan orzekł z dezaprobatą, po czym zmarszczył brwi i łypnął na spętanego reeve'a.

- Co z nim pocniemy, panie?

- Zastanawiałem się, czy nie oddać go Skade - odrzekłem.

Brzuchacz przeniósł spojrzenie na Dunkę, ale się wzdrygnął, widząc jej drapieżny uśmiech.

- Kiedy ją spotkałem - dodałem - pastwiła się nad niemożebnie zmaltretowanym, konającym tenem. Biedak umierał w męczarniach, aż przykro było patrzeć.

- Próbowałam z niego wydusić, gdzie ukrył złoto - wyjaśniła wiedźma.

- Nieszczęśnik przedstawiał doprawdy żałosny widok - dopowiedziałem, wierząc struchlałego urzędnika zimnym wzrokiem.

Srebrzysty Wilk kołysał się lekko na spokojnych wodach, które osiągnęły już swój najwyższy poziom. Szeroko rozlana rzeka mieniła się w ognistej poświacie, kryjąc pod powierzchnią zdradliwe ławice piasku i zatopione błotne wysepki. Wkrótce miał nastąpić odpływ, lecz wstrzymałem się z wyjściem w morze. Nie chciałem podejmować żeglugi po nieznanym przesmyku przed nadejściem świtu, kiedy staną się widoczne białe paliki znaczące szlak wodny. Moi ludzie wiosłowali leniwie, przeciwdziałając ospałemu rzecznemu prądowi, dzięki czemu utrzymywaliśmy się wciąż na wysokości płonącej osady.

- Jeśli rzeczywiście chciałeś dopełnić swej powinności - rzekłem do reeve'a - winienes był wprowadzić swych ludzi do karczmy, kiedy moja kompania bawiła się w najlepsze. Niechybnie wystawiłbyś część z nich na śmierć, ale przynajmniej miałbyś szansę mnie pojmać.

- Wysadzisz mnie na brzeg? - żałośnie spytał Guthlac.

- Ależ oczywiście - odrzekłem życzliwie - gdy przyjdzie po temu odpowiedni czas. Spójrz tylko na to!

Jeden z płonących dachów zapadł się, a ze sterczących z niego belek i krokwi buchnęły potężne jężory ognia. Liznęły także strzechę „Gęsi” która szybko rozgorzała niebosiężnym płomieniem, na co moi ludzie zareagowali głośnymi okrzykami radości.

Nikt nie próbował nas zatrzymać, kiedy o bladym poranku wyslizgnęliśmy się z portowego przesmyku. Na wiosłach dotarliśmy do szerokiego ujścia rzecznej, po którego obu stronach, na piaskowych ławicach, łamały się długie, białe fale. Rozciawszy jeńcowi więzy, pchnąłem go, przykazując iść na rufę. Stałem za sterem i bez słowa spoglądałem na grubasa. Odpływ niósł nas na morze. Boczna fala uderzała w okręt, wprowadzając go w kołysanie.

- Wczoraj - rzekłem spokojnie - powiedziałaś, że możemy zabawić w Dumnocu do rana. A potem złamałaś prawo gościny. Przypominasz to sobie?

Odpowiedział mi złęknionym spojrzeniem.

- Złamałaś dane słowo - podsumowałem z przyganą, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, powtórzyłem surowo: - Złamałaś dane słowo! - Guthlac, nie mogąc dobyć głosu, przytaknął nieznacznie. - Czy nadal życzysz sobie wrócić na brzeg?

- Tak, panie.

- To próbuj szczęścia - poradziłem grubasowi i wypchnąłem go za burtę. Krzyknął przeraźliwie i z głośnym pluskiem wpadł do wody. Finan rzucił komendę, załoga naparła na wiosła i podjęliśmy dalszą podróż.

Później, wiele dni po tym, jak opuściliśmy Dumnoc, Osferth zapytał mnie, dlaczego skazałem Guthlaca na pewną śmierć.

- Wszak ten dureń nie mógł ci już nijak zagrozić, panie.

- Przez wzgląd na me dobre imię - odparłem, czym wprawiłem go w zdumienie. - Ten człowiek rzucił mi wyzwanie - dodałem gwoli wyjaśnienia. - Przeto gdybym go nie zgładził, miałby możliwość chełpienia się, że wyzwiał do walki Uhtreda z Bebbanburga i uszedł z życiem.

- I dlatego musiał umrzeć, panie?

- W rzeczy samej - rzekłem. Albowiem Guthlac nie dopłynął do brzegu, od którego się oddalaliśmy. Widziałem, jak zostaje za nami. Przez chwilę walczył, rozpaczliwie machając rękoma, lecz wkrótce przykryły go fale. Wówczas podnieśliśmy żagiel i niesieni sprzyjającym wiatrem, ruszyliśmy na północ.

I znów przyszło nam przedzierać się przez mgły, a noce przepędzać w wyludnionych zatoczkach. Dopiero po kilku dniach, gdy powiał wschodni wiatr, niebo pojaśniało i *Srebrzysty Wilk* pomknął na północ. W powietrzu czuło się już zimowy chłód.

Ostatni dzień naszej wyprawy był rzeński i słoneczny. Noc spędziliśmy na pełnym morzu, a wczesnym rankiem zbliżyliśmy się do portu przeznaczenia. Zatknięta na stewie dziobowej paszcza wilka odstraszała rybackie łodzie, które na widok długiego okrętu czym prędzej kryły się wśród rozrzuconych po przybrzeżnych wodach wysepek, gdzie połyskliwe foki grzały się na skałach, z których z furkotem podrywały się stada pękatych maskonurów. Zrzuciliśmy żagiel i sunąc na wiosłach po długich, szarych garbach fal, podeszliśmy blisko piaszczystego brzegu.

- Staaać! - zawołałem do Finana.

Wioślarze zamarli w bezruchu, a *Srebrzysty Wilk* powoli wytracał pęd. Stałem na dziobie, obok Skade, wpatrując się w wybrzeże. Od stóp do głów odziany byłem w lśniący strój pana wojen - mój pyszny hełm, wypolerowaną zbroję i liczne pierścienie naramienne - a do boku przypasane miałem oba miecze.

Przed oczyma stanął mi dawno miniony dzień, kiedy stojąc na tym samym brzegu ze zdziwieniem obserwowałem płynące z północy trzy okręty. Lekko unosiły się na grzbietach fal, tak jak teraz prześlizgiwał się po nich *Srebrzysty Wilk*. Właśnie wtedy, jako mały chłopiec, po raz pierwszy ujrzałem wikińskie łodzie i nie mogłem się nadziwić ich zgrabnym, smukłym sylwetkom. Oczarowany patrzyłem na wznoszące się i opadające w idealnym zespoleniu rzędy lśniących od wody piór, podobnych skrzydłom ptaka. A potem ku memu niepomiernemu zdumieniu spostrzegłem, jak duński wódz, będąc w pełnym rynsztunku, przebiega po znieruchomiałych nad wodą wiosłach, przeskakując z jednego drzewca na drugi, z każdym krokiem ryzykując życie.

Słyszałem też, jak mój ojciec przeklina morskich przybyszów, jakby przeczuwał, że tego popołudnia z ich ręki zginie mój brat, a po paru następnych tygodniach on sam polegnie w walce z Duńczykami. Potem zdradliwy wuj zagarnął moje dziedzictwo, a ja zostałem przygarnięty przez śmiałka, który biegał po wiosłach - Ragnara, noszącego przydomek Nieustraszony. Wkrótce też wyuczyłem się mowy ludzi Północy, a potem kunsztu władania mieczem, by walczyć z nimi ramię w ramię. Począłem czcić Odyna i całkiem zapomniałem o naukach Chrystusa. Tak zaczęła się moja wędrówka, która swój początek miała właśnie tutaj, w Bebbanburgu.

- To twoja ojcowizna? - domyśliła się Skade.

- Moja ojcowizna - potwierdziłem, gdyż nie bez przyczyny zwę się Uhtredem z Bebbanburga, potężnej warowni osadzonej na wysokiej, sterczącej z szarego morza skale. Właśnie w nią się wówczas wpatrywałem. Nad wieńczącym jej wały drewnianym ostrokołem dojrzałem przyglądających się nam licznych wojowników. Na szczycie bliższego morzu skrzydła strzelistego dworu sterczała iglica z proporcem moich ojców - głową wilka.

Rozkazałem wciągnąć na maszt taki sam sztandar, mimo iż wiatr był zbyt łagodny, by należycie napiąć materię. - Chcę im przypomnieć o swoim istnieniu - powiedziałem na wespół do siebie - by wiedzieli, że póki chodzę po ziemi, zawłaszczyciel mego domu winien żyć w wiecznym strachu.

Ledwie wymówiłem te słowa, usłyszałem głos przeznaczenia, twierdzący, że nigdy nie odbiję Bebbanburga, nie wespnę się na jego skalisty cokół i nie zdobędę owych wyniosłych umocnień... o ile nie powtórzę tego, co przed laty na moich oczach uczynił Ragnar. I chociaż zamiar ten napawał mnie obawą, wiedziałem, że nie mogę opierać się wyrokowi losu. Wręcz czułem na sobie wzrok Prządek.

Przyglądały mi się, w znieruchomiłych dłoniach trzymając igły i nici. Oczekiwały mej decyzji, a ja miałem pewność, że gdybym nie uległ ich woli, zostałbym skazany na wieczne niepowodzenie. Musiałem przebiec po wiosłach.

- Ustawić wiosła równo! - przykazałem dwudziestu ludziom zasiadającym na ławkach przy burcie zwróconej ku lądowi. - A dobrze je trzymać! Krzepko i prosto!

- Panie! - rzuciła ostrzegawczo Skade, lecz w jej oczach dostrzegłem błysk radosnego podniecenia.

Miałem na sobie cały bojowy rynsztunek, gdyż pragnąłem ukazać się ludziom mego wuja w pełnej chwale pana wojen. Mój zuchwały popis łatwo mógł więc skończyć się tym, że zamiast olśnić wrogów, poślizgnę się na jednym z obłych drzewców, wpadnę do morza i obciążony zbroją oraz orężem pójdę na dno jak kamień. Odrzuciłem tę myśl, wiedziony niezachwianym przekonaniem, że sprostam przeznaczeniu. Wiadomo przecież, że kto nie waży się zaryzykować wszystkiego, może wszystko stracić.

Dobyłem Oddech Węża i podniosłem go wysoko, by bebbanburski garnizon mógł widzieć odbłask słońca na mej dumnie uniesionej klindze. Wysunąłem nogę za burtę, po czym stanąłem na pierwszym z wiosła.

Aby bieg po drzewcach robił należyte wrażenie, trzeba stawiać zdecydowane, prężne kroki, lecz nie nazbyt szybkie, by nie zdradzać się z trawiącym trzewia lękiem. Dwadzieścia stąpień musiało zostać dokonane z wyprostowanymi plecami, jakby wyczyn ów stanowił dla śmiałka zwyczajną igraszkę. Nigdy nie zapomnę uczucia dławiącej trwogi, spowodowanej chybotaniem okrętu i niepewnością, czy opuszczające się nieznacznie wiosła nie ustąpią pod moim ciężarem. Niemniej, utrzymując na wodzy lęk, przemierzyłem owe dwadzieścia kroków, a potem zeskoczyłem z ostatniego drzewca na pokład rufowy. Łądując, by odzyskać równowagę, wsparłem się o ramię Sithrica i z przepełnionym radością sercem przyjąłem okrzyki załogi.

- Jesteś przeklętym głupcem, panie - Finanowi zebrało się na wyrzuty, ale patrzył na mnie serdecznie.

- Niebawem tu zawitam! - zakrzyknąłem gromko, chociaż nie wydaje mi się, by groźba mogła zostać usłyszana aż na murach warowni. Białe grzywy fal łamały się na płyciźnie, rozbryzgiwały o piasek i wracały zasysane przez siwe morze. Sterczące nad plażą popielate skały błyszcząły srebrzystym blaskiem szronu. Nie mogłem oderwać wzroku od tych bielejących na mrozie szarych głazów, na których wznosił się mój dom. Wtedy powiedziałem do swych ludzi: - Nastanie dzień, kiedy osiadzicie tu wraz ze mną.

A potem rozkazałem podnieść żagiel i zwrócić okręt na południe. Patrzyłem na powoli zlewające się z linią nabrzeża szanie.

Jeszcze tego samego dnia weszliśmy do dobrze mi znanego rzecznej ujścia. Jako że przybliżaliśmy się do przyjaznych ziem, zdjąłem z dziobnicy wilczą paszczę. Już z daleka rozpoznałem rysujące się na horyzoncie wzgórze - gdzie, tak jak przed laty, stał ostrzegawczy stos i zrujnowany klasztor - jak też i kamienisty brzeg, na którym purpurowy okręt wybawił mnie z niewoli. Przybywaliśmy wraz z największym nasileniem przyływu, więc pozwoliłem kilowi *Srebrzystego Wilka* zaryć się w leżące na brzegu zwałowisko drobnych, morskich otoczków. Stało tam ze trzydzieści innych okrętów, strzeżonych przez niewielki gród wybudowany na wzniesieniu, nieopodal ruin klasztoru. Zeskoczyłem na ląd i czekając na przybycie wyjeżdżających na nasze spotkanie jeźdźców, prostowałem nogi, chodząc po chrzęszczących kamieniach. Wojowie ze strażnicy zatrzymali konie, a ten, który stał na ich czele, wymierzył we mnie grot włóczni i zapytał:

- Ktoś ty?

- Uhtred z Bebbanburga.

Włócznia została uniesiona, a na obliczu jeźdźca pojawił się serdeczny uśmiech.

- Od dawna oczekujemy twego przybycia, panie.

- Wstrzymały nas gęste mgły.

- Witamy, panie, witamy miłego gościa! Czegokolwiek ci trzeba, panie, jest twoje!

W siedzibie straży podjęto nas nad wyraz życzliwie - już czekał buzujący w palenisku ogień, a niedługo podano obfitą i suto zakrapianą wieczerzę. Następnego ranka dla mnie, Finana i Skade znalazły się konie. Dosiedliśmy ich i wraz z moją podróżującą pieszo drużyną udaliśmy się na południowy wschód. Wyposażono nas także w zaprzężony w woły wóz, na którym złożyliśmy moją skrzynię, a także cały oręż i zbroje. *Srebrzysty Wilk* pozostał u ujścia rzeki, gdzie strzegł go garnizon portowy, my zaś zmierzaliśmy do położonej nieopodal potężnej warowni, gdzie mogłem się spodziewać powitania jeszcze gorętszego niż to, którego

doświadczyliśmy poprzedniego wieczoru. Pan owej przepotężnej twierdzy, nie mogąc się doczekać, wyjechał nam naprzeciw. Już z daleka wykrzykiwał nieskładne pozdrowienia, zanosząc się przy tym gromkim śmiechem. Obaj zeskoczyliśmy z końskich grzbietów i rzuciliśmy się sobie w objęcia.

Ragnar. Jarl Ragnar - mój przyjaciel i mleczny brat, pan na Dunholmie, Duńczyk, urodzony wiking i najpotężniejszy władca na północy wyspy - uwolnił mnie z niedźwiedziego uścisku i solidnie szturchnął w ramię.

- Lata przydały ci powagi - stwierdził, strosząc brwi - a przy tym na dobre zeszeptniałeś.

- Czyli musimy być teraz podobni do siebie niczym dwie krople wody - odparłem.

Roześmiał się tubalnie, a kiedy odstąpił na krok, spostrzegłem, jak bardzo zaokrąglił się od czasu naszego ostatniego spotkania. By oddać mu sprawiedliwość, trzeba rzec, iż niemały brzuch niezbyt rzucał się w oczy, gdyż Duńczyk był barczystym, masywnie zbudowanym mężczyzną. Co jednak najważniejsze, wciąż nieodmiennie tryskał radością.

- Wszystkich was witam - zagrzmał, omiatając spojrzeniem całą drużynę, po czym, zwracając się ku mnie, dodał: - Gdzieś ty zmitrężył tyle czasu?

- Wśród zawiesistej mgły - wyjaśniłem.

- A ja tu tymczasem zachodziłem w głowę, co mogło ci się przydarzyć. Przyszło mi nawet na myśl, że już po tobie - odparł Ragnar. - A potem uprzytomniłem sobie, że bogowie najpewniej chronią cię, obawiając się, byś nazbyt prędko nie stawił się w ich dworzyszczu i nie popsuł im zabawy. - Dotąd wesoły jak szczygieł jarl spoważniał i spuścił głowę. - Wieść o śmierci Giseli przywiodła mnie do łez - wyznał.

- Dzięki ci, przyjacielu.

Odpowiedział prędkim skinieniem, położył mi rękę na ramieniu i powiodł w stronę swej siedziby. Dłoń, w której podczas walki zwykł dzierżyć tarczę, wciąż nosiła ślady bitwy pod Ethandun, kiedy to w długim, zaciętym boju wojska Alfreda rozgromiły wielką armię Guthruma. Owego dnia ja walczyłem po stronie Zachodnich Sasów, a Ragnar, mój najserdeczniejszy druh, w szeregach duńskich najeźdźców.

Ragnar do złudzenia przypominał ojca. Z jego szerokiej twarzy o szlachetnych rysach spoglądały błyszczące życzliwym blaskiem oczy. Podobnie też jak jego rodziciel, Ragnar Młodszy śmiał się ochoczo i pogodnie jak nikt na świecie. Włosy jarla były jasne niczym moje, dlatego nierzadko ludzie brali nas za rodzonych braci. I niewiele się mylili, gdyż Ragnar Starszy zawsze traktował mnie z ojcowską miłością. Jeśli by mnie zapytano, kto jest moim prawdziwym bratem, bez wahania wskazałbym Ragnara Młodszego.

- Doszły ci już słuchy o niedawnych zajściach w Mercji? - zainteresował się przyjaciel.

- Jeszcze nie.
- Armia Alfreda dopadła drużynę Haralda - obwieścił.
- Na wyspie Torneie?
- Nie wiem, w każdym razie tam, gdzie jarl stał obozem. Harald był ciężko ranny, a jego ludzie, zresztą dość nieliczni, przymierali głodem. Dysponujący miazdzącą przewagą Mercjanie, znudziwszy się obleganiem tak szczupłej drużyny, postanowili wyciąć ją do nogi.

- Czyli Harald nie żyje?
- Ma się rozumieć, że żyje! - odrzekł uradowany Ragnar. - Harald to Duńczyk! Dał bękartom odpór i pogonił ich precz - dorzucił ze śmiechem. - Alfred, jak powiadają, nie jest z tego powodu zbyt szczęśliwy.

- Alfred, podobnie jak jego bóg, jest wiecznie niezadowolony - rzuciłem z niechęcią. Mój przybrany brat odwrócił się, by przyjrzeć się Skade, jadącej za nami wierzchem.

- Ani chybi to ta sławetna Haraldowa dziewczka?

- Właśnie ona.

- Wygląda jak wcielenie kłopotów - stwierdził. - Zamierzasz odsprzedać ją Skirnirowi?

- Nie mam takiego zamiaru.

Dobitność odpowiedzi wyraźnie ubawiła przyjaciela.

- Zatem nie jest już dziewczką Haralda?

- Już nie.

- Nieszczęsna kobieta - naigrywał się ze mnie, zaśmiewając się do łez.

- Co wiesz o Skirnirze?

- Tyle tylko, że obiecał nagrodzić złotem tego, kto przywiedzie mu zbiegłą małżonkę.

- Zaś Alfred, o ile się nie mylę, zaoferował się wypłacić nagrodę śmiałkowi, który przyprowadzi mnie na jego dwór?

- W rzeczy samej! - odparł beztrasko. - Przeto gdybym kazał cię spętać jak kozła, mógłbym przydać sobie majątku, chociaż prawdę mówiąc, na niczym mi nie zbywa.

Zatrzymał się i zamilkł, albowiem naszym oczom ukazał się Dunholm. A warownia ta robiła zaiste ogromne wrażenie. Stała na szczycie skalistej góry, omywanej z trzech stron przez tworzące zakole wody wartkiej rzeki. Nad dachem twierdzy łopotał proporzec przedstawiający rodowy znak jej pana - skrzydło orła.

- Witaj wśród swoich - Ragnar rzekł z ujmującą życzliwością.

Słyszając te ciepłe słowa, pojąłem, że przybywając w północne strony, odzyskałem wolność. Pierwszy raz od wielu lat odetchnąłem pełną piersią.

W twierdzy powitała mnie Brida, pochodząca ze Wschodniej Anglii połowica Ragnara.

Objęła mnie bez słowa, uściskiem ukazując swój żal po stracie Giseli.

- Zrządzenie losu - rzekłem.

Odstąpiła na krok i zbliżyła dłoń do mej twarzy, muskając ją, jakby szukała śladów doświadczeń, które przyniosły mi minione lata.

- Jej brat także wkrótce pożegna się z tym światem - powiedziała.

- Ale wciąż jest królem?

- Wprawdzie to Ragnar panuje nad całą Northumbrią, ale pozwala Guthredowi cieszyć się jej koroną - odrzekła. Pomyślałem o Guthredzie, bracie Giseli, który zasiadał na tronie Northumbrii w jej nominalnej stolicy, mieście Eoferwic. Był spolegliwym, dobrodusznym człowiekiem, któremu brakowało stanowczości i siły, czyli cech niezbędnych do utrzymania władzy. Gdyby nie przyzwolenie Ragnara i pozostałych władających na północy wyspy jarłów, rychło by ją utracił. - Na stare lata całkiem postradał rozum - chmurnie stwierdziła Brida - choć wydaje się, że obłąd czyni go przeszczęśliwym.

- To lepiej, niż gdyby oszalał z nieszczęścia.

- Klerycy otaczają go troskliwą opieką, ale biedak nie pożyje chyba zbyt długo. Odmawia jedzenia, rzuca strawą o ściany i każe się zwać królem Salomonem.

- Zatem wciąż trzyma się wiary w Chrystusa?

- Guthred oddaje cześć wszystkim możliwym bogom - odparła kąśliwie. - Z wrodzonej ostrożności.

- Czy Ragnar zamyśla zająć opustoszały tron?

- Jak dotąd nie wyraził takiego zamiaru - rzekła cicho.

- A chciałabyś tego dla niego?

- Pragnę jedynie, by odnalazł przeznaczoną mu drogę - odpowiedziała smutnym głosem.

O zmroku zasiedliśmy za stołami w dunholmskim dworzyszczu. Siedziałem ramię w ramię z Bridą i przyglądałem się jej smagłemu licu o ostrych rysach, podkreślonych jeszcze przez blask buzującego pośrodku halli ognia. Pani na Dunholmie, podobnie jak Skade, roztaczała pewien widmowy czar, choć była bardziej posunięta w latach od Dunki. Owo nieuchwytnie podobieństwo sprawiało, że obie kobiety, ledwie wymieniły spojrzenia, zapalały do siebie wyraźną niechęcią.

Do uświetnienia uczy przywołano harfistę, który trącąc struny, snuł opowieść o wypadzie, którego Ragnar i jego ludzie dokonali na ziemi Szkotów, lecz słowa pieśni ginęły w biesiadnym zgiełku. Kątem oka zauważyłem, że jeden z drużynników Ragnara zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem. Zataczając się, zmierzał ku wyjściu, lecz nie zdzierżywszy nadmiaru trunku, oddał zawartość żołądka pod drzwiami. Psy zbiegły się, by zlizać na wpół

przetrawioną wieczerzę, a pijany wojownik chwiejnym krokiem wrócił do kompanów i hałaśliwie domagał się, by napełniono mu puchar.

- Jak widzisz, żyjemy tu sobie spokojnie i beztrąsko - ozwała się Brida. - Może aż za dużo.

- A cóż w tym złego? - zdziwiłem się,

- Ragnar wprost nie posiada się ze szczęścia - zauważyła ściszym głosem, aby ukochany, siedzący pomiędzy nią a Skade, nie mógł dosłyszeć. - Świątuje każdy dzień, tego przy tym popijając... - I z westchnieniem dodała: - Kto mógł się tego spodziewać?

- Nie dziwi cię chyba zamiłowanie Ragnara do ale?

- Miałam na myśli coś innego. Twoje imię budzi strach w całej Brytanii - odparła, przypatrując mi się z uwagą, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu. - Ragnar Starszy byłby z ciebie dumny...

Brida dorastała wraz ze mną na dworze Nieustraszonego, gdzie trafiła jeszcze jako dziewczynka. Spędziliśmy tam razem szczęśliwe dni, najpierw jako dzieci, a potem młodzi oblubieńcy. Moja dawna kochanka była o wiele bystrzejsza od porywczego Ragnara Młodszego, który miał jednak dość rozsądku, by ufać jej lotnemu umysłowi. Trudno jej było tylko przeboleć, iż jest bezdzietna, zwłaszcza że jej ukochany napłodził całe stadko bękartów. Niebawem okazało się, że jedna z owych nieślubnych latorośli służy nam przy wieczerzy. Ragnar, spojrzawszy na zgrabną służkę, złapał ją za łokieć.

- Tyś moja? - zapytał.

- Twoja, panie?

- Jesteś moją córką?

- O tak, panie! - odpowiedziała z szerokim uśmiechem.

- Tak właśnie myślałem - stwierdził i poklepał jej kształtne pośladki. - Uhtredzie, popatrz tylko, jakie śliczne córki robię!

- Bezsprzecznie!

- I niezgorszych synów! - dorzucił z dumą, po czym beknął rozgłośnie.

- On w ogóle nie dostrzega wiszącego nad nami zagrożenia - ciągnęła półgłosem Brida, która ani razu się nie uśmiechnęła, jako jedyna spośród biesiadujących. Dla tak rozważnej niewiasty jak ona, życie zawsze przedstawiało się niczym nadzwyczaj poważna sprawa.

- O czymże tam prawisz Uhtredowi? - zainteresował się mój mleczny brat.

- Wspominałam o pladze, która zmarnowała nam tegoroczny jęczmień - skłamała gładko.

- Tedy nabędziemy ziarno w Eoferwic - jarl odrzekł niefrasobliwie i na powrót zwrócił się ku Skade.

- Jakiego zagrożenia? - spytałem szeptem.

Żona przyjaciela cicho podjęła urwany wątek:

- Alfred umocnił królestwo Wessexu, które pod jego okiem rośnie w potęgę.

- Temu nie da się zaprzeczyć.

- A przecież jego ambicje sięgają o wiele dalej.

- Jakież to ma znaczenie - zapytałem - skoro wkrótce zabierze je ze sobą do grobu?

- Dobrze wiesz, że zamysły Alfreda dotyczą także jego syna - rzuciła ze zniecierpliwieniem. - Król Zachodnich Sasów pragnie rozciągnąć rodowe władztwo jak najdalej na północ.

- To prawda.

- A to oznacza dla nas bezpośrednie zagrożenie - orzekła stanowczo. - Jak Alfred kazał się nazywać? Królem Anglecynnu?

Gdy przytaknąłem, zaciętrzewiona sąsiadka schwyciła moje ramię i dodała:

- W Northumbrii nie brakuje ludności mówiącej po angielsku, Alfred zaś, przybierając taki tytuł, oznajmił wszystkim, że jego ród przejmie władzę także na północy wyspy. A wtedy wszyscy będą musieli ugiąć kark przed księżmi i biegłymi w piśmie mnichami.

- Zapewne.

- I dlatego należy pokrzyżować jego zamiary - orzekła wprost i zmierzyła mnie badawczym wzrokiem. - Alfred nie przysłał cię tu na przeszeptanie?

- Dobrze sobie.

- Racja - przyznała, po czym, ugniatając w palcach kawałek chleba, zasepionym wzrokiem omiotła długie ławy ryczących z uciechy wojowników. Potem rzekła złowieszczo: - Postawmy sprawę jasno. Jeśli nie zniszczymy Wessexu, Uhtredzie, Wessex zniszczy nas.

- Nawet przy najbardziej wyłożonych staraniach Zachodnich Sasów miną długie lata, zanim ich zakusy zagrożą Northumbrii - stwierdziłem z lekceważeniem.

- Też mi pociecha - odparła gorzko. - Zresztą obawiam się, że srodze się mylisz. Mercja to słaba, podzielona kraina. Wessex niechybnie pochłonie ją w ciągu najbliższych paru lat. Wówczas Sasi pomaszerują na Wschodnią Anglię, a kiedy i tam ustanowią swe rządy, zwrócą się przeciwko Northumbrii. A wiesz dobrze Uhtredzie, że wszędzie, gdzie panoszą się Zachodni Sasi, bez litości tępi się naszych bogów - jej głos nabrał piołunowej goryczy. - W ich miejsce stawiają swego jedyne go pana, który sieje trwogę w ludzkich sercach. - Breda została poddana chrześcijańskiemu wychowaniu, a później, podobnie jak ja, odrzuciła nauki, które z uporem wpajano jej w dzieciństwie, i przyjęła wiarę w dawnych bogów. - Trzeba ich powstrzymać póki czas. Zadać pierwszy cios. Musimy działać, i to niebawem.

- Niebawem?

- Haesten zbiera siły, by najechać Mercję - znów zniżyła głos do szeptu. - A kiedy to uczyni, siły Alfreda przesuną się na północ, za Tamizę. Winniśmy z tego skorzystać i powieść nasze łodzie ku południowym wybrzeżom Wessexu. - Dłoń Bridy zacisnęła się na moim przedramieniu. - Nadto ziemie Alfreda nie mają już w tobie swego obrońcy.

- Czyżbyście wciąż gawędzili o zleżałym jęczmieniu? - dał się słyszeć gromki głos gospodarza. - Powiedźże mi lepiej, Uhtredzie, jak miewa się moja siostra? Wciąż jest żoną tego starego, pokracznego księdza?

- Przy boku którego wydaje się w pełni szczęśliwa - odparłem.

- Biedna Thyra - bez ogródek orzekł Ragnar.

Popadłem w zadumę, rozmyślając o zadziwiającym splątaniu nici ludzkich losów. Thyra została małżonką Beocci i choć trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej niezwykle stadło, siostra władcy Dunholmu właśnie w owym przeczącym rozsądkowi związku znalazła niezaprzeczalne szczęście. A dokąd prowadziła moja własna nić? Tamtej nocy czułem, jakby cały mój świat wywracał się na nice. Przez tak wiele lat przysięga zobowiązywała mnie do obrony Wessexu.

Wierny jej, sumiennie wywiązywałem się z powinności, także pod Fearnhamme. Teraz zaś siedziałem u boku mej najdawniejszej przyjaciółki, przysłuchując się, jak - otwierając przede mną serce - opowiada o planach podbicia krainy, której broniłem niemalże całe życie. A przecież nawet synom sławnego wodza Północy, Ragnara Lodbroka, nie udało się zdobyć Wessexu. Wprawdzie Guthrum o mały włos nie ziścił owego odwiecznego marzenia wikingów, lecz i on ostatecznie został pokonany. Także najazd Haralda zakończył się druzgocącą klęską. Teraz z kolei zanosilo się na to, że Brida będzie starała się nakłonić Ragnara, by podjął się niełatwego wyzwania podbicia ziem Alfreda. Spojrzałem na mego młecznego brata, który z zapamiętaniem śpiewał radosną pieśń i wystukiwał jej rytm o deski stołu swoim rogiem, przy okazji wychlustując z niego piwo.

- By zająć Wessex - ozwałem się - potrzeba pięć tysięcy wojowników i tyleż samo koni. A nadto czegoś jeszcze. Karności.

- O czym mówisz? Przecież wiadomo, iż Sasi nie dorównują w walce Duńczykom - odrzekła żona przybranego brata, dufna w siły swoich krajan.

- Istotnie, tyle że ludzie Północy idą w bój tylko wtedy, gdy najdzie ich po temu ochota - stwierdziłem krytycznie.

Duńskie armie powstawały na zasadzie doraźnego porozumienia się jarłów, którzy użycali swych załóg i statków żądnemu sławy wodzowi, lecz gdy tylko nadarzała się sposobność samodzielnego zdobycia łupów, natychmiast go odstępowali. Wikingowie przypominali w tym

względnie sfory wilków, ściągających zewsząd, by opaść zbłąkane stado owiec. I podobnie jak owe drapieżniki prędko się wycofywali, jeśli okazywało się, że owce były gorliwie bronione przez zaciekle wilczarze. Duńczycy i Norwegowie chciwie nadstawiali uszu na wieści o jakimś słabym królestwie, na którego ziemiach mogliby się obłowić. Jeśli zaś doszła ich pogłoska o bezbronny a zamożnym klasztorze, nie trzeba było długo czekać, by kilkanaście smoczych łodzi puściło się w rejs i opadło boży przybytek niczym kruki padlinę. Nieraz miałem okazję się przekonać, jak rychło morsecy zbójcy zniechęcają się, napotykając zdecydowany odpór. Królowie całego chrześcijańskiego świata umacniali swe władztwa, otaczając je burhami, bo długotrwałe oblężenia nie leżały w charakterze ludzi Północy. Ci niecierpliwi z natury wojownicy łaknęli szybkich zdobyczy w postaci bogatych łupów bądź żyznych ziem, na których mogliby osiąść. Jednakże czasy łatwych podbojów - gdy nieobwarowanych osad strzegły jedynie gromady nieobytych w bojach miejscowych rolników - odeszły bezpowrotnie. Toteż jeśli Ragnar czy jakikolwiek inny wiking zapragnąłby zmierzyć się z całą potęgą Wessexu, musiał poprowadzić zdyscyplinowane zastępy, przygotowane do zdobywania umocnionych strażnic podczas długich oblężeń. A patrząc na mego ucztującego w najlepsze starego druha, nie potrafiłem wyobrazić go sobie w roli człowieka wytrwale łamiącego opór garnizonów założonych przez Alfreda burhów.

- Ty wiedziałbyś, jak tego dokonać - doszedł mnie szept Bridy.

- Czyżbyś czytała w moich myślach?

Nachyliwszy się ku mnie, ciągnęła nagłym głosem:

- Chrześcijaństwo pleni się niczym zaraza. Trzeba położyć temu kres!

- Jeśli starym bogom zawadzałaby nowa wiara - zasugerowałem - ani chybi stanęliby jej na przeszkodzie.

- Nasi bogowie wolą ucztować. Oni żyją, Uhtredzie, tak jak my - żyją, śmieją się i radują. A co zaprzęta nowego boga? Przesiaduje samotnie ponury i gniewny, Uhtredzie, i ciągiem knuje. Zaś nasi bogowie niebacznie go lekceważą.

Mimo woli lekko się uśmiechnąłem. W życiu nie spotkałem nikogo - mężczyzny ni kobiety - kto równie otwarcie łajałby bogów, wyrzucając im uchybienia. Nikt też nie był tak niezachwianie przeświadczony o własnej racji - a przy tym, w razie potrzeby, gotowy wziąć zaniebane przez niebian sprawy w swoje ręce. Niemniej słowa byłej kochanki trafiły mi do przekonania, albowiem i mnie chrześcijański bóg jawił się jako srogi, złowrogi włodarz. Nigdy nie słyszałem, by bawił się na biesiadach, by śmiał się pospołu z innymi niebianami, popijając z nimi zacny miód czy chociażby piwo. Zdaje się, że ów złowieszczy pan nie trudni się niczym innym prócz ustalania surowych prawideł niewolących ludzi i przymuszających ich

do ślepego posłuszeństwa. Wszelako, by poskromić owego bezwzględnego stanowiciela praw, także w naszych szeregach musielibyśmy zaprowadzić większą dyscyplinę.

- Pomożesz mi? - poprosiła żona Ragnara.

Siedziałem, wodząc wzrokiem za wirującymi w powietrzu płonącymi żagwiami, podrzucanymi przez parę żonglerów. Słuchałem odbijających się od ścian halli kaskadom śmiechu. Czuję, jak wzbiera we mnie fala niepohamowanego gniewu na otaczającą Alfreda chmurę księży w ponurych, czarnych sukniach. Gniewu na całą tę wyzutą z radości życia brać sług kościelnych, których jedynym pragnieniem było piętnowanie bliźnich.

- Potrzeba mi ludzi - powiedziałem.

- Ragnar ma ich pod dostatkiem.

- Moich własnych - uściśliłem. - Mam czterdziestu trzech zaprzysiężonych mężczyzn, a trzeba mi drużyny dziesięciokrotnie silniejszej.

- Wystarczy rozpuścić wieści, że staniesz na czele idącej na Wessex armii - odrzekła - a stawią się liczni zwolennicy, gotowi pójść za tobą.

- Zwolennicy żądni złota - dodałem, zerkając na Skade, która przypatrywała mi się podejrzliwie, wyraźnie zaintrygowana, jakimi zwierzeniami dzieli się za mną Brida. - Nie obejdzie się bez kopca kruszcu - mruknąłem na poły do siebie. - Grunt to zdobyć moc srebra i złota.

Oprócz złota, którym mógłbym opłacić ludzi, potrzebowałem czegoś jeszcze. Musiałem się dowiedzieć, czy ktokolwiek poza wałami Dunholmu wiedział o dążeniach mej przyjaciółki. Wprawdzie Brida zarzekała się, że nie zdradziła się przed nikim - prócz męża - swymi zamysłami względem Wessexu, lecz wiadomo było powszechnie, że jarl nie potrafił trzymać języka za zębami. Wystarczyło wręczyć mu róg pełen ale, by usłyszeć wszystkie kiedykolwiek powierzone mu sekrety. A jeśli ten pleciuga zwierzył się z zamierzeń żony choćby jednemu człowiekowi, należało się spodziewać, że wieść o tym prędzej czy później dojdzie uszu Alfreda. Dlatego ucieszyłem się, gdy do dunholmskiej twierdzy przybył Offa ze swymi psami i służkami opiekującymi się jego cudacznym zwierzyńcem.

Offa był urodzonym w Mercji Sasem, który za młodu przyjął święcenia kapłańskie. Widząc posępne oblicze i siwe włosy owego leciwego, wysokiego mężczyzny, miało się wrażenie, że widział wszelakie szaleństwa, jakie można ujrzeć na tym świecie. Pomimo podeszłego wieku wciąż tułał się po całej Brytanii, wożąc ze sobą parę wiecznie sprzecających się kumoszek i sforę tresowanych terierów. Psy występowały na jarmarkach i w dworskich hallach, chodząc na tylnych łapach, tańcząc w parach i skacząc przez obręcze. Na koniec jeden z nich wskakiwał na grzbiet kucyka, podczas gdy pozostałe podbiegały do widzów, zbierając drobne

do trzymanyh w zębach kublekóh sporządzoneh ze skóry. I chociaż w moim przekonaniu popisy czworonogóh nie były niczym wyjątkowym, dzieciarnia wprost za nimi szalała, a i sam pan Dunholmu, ilekroć miał po temu okazję, przyglądał się psiakom jak urzeczony.

Offie szybko sprzykrzyło się noszenie księżych sukni, co wrogo usposobiło do niego biskupów, lecz psi treser niewiele się tym przejmował. Żaden władca w całej Brytanii nie pozwoliłby tknąć tego starego, chytrego lisa. A to dlatego, że Offa prócz psiarni miał jeszcze inne, o wiele intratniejsze źródło zysków - jego siwa głowa stanowiła wręcz niezgłębioną skarbnicę informacji. Siwy Sas nagabywał ludzi, nasłuchiwał pogłosek i wyciągał z nich wnioski, które wymieniał na srebro. Alfred od lat żył z nim w przyjaźni, pozyskując nowiny z obcych stron. Sprytne teriery dawały Offie wstęp do wszystkich znaczniejszych dworów, a mając otwarte umysł, oczy i uszy, starzec w lot wychwytywał sedno z karczemnych opowieści. To, czego dowiadywał się na jednym dworze, stawało się dlań źródłem zarobku na innym, a jeśli ktoś pragnął wzbogacić swą wiedzę, musiał tylko wyciągać odeń upragnione nowiny, za każdą płacąc brzęczącą monetą.

- Zapewne opływasz w dobra - rzekłem do niego tamtego dnia.

- Raczysz żartować, panie - odparł siwy Sas, zasiadając przy wystawionym w podwórku Ragnarowego dworu stole. Za plecami włóczęgi przykładnie siedziało osiem psiaków. Służebny przyniósł dopiero co przybyłemu Offie kubek ale i kilka pajd chleba. Ragnar przyjął nieoczekiwanego gościa z otwartymi rękoma, z góry radując się na uciechę, jaką nieodmiennie sprawiały mu występy zabawnych czworonogów.

- Gdzie składasz uciulanę przez lata bogactwa? - podpytywałem.

- Panie, czyżbyś istotnie chciał, bym odpowiedział na to pytanie? - usłyszałem. Jako że wędrowiec parał się kupczeniem wiedzą, każda z jego odpowiedzi musiała mieć swój odpowiednik w srebrze.

- Pora roku nie sprzyja tak dalekim wypadom na północ wyspy - zauważyłem.

- Zaiste, aczkolwiek jak dotąd zima traktuje nas nadzwyczaj łagodnie. Tutaj zaś przywiodły mnie ważne sprawy. Ujmując rzecz ściślej, twoje sprawy, panie - wyjaśnił ze spokojem i pogmerawszy w przepastnej, skórzanej torbie, wyciągnął zalakowany list. - Reszty łatwo się dowiesz, panie - dodał, podsuwając mi pismo.

Podniósłszy złożony pergamin, stwierdziłem, że na z pozoru nienaruszonej pieczęci nie widnieje żaden znak.

- Co stoi w owym liście? - zapytałem bez ogródek.

- Panie, czyżbyś twierdził, że znam jego treść? - z urazą odrzekł Offa.

- Jestem tego pewien - rzuciłem - dlatego właśnie proszę, byś go streścił, oszczędzając mi

trudu czytania.

Po smętnym obliczu Mercjanina przemknął cień uśmiechu.

- Śmiem zgadywać, panie, że słowa owej epistoły niewiele cię zajmą - zastrzegł na wstępie. - Jej autorem jest twój przyjaciel, ojciec Beocca. Pisze, iż tve dzieci znalazły bezpieczne schronienie na dworze pani Aethelflaed. Następnie wspomina, że Alfred wprawdzie wciąż gniewa się na ciebie, lecz nie ma zamiaru pozbawiać cię życia, jeśli powrócisz na południe, do czego zobowiązują cię słowa przysięgi. W końcowych słowach ojciec Beocca pisze, iż nie ma dnia, by nie modlił się za twą duszę, i raz jeszcze przykazuje, abys wrócił do naznaczonych ci przez śluby powinności.

- Przykazuje?

- Z całą surowością, panie - przytaknął Offa, uprzejmie się uśmiechając.

- Nic ponadto?

- Nic, panie.

- Wobec tego mogę wrzucić pismo do ognia? - upewniłem się.

- A po cóż marnować dobry pergamin, panie? - zaproponował saski posłaniec. - Moje kobiety mogą wskrobać go do czysta i będzie jak nowy.

Odepchnąłem od siebie zalakowany list.

- Zatrzymaj go więc i opowiedz, co wydarzyło się na Torneie?

Wędrowiec przez kilka uderzeń serca ważył w myślach moje pytanie, a uznawszy, że wieści o niepowodzeniu Sasów tak czy inaczej niebawem będą na językach wszystkich, uznał, że może mi udzielić nieodpłatnej odpowiedzi.

- Król Alfred rozkazał przypuścić szturm, panie, z zamiarem odbicia zajmowanej przez najeźdźców wyspy. Pan Steapa prowadził flotę płynącą w górę rzeki, zaś aetheling Edward i jego ludzie nacierali z brzegu, przepływając się przez jej płytką odnogę. Wszelako oba ataki zakończyły się porażką.

- A to dlaczego?

- Harald, panie, kazał zawczasu powbijać w rzeczne dno zaostrome pale, na których utknęła większa część zachodniosaskich okrętów. Z kolei ludzie prowadzeni przez pana Aethelreda ugrzęźli na moczarach, gdzie narażeni byli na grad ciskanych przez obrońców strzał i włóczni. Tym sposobem żaden z Sasów nie dotarł nawet do kolczastych obwałowań, a wielu z nich poległo w rzezi, do jakiej potem doszło, panie.

- Rzezi?

- Duńczycy urządzili wypad za swoje zasieki i wyrznęli unieruchomionych na mokradłach Mercjan.

- Pocieszyłbyś mnie nieco - rzekłem - gdybyś mi powiedział, że Aethelred także zginął w grzędawisku, w które wywiódł swych ludzi.

- Pan Aethelred uszedł z życiem, panie.

- A Steapa?

- Żyje, panie.

- I co dalej?

- Dobre pytanie - Offa stwierdził oględnie i poczekał, aż na stole pojawi się sztuka srebra, którą schował do sakiewki. - Wśród królewskich zauszników toczą się zagorzałe dysputy. Należy się jednak spodziewać, że Alfred pójdzie za radą biskupa Assera.

- To znaczy?

- Biskup radzi wypłacić Haraldowi daninę w srebrze. W zamian miałby obiecać, że opuści saskie ziemie.

- Chcą opłacić Haralda srebrem? - zapytałem, nie wierząc własnym uszom. Po jakie lichy ktokolwiek miałby się przejmować garstką duńskich niedobitków? I jeszcze płacić trybut zdechłakom uwięzionym na niewielkiej wysepce?

- Nieraz srebrem można zdziałać więcej niż żelazem - sentencjonalnie odparł rozmówca.

- Parunastu wojowników mogłoby zdobyć Troneie - rzuciłem w gniewie.

- Być może, gdybyś ty stanął na ich czele, panie - układnie odrzekł psiarz. - A tymczasem bawisz tutaj.

- Zaiste.

Wyłożywszy na stół następną sztukę srebra, dowiedziałem się, że Haesten zajął pradawną warownię w Beamfleot, gdzie spokojnie przygotowywał się do najazdu na Mercję - co tylko potwierdziło wieści, które wcześniej słyszałem z ust Bridy.

- Czy przestrzegałeś o tym Alfreda? - spytałem.

- A jakże - przytaknął - wszelako król uważa, że myłę się w tym względzie. Zawierza słowom swoich zwiadowców, a ci twierdzą coś zupełnie innego.

- A zdarza ci się mylić?

- Rzadko kiedy, panie.

- Czy armia Haestena jest już dość potężna, by zająć Mercję?

- Jeszcze nie, panie. Co prawda przystało do niego wiele załóg, które zbiegły z Wessexu po klęsce pod Fearnhamme, lecz nie ulega wątpliwości, że Haesten wciąż szuka sprzymierzeńców.

- A czy będzie ich poszukiwał także w Northumbrii?

- Niewykluczone - odrzekł Offa.

Owa mało stanowcza odpowiedź pozwoliła mi domyślić się wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Zyskałem pewność, że niezrównany w odkrywaniu ludzkich tajemnic rozmówca nie wiedział o zamysłach Bridy, pragnącej ujrzeć Ragnara prowadzącego las włóczy przez pola Wessexu. Gdyby stary lis cokolwiek przewąchał, nie omieszkałby zasugerować, że northumbryjscy Duńczycy mogą mieć bardziej żywotne interesy niż dzielenie się Mercją z Haestenem. Nie poczynił wszakże podobnego spostrzeżenia, a przecież nie przepuściłby tak dogodnej sposobności do ulżenia mej kiesie.

- Jednak do zatoki Hothlege co rusz zawijają nowi przybysze - ciągnął psiarz - a z nastaniem wiosny Haesten będzie już dość silny, by ruszyć na Mercję. Przypuszczam, że nie zawaha się też prosić o pomoc ciebie, panie.

- Całkiem możliwe - stwierdziłem.

Wędrowiec rozprostował pod stołem swe długie nogi. Jeden z warujących terierów zaskomlił, ale gdy jego pan pstryknął palcami, pies natychmiast umilkł.

- Jarl Haesten - powoli rzekł Offa - gotów byłby szczerze sypnąć złotem, by zjednać sobie twe wsparcie, panie.

Uśmiechnąłem się kpiąco.

- Możesz już przestać mi wpierać, że przebyłeś tak długą drogę, by dopełnić poselstwa. Gdyby Alfred zechciał pchnąć do mnie list, wyprawiłby posłańca o wiele mniej pazernego na srebro. - Mercjanin, słysząc, jak wytykam mu chciwość, skrzywił się z niesmakiem, lecz nie wyrzekł ni słowa sprzeciwu. - Obaj też wiemy, że pismo, choć skreślone ręką Beocci, zostało podyktowane przez Alfreda, źle mówię? - Offa przytaknął. - A ujmując rzecz krótko, król przysłał cię do mnie, byś się dowiedział, co zamierzam.

- Nie on jeden w Wessexie dałby wiele, by znać twe zamiary, panie - odparł stary przechera.

Położyłem przed nim jeszcze dwa srebrniki.

- Zatem wyjaw mi je - zażądałem.

- Co takiego, panie?

- Wyjaw mi moje zamiary.

Wędrowiec spojrzał z szerokim uśmiechem na monety, zapewne dziwiąc się w duchu, że płacę mu za wieści, które nie mogły być dla mnie żadną nowiną.

- Nieczęsto widzi się taką wspaniałomyślność, panie - stwierdził i skwapliwie zagarnął srebro. - Alfred skłania się ku przekonaniu, że nosisz się z myślą, by przypuścić szturm na wały twierdzy zajmowanej przez twego wuja.

- Kto wie, czy tak nie uczynię?

- Do tego trzeba ci ludzi, panie. Aby zaś ich skrzyknąć, musisz mieć srebro.

- Mam srebro.

- Ale nie dość wiele - odrzekł z niezachwianym przekonaniem.

- To może sprzymierzę się z Haestenem?

- Za żadne skarby, panie. Żywisz do niego nieprzepartą nienawiść.

- Gdzie więc znajdę potrzebne mi srebro? - spytałem.

- W skarbcu Skirnira, gdzieżby indziej? - odparł Offa, mierząc mnie spojrzeniem.

Starając się niczym nie zdradzić, postawiłem inne pytanie:

- Czy Skirnir także opłaca twoje usługi?

- Nie znoszę kołysania statku, panie, wystrzegam się więc morskich wypraw jak zarazy. W życiu nie oglądałem Skirnira.

- A zatem Skirnir nie zna mych zamiarów?

- Powiadają, panie, iż Fryzyczyk pilnie strzeże swych skarbów, w każdym podejrzewając grabieżcę. Jeśli to prawda, przyjmie cię równie gorąco jak każdego innego nieproszonego gościa.

- To, że gotów jest odeprzeć napad podobnych mu morskich rozbójników, nie znaczy jeszcze, że powstrzyma pana mieczy.

Mercjanin uniósł brew, dając do zrozumienia, że dawno nie słyszał brzęku srebra. Położyłem na deskach monetę, która wnet zniknęła w przepastnej sakiewce.

- Skirnir będzie czekał na twoje przybycie, panie, powiadomiony przez wysłańców Aelfrica.

- A mój krewniak, jak zgaduję, dowie się o tym od ciebie?

- Jeśli godziwie mi zapłaci.

- Po tym, co powiedziałaś, powinienem odebrać ci życie, Offa.

- Tak, panie. Winienes, a jednak mi je darujesz - dokończył z uśmiechem.

W ten oto sposób - dzięki odpłatnej szczeroci starego psiarza - dowiedziałem się, że Skirnir zostanie ostrzeżony o moich zamiarach. I chociaż morski rozbójnik miał na swych usługach kilkanaście łodzi obsadzonych przez parę setek ludzi, nawet nie powstało mi w głowie, by poniechać zamierzonej wyprawy. Przeznaczenie wiodło mnie do Fryzji.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zaproponowałem Ragnarowi, by udał się ze mną za morze, na co odpowiedział ze śmiechem:

- Naprawdę sądzisz, że chce mi się moczyć zadek o tej porze roku?

Rzeczywiście, panował przenikliwy ziąb. Ze wzgórz spływały wezbrane potoki, niosąc wodę nagromadzoną po deszczach, które spadły z ciężkich chmur przyganianych wiatrem przez ostatnie dwa dni. Wprawdzie ulewa ustała, lecz w powietrzu wciąż unosił się zapach wilgotnej ziemi spowitej w ponure zimowe barwy.

Jechaliśmy przez pagórki, wiodąc siedemdziesięciu wojowników - trzydziestu moich ludzi i czterdziestu Ragnara - w zbrojach, hełmach i pod bronią. Każdy jeździec miał u boku długi miecz i przewieszoną przez plecy lub przez łęk siodła tarczę.

- Nie chcę czekać do wiosny - wyjaśniłem - bo zimową porą Skirnir nie będzie się spodziewał napaści.

- W twoim mniemaniu - odrzekł ostrożnie. - Nie wziąłeś pod uwagę możliwości, że Fryzyczyk wie, jakim jesteś pomyłeńcem.

- Płyn ze mną, przyjacielu - zachęcałem. - Zawalczmy znów ramię w ramię.

Uśmiechnął się serdecznie.

- Popłynie z wami Rollo, jeden z mych najwaleczniejszych druhów - odparł, unikając mego wzroku. - A także wszyscy moi ludzie, którzy zechcą do ciebie przystać. Przypominasz sobie Rollona?

- A jakże.

- Ja zostanę, bo ciężą na mnie dunholmskie powinności.

Wiedziałem, że niechęć Ragnara do udziału w łupieżczej wyprawie nie wynikała z tchórzostwa. Poza tym nikt nie śmiałyby mu zarzucić braku odwagi. Przyczyną odmowy było chyba zwyczajne wygodnictwo. Pan Dunholmu żył w błogim spokoju i nie widział powodu, by go mącić.

Wspiąwszy się na grzbiet wzgórza, przyjaciel ściągnął wodze i oznajmił, wskazując rozciągającą się poniżej szeroką wstęgę wybrzeża.

- Oto angielskie królestwo.

- Co takiego? - spytałem zdziwiony, przypatrując się nadbrzeżnym pagórkom, poprzecinanym siecią ułożonych z kamieni niewysokich murów, odgradzających od siebie niewielkie skrawki poczerńiałej od deszczu ziemi.

- Miejscowi tak zwą tę krainę - wyjaśnił. - Angielskie królestwo.

- Te obszary już od dawna nie są królestwem Anglów - odmruknąłem zgryźliwie.

- Ale miejscowi ludzie nadal tak je zwą - rzekł spokojnie i dodał: - A właśnie twój wuj sprawia, że jest angielska. Dzielnie sobie poczyną. - Słyszając to, udałem, że zbiera mi się na wymioty, czym przywiódłem wodza wikingów do śmiechu, ale zaraz podjął: - Nie żartuję. Zważ bowiem, że prawie cała północ ziem anglosaskich przeszła w duńskie władanie... prócz właśnie ziem Bebbanburga.

- A to z tej prostej przyczyny, że żaden z was nie podjął się szturmowi na broniącą ich warownię.

- Twierdza ma, jak dotąd, sławę niezdobytej, co niełatwo byłoby odmienić - orzekł przybrany brat. - Nawet mój ojciec mawiał, że to byłoby ponad ludzkie siły.

- Ja tego dokonam - odparłem z uporem.

Ruszyliśmy w dół łagodnego stoku. Wiejący od morza wiatr zrywał z drzew ostatnie liście. Pastwiska czerniły się, podobnie jak murszejące strzechy. W nozdrza biła wszechobecna woń obumarłej, butwiejącej roślinności. Powodowany ciekawością, zatrzymałem się u wrót jednego z obejść. Nie zastałem tam żywej duszy, bo mieszkańcy, dojrawszy nas, zawczasu skryli się w pobliskim lesie. Zajrzałem do spichrza, by przekonać się, że zbiory udały się wspaniale.

- Musiał już dojść do znacznego bogactwa - zauważyłem, mając na myśli wuja, pana całej okolicy. - Dlaczego nie wtargniesz na jego ziemie i ich nie spustoszysz?

- Od czasu do czasu tak właśnie czynimy, by do szczętu nie zgnuśnić - odparł Ragnar - a wówczas oni odwdzięczają się nam tym samym.

- Moglibyście przecież zająć należące do niego osiedla, otoczyć warownię i zamorzyć obrońców głodem.

- Wielu już tego próbowało. Aelfric krwawo rozprawia się z najeźdźcami, a jeśli są zbyt liczni, płaci im daninę, by się wynieśli.

Powiadano, że mój wuj, tytułujący się panem Bernicji³⁷, utrzymywał ponad stu wojowników jako stały garnizon warowni. Poza tym był w stanie skrzyknąć jeszcze cztery setki bitnych mężczyzn, których rodziny zamieszkiwały rozrzucone po okolicznych ziemiach wioski. Naprawdę więc jego dziedzina stanowiła niewielkie, ale udzielne królestwo. Na północy sięgało aż do rzeki Tuede, przez którą graniczyło z krajem Szkotów, natrętnych i kłopotliwych sąsiadów, łakomych na angielskie bydło i zbiory. Południowy skraj ziem podległych Bebbanburgowi wyznaczał bieg rzeki Tinan, u ujścia której na kamienistym strądzie spoczywał *Srebrzysty Wilk*. Zaś od zachodu terytorium Aelfrica ograniczał łańcuch niemalże bezludnych wzgórz. Obszarami leżącymi na południe od Tinanu władał Ragnar, a

terenami na zachód od pasma gór - inni duńscy jarlowie.

- Niekiedy czynimy wypadu łupieżcze na ziemie twego wuja - podjął mój przyjaciel - ale jakież z tego pożytek? Jeśli uprowadzimy dwadzieścia krów, wyprawa odwetowa Aelfrica zagarnie tyle samo naszych. A kiedy jeszcze Szkoci przysparzają nam kłopotów... - Wzruszył ramionami, nie kończąc myśli.

- Szkoci nieustannie szukają kłopotów - zauważyłem.

- Ludzie Aelfrica okazują się wielce przydatni, gdy ci utrapieńcy wszczynają napaści - przyznał przyrodni brat.

Zatem uzurpator mieniący się panem Bernicji potrafił być dobrym sąsiadem i jednoczył siły z Duńczykami, jeśli trzeba było odeprzeć Szkotów lub dokonać na nich pomsty za wyrządzone przez najeźdźców krzywdy. Zaś wszystko, czego żądał w zamian, to, by pozostawiono go w spokoju. Takim właśnie sposobem Bebbanburg ostał się jako wysepka chrześcijaństwa w opanowanej przez pogańskich Duńczyków krainie. Aelfric - młodszy brat mego ojca - już za młodu oznaczał się wyjątkową przemyślnością i gdyby nie dał mi powodów do nienawiści, zapewne darzyłbym go za to należyty szacunkiem. Jasno zdawał sobie sprawę, że jedyną szansą na przetrwanie jest dla niego utrzymanie niedostępnej warowni, gdzie przyszedłem na świat i którą całe życie uważałem za dom. Tytuł zaś, który przyjął, wywodził się z dawnych dziejów Bebbanburga, kiedy to moi przodkowie - królowie Bernicji - władali stamtąd rozległymi połaciami ziem, w dużej części należącymi dziś do zuchwale przypisujących sobie do nich prawa Szkotów. Wpływy bebbanburskich królów sięgały niegdyś także daleko na południe, aż do Eoferwic. Jednak jeszcze za panowania mych praojców Bernicja została podporządkowana przez Northumbrię, tę zaś - już za mego życia - zawładnęli Duńczycy. I wszystkim, co pozostało po angielskim królestwie Bernicji, była niewielka kraina otaczająca dumne mury wciąż niezdobytej twierdzy - jego niegdysiejszej stolicy.

- Widziałeś się kiedykolwiek z Aelfrikiem? - zapytałem Ragnara.

- Wiele razy.

- I nie zgładziłeś go, choćby przez wzgląd na mnie?

- Spotykaliśmy się jedynie w trakcie układów pokojowych.

- Co to za człek?

- Stary, siwy, szczwany lis o czujnym spojrzeniu.

- A jego synowie?

- Młodzi, powściągliwi, mają ten sam chytry błysk w oku.

- Mówiono mi, że Aelfric jest słabego zdrowia.

Jarl wzruszył ramionami.

- Dożył już z górą pięćdziesięciu lat. A kto w tak sędziwym wieku nie narzeka na zdrowie? Lecz wciąż trzyma się na nogach.

Aelfric ochrzcił swego najstarszego syna imieniem Uhtred, co poczytywałem za wymierzoną przeciw mnie zniewagę. Imię to od niepamiętnych czasów było nadawane w moim rodzie najstarszemu synowi, dziedzicowi Bebbanburga. W przypadku zaś gdyby ów pierworodny potomek zginął, przechodziło ono na jego młodszego brata. Właśnie ta odwieczna tradycja kazała memu ojcu nadać mi to imię. Aelfric Uzurpator, nazywając swego pierworodnego Uhtredem, obwieścił całemu światu, że po jego śmierci władzę ma przejąć jego pomiot. Co więcej, skoro po świecie chodziło dwóch Uhtredów z Bebbanburga, to nie Duńczycy czy Szkoci, lecz ja stawałem się największym wrogiem mego wuja i jego najbliższych. Poplecznicy Aelfrica już czynili próby zgładzenia mnie, nie spodziewałem się więc, by wujaszek zaprzestał morderczych wysiłków, póki starczyło mu życia. Minął szmat czasu, odkąd wyznaczył sowitą nagrodę za moją głowę. Wszelako, choć tak wielu próbowało zadać mi śmierć, żadnemu się to nie udało i już od wielu lat nie znalazł się śmiałek, który zechciałby się ze mną zmierzyć. Teraz zaś zjeżdżałem na pożyczonym wierzchowcu ku nabrzeżu po wydeptanym przez bydło rozmiękłym trakcie, w którym grzęzły końskie kopyta. Zjeżdżałem, by stanąć oko w oko ze znenawidzonym krewniakiem. Wyraźnie czułem zapach morza i choć nie mogłem jeszcze widzieć falującego bezkresu wód, niebo nad wschodnim horyzontem odznaczało się ową nieuchwytną przejrzystością, jaka cechuje powietrze nad wodną tonią.

- Sądzisz, że będzie wiedział, iż się doń wybieramy?

- Bez wątpienia. Aelfric lubi zawczasu wiedzieć o składanych mu odwiedzinach.

Konni zwiadowcy spieszyli już z pewnością do bebbanburskich bram, by uprzedzić swego pana o zbliżającej się duńskiej drużynie. Nie wątpiłem także, że ich towarzysze śledzą nasze kroki. Mój wuj mógł wszakże nie zdawać sobie sprawy, że wśród intruzów znajduje się jego zapamiętały wróg. Wartownicy musieli mu zakomunikować, że nad czołem obcej konnicy powiewa proporzec ze skrzydłem orła, lecz obok znaku Ragnara nie ujrzeli mego sztandaru, jako że uznałem, iż nie nadszedł jeszcze właściwy czas, by załopotał nad tymi ziemiami.

My także mieliśmy swoje czujki - grupki jeźdźców zarówno jadących przodem, jak też z obu flank. Odkąd pamiętam, czyniłem podobne wypady. Jeśli zdarzyło się, że niepokorny wschodnioangielski Duńczyk uznał za stosowne przywłaszczyc sobie parę owiec bądź krów pasących się spokojnie na przedpolu Londynu, wsiadaliśmy na koń i jechaliśmy do Wschodniej Anglii, by brać odwet. Wszelako tamtejsze strony są niepodobne do tych, które

teraz przemierzaliśmy. Ziemia wokół Londynu jest niemalże płaska i nic nie ogranicza widoczności. Tutaj natomiast raz po raz wjeżdżaliśmy na pagórki bądź zstępowaliśmy w doliny, toteż nasi zwiadowcy trzymali się blisko. Jezdni ze szpicy nie natknęli się na nic, co mogłoby ich zaniepokoić, zatrzymali się więc dopiero na porośniętym lasem grzbiecie, gdzie czekali, aż się z nimi zrównamy.

Stamtąd ujrzałem mój dom.

Warownia wydała mi się ogromną. Stała między nami a morzem, na wyniosłej skale, do której jedyny przystęp od lądu dawała wąska mierzeja. Na północ i południe od skalistej grani ciągnęły się wysokie, układające się w piaszczyste fale wydmy. Za wyrastającym z płytkich przybrzeżnych wód skalnym wzniesieniem kryła się szeroka zatoka z wejściem od północy, gdzie cumowało kilka niewielkich łodzi. Przylegająca do tego naturalnego portu rybacka wioska rozrosła się, podobnie jak i sama warownia. Gdy byłem dzieckiem, by dostać się do zewnętrznych obwałowań, należało przemierzyć piaszczystą groblę. Docierało się wówczas do palisady, pośrodku której wznosiła się wysoka drewniana brama oskrzydłona przez dwie strażnice, których szczyty łączył pomost bramny. Owe wrota, zwane Niską Bramą, wciąż stały, tak jak za życia mego ojca. Była to pierwsza linia obronna chroniąca podgrodzie. Jeśli nieprzyjaciele zdołaliby się przez nią przedrzeć, musieliby potem wspiąć się ku drugiej bramie, umieszczonej w wewnętrznym wale stojącym na skalnym cokole. Jednak ów drugi pas umocnień został przez Aelfrica wyburzony, a na jego miejscu wzniesiono wysoki kamienny mur. Zniknęła też stara Wysoka Brama. A zatem najeźdźcy, którym udałoby się wdrzeć na podgrodzie, gdzie mieściły się stajnie i kuźnia, musieliby pokonać tę nową kamienną przeszkodę. Przyjrzawszy się murom, stwierdziłem, że nie dość, iż są wysokie, to także bardzo grube. Na ich wierzchołku umieszczono parapet obronny, z którego bebbanburczycy mogą prowadzić ostrzał z łuków, łać wrzątek, ciskać włócznie czy kamienie wprost na głowy atakujących.

Przez dawną Wysoką Bramę wjeżdżało się do twierdzy od południa. Wuj przemysłnie zmienił ten układ i teraz trzeba było wędrować drogą opasującą mury, a wiodącą ku północnemu cypłowi, nad którym górowała nowa strażnica. Dla wroga, który zająłby podgrodzie, było to o tyle groźne, że wędrowni dookoła warowni, pod samymi jej murami, narażała go na nieustanne ataki z górnego parapetu. A przecież dopiero przebywszy całą tę dookólną, wiszącą nad urwistym morskim brzegiem drogę, przeciwnik mógł uderzyć na kamienną Wysoką Bramę, także zwieńczoną pomostem obronnym. Nawet gdyby także ten drugi atak zakończył się triumfem, oblegających czekałaby jeszcze batalia pod murem wewnętrznym. Dopiero po przełamaniu oporu broniących go bebbanburczyków dostaliby się do serca

warowni, gdzie - na samym szczycie wysokiej skały - stał strzelisty kościół i dwa wspaniałe dworzyszcza, z dachów których snuły się smużki dymu.

Zakląłem z cicha.

- O czym teraz myślisz? - zapytał Ragnar.

Kołatała mi się po głowie myśl, iż Bebbanburg nie bez powodu uważany jest za warownię nie do zdobycia, jednak powiedziałem coś innego:

- Zastanawiam się, komu wpadł w ręce Smoca.

- Smoca?

- Najprzedniejszy bojowy rumak pod słońcem, z którym z żalem się rozstałem, opuszczając Londyn.

Przybrany brat parsknął śmiechem i ruchem głowy wskazał twierdzę.

- Srogie wyzwanie, co?

- A gdyby tak dobić od północnej strony? - zastanawiałem się na głos. Okręty mogłyby przecież podpłynąć od Wysokiej Bramy. Taki zabieg oszczędziłby nam walk o Niską Bramę, jak też strat podczas okrążania murów.

- U podnóża twierdzy jest tylko wąski pas piasku i mnóstwo skał - stwierdził jarl, choć musiał wiedzieć, że ja przecież lepiej od niego znałem brzegi wokół mej rodzimej twierdzy. - A żaden większy okręt nie wejdzie na te płycizny - mówił dalej, wskazując zatokę, gdzie kołysały się przywiązane do palików rybackie krypy. - To port dla łódek. Każdy statek o większym zanurzeniu utknie na łachach. Na upartego dałoby się tam wejść w czas najwyższych wiosennych przyptywów, ale podczas odpływu okręty osiadłyby na piasku i nie sposób byłoby stamtąd wyjść. Zresztą to wyjątkowo paskudy przesmyk - przy silnym wietrze pływy razem z przybojem tworzą wysokie fale i trzeba wiele szczęścia, by się tam nie roztrzaskać.

Pomyślałem, że zdołałbym wysadzić na północny cypel dwanaście załóg. Ale cóż powstrzymałoby obrońców przed pchnięciem strzegącej podgrodzia części garnizonu wokół murów, by odciąć nam odwrót? Jednak takie posunięcie obrońców byłoby możliwe jedynie w przypadku, gdyby Aelfric miał dość czasu, by zebrać wszystkich swoich ludzi. Uznałem więc, że należy zaskoczyć bebbanburczyków. Jak wszakże miałbym tego dokonać? Przecież z murów łatwo wypatrzyć zbliżające się okręty. Od razu powołano by pod broń cały garnizon. Nadto moje załogi musiałyby jeszcze wydostać się na brzeg i wspiać około stu kroków po stromych skałach, nim dotarłyby do podnóża nowych murów, by przystawić do nich przyniesione z okrętów drabiny. Trudno byłoby nazwać taki szturm atakiem z zaskoczenia, bo przecież Aelfric miałby aż nadto czasu, by skrzyknąć wojowników i obsadzić stanowiska obronne. W takim razie może należało zaatakować najpierw z lądu, a dopiero potem od morza? Rozpocząć od

regularnego oblężenia, przywodząc pod umocnienia podgrodzia trzy do czterech setek wojowników. Oblegający nie dość, że broniliby przystępu na mierzeję wiodącą do Niskiej Bramy - uniemożliwiając tym samym obrońcom wezwanie posiłków - to jeszcze szturmowałiby ją, ściągając uwagę bebbanburczyków. Wtedy od północy uderzyłaby flota. Siły Aelfrica zostałyby w ten sposób rozdzielone, a opór załogi Wysokiej Bramy byłby słabszy. Niemniej, aby wprowadzić w życie taki pomysł, musiałbym mieć na usługach blisko tysiąc mieczy, czyli załogi dwudziestu łodzi bojowych. Biorąc pod uwagę, że większość wojowników przywiodłaby ze sobą służbę i kobiety, a może i dziatwę, musiałbym liczyć się z tym, że przyjdzie mi żywić trzy tysiące ludzi.

- Właśnie tak trzeba będzie uczynić - powiedziałem do siebie, choć na głos.

- Nikt nigdy nie zdobył Bebbanburga - przypomniał mi Ragnar.

- Ida tego dokonał.

- Jaki Ida?

- Mój praprzodek. Ida Niosący Ogień³⁸. Jeden z pierwszych przybyłych na wyspę Anglów.

Zdobył Bebbanburg na Brytach.

- Zatem w jego czasach nie była to ta sama twierdza.

Wzruszyłem ramionami.

- Zapewne była wtedy mniejsza - przyznałem.

- Pewnie walczył z garstką półnagich dzikusów, kryjących się za wałem zwieńczonym ciernistymi krzakami - stwierdził wódz Duńczyków. - Jeśli chcesz zawładnąć tym miejscem, musisz bękartów zagłodzić.

Sugestia wydała mi całkiem dorzeczną, jako że do zamknięcia mierzei stanowiącej jedyną drogę na ląd wystarczyłoby niezbyt liczny oddział. Trudniej przedstawiała się jednak sprawa odcięcia obrońców od zaopatrzenia dostarczanego morzem. Wprawdzie kilka statków mogłoby opanować wody wokół Bebbanburga, lecz kaprysy pogody przerwałyby tego typu blokadę. Podczas sztormów czy deszczy nasze łodzie musiałyby wpływać do bezpiecznej przystani, a wówczas mniejsze łodzie, należące do sprzyjających zdesperowanym obrońcom szyprów, próbowałyby przedrzeć się do warowni. Ponadto, aby zamorzyć ludzi Aelfrica głodem i w ten sposób zmusić wuja do poddania się, musiałbym wykarmić armię przez co najmniej sześć miesięcy. Wielce kosztowna operacja. Najpoważniejszym jednak kłopotem byłoby nakłonienie szybko nudzących się Duńczyków do pozostania przez pół roku w jednym miejscu. Nie mówiąc już o utrzymaniu wśród nich ładu, niezbędnego do przeprowadzenia tak długotrwałego oblężenia. W zadumie przyglądałem się wyspom Farne, o które rozbijały się białe grzywy fal. Gytha, moja macocha, zwykła raczyć mnie opowiadaniem o świętym

Cuthbercie, pustelniku modlącym się ponoć do fok i maskonurów, które obrały sobie te małe, skaliste wysepki na swe siedliska. Odludek ów żywił się ponoć wyłącznie pąklami³⁹ i pędami paproci, kiedy samotnie przesiadywał na kamieniach, zabijając czas wygniataaniem wszy na swoim ciele. Łańcuch uważanych przez chrześcijan za święte wysepek, po większej części zalewanych przez pływy, nie miał jednak dla mnie żadnej wartości. Nie oferował bowiem choćby najlichszego schronienia dla okrętów, które miałyby tamować przystęp do Bebbanburga. Podobnie nieprzydatna pod tym względem była wysunięta nieco dalej na północ Lindisfarena. Z brzegu widziałem zarys stojących na niej ruin klasztoru. Wyspa ta, choć znacznie większa od pozostałych, także nie nadawała się na przystań.

Trwałem tak, zapatrzony w majaczącą w oddali Lindisfarenę, wracając pamięcią do dawno minionych zdarzeń, kiedy nieżyjący już Ragnar Starszy wyrznął tamtejszych mnichów. Wtedy też po raz pierwszy uśmierciłem człowieka. Był nim Weland, podstępny morderca nasłany na mnie przez wuja. Ragnar pozwolił mi go zasieć, co uczyniłem, rąbiąc nieporadnie mieczem jak popadnie, zadając zdrajcy dziesiątki ran, aż wijący się z nieprzytomnej boleści krwawy strzęp człowieka skonał w drgawkach. Z wbitym w dal wzrokiem wspominałem ten jakże odległy dzień, gdy Rangar Młodszy szturchnął mnie w łokieć.

- Wygląda na to, że wzbudziliśmy ciekawość gospodarzy - zauważył.

Spod łuku Niskiej Bramy wyłoniła się kolumna jeźdźców. Jakieś siedemdziesiąt włóczni, co wskazywało, że mój wuj nie zamierza wszczynać walki. Pan mający na podorędziu stu ludzi nie chce uszczuplać swej drużyny, wdając się w zbyteczne potyczki. Toteż Aelfric wyprowadził z twierdzy tylko tylu wojowników, by żadna ze stron nie paliła się zbytnio do bitki. Kolumna wojowników przybliżała się niespiesznie, wspinając się po stoku. Jezdni byli odziani w zbroje i hełmy, dzierżyli tarcze i różnoraką broń. Zatrzymali się o dobre czterysta kroków od nas, po czym trzech, oddawszy tarcze i miecze towarzyszom, ruszyło dalej. Żaden nie dzierżył proporca.

- Wyraźnie pragną sobie z nami pogawędzić - stwierdził jarl.

- Czy mój wuj jest wśród nich?

- Tak.

Trzej jeźdźcy ściągnęli końskie wodze w pół drogi między obiema zbrojnymi drużynami.

- Chętnie ukatrupiłbym bękarta - rzuciłem.

- Wówczas jego syn przejmie po nim schedę - sucho stwierdził przyjaciel - a ciebie okrzykną człkiem bez czci i wiary, który zabił bezbronnego krewnego, łamiąc rozejm.

- Bękarci syn - mruknąłem, mając na myśli Aelfrica. Odpiąłem pas, rzuciłem miecze Finanowi i uderzyłem piętami w boki użyczonego mi dunholmskiego ogiera. Ragnar dotrzymał

mi towarzystwa. Żywiłem cichą nadzieję, że wuj wysforował się przed swych ludzi w asyście obu synów. Gdyby tak było, nie wiem, czy nie porwałbym się na nich z gołymi pięściami, próbując zatłuc całą trójkę. Jednakże ubezpieczający go postawni mężczyźni o hardych, nieruchomych obliczach wyglądali nie na potomków, ale wybranych do ochrony mocarzy.

Aelfric i tamci dwaj, zapewne jego najlepsi wojownicy, zatrzymali się tuż obok leżącego przy drodze rozkładającego się owczego truchła. Zwierzę, jak zgadywałem, musiało paść ofiarą wilków, które porzuciły zdobycz, przepędzone przez psy. Tak czy owak, ścierwo leżało tuż przy trakcie, zżerane przez kłębiące się w nim czerwce, a także kruki, które w oczekiwaniu na odejście ludzi obsiadły okoliczne drzewa. Wiatr niósł smród rozkładu wprost w naszą stronę, co jak mniemałem, było powodem, dla którego Aelfric wybrał akurat to miejsce na rozmowę.

Wuj okazał się dostojnym, choć szczupłym mężczyzną o pociągłej twarzy i długim, haczykowatym nosie. Jego ledwie widoczne spod otoku hełmu włosy były całkiem białe. Podjechałem dość blisko, a on zmierzył mnie niewzruszonym spojrzeniem ciemnych oczu, nie okazując cienia strachu.

- Uhtred, jak mniemam? - rzekł na przywitanie.

- Uhtred z Bebbanburga - zaznaczyłem.

- Zatem winienem złożyć ci powinszowania - rzekł.

- A to z jakiej racji?

- Z racji twego doniosłego zwycięstwa. Na wieść o klęsce Haralda wszyscy dobrzy chrześcijanie nie posiadali się z radości.

- Czyli ty nie mogłeś się zbytnio cieszyć - odciąłem się szybko.

- Jarl Ragnar. - Aelfric, uznawszy moją obelgę za niegodną uwagi, z godnością skłonił głowę w kierunku Duńczyka. - Panie, czynisz mi zaszczyt swą wizytą. Gdybyś zawczasu uprzedził mnie o swym przybyciu, kazałbym wydać ucztę.

- Udaliśmy się na przejażdżkę, by nieco rozruszać konie - niefrasobliwie odparł wódz wikingów.

- Poniosło was szmat drogi od domu - zauważył wuj.

- Nie od mojego - odpowiedziałem.

Pan twierdzy posłał mi nieodgadnione spojrzenie.

- Zawsze jesteś tu mile widziany, Uhtredzie - powiedział niespiesznie. - To twój rodzinny dom, możesz więc tu się pojawiać, kiedy zechcesz. Bądź przekonany, że zawsze uraduje mnie twój widok.

- A pojawię się, pojawię - obiecałem.

Zapadło milczenie. Mój ogier przytupnął oklejonym błotem kopytem. Czekaający w gotowości wojownicy przyglądali się nam bacznie. Znad morskiego brzegu dochodziły pokrzykiwania mew. Ich przeciągłe wrzaski towarzyszyły memu dzieciństwu nieprzerwanie jak szum fal.

- Od szczenięcych lat - wuj przerwał dłużącą się ciszę - wykazywałeś się uporem, krnąbrnością i bezmyślnością. Wygląda na to, że w tej mierze niewiele się zmieniło.

- Alfred w Wessexu może cię upewnić w tym przekonaniu - stwierdziłem - bowiem dzięki memu nieprzejednanemu uporowi utrzymał koronę.

- Alfred zręcznie cię wykorzystał - zauważył Aelfric. - Karmił cię i hołubił, bo przecież byłeś jego bojowym psem. A ty, jak ostatni głupiec, zerwałeś się ze smyczy. I kto cię teraz przygarnie?

- Ja - ochoczo oświadczył Ragnar.

- Wszelako ty, panie - władca Bebbanburga odparł z szacunkiem - nie masz dość ludzi, by ich trwonić na zdobywanie murów mojej warowni. Uhtred będzie musiał zebrać własną armię.

- W Northumbrii nie brakuje Duńczyków - rzuciłem.

- A Duńczycy pragną złota - odparł wuj. - Czyżbyś sądził, że to, co mogliby zdobyć w Bebbanburgu, skłoni ich do przypuszczenia nań szturmu? - Jego usta rozciągnęły się w pobłażliwym uśmiechu. - Będiesz musiał gdzieś zdobyć wielką, pełną bogactw skrzynię, Uhtredzie. - Urwał, jakby czekał na odpowiedź, ale się zawiódł. Kołyszący się na nagiej gałęzi kruk zakrakał nagłaco, rozdrażniony, że przerywamy mu wyżerkę. Wuj ciągnął z drwiną w głosie: - Zapewne spodziewasz się, że ta twoja *aglaecwif* doprowadzi się do skarbów?

Aglaecwifami nazywano niegdyś okrutne wiedźmy, nie ulegało więc dla mnie wątpliwości, że chodziło mu o Skade.

- Nie mam żadnej aglaecwify - rzekłem.

- Ta podła kobieta kusi cię, byś zagarnął dobytek jej męża.

- Doprawdy?

- Po cóż kłamać, skoro słuchy o tym doszły już samego Skirnira?

- W czym miałeś swój udział?

Wuj pokiwał głową.

- Uznałem, że należy mu posłać wieści o zbłąkanej małżonce. Niewielka uprzejmość wobec zamorskiego sąsiada. Skirnir zgotuje ci powitanie, gdy pojawisz się u niego na wiosnę. Powitanie zapewne równie gorące, jakie ja bym ci sprawił, gdybyś rzeczywiście zdecydował się powrócić w rodzinne strony - ostatnie dwa słowa wyrzekł ze zjadliwą drwiną, po czym zebrał w garści końskie wodze. - To wszystko, co mam ci do powiedzenia - uciał, pożegnał się

z Ragnarem poważnym skinieniem głowy, a potem dał znak swym ludziom i cała trójka obróciła koźmi.

- Wypruję ci flaki! - wrzasnąłem do jego oddalających się pleców. - I twoim popierdującym kapustą synalkom!

Aelfric, nie odwracając się, od niechcenia machnął ręką.

Po rozmowie z wujem pozostało mi gorzkie poczucie porażki. Pan warowni wyjechał na spotkanie, a następnie, potraktowawszy mnie jak byle szczeniaka, zawrócił i udał się na powrót do serca umiłowanej przeze mnie nadmorskiej krainy, gdzie nie mogłem go dostać.

- I co dalej? - zapytał przyrodni brat.

- Powieszę zasrańca na jelitach jego pacholąt - warknąłem - i obsikam jego zewłok.

- A jak tego dokonasz?

- Najpierw zagarnę złoto.

- Skirnira?

- A niby czyje?

Jarl zawrócił wierzchowca.

- Srebra nie brakuje też w Szkocji - napomknął - ani w Irlandii.

- Tyle że w obu tych krainach aż roi się od dzikich wojowników.

- To dlaczego nie poszukać szczęścia w Wessexie?

Jako że pysk mego konia wciąż skierowany był w stronę Bebbanburga, Ragnar przynaglił swojego ogiera, by uczynił jeszcze pół obrotu.

- W Wessexie? - powtórzyłem niczym echo.

- Powiadają, że w stawianych przez Alfreda kościołach spoczywają wielkie bogactwa.

- Nieprzebrane - potwierdziłem. - Słudzy ich boga mają mnóstwo srebra. W kościołach już nie mają go gdzie upchnąć, więc ślą papieżowi podarki z drogocennego kruszcu. Od świątynnych ołtarzy bije złota łuna. W Wessexie, przyjacielu, zgromadzono nieprzebrane skarby.

Wódz wikingów skinął na swych ludzi i dwóch z nich podjechało, niosąc nasze miecze. Zapięliśmy klamry pasów i przestaliśmy czuć się nadzy. Dwaj dunholmscy wojownicy odprowadzili nasze konie ku drużynie, jarla i mnie pozostawiając samych. Morska bryza, niosąca woń mego dzieciństwa, odpędziła nieznośny smród padliny.

- Zamyślasz uderzyć następnego lata? - spytałem wprost.

Zamiast odpowiedzieć, mleczny brat zadumał się, a potem rzekł, wzruszywszy ramionami:

- Brida ciągle mi przymawia, że zasmakowałem w uciechach statecznego życia, zgnuśniałem i obrosłem sadłem.

- Nie bez racji.

Oblicze Ragnara rozjaśnił przelotny uśmiech.

- Dlaczego wciąż podejmujemy walki? - zapytał.

- Życie to ciągła walka - odrzekłem twardo.

- A może po to, by znaleźć zakątek, który będziemy mogli nazwać własnym? - podsunął. - Cichą ostoję, zwaną domem, gdzie na jakiś czas zapomnimy o szczęku oręza?

- Masz na myśli Dunholm?

- To równie niedostępna twierdza jak Bebbanburg - stwierdził. - Właśnie z nią związałem się całym sercem.

- Tymczasem Brida namawia, abys wybrał się w długą drogę?

- I słusznie prawi - przytaknął, posepniejąc. - Jeśli nie poskromimy zakusów Wessexu, Zachodni Sasi rozpanoszą się niby pomór, prowadząc czarne zastępy kościelnych krwiopijców.

Wiecznie silimy się, by wejrzeć w przyszłość. Stąpamy po omacku i wyglądając zwiastunów przeznaczenia, zatracamy się we mgle. Mnie zaś od wielu lat dawała do myślenia świetność zamierzchłych ludów, której pozostałości oglądałem w całej Brytanii. Nieodmiennie wzbudzały mój podziw rzymskie pałace i zdobiące je marmurowe posągi. Nieraz zastanawiałem się, jak wyglądał świat, gdy utwardzano drogi, po których dziś jeszcze wędrujemy, a nad rzekami przerzucano kamienne mosty. Wszystkie te wspaniałości popadają dziś w ruinę. Marmurowe cuda pękają. Wiekowe ściany kruszeją na mrozie. Alfred i jemu podobni wkładają całą duszę, by - jak sami głoszą - podnieść upadły w grzechu świat i przywieść go do ładu oraz światłości. W tymże celu ustanawiają bezlik prawideł. Jednakże ich szczytne zamysły sprowadzają się do otaczania osad coraz to wyższymi umocnieniami, na których połyskują groty coraz to liczniejszych włóczni. I wciąż z tętentem kopyt wyłaniają się z mroku zbrojni w złowrogo połyskujących hełmach. Wciąż rozbrzmiewa lament umierających. Alfred z dumą spoglądał na powołane przez niego do życia seminaria oraz rozliczne wzniesione w Wessexie opactwa i kościoły. Oślepiiony panującym w ich wnętrzach przepychem, zapomniał, że nie istniałyby, gdyby nie dzierżone przez zaprzysiężonych mu ludzi ostre klingi. A czymże jest nawet silne królestwo Zachodnich Sasów w porównaniu z dawną rzymską potęgą?

Niełatwo pozbierać rozbiegane myśli, by dojść do pełniejszego oglądu rzeczy, lecz nie od dziś dręczy mnie przecucie, że blask świata przygasa, a niebo nad naszymi głowami zasnuwa mrok. Wewnętrzny głos mówi mi, że dni chwały minęły bezpowrotnie i nadeszły czasy upadku. Kto wie, może to i lepiej? Bogowie przepoili nas wiarą, że staczamy się ku odmętowi chaosu.

Jeśli tak jest w istocie, być może dane mi będzie zobaczyć zmierzch świata, gdy rozstąpią się góry, morze pocznie kipieć, a niebo zapali się ognistą łuną w ostatecznym starciu bogów. I co czyni Alfred w obliczu nieuchronnego rozkładu? Tworzy szkółki przykościelne. Jego wysłannicy w czarnych sukniach uwijają się niby myszy w murszejącej strzesze, narzucając wciąż nowe prawa, jakby pokorna uległość miała wybawić ludzkie plemię od zguby. „Nie będziesz zabijał” - nakazują swym owieczkom duszpasterze, co nie przeszkadza im nawoływać wojowników do zabijania pogan. „Nie będziesz kradł” - głoszą miodouści klerycy, a potem podrabiają królewskie nadania, by zawłaszczyć ziemię bliźnich. „Nie będziesz cudzołożył” - mówią wreszcie, a chędożą połowice swych wiernych z zapamiętaniem godnym otumanionych żądzą królików w rui.

Niepodobna ogarnąć tego wszystkiego. Okręt mknie po szarych wodach, pozostawiając za sobą ginący ślad, będący zapisem przeszłości. Przed dziobem zaś roztacza się niewiadome.

- Cóż się tak zafrasował? - wyrwał mnie z zamyślenia rozbawiony głos przyjaciela.

- Przemysliwałem słowa Bridy - odrzekłem. - I dochodzę do przekonania, że słuszność jest po jej stronie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że trzeba mi ruszać na Wessex?

Przytaknąłem, chociaż wiedziałem, że Ragnarowi niespieszno było w drogę, na której tak wielu powinęła się noga. Całe życie spędziłem na wojnach - najpierw przeciw Zachodnim Sasom, a potem w ich obronie. Wielokroć zapytywałem się, dlaczego przez tak wiele lat nadstawiam karku za ludzi, których los najmniej leży mi na sercu? Przecież Wessex był ostoją mrocznej wiary, przecież właśnie tam panowały narzucane przez jej kapłanów niezliczone zakazy, przecież ja niemalże od zawsze czciłem dawnych bogów, których Sasi porzucili, zawierając nedorzecznosciom, które przynieśli do Brytanii emisariusze Rzymu. Mimo to moja tarcza przez długie lata osłaniała Wessex i ilekroć Duńczycy przybywali, by rozgromić to siedlisko nowej wiary, właśnie Uhtred z Bebbanburga odbijał ich ciosy. Zgładziłem na morskim brzegu Ubbę Lodbroksa, przełamałem długi mur tarcz ludzi Guthruma, odparłem hordy Haralda. Całe chmary wikińskich wojowników porywały się na Zachodnich Sasów, by przegrywać. Wielokrotnie ja byłem sprawcą ich klęsk, lecz tylko dlatego, że tak zdecydowało przeznaczenie, które niegdyś zawiodło mnie na dwór króla otoczonego przez obmierzłych kleryków.

- Pragniesz zasiąść na tronie Wessexu? - zapytałem przybranego brata.

- Ani myślę - odrzekł ze śmiechem. - A ty?

- Ja pragnę włodarzyć w Bebbanburgu.

- Podobnie jak ja w Dunholmie... - stwierdził jarl - ...niemniej...

- Niemniej jeśli nie poniesiemy na południe naszych mieczy - dokończyłem za niego - oni przyniosą tu swoje.

- Dlatego jeśli nie chcemy, by ochrzczono nasze dzieci - stwierdził z ociąganiem - nie wolno nam zbyt długo zwlekać.

Spochnurniałem, myśląc z goryczą o moich pociechach bawiących na dworze Aethelflaed, nie wątpiłem bowiem, że właśnie wysłuchują chrześcijańskich nauk. Przemknęło mi przez myśl, że może nawet nie noszą już imion, które nadałem im z Giselą. Wezbrała we mnie złość podszyta poczuciem winy. Czy przez wzgląd na ojcowskie powinności winienem był pozostać w Londynie i kornie skłonić się Alfredowi, przyjmując naznaczoną przez niego pokutę? Swego czasu świętoszkowaty król srodze mnie upokorzył, pod groźbą śmierci przykazując podejść na kolanach do jednego z jego przeklętych ołtarzy. Wprawdzie przebyłem tę próbę, lecz przysięgłem nigdy więcej nie dać sobą pomiatać.

- Uderzymy na Wessex - rzekłem. - Utoruję ci drogę na tron i będę ci służył mieczem, tak jak służyłem Alfredowi. Ale nie ruszę na wojnę jak pierwszy lepszy gołodupiec - dodałem stanowczo. - Zdobędę złoto, a wówczas skrzyknę ludzi.

- Możesz poprowadzić moich ludzi - ochoczo zaproponował Ragnar.

- Oni tobie składali przysięgę - odparłem. - Stworzę własną drużynę. Za zdobyte złoto.

Duńczyk ze zrozumieniem pokiwał głową. Chcąc mieć poważanie u ludzi, trzeba dać przykład rzutkości i odwagi, czynem zdobywając chwałę i licznych zwolenników. Cóż z tego, że opromieniała mnie sława pana wojen, skoro tak długo, jak stałem na czele garstki wojowników każdy zasobny pan mógł obrzucać mnie obelgami, jak dopiero co uczynił to Aelfric. Bez ciężkiej szkatuły i lasu włóczni nie mogłem temu zaradzić.

- Jesteś zatem zdecydowany płynąć do Fryzji, nie czekając wiosny?

- A w jakim innym celu bogowie zesłali mi Skade? - odrzekłem bez zastanowienia. I wtedy poczułem, jak rozwiewa się spowijająca horyzont przyszłości mgła, dzięki czemu ujrzałem, dokąd wiedzie mnie przeznaczenie. Los wskazał mi Skade. Dunka doprowadzi mnie do skarbcza Skirnira. Jego złoto pozwoli mi zebrać liczną drużynę. Powiodę ją do Wessexu i złamię opór burhów. Zgarnięte z chrześcijańskich ołtarzy srebro wydam na utworzenie wielkiej armii, którą poprowadzę na Bebbanburg.

Niespodzianie wszystko stało się jasne i proste.

Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy do Dunholmu.

Dziób *Srebrzystego Wilka* uderzył w falę, wzbijając białe rozpryski, które smagnęły żeglarzy niczym lodowe igły. Zielona toń przelała się przez pokład dziobowy, tworząc na dnie okrętu kołyszące się bajoro.

- Wybierać! - krzyknąłem, gdy paszcza wilka uniosła się ku niebu. Wszyscy, którzy nie dzierżyli wiosła, w szaleńczym pośpiechu poczęli wylewać lodowatą wodę za burty.

- Wiosłować! - zagrziałem. Pióra jednocześnie zanurzyły się w zielony garb i *Srebrzysty Wilk* zanurkował w ciemną wodną dolinę, uderzając o jej dno z impetem, który wstrząsnął kadłubem. I jak tu nie kochać morza?

Większą część załogi stanowiło moich czterdziestu trzech ludzi. Żony i dzieci, rzecz jasna, pozostały na brzegu. Jediną kobietą, której pozwoliłem wstąpić na łódź, była Skade, albowiem tylko ona mogła nas doprowadzić do ukrytego wśród piaszczystych wysepek złota Skirnira. Prócz mej drużyny płynęło na statku trzydziestu czterech ludzi Ragnara, samych ochotników, którzy teraz wspólnie z nami parli na wschód, walcząc z zimową zawieruchą. Zima nie jest odpowiednią porą, by wychodzić w morze. Przed porą sztormów żeglarze zwykli wyciągać swoje łodzie na brzeg, a sami chronić się pod dachami rozświetlonych jasnymi płomieniami hall. Skoro jednak Skirnir spodziewał się mnie wiosną, podjąłem się zimowej wyprawy.

- Wiatr się wzmaga! - zawołał Finan.

- Taka jego natura! - odkrzyknąłem, za co odwdzieczył mi się chmurnym spojrzeniem. Irlandczyk nigdy nie miłował wodnych bezkresów. Niegdyś spędziliśmy długie miesiące, przykuci do tej samej ławki wiosłarskiej, kiedy to - chcąc nie chcąc - Finan musiał znosić trudy morskich wędrówek. Od tamtej pory mój stary druh nie kochał walki z żywiołem.

- Czy nie powinniśmy zawrócić i uchodzić, póki czas?

- Umykać przed takim wietrzykiem? Jeszcze czego! - ryknąłem, przekrzykując wycie wichury. Zaraz potem mimowolnie się skrzywiłem, gdy zimna woda chlusnęła mi w twarz. - Wiosłować, bękarty! - zawołałem gromko. - Wiosłować, jeśli wam życie miłe!

Wiosłowali więc, nie ustając w znoej walce. Przetrwaliśmy szturm fal, aż w pewien mroźny poranek, przy cichnym wietrze, ujrzeliśmy ponure fryzyjskie brzegi. Nagłe wypogodzenie skłoniło szyprow miejscowych statków do wyjścia z portów. Była to dla nas nader sprzyjająca okoliczność, jako że podążając w ślad za jedną z takich łodzi, przedostaliśmy się przez plątaninę kanałów, dających przystęp do znajdującego się za pasmem wysp Przybrzeżnego Morza - wąskiego, płytkiego skrawka wód z trzech stron otoczonego przez mokradła, a z czwartej zamkniętego przez pasmo łach. Niewielka, pękata łódź, której śladem poszliśmy, sunęła popychana czterema parami wiosła. Jej ładownię przykrywała pozszywana ze skór płachta, toteż domyślałem się, że kryje się pod nią sól, mąkę bądź jakiś inny nieodporny na deszcz ładunek. Sternik małego statku przeraził się, widząc, jak dopędza go smocza łódź z głową wilka na dziobnicy i liczną zbrojną załogą. Aby uspokoić

przestraszonego szypra, krzyknąłem, że nie mamy wrogich zamiarów, a jedynie życzenie, by przeprowadził nas przez nieznaną nam przesmyk. Wody przybierały, nie obawiałem się zatem, że wywiedzie nas na łachy. Zresztą zawsze mogłem wrócić tą samą drogą, którą przybyłem. Na szczęście sternik miejscowego statku pokazał nam dogodny szlak przez płycizny, wyprowadzając *Srebrzystego Wilka* na skraj owego Przybrzeżnego Morza, które okazało się terenem łowieckim Skirnira.

Zauważyliśmy okręt o wiele mniejszy od naszego. Stał na czatach o pół mili od miejsca, gdzie szlak wiodący z otwartych wód wychodził na Przybrzeżne Morze. Na pokładzie łodzi mogło się znajdować najwyżej dwudziestu mężczyzn, ale byli w pełni gotowi do napaści na każdy statek, który wyłoni się z przesmyku. Piraci nie rwali się do ataku na *Srebrzystego Wilka*, lecz też nie uciekli, i bacznie nas obserwowali. Pozostawili nawet w spokoju łódź naszego przewodnika, którą z pewnością pragnęli albo złupić, albo zmusić do opłat. Szyper statku handlowego zwrócił się ku mnie i wskazując czekający okręt, zawołał:

- Muszę wnieść myto.

- To ludzie Skirnira? - zapytałem.

- Tak, to jeden z jego okrętów, panie.

- Skoro tak, zapłać - rzuciłem po angielsku, gdyż mowa Fryzyczyków nie różni się zbyt od naszej.

- Oni będą wypytywać, panie - zwołał tamten i wnet pojałem jego niepewność.

Morskich zbójów musiała niepokoić nasza obecność na podporządkowanych im wodach. Mogli zatem wziąć kupca na spytki, a w razie gdyby na postawione pytania nie dał zadowalającej odpowiedzi, obić go, przymuszając do zwierzeń.

- Możesz im powiedzieć, że jesteśmy Duńczykami wracającymi do domu - powiedziałem. - Zwę się Leif Thorson. A gdyby i od nas chcieli pobrać myto, powtórz ode mnie, że muszą tu podpłynąć i sami nas o to poprosić.

- Tamci nie ważą się żądać od was srebra, panie - roztropnie zauważył szyper. - Szczur nie odgoni wilka od wieczerzy.

Odpowiedziałem pochlebcy uśmiechem.

- Powiedz szczurowi, że nie szukamy z nikim zwady, bo płyniemy we własne strony. I to wszystko, co ci o nas wiadomo, prócz tego, że w ślad za tobą przepłynęliśmy przesmyk. - Co rzekłszy, rzuciłem kupcowi sztukę srebra, upewniwszy się najpierw, że wybrałem monetę z wybitą inskrypcją *Christiano Religio*, tak jak na wszystkich frankijskich monetach, albowiem nie chciałem, by wiadano, że przybywam z Brytanii.

Ośmiu wioślarzy zgięło grzbiety i statek handlowy jął sunąć ku małej pirackiej łodzi.

Skade wychynęła spod półpokładu sterowego, gdzie dotąd chroniła się przed zimnem.

- *Kruk Morski* - powiedziała, lekkim skinieniem głowy wskazując przyczajony w pobliskiej zatoczce okręt. - Szyper zwie się Haakon. Jest krewnym Skirnira.

- Tedy mógłby cię z łatwością rozpoznać?

- Naturalnie.

- No to schyl głowę i się nie pokazuj - przykazałem.

Skade, słysząc władczy ton, nasrożyła brwi, lecz posłuchała.

- Ludzie Haakona nie poważą się z nami zdrzeć.

- Nie?

- Atakują okręty wojenne tylko wtedy, kiedy mają przynajmniej czterokrotną przewagę nad przybyszami.

- Mówiłaś, że Skirnir ma szesnaście statków tej wielkości? - spytałem, przypatrując się *Krukowi Morskiemu*.

- Tak. Przed dwoma laty jego flota liczyła szesnaście łodzi podobnych tej oraz dwa większe okręty.

- To było przed dwoma laty - ponuro wtrącił Finan.

Zbliżaliśmy się do gniazda piratów kilkakroć liczniejszych od naszej załogi, dlatego byłem przekonany, że Skirnir, dowiedziawszy się o bytności wikińskiej łodzi na swoim łowisku, będzie ważył w myślach, czy wydając nam walkę, nie narazi się na zemstę wojowniczych ludzi Północy. Miałem więc pewność, że dwa razy się zastanowi, nim nas zaatakuje. Nie wiedziałem, czy przyjdzie mu na myśl, że Uhtred z Bebbanburga waży się na podjęcie zimowej przeprawy przez otwarte morze, lecz nie wątpiłem, iż morski zbój będzie dociekał, kim jest i czego tutaj szuka Lief Thorson, i nie spocznie, póki nie zaspokoi ciekawości.

Kazałem zdjąć paszczę wilka z dziobnicy i obróciłem okręt ku stałemu lądowi. *Kruk Morski* wprawdzie ruszył z miejsca, lecz dopiero gdy nieco się oddaliliśmy. Piraci powoli sunęli za naszą rufą, a kiedy kazałem wstrzymać wiosła, by mogli nas dogonić, zmienili kurs i zawrócili w kierunku wysp. Popłynęliśmy zatem dalej, powoli tracąc ich z pola widzenia.

Z początku rozglądałem się za cichym zakątkiem, gdzie moglibyśmy się zaszyć, lecz tak często mijaliśmy miejscowe łodzie, że nie istniała możliwość, byśmy zdołali gdziekolwiek zawinąć niezauważeni. Wówczas zaś wieść o naszej kryjówce wnet dotarłaby do Skirnira. Gdybyśmy w istocie byli udającymi się na północ Duńczykami, za których się podawaliśmy, powinniśmy opuścić podległe piratom wody w przeciągu dwóch, trzech dni. Z każdym dniem bytności na Przybrzeżnym Morzu, bardziej narażaliśmy się na podejrzenia morskiego zbrojaka. A na tych zdradliwych, płytkich wodach łatwo mogliśmy znaleźć się w położeniu szczurów,

które opadną ludzie Morskiego Wilka. Przez cały dzień szliśmy na wiosłach, kierując się na północny wschód. Płynęliśmy niespiesznie, dając zwiadowcom Skirnira czas, by donieśli mu, że naprawdę płyniemy na północ, w nasze rodzinne strony. Naturalnie wódz miejscowych powinien się spodziewać, że będziemy szukać schronienia na noc, zatem to właśnie uczyniliśmy. Wpłynęliśmy do pewnej zatoki, niewielkiej, ale wystarczająco głębokiej, by dało się podejść niemalże do samego lądu - o ile tamtejsza gmatwanina kanałów, mokradeł i łąch godna jest szumnego miana lądu. Jak okiem sięgnąć otaczały nas trzciniowiska zamieszkałe przez chmary wodnego ptactwa. Na południowym brzegu zatoczki stało kilkanaście chałup i niski drewniany kościółek. Mieszkańcy wioski stali na brzegu i z niepokojem przyglądali się *Srebrzystemu Wilkowi*. Obawiali się, że zechcemy zejść na ląd i zagabić ich skromne mienie. My jednak, płacąc frankijskim srebrem, nabyliśmy we wsi zapas węgorzy i śledzi, po czym wytoczyliśmy na brzeg faskę dunholmskiego *ale*.

Pozostawiając większość załogi na statku, powiodłem do wioski sześciu mężczyzn, których wybrałem spośród Duńczyków Ragnara. Na miejscu odszpuntowaliśmy beczkę i poczęliśmy się przechwalać, że wracamy z dalekich południowych krain, gdzie niebywale się obłowiliśmy.

- Brzuch naszego okrętu wypełniony jest srebrem i złotem - obwieściłem z triumfem, zwracając się do gromadki rybaków, którzy urzeczonym wzrokiem wpatrywali się w morskich wędrowców. Uwierzyli, że dotarliśmy do nieznanych lądów i zdobyliśmy tam nieprzebrane skarby. Gdy zwilżone piwem języki miejscowych nieco się rozplątały, nakierowałem rozmowę na Skirnira. Wieśniacy opowiedzieli mi wszystko, co wiedzieli, ale wiedzieli niewiele. Według nich Wilk Morski miał liczną flotę, setki zaprzysiężonych mu ludzi, a także liczną rodzinę. Wspierając się na takiej sile, panował na Przybrzeżnym Morzu. Potwierdziły się też moje podejrzenia, że Skirnir jest dość przezorny, by nie stawać na drodze bojowym okrętom w rodzaju *Srebrzystego Wilka*. Wszystkie inne statki musiały uiszczać narzucone przez niego myto, o ile chciały korzystać ze strzeżonych przez jego ludzi przesmyków pomiędzy wyspami. Jeśli zaś szyper nie miał czym płacić, zabierano ładunek, najczęściej wraz ze statkiem, a zdarzało się, że nieszczęśnika pozbawiano także życia.

- Dlatego wszyscy mu płacą - mrukliwie podsumował jeden z rybaków.

- A komu Skirnir płaci trybut? - zapytałem.

- Panie?... - bąknął, najwyraźniej nie pojmując, o co mi chodzi.

- Za czym przyzwoleniem Skirnir zajmuje te wyspy? - ponowiłem pytanie, lecz i tym razem nie otrzymałem żadnej dorzeczej odpowiedzi. - Okoliczne ziemie muszą mieć przecież jakiegoś pana - stwierdziłem, zamaszystym gestem wskazując rozpościerające się poza

kręgiem ognia ciemności. Okazało się jednak, że nawet jeśli istniał władarz tych podmokłych wybrzeży, ich mieszkańcy nigdy o nim nie słyszeli. Nawet miejscowy duszpasterz, zarośnięty i oblepiony błotem tak jak jego parafianie, kiwał tylko głową na znak niewiedzy. Dodałem więc: - A czego żąda od was ów Skirnir?

- Musimy oddawać mu część połowu, panie - odrzekł ksiądz.
- I mężczyzn - dorzucił jeden ze starszych wieśniaków.
- Mężczyzn?
- Młodzi mężczyźni odpływają, by służyć na jego okrętach - wyjaśnił.
- Z własnej woli?
- Skirnir opłaca ich srebrem - niechętnie przyznał siwy starzec.
- Uprawdza też kobiety - odezwał się kapłan.
- Czyli wynagradza swoich ludzi srebrem i kobietami - domyśliłem się.
- Nie inaczej, panie.

Rybacy nie mieli pojęcia, ile łodzi liczy flota miejscowego pana życia i śmierci. Ksiądz zapewnił mnie tylko, że Skirnir ma dwa okręty dorównujące wielkością mojemu Wilkowi.

Nazajutrz dobiliśmy na nocleg do innej zatoki, lecz w tamtejszej wiosce nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Z nastaniem świtu moi ludzie chwycili za wiosła i znów sunęliśmy cały dzień po spokojnych wodach, po prawej burcie mając stały ląd, a idący łukiem pas wysp po lewej i przed sobą, czyli na zachodzie i północy. Skade wskazała mi Zegge, lecz z oddalenia nie różniła się ona niczym od pozostałych skrawków lądu. Na niektórych z mijanych łach sterczały charakterystyczne sztucznie usypane pagórki, terpy. Jednakże, nie chcąc się zanadto przybliżać, nie miałem możliwości dokładniej im się przyjrzeć. Niekiedy ledwie majaczący nad powierzchnią wód, ciemniejszy kształt terpu zdradzał obecność wyspy tuż za widnokręgiem.

- Co zamýślasz teraz uczynić? - Finan nagabnął mnie owej nocy.
- Jeszcze nie wiem - przyznałem.

Irlandczyk błysnął zębami. Woda chlupotała o kadłub *Srebrzystego Wilka*. Noc mieliśmy spędzić na statku. Większa część załogi, opatulwszy się w płaszcze, ułożyła się już do snu pomiędzy ławkami. Skade, Finan, Osferth i Rollo - przewodzący zaprzysiężonym Ragnarowi Duńczykom - siedli ze mną na pokładzie sterowym.

- Skirnir ma około czterystu ludzi - rzekłem.
- Jeśli nie czterystu pięćdziesięciu - uściśliła wiedźma.
- Wychodzi na to, że każdy z nas ma do położenia trupem sześciu wrogów - stwierdził Rollo.

Rollo.

Duńczyk był równie pogodnym człowiekiem jak Ragnar. Miał szerokie, łagodne oblicze, które nie licowało z jego sławą, gdyż pomimo młodego wieku uważany był za srogiego wojownika. Nadano mu przydomek „Włochaty” choć wcale nie dlatego, że na jego plecy spływały jasne, sięgające pasa włosy. Otóż Rollo miał w zwyczaju obcinać pokonanym wrogom czupryny i splatać z nich nowe pasy, których używał do noszenia miecza. „Szkoda tylko, że Sasi tak krótko podcinają włosy” - sarknął któregoś dnia, przekrzykując wiatr, gdy szliśmy przez wzburzone morze. „Gdyby zapuszczali je tak jak ty - odparłem - miałbyś już dziesięć takich pasów”. „A tak splotłem ich tylko siedem” - odrzekł z szerokim uśmiechem.

- Ilu wojowników broni Zegge? - zapytałem siedzącą obok Skade.

- Co najwyżej stu.

Osferth wypluł ość ryby, którą właśnie jadł.

- Czyżbyś zamyślał uderzyć wprost na Zegge, panie?

- Wątpię, byśmy mieli zbyt duże widoki na odnalezienie odpowiedniego szlaku wśród tych ciągle zalewanych wysepek - odpowiedziałem. Miejscowi rybacy opisali mi okolice Zegge. Wokół terpu Skirnira rozciągały się szerokie połacie płycizn poprzecinanych siecią krętych kanałów, zmieniających bieg w miarę, jak przychodzące i odchodzące morze przenosiło ławice piasku. Wieśniacy wspominali przy tym, że wódz piratów nie znakował drogi do swej przystani.

- To jak go podejmiemy? - zapytał Osferth.

Ognik spadającej gwiazdy przemknął po ciemnym niebie, ciągnąc jasny ogon. A mnie zaświtał w głowie przejrzysty plan. Zastanawiałem się nad wypowiedzeniem Skirnirowi szarpanej wojny, by wygubić jego załogi jedna po drugiej. Obawiałem się jednak, że zwyciężywszy kilka małych statków, sprowadzę sobie na kark całą flotę morskiego zbója i nie uniknę bitwy z wielokrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Także uderzenie wprost na jego siedzibę mogło się okazać zgubnym posunięciem. By szturmować Zegge, potrzebowałbym załóg z dziesięciu okrętów takich jak *Srebrzysty Wilk*. Jedynym zatem sposobem pokonania morskiego zbója było wywabienie go z nieprzystępnego gniazda. Dlatego odpowiedziałem Osferthowi uśmiechem i rzekłem:

- Zdradzisz mnie.

- Ja?

- Kim jest twój ojciec?

- Dobrze wiesz kim - odmruknął gniewnie, gdyż nie lubił, gdy mu przypominano, że jest bękartem Alfreda.

- Twój ojciec to stary i schorowany człowiek - ciągnąłem - a jego prawowity syn ma

mleko pod nosem, ty zaś zdobyłeś już sobie uznanie jako zaprawiony w bojach wojownik. Toteż jutro dopuścisz się zdrady.

Potem wyłuszczyłem, jak wcielić ów plan w życie.

Jak mówi stare porzekadło, śmiałe zamiary wymagają śmiałych postępów. Wszelako wspominając naszą bytność we Fryzji, sam się sobie dziwię, że podjęliśmy wówczas takie ryzyko. Podobnie jak wtedy, gdy zwabiłem Haralda w zastawione nań sidła, tak i teraz wyzywałem los, decydując się podzielić swe siły. Tym samym wystawiałem na szwank życie moje i moich ludzi, bowiem gdyby nie udało mi się wywieść wroga w pole, byłibyśmy straceni. I raz jeszcze za przynętę miała mi posłużyć Skade.

Wieszczka była obłędnie piękna. Śniadoskóra i gibka. Starczyło raz ją ujrzeć, by zapragnąć tej niewiasty ponad wszystko. Wprawdzie przy bliższym poznaniu wzbudzała nieufność, lecz jej uroda swym olśniewającym blaskiem przyćmiewała wszelkie wątpliwości. Miała wyraziste lico o wyraźnie rysujących się pod gładką skórą kościach policzkowych oraz pełne, kształtne usta i oczy sarny. Nadto kruczoczarne, długie, lśniące włosy i prężne ciało, które poruszało się z istic kocią gracją. Na świecie nie brakuje przeuroczych młodek, nie przeczę, lecz życie wystawia je na ciężkie próby. Wydawszy na świat dziecko, kobieta jest zmordowana jak człek, który cudem uniknął śmierci w odmętach podczas sztormu. A nigdy nieustające gospodarskie zajęcia - jak choćby praca przy żarnach i snucie przędzy - odciskają piętno na ich przyrodzonych urokach. Wszelako niepoślednia uroda Skade, mimo że Dunka widziała już z górą dwadzieścia wiosen, nie utraciła dziewczęcej świeżości. Wiedźma zdawała sobie sprawę z obezwładniającej mocy piękna i robiła z niej użytek, toteż rychło przebyła długą drogę z chaty ubogiej wdowy do przestronnych dworów, gdzie piła sycone miody, zajmując ważne miejsce przy królewskim stole. Lubiła mówić, że za młodu została sprzedana Skirnirowi, lecz łatwo było się domyślić, iż z lubością rzuciła się w ramiona możnego opiekuna. Niemniej raz poznawszy swą wartość, uznała, że nie wystarcza jej małżonek, który chociaż możny, nie pragnie niczego ponad spokojny byt na Wyspach Fryzyjskich. Zamierzał pozostać panem miejscowych piratów i gromadzić skarby, nie widział więc powodów, by porzucić swoje morskie poletko i zdobyć rozleglejsze wpływy. Jego młoda żona miała wszakże większe ambicje, opuściła go zatem, odpływając na okręcie Haralda. Kiedy zaś jarl poniósł klęskę, przyłgnęła do mnie, jego zwycięzcy.

- Chytra sztuka używa cię do swoich celów - jeszcze w dunholmskiej halli przestrzegąłem mnie Brida.

- Zaś ja używam sobie z nią - odparłem ze śmiechem.

- W samym Dunholmie jest kilkanaście dziewczek, które kosztowałyby cię o wiele mniej -

odparła żona przyjaciela z jawną wzdargą.

Skoro Skade weszła do mojego łóża z wyrachowania, czego oczekiwała? Prawda, zażądała, abym podzielił się z nią skarbami jej męża - i to pół na pół, ale co miała zamiar uczynić ze swoją połową? W noc poprzedzającą pozorowaną zdradę Osfertha zapytałem ją wprost, do czego potrzebne jej skarby małżonka. Wzruszyła ramionami, jak gdyby jej to zupełnie nie zajmowało.

- A ty na co przeznaczysz zdobycze złoto? - odpowiedziała pytaniem.

- Znasz moje zamysły.

- Skrzykniesz wojowników, by odbić swą rodzinną siedzibę?

- Nie inaczej.

Zapadło milczenie. Leżeliśmy obok siebie pod półpokładem rufowym, oddając się własnym myślom. Drobne fale szemrały, omywając poszycie *Srebrzystego Wilka*. Z ciemności płynęły pochrapywania moich ludzi i postukiwania butów wartowników chodzących na dziobie i rufie - którzy hałasowali tuż nad naszymi głowami.

- A gdy opanujesz twierdzę, co wtedy?

- Będę panem Bebbanburga - odparłem.

- Tak jak Skirnir jest panem Zegge?

- Moi panujący w Bebbanburgu przodkowie - odrzekłem - władali rozległymi ziemiami, ciągnącymi się daleko na północ, zaś na południe sięgającymi rzeki Humber.

- Królowali w Northumbrii?

- Tak - odpowiedziałem, znacznie mijając się z prawdą. Uciekłem się do przesady, gdyż byłem olśniony urodą kochanki. Moi praojcowie nigdy nie byli panami całej Northumbrii, a jedynie jej północnej części, a działo się to w czasach, gdy kraina ta podzielona była na dwa królestwa. Pragnąc jednak oczarować nałożnicę blaskiem świetności mego rodu, składałem u jej stóp okazałe, choć nieistniejące królestwo, albowiem było dla mnie jasnym, że Skade pragnie władzy, jaką daje korona. Aby ziszczyć swe marzenie, potrzebowała wojowników i zdolnego ich poprowadzić pana wojen. Moje słowa utwierdziły ją w przekonaniu, że leży u boku mężczyzny, który uczyni ją władczynią.

- Tymczasem Northumbrią rządzi Guthred? - spytała z zaciekawieniem.

- Zaiste - odpowiedziałem - ale to stary król, który na jesieni życia popadł w obłąd.

- A co będzie, kiedy ów stary król umrze?

- Ktoś inny zasiądzie na jego miejscu - odparłem.

Przywierająca do mego boku kobieta zarzuciła swe długie udo na moje nogi i gładząc dłonią mój tors, ucałowała mnie w ramię.

- Kto taki? - dopytywała.

- Ten, kto w walce o tron weźmie górę - stwierdziłem oględnie.

Jeszcze raz pocałowała moje ramię, po czym złożyła na nim głowę i zatopiła się w marzeniach. Ja zaś powędrowałem myślami do Bebbanburga, gdzie stoją dwa dwory owiewane przez morski wiatr i skąd roztacza się widok na liczne poletka, z ponurą determinacją uprawiane przez tamtejszy krzepki lud. Ważyłem też w duchu ciężar niebezpieczeństw, na które mieliśmy się narazić z nadejściem świtu.

Tej samej nocy, ale zanim jeszcze położyliśmy się spać, pod osłoną mroku załadowaliśmy na małą łódź broje, broń, hełmy i moją okutą żelazem skrzynię. Następnie wszystko to wyładowaliśmy na niezamieszkanym północnym brzegu zatoki i ukryliśmy wśród trzcin. Pozostawiłem tam dwóch ludzi, przykazując, by nikomu się nie ujawniali.

U zarania dnia, gdy miejscowi rybacy poczęli brodzić ku zacumowanym przy brzegu łodziom, wdaliśmy się w hałaśliwą sprzeczkę. Nie żałując gardeł, obrzucaliśmy się coraz sroższymi obelgami, a kiedy zafrapowani naszymi wrzaskami wieśniacy przerwali własne zajęcia i zwrócili twarze ku *Srebrzystemu Wilkowi*, przeszliśmy od słów do czynów. Ostrza krzyżowały się ze szczękiem i uderzały głucho o drewniane tarcze. Rozlegały się też okrzyki rannych, chociaż nikt nie został nawet draśnięty. Niektórzy z moich ludzi zaśmiewali się w trakcie wymierzania pozorowanych ciosów, lecz nie miałem wątpliwości, że odegrana dla rybaków walka ukaże się im oczom jako prawdziwa. Potem bijąca się na rufie część załogi zaczęła ustępować, a potem, przyparta do tylnej stewy, skakać do wody. Ja także znajdowałem się wśród pokonanych. Bez kolczugi, uzbrojony jedynie w dzierżone w prawicy *Żądło Osy*, zeskoczyłem z burty *Srebrzystego Wilka*, ramię w ramię ze Skade. Okręt stał na kotwicy u południowego skraju zatoki, z dala od znajdującej się w jej środku głębi. Niemniej przez parę uderzeń serca wierzgałem nogami w lodowatej wodzie, nim poczułem pod nimi twardy grunt. Wtedy chwyciłem kochankę i zanurzony po szyję zaciągnąłem ją na płytszą wodę. Pozostali na pokładzie *Srebrzystego Wilka* wojownicy odprowadzali nas szyderczymi okrzykami, a Osferth cisnął włócznią, która świsnęła niebezpiecznie blisko mej głowy.

- Obyś skonał! - wrzasnął przy tym gromko.

- A razem z tobą ta plugawa dziwka! - krzyknął Finan. Potem rzucono w nas jeszcze jedną włócznię, którą podjąłem z wody i badając nią podnoszące się dno, poprowadziłem swoich ludzi ku przyglądającym się nam z brzegu rybakom.

Moja drużyna liczyła teraz trzydziestu dwóch ludzi, bowiem większą część załogi pozostawiłem na *Srebrzystym Wilku* pod wodzą Osferhta. Wyszliśmy na brzeg przemoczeni i zmarznięci. Żaden z nas nie wdział zbroi, a niektórzy nie mieli przy sobie nawet broni.

Wieśniacy, dotąd pilnie przypatrujący się naszej ucieczce, poczęli wypływać na połów, lecz zanim to uczynili, zadbałem, by mieli okazję napatrzeć się na Skade. Jej drżące, smukłe ciało oblepiała cienka suknia z białego lnu, a szyję i nadgarstki spowijało połyskliwe złoto, więc nawet jeśli rybacy nie rozpoznali w niej żony Skirnira, nie było mowy, by jej postać nie zapadła im w pamięć.

Przy nadbrzeżnych palikach wciąż stały dwie rybackie łodzie. Brodząc, zbliżyłem się do większej z nich, chwyciłem za burtę i wciągnąłem się na pokład. W tym czasie moi ludzie otoczyli dające ciepło ognisko, przy którym miejscowi suszyli śledzie. Prócz własnych ludzi zatrzymałem przy sobie dziesięciu Duńczyków pod wodzą Rollona.

Przypłynąwszy dużą łodzią do brzegu, dołączyłem do stojącego wokół ognia kręgu i stamtąd przyglądałem się, jak wojowie Osfertha podnoszą kamień kotwiczny. Z każdej z burt wysunęło się po dziesięć wiosł i okręt powoli wyszedł z zatoki, po czym odbił na północny wschód. Kiedy jasną burtę *Srebrzystego Wilka* przesłoniły przybrzeżne wydmy, poczułem ukłucie niepokoju. Okręt to pływająca twierdza, a ja dobrowolnie ją porzuciłem. Zacisnąłem dłoń na młotku Thora, w duchu upraszając bogów, by zachowali nas przy życiu.

Wiedziałem, że niebawem wieść o utarczce w zatoce dotrze do uszu Skirnira. A tym samym morski zbój dowie się, że *Srebrzysty Wilk* podjął wędrowkę - ze znacznie osłabioną załogą - pozostawiając na brzegu blisko połowę wojowników, z których żaden nie miał zbroi, a tylko niektórzy dzierżyli miecze. Byłem też przekonany, że dojdą go słuchy o czarnowłosej, obwieszanej złotem dziewczynie w opinającej jej smukłe kształty białej sukni. Przywabiąłem Wilka Morskiego, rzucałem mu pod nos surowe mięso i czekałem, aż wpadnie w zastawione paści.

Łodzią rybacką przeprawiliśmy się na północny brzeg zatoki, gdzie korzystając z wyrzuconego na ląd drewna, rozpaliliśmy ogień, przy którym przesiedzieliśmy cały dzień niczym niewiedzący co czynić rozbitkowie. Późnym rankiem z sunących nad naszymi głowami szarych chmur poczęła się sączyć uporczywa mżawka. Wkrótce rozpadało się na dobre. Nakryliśmy syczące ognisko wysoką stertą chrustu, by nie zgasiły go lejące się z nieba strugi wody, a sami, korzystając z osłony deszczu, udaliśmy się po ukryte w pobliżu zbroje i oręż. Kiedy znów miałem pod wodzą trzydziestu czterech w pełni uzbrojonych wojowników, wyznałem dwóch Sasów, by udali się na zwiady w górę uchodzącej do zatoki rzeczki. Wybrałem ich dlatego, że obaj wychowali się nad ujściem Tamizy, czyli ich rodzinne strony niewiele różniły się od podmokłych fryzyjskich wybrzeży. Zwiadowcy świetnie pływali i od dziecka uprawiali się w wędrowkach po mokradłach, toteż wyłuszczyłem im, czego mają szukać, a potem wyprawilem w drogę. Powrócili późnym popołudniem, niedługo po tym, jak

rzęsisty deszcz ustąpił miejsca siąpawicy.

Wczesnym wieczorem, wraz z nadejściem przyływu, powróciły rybackie łodzie. Wziąłem wówczas sześciu ludzi i popłynęliśmy do wioski, gdzie za niewielką ilość srebra nabyliśmy ryby. Każdy z nas miał u pasa miecz, co sprawiło, że wieśniacy przyjęli nas z bojaźnią.

- Dokąd tędy dopłyniemy? - spytałem, wskazując prowadzący w głąb łądu przesmyk.

Odparli, że daleko w tamtej stronie stoi klasztor, który tylko trzech mieszkańców wioski widziało na własne oczy.

- To cały dzień drogi - stwierdzili z szacunkiem dla ludzi, którzy odważyliby się zapuścić tak daleko.

- Tak czy inaczej nie mogę wyjść w morze - rzekłem na wpół do siebie - bo wpadłbym w łapy Skirnira.

Rybacy, słysząc imię morskiego zbója, popadli w trwożliwe milczenie.

- Mówiono nam, że łupiąc statki, dochrapał się nieprzebranych skarbów - dorzuciłem.

Siwy wieśniak uczynił znak krzyża. Widziałem we wsi wyrzeżane w drewnie posąжки dawnych niebian, lecz pospieszny gest przejętego lękiem starca przekonał mnie, że miejscowi wyznają także chrześcijańskiego boga.

- Jego skarby, panie - powiedział siwowłosy, zniżając głos - ułożone są w wielki kopiec, którego strzeże olbrzymi smok.

- Smok?

- Ziejąca ogniem gadzina, panie. Gdy rozłoży błoniaste skrzydła, przesłania nimi księżyc. - Stary rybak powtórnie się przeżegnał, po czym, dla pewności, wyciągnął spod koszuli wiszący na rzemieniu amulet Thora i złożył na nim pocałunek.

Zakupioną we wsi żywność zawieźliśmy na przeciwległy brzeg, gdzie cała drużyna wsiadła na dużą rybacką łódź, po czym korzystając z kończącego się przyływu, powiosłowaliśmy w głąb łądu. Przepelniona krypa szła opornie, zanurzona niemalże po same dulki. Zanim zniknęliśmy za zakolem, zerknąłem przez ramię i ujrzałem wciąż przyglądających się nam z brzegu wieśniaków. Sunęliśmy rzeką wijącą się wśród rozłożystych kęp trzciny i błotnistych płycizn, aż dotarliśmy do wypatrzonego zawczasu przez zwiadowców zakątka. Wysłannicy spisali się doprawdy świetnie, gdyż znaleźli właśnie taki skrawek łądu, o jaki mi chodziło. Do owej całkiem wysokiej łachy, otoczonej przez wodę i błoto, można było dojść tylko dwiema wąskimi drogami. Dobiliśmy do naszej tymczasowej ostoji i nazbierawszy osiadłe na brzegach drewno, roznieciliśmy ogień.

Dzień miał się ku końcowi, gdy wdrapałem się na szczyt wydmy znajdującej się na naszej wysepce. Ciemne, nisko wiszące chmury żeglowały na zachód, głębokim cieniem zasnuwając

wodne królestwo Skirnira, podczas gdy mokradła lśniły w blasku słońca zanurzającego się w deszczowym obłoku. Ponad tą połyskliwą równiną, na morskim brzegu, dostrzegłem trzy miejsca, skąd snuły się dymy zdradzające obecność zamieszkanyc siól. Z kolei daleko na wschodzie rysowały się łagodne wzgórza. To właśnie tam, jak się domyślałem, kończyły się równiny zalewowe, a zaczynał stały ląd. Tam też najpewniej stał wspomniany przez rybaków klasztor, lecz z takiej odległości nie mogłem go dojrzeć. Naraz tarczę słoneczną przesłoniły spowijające zachodni horyzont chmury i całe wybrzeże utonęło w półmroku. Słyszac przywołujący mnie głos Rollona, odwróciłem się ku morzu, gdzie w ostatnim poblasku dnia ujrzałem sylwetki prących ku brzegowi okrętów. Przodem szły dwie smocze łodzie, najwyraźniej przybywające od strony wysp, zaś w pewnej odległości za nimi sunęła trzecia, wyraźnie jaśniejsza od tamtych, jak też powolniejsza - jak gdyby poruszana mniejszą liczbą wiosel.

Nie miałem wątpliwości, że to mój srebrzysty statek idzie w ślad za dwiema łodziami bojowymi Skirnira. Zaś na którejs z nich wściekły wilk przybywał po swą zdradziecką sukę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podsunałem Finanowi myśl, by udawał odmienca - wiedząc, że biegle opanował tę sztukę - nie tyle jednak dotkniętego obłędem przygłupa, ile porywczego narwańca. Człowieka, którego jedno obraźliwe słowo przywodzi do krwiożerczej furii. Na sam widok poznaczonego bliznami, srogiego oblicza Irlandczyka każdy, kto niezbyt dobrze go znał, mógł popaść w trwogę. Finan, mimo drobnej postury, potrafił wykrzesać z siebie niezmierną siłę, którą znamionowały grające na jego ramionach mięśnie. Wystarczyło nań spojrzeć, by odgadnąć w nim doświadczonego w bojach straceńca, gotowego stanąć w najsroźszej potrzebie. Zbratałem się z nim, gdy wiosłowaliśmy razem na niewolniczej łodzi, i zdawałem się na jego przemyślność, mając nadzieję, że stary druh nastraszy wroga. Cóż bowiem mogło odwieść piratów od napaści na załogę *Srebrzystego Wilka*, jeśli nie obawa, iż narażą się na zbytne straty? Prawda, obrońcy okrętu nie mogliby wygubić więcej niż dwudziestu, może trzydziestu piratów, ale i to ich pan winien uznać za dotkliwy uszczerbek. Nadto Osferth i Finan mieli zapewnić morskiego rzezimieszka, że pomogą mu zdobyć to, czego pragnął. Niemniej ani przez chwilę nie wątpiłem, że Skirnira będzie korciło, by zawładnąć dużym statkiem o niepełnej załodze. Sądziłem też, że małżonek Skade poczeka z tym do czasu, aż odbije żonę z mych rąk. Toteż przykazałem Finanowi, by na wszelki wypadek napędził łotrzykowi stracha, aby ten za wcześnie nie zdecydował się na atak na mój piękny statek.

Po tym, jak Osferth i Finan zostawili moją drużynę na brzegu, powiedli *Srebrzystego Wilka* najpierw na północ, wzdłuż lądu, a potem na sam środek Przybrzeżnego Morza, gdzie złożyli wiosła, jak gdyby wahali się, co począć.

- Wkrótce dostrzegliśmy kilka spiesznie sunących łodzi rybackich - opowiadał mi później Finan. - Jak łatwo było się domyślić, pruły wprost ku Zegge.

Skirnir w lot dowiedział się o potyczce, która wywiązała się na pokładzie wikińskiego okrętu, jak też o dalszych poczynaniach uszczuplonej załogi. Powodowany ciekawością, posłał na spotkanie kołyszącego się beczynnem *Srebrzystego Wilka* jedną ze swych większych łodzi. Jej szyper, młodszy brat wodza Fryzyczyków, rozmówił się z Osferthem i Finanem, którzy uraczyli go opowieścią o tym, jak wypowiedzieli posłuszeństwo Uhtredowi z Bebbanburga. Napomknęli też o Skade, objaśniając, że pozostawili nas z nieliczną wierną mi drużyną na jakimś podmokłym skrawku lądu, życząc nam, byśmy szczęśliwie wśród płataniny zwodniczych przesmyków.

- Zaprosiłem brata Skirnira na nasz statek - wspominał potem Irlandczyk - i wskazałem stertę kolczug i broni. Zapewniłem go chętnie, że nie tylko wyparliśmy was za burtę, ale

też udało się nam przejąć wasz oręż.

- I udało ci się go przekonać, że jesteście bezbronni?

- Powiedziałem mu, że ostał ci się jedynie krótki saks - odrzekł na to przyjaciel - i nic ponadto.

Grageld, brat Skirnira, nie wpadł na to, by porachować rzucone jedna na drugą broje, nie przeliczył też tworzących bezładną stertę mieczy, włóczni i toporów. Gdyby to uczynił, z pewnością powziąłby podejrzenia, że Finan pragnie go okpić, gdyż zwałonego na kupę oręża nie wystarczyłoby dla pełnej załogi. Jednakże zwiedziony pozorami pirat uwierzył Irlandczykowi na słowo.

- A wtedy - ciągnął mój druh - opowiedziałem mu, jak doszło do tego, że znaleźliśmy się na ich wodach.

Historyjka przekazana Grageldowi tylko częściowo pokrywała się z prawdą. Brat Skirnira dowiedział się zatem, że przybyliśmy na Wyspy Fryzyjskie z zamiarem zawładnięcia złotem Wilka Morskiego, lecz wszystko, co Finan powiedział mu dalej, było wytworem bujnej wyobraźni mojego przyjaciela.

- Powiedziałem mu, że kiedy się dowiedzieliśmy, jak dobrze strzeżony jest skarb, zaczęliśmy się domagać, abys zrezygnował ze szturmowania Zegge, a zamiast tego odsprzedał Skade jej mężowi. Wszelako ty pozostałeś głuchy na nasze zaklinania. Zazaczyłem przy tym, że Dunka wzbudzała naszą przemożną nienawiść i chcieliśmy się jej pozbyć. Grageld odparł na to, że ani trochę go to nie dziwi.

- Zatem brat Skirnira nie darzy jej ciepłymi uczuciami?

- Ani on, ani żaden z jego krewnych czy towarzyszy. Grageld stwierdził, że jego starszy brat padł ofiarą rzuconych przez Skade uroków, przez co zupełnie stracił dla niej głowę.

Wszystkiego tego dowiedziałem się od Irlandczyka dopiero we dworze Skirnira. Pamiętam, że popatrzyłem wówczas na Dunkę, mieniącą się w blasku gorejącego pośrodku halli ognia, i doszedłem do przekonania, że jest prawdziwą aglaecwifą - sprytną i bezwzględną wiedźmą. Wspomniałem wtedy historię, którą ojciec Beocca przekazał mi przed laty. Rzecz działa się w pradawnych czasach, gdy ludzie żyli w lśniących marmurowych pałacach, a świata nie przyćmiewała pomroka, pod osłoną której pleni się wszelkie plugastwo. Akurat ta opowieść mego opiekuna nie traktowała o chrześcijańskim bogu ani jego prorokach. Ksiądz opisał mi dzieje pewnej królowej, która wymknąwszy się z męzowskiego domu, zbiegła z kochankiem za morze. Rozeźlony władca ruszył w pogoń za wiarołomczynią, wiodąc potężną flotę. Następnie, by ugasić jątrzący go gniew, puścił z dymem ogromne miasto, przywodząc do zguby każdego, kto znajdował się za jego murami. A wszystko z powodu

kaprysu owej żyjącej przed wiekami aglaecwify. Skaldowie wychwalają czyny śmiałych mężów, żądnych chwały i bogactw, walczących o własną sławę i bezpieczeństwo bliskich. Ale każdy chyba przyzna, że podobnie jak ja, często toczył boje właśnie przez wzgląd na kobietę. Ród niewieści włada nieokiełznaną mocą. Wielokroć słyszałem, jak Aelswith - wiecznie skwaszona żona Alfreda, żywiąca urazę do Zachodnich Sasów za to, że nie tytułowali jej królową - wyrzekała, iż światem władają mężczyźni. Być może miała rację w tych utyskiwaniach, lecz owi wszechwładni mężczyźni korzą się przed kobietami, z pokorą ulegając ich woli. I to dla nich długie sznury okrętów przemierzają słone morza. Dla nich wspaniałe dworzyszczka stają w płomieniach. Dla nich giną nieprzeliczone zastępy dzielnych wojowników.

- Jak łatwo było przewidzieć, Grageld próbował nas skłonić, byśmy popłynęli wraz z nim do siedziby Skirnira - podjął Finan - lecz odrzuciliśmy zaprosiny. A kiedy zapytał, czego w takim razie szukamy na ich wodach, odpowiedzieliśmy, że przybywamy po obiecane w zamian za Skade srebro, gdyż potrzebne jest nam ono, by osadzić Osfertha na tronie.

- Dał wiarę waszym słowom?

- To, że ktoś pragnie srebra, nikogo nie dziwi - stwierdził Finan z właściwą sobie trzeźwością. - Czemu miałby nam nie wierzyć, panie? Zresztą Osferth był niebywale przekonujący.

- Prawie z taką swadą - z przekąsem wtrącił bękart - że sam gotów byłem w to uwierzyć.

Roześmiałem się w głos.

- Czyżby obudziły się w tobie królewskie ambicje?

Oblicze młodzieńca rozjaśnił ów szczególny uśmiech, który czynił go jeszcze bardziej podobnym do ojca.

- Nie, panie - odrzekł ze spokojem.

- Trudno orzec, czy Grageld wiedział, o którym królestwie mowa - podjął Irlandczyk. - Imię króla Zachodnich Sasów musiało mu być znane, przede wszystkim z bitych przez Alfreda monet. Zdało mi się wszakże, że Fryzyczyk sądzi, iż Wessex to jakaś niezwykle odległa kraina. Dlatego w paru słowach odmalowałem mu krainę obfitości, gdzie jesiony rodzą srebrne owoce. Krainę, której stary władca dożywa swych dni. Nadto dałem mu do zrozumienia, że gdy Osferth zajmie tron, Skirnir będzie miał w nim możnego sprzymierzeńca.

- No to żeś przedobrzył - zauważyłem. - Grageld mógł zwątpić w twą prawdomówność.

- A jednak uwierzył! Nalegał, abyśmy zawinęli na Zegge, lecz stanowczo odmawiałem. Nie miałem zamiaru dać się powieść przez gąszcz kanałów, z których nie umiałbym potem

wyprowadzić *Srebrzystego Wilka*. Czekałem na otwartych wodach, aż Skirnir wychynie z przystani na pokładzie drugiego ze swych bojowych okrętów. I rzeczywiście, kiedy wciąż staliśmy niedaleko łodzi bojowej Gragelda, pojawił się statek Wilka Morskiego i począł zachodzić nas od drugiej burty. Stało się dla mnie jasne, że piraci przymierzają się, by przypuścić na nas obustronny atak.

A zatem sprawdziły się moje obawy i uszczuplona załoga *Srebrzystego Wilka* znalazła się pomiędzy dwoma długimi łodziami, wypełnionymi żądnymi łupów piratami.

- Na szczęście byliśmy przygotowani - Irlandczyk stwierdził z dumą - i niezwłocznie wciągnęliśmy na maszt reję z umocowanym do niej kamieniem kotwicznym...

Już rozumiałem, o czym zamierzał opowiedzieć. Kotwice to ogromne kamienie z otworem wydrążonym pośrodku. Podciągając taki głaz na rei niby na portowym żurawiu, Finan udzielił wrogom niedwuznacznej przestrogi. Gdyby któraś z fryzyjskich załóg zdecydowała się zanadto zbliżyć do *Srebrzystego Wilka*, jego reja zostałaby natychmiast obrócona tak, by kamienny krąg zawisł nad wrogim okrętem. Wówczas wystarczyłoby odciąć linę kotwiczną i spadający głaz wybiłby potężną dziurę w dnie atakującego statku. Atak został udaremniony, bo fryzyjski zbój zdał sobie sprawę, że zamiast zdobyć nowy okręt, nieuchronnie straci jeden z własnych. Odsunął więc swe łodzie na bezpieczną odległość od naszej, jakby nigdy nie powstało mu w głowie, by nią zawładnąć.

- Pogrożka z kotwicą to przedni pomysł - zauważyłem z niekłamany podziwem.

- Zaiste, panie - przyznał wojownik z Wyspy Irów. - Wpadł na niego Osferth, a cała rzecz była gotowa, zanim jeszcze pojawił się ów drugi okręt.

- Czy Skirnir też wam uwierzył i nie przejrzał podstępów?

- Nie, panie, wszak powiedzieliśmy mu to, w co pragnął wierzyć! Chciał dostać Skade i nic innego się dla niego nie liczyło. By się o tym przekonać, starczyło spojrzeć w jego rozpalone dziką żądzą oczy.

- Tedy popłynęliście razem, aby ją ująć.

- Jako rzekłeś, panie - z szelmowskim uśmiechem przyświadczył mój druh.

Trzy okręty pojawiły się w zatoce o zmroku, w porze przesilenia pływów. Nie podejrzewałem, by Skirnir spróbował przejść drogę w górę przesmyku przed nastaniem świtu, czyli przed ponownym podniesieniem poziomu wód. Niemniej wystawiłem strażę. I choć nic nie zakłóciło nam snu, ledwie przymknąłem oczy, a obudziłem się w środku nocy. Długo leżałem, wpatrując się w ciemne niebo, próżno czekając, aż ogarnie mnie senność. Musiałem jednak zapaść w krótką drzemkę, bowiem naszedł mnie sen, z którego pamiętam jedynie uśmiechające się błogo lico Giseli. Potem zwidzieli mi się tarczownicy ciskający włóczniami,

a później raptownie się obudziłem. Poczułem pod dłońmi chłodny piasek. Jeszcze przez jakiś czas leżałem, spoglądając w rozgwieżdżony nieboskłon. Wreszcie podniosłem się i czując sztywność w ramionach i nogach, jąłem się przeciągać.

- Z jaką siłą przyjdzie nam się zmierzyć, panie? - zapytał Cerdic, przykucając przy ogniu, do którego dorzuczał pozbierane na brzegu drewno, szybko zajmujące się jasnym ogniem. Pytanie to jasno mi ukazało, że nawet ten wojownik, znany przecież z odwagi, całą noc przemyślał, ilu wrogów mieści się na pokładach dwóch długich łodzi, które widzieliśmy o zmierzchu.

- Zapewne z dwiema pełnymi załogami - odpowiedziałem rzeczowo. Pozostali wojownicy, słysząc mnie, zacieśnili krąg wokół ognia, gdyż okazało się, że obudziłem się jako ostatni. - Dwiema załogami - powtórzyłem nieco głośniej. - Zatem stanie przeciwko nam stu do stu pięćdziesięciu ludzi.

- Jezu Chryste - mruknął Cerdic, dłonią szukając zawieszzonego na szyi krucyfiksu.

- To tylko rabusie - dał się słyszeć mocny głos Rollona.

- Zaiste - stwierdziłem. - Powiedz zatem wszystkim, co to za jedni - poleciłem mu, zadowolony, że Duńczycy wiedzą, z kim przyjdzie im skrzyżować miecze.

Rollo postąpił dwa kroki naprzód, stając w blasku ognia.

- Ludzie Skirnira - rzekł - są niczym sfora zdziczałych psów, której ofiarą pada jedynie słaba zwierzyna. Tacy jak oni wystrzegają się starcia z silniejszymi od siebie. Co więcej, nie znają walki na lądzie i w życiu nie widzieli muru tarcz. A dla nas to nie pierwszyna.

- Skirnir każe się zwać Wilkiem Morskim - podjąłem - lecz jest tak, jak mówi Rollo. Powsinoga ma z wilka tyle, co pierwszy lepszy wszawy pies. To my jesteśmy wilkami! Toczyliśmy boje z najznamienitszymi wojownikami Danii i Brytanii, których złożyliśmy do grobów! Nasze zwarte tarcze są nieprzewycięzoną przeszkodą, toteż zanim słońce stanie wysoko, ścierwo Skirnira legnie u naszych stóp!

Tymczasem niebo poszarzało, zapowiadając chmurny dzień. Przeganiane przez silny wiatr ciemne kłęby nieprzerwanie sunęły w stronę morza, siwym całunem przesłaniając tarczę słońca. Wody poczęły przybierać, zalewając skraj służącego nam za schronienie skrawka lądu. Wspiąłem się na grzbiet wydmy, skąd jak na dłoni widziałem trzy okręty powoli wchodzące w ujście rzeczulki. Skirnir parł do przodu wraz z pierwszą falą przypływu, każąc swym ludziom wiosłować, póki zwieńczony łbem bestii dziób jego okrętu nie osiadł na płyciźnie. Wówczas, wstrzymawszy się na krótki czas, znów rzucał komendę na wiosła, by posunąć się raptem o parę pociągnięć wiosła w górę rzecznoego koryta. W ślad za pierwszą piracką łodzią szła druga, zaś *Srebrzysty Wilk* sunął na końcu. Widok ten sprawił mi niemałą uciechę, unaoczniał

mi bowiem, że morskemu łotrzykowi - czy to ufającemu w miażdżącą przewagę liczebną swych ludzi, czy może zwyczajnie zaślepijonemu nadzieją rychłego ujęcia Skade - nie przyszło nawet na myśl, iż nowi sprzymierzeńcy mogą zamknąć mu odwrót.

A co ukazało się oczom wypatrującego nas z pokładu dziobowego wodza piratów? Pięciu mężczyzn na szczycie łachy, przy czym ani jeden nie miał na sobie zbroi. To tylko utwierdziło Fryzyczyka w przekonaniu, że pojmanie garstki przemokniętych, niemalże bezbronnych rozbitków nie nastreczy mu wielkich trudności. Łódź Skirnira zbliżała się wraz z podnoszącym się morzem, a ja zawołałem Skade, by stanęła u mego boku.

- Gdyby mąż dostał cię w swe ręce - spytałem - co by uczynił?

- Najpierw by mnie sponiewierał - odrzekła - potem splugawił, a wreszcie zgładził.

- I tylko po to miałby szafować srebrem? - zapytałem z niedowierzaniem, w duchu dziwiąc się człowiekowi, który wyznacza wysoką nagrodę za ujęcie niewiernej małżonki tylko po to, by móc na niej wyrzucić okrutną zemstę.

- Pycha wiele kosztuje - odrzekła.

- Czy nie dość by cię upokorzył, czyniąc swoją niewolnicą?

- Urażona duma nie pozwoliłaby mu pozostawić mnie przy życiu - odparła z przekonaniem.

- Kiedyś na własne oczy widziałam, jak obszedł się z niewolną, która zapragnęła swobody i próbowała uciec. Nikczemnik oddał ją swym ludziom, a gdy ci się nią nacieszyli, udręczoną kazał uwiązać do pala i żywcem obrać ze skóry. Zadbął też o to, by na miejsce kaźni przyprawiono matkę dziewczki. Przymusił kobiecinę, by się przyglądała, jak z jej córki darto krwawe pasy, i przysłuchiwała się jej nieludzkim wrzaskom.

Przypomniał mi się Edwulf, którego na rozkaz Dunki okaleczano kawałek po kawałku, lecz nie wyrzekłem ani słowa, bez reszty pochłonięty obserwacją zbliżającego się okrętu wodza zbójców. Przesmyk zwiężał się, tak więc piracka załoga musiała poniechać wiosłowania. Chwyciwszy drzewce, wbijała pióra w płytkie dno, popychając łódź w górę przewężenia. Wody podnosiły się wprawdzie, ale niezbyt prędko, jako że przyptyw nie osiągnął jeszcze swego najwyższego stanu. Wyglądało nawet na to, że Skirnir utknie w pół drogi, lecz jego łódź, przebiwszy się przez wąskie gardło, poczęła gładko sunąć w górę wprawdzie bardzo wąskiego, lecz dostatecznie głębokiego koryta rzeczno.

- Czas odziać się odpowiednio do okazji - stwierdziłem.

Zszedłem z garbu wydmy do piaszczystej kotlinki, gdzie czekał służebny, Oswi, który podał mi kolczugę. Kiedy wciągałem ją przez głowę, w nozdrza uderzył mnie osty zapach przepoconej skórzanej wyściółki. Czując na ramionach znajomy ciężar, od razu poczułem się pewniej. Potem chłopak założył mi pas z bronią i zapiął klamrę.

- Trzymaj się za moimi plecami - przestrzegłem.

- Tak, panie.

- A gdybyśmy jakimś trafem znaleźli się w opałach - dodałem - czmychaj jak zając, chłopcze. Kieruj się w głąb lądu, odszukaj klasztor i uproś mnichów, by udzielili ci schronienia.

- Tak, panie.

- Nie obawiaj się wszakże, gdyż wszystko pójdzie po naszej myśli.

- Wiem o tym, panie - odrzekł z niezachwianą wiarą. Miał dopiero jedenaście wiosen. Przydomowa straż znalazła go u podnóża tarasu mego londyńskiego domu, rozgrzebującego zatechły muł w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia. Któryś z wartowników posądził malca o chęć grabieży i przywiódł go przed moje oblicze, domagając się dla podejrzanego włóczędzy kary chłosty. Dowiedziałem się od znajdy, że jest sierotą, a jako że spodobał mi się bystry błysk w jego oczach, uczyniłem Oswiego swym służącym. Dzieciak czynił szybkie postępy w sztuce władania mieczem i nie miałem wątpliwości, że - podobnie jak wcześniej Sithric - pod moim okiem wyrośnie na wprawnego wojownika.

Znów wdrapałem się niemal na sam grzbiet łachy i przekonałem, że okręt Skirnira dotarł już na wysokość rybackiej łodzi pozostawionej przez nas na skraju wyspy. Morski zbój był na tyle blisko, że docierały do mnie urągliwe pogróżki, jakimi jął obrzucać Skade. Zgorzkniały małżonek lżył stojącą samotnie na szczycie wydmy zbiegłą żonę. Wyzywał ją od wywłok i szatańskiej mierzwy, obiecując, że będzie ją dręczył, póki wiedźma nie trafi do piekielnych czeluści.

- Pora nam stanąć oko w oko z wrogiem - powiedziałem do Rollona i schyliłem się, by podnieść lipową tarczę z wymalowanym wokół żelaznego umba bebbanburskim wilczym łbem.

Wódz Duńczyków zdjął z pleców potężny bojowy topór i ucałował brodate żeleźce.

- Lada chwila napoję cię posoką wrogów, moje kochanie - złożył swej broni solenną obietnicę.

- Podchodzą do brzegu! - z wierzchołka piaskowego pagórka doszedł ostrzegawczy krzyk Skade.

Ostrów, którego mieliśmy bronić, miał kształt półksiężyca. W samym środku wybrzuszał się wypukłością wyniosłej wydmy o ostrym grzbiecie, a jego zwięzające się ku wierzchołkom ramiona dochodziły do wody. W łukowatym zagięciu długiej łachy ciemniało rozległe grzęzawisko. Z tych powodów przystęp do wyspy możliwy był jedynie z jej spiczastych krańców, gdyż pomiędzy nimi - na przestrzeni stu kroków - rozciągało się grząskie,

nieprzystępne mokradło, w najszerszym miejscu mające najwyżej pięćdziesiątkroków. Być może wrogom udałoby się przebrnąć widniejące z boku bagniste zastoisko, lecz taka przeprawa byłaby niezwykle żmudna. Z kolei bliższy morzu róg półksiężycy był nieco szerszy. Tworzył swego rodzaju trakt wiodący ku sercu piaszczystej wysepki - i właśnie tego przejścia musiało obronić dwudziestu stojących ramię w ramię wojowników, których sam poprowadziłem. Pozostali pod wodzą Rollona mieli ukazać się dopiero, kiedy wrogie okręty przypuszczą szturm na przeciwny skraj wyspy.

Skirnir ujrzał więc nie garstkę żalosnych rozbitków, a wyłaniających się zza wydmy wojowników, idących w dwóch szeregach w najeżonym bronią szyku. Widząc, że wszyscy jesteśmy w pełnej gotowości bojowej - a każdy z nas ma hełm i dzierży tarczę - wódz rabusiów musiał już wiedzieć, że Finan i Osferth go oszukali. Uznał jednak, że ich kłamstwo tyczyło się wyłącznie naszego niepełnego rynsztunku, a pragnąc jak najrychlej dopaść Skade, nie zadał sobie trudu podania w wątpliwość wszystkiego, co usłyszał od moich ludzi. Być może sądził, że szalony Irlandczyk sam nie wiedział, co mówi? W każdym razie nadal był przekonany o swej przewadze, więc nie stracił ochoty do boju.

Sternik kierował właśnie dziób idącej przodem łodzi ku piaszczystemu brzegowi, gdy wychynęliśmy z kryjówki. Stojący na jej dziobie Skirnir uniósł dłoń, wstrzymując wysiłki załogi, odpychającej statek od dna długimi wiosłami. Dotąd sądził bowiem, że owego chmurnego poranka wyjdzie ze swymi ludźmi na brzeg i nie napotykając większego oporu, rozgromi zgraję upadłych na duchu rozbitków. Tymczasem na lądzie czekała dobrze uzbrojona, poruszająca się w zwartym szyku drużyna, co kazało mu zmienić taktykę. Odwrócił się do zastygłych z wiosłami w dłoniach mężczyzn i krzyknął coś, ramieniem wskazując przeciwny kraniec wyspy. Po czym, ku memu zaskoczeniu, zeskoczył z dziobu, wiodąc piętnastu wojowników. Podczas gdy Skirnir i jego wojowie brnęli w wodzie po kolana, zmierzając wprost ku nam, łódź popychana przez resztę załogi sunęła dalej, z zamiarem uderzenia na nasze tyły. Czekałem na brzegu, obserwując Morskiego Wilka i szybko zbliżający się drugi piracki okręt, którego załoga wnet miała do niego dołączyć.

Wódz zbójów nie obejrzał się nawet na *Srebrzystego Wilka*. Gdyby to uczynił, być może zaniepokoiłby się, widząc stłoczonych pod wilczą paszczą ludzi w hełmach i pod bronią, na czele których rozpoznałem dzierżącego czarną tarczę Finana.

- Tyś jest Uhtred? - zawołał do mnie fryzyjski przywódca.

- Jam jest Uhtred!

- Oddaj mi tę przeklętą sukę! - ryknął. Spokojnie patrzyłem na tego przysadzistego mężczyznę o twarzy płaskiej jak flądra, małych oczkach i kędzierzawej, czarnej, sięgającej

brzucha brodzie. - Oddaj mi ją po dobroci, a odpłynę w swoją stronę, ty zaś dalej będziesz mógł pędzić swój nędzny żywot. Chcę tylko dostać tę wywłokę!

- Jeszcze sobie z nią nie dość naużywałem! - odkrzyknąłem.

Zerknąwszy przez lewe ramię, zorientowałem się, że okręt, z którego wyskoczył Skirnir, dochodzi już do przeciwnego krańca łukowatej łachy, a jego załoga gotuje się do zejścia na ląd. Tymczasem druga piracka łódź osiadła kilem na piasku, tuż za plecami brodatego zbója. Zza jej burt poczęli wyskakiwać wojownicy. Na wąskim piaszczystym wybrzeżu nie było dość miejsca dla wszystkich piratów, dlatego gdy zebrało się ich tam około trzydziestu, reszta zmuszona była czekać na okręcie, do którego przysuwał się od tyłu *Srebrzysty Wilk*.

- Oswi - rzekłem cicho do stojącego za moimi plecami chłopca.

- Panie?

- Leć do Rollona i przywołaj go tutaj.

Poczułem wzbierającą w piersi radość. Licząc płynących na *Srebrzystym Wilku* ludzi, miałem siedemdziesięciu wojowników, a Skirnir nieopatrznie podzielił swe siły, tym samym dając mi szansę na zwycięstwo. Wprawdzie znajdujący się między moim murem tarcz a drużyną Finana piraci dorównywali nam liczebnie, a druga - najpewniej równie silna grupa wrogów - mogła wkrótce zagrozić naszym tyłom, spodziewałem się jednak, że do tego czasu rozgromię piratów pana Zegge. Potem odparcie drugiej grupy byłoby drobnostką. Słyszając głucho uderzenie dziobu *Srebrzystego Wilka* o rufę osiadłego na piasku wrogiego okrętu, dałem rozkaz ataku:

- Naprzód!

Jak przystało na wytrawnych wojowników, zdecydowanie, lecz niespiesznie ruszyliśmy do przodu. Mogliśmy przypuścić atak w pełnym pędzie, tak jak pod Fearnhamme, wolałem wszakże, by strach ściał nieprzyjaciołom krew w żyłach, dlatego posuwaliśmy się miarowym krokiem. Nasz pierwszy szereg zwierzał tarcze, podczas gdy drugi miarowo uderzał orężem w lipowe drewno.

- Wyrznąć wszarzy! - zagrzmałem, a moi ludzie wnet podjęli to bojowe zawołanie:

- Wyrznąć wszarzy, wyrznąć wszarzy!

Tak krzycząc, nieubłaganie przybliżaliśmy się do nieprzyjaciół, mierząc w nich sterczącymi spomiędzy lipowych osłon ostrzami, których błysk, podobnie jak nasze okrzyki, obiecywał im śmierć.

Z początku nasz pierwszy szereg liczył tylko ośmiu ludzi, lecz w miarę jak piaskowa łacha rozszerzała się ku brzegowi, wydłużał się, jako że po naszej prawej ręce stanęli ludzie Rollona. Większość idących na przedzie wojowników dzierżyła włócznie, ja dobyłem Oddech

Węza. Wprawdzie tak długie ostrze nie jest poręczne w ścisku, spodziewałem się jednak, że ludzie Skirnira szybko pójdą w rozsypkę, albowiem nie byli nawykli do walki w murze tarcz. Nauczeni zostali tylko nagłych ataków na słabo bronione statki i szybkiej walki z przerażonymi załogami, które bez trudu wycinali w pień. Tym razem przyszło im zmierzyć się z zaprawionymi w bitwach wojownikami, biegle robiącymi mieczami i włóczniami. A jakby tego było mało, zostali wzięci w kleszcze, gdyż uderzył na nich niedościgły zabójca - Finan Żwawy.

Irlandczyk pozostawił na *Srebrzystym Wilku* dwóch młodzieńców. Wciąż trwał przyptływ, dopychając nasz okręt do łodzi, której dziobnicę wieńczył ludzki czerep. Finan przeskoczył na rufę pirackiej łodzi i przemykając pomiędzy ławkami, powiódł moich ludzi. Pędzili za nim z ogłuszającym wyciem. Szli zadawać śmierć. Jeśli Skirnir jeszcze się łudził, że drobny Irlandczyk przyjdzie mu z pomocą, ten szybko wyprowadził go z błędu, srodze siekąc jego zbójów.

Wówczas i ja wrzasnąłem:

- Na nich!

Nasz mur raźniej ruszył do przodu, z grotami włóczni wymierzonymi we wrogów. Widząc przed sobą odsłonięty tułów najbliższego Fryzjczyka, z mocą wrażliem sztych Oddechu Węza pod tarczę wroga. Przekręciłem ostrze w ranie, po czym wyszarpnąłem je z podbrzusza wroga.

- Bić psubratów! - ryknąłem gromko, a Finan zawtórował tym samym okrzykiem.

Moi ludzie kłuli grotami włóczni, a gdy te spełniły swe zadanie, odrzucili jesionowe drzewce i chwycili za miecze bądź topory, które podano im z tyłu. Wojowie Skirnira nie ustąpili, bo nie mieli dokąd - nasz atak przyparł piratów do ciemnego dziobu ich własnego okrętu. Ci, którzy walczyli na statku, pod naporem oddziału Finana wycofywali się w stronę pokładu dziobowego. Napieraliśmy tarczami, nie dając nieprzyjaciołom miejsca na zamach. Oddaliśmy się krwawej koźbie. Stojący po mej prawicy Cerdic żeleźcem topora zaczął górne krawędzie tarcz przeciwników i odciągał je w dół, a wtedy ja czyniłem wypady z pchnięciem, czubkiem Oddechu Węza mierząc w odsłonięte grdyki wrogów. Następnie każdego ranionego przeze mnie zbója Cerdic powalał ciosem topora w twarz, po czym brał następny zamach, by zahaczyć tarczę kolejnego Fryzjczyka. Rollo rzucał soczyste duńskie przekleństwa. Odrzuciwszy tarczę, kręcił młyńce dzierzonym oburącz toporem. Gromiąc wrogów, wyspiewywał hymn na cześć Thora. Rorik, zaprzysiężony mi Duńczyk, klęczał za mną i grotem włóczni bódł piratów po nogach, a gdy jakiś podcięty przez niego nieprzyjaciel padał na piasek, Cerdic i ja dobijaliśmy go.

To była istna rzeź. Wykorzystaliśmy ogromną przewagę, jaką dały nam godziny, dni,

miesiące i lata wprawy w walce w ścisku. Wojownik po raz pierwszy stający przeciwko murowi tarcz, w którym zadają ciosy zaprawieni w boju przeciwnicy, ma niewielkie szanse na przeżycie. Moi ludzie najpierw przeszli długą i mozolną zaprawę w tego rodzaju starciach, zaś fryzyjscy piraci najpewniej pierwszy raz stykali się z tak dobrze wyćwiczoną drużyną. Ludzie morza nie praktykowali tego rodzaju walki. Większość z nich rzadko kiedy brała do ręki tarczę, gdyż kawał okutego żelazem drewna jest zbyt nieporęczny w utarczkach toczonych na chyboczącym się statku, gdy trzeba skakać po ławkach wioślarskich. Ujmując rzecz krótko, piratom brakowało zarówno kunsztu wojennego, jak i odpowiedniej broni, toteż padali pod naszymi ciosami. Niebawem ogarnął ich blady strach. Nie widzieli nawet twarzy ludzi, którzy niosą im śmierć, albowiem hełmy moich wojów miały osłony policzków. Zbójce wiedzieli tylko, że uderzyli na nich rzeźnicy od stóp do głów odziani w żelazo i bezlitośnie torujący sobie drogę za pomocą lśniących ostrzy. Owego szarego poranka szliśmy niepowstrzymanie naprzód, osłonięci metalowymi zbrojami i tarczami, zza których bezlitośnie cięliśmy i kłuliśmy piratów. Ich krew wsączała się w pachnący solą przybrzeżny piasek.

Finanowi przypadło nieco trudniejsze zadanie. Irlandczyk - z niekłamaną radością rzucający się w bitewny zamęt - wpadł na ciemną łódź, by z dzikim skowytom zadawać śmierć. Miecz śpiewał w jego ręku pieśń śmierci, a sam przybysz z Wyspy Irów wtórował ostrzu, rycząc posępny bitewny lament⁴⁰.

Z kolei Rollo, który zastępował wrogom drogę ucieczki, stał w wodzie na szeroko rozstawionych nogach i kręcił toporem młynki, ciężkim żeleźcem druzgocąc ciało każdego, kto się doń zbliżył. W obliczu klęski Fryzyjczycy zmienili się w strwożonych, popuszczających w portki śmiertelników. Pokonani, rzucili broń i padli na kolana, błagając o łaskę. Wówczas rozkazałem, by stojący za mną wojownicy odwrócili się i stawili czoło piratom, których łódź weszła w głąb przesmyku.

Druga część załogi okrętu Skirnira pojawiła się na garbie wydmy akurat w chwili naszego zwycięstwa i ujrzała, że walka została rozstrzygnięta. Wprawdzie kilku z osaczonych na drugim statku piratów roztropnie zeskoczyło z burty i pierzchło ku grzęzawisku, ale cała reszta została zabita bądź pojmana. Wśród jeńców był i sam Wilk Morski, przyparty do ciemnego poszycia łodzi bojowej i z grotem włóczni przytkniętym do długiej brody. Cerdic napierał na drzewce na tyle mocno, by odebrać wodzowi możliwość ruchu.

- Zarżnąć go, panie? - spytał.

- Jeszcze nie teraz - odparłem, nie odwracając wzroku od nowo przybyłych wrogów. - Rollo! - zawołałem. - Trzymaj ich na odległość.

Duńczyk, ustawivszy swych ludzi w mur tarcz, zakrzyknął do struchlałych Fryzyjczyków,

by skrzyżowali ostrza z wciąż lśnącymi od posoki mieczami jego wojowników, lecz tamci ani drgnęli.

Ciszę rozdarł obłądny jęk. Leżący na piaszczystym brzegu Fryzyjczyk raptownymi kopnięciami burzył przybrzeżną, zabarwioną krwią wodę. Skade pochylała się nad rannym i powoli wbijała mu sztylet w oko, wrażając cienki sztych coraz głębiej.

- Zostaw go! - huknąłem, widząc, jak po policzku żałośnie skowyczącego nieszczęśnika toczy się krew.

Dunka odwróciła ku mnie harde oblicze. W jej oczach czaił się dziki błysk, jaki widuje się w ślepiach osaczonych drapieźników.

- Nienawidzę ich - syknęła i mocniej wbiła klingę. Mężczyzna jęknął przeraźliwie i zabrudził spodnie.

- Sithric! - warknąłem. Mój człowiek chyżo przystąpił do konającego i sztychem miecza zdławił niemożliwe jęki, kładąc kres niedoli Fryzyjczyka.

- Wszystkich ich chcę oglądać martwymi - wysyczała wiedźma, drżąc przy tym jak w gorączce. - A jemu - dorzuciła zajadle, mierząc palcem w Skirnira - zgotuję najsroźszą śmierć.

- A ta co, szaleju się najadła? - półgłosem rzucił Finan, po czym zeskoczył z burty pirackiej łodzi, stanął obok mnie i zanurzył w wodzie ostrze, by obmyć je z krwi. - Słodki Jezu Chryste! - dorzucił po chwili. - Zbiesiła się jak suka w rui.

Moi drużynnicy wpatrywali się w Skade ze zgrozą. Zabić wroga w boju to jedno, lecz pokonany - jeśli stawał w boju, jak przystało na wojownika - zasługuje na godne traktowanie. Sam zgładziłem wielu ludzi, a i niejednokrotnie widziałem, jak owładnięci żądzą mordy mężczyźni zatracają się w zabijaniu. Ów krwiożerczy pęd rodzi się w nich podczas boju w murze tarcz, gdy dzięki niemu zwalczają strach. Jednakże po odniesieniu zwycięstwa bojowe uniesienie mija, ustępując litości.

- Nie darujesz im chyba życia?! - Dunka prychnęła gniewnie.

- Cerdic! - zawołałem, nie odwracając wzroku od kobiety. - Skończ z nim, byle szybko!

I choć nie widziałem ostatnich chwil Skirnira, słyszałem, jak pchnięta z mocą włócznia, wrażona w grdykę jeńca, przybija ciało pirackiego wodza do burty.

- Sama chciałam go zgładzić! - ostro krzyknęła wieszczka.

Niewiele sobie robiąc z jej skarg, podszedłem do Rollona i położywszy mu dłoń na ramieniu, wystąpiłem przed mur tarcz. Naprzeciw stało około sześćdziesięciu przyglądających mi się w milczeniu drużynników pana Zegge. Odrzuciłem tarczę i postąpiłem w ich stronę, by widzieli moją obryzganą krwią zbroję, oblane czerwienią osłony policzków i pokryte posoką ostrze Oddechu Węża. Miałem na głowie pyszny, zwieńczony srebrną figurką wilka hełm, na

biodrach szeroki pas ze złotymi okuciami, a moje ramiona były opięte przez lśniące pierścienie, także obficie pokryte nieprzyjacielską krwią. Szedłem śmiało naprzeciw milczącym wrogom, w pełnym splendorze pana wojen. Zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy dzieliło mnie od nich nie więcej niż dziesięć kroków, by pokazać morskim zbójcom, że nie czuję przed nimi trwogi.

- Jam jest Uhtred z Bebbanburga - odezwałem się. - I daję wam prosty wybór: życie lub śmierć.

Za moimi plecami rozbrzmiał wszczęty przez Rollona bojowy grzmot oręża, którym jego ludzie uderzali o lipowe drewno tarcz. Mroczny, narastający rytm zwiastował przeciwnikom rychły zgon.

- Moi ludzie to Duńczycy - wyłożyłem Fryzyczykom - i Sasi, co do jednego zawołani wojownicy, którzy z lubością idą w bój, by potem w naszych dworach długo w noc wyspiewywać opowieści o wyprawionych w zaświaty wrogach, ich owdowiałych kobietach i osieroconych dzieciach. Przestrzegłem was, a teraz wybierajcie! Jeśli nie chcecie, by wasza śmierć uświetniła nasze pieśni, złóżcie broń.

Piraci, niewiele myśląc, dali mi posłuch. Potem kazałem im jeszcze zzuć kolczugi, a tym, którzy takowych nie posiadali, skórzane bezrękawniki. Zabraliśmy także ich buty i pasy, które wraz z całym zdobycznym rynsztunkiem złożyliśmy na dnie *Srebrzystego Wilka*.

Podpaliliśmy oba okręty Skirnira. Drewniane kadłuby zajęły się jasnymi, wysokimi płomieniami, wspinającymi się po przysadzistych masztach. Nad mokradłami jeszcze długo kłębiły się dwa słupy czarnego dymu, ginące wśród pędzonych przez wiatr niskich chmur.

Skirnir przywiódł stu trzydziestu mężczyzn, z czego dwudziestu trzech położyliśmy trupem, a szesnastu zadaliśmy groźne rany. Jeden z ludzi Rollona stracił oko wskutek pchnięcia włócznią, zaś Aelric, zaprzysiężony mi saski wojownik, wykrwawił się na śmierć. Walczył u boku Finana, ale kiedy zawadził nogą o wioślarską ławkę i upadł, żelźce nieprzyjacielskiego topora rozplątało mu plecy. Przyklęknąłem nad dogorywającym i zaciskając mu prawicę wokół rękojeści miecza, poprzysiągłem, że zadbam, by jego żona nie zaznała ubóstwa. Upewniłem go także, że pozostawione przez niego dzieci przygarne pod swój dach i wychowam niczym własne. Umierający słyszał, co mówiłem, i patrzył na mnie przytomnym wzrokiem, lecz zamiast odpowiedzi wydobył z siebie tylko charkot. Trzymałem jego dłoń dopóty, dopóki duch, odchodząc do krainy bezkresnego mroku, nie opuścił wstrząsanego drgawkami ciała. Poległego towarzysza zabraliśmy na statek, by urządzić mu pochówek na morzu. Aelric czcił chrześcijańskiego boga, dlatego zanim oddaliśmy go morskiemu bezmiarowi, Osferth zmówił nad nim modły, wyprawiając zmarłego w wiekiwą wędrowkę.

Pod zdobiącą dziobnicę *Srebrzystego Wilka* paszczą bestii powiesiliśmy nagi zewłok Skirnira, by unaocznić wszystkim, że ubiliśmy dotychczasowego pana tutejszych wysp.

Moi ludzie odepchnęli wiosłami okręt od brzegu. Wyszliśmy z krętego przesmyku wraz z początkiem przyływu. Kiedy rzeczne koryto się rozszerzyło, obróciliśmy statek i powiosłowaliśmy ku wiosce, gdzie zostawiliśmy zabraną stamtąd wcześniej dużą rybacką łódź. Siwy całun chmur, dotąd ocieniających ostrów, gdzie dokonała się rzeź, począł się wystrzępiać niczym wytarta tkanina. Przez powstałe prześwity przezierało blade słońce, opromieniając lekko falujące morze.

- Powinieneś był ich wszystkich wysiec - twierdziła Skade.

- Ludzi Skirnira? - zapytałem. - A niby po co? Pobiliśmy ich i rozbroiliśmy.

- Wszyscy powinni byli dać głowy - powtórzyła z mściwym uporem i zwracając ku mnie wściekłe spojrzenie, dopowiedziała: - Pozwoliłeś ujść z życiem dwóm braciom tego parszywca, choć zasługiwali na śmierć!

- Ale pozostawiłem ich przy życiu - stwierdziłem dobitnie. Zbójce, pozbawieni wodza i dwóch największych łodzi bojowych, stali się zupełnie nieszkodliwi, choć Dunka miała na ten temat odmienne zdanie.

- Słabeusz! - mruknęła pogardliwie.

- Waż swoje słowa, kobieto - uprzedziłem spokojnie.

Naburmuszyła się, ale zamilkła.

Wziąłem na pokład tylko jednego jeńca - szypra okrętu Skirnira. Fryzyjczyk wyglądał na co najmniej czterdzieści wiosen i - jak wszyscy ludzie morza - miał nawyk mrużenia oczu, przez co ledwie było je widać spod zmarszczonych powiek. Stary żeglarz o twarzy ogorzalej od wiatrów i oszpeconej wżartą w skórę morską solą, miał nam służyć za przewodnika.

- Jeśli kil mego okrętu choć przytrze o piasek - przestrzegłem Fryzyjczyka - oddam cię w ręce Skade, by uczyniła z tobą, co zechce.

Srebrzysty Wilk parł na wiosłach ku Zegge, z dala omijając piaszczyste ławice. Co chwilę robiliśmy zwroty, płynąc nieoznaczonym krętym przesmykiem, parokroć mijając wejścia do opalikowanych kanałów, mających sprowadzić nieprzyjaciół na niewidoczne mielizny. Nie wpadliśmy na żadną z nich, bo trwoga, jaką jeniec żywił wobec Skade, nakazała mu zachować ostrożność. U schyłku dnia zbliżyliśmy się do celu, który wskazywało ciało dyndającego na dziobie umarlaka. Rozpryski przecinanych przez okręt fal obmywały trupa Skirnira, nad którym zbierały się zwabione wonią padliny mewy. Żarłoczne ptaszyska kołowały i pokrzykiwały posępnie, nie mogąc dostać się do ścierwa.

Kiedy ostrożnie szliśmy wąskim i krętym przesmykiem, z okolicznych wysepek śledzili nas

ich mieszkańcy. Ci zaprzysiężeni wodzowi piratów mężczyźni nie wypłynęli o świcie ze swym panem, a teraz - widząc przyozdabiające burty *Srebrzystego Wilka* liczne tarcze i kołyszące się na pętli u jego dziobu blade zwłoki Skirnira - wcale nie rwali się do walki. Wydostawszy się na osłonięte wody, sunęliśmy po gładzi, w której pogrążało się mieniące się jak złoto zachodzące słońce.

Na brzegach Zegge ujrzeliśmy nieliczną grupę oczekujących. To stamtąd pochodzili pokonani przez nas piraci. Na pomost wychodzący w wodę u stóp pagóra, na którym stał dwór Skirnira, wyległa gromada kobiet. Oczekiwały powrotu swych mężów. Gdy podpłynęliśmy bliżej i niewiasty rozpoznały zwieszające się z naszej dziobnicy brodate cielsko, chwyciły swe pociechy za ręce i co tchu umknęły za palisadę. Wówczas na przystań wyszło nam na spotkanie ośmiu mężczyzn w zbrojach i pod bronią. Kiedy jednak ujrzeli moich ludzi wyskakujących na przystań, od razu odłożyli oręż. Zmierzchało, gdy stałem u stóp terpu na Zegge i spoglądałem na mroczną sylwetkę dworu Skirnira. Myślałem o smoku śpiącym na kopcu usypanym ze srebra i złota. Spadzisty dach długiego domu przechodził na krańcach okapów w wyrzeźbione z drewna rogi. Zadarte ku ciemniejszemu niebu, zdawały się wskazywać na pierwsze pojawiające się gwiazdy. Pozostawiłem na okręcie piętnastu ludzi, a z resztą wspiałem się po stoku, po drodze przyglądając się przemyślnej konstrukcji terpu. Pagór wzniesiono, wbijając w grunt potężne bale, zaś powstały czworobok z drewna wypełniono piaskiem. Na tej opoce wybudowano drugi, nieco mniejszy czworokąt, a na nim jeszcze dwa i dopiero na tym ostatnim stanął ostrokół. Nie musieliśmy go wszakże szturmować, jako że wieże stały otworem. Na wieść o śmierci Skirnira piraci całkiem stracili wolę walki.

W odrzwia prowadzących do dworzyszczu wrót wprawiono dwie potężne kości, ani chybi należące niegdyś do jakiegoś morskiego stwora. Z mieczem w dłoni przeszedłem pod owym kościanym łukiem, ramię w ramię z Finanem i Rollonem. Z umieszczonego w sercu izby paleniska buchały płomienie, co rusz plując iskrami, tak jak czyni nasączone solą drewno. Skade wkroczyła do halli zaraz za nami, a czeladź na jej widok popadła w przyprawiającą o dreszcze trwogę. Zarządca dworu Skirnira, tęgi mężczyzna, skłonił się nam nisko.

- Gdzie skarbiec? - zapytałem władczo.

Wylęknionemu grubasowi głos uwiązł w gardle, więc Dunka odepchnęła go niecierpliwie.

- Światło! - krzyknęła do służby, a gdy przyniesiono lampki o knotach z sitowia, w ich bladym świetle poprowadziła mnie na tyły halli, gdzie za solidnymi drzwiami znajdowała się niewielka izba wyłożona foczymi skórami. - To było jego leże - rzekła wyjaśniająco.

- Wprost nad smoczą jamą?

- Smok i Wilk Morski to jedno i to samo - odrzekła ze wzgardą - choć mnie ów stwór kojarzył się raczej z knurem.

Przyklękła i zaczęła rozrzucać focze skóry. Przykazałem pulchnemu zarządcy, by jej pomógł. Finan spozierał na mnie, wyczekująco unosząc jedną brew. Wyglądał przy tym tak pociesznie, że nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

Potrzebowałem ludzi do szturmowania kamiennych murów Bebbanburga i wyrżnięcia drużyny mego wuja. Aby zaś zebrać armię, musiałem mieć dużo srebra i złota. Jeśli miało się ziścić moje marzenie, pod podłogą powinienem odkryć skarb, strzeżony jakoby przez potwora. Uśmiechnąłem się do Skade, śledząc poczynania otyłego Fryzjczyka, odciągającego w kąt izby stertę foczych skór.

Wkrótce w chybottliwym blasku kopających lampek ukazał się włącz do tajemnej komory.

Drewniana kłapa z ciemnych, grubych desek opatrzona była uchwytem w postaci żelaznej obręczy. Pamiętam, jak przed laty ojciec Beocca opowiedział mi o tym, co przydarzyło mu się podczas bytności w klasztorze w Sumorsaete. Tamtejszy opat z nabożnym skupieniem wskazał mu kryształowy flakon, zawierający mleko z piersi Maryi Dziewicy. „Drżałem, Uhtredzie - z przejęciem wspominał mój wychowawca. - Dygotałem jak liść na wietrze. Nie śmiałem tknąć kruchego naczynia, lękając się, że mógłbym je upuścić!”

Nie sądzę, bym i ja w tamtej chwili dygotał jak liść, lecz w obliczu niezgłębionej zagadki stałem niczym urzeczony, czując jednaki trwożny podziw. To, co znajdowało się pod podłogą, miało zdecydować o moich przyszłych losach, powodzeniu dalekosiężnych zamysłów, o doli synów. Błyszczący oręż, którym miałem wywalczyć sobie niezależny byt pod północnym niebem, znajdował się o wyciągnięcie ręki.

- Otwierajcie - rozkazałem schrypniętym głosem. - Otwierajcie.

Rollo i przysadzisty zarządca chwycili za żelazną obręcz. Włącz się zaklinował, więc obaj mężczyźni zdrowo się naszarpali, nim zdołali go poruszyć. Wtedy jednym nagłym pociągnięciem wyjęli ciężką kłapę z ramy i z trudem odciągnęli na bok.

Postąpiłem naprzód, zajrzałem do komory i roześmiałem się w głos.

W jamie nie było żadnego smoka. Wielokroć słyszałem opowieści żeglarzy o owych przeraźliwych bestiach - ich złowrogich, szkarłatnych ślepiach, ziejących płomieniami paszczach, długich, giętkich szyjach i błoniastych skrzydłach, ogromnych niczym żagle okrętu. Jakkolwiek nigdy nie widziałem tych stworzeń na własne oczy, nie wątpię w ich istnienie. Wprawdzie żeglowałem daleko na Północ, gdzie niebo lśni bielą odbitą od ściętych lodem wód, to jednak nie dotarłem do krainy wiecznego mrozu, a właśnie tam mają swe leże owe potwory rodem z upiornych snów.

Zamiast groźnej poczwary znaleźliśmy w skarbnicy Skirnira ludzki szkielet i zgraję szczurów. Przestraszone zwierzęta - w których oczach odbijała się słaba poświata lichych lampek - rozpierzchły się, znikając w dziurach wygryzionych w jesionowych deskach. Dwa szczury przycupnięte wewnątrz kościotrupa żwawo prześlizgnęły się między białymi żebrami i jako ostatnie wemknęły się do kryjówek.

Najpierw usłyszałem metaliczny brzęk pod łapami umykających szczurów i dopiero kiedy moje oczy oswoiły się z panującym w jesionowej komorze półmrokiem, dostrzegłem nikły poblask. Bił od złożonych na dnie jamy monet i ułomków srebrnego drutu, wysypujących się ze skórzanych worków, z których część przegniła, a część była ponadgryzana przez gniazdujące w skarbcu czworonogi.

- Kim był ten truposz? - spytałem zarządcę.

- Człek, który pragnął wykraść skarby Skirnira, panie - odpowiedział głosem ściszonego do szeptu.

- Zamknięto go tu żywcem?

- Tak, panie. Rabuś został oślepiony, potem podcięto mu ścięgna, a na ostatek wrzucono do lochu, by skonał w mękach.

Na obliczu Skade pojawił się uśmiezek.

- Wyciągnij to wszystko na powierzchnię - zwróciłem się do Finana, a grubasa pchnąłem ku głównej sali dworu, rozkazując: - Uszykuj sutą wieczerzę dla całej mojej załogi.

Sam także udałem się do dużej izby. Znalazłem tam tylko jeden niezbyt długi stół, co oznaczało, że większość moich ludzi będzie musiała ucztować na polepie przykrytej matami z sitowia. Zapadła noc. Gęsty mrok był rozpraszany przez płonący pośrodku halli okazały ogień, trawiący grube bale, które kazałem wyrwać z palisady. Usiadałem na zydlu i przyglądałem się wysypywanym na stół łupom. Kiedy otwarto komorę, zaśmiałem się gorzko, bowiem nawet w słabym świetle dostrzegłem, że skarb Skirnira jest skromny. Zwłaszcza jeśli oczekiwało się jaśniejszego złocistym blaskiem stosu kosztowności, pośród których mieniłyby się drogie kamienie.

Po opróżnieniu jamy przekonałem się, że gorycz w mym śmiechu była jak najbardziej zasadna, bowiem skarbiec Skirnira okazał się niezbyt zasobny. Piracki wódz pysznił się tylko i wyolbrzymiał swe bogactwa, podczas gdy ukryte pod stertą cuchnących foczych skór mienie nie przedstawiało zbyt wielkiej wartości. Prawda, łgarz nie cierpiał biedy, lecz jego majątek nie był większy niż skarb zwykłego herszta rzezimieszków, który bogacił się, zastraszając drobnych kupców, by płacili mu myto w postaci niewielkich ułomków srebra.

Moi ludzie także przyglądali się wysypywanym na blat kruszcom. Chciałem tego, aby na

własne oczy ujrzeli wywalczoną wspólnie zdobycz i wiedzieli, że nie okpiłem ich przy jej podziale. Z poszarpanych worków wysypywało się głównie srebro, chociaż znalazły się także dwa złote naszyjniki. Jeden, przypominający skręcony ze złocistych nici sznurek, położyłem na stos przeznaczony dla Rollona i jego ludzi, a drugi zatrzymałem dla swojej drużyny. W skarbcu znaleźliśmy też trochę monet, przeważnie srebrnych, bitych w kraju Franków, lecz były wśród nich także nieliczne saskie szylingi i garść owych tajemniczych srebrników z zawijasowatymi znakami. Nikt nie potrafi zrozumieć tego pisma, a podobno monety owe pochodzą z leżącego gdzieś na wschodzie potężnego państwa. Zdobyliśmy też cztery sztabki srebra, lecz przeważającą część łupu stanowiły srebrne ułamki, czyli pokawałkowany drut albo pocięte stare ozdoby. Ludzie Północy, zamiast bić własne monety, wymieniają to, co uda im się zagrabić. Dlatego jeśli w ogóle zdarza im się nabywać coś w drodze kupna, zazwyczaj płacą skrawkami srebra. Wikiński wojownik zdobywa w walce srebrny pierścień albo inną ozdobę, a gdy chce coś nabyć, rozdziela zdobycz na części, które handlarz waży na szalkach. Także teraz zarządca dworu przyniósł wagę, co pozwoliło nam stwierdzić, że monety i ułamki srebra ze skarbcza ważyły w sumie około trzydziestu funtów.

Owszem, łup nie do pogardzenia, oznaczający, że wszyscy mieliśmy wrócić do domu o wiele bogatsi. Niemniej mój wodzowski udział w zdobyczy wynosił z ledwością tyle, ile potrzeba do wyposażenia i opłacenia pełnej załogi na jedną letnią wyprawę. Popatrując posępnym wzrokiem na dwa stosy srebra i pozostałe wciąż na szalce, nierozdzielne jeszcze okruchy, żegnałem się z marzeniami o rychłym odbiciu Bebbanburga. Wiedziałem bowiem, że przypadająca mi w udziale część w żadnym razie nie nastarczy na zebranie armii potrzebnej do ziszczenia moich zamysłów. Czułem, jak opada mnie zniechęcenie. Przyszło mi też na myśl, że Aeflric setnie się ubawi, gdy dojdzie go wieść o mym zimowym wypadzie i zawodzie, jaki spotkał mnie po otwarciu skarbcza. Właśnie wtedy, gdy oczyma duszy widziałem uradowanego wuja, odezwała się Skade:

- Dałeś słowo, że oddasz mi połowę zdobyczy.

Uderzyłem pięścią w stół z taką mocą, że zadrżały leżące na nim skrawki srebra.

- Nie mówiłem nic podobnego - warknąłem.

- Mówiłeś przecież...

Wyciągnąłem w jej kierunku prawicę, jakbym silnym uchwytem chciał uciszyć wieszczkę.

- Chcesz trafić do komory? - zapytałem. - I żyć w podziemiach, królując wśród szczurów?

Moi ludzie z uśmiechem przyjęli ciętą odpowiedź, gdyż odkąd przybyliśmy do Fryzji, Skade zachowywała się tak, że coraz bardziej jej nie cierpieli.

Dunka, słysząc me słowa, zapalała do mnie zajadłą nienawiścią - czyli odwzajemniła

niechęć, jaką poczułem do niej nieco wcześniej, gdy dostrzegłem okrucieństwo kryjące się za zasłoną jej piękna. Wiedźma przypominała miecz, który wciąż łaknie posoki - wspaniałe, lśniące ostrze o rdzeniu z twardego żelaza.

Przyszła do mnie jeszcze tej samej nocy, po raz wtóry domagając się swego udziału. Wówczas przypominałem jej, że choć kilkakroć dopominała się połowy skarbu męża, nigdy nie obiecywałem jej, że przychylę się do jej prośb.

- I nie waż się rzucać na mnie swych klątw - ostrzegłem. - Jeśli to uczynisz, kobieto, oszpecę cię i sprzedam w niewolę. Chciałabyś mieć twarz naznaczoną paskudnymi szramami? Mam zniszczyć twą urodę? Jeśli nie, zatrzymaj przekleństwa dla siebie.

Nie mam pojęcia, gdzie Skade spędziła tamtą noc.

Nie dbałem o to.

O świcie odbiliśmy od Zegge i chociaż puściliśmy z dymem sześć stojących u jej brzegów pomniejszych okrętów ze Skirnirowej floty, nie podpaliliśmy dworu. Pozostawiliśmy go na łaskę wiatrów i pływów, za sprawą których bezustannie przemieszcza się morski piach, przez co jedne wyspy pojawiają się, inne znikają, a powstałe między nimi przesmyki zmieniają bieg. Ludzie zasiedlają te łachy, póki fale przyplływów nie rozmyją ich czasowych siedzib. Miałem okazję ujrzeć łańcuch Wysp Fryzyjskich po wielu, wielu latach - w miejscu Zegge znalazłem jedynie gładkie zwierciadło wód, jakby ostrów Skirnira nigdy nie istniał.

W drodze powrotnej pogoda nam sprzyjała. Niebo było czyste, powietrze rześkie, a spokojne morze lśniło w słońcu. Dopiero gdy zbliżaliśmy się do wybrzeży Brytanii, zerwał się zimny wiatr i przygnał ciemne chmury. Wśród szarugi znalezienie znajomych oznaczeń przybrzeżnych zajęło nam szmat czasu, zwłaszcza że aby dotrzeć do ujścia rzeki Tinan, musieliśmy przeć na północ, walcząc z silnym przeciwnym wiatrem. Niebo już mroczniało, gdy przed dziobem zamajaczyły znajome klasztorne ruiny. Wyciągnęliśmy *Srebrzystego Wilka* na kamienisty brzeg, a następnego ranka udaliśmy się do Dunholmu.

Nie wiedziałem, że po raz ostatni widzę *Srebrzystego Wilka*.

To był wspaniały okręt.

CZEŚĆ TRZECIA

Beamfleot

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nadeszła sroga zima, a wraz z nią przyszła gorączka. Rzadko kiedy imaly się mnie choroby, jednakże w tydzień po powrocie do Dunholmu zapadłem na zdrowiu. Wstrząsały mną drgawki, oblewałem się zimnym potem, a nieznośny ból jął rozsadzać czaszkę, jakby niedźwiedź wydrapywał ją od środka. Brida przygotowała mi poślanie w chacie, gdzie dzień i noc podtrzymywano ogień. Nastaly srogie mrozy, mimo to wciąż mi się zdawało, że staję w płomieniach, albo też ogarniał mnie chłód, jakbym został obłożony lodem - choć przecież pośrodku przytulnej izby huczał ogień tak wysoki, że płomieniste języki osmałały belki powały. Nie przyjmowałem strawy. Opadałem z sił. Wielokroć budziłem się w środku nocy i leżałem, wspominając Giselę i nasze pociechy, które straciłem z oczu - co przywodziło mnie do łez. Ragnar opowiadał potem, że majaczyłem we śnie, choć po przebudzeniu nie przypominałem sobie nic z owych gorączkowych rojeń. Pamiętam za to dręczące mnie przeczucie śmierci, które kazało mi poprosić Bridę, by przywiązała rękojeść Żądła Osy do mej prawicy.

Przyjaciółka poiła mnie ziołowymi naparami z domieszką syconego miodu. Karmiła także samym miodem, podając go łyżką wprost do ust. Ponadto czujnie strzegła mego schronienia, by nie dosięgnął mnie gniew Skade.

- Ta dziewczka żywi do ciebie zajadłą nienawiść - powiedziała pewnej mroźnej nocy, gdy pogwizdujący w strzesze wicher wściekle szarpał wiszącą w odrzwiach skórzaną kotarą.

- Dlatego że nie podzieliłem się z nią zdobyczym srebrem?

- W głównej mierze.

- Ale przecież nie znalazłem w skarbcu nieprzebranych bogactw, których wizję roztaczała.

- W każdym razie Dunka zarzeka się, że tym razem nie rzuciła na ciebie klątwy.

- A cóż innego mogło sprowadzić na mnie tę paskudną niemoc?

- Przywiązaliśmy wiedźmę do pala - odrzekła na to Brida - i podetknęliśmy pod nos pejcz.

Wciąż przysięgała, że nie użyła przeciwko tobie żadnej klątwy.

- Na nią nie działają same groźby - rzuciłem z goryczą.

- Nie zmieniła zdania nawet wówczas, gdy po jej plecach ciekła krew - dorzuciła moja opiekunka.

Przyjrzałem się uważnie ocienionej niesfornymi czarnymi włosami smagłej twarzy Bridy, z której wyglądały ciemne oczy.

- Kto ją chłostał?

- Ja - odparła ze spokojem - a potem powiodłam ją do kamienia.

- Jakiego kamienia?

Wskazała spojrzeniem wschodnią stronę.

- Za rzeką, Uhtredzie, wznosi się wzgórze, na którego szczycie stoi ogromny głaz, umieszczony tam przez dawnych ludzi. Mawiają, że drzemie w nim ogromna moc. Kamień ów ma piersi.

- Piersi?

- Taki ma kształt - wyłuszczyła, otaczając dłońmi własny biust. - Jest wysoki, wyższy nawet od ciebie. Zabrałam ją tam w nocy. Rozpaliłam ogień w hołdzie dla bogów, a potem ułożyłam wokół nich krąg z ludzkich czaszek i oznajmiłam wiedźmie, że mam zamiar przyzwać nocne zmory, aby sprawiły, by jej skóra zżółkła, włosy posiwiały, twarz pokryła się siecią zmarszczek, piersi obwisły, a plecy zgięły się w garb. Dopiero wtedy Skade poczęła szlochać.

- Naprawdę zdołałabyś sprowadzić na nią wszystkie te nieszczęścia?

Po obliczu Bridy przemknął chytry uśmieszek.

- Ona w każdym razie przelękała się tego, że dotrzymam groźby - odrzekła wymijająco. - I przysięgła na swój żywot, że nie rzuciła na ciebie żadnych czarów. Dlatego jestem przeświadczona, iż powiedziała prawdę.

- Zatem to zwyczajna gorączka?

- Niezupełnie, raczej złośliwa zimnica, która dopadła także wielu innych. Tylko w zeszłym tygodniu zmarło dwóch ludzi Ragnara.

Raz na tydzień przychodził miejscowy ksiądz i upuszczał mi krew. Był to ponury Sas, głoszący słowa *Ewangelii* w niewielkiej osadzie sąsiadującej od południa z warownią Ragnara. Za władania mego mlecznego brata w okolicy zapanował dobrobyt, skutkiem czego nowy gród szybko się rozrastał. Na jego uliczkach stale unosiła się żywiczna woń świeżo ściętego drewna, mieszając się z nieodłącznym odorem nieczystości, spływających do rzeki obfitym strumieniem. Brida, ma się rozumieć, sprzeciwiała się budowie kościoła na dunholmskich ziemiach, lecz jarl, nie bacząc na brak przyzwolenia ze strony połowicy, wydał zgodę.

- Niezależnie, czy będę sobie tego życzył, czy nie, ludzie będą czcić tych bogów, których sami sobie wybiorą - wyjaśnił mi później przyjaciel. - Większość tutejszych Sasów to zwolennicy Chrystusa, a wierzyli w niego, zanim jeszcze objąłem nad nimi władanie. Zresztą niektórzy powracają do prawdziwych bogów. Poprzedni chrześcijański kapłan usiłował nakłonić swych wiernych, by obalili święty kamień, o którym wspominała ci Brida, a kiedy udaremniłem jego starania, zaczął pomstować, wymyślając mi od niegodziwych pogańskich bękartów, za co kazałem go utopić. Dlatego ten, który zajął jego miejsce, jest o wiele

układniejszy.

Jak mówiono, nowy ksiądz biegle opanował sztukę leczenia. Połowica Ragnara, która wybornie znała się na ziołach, nie pozwalała klerykowi zapisywać mi żadnych mikstur. Chrześcijański uzdrowiciel nacinał więc tylko jedną z żył na moim przedramieniu i przyglądał się, jak pulsująca, gęsta posoka wypływa, powoli wypełniając wykonane z rogu naczynie. Następnie wylewał zawartość czarki w ogień, po czym płukał ją i szorował, co czynił z niechętnym grymasem, jako że takie środki ostrożności uważał za pogańskie przesady. Niemniej Brida upierała się, by niszczył upuszczoną mi krew, aby nikt nie mógł mi zaszkodzić, wykorzystując ją do groźnych klątw.

- Zdumiewa mnie, że Brida pozwala, byś przychodził do warowni - powiedziałem księdzu pewnego dnia, gdy moja krew z sykiem pieniała się na rozżarzonych polanach.

- Bo nie darzy chrześcijan braterskimi uczuciami? - dopowiedział.

- Zgadza się.

- Trzy zimy temu pani na Dunholmie zachorowała - odrzekł duchowny. - Wówczas, gdy wszystko inne zawiodło, jarl Ragnar przysłał po mnie umyślnego. Udało mi się przywrócić jego żonę do zdrowia, a może raczej to sam Pan Wszchemogący uleczył ją za moim pośrednictwem. Od tamtego czasu pani Brida nie sprzeciwia się mojej tutaj obecności.

Moja przyjaciółka zносиła także bytność Skade. Chętnie ubiłaby ją pod byle pretekstem, jednakże wieszczka ubłagała Ragnara, by pozwolił jej zostać, zapewniając, że nie przysporzy nikomu trosk. Zaś mój stary przyjaciel nie kwapił się do mordowania niewiasty, szczególnie tak urodziwej. Przydzielił ją do zajęć w dworskiej kuchni.

- Skade pracowała także w mojej kuchni w Londynie - zwierzyłem się Bridzie.

- Skąd rychło wślizgnęła się do twego łóża - odburknęła zgryźliwie - i nie wydaje mi się, by przyszło jej to z wielkim trudem.

- Jest piękna - stwierdziłem.

- A ty masz w głowie taką samą pustkę jak dawniej. Ta twoja piękność znajdzie sobie teraz innego durnia i znów pocnie siać zamęt. Próbowałam przemówić Ragnarowi do rozumu, dobrze mu radząc, by rozplatał przybłędę od krocza po gardło, ale jest takim samym jak ty gamoniem.

Przed świętem Yule⁴¹ podniosłem się z łóżka, jednak byłem wciąż zbyt słaby, by brać udział w uciechach. Za to mój brzuchaty brat oddawał się im z wielkim upodobaniem. Urządzono wyścigi, różnego rodzaju próby sił oraz rozgrywki, w których wprost uwielbiał brać udział - zapasy. Pan na Dunholmie wygrał pierwsze sześć pojedynków, by w siódmej walce ulec wielkiemu siłaczowi, saskiemu niewolnemu, którego nagrodzono garścią srebra.

Po południu, przed wielką ucztą, wypuszczono byka, pozwalając dunholmskim psom na niego zapolować. Widowisko ubawiło Ragnara do łez. Rozjuszony mocarne stworzenie raz po raz zrywało się do szarży, ciskając się po warownym wzgórzu między budynkami fortecznymi. Przy każdej nadarzającej się okazji bodło atakujące go psiska, by pozostawić na ziemi ich rozwleczone truchła. Wkrótce jednak osłabło, straciwszy zbyt wiele krwi, a wówczas opadła je psia sfora.

- Co się stało z Nihthengą? - spytałem Brideę, kiedy byk padł na ziemię pod ciężarem wczepionych w niego czworonogich myśliwych.

- Padł ze starości - odparła. - Przed wielu, wielu laty.

- To był niezwykły pies - rzekłem.

- Zaiste - przytaknęła, patrząc, jak dunhomlska sfora wydziera wąpia z brzucha rzucającej się w agonii ofiary.

Skade stała po drugiej stronie placu, na którym dokonana się walka, lecz unikała mego wzroku.

Podczas obchodów święta Yule na niczym nam nie zbywało, albowiem jarl - podobnie jak jego ojciec - uwielbiał zimowe uroczystości. Na jego polecenie wycięto olbrzymią jodłę i przytargano ją do głównej halli, a następnie udekorowano srebrnymi monetami i mieniącymi się klejnotami. Wśród służebnych, wnoszących wołowinę, wieprzowinę, dziczyznę, bekon, krwawe kiszki, chleb i ale, wypatrzyłem smukłą sylwetkę Skade, wytrwale omijającą mnie spojrzeniem. Pozostali biesiadnicy także wodzili za nią oczyma. Dziwiłbym się, gdyby było inaczej. Jeden ze wstawionych swawolników chwycił jej rękę, próbując usadowić sobie Dunkę na kolanach. Ragnar, widząc to, prasnął dłonią w stół, przewracając stojący tuż obok puchar z winem. Ten wymowny gest powstrzymał zakusy opoja, który z miejsca poniechał wiedźmy.

W halli rozbrzmiewała muzyka harfistów i śpiew skaldów, intonujących pieśni pochwalne na cześć pana na Dunholmie i jego bitnego rodu. Jarl promieniał radością, ilekroć pieśniarz opowiadał o podbojach dokonanych przez jego rodziciela.

- Zaśpiewaj to raz jeszcze - grzmiał, gdy skald przywoływał jakiś hołubiony przez niego w pamięci wyczyn Ragnara Starszego. Pieśniarz czynił zadość jego życzeniu, a mój mleczny brat wraz z nim skandował ulubione strofy, które znał na pamięć. Ni stąd, ni zowąd mój przybrany brat znów plasnął dłonią w stół, wybijając skalda z rytmu.

- Coś ty przed chwilą wyśpiewał? - zapytał, strosząc brwi.

- Twój ojciec, panie, służył wielkiemu Ubbie - zapytany powtórzył ostatni wers.

- A kto zabił Ubbę? - dopytywał jarl.

Pieśniarz zmarszczył czoło.

- Sasaki pies, panie - odrzekł.

- Ten oto saski pies - ryknął na to Ragnar, unosząc me ramię, co wzbudziło wesołość wśród zebranych. Nie ucichły jeszcze gromkie śmiechy, kiedy przybył posłaniec. Niezauważony przez rozochoconych biesiadników rosły Duńczyk, który przybył z Eoferwic, stał przez chwilę w półmroku. Był w zbroi i pod bronią, bowiem na gościńcach grasowali zbójcy. Skraj jego kolczugi, wysokie buty i bogato zdobiona pochwa miecza były uwalane błotem, a choć musiał być strudzony, na jego obliczu gościł szeroki uśmiech.

Pan twierdzy pierwszy dostrzegł oczekującego na uboczu przybysza.

- Grimbold! - zawołał na powitanie. - Dobrze cię widzieć, chociaż lepiej byś uczynił, przybywając na rozpoczęcie uczy, a nie w jej trakcie! Ale nic to, jadła i napitku mamy pod dostatkiem!

Gość skłonił się przed gospodarzem.

- Przybywam, by podzielić się z tobą doniosłymi wieściami, panie.

- Wieściami, które nie mogą czekać? - dobrodusznie spytał Ragnar. W halli zrobiło się cicho, gdyż zebrani ciekawi byli nowin, które kazały gościowi gnać po nocy pomimo deszczu i ziąbu.

- Wieściami, które sprawią ci radość, panie - odparł Grimbold, z oblicza którego nie zniknął uśmiech.

- Niech zgadnę! W Eoferwic gwałtownie spadły ceny dziewic?

- Alfred z Wessexu, panie... - rzekł posłaniec i uczyniwszy efektowną przerwę, dokończył:
- ...dokonał żywota.

Zapadła cisza, po czym rozległy się gromkie okrzyki radości. Biesiadnicy piali z zachwytem, grzmocąc pięściami w stół. Jarl był wprawdzie zdrowo podpity, lecz miał jeszcze dość przytomności umysłu, by unieść obie ręce, uciszając radosną wrzawę.

- Skąd taka wieść?

- Nowinę tę zasłyszeliśmy w Eoferwic wczorajszej nocy - oznajmił Grimbold.

- Z czyich ust? - tym razem ja domagałem się jaśniejszej odpowiedzi.

- Z ust przybyłego z Wessexu księdza, panie - wyjaśnił rosły Duńczyk służący w straży przybocznej obłąkanego króla Guthreda. Wprawdzie posłaniec mnie nie znał, lecz zajmowałem przy głównym stole honorowe miejsce obok gospodarza, dlatego posłaniec zwrócił się do mnie z szacunkiem.

- Czyli na tronie zasiadł jego szczeniący pomiot? - dopytywał się Ragnar.

- Tak powiadają, panie.

- Król Edmund? - dociekał mój mleczny brat.- A to ci dopiero.
- Edward - sprostowałem.
- Edmund czy Edward, co za różnica? Tak czy inaczej chłystek nie ma przed sobą długiego życia - jarl stwierdził niefrasobliwie. - Co to za chłopak?
- Pacholę o rozbieganym wzroku.
- Zatem nie jest urodzonym wojownikiem?
- Jego ojciec także nie palił się do boju - zauważyłem - a mimo to rozgromił wszystkich Duńczyków, który usiłowali odebrać mu tron.
- Przecież to twoja zasługa - wesoło odrzekł Ragnar i poklepał mnie po plecach.

Wiadomość o śmierci króla Wessexu wywołała ogromne poruszenie. Dunholmską hallę wypełnił gwar, jako że zebrani w niej Duńczycy naraz ujrzeli otwierające się przez nimi nowe widoki. Jedyne Osferth siedział milczący i ze zmarszczonym czołem, nie dzieląc ogólnej radości. Pamiętam też, że gospodarz nachylił się ku mnie, po czym rzekł cicho:

- Nie wydajesz się uszczęśliwiony doniosłą nowiną, Uhtredzie.

Co wówczas czułem? Z pewnością nie radość, mimo że nigdy nie lubiłem Alfreda. Był zbyt pobożny, surowy i całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Czerpał satysfakcję z poczucia ładu, przeto czynił starania, by wszystko wokół spisać w wykazach, uregulować dekretami i podporządkować swej władzy. Z upodobaniem gromadził księgi i sporządzał kodeksy. Wierzył przy tym święcie, że gdyby wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - żyli w poszanowaniu prawa, nasz świat przeistoczyłby się w Królestwo Niebieskie na ziemi. A przy tym odmawiał sobie ziemskich radości, choć przecież zaznał ich za młodu, czego widomym dowodem było istnienie Osfertha. Niemniej z wiekiem - ulegając namowom swego ukrzyżowanego boga - władca wbił sobie do głowy, że radość jest grzesznym występkiem. Wydawał coraz więcej zakazów, by wyplenić z życia poddanych wszelką radość. Równie dobrze można by przepędzić żywot, starając się ulepić kulę z wody.

I choć nigdy nie lubiłem Alfreda, zawsze zdawałem sobie sprawę, że mam do czynienia z człowiekiem niezwykłym, władcą rozumnym i otwartym na nowe pomysły - o ile tylko nie kłóciły się z przykazami jego wiary. Na swój sposób był pełen pokory. Nigdy nie żywił przekonania, że królewska godność oznacza wszechwiedzę. Przede wszystkim zaś był dobrym człowiekiem, choć zawsze sprawiał wrażenie, jakby coś go krępowało. Podobnie jak ja, wierzył w przeznaczenie - zresztą wiara ta wydaje mi się istotą wszystkich religii - aczkolwiek odmiennie pojmowaliśmy znaki losu. Alfred był przeświadczony, że świat postępuje naprzód, dlatego wciąż dokładał starań, by uczynić go lepszym. Ja zaś nigdy nie wierzyłem, byśmy mogli ulepszyć otaczającą nas rzeczywistość. Pozostaje nam jedynie

walczyć o przetrwanie, póki świat nie pograży się w otchłani chaosu.

- Szanowałem Alfreda - odpowiedziałem Ragnarowi. Wciąż nie byłem pewien, czy winienem wierzyć słowom posłańca, gdyż pogłoski niosą się z wiatrem jak nici babiego lata. Przywołałem Grimbalda i poleciłem: - Powtórz mi słowo w słowo, co powiedział ów ksiądz.

- Prawił, że Alfred udał się do kościoła w Wintanceasterze - rzekł Duńczyk - gdzie podczas odprawianych tam rytuałów upadł bez czucia na posadzkę, po czym wyniesiono go i złożono na królewskim łóżu.

Historia wydawała się dość prawdopodobna.

- I na tronie zasiadł jego syn?

- Wedle tego, co mówił kleryk.

- A Harald? - zainteresował się jarl. - Czy wciąż tkwi w saskich sidłach?

- Nie, panie - odpowiedział drużynnik z Eoferwic. - Alfred opłacił go srebrem, by opuścił Wessex.

Ragnar huknął, domagając się ciszy, po czym kazał Grimboldowi powtórzyć nowiny o szczęsnym ocaleniu Haralda i jego ludzi. Biesiadujący wojownicy, słysząc, że ranny jarl otrzymał trybut w srebrze, na nowo poczęli wznosić radosne okrzyki. Duńczycy lubują się w opowieściach o Sasach ofiarowujących wikingom daninę, by się ich pozbyć. Słyszając takie historie, nabierają ochoty, by podejmować kolejne łupieżcze wyprawy, gdyż mają nadzieję, że im także uda się zmusić Sasów do otworzenia trzosów.

- Dokąd udał się Harald? - dopytywał się gospodarz, a ja zauważyłem, że Skade nadstawiła ucha.

- Ponoć przystał do Haestena, panie.

- Zatem jest teraz w Beamfleo? - zapytałem, lecz Grimbold nie znał odpowiedzi.

Przyniesione przez posłańca wieści o śmierci Alfreda, tudzież o niebywałym powodzeniu, jakie spotkało rannego Haralda, dały świętującym dodatkowy powód do radości. Przeszczęśliwi, tym razem wyjątkowo nie wszczęli żadnej bójki, nawet wtedy, gdy stoły ugięły się pod ciężarem dzbanów wypełnionych piwem, winem i syconym miodem. Wszyscy zebrani w dunholmskiej halli mężowie - wyjąwszy garstkę mych saskich zwolenników - przemyślivali, jak wykorzystać nowe możliwości łupienia bogatych wiosek i grodów Wessexu, a nawet jak zagarnąć saskie ziemie.

Mieli sporo racji, bowiem leżące na południu królestwo stale było narażone na duńskie ataki, lecz mylili się co do jednego.

Wieści z Eoferwic okazały się zwykłą pogłoską.

Alfred żył.

Wprawdzie sprawa nieprawdziwego doniesienia szybko się wyjaśniła, ale iskra nowej wojny nie zagasła. Wojownicy z północnej Brytanii przez długie mroczne miesiące karmili się rozważaniami o najeździe, co więcej, Brida postanowiła działać.

- Ta pogłoska była znakiem od bogów - orzekła i wnet przekonała Ragnara, by wezwał jarłów z całej północy wyspy.

Zjazd wyznaczono na wczesną wiosnę, gdy zimowe deszcze ustaną, a brody znów staną się przejezdne. Widoki na rychłą wojnę obudziły dunholmczyków z odrętwienia. W warowni i przylegającym do niej miasteczku rozbrzmiewały młoty kowali kujących groty do włóczni. Mój przybrany brat rozpuścił wici, że każdy szyper, który wiosną przywiedzie mu bitną załogę, może liczyć, że się wzbogaci. Wieści o szczodrobliwej ofercie jarła miały wkrótce dotrzeć aż do Fryzji i Danii, skąd należało się spodziewać żadnych zdobyczy wikingów, mimo że na razie Ragnar rozgłaszał, iż skrzykuje wojowników, by powieść ich na szkockie ziemie. Zwabiony ową nowiną przybył do nas Offa, nie bacząc na niesprzyjającą pogodę. Zjawiwszy się, usilnie starał się nas przekonać, że wyprawy wśród siekącego deszczu to dla niego rzecz zwyczajna, ale i tak nie miałem wątpliwości, co go skłoniło do wędrówki przez Northumbrię w czasie, gdy wszystko, co żyje, stara się przeczekać dotkliwie chłody. Ragnar tym razem nie zaprosił Mercjanina i jego psiej sfory za bramy swej twierdzy. Podejrzewam, że Brida przezornie nakazała mężowi, by odprawił przybysza. Wystarczyło bowiem, by moja przyjaciółka groźnie uniosła brew, a władarz Dunholmu szedł na ustępstwa, aby ją uszczęśliwić.

Offę znalazłem w położonej u stóp warowni karczynie, gdzie wybrałem się z Finanem i Osferthem. Zasiadłszy, począłem z zapalem opróżniać kolejne kubki, udając, że upijam się na umór.

- Słyszałem, że zaniemogłeś, panie - zagaił wędrowiec - cieszę się więc, widząc cię w zdrowiu.

- Powiadają, że Alfreda także o mały włos nie zmogła choroba? - rzekł na to Osferth.

Offa, swoim zwyczajem, rozważył najpierw, czy odpowiedź, której miałby udzielić, nie jest aby na tyle wartościowa, by mógł za nią zażądać zapłaty. Zmiarkował wszakże, że łatwiej będzie mu rozeznać się w naszych zamiarach, jeśli podzieli się z nami wieściami z Wessexu, zwłaszcza że te wkrótce i tak miały się stać ogólnie znane.

- Król zasłał podczas mszy - rzekł - i długo nie odzyskiwał sił. Medycy byli przekonani, że Bóg przywołuje chorego do siebie. Wiem na pewno, że udzielano mu ostatniego namaszczenia - i to po dwakroć! Jednakże na ostatek Pan Wszechmogący umiłował się nad schorzałym władcą.

- Widać jego bóg szczerze go miłuje - wycodziłem bełkotliwie.
- Nie na tyle, by przywrócić mu zdrowie - powściągliwie odparł Offa. - Król wciąż czuje się słabo.

- Zawsze był słabowity - burknąłem, co było cokolwiek krzywdzącym sądem o władcy, który choć nigdy nie cieszył się mocnym zdrowiem, odznaczał się nieugiętą wolą. Bełkotliwie rzuciwszy ową celową zniewagę, złowiłem baczne spojrzenie Offy, ani chybi starającego się wy badać, jak bardzo jestem zaprawiony.

Wielokrotnie zdarzało mi się szydzić z chrześcijańskich kapłanów, a zwłaszcza wtedy, gdy powiadali, że świadectwem potęgi ich wiary jest magia, jaką władał Chrystus, zastrzegając przy tym, że owa potężna moc jest niedosiężna dla ludzi. Gdybym ujrział księdza uzdrawiającego kaleki albo duchownego przywracającego ślepcom wzrok, uwierzyłbym w czczonego przez cudotwórców boga. Ale jeśli kiedykolwiek byłem świadkiem prawdziwego cudu, to właśnie wtedy, w zadymionej izbie gospody: Offa przywołał dziewczkę i nie dość, że zapłacił za wypite przez nas piwo, to jeszcze zamówił kolejny dzban.

Mimo że zazwyczaj potrafiłem wypić więcej niż inni, zaczynałem już czuć, jak wszystko wokół poczyną wirować, nawet kłęby dymu bijące z karczennego paleniska. Na szczęście nie ztraciłem jasności myślenia. Potraktowałem rozmówcę opowiastką o losach Skade, przyznając, że łupy znalezione w skarbcu Skirnira nie spełniły mych oczekiwań. Potem jałem narzekać, że nie mam dość srebra, by skrzyknąć godziwą drużynę. Moje gorzkie, pijackie żale dały Mercjaninowi sposobność, by wciąć mnie na spytki:

- A po cóż, panie, potrzebna ci owa drużyna?
- Wszyscy potrzebujemy ludzi - odparłem oględnie.
- Racja - wtrącił Finan.
- Więcej ludzi - dopowiedział Osferth.
- Wciąż więcej ludzi - wyrzucił z siebie Irlandczyk, podobnie jak ja udając bardziej pijanego, niż był.

- Doszły mnie słuchy, że zjeżdżają się tutaj północni jarlowie? - wędrowny psiarcz zapytał bez ogródek. Musiało mu bardzo zależeć na poznaniu prawdy, co się u nas święci. Wprawdzie w całej Brytanii z ust do ust podawano wieść, że panowie z północy ściągają do Dunholmu, jednakże nikt nie wiedział, co ich tam sprowadza. Gdyby Offie udało się osiąść tę wiedzę, przyniosłaby mu ona znaczne zyski.

- I dlatego trzeba mi ludzi - odrzekłem z właściwą opojom wylewną szczerością.
Stary lis na nowo napełnił mój kubek, choć sam pił niespiesznie.
- Północnym jarlom nie brakuje ludzi, a jarl Ragnar, jak powiadają, gotów jest opłacić

srebrem przystępujące doń załogi.

- Otóż to - sarknąłem i nachylając się ku niemu poufale, zapytałem: - A jakże mam z nimi rozmawiać niczym równy z równym, skoro służy mi zaledwie jedna załoga? - urwałem i głośno odbąknąłem, po czym dorzuciłem: - I to nie nazbyt liczna.

- Cieszysz się sławą zwycięskiego wodza, panie - zauważył Mercjanin, nie cofając się przed mym woniejącym piwem oddechem.

- Trzeba mi wojowników - podjąłem swoją śpiewkę.

- Wielu, wielu wojowników.

- I to nie byle jakich - dorzucił bękart Alfreda.

- Duńczyków od dziecięcia władających włócznią i mieczem - dopowiedział udający zadumę przybysz z Wyspy Irów.

- Jarlowie zbiorą dość ludzi, by zetrzeć siły Szkotów - zasugerował Offa, wypowiadając słowo po słowie, jakby wabił rybę, poruszając przed jej pyskiem haczykiem z przynętą.

- Co tam Szkoci! - parsknąłem z pogardą. - Po cóż tracić choćby jedną załogę na utarczki ze Szkotami? - Finan szturchnął mnie w łokieć, by ostrzec przed nadmierną wylewnością, lecz udałem, że nie zważam na ów przyjacielski gest. - Czymże jest Szkocja? - zapytałem wyzywająco.

- Krainą dzikusów, którym z ledwością starcza płótna, by zakryć nim przyrodzenie. Całe królestwo Alby⁴² - niemal wypłułem miano największego ze szkockich władztw - jest warte tyle, co plony z jednej przyzwoitej saskiej posiadłości. A jego mieszkańcy to włochate bękarty z odmarzniętymi kuškami. Kto by się nimi przejmował?

- Wszelako Ragnar chciałby ich zawojować?

- A jakże - twardo poświadczyl Finan.

- By wreszcie położyć kres ich utrapieńczym najazdom - podchwycił Osferth, lecz psiarcz puścił ich słowa mimo uszu, nie odwracając ode mnie wzroku.

- Bebbanburg - powiedziałem cicho, patrząc Mercjaninowi prosto w oczy.

- Bebbanburg, panie? - zapytał z udawanym zdumieniem.

- Jestem władcą Bebbanburga czy nie? - wybełkotałem.

- Jesteś, panie - przytaknął Offa.

- Szkoci! - parsknąłem kpiąco i pozwoliłem, by moja głowa opadła na złożone na stole ręce, jak gdybym był zbyt znużony, by zwalczyć senność.

Nie minął miesiąc, a każdy pan w Brytanii wiedział, w jakim celu jarl Ragnar zwołuje armię. Wiedział o tym także Alfred, który wciąż pozostawał na łożu boleści, oraz Aethelred, pan Mercji. Ani chybi nowina o rzekomo zamyślanej przez Ragnara wyprawie dotarła nawet

do kraju Franków, Offa bowiem służył wielu władcom. Jak słyszałem, dochrapał się prawdziwych bogactw, dzięki którym nabył okazały dwór i rozległe pastwiska w okolicach Liccelfeld. Rozważał też ponoć, czy nie wziąć sobie za żonę jakiejś młódki. Srebro na takie zbytki zdobył - między innymi, oczywiście - przestrzegając mego wuja przed niebezpieczeństwem. A uczynił to tak szybko, jak pozwalała zimowa pogoda. Aelfric dowiedział się zatem z ust Offy, że z nadejściem pory letniej jarl Dunholmu zamyśla wesprzeć swego młecznego brata, erla Uhtreda, w zamiarze odbicia Bebbanburga. Co więcej, zbiera w tym celu każdego zdolnego unieść broń Duńczyka z Northumbrii.

A tymczasem Ragnar wyprawił zwiadowców do Wessexu.

Zwołanie armii i poprowadzenie jej na ziemie Szkotów byłyby całkiem dorzecznym zamysłem, gdyż lud ów stanowił utrapienie sąsiadów. Tak jest do dziś i, jak sędzę, nie zmieni się to aż po zmierzch świata. Ledwie zima dobiegła kresu, gdy na północne rubieże ziem Ragnara wtargnęła drużyna Szkotów. Najeźdźcy uprowadzili bydło, kobiety i dzieci, wytracając przy tym kilkunastu mężczyzn. Mój przybrany brat powiódł stu ludzi na Północ, by wyrzucić zemstę, a ja przyłączyłem się do niego wraz z dwudziestoma drużynnikami. Wyprawa odwetowa okazała się jednak mitręgą. Po pierwsze, trudno było się rozeznać, kiedy wkraczamy na ziemie Szkotów, albowiem granica - wskutek toczących się sporów - nieustannie się przesuwała. Po drugie, gdy wreszcie po dwóch dniach wędrówki dotarliśmy na wrogie ziemie, natrafiliśmy na ubożuchną wioskę, w dodatku wyludnioną. Jej mieszkańcy, zawczasu dowiedziawszy się o naszym przybyciu, opuścili nędzne sadyby, zabierając żywy inwentarz. Znajdujące się wszędzie wokół sterty gnoju górowały nawet nad lichymi domostwami o ścianach z nieobrobionego kamienia, ledwie widocznych spod porośniętych darnią strzech. Zgruchotaliśmy krokwie podtrzymujące dachy chałup, a do wnętrza miejscowego kościoła - także wzniesionego z nieociosanych kamieni - nawrzucaliśmy końskiego łajna. W wiosce nie było nic więcej, co moglibyśmy zniszczyć. Nasze poczynania obserwowali stojący na pobliskim wzgórzu czterej jeźdźcy.

- Bękart! - wrzasnął do nich Ragnar, mimo że znajdowali się zbyt daleko, by go dosłyszeć.

Szkoci, podobnie jak my, używali konnych zwiadowców. Jeźdźcy wysyłani do tego zadania nie nosili zbroi, a zazwyczaj nie obarczali się też żadną bronią prócz włóczni. A że wybierano dla nich nadzwyczaj zwinne konie, pościg za dosiadającymi rączych zwierząt nieprzyjaciółmi skazany byłby na niepowodzenie.

- Czyi to ludzie? - spytałem.

- Najpewniej Domnala - odrzekł jarl. - Króla Alby - dorzucił drwiąco, strzyknąwszy śliną. Domnal władał podówczas największym szkockim królestwem. Wszystkie leżące na północ

od Northumbrii ziemię zwie się Szkocją, jako że po większej części zostały zajęte przez ów dziki lud przybyły z terenów Irlandii. Jednakże nazwa ta - podobnie jak miano „Anglia” - znaczyła niewiele, gdyż tak naprawdę nie oznaczała jednego państwa, a obszar zajmowany przez ludzi mówiących podobnym językiem. Najważniejsze ze szkockich królestw podlegało władzy Domnala. Wśród pozostałych krain największe były Dalriada i Strath Clota⁴³. Z kolei odcięte od świata i smagane rozszalałymi sztormami wysepki na zachodnim wybrzeżu Szkocji - z których niemal każde stanowiło oddzielne królestwo - podlegały srogim norweskim jarłom. Porachunki ze Szkotami zawsze były nie lada wyzwaniem. Mój ojciec zwykł przyrównywać je do prób pochwylenia żbika gołymi rękoma lub pozbawienia dzikiego zwierza przyrodzenia za pomocą własnych zębów. Na szczęście dzikie koty przeważnie zajęte były wszczynaniem sporów między sobą.

Zniszczywszy, co się dało, pospiesznie opuściliśmy zrujnowaną wieś i wspięliśmy się na pobliskie wzniesienie, a to w obawie, że czterej zwiadowcy mogą ściągnąć nam na głowy liczniejszą drużynę. Jak się okazało, niepotrzebnie się niepokoiłiśmy. Nazajutrz pociągnęliśmy na zachód w poszukiwaniu jakichkolwiek żywych istot, na których moglibyśmy wziąć odwet. Jednak - choć błąkaliśmy się po pustkowiach przez cztery dni - napotkaliśmy jedynie chorą kozę i ochwaczonego byka. Czwórka szkockich zwiadowców ciągle za nami ciągnęła. Nawet wtedy, gdy wzgórza spowiły obłoki gęstej mgły, wśród których często zmienialiśmy kierunek, wrogowie odnajdywali nas, gdy tylko tumany się rozwiewały. Wciąż obserwowali nasze ruchy, ale nie zbliżali się za bardzo.

Wreszcie skierowaliśmy konie ku Dunholmowi, podążając szczytem górskiego grzbietu dzielącego Brytanię. Panował przenikliwy chłód. W zagłębieniach terenu biał śnieg. Wprawdzie nie wywarliśmy odwetu za poczynione przez szkockich najeźdźców straty, lecz jazda przez tamtejsze pustacie z mieczami u boku wprawiła nas w dobry nastrój.

- Słukę bękartów na krwawą miazgę, gdy tylko powrócimy z Wessexu - ochoczo obwieścił Ragnar. - Spiorę ich tak, by mnie popamiętali.

- Naprawdę chcesz zająć Wessex? - dopytywałem się, korzystając z tego, że wojownicy jechali sto kroków za nami i nie mogli nas słyszeć.

- A cóż mnie obchodzi Wessex? - odrzekł, wzruszając ramionami. - Jeśli mam być szczery, wolałbym bawić tu, gdzie niczego mi nie brak.

- Po co ci więc najazd na ziemię Sasów?

- Bowiem, jak powiada Brida, jeśli rychło nie pokonamy Wessexu, Zachodni Sasi przyjdą tu i zegną nasze karki.

- Nawet jeśli, to na pewno nie za naszego życia - stwierdziłem.

- Mam synów - odparł przyjaciel. I choć miał jedynie nieślubnych potomków, szczerze miłował swe liczne pociechy i pragnął, by jeden z synów został panem na Dunholmie.

- Nie mogę znieść myśli, że moi potomkowie mieliby ukorzyć się przed władcą Zachodnich Sasów. Chcę im zapewnić niezawisły byt.

- I tylko dlatego zasiądziesz na tronie Wessexu?

Jarl zaniósł się rehotliwym śmiechem.

- Ani myślę! Mówiłem ci już, przyjacielu, że mam to, czego pragnę. Króluję w Dunholmie. A ty nie chciałbyś objąć panowania nad Zachodnimi Sasami?

- Ja życzę sobie jedynie odzyskać władzę nad Bebbanburgiem.

- Bez trudu znajdziemy kogoś, kto z ochotą zajmie wolny tron - beztróska odrzekł przybrany brat. - Może Sigurd albo Kanut?

Sigurd Thorson i Kanut Ranulfson byli w tamtych czasach najpotężniejszymi - po Ragnarze, ma się rozumieć - jarłami w Northumbrii, jeśli więc mieliśmy wyruszyć na podbój Sasów, ich wsparcie było nam nieodzowne.

- Zajmiemy Wessex - zawyrokował mój towarzysz - i podzielimy jego skarby. Potrzeba ci ludzi, by odbić rodową siedzibę? Nagromadzone na tamtejszych kościelnych ołtarzach srebro pozwoli ci skrzyknąć armię, z którą mógłbyś zdobyć paręnaście podobnych Bebbanburgowi warowni.

- Niechybnie.

- Tedy po cóż się trapisz? Los sprzyja twym zamiarom.

Podążaliśmy wieńcząc garbate wzniesienie granią.

Poniżej połyskiwały mknące w głębokich żlebach strumienie, pieniającymi się wśród skał bystrzynami. Na wiele mil wokół nas rozciągało się nagie pogórze, gdzie nie uświadczylibyś ani drzew, ani ludzkich sadyb. Żyjąca na owym pustkowiu ludność musiała wyżyć z wypasu owiec, jednakże nigdzie nie zauważyliśmy stad, które najpewniej przepędzono gdzie indziej, by nie padły naszym łupem. Nieodstępujący nas szkoccy zwiadowcy ukazali się na szczycie sąsiedniego wzgórza, leżącego po stronie wschodniej. Garb, po którym wędrowaliśmy, przeszedł w stromiznę schodzącą ku głębokiej dolinie, gdzie łączyły się dwa strumienie dotąd obrzeżające pasmo wzgórz. W dole, gdzie wzburzone górskie wody łączyły się w cieniu skalnego nawisu, dojrzałem czternastu konnych. Nie poruszali się, najwyraźniej oczekując naszego przybycia. Stali na drodze i nie było żadnych wątpliwości, że ich obecność w widłach rzecznych oznacza zasadzkę. Kilkunastu lekkich jeźdźców jak nic stanowiło przynętę. Począłem się rozglądać, by wypatrzyć czających się gdzieś w ukryciu Szkotów, lecz nie dojrzałem ich nigdzie, choć zdawać by się mogło, że jak na dłoni widziałem dolinę i okalające

ją wzgórze. Tymczasem czterej zwiadowcy spięli wierzchowce i sunąc sznurem w dół po pokrytym wrzosami stoku, dołączyli do czternastu towarzyszy.

Ragnar przyglądał się zawałidrogom.

- Czego się spodziewają? - zastanawiał się na głos.

- Że zjedziemy w dolinę, wychodząc im na spotkanie? - mruknąłem.

- Tak czy inaczej, nasz szlak musi wieść właśnie tamtędy - mówił z namysłem - a skoro oni doskonale o tym wiedzą, czemu mieliby się tam ustawiać, jeśli nie po to, by skłonić nas do puszczenia się za nimi w pogoń? - Zmarszczył brwi i bacznie się rozejrzał. - Czy to aby na pewno Szkoci?

Finan, który dołączył do naszej dwójki, wyteńczył swój istic sokoli wzrok.

- Szkoci, na pewno - stwierdził.

- Skąd wiesz?

- Jeden z jeźdźców nosi znak gołębia, panie - wyjaśnił Irlandczyk.

- Gołębia? - zdumiał się jarl, wydając się przy tym nieco zniesmaczony. W jego mniemaniu, podobnie jak i moim, mężczyzna powinien obrać sobie znak, którym mógłby się chlubić w boju - czyli orła czy wilka, ale nie gołębia.

- To znak Colum Cillea⁴⁴, panie - wyłuszczył mało pomocnie Finan.

- A któż to taki?

- Kolumba, panie, miłowany w całej Szkocji irlandzki święty. Powiada się, że kiedy przybył do krainy Piktów, przepędził żyjącego w jednym z tutejszych jezior ogromnego potwora - za co Szkoci otaczają go czcią, panie.

- Jakże przydatni okazują się święci - zauważył z roztargnieniem mój brat, raz jeszcze oglądając się na wszystkie strony, lecz na żadnym ze wzgórz nie ukazały się sylwetki konnych.

- Dwóch spośród nich to brańcy - dodał spoglądający w dół Finan - a jeden z jeźdźców to ledwie odrosły od ziemi brzdąc.

- Czyżby krył się tu jakiś podstęp? - rzucił Ragnar, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności. Musiał wszak dojść do przekonania, że trzeba by mieć źle w głowie, by czekać na atak w pozycji tak niedogodnej jak podnóże wzgórze. Uznał, że owych czternastu Szkotów, do których dołączyło już pozostałych czterech, nie szuka zwady, zdecydował więc: - Wyjedziemy im na spotkanie.

Dobrawszy sobie szesnastu kompanów, zjechaliśmy z Ragnarem po stromym zboczu. A kiedy znaleźliśmy się na płaskim terenie, wyjechało nam naprzeciw dwóch jeźdźców. Widząc to, jarl wstrzymał naszą eskortę i tylko ze mną ruszył dalej. Zbliżyliśmy się do jadącej ku nam parze, mężczyźnie i towarzyszącemu mu chłopcu. Starszy spośród szkockich wysłańców -

ubrany w przyozdobiony znakiem gołębia kaftan, na który miał zarzucony długi, błękitny płaszcz - wydał mi się o parę wiosen młodszy ode mnie. Prosto trzymał się w siodle, a na jego szyi widniał gruby, złoty łańcuch. Ze szlachetnego, gładko wygolonego oblicza wyglądały błękitne oczy. Głowę miał odsłoniętą, dzięki czemu widać było kasztanowe włosy obcięte krótko, na saską modłę. Dosiadający żrebaka chłopiec, wyglądający na pięć, może sześć lat, nosił te same barwy, co jego starszy towarzysz - pewnie rodziciel. Obaj ściągnęli wodze, zatrzymując się parę kroków od nas, po czym mężczyzna, mający u boku miecz o nabijanej klejnotami rękojeści, zmierzył nas wzrokiem i się odezwał:

- Zwę się Konstantyn, syn Aeda. Jestem księciem Alby. A to mój syn - dodał, wskazując chłopca - Cellach mac Konstantyn, także noszący tytuł księcia Alby.

Jeździec spod znaku gołębia zwrócił się do nas po duńsku, chociaż znać było, że posługiwanie się obcą mową sprawia mu pewne trudności. Konstantyn uśmiechnął się do syna. Poznając ludzi, często od razu czujemy do kogoś sympatię, a do innych wyraźną niechęć. Książę z miejsca zaskarbił sobie moją przychylność, mimo że był Szkotem.

- Zgaduję, że jeden z was to jarl Ragnar - rzekł syn Aeda - drugi zaś to Uhtred z Bebbanburga. Wybaczcie, ale nie potrafię zgadnąć, który jest który.

- Jam jest Ragnar Ragnarson - rzekł mój przyjaciel.

- Witam cię. - Konstantyn skłonił się życzliwie. - I mam nadzieję, że pobyt w naszej krainie dostarczył ci przyjemnych widoków?

- O tak - skwapliwie odrzekł mąż Bridy. - Z miłą chęcią wrócę tu jeszcze kiedyś, tyle że następnym razem w liczniejszej kompanii, by i moi drużynnicy mogli nimi nacieszyć swe oczy.

Na te słowa książę się roześmiał i powiedział synowi coś, co sprawiło, że malec przyjrzał się nam szeroko otwartymi oczyma.

- Oznajmiłem mu właśnie, jak walecznymi jesteście wojownikami - wyjaśnił nam z uśmiechem - i dodałem, że pewnego dnia powinien się nauczyć, jak mierzyć się z podobnymi wam śmiałkami i odnosić nad nimi zwycięstwa.

- Imię Konstantyn - zauważyłem - nie brzmi zbyt szkocko.

- Niemniej noszę je z dumą - odciął się książę - gdyż ma mi wskazywać drogę, bym naśladował świętego rzymskiego cesarza, który nawrócił swych poddanych na chrześcijaństwo.

- Wyświadczać im iście niedźwiedzią przysługę - zażartowałem.

- Mój znakomity imiennik był nie tylko krzewicielem wiary Chrystusa, ale i bezwzględny pogromcą pogan - odparł syn Aeda i choć jego usta wciąż się uśmiechały, głos nabrał twardości.

- Jesteś bratankiem króla Alby⁴⁵, nieprawdaż? - zagadnął Ragnar.

- I owszem. Trzeba ci jednak wiedzieć, że mój wuj, Domnal, dożywa właśnie swych dni.

- A ty obejmiesz po nim rządy? - dopytywał się mój druh.

- Jeśli Bóg pozwoli - odparł zapytany, a choć uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi, odniosłem wrażenie, że wola jego boga odpowiada jego własnej.

Użyczony mi dunholmski ogier parsknął i począł niespokojnie drobić kopytami. Uspokoilem go i spojrzawszy przez ramię, przekonałem się, że naszych szesnastu ludzi czeka z dłońmi wspartymi na rękojeściach mieczy na znak do ataku. Zerknąłem na szkocką drużynę, ta jednak nie okazywała żadnych oznak wrogości. Przebiegłem wzrokiem okalające nas stoki, lecz nigdzie nie dostrzegłem nadciągających nieprzyjaciół.

- Wierz mi, erlu Uhtredzie, nie musisz obawiać się zasadzki - odezwał się Konstantyn. - Wyjechałem wam na spotkanie, gdyż nadarzyła się sposobność, bym spotkał się z tobą w cztery oczy. Czy wiadomo ci, że twój wuj wyprawił do nas poselstwo?

- Czyżby prosił was, byście przyszli mu z pomocą? - spytałem, nie kryjąc pogardy.

- Proponuje nam tysiąc szylingów - rzeczowo odrzekł Szkot - jeśli latem przywiedziemy swoich ludzi, by uderzyć na ciebie.

- A po cóż mielibyście nas atakować?

- Gdyż zanoszą się na to, że będziesz wówczas oblegał Bebbanburg - wyjaśnił.

Pokiwałem głową.

- Zatem będę musiał zgładzić nie tylko Aelfrica, ale także ciebie?

- Taki czyn z pewnością przysporzyłby ci sławy - odparł dwornie - ale ja proponuję ci inny układ.

- Jaki? - zainteresował się Ragnar.

- Twój wuj - podjął księżę, mierząc mnie wzrokiem - nie jest zbyt szczodry. Rzecz jasna, przydałoby się nam tysiąc szylingów, jednak suma ta wydaje się marną zapłatą za wyświadczenie tak znacznej przysługi, jaką jest przeważenie szali w walnej bitwie.

Stało się dla mnie jasne, dlaczego Konstantynowi zależało, by nasze spotkanie odbyło się bez świadków. Gdyby syn Aeda wyprawił posłańców do Dunholmu, wieść o tym niechybnie doszłaby uszu Aelfrica, a ten z miejsca powziąłby podejrzenia i zważał zdradę.

- Jaka jest twoja cena? - chciałem wiedzieć.

- Trzy tysiące szylingów sprawi, że będziecie pewni, iż wojownicy Alby całe przyszłe lato spędzą spokojnie w swych rodzinnych stronach.

Nie rozporządzałem podobnym majątkiem, lecz kątem oka dojrzałem potakujące skinienie brata. Wszystko wskazywało na to, że Konstantyn był święcie przekonany, iż w istocie

sposobimy się do napaści na Bebbanburg. I choć mylił się w tym względzie, nie chcieliśmy wyprowadzać go z błędu. Ragnar i tak się obawiał, że Szkoci spustoszą jego ziemie, podczas gdy będzie prowadził działania wojenne w Wessexie. Ich najazd był wielce prawdopodobny, tym bardziej, że Alfred nieustannie podbechtywał szkockich królów, by nękali Duńczyków z Northumbrii ciągłymi napadami.

- Mógłbyś otrzymać żądane trzy tysiące srebrnych szylingów - stwierdził jarl, ostrożnie dobierając słowa - gdybyś się zobowiązał, że licząc od dzisiejszego dnia przez okrągły rok, żaden z twoich wojowników nie zakłóci spokoju Northumbrii.

Syn Aeda zrazu nic nie odpowiedział. Wprawdzie propozycja owa jedynie nieznacznie odbiegała od tej, którą sam przedstawił, jednakże w owej różnicy zasadzało się dużo więcej, niż mówiły słowa mego brata. Konstantyn zdawał się to doskonale rozumieć, o czym świadczyło spojrzenie, którym nas obrzucił. W oczach Szkota pojawił się chytry błysk, jakby zmiarkował, że naszym celem wcale nie jest Bebbanburg. Wreszcie, skinąwszy głową na zgodę, rzekł:

- Gotów jestem uznać wasze warunki.

- A król Domnal? - upewniałem się. - Czy i on przystanie na taką ugodę?

- Staruch czyni, co mu każe - z niezachwianym przekonaniem odparł książe.

- Jaką dasz nam porękę dotrzymania pokoju? - spytał pan Dunholmu.

- Na znak zgody daruję wam tych oto ludzi. - Następca tronu dał znak swym drużynom.

Dwóch mężczyzn ze skrępowanymi rękami zostało przeprowadzonych przez strumień. Kiedy jeńcy stali już obok konia księcia, ten wyjaśnił: - Ci oto bracia są mścicielami, którzy powiedli swych wojów na wasze ziemie. Zadbam, by uprowadzone przez nich kobiety i dzieci odnaleziono i pozwolono im wrócić w rodzinne strony. Dziś jednak mogę wam ofiarować jedynie winowajców.

Jarl łypnął niechętnie na dwóch spętanych brodaczy.

- Życie dwóch rabusiów miałyby zawarować naszą ugodę? - rzekł zdziwionym głosem. - A jeśli ich ubiję, co wstrzyma cię przed złamaniem danego słowa?

- Powierzam twej pieczy jeszcze jedno życie - podjął Konstantyn i położył dłoń na ramieniu syna. - Cellach to mój pierworodny i najdroższy mi syn. Gotów jednak jestem oddać go w twe ręce jako zakładnika i poręczenie dobrej woli. Jeśli którykolwiek z moich ludzi zostałby złapany z obnażonym mieczem w Northumbrii, będziesz miał prawo uśmiercić Cellacha.

Przypomniałem sobie wówczas szelmstwo Haestena, który z niemąłą uciechą oznajmił, że chłopak, którego oddał mi w niewolę, jest jego potomkiem. Jednakże tym razem rzecz miała

się zgoła inaczej, gdyż uderzające podobieństwo Cellacha do księcia było widowym świadectwem prawdomówności następcy tronu. Spoglądając na kilkuletniego chłopca, poczułem ukłucie żalu, że mój starszy syn nie odznacza się godną postawą i nieulekłym wejrzeniem, jakie cechowały dosiadającego żrebaka małego chwata.

Ragnar nie namyślał się długo. Uznał, że jest to zadowalająca poręka. Wparłszy kolana w boki konia, podjechał do syna Aeda i wyciągnął ku niemu prawicę, którą tamten przyjął.

- Możesz wkrótce spodziewać się moich wysłanników z obiecany srebrem - przyrzekł pan na Dunholmie.

- Wtedy twoi ludzie powrócą do ciebie z Cellachem - poprzysiągł książę. - Pozwolisz, że powierzając ci syna, wyprawię z nim kilku służebnych, opiekuna i nauczyciela?

- Będziemy im radzi - przyjaźnie zapewnił mój przybrany brat.

Przyszły władca Alby także okazał zadowolenie.

- A zatem, jak sądzę, wszystko uzgodnione - stwierdził.

Szkoci odjechali w swoją stronę, a Ragnar przykazał obnażyć jeńców, po czym dobył miecz i zadał im szybką śmierć.

Po zboczach doliny sunęła biała mgła, toteż dosiedliśmy koni i pozostawiając u zbiegu strumieni dwa nagie, pozbawione głów ciała, ruszyliśmy z kopyta, kierując się na południe.

Jarl powracał do Dunholmu, uzyskawszy od swych północnych sąsiadów zapewnienie, że nie naruszą granic jego ziem w czasie, kiedy zaplanowaliśmy wyprawę na Wessex. Ugoda, którą zawarł, wydawała się ze wszech miar korzystna, a jednak spotkanie z Konstantynem pozostawiło we mnie niejasny niepokój. Książę Alby wprawdzie wzbudzał sympatię, nie umknęły mi wszakże jego przemyślność i wyrachowanie, które czyniły go groźnym przeciwnikiem. Jakże bowiem mogło dojść do jego sekretnego z nami spotkania? Myślę, że szkocki spryciarz najpierw sam wypuścił zagon na tereny Ragnara, czym wywołał jego wyprawę odwetową, a potem wydał nam na śmierć swych ludzi, którzy - jeśli nie na jego wyraźny rozkaz, to za przyzwoleniem - dokonali owej napaści. Szkocki książę okazał się zręcznym intrygantem, a gdybym wówczas wiedział, jak długo przyjdzie mi się z nim w przyszłości borykać, bez chwili wahania poderznąłbym gardło jemu i podobnemu doń jak dwie krople wody smarkaczowi.

Jednakże tym razem ów wierutny łgarz dotrzymał danego słowa i przez całe dwanaście miesięcy nie naruszył terytorium mego brata.

Tamtego roku wiosna kazała na siebie czekać wyjątkowo długo, ale kiedy nastąpiła, łąki zazieleniły się z dnia na dzień, a wkrótce przyszły na świat pierwsze brykające nieporadnie jagnięta. W miarę jak dni się wydłużały, słońce jeło przygrzewać mocniej, a rozpalone nim

umysły poczęły zwracać się ku wojnie.

Dwaj najpotężniejsi po Ragnarze northumbryjscy jarlowie - Sigurd Thorson i Kanut Ranulfson - jednocześnie stawili się w Dunholmie, zaś w ślad za nimi do warowni hurmem ściągali pomniejsi panowie, bez wyjątku Duńczycy. Nawet najpośledniejsi spośród zgromadzonych mogli poprowadzić w bój co najmniej stu wytrawnych wojowników.

A jako że każdemu z przybyłych, prócz garstki najbardziej zaufanych zwolenników, towarzyszyła służba i niewolni, nie było mowy, by wszyscy zagościli pod dachami dunholmskich dworów. Tylko dostojniejsi goście zamieszkali w obrębie warowni, pozostali zaś stanęli w osadzie sąsiadującej z twierdzą od południa.

Mój brat co wieczór wydawał ucztę, hojnie obdarowując nowo przybyłych, zaś za dnia toczyły się narady. Jarlowie byli przekonani, że sposobimy się do szturm na Bebbanburg, lecz pan na Dunholmie wyprowadził ich z błędu już pierwszego dnia obrad.

- Alfred rychło dowie się o naszych zamysłach - przestrzegł zebranych. - Wystarczy, byście zdradzili się przed swoimi ludźmi, że nosimy się z zamiarem napaści na Wessex. Wasi drużynnicy to rozpowiedzą i nie minie kilka dni, a wieść dojdzie uszu władcy Zachodnich Sasów.

- Przeto trzymajcie języki na wodzy - wydał z siebie groźny pomruk Sigurd Thorson.

Jarl ten był roslym mężczyzną o hardym obliczu okolonym brodą. Nosił dwa długie warkocze, spadające na byczy kark. Podlegały mu rozległe włości na pograniczu południowej Northumbrii i północnej Mercji, gdzie doskonalił swą sztukę wojenną podczas starć z ludźmi Aethelreda. Jego serdeczny przyjaciel, Kanut Ranulfson, pomimo drobnej budowy odznaczał się niepoślednią siłą, którą znamionowały grające pod skórą ramion mięśnie. Wódz ten cieszył się sławą najzręczniejszego robiącego mieczem wojownika w całej Brytanii. Dzięki niedoścignionym umiejętnościom szermierczym oraz dziarskiej przybocznej drużynie - którą opłacał srebrem ze swego przepastnego skarbcza - zawojował ziemie od północy graniczące z dziedziną Sigurda. Włosy żylastego, liczącego sobie zaledwie trzydzieści wiosen jarla były białe niczym wyschła kość. Jego niezwykle jasne, niemalże przejrzyste oczy oraz przyprószone siwizną włosy nadawały mu wygląd zjawy, dlatego gdyby nie serdeczny, często goszczący na obliczu wodza uśmiech, można by go wziąć za upiora. Kanut lubował się w niemożliwych żartach, które opowiadał przy lada sposobności.

- Miałem kiedyś saską niewolnicę, równie urodziwą jak owa młódka - powiedział mi przy pierwszym spotkaniu, odprowadzając wzrokiem hożą służkę, zanoszącą tace z mięsiwem do najobszerniejszego dunholmskiego dworu. Naraz sposepniał i dorzucił: - Niestety, bidula umarła, pijąc mleko.

- Było zatrute?

- Gdzie tam. Po prostu krasula przysiadła i zgmiotła dziewczynę - odparł, wybuchając rozgłośnym śmiechem.

Ranulfsonowi nie było równie wesoło, gdy Ragnar wyjawiał swe zamysły powiedzenia wikińskiej floty do Wessexu. Gospodarz przedstawił swe plany w krótkiej i rzeczowej przemowie. Na wstępie stwierdził, że władztwo Alfreda rośnie w siłę, a potem dodał, iż ambicją Zachodnich Sasów jest postęp na północ - najpierw podporządkowanie Mercji, następnie Wschodniej Anglii, a na ostatek Northumbrii.

- Alfred - podsumował mój przybrany brat - mieni się królem Angelcynnu, a przecież angielską mowę można usłyszeć zarówno na moich ziemiach, jak i na waszych. Powiadam więc, że jeśli teraz nie przeciwstawimy się Sasom, wygubią nas jednego po drugim.

- Alfred stoi już nad grobem - zauważył Kanut.

- Lecz jego ambicje go przeżyją - zauważył pan Dunholmu. - Zachodni Sasi dobrze wiedzą, że najlepszą obroną jest atak. Wessex dąży do rozszerzenia swych posiadłości, by w końcu dotrzeć aż do szkockich granic.

- Jakże byłoby pięknie, gdyby zamiast nas atakować, saskie bękarty wytraciły Szkotów - rozległ się czyjś ponury głos.

- Powtarzam wam - twardo podjął Ragnar. - Jeśli będziemy czekać z założonymi rękami, niebawem w Northumbrii zapanują Zachodni Sasi.

Wówczas poczęto się spierać na temat sił, jakimi rozporządza Wessex. Nie zabierałem głosu, choć o królestwie Alfreda wiedziałem więcej niż ktokolwiek z obecnych. Przysłuchiwałem się w milczeniu, jak jarlowie powoli się dogadują. W końcu zgodzili się co do faktu, że Wessex jest w pełni przygotowany do działań wojennych, zarówno obronnych - czego świadectwem był pierścień nowo pobudowanych i obsadzonych przez fyrd burhów, jak i podbojowych - czemu miała służyć wciąż wzrastająca liczba wojowników królewskiej gwardii przybocznej, gotowych stanąć pod sztandarami ze złotym smokiem. Duńczycy wprawdzie wzbudzali w Sasach trwogę, gdyż w pojedynku jeden na jednego zdecydowanie brali nad nimi górę, wszelako wikińscy wojownicy nigdy nie zdołali się zjednoczyć, a Zachodni Sasi dokonali tego pod rozkazami Alfreda. Jarlowie wprawdzie mężnie stawali w obronie swych ziem, ale każdy z osobna, gdyż byli nieskorzy do zawiązywania sojuszy, albowiem żaden nie miał zamiaru podporządkowywać się woli drugiego. Co prawda zdarzało się, że działali wspólnie, tak jak uczynili to pod przewodnictwem Haralda, lecz w obliczu pierwszej poważniejszej porażki, wikińska brać pierzchała i każda załoga umykała w inną stronę, aby poszukać łatwiejszych zdobyczy.

- Czyli musielibyśmy - mruknął Sigurd - szturmować jeden burh po drugim?
- Harald zdobył jeden z marszu - odparował Ragnar.
- Zaiste, tyle że, jak doszły mnie słuchy, tamtejsze umocnienia nie były ukończone - roztropnie zauważył Thorson, po czym skierował na mnie pytające spojrzenie, a ja potaknąłem.

- Jeśli chcemy zdobyć Wessex, musimy zdobyć kilka burhów - pan na Dunholmie zawiesił głos i pokazał zęby w butnym, choć niewesołym uśmiechu. - Podejźmy do południowych brzegów wyspy, prowadząc przepotęzną flotę! Weźmiemy szturmem Exanceaster i pomaszerujemy na Wintanceaster. Alfred będzie się nas spodziewał od północy, a tymczasem my zaatakujemy od południa.

- A jeśli Zachodni Sasi zawczasu zobaczą nas ze swych okrętów zwiadowczych? - Kanut wyraził wątpliwość. - Alfred zostanie przestrzeżony i wyprawi przeciwko nam całą swą armię.

- Jego ludzie - rozległ się gromki głos, dobiegający spoza kręgu dysputujących - będą związani walką z moimi załogami, zatem pozostanie wam do przełamania jedynie opór fyrdu. - Nowo przybyły stał w otwartych wrotach dworu, przez które wpadał do środka słoneczny blask, co powodowało, że nie można było dojrzeć twarzy gościa. A ten oświadczył śmiało i dobitnie: - Albowiem kiedy zaatakuję Mercję, straż przyboczna Alfreda pospieszy Mercjanom na pomoc. Tym samym Wessex stanie przed wami otworem.

Mówca postąpił parę kroków naprzód, a wraz z nim kilkunastu towarzyszących mu wojowników w pełnych zbrojach.

- Bądź pozdrowiony, jarlu Ragnarze, i wszyscy, którzyście się tutaj zebrali - dorzucił, zamasztył gestem obejmując ogół obradujących. - Bądźcie pozdrowieni!

Wprawdzie Haesten nie został zaproszony na naradę, lecz się zjawił. Stał teraz przed nami, łyskając zębami w szerokim, zuchwałym uśmiechu. Chociaż dzień był wyjątkowo ciepły, samozwańczy jarl odziany był w pyszny płaszcz z wydrzych skórek, podbity wielkopańskim jedwabiem o mającej kłuć w oczy bursztynowej barwie. Strój taki dowodził zamożności właściciela, podobnie jak spoczywający na ramionach wodza ciężki, złoty łańcuch o grubych, skrzących się w słońcu ogniwach.

Przybycie Haestena stropiło zebranych. Popatrywali po sobie, ważąc w myślach, czy traktować go jak przyjaciela czy intruza. Z kłopotu wybawił ich Ragnar, który zerwał się na równe nogi i zwarł się z niespodziewanym gościem w niedźwiedzim uścisku.

Radzono jeszcze dwa dni, czego nie będę opisywał w szczegółach. Dość będzie, jeśli powiem, że zebranych w Dunholmie panów - choć byli w stanie zebrać armię, jakiej Brytania

nigdy nie widziała - wciąż dręczyły poważne obawy, gdyż wiedzieli, że wszystkie wikińskie wyprawy na Wessex zakończyły się porażką. Mój brat musiał wytłumaczyć jarlom, iż okoliczności się zmieniły: owładnięty starczą niemocą Alfred nie mógł już porwać swych ludzi do boju z dawnym młodzieńczym wigorem, zaś jego synowi brakowało bojowego doświadczenia. Nadto Ragnar przytoczył jeszcze inny argument, którym mi pochlebił - powiedział, że Wessex pozbawiony dotychczasowego obrońcy, Uhtreda z Bebbanburga, tym razem nie oprze się najazdowi. Dopiero po tych słowach zapanowała zgoda co do tego, że chwiejna sytuacja w Wessexie sprzyja naszym zamiarom. Pozostawało jeszcze rozsądzić, kto miałby objąć wolny tron. Dręczyły mnie obawy, że kwestia owa wywoła niekończące się spory. Jak się jednak okazało, Sigurd rozmówił się zawczasu z Kanutem i doszli do porozumienia - Thorson weźmie we władanie Wessex, a Ranulfson Northumbrię, lecz dopiero wtedy, kiedy umrze schorowany i targany obłędem Guthred. Przystaliśmy na to, gdyż Ragnar nie chciał przesiedlać się na południe, a i mnie nic tam nie ciągnęło. Haesten zaś - choć niewątpliwie pragnął, by zaproponowano mu koronę Wessexu - musiał się zadowolić widokami na tytuł króla Mercji.

Przybycie Haestena sprawiło, że snute przez nas plany zajęcia Wessexu stały się jeszcze bardziej wykonalne. Wprawdzie northumbryjscy Duńczycy nie darzyli nowego sprzymierzeńca zaufaniem, lecz nikt nie podawał w wątpliwość jego zapewnień o sposobieniu się do najazdu na Mercję. Wódz floty wikingów gorąco pragnął połączyć swoje siły z naszymi, co byłoby nader słusznym posunięciem, jako że zjednoczeni stanowilibyśmy prawdziwą potęgę. Niepodobna byłoby jednak ustalić, kto miałby poprowadzić ową nieprzeliczoną brać. Postanowiono przeto, że Haesten, prowadzący przeszło dwa tysiące wikińskich zabijaków, wyruszy lądem ze swej warowni w Beamfleot na zachód, do Mercji. Wtedy gwardia królewska Alfreda pomaszeruje, by mu się przeciwstawić. A wówczas northumbryjska flota przybije do południowych brzegów Wessexu. Obradujący przysięgli, że utrzymają ów plan w tajemnicy, choć wątpiłem, by owa obietnica warta była funta kłaków.

- Zanosi się na to, że wkrótce zostanę królem Mercji - rzekł do mnie Haesten w czasie pożegnalnej uczy, gdy zasiadaliśmy przy długich stołach, ustawionych wokół paleniska gorejącego w sercu długiej halli.

- O ile wystarczająco długo zdzierżysz napór Zachodnich Sasów - przestrzegłem, na co rozmówca machnął lekceważąco ręką, jakby opędzał się od muchy. Widząc taką jego postawę, poradziłem: - Zajmij jeden z mercyjskich burhów i niechże cię tam oblegają.

Jarl ochoczo wgrzył się w gęsią giez, aż tłuszcz pociekł mu po brodzie.

- Kto będzie przewodził Sasom?

- Najpewniej Edward, lecz z racji braku doświadczenia będzie zasięgał rad Aethelreda i Steapy.

- Wszyscy oni razem wzięci nie mogą się równać z tobą, mój przyjacielu - stwierdził i bezceremonialnie dźgnął mnie w przedramię trzymaną w prawicy kością.

- Moje dzieci są w Mercji - powiedziałem. - Zadbaj, żeby nic im się nie przydarzyło.

Wiking dosłyszał troskę w moim głosie.

- Masz na to moje słowo - rzekł z powagą. - Przysięgam, jak mi życie miłe, że dopilnuję, by wyszły z tego całe i zdrowe. - Położył dłoń na mojej ręce, jak gdyby chciał utwierdzić mnie w przekonaniu, że mogę ufać jego słowom. Po czym, wskazując głęsim gnatem Cellacha, spytał: - Czyj to dzieciak?

- Zakładnik ze Szkocji - odrzekłem.

Mały książę Alby przybył do Dunholmu tydzień wcześniej. Towarzyszyła mu nieliczna świta - dwaj wojownicy z osobistej straży, paru pacholków, którzy go karmili i ubierali, oraz garbaty ksiądz, mający udzielać dzieciakowi nauk. Serdecznie polubiłem dziarskiego malca, który prędko zżył się z miejscową dzieciarnią i jak szalony uganiał się po wałach bądź wdrapywał na okoliczne skały - zręcznie unikając wciąż poszukującego go garbusa.

- Czyli Szkoci nie będą psuć nam szyków? - domyślił się Haesten.

- Niechby któryś z tych utrapieńców poważył się zbliżyć do northumbryjskich granic na tyle, by obryzgał je swymi szczynami, a chłopiec zginie - zażartowałem.

Mój sąsiad wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

- Skoro ja mam królować w Mercji, Sigurd w Wessexie, zaś Kanut w Northumbrii, cóż tobie pozostanie?

Dolałem mu miodu i zapatrzwszy się na popisy zonglującego z płonącymi pochodniami kuglarza, odparłem:

- Zdobyte na Zachodnich Sasach srebro spożytkuję na odbicie Bebbanburga.

- Naprawdę nie pragniesz królewskiej władzy? - spytał z niedowierzaniem.

- Bebbanburg - odrzekłem - to wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. Chcę tam zabrać moje dzieci, widzieć, jak dorastają, i w spokoju dożyć swych dni.

Jarl milczał. Wyglądało na to, że nie dosłyszał moich słów. Stęzał i wpatrywał się w coś jak urzeczony. Powiódłszy wzrokiem za jego spojrzeniem, ujrzałem Skade. Siermiężna sukienka nie była w stanie przyćmić blasku jej piękna, który bił niby światło przewodnie wśród pomroki. Przypuszczam, że mógłbym wówczas skraść ciężki, złoty łańcuch oplatający szyję Haestena, a on nie byłby tego świadom. Przyglądał się jej, a ona - wyczuwając zachłanne spojrzenie - odwróciła się ku niemu. Ich oczy się spotkały.

- Bebbanburg to wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem - powtórzyłem.

- Tak. Słyszałem - mruknął opieszale, nie odrywając wzroku od wiedźmy. Ci dwoje przestali dostrzegać pozostałych biesiadników. Nie umknęło to uwadze Bridy, zasiadającej parę miejsc dalej, przy wysokim stole. Gospodyni zwróciła ku mnie swe oblicze i znacząco uniosła brew, na co odpowiedziałem wzruszeniem ramion.

Owej nocy pani na Dunholmie była bardzo rada, jako że wszystko ułożyło się po jej myśli. Przyszłość Brytanii miała potoczyć się tak, jak ona to sobie obmyśliła. Albowiem choć obrady prowadził Ragnar - mający wśród Duńczyków wielkie poważanie - to jednak do działania pobudzały go ambicje połowicy, która w pierwszym rządzie pragnęła klęski Wessexu, a potem wszystkich podstępnych krzewicieli nowej wiary. „Nie minie rok - mówiliśmy sobie - a jedynym władcą chrześcijańskim w całej Brytanii będzie Eohric ze Wschodniej Anglii. A ten, gdy tylko się spostrzeże, skąd teraz wieje wiatr, rychło zwróci się ku dawnym bogom. W rzeczy samej, nie będzie już Anglii, ale Daneland, kraj Duńczyków”. Widzieliśmy przed sobą jasną, prostą drogę. Owej radosnej nocy w wypełnionej śmiechem i muzyką harf halli nikt z bratających się przy piwie biesiadników nie dopuszczał do siebie myśli o porażce. Bo czyż rozdarta Mercja bądź osłabiony Wessex mogły oprzeć się prowadzącym nieprzeliczony las włóczni, nieustraszonym Duńczykom z północy wyspy?

Nazajutrz po hucznej uczcie zajechał do Dunholmu ojciec Pyrlig.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W nocy rozszalała się gwałtowna burza. Nagły poryw północnego wiatru omiół warowne wzgórze. Rozgwieżdżone niebo zasnuły chmury. Nastąpiła ciemność choć oko wykol, a tę wnet rozdarły rosochate błyskawice. Wichura wyrwała mnie ze snu, kiedy pierwsze ciężkie krople zabębniły o strzechę chaty, gdzie jeszcze parę miesięcy wcześniej, zlany zimnym potem, walczyłem z nekającą mnie gorączką. Z nieba lunęły potoki deszczu. Woda siekła z rozszalałego nieba istnymi kaskadami, zagłuszając grzmoty. Dźwignąłem się, narzuciłem na nagie ramiona okrycie z owczych skór i odciągnąwszy skórzaną zasłonę, stanąłem w drzwiach. Saska niewolnica, z którą dzieliłem łożę, zakwilła lękliwie. Przywołałem ją, rozchyliłem skórzane okrycie i objąłem dziewczynę ramionami. Wtuliła się we mnie i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała w pocięte widlastymi błyskami niebo. Rzekła coś, lecz jej słowa utonęły wśród wycia wichru i okrutnego huk.

Nawałnica ustąpiła równie nagle, jak nadciągnęła. Błyski poczęły oddalać się na południe. Deszcz ustawał. Rozległ się daleki grzmot, a potem zapadła cisza, jakby burza wydała ostatnie tchnienie. Woda ciurkała już tylko z okapów. Pojedyncze krople, przedostawszy się przez strzechę, z sykiem wpadały do wygasającego paleniska. Na ledwie tłących się węglach ułożyłem drewno, dorzuciłem podpałki i przyglądałem się, jak pełgające języki łączą się, przeistaczając w wyciągający się ku dymnikowi płomień. Nie osłoniłem ponownie drzwi, dzięki czemu mogłem widzieć, że w sąsiednich domostwach i dwóch długich dworach wciąż jaśnieją światła. Inni mieszkańcy Dunholmu także czuwali. Moja towarzyszka ułożyła się i opatuliła wełnianymi kocami oraz futrami, zza których łyskały ogniki jej oczu. Obserwowała, jak dobywam Oddech Węża i powłóczyстым ruchem dwukrotnie przeciągam ostrze przez płomień - pieczołowicie kąpiąc obie strony miecza w odradzającym się ogniu. Następnie przetarłem klingę owczą skórą.

- Dlaczego to czynisz, panie? - zaciekawiała się.

- Trudno powiedzieć - odrzekłem, albowiem sam tego dobrze nie wiedziałem.

Jedynym wytłumaczeniem, jakie potrafię znaleźć, jest to, że Oddech Węża, jak każdy miecz zresztą, zrodził się w ogniu. By zachować zaklętą w nim moc, co pewien czas nurzałem jego klingę w płomieniach. Z czcią zbliżyłem promieniejącą ciepłem stal do ust i ucałowałem klingę, po czym wsunąłem ją do wyściełanej runem pochwy.

- Wszystko może nas zawieść - zaważyłem - prócz własnego oręża i śmierci.

- Wystarczy pokładać ufność w Bogu, panie - odpowiedziała cicho.

Uśmiechnąłem się do niej, lecz nie rzekłem ani słowa. Zagłębiłem się w rozważaniach.

Czy niebianie pochylają się nad naszymi troskami? Być może chrześcijański bóg zyskiwał sobie tak wielu wiernych, gdyż udało mu się przekonać swych hołdowników, że darzy ich przychylnością, troszczy się o nich i chroni ode złego. Wszelako z tego, co zaobserwowałem, chrześcijańskie dzieci umierały równie często jak pogańskie. W czas pożogi, powodzi czy zarazy woda, ogień i choroby nie omijały wyznawców Jezusa. Mimo to wszem i wobec wychwalali miłosierdzie swego boga.

Z zewnątrz dobiegł odgłos pospiesznych kroków i chociaż znajdowałem się w obrębie warowni Ragnara, gdzie nie miałem się czego obawiać, bezwiednie sięgnąłem po Oddech Węża. Z dłonią na rękojeści broni oczekiwałem przybysza, szparkim krokiem sadzącego przez błoto. Po chwili zwalisty mężczyzna ukazał się w wejściu.

- Słodki Jezu Chryste! - wykrzyknął w progu. - Co za pioruński ziąb!

Opuściłem dzierżącą miecz prawicę i zapraszającym gestem wskazałem ojcu Pyrligowi miejsce przy ogniu.

- Źle sypiasz? - zapytałem, gdy przykucnął po drugiej stronie paleniska.

- Kpisz sobie? Na litość boską, kto zmrużyłby oko w taką noc? - obruszył się. - Żeby zasnąć wśród podobnej nawałnicy, trzeba by być głuchym, ślepym, niespełna rozumu i na dobitkę zdrowo się napić. Witam cię, panie, nagiego niby nowo narodzone dziecko - rzekł, dopełniając powitania, po czym ponad moim ramieniem zerknął na saską dziewczkę. Uśmiechając się szeroko, dodał: - Bądź błogosławiona, dziecino!

Dziewczyna, zląkwszy się nocnego gościa, popatrywała na mnie niespokojnie.

- To zacny człek - zapewniłem ją. - I na dodatek ksiądz - dorzuciłem, jako że Pyrlig przybiegł w samych tylko spodniach i bezrękawniku, niełatwo więc było w nim odgadnąć duchownego. Mój stary druh przybył do Dunholmu poprzedniego wieczoru i choć spotkał się z chłodnym przyjęciem ze strony Bridy, Ragnara urzekły jego barwne bitewne opowieści. A kiedy gospodarz udał się na spoczynek, duchowny był już na tyle wstawiony, że pogawędki wolałem odłożyć na później.

Zdjąłem z kołka płaszcz, założyłem i spałem pod szyją, choć wełna zawilgotniała.

- Jak ci się widzi, czy twój bóg cię kocha? - zagadnąłem gościa.

Roześmiał się w głos.

- Wielkie nieba, mój panie, cóż za pytanie! Służąc Bogu, nigdy nie widzę swej połowicy, co uważam za bezmierną łaskę, bo jakież większe szczęście może spotkać człowieka? Nadto Wszechmogący napełnia mój brzuch i wciąż dostarcza mi powodów do śmiechu! Czy mówiłem ci już o służce, która zginęła, opiwszy się mlekiem?

- Krowa usiadła jej na twarzy - dokończyłem oschle.

- Pocieszy cię chłop z tego Kanuta - podjął Pyrlig. - Będzie mi żal, kiedy go ubijesz.
- Ja? Jego? - zapytałem chyba równie zdumiony, co przysłuchująca się nam dziewczyna.
- Niewykluczone, że nie będziesz musiał - dodał równie tajemniczo.
- Nie zważaj na jego słowa - powiedziałem nałożnicy. - Bredzi.
- To dlatego, że pochodzę z Walii, moja droga - ksiądz rzekł do kobiety, po czym zwrócił się do mnie: - A może powiesz mi, panie, dlaczego porządny Walijszyk ma dbać o dobro Sasów?

- Gdyż jest wścibskim pierdołą? - odpowiedziałem. - Tylko bogom wiadomo, z czyjego tyłka wypadłeś, ale skoro już tu jesteś...

- Niezbadane są boskie wyroki. Niekiedy do wypełnienia cudownego posłannictwa Bóg wybiera dziwaków - odparł. - Gdybyś się odział, przeszlibyśmy się na wały, by przywitać wschodzące słońce.

Ojciec Pyrlig, podobnie jak biskup Asser, był Walijszym na usługach Alfreda, ale jak sam mi powiedział, nie przybył do Dunholmu z Wessexu, lecz z Mercji.

- Kiedy ostatnio bawiłem w Wintanceasterze, akurat było Boże Narodzenie - opowiadał. - Mój Boże, nieszczęsny Alfred wyglądał, jakby jedną nogą był już na tamym świecie! Wprawdzie wywinał się śmierci, lecz niewiele w nim życia.

- A co porabiałeś w Mercji?

- Węszyłem - odparł oględnie, popadając w zamyślenie. - To sprawa tej jędzy - podjął ni stąd, ni zowąd.

- Jakiej jędzy?

- Aelswith. Nie pojmuję, po jakie лихо Alfred ją poślubił. Gdyby miała dlań trochę serca, karmiłaby nieszczęśnika masłem, śmietaną i smakowitą wołowiną.

Wystarczyło spojrzeć na pękate brzuszisko księdza, by wiedzieć, że nigdy nie żałował sobie ni masła, ni śmietany. Jego krągłe oblicze, na którym często pokazywał się zaraźliwy uśmiech, okalała wiecznie skołtuniona czupryna. Postawny, barczysty duchowny należał do ludzi przepelnionych radością życia, co - o dziwo - nie kłóciło się z jego religią, bo choć głęboko wierzył w swego boga, odnosiło się wrażenie, że traktuje go z lekkim pobłażaniem.

Zawiodłem mego serdecznego przyjaciela na czatownię i stojąc nad południową bramą, wsparty o palisadę, opowiadałem mu, jak wspólnie z Ragnarem zdobywaliśmy Dunholm. Pyrlig - zanim przywdział szaty kleryka - był wojownikiem, toteż z żywym zainteresowaniem przysłuchiwał się, gdy prawilem, jak o bladym świcie wraz z nieliczną drużyną wślizgnąłem się do warowni przez zachodnią, studzienną furtę i jakim sposobem zachowaliśmy życie, by w końcu wywalczyć sobie przystęp do bramy. Ze zrozumieniem kiwał głową, gdy opisywałem,

co stało się potem, kiedy Ragnar i jego niosący płonące żagwie drużynicy, ujrawszy otwierające się przed nimi wrota, wtargnęli na dziedziniec, gdzie po zażartej walce pozostały truchła Kjartana i kroci zaprzysiężonych mu wojowników.

- Ach - sapnął, gdy umilkłem, dokończywszy opowieść - aż żal, że nie mogłem tego widzieć na własne oczy. Bo z tego, co prawisz, widzę, że ominęła mnie nie lada batalia!

- Tak. Ale mów wreszcie, co cię sprowadza? - odparłem.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Chciałem pogawędzić z dawno niewidzianym przyjacielem. Czyżby cię to dziwiło?

- Przybywasz z polecenia Alfreda - rzuciłem, odwzajemniając się cierpkim grymasem.

- Przecież powiadam, że przybywam z Mercji, nie z Wessexu - powtórzył z uporem i zapytał, wpatrując się w jaśniejący z wolna widnokrąg: - Pamiętasz noc, gdy gotowaliśmy się do ataku na Londyn?

- Świetnie pamiętam - przytaknąłem. - Wyszedłeś mi na spotkanie i powiedziałaś, że masz na sobie modlitewne szaty, choć odziany byłeś w zbroję, a u pasa dyndały ci dwa miecze.

- Czas przed bitwą to chyba najstosowniejsza chwila, by oddać się modlitwie - odrzekł. - A tamta, mój przyjacielu, na zawsze pozostanie w mej pamięci.

- Zaiste, była to walka, jakich mało - przyznałem.

- A zanim rozgorzała, panie - dopowiedział Pyrlig - uczyniłeś śluby.

Po tych słowach gniew wezbrał we mnie równie gwałtownie, co wody burzącej się po deszczu rzeki.

- Niech diabli wezmą Alfreda wraz ze wszystkimi parszywymi przysięgami! - warknąłem.

- I niechże zaciągną go do piekła. Spędziłem w jego służbie najlepsze lata życia! Bękart nie siedziałby dziś na tronie, gdybym go dla niego nie wywalczył! A gdybym nie osłaniał Wessexu swoim mieczem, królowałby tam teraz Harald Krwawowłosa, zaś Alfred dawno już gniłby w grobie. A on czym mi się odwdzieczył? Prawda, kilkakroć zdobył się na parę łaskawszych słów, które wypowiadał, jakby głaskał po głowie posłusznego psiaka. Na koniec, nie dość, że przyzwolił, by jakiś pomyłony zasraniec w mnisim habicie haniebnie uwłaczał Giseli, to - po tym, jak ubiłem gnoja - przykazał, bym się płaszczył, dopraszając się jego parszywego wybaczenia. Prawda - ponownie warknąłem, mierząc Walijczyka wyzywającym spojrzeniem - składałem śluby. A potem je zламаłem. I choćby miało to na mnie ściągnąć gniew bogów, powtórzę raz jeszcze: mam gdzieś życzenia Alfreda. Ani się tym przejmę, jeśli łajdak szejnie w piekielnej otchłani.

- Wątpię, by z was dwóch właśnie on tam trafił - ze spokojem odrzekł zażywny ksiądz.

- Jeśli wyobrażasz sobie, że chciałbym znaleźć się w waszym niebie, grubo się mylisz -

sarknąłem. - Wśród czerechy księży, mnichów i zasuszonych zakonnic? Wolałbym już grzać się przy piekielnym ogniu. Nie, ojczy, ani mi się śni oglądać Alfreda. Możesz wsiadać na koń i wracać do niego, a kiedy go ujrzysz, przekaż ode mnie, że wymawiam mu posłuszeństwo. Zrywam przysięgi, nie mam względem niego żadnych powinności i sikam na lojalność! Popierdujący kapustą, niewdzięczny, kosooki bękart!

- Znasz go lepiej ode mnie - niefrasobliwe stwierdził duchowny.

- Niech weźmie sobie to swoje ślubowanie i podetrze nim parchaty tyłek. Taką zanieś mu odpowiedź.

Dosłyszawszy podniesione głosy na dziedzińcu, odwróciłem się, lecz okazało się, że należały do strofujących krnąbrnego ogiera stajennych. Jeden z goszczących w Dunholmie panów najwyraźniej szykował się, by ruszyć w drogę z samego rana. Grupa jeźdźców w zbrojach i hełmach oczekiwała na niego w siodłach, a stajenni trzymali parkę osiodłanych wierzchowców. Dwóch ludzi ze straży Ragnara wbiegło pod łuk bramny i rozległ się szcęk unoszonej sztaby.

- Nie jestem tu z woli Alfreda - nie wiem który raz powtórzył Pyrlig.

- Czyżbyś mi wmawiał, że z własnej woli wyprawiałeś się na zimną północ, by przypomnieć mi o składanych niegdyś przysięgach? Jeśli tak, trudziłeś się na darmo.

- Biada temu, kto łamie dane słowo, bowiem...

- Wiem, wiem! - odburknąłem rozsierdzony.

- A jednak ludzie wciąż składają śluby i bywa, że je łamią - ciągnął niezrażony ze wzrokiem zwróconym na południe, gdzie nad linią wzgórz mieniła się poranna zorza. - Toteż obwarowujemy przysięgi surowymi zwyczajami i srogim prawem, bowiem wiadomo nam, jak często nie są dotrzymywane. Alfred, jak sądzę, pogodził się już z myślą, że nigdy więcej nie stanesz na czele jego armii, choć uczynił to nie bez żalu, albowiem - jeśli Wessex znajdzie się w potrzebie - brakować mu będzie najostrzejszego miecza. Wszelako nie przychodzę do ciebie z poruczenia władcy. Stary król w głębi duszy cieszy się z twego odejścia, pragnie bowiem widzieć w swym kraju jedynie bogobojny lud, zaś twoje pogańskie zachowanie było cierniem raniącym owe ambicje.

- Będzie potrzebował takich ostrych cierni, jeśli Duńczycy powrócą do Wessexu - zauważyłem.

- Władca Zachodnich Sasów pokłada wiarę w Bogu, erlu Uhtredzie. Ma nadzieję, że Pan nie opuści go w potrzebie - odrzekł Walijczyk.

Parsknąłem śmiechem. „Niechże zdaje się na łaskę chrześcijańskiego boga, bo hordy northumbryjskich Duńczyków wylądują latem na brzegach Wessexu” - pomyślałem, a głośno

zapytałem:

- Skoro Alfred nie życzy sobie mnie widzieć, po cóż przybyłeś?

- By przywołać śluby, które poczyniłeś w wigilię bitwy o Londyn - odpowiedział. - Gdyż wyprawiłem się tu na prośbę osoby, której naówczas przysięgałeś.

Wpatrując się w starego przyjaciela, usłyszałem w głowie śmiech Norn, trzech Prządek o niestrudzonych dłoniach, którymi z niezmordowaną cierpliwością splatają nici naszych żywotów.

- Nie - jęknąłem.

- To ona mnie przysyła.

- Nie może być - powtarzałem z cicha.

- Przez moje usta zwraca się do ciebie o wspomnienie.

- Nie! - zaprotestowałem, gdyż obudził się we mnie żywy sprzeciw.

- Prosiła też, bym ożywił w twojej pamięci złożone jej ślubowanie, że będziesz służył jej swym mieczem.

Zacisnąłem powieki. Słowa Pyrliga były prawdą. Najczystsza prawdą. Czyżbym puścił w niepamięć przysięgę, którą złożyłem owej nocy u brzegów Tamizy? „Nie” - odpowiedziałem sobie, gdyż nigdy nie uznałem jej za niebyłą. Jakkolwiek składając ją, nie sądziłem, że kiedykolwiek stanie mi na zawadzie.

- Nie, nie... - powtarzałem, nie mogąc pogodzić ścierających się w mej głowie myśli.

- Wszyscy grzeszymy, panie - łagodnie przemówił Pyrlig - lecz nawet swarliwi z natury ojcowie Kościoła zgadzają się co do tego, że niegodziwe występki nie są sobie równe. Przysięga, którą złożyłeś Alfredowi, nakładała na ciebie poważne obowiązki. A skoro się z nich wywiązywałeś, mogłeś się spodziewać od króla słów wdzięczności oraz nadań ziemskich i srebra. I choć pozwolę sobie zauważyć, że wypowiadając mu posłuszeństwo, postąpiłeś niesłusznie, pojmuję, że skłoniło cię do tego niedbalstwo, z jakim Alfred odnosił się do ciężących na nim powinności względem ciebie. Lecz śluby złożone niewieście, w imię miłości, to zgoła co innego. Tych niepodobna złamać, nie uśmiercając przy tym własnej duszy.

- W imię miłości? - spytałem tonem wyzwania.

- Wiem dobrze, że kochałeś Giselę i nigdy nie złamałeś danych jej ślubów. Miłujesz jednak niewiastę, która mnie do ciebie wyprawiła. Kochasz ją, odkąd pamiętam. Masz to wypisane na twarzy, tak samo jak ona. I nawet jeśli sam tego nie dostrzegasz, dla innych to jasne jak słońce.

- Nie - rzekłem krótko.

- Owa niewiasta jest w wielkiej potrzebie - dodał jeszcze.

- W potrzebie? - zapytałem chmurnie.
- Jej małżonek do szczętu stracił rozum.
- Czyżby dotknął go obłąd?
- Kto wie? Tego zwykle nie widać na pierwszy rzut oka.

Z dołu dobiegło skrzypienie zawiasów ciężkich wrót.

Ragnar ukazał się w drzwiach dworu, bosy, w samym tylko płaszczu, i gromkim głosem pożegnał grupę jeźdźców. Ci z podzwaniem kopyt wjechali pod łuk dunholmskiej bramy, by zaraz wyłonić się po jej drugiej stronie na stromej, wyłożonej kamieniami drodze, biegnącej do położonej poniżej osady służebnej. Jeden z odjeżdżających odwrócił się, a wówczas rozpoznałem w nim Haestena. Pozdrowił mnie uniesieniem ręki. Odwzajemniając gest, także uniosłem dłoń i tak znieruchomiałem, gdyż jadąca obok niego kobieta zwinnie okręciła się w siodle, wykrzywając twarz w okrutnym grymasie. Skądę najwyraźniej dostrzegła moje zdumienie, gdyż roześmiała się w głos i uderzywszy konia piętami, przynagliła go do dzikiego pędu.

- Oto szykują się kłopoty - rzekłem do ojca Pyrliga. - I to większe, niż możesz sobie wyobrazić.

- Masz na myśli to, że jarl wkrótce najedzie Mercję? - zapytał.

Nie potwierdziłem, choć wiedziałem, że zamiary Haestena nie utrzymają się zbyt długo w tajemnicy.

- Raczej to, że u jego boku jedzie pewna kobieta - odparłem.

- Ród niewieści zasiał na ziemi grzech - rzekł ksiądz - i wciąż podsycy ogień pod kotłem nieprawości. Ale czymże byłby świat bez kobiet? Potrafisz go sobie wyobrazić?

- Powiadasz więc, że Aethelflaed mnie przyzywa?

- Tak. Posłała mnie, bym cię sprowadził. Nadto prosiła, bym ci powtórzył, że jeśli nie zdołasz dotrzymać ślubów, zwalnia cię z nich.

- Czyli nie muszę.

- Nie musisz.

- Ale przysiągłem wspomagać ją w potrzebie.

- Na moich oczach.

I tak oto, gdy już wyrwałem się z jarzma nałożonego mi przez Alfreda, gdy ledwie zacząłem się cieszyć odzyskaną swobodą, przyzywała mnie córka władcy Wessexu. A jak słusznie zaważył ojciec Pyrlig, biada temu, kto łamie śluby składane w imię miłości.

Całą zimę czułem się niczym zagubiony we mgle sternik, który pozwolił, by wiatr i pływy powodowały jego okrętem, niosąc go gdzie bądź, wedle swych kaprysów. I nagle wśród

mgliste zawiesiny boginie przeznaczenia ukazały mi gwiazdę przewodnią. Choć nie była to gwiazda, za którą wypatrywałem oczy, pozwalała mi obrać kurs.

Rzeczywiście, złożyłem Aethelflaed ślub pomocy. Każda bez wyjątku przysięga, jaka wiązała mnie z Alfredem, została na mnie wymuszona przemocą, podobnie zresztą jak ta, którą złożyłem jego córce. Dałem słowo służyć jej, gdyż w przeciwnym razie żona eldormana Mercji nie użyczyłaby mi swych ludzi, których bezwzględnie potrzebowałem, by dokonać śmiałego, niemalże straceńczego ataku na Londyn. Pamiętam gorączkę, jaką przepełniło mnie jej - jak mi się wówczas zdawało - wygórowane żądanie, a jednak ukląknęłam i dopełniłam ślubowania.

Znałem Aethelflaed od dzieciństwa. Była jedyną latoroślą Alfreda posiadającą żywe usposobienie, toteż z bólem przyglądałem się, jak skora do psot i pełna wigoru skra o perlistym śmiechu, cierpi w małżeństwie z Aethelredem. Później, poznawszy ją bliżej, już jako przyjaciółkę Giseli, szczerze pokochałem córkę władcy. Rzecz jasna, nie w sposób, w jaki miłowałem moją oblubienicę, lecz jako pełne radości i bystre dziewczę, którego dusza kuli się za sprawą okrucieństwa powodujących jej życiem mężczyzn. Przeto służyłem jej i ilekroć potrzebowała wsparcia, stawałem w jej obronie. Nic więc dziwnego, że będąc teraz w opresji, zwracała się właśnie do mnie, niemniej wahałem się, czy odpowiedzieć na wezwanie. By odpędzić troski, rzuciłem się w wir zajęć. Przez parę dni uganiałem się po lasach za zwierzyną bądź ćwiczyłem się w robieniu bronią. Finan, z którym zwykłem zaprawiać się do walki na miecze, przerwał nagle pojedynek i zapytał, czy usiłuję go zabić.

- Wybacz, przyjacielu - odrzekłem ze skrucą.

- Ten walijski ksiądz nie daje ci spokoju? - zgadywał.

- Nie dają mi spokoju znaki przeznaczenia.

- A dokąd tym razem los nas zawiedzie, panie?

- Na południe - odparłem. - Na południe - powtórzyłem głucho, bowiem na sam dźwięk tego słowa opadała mnie złość. Wychowałem się na północy, w mej ojczystej Northumbrii, i teraz wróciłem tutaj, a jednak Prządki kazały mi podążać na południe.

- Do Alfreda? - z niedowierzaniem dopytywał się Irlandczyk.

- Nie. Do Aethelflaed - dopiero wyrzekłszy jej imię, poczułem, że nie mogę dłużej zwlekać.

Od razu, czyli w tydzień po odjeździe Haestena, wybrałem się do Ragnara, lecz nie powiedziałem mu całej prawdy, obawiając się, że zarzuci mi wiarołomstwo.

- Spieszę, by zadbać o życie dzieci - oznajmiłem.

- Haesten z pewnością nie wyrządzi im krzywdy - przybrany brat starał się uspokoić moje

obawy.

- Za to Skade nie odmówi sobie tej satysfakcji - odparłem.

Jarl, namyśliwszy się, smętnie pokiwał głową.

- Ani chybi.

- Albo zniewoli je, by móc się nad nimi dłużej pastwić - wywodziłem z niekłamaną troską.

- Kto wie, do czego nienawiść pchnie tę okrutnicę.

- Tedy trzeba ci jechać - rzekł po prostu.

Jeszcze tego samego dnia opuściłem Dunholm, a wraz ze mną pociągnęli wojownicy, którzy przysięgali mi służbę. Ragnar, widząc, że druzynnicy zabierają ze sobą rodziny, powziął podejrzenia, że wybywam na dobre. Mleczny brat przyglądał się spode łba, jak moi ludzie przymocowują zbroje i broń do grzbietów jucznych koni. Od czasu do czasu popatrywał także na mnie pytającym, pełnym urazy wzrokiem.

- Wybierasz się do Wessexu? - chciał wiedzieć.

- Moja noga tam nie postanie - zapewniłem.

- A dokąd? - wtrąciła ze złością Brida, która знаła mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, kiedy mówię prawdę.

- Odnaleźć dzieci - odrzekłem wymijająco.

- A kiedy je odnajdziesz, przywieziesz tutaj? - zapytał z nadzieją mój serdeczny przyjaciel.

- Jest jeszcze coś - zacząłem tłumaczyć, uchylając się od jednoznacznej odpowiedzi. - Przyjaciółka, która sprawuje opiekę nad moimi pociechami, jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Żona jarla przejrzała moje wybiegi.

- Córnka Alfreda - stwierdziła z pogardą.

- Tak.

- Mercyjska pani pałająca nienawiścią do Duńczyków?

- Zwróciła się do mnie z błaganiem o pomoc - tłumaczyłem Ragnarowi. - Nie potrafiłbym opuścić jej w potrzebie.

- Kiedyś zgubi cię słabość do kobiet - warknęła Brida. - Czyżbyś już zapomniał o obietnicy danej Ragnarowi, że pozeglujesz z nim na południe?

- Nie obiecywałem nic podobnego - odparłem burkliwie.

- Przecież niewiele zdołałamy bez twego wsparcia! - zaklinał mnie brat.

- Mimo że nie mam nawet jednej pełnej załogi?

- Jeśli nie przyłożysz ręki do zguby Wessexu - napomniała mnie przyjaciółka - nie będzie cię przy podziale łupów. A bez zdobycznego srebra, Uhtredzie, nigdy nie ziszczą się twe

marzenia o odbiciu Bebbanburga.

- Najpierw muszę zadbać o dzieci - stwierdziłem z uporem, choć jasno zdawałem sobie sprawę, że oboje wiedzą, iż moja wymówka stanowi co najwyżej półprawdę.

- Odkąd tylko pamiętam, choć bratałeś się z Duńczykami, ostatecznie stawałeś po stronie Sasów - rzuciła Brida, a jej głos przepojony był szyderstwem. - Cóż z tego, że chciałbyś być jednym z nas, skoro brakuje ci po temu odwagi?

- Być może masz rację - przyznałem.

- Powinniśmy cię zabić, tu i teraz - rzekła twardo i wiedziałem, że nie żartuje.

Ragnar położył rękę na ramieniu połowicy, aby powściągnąć jej gniew, po czym zbliżył się do mnie i uściskał.

- Jesteś mi bratem - rzekł, choć równie dobrze jak ja rozumiał, że wracam na saską ziemię i zawsze już będziemy walczyć w przeciwnych obozach. Mogłem mu przyrzec tylko to, że nigdy nie podniosę miecza na niego ani kogokolwiek z jego ludzi.

- A nie zdradzisz naszych planów Alfredowi? - chciała wiedzieć Brida. O ile Ragnar potrafił darować mi odstępstwo, po bezwzględnej pani na Dunholmie nie mogłem się spodziewać wybaczenia.

- Nie cierpię Alfreda - odrzekłem - i z głębi serca życzę wam, byście przywieźli jego królestwo do upadku.

Oto opisałem wydarzenia, które po dziś dzień wspominam z gorzkim żalem, bowiem było to nadzwyczaj bolesne rozstanie. W dawnej przyjaciółce obudziło ono przemożną nienawiść, mojego brata wprowadziło w ponury nastrój, zaś ja czułem się jak tchórz, albowiem zasłaniając się dobrem potomków, sprawiłem srogi zawód przyjaciołom. Pan Dunholmu gościł mnie i moich ludzi przez całą zimę, niczego nam nie szczędząc, a ja go teraz odstępowałem. Przez długie zimowe miesiące żyliśmy obaj jak bracia w stronach, które obaj kochaliśmy. Jarl był z tego powodu szczęśliwy. I choć z niechęcią myślał o czekającej go wyprawie do Wessexu, pocieszał się tym, że będziemy ramię w ramię walczyć z Zachodnimi Sasami, tak jak uradziliśmy. Tymczasem ja odwróciłem się od niego, a jednak pozwolił mi odjechać. Gdyby nie jego wstawiennictwo, Brida kazałaby odebrać mi życie. Odjeżdżałem w bezchmurny wiosenny dzień. Ruszałem przed siebie, nadając memu życiu nowy kierunek. *Wyrð bid ful arced.*

Prowadziłem ludzi na południe, długie godziny nie będąc w stanie odezwać się choćby słowem. Ojciec Pyrlig, wyczuwając, że nie jestem usposobiony do rozmów, także milczał, póki sam nie przerwałem posępnej ciszy.

- Powiadasz, że mój krewniak postradał zmysły? - zwróciłem się do jadącego nieco z tyłu

księdza.

- I tak, i nie - odpowiedział.

- Jestem ci wdzięczny, że wyrażasz się tak jasno - rzuciłem.

Walijczyk zrównał konia z moim, przymrużył zwrócone ku słońcu oczy i lekko się uśmiechnął.

- Widzisz, nie dotknął go obłąd tej samej natury, co nieszczęsnego Guthreda - odezwał się po namyśle. - Twój kuzyn, o ile mi wiadomo, nie ma cudownych widzeń, podczas których rozprawia z aniołami. Nie rzuca się też na polepę, by gryźć maty z sitowia. Opętała go odmienna wizja, o wiele bardziej przyziemna. Krótko mówiąc, Aethelred chorobliwie pragnie korony. Dręczą go słuszne obawy, że w przeciwnym razie po jego śmierci, Mercja zostanie wchłonięta przez Wessex. Tego wszak życzy sobie Alfred, a twój krewniak wie, że życzenia potężnego teścia przeważnie się spełniają.

- A jaki to ma związek z wezwaniem, które wysłała mi Aethelflaed?

- Aethelred żywi zapiekłą nienawiść do swej małżonki - duchowny ściszył głos do szeptu, aby jego słowa nie doszły uszu Finana i Sithrica, jadących w niewielkiej odległości za nami. Widziałem, jak pasterski pies, przynaglony przenikliwym gwizdem swego pana, którego sylwetkę dostrzegłem na dalekim wzgórzu, przegonił zagradzające nam drogę stado owiec. Mój towarzysz westchnął. - Sam widok Aethelflaed - podjął - przywodzi mu na myśl narzucone przez Alfreda pęta. Pragnienie królewskiej władzy rozsadza pierś eldormana Mercji, niemniej więzy zawisłości duszą tę dążność w zarodku.

- Czyżby Alfred chciał przyjąć tytuł króla Mercji? - podpytywałem.

- Marzeniem Alfreda było panowanie w całej Anglii. Wie, że już nie uda mu się przed śmiercią przydać swej koronie tak wielkiego znaczenia, pragnie więc, by królem zjednoczonej Anglii tytułowano jego syna. Toteż nie pozwoli, by za jego życia jakikolwiek inny Sas czy Angl dostąpił zaszczytu koronacji. W jego mniemaniu król jest pomazańcem bożym, czyli uświęconym przez Boga wybrańcem. Tym samym każdy śmiałek pretendujący do takiego tytułu, a nie pochodzący z rodu Alfreda, popełnia według władcy świętokradztwo.

- I takie myślenie nie podoba się memu ambitnemu kuzynowi?

- Właśnie. Najgorsze jednak, że rozżalony Mercjanin wyładowuje swą złość na Bogu ducha winnej małżonce.

- Jakże to?

- Zamyśla zerwać wiążące go z nią małżeńskie śluby - wyłuszczył ksiądz.

- Alfred w życiu by na to nie przystał - stwierdziłem z lekceważeniem.

- Alfred leży już na łożu śmierci. Lada dzień może pożegnać się z tym światem.

- Aby zerwać śluby - rozważałem na głos - musiałyby najpierw... - urwałem, nie dokończywszy myśli. Podczas naszego ostatniego spotkania Aethelflaed wspominała mi o niehonorowych matactwach żadnego zaszczytów małżonka. Jednakże jej opowieść wydała mi się wówczas tak dalece nieprawdopodobna, że nie w pełni dałem jej wiarę. - Nie. Nie zdobyłby się na podobną podłość!

- Otóż trzeba ci wiedzieć, że ten drań próbował już wprowadzić swój niecny plan w życie, ledwie doszła go wieść o rychłym zgonie Alfreda - Pyrlig rozwiał moje wątpliwości. - Na szczęście Aethelflaed zawczasu dowiedziała się o wszystkim i schroniła się do żeńskiego klasztoru w Lecelad.

- Na granicy z Wessexem?

Mój rozmówca potaknął.

- Co w razie napaści ludzi męża na tę tymczasową siedzibę, a należy się spodziewać ataku, daje jej szansę ucieczki pod ojcowskie skrzydła.

Zakląłem pod nosem.

- Aldhelm? - domyśliłem się.

- Znany ci pan Aldhelm - przytaknął ponuro.

- Czy to możliwe, że ten kiep wziął się, by wepchnąć swą małżonkę do łóża Aldhelma? - czułem, jak mój głos wzbiera wzburzeniem.

- Eldorman Aethelred znajduje w tym sobie tylko wiadomą przyjemność - cierpko odparł duchowny. - A pan Aldhelm z pewnością nie mniejszą. Jeśli ich plan by się powiódł, Aethelred mógłby przedstawić Kościołowi świadectwo cudzołóstwa, zerwać śluby małżeńskie, a rzekomą zdrajczynię skazać na żywot mniszki. Co najważniejsze, eldorman Mercji mógłby wówczas wziąć sobie nową żonę, spłodzić następcę, a po śmierci Alfreda obwołać się królem.

- Kto zatem broni Aethelflaed? - zapytałem. - I kto strzeże moich dzieci?

- Zakonnice.

- Nie ma mężczyzny, który chroniłby ją przed zakusami własnego męża?

- Rozdawcą złota⁴⁶ jest jej małżonek, nie ona - odpowiedział rzeczowo. - Co prawda ludzie miłują ją z głębi duszy, lecz nieboga nie ma prywatnego majątku, który pozwalałby jej wynagrodzić wierną służbę stronników.

- Teraz już ma - rzekłem stanowczo i kolnąłem ostrogami dopiero co nabytego w Dunholmie wierzchowca. Ma kiesa niemal opustoszała, gdy zakupiłem z górą siedemdziesiąt koni, bez których nie mógłbym powieść mych ludzi na południe. Srebro, które mi pozostało, mieściło się w dwóch przytroczonych do mego siodła sakwach. Miałem jednak Oddech Węża

i Żądło Osy, a przede wszystkim - odkąd trzy Prządki ukazały mi nową gwiazdę przewodnią - także jasno określony cel. Uratować Aethelflaed.

Lecelad tworzyły luźno rozrzucone na północnym brzegu Tamizy chałupy. Osada wzięła nazwę od strugi Lec, leniwie snującej swe wody przez tamtejsze bagniste okolice. U ujścia strumienia do Tamizy stał młyn wodny, obok zaś drewniany pomost, gdzie przycumowano kilka łódek o zalanych wodą dnach. Przy wschodnim krańcu grząskiej drogi - w większej części zmienionej w rozlewisko brunatnych kałuż - ciemniała sylweta klasztoru. Otaczający go lichej ostrokół z poczerniałych bali służyć miał raczej - a przynajmniej ja tak pomyślałem - powstrzymaniu zakonnic przed ucieczką niż obronie przed najeźdźcami. Nad niewysoką palisadą górował ponury, surowy kościół o drewnianym szkielecie i ścianach zrobionych z plecionki łożowych witek, obrzuconej gliną. Szczyt przysadzistej dzwonnicy ginął w sunących z zachodu, nisko wiszących nad ziemią chmurach, z których nieprzerwanie sączył się deszcz. Na przeciwległym brzegu Tamizy dostrzegłem solidny pomost, a na górującej nad nim skarpie - grupę chroniących się pod prowizorycznym zadaszeniem mężczyzn w połyskliwych zbrojach. Ich włócznie stały oparte o pień wierzby. Zbliżyłem się do wody i złożywszy dłonie wokół ust, zawołałem:

- Kto jest waszym panem?

- Pan Aethelnoth! - odkrzyknęli. Tamci nie mogli mnie rozpoznać, jako że szczelnie otulał mnie gruby płaszcz, a jasne włosy okryłem kapturem.

- A po cóż tam tak sterczycie? - zakrzyknąłem, lecz mój rozmówca wzruszył tylko ramionami, najwyraźniej nie pojmując, o co pytam.

Południowy brzeg Tamizy należał do Zachodnich Sasów, co było powodem, dla którego Aethelflaed obrała Lecelad na schronienie. Jeśli zostałaby zmuszona do nagłej ucieczki, musiałaby tylko przekroczyć rzekę, aby znaleźć się na ziemiach ojca. Nie uczyniła tego do tej pory tylko dlatego, że jej rodziciel, uważający małżeństwo za święty sakrament, mógłby nie przyjąć pod swój dach zbiegłej od męża połowicy. Lękałby się, że wieść o tym rozeszłaby się wśród poddanych.

Stacjonujący na drugim brzegu drużynicy eldormana Aethelnotha z Sumorsaete mieli baczenie na klasztor - pewnie po to, aby zawiadomić króla, gdyby na mercyjskim brzegu zaszło coś godnego uwagi. „No to przysporzę im zajęć” - pomyślałem.

- Kim jesteś, panie? - dobiegło mnie pytanie z drugiego brzegu. Krzyczący nie wiedział, z kim rozmawia, lecz dostrzegł, że prowadzę całkiem liczną drużynę, a może nawet dojrzał wśród szarugi złocisty poblask spinającej mój płaszcz masywnej broszy.

Zlekceważywszy pytanie, odwróciłem się do Finana. Irlandczyk uśmiechał się do mnie

szeroko z wysokości końskiego grzbietu.

- Wszystkiego trzydzieści mieczy, panie - rzekł, jako że posłałem go do wsi, by zorientował się, ilu wojowników trzyma straż u klasztornych wrót.

- Tylko tyle? - upewniłem się.

- Ponoć liczniejsza drużyna obozuje w sąsiedniej wsi, leżącej na północ stąd - uzupełnił.

- Kto dowodzi tymi trzydziestoma?

- Jakiś niewydarzony bękart, który na nasz widok o mało nie zrobił w portki.

Należało przypuszczać, że owych trzydziestu ludzi stało w Lecelad na rozkaz pana Mercji, który chciał mieć pewność, że jego małżonka nie wymknie się z ponurego opactwa.

Podciągnąłem się na śliskie od deszczu siodło. Wsunąłem ubłocone buty w strzemiona.

- Najwyższy czas zająć się tym gniazdem os! - zawołałem.

Poprowadziłem mych ludzi na wschód, mijając chaty, kopce obornika i ryjące w błocie świnie. Niektórzy wieśniacy stawali w otwartych drzwiach i przyglądali się nam ciekawie, zaś na krańcu drogi, przy okalającej klasztor palisadzie, stała gromada wojowników w skórzanych bezrękawnikach i pordzewiałych hełmach. Obszarpańcy ci, nawet jeśli dostali rozkaz zatrzymywania wszystkich zdążających do klasztoru obcych, nie palili się do czynu. Kiedy się zbliżyliśmy, w ponurym milczeniu usunęli się na bok, dając nam przejście. Udałem, że ich nie dostrzegam, a oni nie czynili nam żadnych wstrętów, nie spytali nawet, kim jesteśmy.

Wymierzyłem tęgiego kopniaka w bramę, po którym połała się zgromadzona na górnej krawędzi wrót deszczówka. Mój ogier zarżał cicho. Kopnąłem raz jeszcze. Mercyjscy wojownicy przyglądali mi się beczynnie. Zauważyłem, że jeden z nich zniknął między domami, ani chybi w celu sprowadzenia posiłków.

- Przyjdzie nam zmierzyć się z kimś, zanim ten dzień dobiegnie końca - zapowiedziałem Finanowi.

- To i dobrze - odrzekł posępnie. - Dawno nie stawaliśmy do walki.

Coś zachrobotać, pośrodku wrót odsunięto zastawkę i otworzono wąskie okienko, w którym ukazała się zakapturzona kobieca twarz.

- Czego chcecie? - zapytała mniszka.

- Schronić się przed deszczem - odparłem.

- Wieśniacy przyjmą was pod swe dachy - stwierdziła i chciała zamknąć okienko, ale zorientowała się, że przeszkadza jej w tym mój but.

- Otwórz wierzeje - rzekłem - jeśli nie chcesz, byśmy porąbali je w drzazgi.

- Jesteśmy przyjaciółmi pani Aethelflaed - ozwał się z za mych pleców ojciec Pyrlig.

- Czy to ty, ojcze? - kobiecina zapytała przyjaźniejszym już głosem.

- We własnej osobie, siostrze.

- Czyżby dobre obyczaje całkiem zaniknęły już na bożym świecie? - poczęła marudzić.

- Daruj mu, siostrze - łagodnie rzekł ksiądz. - Taka już jego wojownicza natura.

- Zabieraj nogę - zakonnica zażądała ze złością, a kiedy to uczyniłem, zamknęła okienko.

Dobiegły nas odgłosy zdejmowania sztaby, po czym wrota rozwarły się z potępieńczym skrzypieniem.

Ześlizgnałem się z siodła.

- Czekajcie - nakazałem moim ludziom i wszedłem na dziedziniec opactwa. Od południa zamykał go przysadzisty kościół, zaś pozostałe trzy boki były szczelnie obudowane niskimi drewnianymi chatynkami krytymi strzechą. Domyśliłem się, że właśnie tam mniszki przedły, jadły i spały.

Zakonnica, lekko skłaniając głowę, przedstawiła się jako ksieni Werburga.

- Zatem jesteś przyjacielem pani Aethelflaed? - zapytała, mierząc mnie spojrzeniem. Choć miała już swoje lata i była tak niska, że jej oczy znajdowały się na wysokości mego pasa, spoglądała wyzywająco.

- I to życzliwym.

Drgnęła, dojrawszy wiszący na mej szyi amulet Thora, i skrzywiła się na znak przygany.

- A twoje imię jak brzmi? - zapytała, lecz nim zdążyłem odpowiedzieć, rozległ się pisk, bowiem z jednej z chatynek wybiegło dziecko i dzikim pędem puściło się przez błotniste kałuże.

Stiorra, ukochana córeczka, dopadła mnie w wielkich susach i skoczyła, oplatając rączkami moją szyję, a nogi zarzucając mi na plecy. Szczęśliwie się złożyło, że z nieba lał się deszcz, gdyż nie musiałem kryć przed ksienią ciekących mi po policzkach, gorących łez.

- Wiedziałam, że przyjedziesz - z żarem wyrzekła moja kruszyna. - Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam...

- Eldorman Uhtred? - domyśliła się przeorysza.

- Tak.

- Bogu niech będą dzięki - rzekła.

Stiorra paplała jak najęta, opowiadając o wszystkim, co przeżyła, podczas gdy Osbert, moja najmłodsza pociecha, przybiegł zaraz za nią, objął moją nogę i począł się po niej wdrapywać. Nie pokazał się jedynie Uhtred, mój pierworodny. Wziąłem Osberta na rękę i krzyknąłem do Finana, by wprowadził do środka drużynę.

- Nie wiem, na jak długo się tu zatrzymamy, ale nasze konie potrzebują suchej stajni i obroku - zwróciłem się do ksieni Werburgi.

- Toż to nie gospoda - obruszyła się.

- Nie wyjedziesz już bez nas, prawda? - Stiorra tarosiła mnie za włosy, natarczywie domagając się odpowiedzi.

- Pewnie, że nie - odrzekłem. - Nie, nie i jeszcze raz nie.

Przestałem się z nią przekomarzać, gdy zobaczyłem wyłaniającą się z sieni Aethelflaed. I choć opatulona była w kapotę z ciemnej zgrzebnej wełny, a na głowę miała zarzucony kaptur, jej oblicze jaśniało, rozświetlając szary dzień.

Na ten widok przypomniałem sobie, co Iseult przepowiedziała mi przed laty, kiedy Aethelflaed była jeszcze dziewczęciem nie większym od Stiorry. Wieszczba owa wydawała mi się wówczas nieziszczalna, jako że Wessex - w którym aż roiło się od Duńczyków - stał na granicy upadku, zaś jego władca ukrywał się przed najeźdźcami wśród niedostępnych bagien. Tymczasem przeurocza, dzika Iseult wywróżyła, że u boku Alfreda stanę się potężnym panem mieczy, a moja kobieta będzie istotą ze złota.

I kiedy tak bez słowa wpatrywałem się w odwzajemniającą moje wejrzenie Aethelflaed, zyskałem pewność, że dochowam obietnicy, którą poczyniłem córeczce i jej nie opuszczę.

Postawiłem dzieci na ziemi, przestrzegłem, by trzymały się z dala od końskich kopyt i przemierzyłem usiany kałużami dziedziniec, nie bacząc na wyłaniające się zewsząd zaciekawione naszym przybyciem mniszki. Zamierzałem się pokłonić, wszak Aethelflaed była królewską córką i żoną władcy Mercji, lecz ujrawszy jej przepełnione radosnym wzruszeniem lico, zapomniałem o układowości. Wyciągnąłem ku niej ramiona, a ona podeszła i złączyliśmy się w mocnym, serdecznym uścisku. Czułem, jak jej ciało drży, a mniemam, że i ona mogła wyczuć bicie mego serca, które grało mi w uszach niczym donośny bitewny bęben.

- Jesteś - rzekła.

- Jestem.

- Wiedziałaś, że mnie nie zawiedziesz.

Zsunąłem z jej głowy kaptur, by przyjrzeć się pozłocistym włosom, tak jasnym jak moje, po czym się uśmiechnąłem.

- Istota ze złota - powiedziałem.

- Głuptas - zbeształa mnie z promiennym uśmiechem.

- Co teraz? - zapytałem.

- Spodziewam się - odrzekła - że mój mąż będzie usiłował cię zgładzić. - Łagodnie wyzwalając się z uścisku, na powrót nasunęła kaptur.

- A może skrzyknąć... - zastanawiałem się na głos - ...piętnaście setek zwolenników?

- Jeśli nie więcej.

- Nie musimy więc się trapić - zażartowałem. - Ja mam przeszło czterdziestu ludzi... jeśli nie więcej.

Tegoż popołudnia poczęli zjeżdżać mercyjscy wojownicy. Przybywali z północy grupami liczącymi od dziesięciu do dwudziestu jeźdźców i tworzyli kordon zacieśniający się wokół opactwa. Przyglądałem się temu ze szczytu dzwonnicy, póki nie naliczyłem stu wrogów, a tych wciąż przybywało.

- Trzydziestu obwiesi stojących dotąd we wsi - zapytałem Aethelflaed - miało za zadanie pilnować, byś nie umknęła?

- Jak też wstrzymywać dostawy żywności do opactwa - odpowiedziała. - Ich wysiłki nie na wiele się zdały, jako że jedzenie docierało do nas łódką.

- Czyżby chcieli zamorzyć cię głodem?

- Mój małżonek sądził, że tym sposobem zmusi mnie do opuszczenia klasztoru. Gdyby mu się udało, musiałabym do niego wrócić.

- Mogłaś przecież odejść do ojcowskiego domu - zauważyłem.

Jej oblicze spochmurniało.

- Tylko po to, by rodziciel odesłał mnie do męża?

- A czemu miałby to uczynić?

- Małżeństwo to święty sakrament, Uhtredzie - odrzekła ze znużeniem. - To więzy uświęcone przez Boga, a jak dobrze wiesz, mój ojciec nie śmiałby sprzeciwić się boskiej woli.

- Cóż więc wstrzymywało Aethelreda przed porwaniem cię za włosy i zaciągnięciem na powrót w swe progi?

- Miałby siłą wedrzeć się do klasztoru? Mój ojciec nie puściłby mu tego płazem!

- Prawda - przytaknąłem, wyęzając wzrok, bowiem z północy ciągnął ku nam długi sznur jeźdźców.

- Moi prześladowcy byli przekonani, że ojciec lada dzień wyzionie ducha - wyjaśniła z goryczą, bez wątpienia nazywając tak mego kuzyna i jego zausznika Aldhelma - i tylko czekali na wieść o jego śmierci.

- A tymczasem Alfred wydobrzeał - stwierdziłem.

- Dzięki Bogu powoli wracają mu siły.

- A oto nadciągają oczekiwani goście - oznajmiłem, gdyż na czele sunącej traktem kawalkady liczącej co najmniej pięćdziesiąt włóczyni dostrzegłem sztandar, co oznaczało, że przybywał we własnej osobie ktoś, kto miał przewodzić oblegającym opactwo wojownikom.

Kiedy wrogowie przybliżyli się nieco, dostrzegłem na łopoczącej materii dwa

skrzyżowane brodate topory.

- Czyj to znak?

- Aldhelma - chłodno odrzekła Aethelflaed.

Dwustu jeźdźców opasywało klasztorną palisadę ciasnym pierścieniem. Dosiadający czarnego ogiera Aldhelm stanął o jakieś pięćdziesiąt kroków przed wrotami. Jego świta składała się z dwóch księży i dwunastu zbrojnych. Ludzie z jego gwardii, dzierżący tarcze ze znakiem swego pana, ustawili się murem tuż za jego plecami i podobnie jak on sam ponuro spoglądali na zawarte wierzeje. Czy zausznik eldormana wiedział, kto znajduje się wewnątrz? Mógł wprawdzie podejrzewać, lecz nie wydaje mi się, by był tego pewien. Wszak bardzo szybko wiodłem ludzi przez wschodnią Mercję, gdzie panowali Duńczycy, nie spodziewałem się więc, by mercyjscy Anglowie i Sasi już wiedzieli, że wróciłem na południe wyspy. Niemniej coś wstrzymywało Aldhelma przed wkroczeniem poza obręb lichej klasztornej palisady, ale co, trudno orzec. Czy podejrzenie, że może go spotkać silny odpór, czy też rozkaz Aethelreda, by nie dopuszczał się świętokradztwa? O ile Alfred potrafiłby wybaczyć zięciowi przywiedzenie córki do skrajnego nieszczęścia, zapewne nie okazałby się równie miłościwy, gdyby doszła go wieść, że Mercjanie bezczeszczą przybytek poświęcony czci umiłowanego przez niego boga.

Zszedłem na dziedziniec.

- Na co jeszcze czeka? - dziwił się Finan.

- Na mnie - stwierdziłem.

I dlatego przysposobiłem się do walki. Wdziałem świeżo wyczyszczone kolczugę i lśniące buty do jazdy, przypasałem miecze, a na głowę wsunąłem hełm ze srebrną figurką wilka na dzwonie. Na lewym ramieniu trzymałem tarczę z wymalowanym wokół umba wilczym łbem, a w prawej ręce dzierżyłem ciężki topór na długim trzonku, gdyż uznałem, że w czekającym mnie zadaniu właśnie on okaże się najbardziej użyteczny. Kazałem otworzyć jedno skrzydło klasztornych wrót i wyszedłem samotnie. Nie wyjechałem konno, jako że nie udało mi się w Dunholmie nabyć odpowiednio przysposobionego do walki bojowego ogiera.

Kroczyłem w milczeniu ku spoglądającej na mnie spode łba drużynie Aldhelma. Gdyby ich wódz wykrzesał z siebie choć krztynę odwagi, spiąłby konia, wyjechał mi naprzeciw i robiąc użytek z miecza, który miał u boku, ciąłby mnie straszliwie z wysokości siodła. Albo skoro nie starczało mu męstwa, winem był rozkazać drużynie przybocznej, by go wyręczyła. O dziwo, zamiast uczynić, co należało, przeciwnik zdobył się jedynie na groźne spojrzenie.

Zatrzymałem się kilkanaście kroków od niego i oparłem stylisko topora na ramieniu. Osłony policzków pozostawiłem otwarte, gdyż chciałem, by Aldhelm i jego ludzie widzieli

me oblicze.

- Mercjanie! - krzyknąłem gromko, aby słyszeli mnie także stojący za rzeką Zachodni Sasi. - Lada dzień wasze ziemie najedzie jarl Haesten! Przywiedzie tysiące żądnych zdobyczy wojowników, biegłych we władaniu mieczem i włócznią Duńczyków. Duńczyków marzących tylko o tym, by gwałcić wasze żony, niewolić dzieci i zagarniać ziemie. Nieprzyjaciel nadciągnie chmarą liczniejszą niż ta, którą pobiliście pod Fearnhamme! Jak wielu z was stawało pod Fearnhamme?

Wojownicy popatrywali jeden na drugiego, lecz żaden nie wznosił ręki, czym dałby dowód, że przyczynił się do chlubnego zwycięstwa.

- Czyżbyście wstydzili się tak zaszczytnego triumfu? - zapytałem, omiatając ich wzorkiem. - Dokonaliście pogromu, który wspominany będzie w Mercji, dopóki żyć będą w niej ludzie! A wy wahacie się przyznać, że dołożyliście doń ręki? Jak wielu z was stawało pod Fearnhamme?

Zachęta wystarczyła, by niektórzy ze stojących w kręgu wojowników wazyli się unieść ramię. Wówczas któryś wydał donośny okrzyk i wnet zawtórowały mu zawołania wstrzymujących się dotąd towarzyszy. Mercyjscy wojownicy gromko krzyczeli na wspomnienie swego wiekopomnego zwycięstwa. Zaskoczony Aldhelm uniósł dłoń, chcąc uciszyć radosną wrzawę, lecz niewiele wskórał.

- A kto - zagrzmałem, przekrzykując rozgwar - ma poprowadzić was przeciwko Haestenowi, gdy ten nadciągnie z nieprzeliczoną zgrają wikingów? Z chmarą zatraconych oprawców, którzy na ostrzach włóczni i żeleźcach toporów niosą śmierć, a pozostawią za sobą jedynie spaloną ziemię? Czyście zapomnieli, że to pani Aethelflaed porwała was do walki pod Fearnhamme? Godzi się, by waszą dobrodziejkę trzymano za klasztornymi murami? Oto na jej wezwanie przybywam, by walczyć z wami ramię w ramię przeciw wikingom. I co widzę? Wymierzone przeciwko mnie ostrza włóczni i ręce na głowicach mieczy! Zdecydujcie, kto ma was powieść przeciwko jarlowi Haestenowi i jego siepaczom. - Odczekawszy parę uderzeń serca, zdjąłem z ramienia topór i brodatym ostrzem wskazałem Aldhelma. - Czy chcecie, by w wir walki poprowadził was on? - zakrzyknąłem. - Czy ja?

Aldhelm okazał się większym durniem, niż sądziłem. Gdy moje słowa przebrzmiały, nastąpiła cisza, w której słychać było plusk bijących o kałuże kropel. Wówczas mercyjski pan powinien był błyskawicznie mnie ubić bądź też zeskoczyć z konia i wyściskać, oferując przymierze, które pozwoliłoby mu wyczekać właściwej sposobności, by pozbyć się mnie podstępem. Lecz on okazał się tchórzem. Zresztą zawsze był nim podszyty. Nieulekły, ilekroć mierzył się ze słabszymi, w obliczu prawdziwego wyzwania wpadał w popłoch. Malująca się

na jego obliczu trwoga nie pozwalała mu podjąć żadnej dorzecznej decyzji. Dopiero kiedy jeden z jego drużynników pochylił się i szepnął mu coś do ucha, Aldhelm odzyskał głos.

- Ten człowiek - zawołał, wskazując mnie dłonią w rękawicy - wyrokiem władcy Wessexu został ogłoszony banitą.

Nie miałem pojęcia, że tak się rzeczy mają, lecz niespecjalnie mnie to zdziwiło. Złamałem wiążące mnie z Alfredem ślubowanie, przeto król miał prawo skazać mnie na banicję, tym samym wyrażając przyzwolenie, by pierwszy lepszy śmiałek bezkarnie pozbawił mnie życia.

- Jestem banitą! - odkrzyknąłem. - Zbliźcie się i zadajcie mi śmierć, jeśli taka wasza wola! Kto wówczas was ochroni przed jarlem Haestenem?

Aldhelm otrząsnął się i mruknął coś do swego zauszniaka, który dopiero co podsunął mu myśl, by rozgłosić, że jestem wygnańcem. Wówczas ów postawny wojownik spiął konia i ruszył na mnie, dobywając miecza. Od razu zauważyłem, że zna się na walce. Nie szarżował na złamanie karku, lecz miarowo nabierał rozpędu. Mierząc mnie baczny wzrokiem, sposobił się do zadania śmiertelnego ciosu. Zamachnął się mieczem i przymierzył do miażdżącego cięcia. Wyglądało na to, że zamierza potężnie grzmotnąć klingą w moją tarczę, by - wykorzystując pęd wierzchowca - pozbawić mnie równowagi. Wtedy szybko zawróciłby koniem i sieknąłby mnie od tyłu. Dobrze wiedział, że jego zamysł jest dla mnie oczywisty, lecz nie zmienił taktyki, gdyż mimo wszystko uniosłem tarczę, gotując się do odparcia pierwszego ciosu. Widziałem, jak mocno zaciska zęby i wpiera ostrogi w boki rosłego, siwego ogiera. Koń skoczył, a ostrze Mercjanina przecięło powietrze niby błyskawica.

Zwalisty wojownik włożył w zamach całą siłę. Miecz zbliżał się do mnie z prawej strony, a jako że tarczę miałem na lewym ramieniu, zaś w prawicy dzierżyłem topór, uczyniłem dwie rzeczy.

Opadając na jedno kolano, zastawiłem się tarczą, trzymając ją nad hełmem, niemalże na płask. Jednocześnie cisnąłem brodatym ostrzem, mierząc w nogi wierzchowca.

Miecz z trzaskiem uderzył o lipowe drewno i ślizgając się po nim, zadzwonił o żelazny krąg umba. W tejże chwili rozległo się rzenie spłoszonego zwierzęcia, które potknęło się, gdy topór wpadł między jego tylne pęciny. Na jednej z nich pokazała się krew. Podniosłem się na czas, by odbić drugie cięcie. Wytracony z równowagi jeździec nie mógł wyrządzić mi większej szkody - jego klinga ze zgrzytem odbiła się od żelaznego otoku tarczy. Aldhelm krzyknął do swych ludzi, by wsparli druha, lecz ci, widząc stojących u wrót klasztoru jeźdźców pod bronią - Finana, Sithrica i Osfertha - nie zamierzali ruszyć się z miejsca.

Postąpiłem w kierunku wroga, który przewalczając narowy rannego konia, zamachnął się po raz kolejny. Trzecie cięcie odbiłem tarczą w ten sposób, by ostrze Mercjanina skierowało

się ku ziemi, zaś wolną ręką ucapiłem osiłka za nadgarstek. Schwytany krzyknął, gdyż uwiesiłem się na jego prawicy i szarpnąłem gwałtownie. Spadł w błoto. Spłoszony siwek oddalił się z rżeniem, a spieszony jeździec podniósł ciężko, jakby lekko ogłuszony. Jego zawieszoną na lewym ramieniu tarczę oblepiało błoto.

Odstąpiłem o krok i dobyłem Oddech Węża. Ostrze z przeciągłym sykiem opuściło swe leże.

- Jak brzmi twe imię? - zagadnąłem. Dosłyszawszy zza pleców tętent, rzuciłem okiem przez ramię, by stwierdzić, że moi ludzie zebrali się za plecami Finana, lecz ten wstrzymał ich na razie uniesieniem ręki.

Rosły Mercjanin rzucił się naprzód i pozorując cięcie, raptownie pchnął do przodu tarczę, chcąc zbić mnie z nóg. Usunąłem mu się z drogi i ponowiłem pytanie:

- Jak cię zwać?

- Beornoth.

- Stawałeś pod Fearnhamme? - Kiedy potwierdził nieznacznym skinieniem głowy, rzekłem:

- Nie przybyłem tu, by zabijać Mercjan, Beornocie.

- Ślubowałem posłuszeństwo memu panu - odparł hardo.

- Twój pan nie jest godzien, by za niego umierać.

- Niech każdy sądzi wedle swej miary, przeniewierco! - rzucił gniewnie i zaatakował.

Aby odbić zamaszyste cięcie, uniosłem tarczę, lecz wrogowi udało się ją ominąć i skierować klingę tak nisko, że dosięgła mojej łydki. Nie wiedział jednak, że nosiłem buty z wszytymi żelaznymi płytkami. Wielu wojowników, by ustrzec się przed ciosami kierowanymi na łydki, nosi nagolenniki, lecz widząc taką osłonę, przeciwnik nie zadaje zdradliwych pchnięć pod tarczę i skupia się na innych częściach ciała. Tymczasem niewidoczne pod warstwą skóry żelazne płytki nie tylko chronią nogi, ale też skłaniają wroga do uderzenia w pozornie nieosłonięty punkt. Tak też stało się i owego dnia - a miecz Beornotha zatrzymał się na metalowych wzmocnieniach. Opór wprowadził rosnącego wojownika w zdumienie, a ja wykorzystałem tę jego chwilę nieuwagi. Trzasnąłem go w twarz pięścią uzbrojoną w rękawicę, a na dodatek zaciśniętą wokół główki Oddechu Węża.

Mercjanin cofnął się chwiejnie. Wprawdzie czułem ból w lewej nodze, lecz on miał zalaną krwią twarz i zmiażdżony nos. Nie dając mu czasu na ochłonięcie, pchnąłem go tarczą, zmuszając do postąpienia drugiego kroku w tył. Naparłem zatem ponownie, obalając wroga na ziemię. Odkopnąłem jego prawicę na bok i postawiwszy mu stopę na brzuchu, przytknąłem szpic Oddechu Węża do skrwawionych ust. Powalony przeciwnik spozierał na mnie nienawistnym wzrokiem. Wiedziałem, że zamierza dosięgnąć mnie wciąż trzymanym w ręku

mieczem, choć taka próba oznaczałaby dla niego szybką śmierć. Wystarczyło bowiem, bym lekko pchnął wymierzone ostrze, a udusiłby się własną krwią.

- Ani drgnij, Beornocie - ostrzegłem go półgłosem, po czym omiotłem wzrokiem ludzi Aldhelma. - Nie przybyłem do Mercji, by kłaść trupem jej obrońców, lecz by wojować z jarlem Haestenem!

Odsunąłem miecz od twarzy powalonego przeciwnika. Beornoth wstał powoli i popatrzył na mnie z niepewnością.

- Odejdź - rzekłem.

- Ślubowałem cię zabić - stwierdził głucho.

- Nie bądź głupcem, Beornocie - odparłem ze znużeniem. - Właśnie darowałem ci życie, co czyni cię moim człowiekiem. - Odwróciłem się do niego plecami i gromko obwieściłem: - Pan Aldhelm wystawił odważnego wojownika, by ten przyjął wyzwanie, którego sam nie śmiał podjąć! Czy chcecie, by tchórz wiódł was do boju?

Wśród ludzi, do których przemawiałem, wielu pamiętało mnie nie tylko z bitwy pod Fearnhamme, ale i szturm na Londyn. To byli wojownicy, a każdy wojownik chce iść w bój z wodzem, który wie, jak wygrywa się wojny. Aldhelm nie nadawał się na przywódcę. Stojący w kręgu Mercjanie nie mieli co do tego żadnych wątpliwości, lecz wciąż się wahali. Wszyscy przecież przysięgali służbę mercyjskiemu panu, a co więcej, część z nich zawdzięczała swe majątki jego łaskawości. Właśnie ci ostatni uderzyli piętami wierzchowce i otoczywszy swego darczyńcę, wsparli dłonie na głowicach mieczy.

- Pod Fearnhamme - zza mych pleców dobiegł dźwięczny głos - na widok ściągających tam nieprzyjaciół, ogarnięty trwogą pan Aldhelm zamierzał ustąpić pola i zostawić Zachodnich Sasów w potrzebie. Czy jest zatem godzien, by zawierzyć mu losy Mercji? - To Aethelflaed, dosiadłszy mego ogiera, wyjechała przed bramy opactwa. I choć miała na sobie zgrzebną zakonną szatę, zwracała się do zgromadzonych z wysoko uniesioną głową. - Kto prowadził was wówczas do zwycięstwa? - zapytała, potrząsając złotymi włosami. - Kto uchronił wasze domy? Kto ocalił żony i dzieci? Komu wolicie powierzyć swe życie?

Jakiś Mercjanin wypowiedział moje imię, zaś wielu innych podchwyciło ten okrzyk. Poczęto wrzeszczeć na moją cześć. Aldhelm zrozumiał, że został pokonany. Huknął do Beornotha, by mnie zgładził, jednak ten ani drgnął. Wówczas przerażony zausznik Aethelreda wydał ten sam rozkaz pozostałym u jego boku zwolennikom.

- Po co wszczynać bratobójczą walkę?! - zawołałem, chcąc przemówić im do rozsądku. - Tylko patrzeć, jak nadciągną prawdziwi wrogowie!

- A idźcie do wszystkich diabłów! - warknął jeden z ludzi Aldhelma, obnażył miecz i spał

konia. W ślad za pierwszym nagim ostrzem błysnęły kolejne. Rozpętał się okrutny zamęt.

Mercjanie stanęli przed wyborem - walczyć po stronie własnego wodza czy się zbuntować. Zdecydowana większość ruszyła przeciwko wiernym dostojnikowi drużynnikom, a uczynili to w tej samej chwili, w której chcący mnie posłać do diabła wojownik zamierzył się mieczem. Odbiłem cięcie i nim napastnik zdążył zadać kolejne, zza moich pleców wyjechał Finan i szybkim cięciem posłał wroga na tamten świat. Równocześnie spostrzegłem, że Osferth strzeże Aethelflaed, zasłaniając przyrodnią siostrę własnym koniem. Okazało się to zbyt dobrą przecznością, albowiem właśnie ludzie Aldhelma zaczęli gęsto padać trupem, podczas gdy on sam, zdjęty trwogą, zdołał wydrzeć się poza krąg zażarcie walczących ze sobą Mercjan. I choć miał w ręku miecz, nie wyglądało na to, by pragnął zrobić z niego użytek. Rozglądał się, gorączkowo szukając drogi ucieczki, ale ze wszystkich stron otaczali go moi jeźdźcy. Na koniec dojrzał mnie i zdając sobie sprawę z przewagi, jaką dawał mu bojowy ogier, spiął go i ruszył do szarży.

Podjął iście szaleńczy atak. Nabrał rozpędu i ciął z całą mocą, na jaką było go stać. Przyjąłem uderzenie na uniesiony Oddech Węża. Znałem moc mej klingi. Wiedziałem, że mogę na niej polegać. I kiedy miecz Aldhelma zadzwonił o nią - z brzękiem tak głośnym, że musiał być słyszany na drugim brzegu rzeki - wiedziałem, czego oczekiwać.

Jego miecz pękł na dwoje. Ułamany wierzchołek odbił się do mego hełmu i upadł w błoto. Popędziłem za wielmożą, który trzymając w dłoni skróconą o ponad połowę broń, próbował ucieczki. Nadaremnie. Burzliwa walka już się rozstrzygnęła, a zwolennicy dostojnika byli martwi bądź rozbrojeni, zaś ci, którzy opowiedzieli się po mojej stronie, utworzyli ciasny krąg, w którego środku pozostaliśmy tylko my dwaj. Aldhelm zawrócił konia i wpatrywał się we mnie bez słowa. Wprawdzie otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich głos.

- Zejdź z konia i walcz! - warknąłem, a widząc, że się ociąga, rozeźliłem się na dobre. - Złaź, mówię! - ryknąłem, a spostrzegłszy wśród mercyjskich jeźdźców Beornotha, rzekłem:

- Daj mu swój miecz.

Chociaż doradca eldormana dzierżył tarczę, a teraz i miecz, nie było w nim woli walki. Zaczął skomleć jak psiak. Zabicie takiego człowieka jest przykrym obowiązkiem, dlatego dopełniłem go bezzwłocznie. Jednym pchnięciem ponad wymalowaną w skrzyżowane topory tarczą zmusiłem wroga, by uniósł osłonę. Potem wraziłem Oddech Węża w jego lewą kostkę. Kiedy opadł na kolano, ciąłem w szyję. Ogniwa noszonego przez niego pod hełmem kolczego kaptura wytrzymały cios, jednakże dostojnik przewrócił się w błoto. Uderzyłem raz jeszcze, tym razem biorąc szerszy zamach. Przeciąłem zbroję. Krew trysnęła wysoko, obryzgując najbliższych stojących jeźdźców. Aldhelmem wstrząsały drgawki. Wrzeszczał i łkał. Przesunąłem

ostrzem po rozoranym kapturze kolczym, a kiedy szpic Oddechu Węża znalazł się w ziejącej krwią ranie, wepchnąłem sztych w gardło przeciwnika i przekręciłem nadgarstek. Bluzgając krwią niczym zarzynane prosię, wielmoża zadrżał po raz ostatni i skonał.

Rzuciłem jego sztandar w wody Tamizy, złożyłem dłonie wokół ust i zawołałem do ludzi na drugim brzegu:

- Powiedzcie Alfredowi, że powrócił Uhtred z Bebbanburga.

Tyle że teraz walczyłem dla Mercji.

Aethelflaed nalegała, byśmy sprawili Aldhelmowi chrześcijański pochówek. W wiosce znajdował się kościółek, przypominający oborę z wetkniętym w szczyt dachu krzyżem. Otaczał go cmentarz, na którym wykopaliśmy sześć dołów na trupy. Istniejące groby nie były dobrze oznakowane, toteż jedna z łopat pokroiła na pół rozłożone zwłoki. Przedarła wełniany całun, ukazując żebra, spomiędzy których wylał się śmierdzący tłuszcz. W tej oto mogile ułożyliśmy Aldhelma. Wziąłem jednak pod rozwagę, że otaczający nas Mercjanie służyli pod jego chorągwią, więc pozwoliłem, aby spoczął w swoim wykwintnym odzieniu i wspaniałej zbroi. W ten sposób miałem nadzieję zaskarbić sobie ich wdzięczność i lojalność. Dla siebie zatrzymałem hełm wodza, jego łańcuch ze złota i wierzchowca.

Ojciec Pyrlig zmówił modlitwę nad świeżo usypaną mogiłą, a potem ruszyliśmy w drogę. Mój kuzyn, jak powiadano, bawił w swoim majątku w Gleawecestre, dokąd podążyliśmy. Szło za mną teraz dwustu zbrojnych, przeważnie Mercjan.

- Czy chcesz, bym zabił Aethelreda? - spytałem Aethelflaed.

- Nie! - odkrzyknęła wstrząśnięta.

- A czemu nie?

- Chcesz władać Mercją? - zdziwiła się.

- Ani trochę.

- On jest eldormanem Mercji i moim mężem. - Wzruszyła ramionami. - Mogę go nie lubić, ale jestem jego żoną.

- Kiedy stanie się nieboszczykiem, przestanieś być jego żoną - odparłem.

- A jednak morderstwo to grzech - powiedziała łagodnie.

- Grzech - rzuciłem pogardliwie.

- Są grzechy tak okrutne, że niepodobna ich odkupić, choćby się całe życie odprawiało pokutę.

- Zatem pozwól mi zgrzeszyć - zaproponowałem.

- Wiem, co nosisz w sercu - westchnęła - ale gdybym dała ci na to przyzwolenie, będę tak samo winna jak i ty.

Odburknąłem coś nieprzyjemnego o chrześcijańskich zasadach. Skinieniem pozdrowiłem klęczących na skraju drogi kerłów. Właśnie mijaliśmy ich wioskę, gdzie wśród zapadłych strzech i śmierdzącego łajna pałętały się świny. Wieśniacy nie mieli pojęcia, kim jesteśmy. Wystarczyło wszakże, że widzieli zbroje, broń i tarcze. Wiedziałem, że będą wstrzymywać oddech, póki nie odjedziemy. Pomyślałem, że wkrótce zjawią się tu Duńczycy i puszczą wioskę z ogniem. Nie pozostawią ani jednego obejścia, będą łupić, mordować i niewolić.

- Chcesz umrzeć z mieczem w ręku - stwierdziła Aethelflaed.

- A jakże inaczej mógłbym umrzeć?

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz.

- By po śmierci osiąść w Walhalli, niebiańskim dworze Odyna, opiekuna bohaterów. A kiedy ja umrę, Uhtredzie, chciałabym trafić do nieba. Odmówisz mi tego?

- Skądże.

- Jak zatem mogłabym dopuścić się tak straszego grzechu? Aethelred musi żyć. Zresztą - uśmiechnęła się do mnie - rodziciel nigdy by mi nie przebaczył, gdybym porwała się na życie małżonka. Albo tobie na to pozwoliła. Nie chciałabym rozczarować ojca. To dobry człowiek.

Roześmiałem się i rzekłem:

- Twój ojciec i tak będzie niezadowolony.

- Niby dlaczego?

- Bo wezwałaś mnie na pomoc, ma się rozumieć.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- A kto, jak ci się zdaje, zasugerował, bym cię wezwała?

- Co?! - Łypnąłem na nią podejrzliwie, wzbudzając jej śmiech. - Twój ojciec życzył sobie tego?

- Któżby inny?

I znów wyszedłem na głupca. Trwałem w przekonaniu, że zerwałem wszelkie więzy z Alfredem, tymczasem za sprawą jego woli wróciłem na południe. Pyrlig też na pewno o tym wiedział, musiał więc dobrze się pilnować, by się przede mną nie zdradzić.

- Przecież twój ojciec mnie nienawidzi!

- Oczywiście, że nie. Po prostu uważa cię za niesfornego szczeniaka, którego od czasu do czasu należy skarcić - sprostowała z przepraszającym uśmiechem, po czym, wzruszając ramionami, dorzuciła: - Nie jest dla niego żadną tajemnicą, że Mercja zostanie zaatakowana, a obawia się, że Wessex nie zdoła udzielić jej wsparcia.

- Wessex nigdy nie zostawia Mercji w potrzebie.

- Chyba że na jego wybrzeżach wylądują Duńczycy - rzekła, na co o mało nie wybuchłem śmiechem. Zebrani w Dunholmie jarlowie usiłowali utrzymać swe plany w tajemnicy, zaś Alfred zawczasu szykował się, by je pokrzyżować. Nagłace wezwanie, które otrzymałem od Aethelflaed, także było częścią jego zamysłu. Z podziwem pomyślałem o jego przebiegłości, potem wszakże zastanowiło mnie, jakie moje występki ów sprytny władca zamierzał tolerować, by tylko powstrzymać grożącą jego chrześcijańskiej Anglii duńską nawałnicę.

Zostawiwszy za sobą nędzne sioło, wjechaliśmy w zalaną słońcem krainę. Na porośniętych soczystą trawą łąkach pasły się wygłodniałe po zimie krowy. Z kępy krzewów wychynął zajęć. Stając na tylnych łapkach, spojrział na ludzkich intruzów, potem pokicał, znów stanął i obserwował nas bacznie. Droga wiodła między łagodnymi wzgórzami. Wszędzie wokół rozciągały się dobrze nawodnione i żyzne ziemie - dokładnie takie, jakich pragnęli Duńczycy. Widziałem ich ojczyznę, jałową i lichą, której wydzierali, co tylko mogli, aby się pożywić. Nie dziwota, że chcieli się przesiedlić do Anglii.

Kiedy mijaliśmy kolejną wioskę, słońce już zachodziło. Dziewczyna dźwigająca nosidło z wiadrami mleka tak się przeraziła widokiem uzbrojonych mężów, że się potknęła, a cenne mleko wylało się na drogę. Nieszczęsna aż się rozplakała. Rzuciłem jej srebrną monetę na osuszenie łez, po czym spytałem, gdzie znajdę władającego tymi ziemiami pana. Wskazała kępę wiązów na północny, gdzie stał okazały dwór otoczony butwiejącą palisadą.

Władający wioską ten zwał się Ealdhith. Zażywny rudowłosy gospodarz przeraził się, widząc tak wielu jezdnych szukających schronienia.

- Nie zdołam was wszystkich wyżywić - burknął cicho. - Zresztą nie wiem nawet, kim jesteście.

- Zwę się Uhtred - rzekłem - a to jest pani Aethelflaed.

- Pani... - ten od razu ukląkł na jedno kolano.

Ugościł nas zacnie, lecz następnego dnia skarżył się, że opróżniliśmy z *ale* wszystkie beczki. Na pocieszenie dałem mu złote ogniwo, które odrąbałem z łańcucha Aldhelma.

Wypytywał Ealdhitha o wieści, ale nie wiedział o niczym ważnym, choć słyszał, że Aethelflaed schroniła się w klasztorze Lecelad.

- Wysyłaliśmy jej mąkę i jajka, panie - oświadczył.

- A co was do tego skłoniło? - zainteresowałem się.

- Mieszkamy o rzut kamieniem od granic Wessexu i wolę żyć z Zachodnimi Sasami w przyjaźni.

- Widziałeś tej wiosny jakichś Duńczyków?

- Duńczyków, panie? Plugawe bękarty nie zapuszczają się w te okolice - z przekonaniem

odrzekł Ealdhith, co wyjaśniło, z jakiego powodu pozwolił zgnić palisadzie. - My tylko uprawiamy ziemię i hodujemy bydło.

- A jeśli wezwie was pan Aethelred? Pójdziecie na wojnę?

- Modlę się, aby tak się nie stało, lecz pójdziemy. Mogę wyruszyć z sześcioma zbrojnymi.

- Walczyliście pod Fearnhamme?

- Nie mogłem, panie. Złamałem nogę. - Podniósł połę długiej koszuli, ukazując krzywo zrośniętą łydkę. - Miałem w ogóle szczęście, że przeżyłem.

- Od tej pory bądź gotów na wezwanie - rozkazałem.

Ealdhith uczynił w powietrzu znak krzyża.

- Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

- Zawsze - odrzekłem krótko i zająłem miejsce w siodle. Ognisty ogier Aldhelma wzdrygnął się, nieprzyzwyczajony do mnie, więc poklepałem go po szyi.

Zdążaliśmy na zachód, owiewani rześkim powietrzem poranka. Dzieci jechały u mego boku. Idący z naprzeciwka nędzarz ukląkł przy drodze, ale wyciągnął kaleką rękę.

- Odniosłem rany w walkach o Londyn - jęknął żałośnie.

Częstokroć natykałem się na podobnych mu biedaków, których odniesione na wojnie rany skazały na żebranię. Wręczyłem memu pierworodnemu srebrnika i powiedziałem, by dał go żebrakowi. Uhtred Młodszy uczynił to, rzucając przy tym kilka znamienych słów:

- Niech Bóg ma cię w swej opiece!

- Cóż rzekłeś?! - zdumiałem się.

- Wszak słyszałeś - jadąca po mej lewicy Aethelflaed była wyraźnie ubawiona.

- Pobłogosławiłem go, ojciec - odrzekł syn.

- Nie mów, żeś przystał do chrześcijan!

Chłopak poczerwieniał, lecz nim zdołał wykrztusić jakąkolwiek odpowiedź, przed jadących za nami jeźdźców wysforował się Osferth.

- Panie! Panie!

- Co takiego?

Zamiast odpowiedzieć, wskazał stronę, z której przybyliśmy. Odwróciłem się, by ujrzeć gęstniejącą na wschodnim widnokregu smugę dymu. Ileż razy widziałem owe bijące w niebo ciemne kłęby. Zarzewie wojny. Często sam byłem wśród ciskających żagwie.

- Cóż to? - spytała Aethelflaed.

- Haesten - oznajmiłem, w jednej chwili zapominając o bezrozumnym czynie mego pierworodnego. - Jak nic Haesten - dodałem, przekonany, że sprawcą pożaru musiał być mój zaprzysięgły wróg.

I tak rozgorzała wojna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wiodłem siedemdziesięciu ludzi. Zmierzaliśmy ku rozlewającemu się na zamglonym horyzoncie tumanowi dymu. Połowę drużyny stanowili zaprzysiężeni mi ludzie, drugą zaś Mercjanie. Pozostałym wojownikom pod wodzą Beornotha kazałem czekać w wiosce. Tam też został Osferth, któremu poleciłem mieć baczenie na dzieci.

U mego boku jechała Aethelflaed, gdyż nalegała, bym ją zabrał, mimo iż starałem się odwieść ją od tego zamiaru.

- Jestem panią tej krainy - stwierdziła jednak stanowczo. - Żyjący tu ludzie są moimi poddanymi, przeto muszę się przekonać, czy nie dzieje się im krzywda.

- Być może to nic takiego - odparłem, jako że źródłem pożarów nie zawsze są najeźdźcy. Kryte strzechą chaty łączą się od strzelających z otwartego paleniska iskiei. Niemniej dręczyło mnie złe przeczucie, toteż nim ruszyliśmy, wdziałem zbroję. Uczyniłem to z przeczucia, jako że pierwszą myślą, gdy ujrzałem snujący się po niebie dym, był domysł, że jest to sprawka Haestena. Jednak im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym mniej prawdopodobnym wydawało mi się owo przypuszczenie.

- Dym wydobywa się tylko z jednego miejsca - zauważył bystrooki Finan, gdy mieliśmy już za sobą połowę drogi. Zaiste, w wiosenne niebo bił pojedynczy słup ciemnego dymu, a przecież gdy najeźdźcza armia pustoszy ziemię wroga, puszcza z ogniem każdą napotkaną wioskę. - Przy tym Lecelad leży daleko od granic Wschodniej Anglii, a wygląda na to, że pali się właśnie tam.

- W rzeczy samej - przyznałem mrukliwie. Osada klasztorna w istocie położona była w dość dużym oddaleniu od obozu Haestena w Beamfleot i na tyle głęboko wewnątrz saskiego terytorium, że aby tam dotrzeć, Duńczycy musieliby narazić się na wiele niebezpieczeństw. Trudno było znaleźć jakieś dorzeczne uzasadnienie zaistniałych okoliczności. Dlatego obaj z Irlandczykiem skłanialiśmy się ku najprostszemu wyjaśnieniu - że czerwony kur pojawił się wskutek zbłąkanej iskry, od której zajęła się przesuszona słoma.

Rzeczywiście, to Lecelad stało w ogniu. Dość długo nie mieliśmy co do tego pewności, gdyż mercyjskie ziemie nad Tamizą są prawie płaskie, a niemalże do ostatniej chwili widok przesłaniały nam lasy. Jednakże gdy od wioski dzieliła nas już tylko niewielka odległość, przekonaliśmy się, że dym unosi się nad klasztorną wsią. Dotąd jechaliśmy wzdłuż rzeki, lecz teraz odbiliśmy w bok, by objechać osiedle szerokim łukiem i wjechać do niego od północy. Uczyniliśmy tak, gdyż jeśli pożoga byłaby dziełem Duńczyków, ci wycofywaliby się właśnie w tym kierunku - co dałoby nam szansę zatrzymania podpalaczy. Wprawdzie rozsądek

podpowiadał mi, że mamy do czynienia z przypadkowym pożarem, lecz intuicja mówiła coś innego.

Dotarliśmy do prowadzącego na północ traktu i ujrzelśmy zryty kopytami grunt. Ziemia wprawdzie podeschła już od ostatniego deszczu i ślady nie były zbyt wyraźne, lecz wystarczył jeden rzut oka, bym się przekonał, że licznych odcisków kopyt nie pozostawili wojownicy Aldhelma, którzy poprzedniego dnia ściągali tamtędy do Lecelad. Ślady podków mercyjskich wierzchowców zmierzających na południe były bowiem ledwie widoczne spod znaków, jakie odcisnęli jeźdźcy zmierzający na północ. Toteż nie miałem wątpliwości, że ktokolwiek najechał osadę klasztorną, zdążył ją opuścić.

- Przybyli i wybyli - zwięźle ujął sprawę Pyrlig, który choć pozostał w księżej sutannie, przypasał długaśny miecz.

- Musiało ich być co najmniej stu - osądził Finan, przypatrując się zrytej po obu stronach traktu ziemi.

Zwróciłem wzrok na północ i wpatrywałem się w daleki widnokrąg, lecz nie dostrzegłem tam znamiennej chmury pyłu, jaką pozostawia za sobą liczna kawalkada. Wszędzie widziałem spokojne, zielone błonia.

- Przekonajmy się, jakie szkody poczyniły te bękarty - rzekłem i powiodłem ludzi na południe.

Ktokolwiek dopuścił się najazdu - a wszystko przemawiało za tym, że byli to wikingowie Haestena - nie zabawił we wsi zbyt długo. Łotrzy najpewniej zaatakowali o zmierzchu, złupili i zniszczyli to, co wpadło im w ręce, po czym odjechali o świcie. Do pospiechu nagliła ich zapewne świadomość, że od opanowanych przez Duńczyków ziem dzieli ich szmat drogi wiodącej przez kraj Sasów. Uderzyli błyskawicznie, zrobili, co zamierzali, po czym popędzili z powrotem ku przyjaźniejszym ziemiom. Być może wciąż jeszcze przemierzali Mercję, kiedy my wjechaliśmy do wioski, wokół której ścieliła się gryząca woń spalonego drewna i okrutny swąd ludzkiego mięsa.

Z klasztoru nie zostało nic prócz płonącego szkieletu z grubych dębowych bali. A i ten runął na naszych oczach, z łoskotem, który przejął mego wierzchowca lękiem tak przemożnym, że zwierzę najeżyło się i stanęło dęba. Wśród unoszących się z zapadłej konstrukcji kłębow czarnego dymu strzeliła w niebo fontanna rozżarzonych węgli. Z gardła Aethelflaed dobył się bolesny jęk.

- Dobry Boże! - Moja przyjaciółka przeżegnała się, wbijając wzrok w niestrawiony jeszcze przez ogień fragment palisady, gdzie bieleła drobne, nagie ciało o rozkrzyżowanych ramionach. - Nie! - pani Mercji załkała żałośnie i spięła konia. Ruszyła, nie zważając na

bijący od ognia żar i wirujące w powietrzu płatki popiołu.

- Wracaj! - zawołałem, lecz nie posłuchała. Zeskoczyła z końskiego grzbietu i rzuciła się do stóp ukrzyżowanej, w której rozpoznałem Werburgę. Dłonie drobnej ksieni, jak i jej stopy, przebite były ogromnymi gwoździami. Mimo że przeorysza nie była ciężka, rany zadane przez ćwieki rozciągnęły się, a ciało ofiary nieco się opuszcilo, tak iż zdawało się, że mniszka unosi ku niebu swe wątłe ramiona, na których zaschły krwawe, ciekące z rozdartych dłoni strugi. Aethelflaed całowała przygwożdżone do bała stopy ukrzyżowanej. Wyrwała mi się, gdy próbowałem ją odciągnąć.

- To był anioł, nie kobieta, Uhtredzie - rzekła, zwracając ku mnie głowę. Właśnie wtedy wisząca na gwoździu prawa ręka nieboszczki rozerwała się i uwolniła. Ciało ksieni zakółysało się, a jej prawica uderzyła w skroń mej klęczącej przyjaciółki. Córka króla krzyknęła strwożona, lecz wnet opanowała strach i ujawszy okaleczoną chudą dłoń, ucałowała ją nabożnie.

- Uhtredzie, ona mnie pobłogosławiła. Widziałeś? Rozpięta na krzyżu, wisiała bez życia, a jednak mnie pobłogosławiła!

- Chodźmy już - poprosiłem łagodnie i ściskając jej dłoń, starałem się odciągnąć przyjaciółkę.

- Dotknęła mnie!

- Chodźmy - powtórzyłem. Tym razem Aethelflaed już się nie wzbraniała, kiedy odwiodłem ją od nieboszczki i żaru bijącego od szalejących tuż za palisadą płomieni.

- Ksieni musi zostać pogrzebana w poświęconej ziemi - pani Mercji powiedziała z naciskiem i poczęła wyrywać się, by wrócić do rozpiętego na palach drobnego ciała.

- Bądź pewna, że zadbam o to - zapewniłem, lecz nie puściłem jej ramion.

- Nie możemy pozwolić, by pochłonął ją ogień! - lamentowała przez łzy. - Nie chcę, by zaznała płomieni piekielnych! Uhtredzie! Pozwól mi ją wybawić!

Nieboszczka przybita była do jeszcze niepłonącej części ostrokołu, ale wiedziałem, że błyskawicznie szerzące się płomienie lada chwila ogarną także miejsce kaźni. Nie tracąc więc ani chwili, odepchnąłem Aethelflaed i podbiegłem do zwisającego na dwóch gwoździach ciała. Szarpnąłem zwłoki i przerzuciłem je przez ramię. Wówczas silny poryw wiatru spowił mnie chmurą gęstego, ciemnego dymu, a ledwie postąpiłem parę kroków, poczułem na karku nieznośną spiekotę. Zdałem sobie sprawę, że gorejący żywioł właśnie ogarnął miejsce, z którego ściągnąłem Werburgę. Ciało położyłem na brzegu rzeki, twarzą do dołu, a moja przyjaciółka zdjęła z ramion płaszcz i je okryła. Zachodni Sasi, których naliczyłem około czterdziestu, przypatrywali się nam z przeciwległego brzegu.

- Na rany Jezusa! Na świętych Patryka i Józefa! - krzyknął Finan, po czym spojrzął na klęczącą nad ciałem ksieni Aethelflaed i zamilkł. Widząc, że Irlandczyk ma mi coś do powiedzenia, lecz nie chce, by wieść owa doszła uszu królewskiej córki, poprowadziłem go wzdłuż brzegu, ku stojącemu w ogniu młynowi. Tam Irlandczyk oznajmił: - Te zatracone bękarty rozkopały mogiłę Aldhelma.

- Odkąd posłałem go do ziemi - odrzekłem - niespecjalnie zajmują mnie jego losy.

- Grabieżcy zszargali zwłoki - ciągnął wzburzony. - Zdarli z nich zbroję i szaty, po czym porznęli ciało. Kiedy odnalazłem rozgrzebany grób, stado świń pożerało rozrzucone członki.

Objąłem spojrzeniem wioskę. Kościół wraz z otaczającymi go budynkami klasztornymi wciąż płonął. Ogień podłożono także pod młyn i dwie chałupy. Pozostałe chłopskie domostwa oszczędzono, choć z pewnością zostały splądrowane. Wyglądało na to, że napastnicy puścili z dymem to, co najwartościowsze, a nie mając chwili do stracenia, nie kłopotali się obróceniem w pogorzeliśko reszty osady.

- Wprawdzie Haesten to nikczemny szubrawiec - stwierdziłem - ale kalandria zwłok i krzyżowanie kobiet? On tak nie postępuje.

- To dzieło Skade, panie - odrzekł Finan, po czym uniósł rękę i przywołał wojownika w krótkiej kolczudze i hełmie o ponadżeranych przez rdzę nitach. - Ty tam! Podejdźże tu!

Mężczyzna zbliżył się i padając przede mną na kolana, ściągnął sfatygowany hełm.

- Wołają na mnie Cealworth, panie - rzekł. - Służę panu Aethelnothowi.

- Trzymasz wartę po drugiej stronie rzeki? - zapytałem.

- Tak, panie.

- Wyprawiliśmy się łodzią na tamten brzeg i go przywieźliśmy - wyjaśnił mój stary druh. - A teraz powiedz panu Uhtredowi, coś widział.

- To była kobieta, panie - niepewnie podjął Cealworth. - Smukła niewiasta o długich, czarnych włosach. Ta sama, panie... - Zachodni Sas urwał, jakby obawiał się dokończyć.

- Mów dalej. Na co czekasz? - ponagliłem.

- Ta sama kobieta, panie - ciągnął urywającym się głosem - którą widziałem w Fearnhamme. Po bitwie.

- Wstań - poleciłem klęczącemu wojownikowi i zwróciłem się do Finana: - Czy ktoś ze wsi przeżył?

- Mało kto - odparł posępnie.

- Kilku ludzi przepłynęło rzekę, panie - dopowiedział Zachodni Sas.

- A wszyscy, którzy ostali się przy życiu - uzupełnił przybysz z Wyspy Irów - opowiadają to samo.

- Skade - domyśliłem się.

Przytaknął.

- Z ich słów wynika, że to ona przewodziła najeźdźcom.

- Zatem nie było z nią Haestena?

- Jeśli nawet, panie, nikt go nie widział.

- To ona wydawała rozkazy - dorzucił Cealworth.

Wbiłem wzrok w północne niebo, zachodząc w głowę, co dzieje się w innych częściach Mercji. Przepatrywałem horyzont w poszukiwaniu znamienych słupów dymu, lecz nie dostrzegłem ani jednego. Aethelflaed podeszła i stanęła u mego boku, a kiedy, niewiele się zastanawiając, objąłem ją ramieniem, nie zaprotestowała.

- Dlaczego uderzyli właśnie tutaj? - Finan wypowiedział na głos pytanie, które sam sobie zadawałem.

- By mnie ująć - z goryczą wyrzuciła z siebie żona eldormana.

- Możesz mieć słuszość, moja pani - potwierdził Irlandczyk.

Istotnie, takie wytłumaczenie wydawało się całkiem zasadne. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Haesten porozysłał swych zwiadowców po całej Mercji. Ci zbierali ważne wieści, podając się za kupców bądź włóczęgów wszelkiego pokroju - ludzi, których zajęcia tłumaczyłyby ich wędrówkę od wioski do wioski. Duńscy szpiedzy z pewnością uznali za warte uwagi to, że Aethelflaed jest otoczona w słabo bronionym Lecelad, donieśli więc o tym swemu panu. Jarl zaś nie omieszkał skorzystać z okazji ujęcia tak użytecznego jeńca. Pozostawało jedynie pytanie - dlaczego wyprawił wojowników pod wodzą Skade? Rozważywszy rzecz na zimno, doszedłem do przekonania, że istniała o wiele bardziej prawdopodobna pobudka przedsięwzięcia napadu. Dunka chciała pochwycić w swe szpony moje dzieci. Ludzie Haestena zapewne dowiedzieli się także tego, że trójka mych pociech pozostaje pod opieką mercyjskiej pani. A że ostatniej zimy Skade mnie znenawidziła... Miałem już okazję się przekonać, do czego zdolna jest ta kobieta, gdy zapala do kogoś nienawiścią. Zdawałem sobie sprawę, że nie istnieje takie okrucieństwo, które zaspokoiłoby jej żądze zemsty. Nie wypowiedziałem na głos swoich podejrzeń, choć uważałem je za trafne. Na myśl, że gdybym nie uprzedził niecznych zamiarów Skade, moje dzieci znalazłyby się w jej mocy, przeszły mnie ciarki. Dotknąłem amuletu Thora.

- Pochowamy zmarłych - zdecydowałem - i szybko stąd odjedziemy.

Ledwie wyrzekłem owe słowa, poczułem, jak na mojej prawicy, spoczywającej na ramieniu Aethelflaed, usiadła pszczoła. Nie strzepnąłem jej, gdyż nie chciałem cofać dłoni z ciała przyjaciółki. Zamiast tego przyglądałem się, jak pasiaste stworzenie niemrawo posuwa

się ku mojemu kciukowi. Sądziłem, że owad odleci sam z siebie, lecz ten ni stąd, ni zowąd użądlił mnie, choć nie dałem mu po temu żadnych powodów. Poczulem piekące ukłucie i zakławszy szpetnie, ubiłem podłego robaka, strasząc przy tym królewską córkę.

- Natrzyj użądłone miejsce cebulą - poradziła, jednak nie miałem ochoty kłopotać się poszukiwaniami środka łagodzącego opuchliznę. Przeczuwałem, że bezzasadny atak pszczoły był znakiem od bogów, lecz nie zamierzałem zgłębiać jego znaczenia, gdyż nie wydawało mi się, by bolesne ukłucie mogło zwiastować cokolwiek szczęśliwego.

Wyprawiliśmy ofiarom napadu pospieszny pogrzeb. Większość sióstr zakonnych szczyła w ogniu, który obrócił ich ciała w pokurczone, opalone truchła, przywodzące na myśl zwłoki dzieci. Te zwęglone szczątki wrzuciliśmy do wspólnego grobu, do którego włożyliśmy także ciało ukrzyżowanej przeoryszy. Ojciec Pyrlig odprawił modły nad zbiorową mogiłą, a potem drugi raz opuściliśmy Lecelad. Nim dotarliśmy do wioski, gdzie oczekiwali nas Beornoth z wojownikami oraz Osferth z moimi dziećmi - moja prawica spuchła tak bardzo, że z ledwością mogłem zamknąć obrzmiałe palce wokół wodzy wierzchowca. Martwiło mnie, że nie będę mógł sprawnie władać mieczem.

- Opuchlizna zejdzie najdalej za tydzień - pokrzepił mnie Finan.

- Nie wiem, czy mamy aż tyle czasu - odrzekłem posępnie. Irlandczyk popatrzył na mnie ze zdziwieniem, więc wyjaśniłem, wzruszając ramionami: - Duńczycy, jak się zdaje, ruszyli na wojnę, a my nie mamy żadnego rozeznania co do ich posunięć.

Nadal wędrowaliśmy, prowadząc ze sobą rodziny i dziewczki mych ludzi, co nas znacznie spowalniało, dlatego wyznaczyłem dwudziestu wojowników, by je dalej eskortowali, a resztę szybko powiodłem w kierunku Gleawecestre. Jako że nie zdążyliśmy tam dotrzeć przed zmierzchem, noc spędziliśmy na wzgórzach na zachód od miasta. O świcie, gdy niebo pojaśniało, na wschodzie i północy ujrzeliśmy ciemne smugi. Było ich nazbyt wiele, byśmy mogli je zliczyć. Szarawe kłęby miejscami się łączyły, przypominając wiszące nad horyzontem chmury, lecz wątpiłem, by były to zwyczajne deszczowe kłęby. Aethelflaed powiodła wzrokiem wzdłuż poznaczonego ciemniejącymi pręgami horyzontu.

- Moja nieszczęsna kraina - rzekła rozgoryczona.

- Haesten - odrzekłem.

- Mój mąż winien już prowadzić przeciwko niemu swych ludzi - powiedziała po chwili.

- Myślisz, że to uczynił?

Mercyjska pani zaprzeczyła powolnym ruchem głowy.

- Będzie czekał na Aldhelma, by usłyszeć od niego, jak ma się do tego zabrać.

Jej odpowiedź przywiodła mnie do śmiechu. Gdy znaleźliśmy się na wysokim wzgórzu,

skąd rozciągał się widok na dolinę rzeki Saefern, ściągnąłem wodze, by lepiej przyjrzeć się włościom mego kuzyna, od południa sąsiadującym z Gleawecestre. Aethelred wzniósł hallę dwukrotnie większą od tej, jaką zadowalał się jego ojciec. Obok nowego okazałego dworzyszczą stanęły stajnie, obory i potężny spichlerz, oparty na kamiennych, rozszerzających się ku górze podporach, chroniących zbiory przed napaścią szcurów. Wszystkie budynki - zarówno te błyszczące nowością, jak i ciemniejsze, starsze zabudowania gospodarskie - obwiedzione zostały solidną, wysoką palisadą. Spięliśmy konie i galopem puściliśmy się w dół stoku. Wartownicy stojący na szczycie drewnianej czatowni, choć musieli dostrzec nas z daleka, nie zapytali, kto zasz, najpewniej rozpoznając Aethelflaed. Krzyknęli do swych towarzyszy na dole, by otworzyli masywne wrota.

Zarządca dworu Aethelreda oczekiwał nas na rozległym dziedzińcu. Trudno orzec, czy był zdziwiony, widząc królewską córkę, ale jeśli nawet, nie dał tego po sobie poznać. Przywitał ją niskim ukłonem i uprzejmym słowem, po czym przywołał niewolnych, którzy przynieśli misy z wodą - abyśmy obmyli w nich dłonie - oraz pacholców stajennych, by zajęli się naszymi końmi.

- Mój pan jest w głównej sali, pani - oznajmił z widocznym zakłopotaniem.

- W dobrym zdrowiu? - zapytała niczym przykładna małżonka.

- Chwała Bogu, w jak najlepszym - odrzekł zarządca i spoglądając to na mnie, to na swoją panią, dodał: - Czy przybyłaś na radę, pani?

- Jaką radę? - zainteresowała się moja przyjaciółka, przyjmując od służebnego wełniany ręcznik do osuszenia rąk.

- Poganie nastroczają nam zmartwień, pani - ostrożnie wyjaśnił zapytany, koso na mnie popatrując.

- Oto osławiony pan Uhtred z Bebbanburga - objaśniła Aethelflaed, dokładając starań, by wyglądało to tak, jakby dopiero co przypomniała sobie o mym istnieniu. - A i owszem, przybyliśmy właśnie na radę.

Zarządca na dźwięk mego imienia mimowolnie postąpił krok w tył.

- Pozwól, pani, że oznajmię twe przybycie - rzekł, skłoniwszy się ponownie.

- Nie trzeba, byś się tym kłopotał - odrzekła stanowczo.

- Wasze miecze? - zapytał jeszcze. - Jeśli łaska, moi panowie, wasze miecze?

- Czy ktoś w halli jest uzbrojony? - chciałem wiedzieć.

- Nikt poza strażą przyboczną eldormana, panie.

Z ociąganiem oddałem oba miecze. Było dla mnie rzeczą zwyczajną, że na dworze królewskim nikt prócz drużyny władcy nie miał prawa nosić broni, ale tutaj? Najwyraźniej

Aethelred uważał, że jego godność, choć różniąca się od królewskiej, wymaga podobnych obyczajów. Zresztą rytuał ów nie był dyktowany zwykłą uprzejmością względem gospodarza, lecz i przezornością, bowiem w przeciwnym razie pierwsze lepsze huczne przyjęcie z łatwością mogłoby przerodzić się w okrutną rzeź. I chociaż nierad rozstawałem się z Oddechem Węża, oddałem go, obawiałem się bowiem, że moje wtargnięcie do domu kuzyna z długim mieczem u boku może zostać uznane za atak.

Zabrałem ze sobą Osfertha, Finana, Pyrliga i Beornotha. Moja prawica tętniła bólem. Była czerwona i opuchnięta. Dręczyła mnie myśl, że w zetknięciu z jakimkolwiek ostrzejszym przedmiotem nabrzmiała skóra pęknie niczym dojrzały owoc. Dlatego przechodząc z opromienionego słońcem podwórca do tonących w półmroku pomieszczeń dworzyszczca, trzymałem ją schowaną pod połą płaszczka.

W przeciwieństwie do zarządcy dworu eldorman Mercji nie zdobył się na powściągliwość, widząc Aethelflaed. Na jego obliczu najpierw odmalowało się rozdrażnienie. Potem jego oczy błysnęły nadzieją, najpewniej dlatego, że spodziewał się przybycia Aldhelma. Kiedy jednak zamiast zaufanego druha ujrzał mnie, z satysfakcją spostrzegłem, jak zasiadający na przypominającym tron wielkopańskim krześle mój pociotek, kurczy się ze strachu. Wykwintne siedzisko ustawione było na podniesieniu, gdzie w czasie uczt przyjmuje się gości przy pańskim stole. Rudawą czuprynę Aethelreda opasywał diadem z połyskliwego brązu, do złudzenia przypominający królewską koronę. Na bogato wyszywanym kaftanie eldormana błyszczał złoty łańcuch o grubych ogniwach, a jego ramiona okrywał pyszny płaszcz, barwiony na ciemną purpurę i obszyty futrem. Za plecami gospodarza stało dwóch wojowników przy mieczach i wspierających się na tarczach, zaś po jego bokach zasiadali dwaj klerycy. Ci zwrócenii byli twarzami do obradujących, którzy zasiadali na czterech ławach ustawionych w półkolu na zasłanej matami z sitowia podłodze.

Osiemnastu siedzących tyłem do wejścia mężczyzn odwróciło się, by na nas spojrzeć. Zajmującym miejsce po prawicy Aethelreda duchownym był mój wieloletni wróg, biskup Asser. Walińczyk gapił się na mnie szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, z czego wywnioskowałem, że Alfred nie wtajemniczył swego doradcy w intrygę ściągnięcia mnie do Mercji.

To właśnie Asser przerwał przedłużającą się ciszę, co dawało do myślenia. Dach, pod którym się znajdowaliśmy, należał wszak do Aethelreda, tytularnego eldormana Mercji, niemniej walijski biskup uznał za słuszne przejąć przewodnictwo nad obradami. Był to przejaw bezsprzecznej dominacji Alfreda nad saską Mercją - dominacji, której Aethelred serdecznie nienawidził. Zależność jego ojczyzny od życzeń władcy Wessexu, choć stanowiła

oparcie dla jego władzy, doskwierała mu do żywego. Z niecierpliwością czekał zgonu teścia, by zamienić brązowy diadem na królewską koronę. Nie ulegało wątpliwości, że przebiegły Asser, człowiek o kąśliwym języku, nie zasiadał po prawicy mego kuzyna, by służyć mu radą, lecz by przekazywać eldormanowi rozkazy Alfreda. Teraz zaś powiernik władcy zerwał się na równe nogi i wskazując mnie kościstym palcem, zawołał:

- Ty niegodziwcze!

Jednakże w tym samym momencie para leżących dotąd na podniesieniu ogarów z rozgłośnym szczekaniem doskoczyła do Aethelflaed, by ją powitać. Ich szczekanie całkiem zagłuszyło biskupa. Moja przyjaciółka uciszyła psiaki, gładząc je po głowach. Na sali podniósł się gwar.

- Zostałeś wyjęty spod prawa! - Walińczyk podniósł głos.

Poradziłem, by się uciszył, lecz nie ustawał w zapamiętałych protestach, które stłumił dopiero ojciec Pyrlig, wypowiadając do pyskacza parę słów po walijsku. Wprawdzie nie zrozumiałem ani słowa z jego cudacznej mowy, lecz odniosła zamierzony skutek. Domyśliłem się, że ksiądz wyjawił biskupowi, że Alfred przyczynił się do mego powrotu na południe. Nie wydaje mi się wszakże, by okoliczność owa przyniosła wielką pociechę Asserowi. Człowiek ten od zawsze był przekonany, że jestem wysłannikiem mocy nieczystych, którym przewodzi - wedle wierzeń chrześcijan - jakiś stwór ciemności o imieniu Szatan. Obojętnie jednak, co biskup sądził, zaprzestał ujadania.

Tymczasem Aethelflaed weszła na podniesienie, stanęła u boku małżonka i strzeliła palcami na służebnego, który pognał, by przynieść dla niej krzesło. Moja złotowłosa przyjaciółka nachyliła się do Aethelreda i oficjalnie ucałowała go w policzek. Przy tym szepnęła mu coś na ucho, co sprawiło, że poczerwieniał. Usiadła u boku męża i ujawszy jego prawicę, za słodyczą zwróciła się do Assera:

- Biskupie, spocznij, proszę. - I nie poświęcając mu już uwagi, poważnym spojrzeniem zmierzyła mercyjskich panów. - Przynoszę wam niepomysłne wieści. Duńczycy spalili opactwo Lecelad. Wszystkie siostry oddały ducha, podobnie jak drogi nam wszystkim pan Aldhelm. Niech dobry Bóg da im wieczne odpoczywanie.

- Amen - zawołał ojciec Pyrlig.

- Jak zginął pan Aldhelm? - dociekał Asser.

- Najpierw zajmijmy się bardziej naglącymi sprawami. Na posępne opowieści przyjdzie czas - stwierdziła królewska córka, nie spoglądając nawet w stronę duchownego. - Teraz zaś ustalmy, jakim sposobem zwyciężymy jarla Haestena.

Na sali zapanowało zamieszanie. Żaden z obecnych nie wiedział dokładnie, jakie rozmiary

przybrała inwazja Haestena. W przeciągu minionej nocy do Gleawecestre ściągnęło kilkunastu posłańców, każdy ze złowieszczymi doniesieniami o barbarzyńskich napaściach, których dokonały konne duńskie zastępy. Przysłuchując się uważnie kolejnym mówcom, zmiarkowałem, że wikiński przywódca postanowił skołować Mercjan. Mając pod wodzą dwa do trzech tysięcy ludzi, podzielił ich na mniejsze watahy, które rozpuścił po całej Mercji, by grabiły, pustoszyły i nękały ludność. Skutkiem tego nie sposób było powiedzieć, gdzie znajdują się najeźdźcy, gdyż ci dawali się we znaki we wszystkich zakątkach kraju.

- Czegóż oni chcą? - żałośnie zapytał Aethelred.

- Chcą osadzić swego wodza na twoim miejscu - odparłem.

- Kto cię upoważnił do wyrażania sądów? - warknął Asser.

- Biskupie - rzeczowo stwierdziła Aethelflaed. - Jeśli masz do powiedzenia coś, co byłoby pomocne, nie krępuj się i zabieraj głos. Jeśli jednak chcesz naprzykrzać się nam swoim biadoleniem, udaj się lepiej do kościoła i uskarżaj przed Bogiem.

Obradujący ucichli, zdumieni. Wydawać by się mogło, że duchowny miał na sali największy autorytet, gdyż jako emisariusz Alfreda działał z jego upoważnienia, a jednak córka króla go zbeształa, publicznie przywołując do porządku. Na jego pełne oburzenia spojrzenie odpowiedziała spokojem, z kamienną twarzą świdrując go oczyma, aż kleryk dał za wygraną i spuścił wzrok. Wówczas moja przyjaciółka przemówiła do zebranych:

- Odpowiedzmy sobie na kilka istotnych pytań. Jak liczni są najeźdźcy? Co jest ich celem? Jak wielu ludzi możemy im przeciwstawić? I dokąd ich najpierw poprowadzimy?

Aethelred nie otrząsnął się jeszcze z ogłupienia, w jakie wpadł po nieoczekiwanym przyjeździe małżonki. Fakt, że kazał ją oblegać i głodzić, nie mógł być tajemnicą dla żadnego z obradujących. Niemniej wszyscy widzieli ją teraz trzymającą męża za rękę i nikt nie sprzeciwiał się jej udziałowi w radzie. Sam zaś eldorman Mercji był tak wstrząśnięty jej obecnością, że nie wiedział, co czynić, pozwolił więc, by zamiast niego przewodziła zgromadzeniu, zwłaszcza że przychodziło jej to z zadziwiającą łatwością. Jej delikatna, ujmująca powierzchowność emanowała łagodnością, podczas gdy wypowiedane przez nią słowa dowodziły lotnego umysłu, takiego jak u jej ojca, popartego nieugiętą wolą, właściwą jej matce.

- Nie przekrzykujcie się - zażądała stanowczo, gdy zgromadzeni, dowodząc swych racji, poczęli unosić głos. - Panie Aelfwoldzie - rzekła, uśmiechając się wdzięcznie do mężczyzny o hardym obliczu. - Twe ziemie, jak słyszę, zostały srodze spustoszone. Dlatego do ciebie najpierw kieruję pytanie, jakimi siłami, według ciebie, rozporządzają wrogowie?

- Od dwóch do trzech tysięcy jeźdźców - odparł zapytany, po czym, wzruszając ramionami,

dodał: - Jeśli nie więcej, trudno o ścisły rachunek.

- Albowiem podzielili się na mniejsze grupy?

- Uderzają zastępami, których jest kilkanaście - odrzekł - a może i ze dwadzieścia.

- Ilu ludzi możemy im przeciwstawić? - To pytanie, zadane głosem pełnym szacunku, Aethelflaed skierowała do swego małżonka.

- Tysiąc pięćset włóczni - rzucił opryskliwie.

- Tylko tylu? Przecież musimy mieć więcej wojowników! - odparła zdziwiona.

- Twój ojciec - wyłuszczył Aethelred, nie mogąc odmówić sobie przyjemności, by wyrzec te słowa z drwiną - życzy sobie, by pięciuset Mercjan strzegło londyńskich murów.

- Sądziłem, że londyński garnizon składa się wyłącznie z Zachodnich Sasów - wtrąciłem, a miałem podstawy, by wyrażać swą opinię, gdyż przewodziłem tamtejszej straży przez całe pięć lat.

- Alfred pozostawił trzystu Zachodnich Sasów w Londynie - wyjaśnił Asser, siląc się na życzliwość - zaś pozostałych zawezwał do Wintanceasteru.

- A to dlaczego?

- Albowiem Haesten wystosował do nas list z przestrogą - rzekł głosem przepełnionym goryczą i naraz urwał. Jego szurze oblicze zmarszczyło się paskudnie. - Z listu tego wiadomo nam, że pospołu z jarłami Northumbrii zamierzałeś uderzyć na Wessex - podjął, nie kryjąc zapamiętałej nienawiści. - Czy to prawda?

Milczałem. Nie chciałem wcześniej zdradzić Sasom zamiarów Ragnara, jako że wiązały mnie z nim braterskie więzy. Wolałem pozwolić, by to los zadecydował, kiedy ci dowiedzą się o zamierzonej przez northumbryjskich jarłów wyprawie. Wszystko jednak wskazywało na to, że Haesten odkrył przed Zachodnimi Sasami zamiary swych współplemieńców z północy wyspy. Oszust zdradził ich plany zapewne po to, by skłonić Alfreda do wycofania swych sił z Mercji. Jego wybieg - jeśli mogłem wierzyć słowom Assera - w pełni się udał.

- Cóż teraz rzekniesz? - przynaglił Aethelred, odgadując przyczyny mego milczenia.

- Northumbryjscy jarłowie istotnie rozważali atak na Wessex - rzekłem słabym głosem.

- A czy taki atak nastąpi?

- Prawdopodobnie - odparłem wymijająco.

- Prawdopodobnie - podchwycił Asser z szyderczym uśmieszkiem. - A jaki ma być w nim twój udział, erlu Uhtredzie - drwina, z jaką wymówił moje imię, była ostra jak sztych Oddechu Węża. - Masz wywieść nas w pole? Czy też zwyczajnie wyróżnić jak najwięcej chrześcijan? - Biskup wstał raz jeszcze i wykorzystując uzyskaną przewagę, krzyknął: - W imię Chrystusa! Żądam, by uwięziono przemieszanie!

Nikt się nie poruszył, by mnie pojmać. Aethelred wprawdzie skinął ręką na dwóch stojących za nim wojowników, lecz gest ów był na tyle nieprzekonujący, że straż go zlekceważyła.

- Erl Uhtred przybył na me wezwanie, by stanąć w mojej obronie - Aethelflaed przerwała pełną napięcia ciszę.

- Wszyscy wojownicy tej krainy służą ci obroną - zauważył duchowny, zamasztył gestem wskazujących na ławach mężów.

- Po cóż miałabym szukać oparcia u mercyjskich panów - odparła ma przyjaciółka - skoro chroni mnie pan Uhtred?

- Pan Uhtred - napastliwie oświadczył klecha - to niewart zaufania wiarołomca.

- A dlaczego mielibyście dawać posłuch temu walijskiemu cherlakowi? - zwróciłem się do obradujących. - Jakim prawem ów przybłęda wmawia Anglom i Sasom, że ja, wasz pobratymiec, nie jestem wart zaufania? Jak wielu z was postradało przyjaciół, synów i braci za sprawą zdradliwych postępów Walińczyków? O ile dziś Duńczycy są najstraszniejszymi wrogami Mercji, Bryci z Walii byli nimi od zawsze. A teraz chcą nam udzielać lekcji wierności?

Zza moich pleców dobiegło niezrozumiałe mamrotanie ojca Pyrliga, który - jak zgadywałem - urągał mi w swym ojczystym języku. Wiedział wszakże, dlaczego pomstowałem na jego ziomków. Odwoływałem się do głęboko zakorzenionej nieufności, jaką Mercjanie od niepamiętnych czasów czuli wobec mieszkańców Walii - ale robiłem to tylko dlatego, by pogрузić Assera. Wszyscy wiedzieli, że odkąd istniała Mercja, Brytowie najeżdżali angielskie i saskie krainy, by zagarniać bydło, kobiety i wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Ciemnieli moich ziomków, tłumacząc to tym, że zajmowane przez nich ziemie to walijskie „ziemie utracone” Brytowie po wsze czasy będą hołubić w sercach marzenie, by przegnać Anglów i Sasów za morze. Dlatego właśnie nie spodziewałem się, by goszczący we dworze Aethelreda mężowie darzyli ciepłymi uczuciami łupieżców z Walii, do których nienawiść dziedziczyli z ojca na syna, poczynając od swych praprzodków.

- Brytowie - wydarł się Asser - to zbożni chrześcijanie! A najwyższy już czas, by cały prawowierny lud pojednał się w walce z barbarzyńcami nastającymi na naszą religię! Spójrzcie tylko! - Znów wymierzył we mnie sękaty wskazujący palec. - Pan Uhtred nosi u szyi amulet Thora. To bałwochwalca, poganin, nieprzyjaciel naszego dobrego Jezusa Chrystusa!

- A mimo to jest moim serdecznym przyjacielem - oświadczyła Aethelflaed - któremu zawierzyłam życie.

- Jest bałwochwalcą - powtórzył biskup, jakby była to najstraszniejsza zniewaga, na jaką

mógł się zdobyć. - Człek ten złamał śluby wierności! Zamordował świętego! To przeciwnik wszystkiego, co jest nam najdroższe, to nasz najstraszniejszy... - i wtedy głos zamarł mu w gardle.

Klecha umilkł, gdyż wkroczyłem na podniesienie i pchnąłem jego chudy tors, przymuszając zdechlaka, by usiadł, a potem, opierając dłonie na podłokietnikach krzesła duchownego, nachyliłem się nad nim i wpatrywałem w jego wężowe oczy.

- Pragniesz męczeńskiej śmierci? - spytałem. Walińczyk zaczerpnął powietrza, jakby gotował się do udzielania mi dosadnej odpowiedzi, lecz zmiętył się i zamilkł. Wyszczrzyłem się w uśmiechu, widząc, jak dusi kipiący w gardle gniew. Zbliżyłem dłoń do jego ziemistego policzka i poklepałem dobrotliwie. Dopiero wtedy wyprostowałem się i zwróciłem do siedzących w półkolu Mercjan. - Przybyłem tu, by wspomóc panią Aethelflaed, która stanęła na czele obrony Mercji. Jeżeli którykolwiek z was żywi przekonanie, że wasza ojczyzna ucierpi wskutek mojej pomocy, niech przemówi, a pani Aethelflaed z pewnością zwolni mnie z przysięgi i odprawi.

Nikt się nie spieszył, by żądać mego odejścia. Zebrani w halli mężowie wydawali się poruszeni moją mową, zaś Aelfwold, którego ziemie najbardziej ucierpiały wskutek ataków Haestena, przywrócił dyskusji właściwy bieg.

- Nie mamy dość ludzi, by stawić czoło najeźdźcom - orzekł markotnie. - Jeśli Zachodni Sasi nas nie wesprą...

- Nie należy się tego spodziewać - rzuciłem. - Chyba się ze mną zgodzisz, biskupie? - Asser kiwnął głową, nazbyt wściekły, by zabrać głos. - Wessex także szykuje się do odparcia ataku - ciągnąłem - toteż Alfred nie będzie mógł użyć nam swej armii. Musimy sprostać Haestenowi, zdając się na własne siły.

- Ale jak? - spytał zatroskany Aelfwold. - Jego ludzie są wszędzie i nigdzie! Jeśli wyprawimy armię w poszukiwaniu wrogów, ci obejdą ją kołem.

- Nie pozostaje wam nic innego, jak wycofać się za palisady burhów - stwierdziłem. - Haesten nie jest wystarczająco dobrze wyposażony, by oblegać umocnione osady. Fyrd utrzyma strażnice, za ostrokoły których powiedziecie cały żywy inwentarz. Tam też złożycie swe srebro. Jarl będzie puszczał z dymem wsie, lecz zdobywanie obsadzonych solidnymi załogami burhów nie jest w jego mocy.

- Mamy zatem pozwolić mu pustoszyć nasze ziemie, a samemu kryć się za palisadami? - uniósł się srogi wojownik.

- Skądże - odparłem.

- Cóż tedy proponujesz? - nagabnął mnie Aethelred.

Zamyśliłem się. Haesten, wedle tego, co nam doniesiono, obrał strategię inną niż wcześniejsi najeźdźcy. Kiedy poprzedniego lata Harald uderzył na Wessex, przywiódł ze sobą nieprzeliczoną armię, za którą ciągnęły kobiety, dzieci i niewolni. Tymczasem pirat z Beamfleot porozsyłał jezdnych nieobciążonych ani taborem, ani rodzinami. Połączył własne załogi z niedobitkami floty Haralda oraz Duńczykami ze Wschodniej Anglii. Te liczne oddziały plądrowały Mercję w szaleńczym tempie, dzień w dzień pokonując wiele mil, paląc i łupiąc wszystko, co znalazło się na ich drodze. Wprawdzie mogliśmy zebrać armię i wymaszerować w pole, lecz szybkie konne drużyny mogły się nam z łatwością wymknąć, jak też później sprawnie się połączyć i opaść nas, gdybyśmy znaleźli się w niekorzystnym położeniu. Nie powinniśmy wszakże czekać bezczynnie, aż ciemieźcy tak dalece naprzykrzą się prostym Mercjanom, że ci skłonni będą szukać spokoju w duńskim zwierzchnictwie. Należało więc poważnie się na stanowcze posunięcie i zadać im decydujący cios, nim zanadto nadwątlą nasze siły.

- Milczysz? - wyszczał Asser, posądzając mnie o brak pomysłu.

Nie zareagowałem na jego ponaglenie, obawiając się, czy mój plan nie jest nazbyt śmiały, wszelako nie przychodziło mi do głowy żadne inne rozwiązanie. Czułem skupiony na sobie wzrok zebranych. Niektórzy spoglądali na mnie z nieskrywaną niechęcią, inni z rozpaczliwą nadzieją.

- Panie Uhtredzie - delikatnie przynagliła mnie Aethelflaed.

I zdradziłem im mój zamysł.

Nastąpiły nieoczekiwane trudności. Aethelred dowodził, że ambicją Haestena jest zdobycie Gleawecestre.

- Jarl będzie chciał założyć tutaj obóz wojenny, gdyż stąd mógłby uderzyć na Wessex - stwierdził, przypominając Asserowi, jak przed wielu laty Guthrum zawładnął grodem, a następnie zebrał nieprzeliczoną duńską armię, która na jakiś czas zawładnęła Wessexem i o mały włos nie doprowadziła do całkowitego zniszczenia kraju. Biskup przychylił się do zdania eldormana Mercji, ani chybi dlatego, że zależało mu na odrzuceniu mojego planu przez tenów. W końcu Aethelflaed ukróciła jałowe spory, wyrażając swą wolę:

- Wyruszam wraz z Uhtredem - oznajmiła dobitnie - i wszystkimi, którzy gotowi są do nas przystać.

Aethelred nie miał zamiaru jednoczyć ze mną swych sił. Kuzyn od zawsze spoglądał na mnie niechętnie, a odkąd uchroniłem Aethelflaed przed jego mściwością, zapalał do mnie nieprzejednaną nienawiścią. Wprawdzie zależało mu na udaremnieniu zakusów Duńczyków, lecz o wiele ważniejsze było dla niego marzenie o zamianie siedziska eldormana na tron króla.

Do tego zaś potrzebował dwóch rzeczy: śmierci Alfreda i odsunięcia od władzy jego córki.

- W tym czasie ja zbiorę armię w Gleawecestre - oświadczył z naciskiem - i powstrzymam marsz Haestena na Wessex. Oto moje postanowienie. - Obrzucił zasiadających na ławach mercyjskich panów nasrożonym spojrzeniem. - Spodziewam się, że stawicie się tu jak jeden mąż. Żądam waszej obecności. Chcę was tu widzieć za cztery dni!

Aethelflaed popatrywała na mnie stropiona.

„Londyn” - bezgłośnie poruszyłem ustami.

- Ja wyruszam do Londynu - oznajmiła. - Ci, którzy życzą sobie widzieć Mercję wolną od pogan, niechaj tam do mnie dołączają. Za cztery dni.

Na miejscu Aethelreda w zarodku stłumiłbym sprzeciw Aethelflaed. Eldorman miał pod bokiem straż, podczas gdy ja i moi ludzie byliśmy nieuzbrojeni. Wystarczyłoby jedno jego słowo, bym legł martwy na matach z sitowia, jednak memu kuzynowi brakło po temu śmiałości. Wiedział przecież, że na dziedzińcu stoją moi ludzie, więc chyba obawiał się ich zemsty. Gdy zbliżyłem się do jego krzesła, wzdrygnął się gwałtownie, po czym podniósł na mnie niespokojny, posępny wzrok.

- Aethelflaed jest twoją żoną - rzekłem doń półgłosem. - Lecz klnę się, że jeśli umrze lub zapadnie na zdrowiu, złożona nagłą i tajemniczą niemocą, albo jeśli dojdą mnie pogłoski, że rzucono przeciwko niej złe uroki, dopadnę cię, kuzynie. Wyszę ci ze łba gałki oczne i wycharknę ci je do gardła, byś udławił się nimi. - Uśmiechnąłem się do niego szeroko. - Jeśli zaś chcesz ocalić swój kraj - dorzuciłem na odchodnym - każ swym ludziom przybyć do Londynu.

Nie wziął sobie do serca mej rady, podobnie jak zdecydowana większość podległych mu tenów. Mercjanie najwidoczniej uznali mój plan za nazbyt ryzykowny albo zwyczajnie obawiali się sprzeciwić woli swego opiekuna. Albowiem to on wciąż pozostawał mercyjskim rozdawcą pierścieni i złota, zaś majątek Aethelflaed był równie skromny jak mój. Dlatego większa część mercyjskich wojowników stawiła się w Gleawecestre, gdzie na rozkaz eldormana oczekiwali na atak Haestena - atak, który nigdy nie nastąpił.

Tymczasem zastępy jarla łupiły Mercję. Jako że w przeciągu kilku następnych dni przebywałem w Londynie - gdzie ściągająca z ogarniętych wojną ziem ludność - mogłem śledzić błyskawiczne postępy Duńczyków. Najeźdźcy zawłaszczali wszystko, co wpadało im w ręce, poczynając od prostych sprzętów, takich jak żelazny rożen czy końska uprząż, a kończąc na kobietach i dzieciach. Cała zdobycz odsyłana była do Beamfleot, gdzie nad brzegami Tamizy stała warownia Haestena. Nagromadzone tam łupy najpewniej miały zostać sprzedane w kraju Franków. Nowiny o odnoszonych przez wodza piratów zwycięstwach

przydawały mu coraz więcej zwolenników. Nowe wikińskie załogi przyłączały się do bogacącego się jarla. Przewąchujący niechybny upadek Mercji Duńczycy przybywali ze wszech stron, pragnąc mieć swój udział w podboju i zagarnięciu angielskich ziem. Haesten zdobył wiele osad nieprzekształconych w burhy. W tamtejszych kościołach i klasztorach znalazł pokaźne zasoby srebra, które powędrowało do jego skarbnicy. Alfred wyprawił do Gleawecestre zbrojną pomoc, lecz nieliczną, gdyż szerzyły się pogłoski, że potężna wikińska flota opuściła wybrzeża Northumbrii i żeglowała na południe. W Wessexie zapanował chaos.

Ja zaś pozostawałem bezradny, bowiem po upływie czterech dni miałem pod wodzą zaledwie osiemdziesięciu trzech ludzi. W połowie była to moja uszczuplona załoga, w połowie Mercjanie przybyli na wezwanie Aethelflaed. Przystał do nas także Beornoth, choć większość wojowników, którzy stanęli po mej stronie w Lecelad, pozostała na dworze Aethelreda.

- Dołączyłoby do nas wielu innych, panie - powiedział Beornoth - lecz wstrzymała ich obawa przed gniewem eldormana.

- Co im groziło, gdyby okazali nieposłuszeństwo?

- Straciliby swe gospodarstwa, panie. Wszystko, co mają, zawdzięczają wspaniałomyślności pana Mercji.

- Ty wszakże przybyłeś - zauważyłem.

- Darowałeś mi życie, panie - odrzekł.

W domu, gdzie przemieszkałem ładnych parę lat, kwaterował Weohstan, nowy dowódca tamtejszego garnizonu,

Zachodni Sas o srogim obliczu, którego pamiętałem z walk pod Fearnhamme. Gdy przybyłem do Londynu - a działo się to po zmroku, wśród siekącego deszczu - zaskoczony biskup Erkenwald polecił Weohstanowi, by mnie pojmał. Ten wszakże zdecydował zlekceważyć wydane przez królewskiego dostojnika dyspozycje. Zamiast mnie ująć, przybył do należącego do władców Mercji pałacu - wzniesionego dawno temu jako rezydencja dla rzymskiego namiestnika miasta - by się ze mną widzieć.

- Jak mniemam, panie, zjawiasz się, by stawić czoło Duńczykom? - zapytał bez wstępów.

- Nie inaczej - odpowiedziała w mym imieniu Aethelflaed.

- Zatem nie mam dość ludzi, by cię aresztować - stwierdził.

- A ilu masz pod swą komendą?

- Trzystu - odparł z uśmiechem.

- Zaiste, nie masz się co trudzić - zgodziłem się, a potem wyjawilem swój plan, który nie wzbudził w nim większego entuzjazmu.

- Wesprę cię, na ile będę mógł - obiecał, lecz w jego głosie pobrzmiewało zwątpienie. Dożywszy z górą trzydziestu lat, Weohstan stracił już większość zębów, skutkiem czego jego mowa przywodziła na myśl szemranie strumienia. Łysy jak kolano wojownik o rumianym obliczu był dość niski, lecz szeroki w barach. Sprawność, z jaką władał bronią, i harda postawa czyniły go skutecznym przywódcą, zaś wieloletnie doświadczenie nauczyło go przezorności. Bez wahania powierzyłbym mu obronę murów, ufając, że będzie ich bronił do ostatka, lecz nie był to człowiek, który powiodłby innych do zuchwałego szturmu.

- Otóż możesz wyświadczyć mi przysługę, i to już teraz - odrzekłem i poprosiłem, by użyczył mi okrętu.

Dowódca garnizonu zmarszczył brew.

- Obyś tylko go zwrócił, panie - rzekł po namyśle, uznawszy najwyraźniej, że przychyłając się do mej prośby, niewiele ryzykuje.

Erkenwald, dowiedziawszy się, że szykuję się do wypłynięcia, próbował mnie zatrzymać. Zjawił się na nabrzeżu, u stóp mego dawnego domu. Weohstan nie był przy tym obecny, gdyż przezornie znalazł sobie jakieś inne zajęcia. Biskup przywiódł swoją straż przyboczną - trzech zbrojnych, którzy nie mogli wszakże stawać do walki z moją załogą. Jednak biskup nie dawał za wygraną.

- Jestem zwierzchnikiem Londynu - oświadczył, co było zgodne z prawdą - i rozkazuję ci opuścić miasto.

- Właśnie to czynię - odparłem, wskazując gotową do drogi łódź.

- Ale nie na pokładzie jednego z naszych okrętów! - zaperzył się.

- No to mnie zatrzymaj - odrzekłem z butą.

- Biskupie... - odezwała się stojąca obok Aethelflaed.

- Kobieta, która zna swe miejsce, nie powinna zabierać głosu, gdy ważą się męskie sprawy! - zgromił ją Erkenwald.

Aethelflaed uniosła się gniewem.

- Jestem..

- Twoje miejsce, pani, jest u boku męża!

Bezceremonialnie ująłem kleryka za ramiona i powiodłem na taras, gdzie w ciche wieczory zwykłem przesiadywać z Gisłą. Biskup, drobny i niższy ode mnie o głowę mężczyzna, próbował strząsnąć moje ramię. Szamotał się, póki nie puściłem go wolno. Przewalająca się przez wyrwę w starym rzymskim moście woda grzmiała głucho, zmuszając mnie, bym podniósł głos:

- Co wiadomo ci o Aethelredzie i Aethelflaed? - zapytałem.

- Mieszanie się do spraw stała złączonego małżeńskim sakramentem nie jest naszą rzeczą - odpowiedział opryskliwie.

- Przecież jesteś człowiekiem rozumnym, biskupie - rzekłem łagodnie.

Erkenwald, unosząc ściągnięte gniewem oblicze, zmierzył mnie surowym wzrokiem.

- Błogosławiony apostoł Paweł - odrzekł cierpko - poucza zameżne niewiasty, by podporządkowały się woli małżonków⁴⁷. Czyżbyś zalecał mi, bym nie słuchał rad mędrców własnej wiary?

- Skądże, odwołuję się jedynie do twego zdrowego rozsądku - wyjaśniłem. - Duńczycy chcą wypłenić twoją religię. Dostrzegają słabość Wessexu rządzonego przez opadającego z sił władcę, jednoczą się więc, by wyprzeć Sasów najpierw z Mercji, a potem z Wessexu. Jeśli postawią na swoim, biskupie, za parę tygodni jakiś Duńczyk nadzieje cię na swoją włócznie niby na rożen, czyniąc cię błogosławionym męczennikiem. Aethelflaed pragnie powstrzymać pogan, a ja służę jej mym mieczem.

Gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że Erkenwald nie pomawiał mnie o zdradzieckie zamysły, lecz i tak się obruszył.

- Jej małżonek także stara się poskromić wikingów - zauważył gniewnie.

- Przede wszystkim dwoi się i troi, by odłączyć Mercję od Wessexu - sprostowałem. Biskup przyjął me słowa w milczeniu, gdyż wiedział, że mam słuszość. - Zastanów się więc, kto uchroni cię przed losem męczennika? Ja czy Aethelred?

- Bóg jest moim orędownikiem - odparł uparty duchowny.

- Zabawię tu jedynie parę dni - powiedziałem. - Możesz nieść mi pomoc bądź też czynić wstręty. Rzeknę ci tylko tyle, że stając na mojej drodze, biskupie, działasz na swoją szkodę, a Duńczykom otwierasz drogę do zwycięstwa.

Erkenwald zawadził spojrzeniem o stojącą nieopodal Aethelflaed. Na jego zapadniętych policzkach zagrały mięśnie. Być może klecha przewąchiwał grzech w naszym widomym przymierzu, a może raczej wyobrażał sobie zakutych w żelazo wikingów nadziejących go na groty włóczni?

- Przyrowadź okręt z powrotem do portu - rzucił półgębkiem, odwrócił się do mnie plecami i pospiesznie oddalił.

Użyczoną mi łodzią był niewielki *Haligast*, który przez wiele lat służył Alfredowi jako okręt flagowy. Władca używał go, ilekroć poruszał się wodami Tamizy, jednakże - jak się domyślałem - wzmagające się z wiekiem dolegliwości skłoniły króla do poniechania rzecznych przejazdów. Zwinny *Haligast* został więc przeprowadzony przez zdradliwy przesmyk między filarami przerwanego rzymskiego mostu do Londynu, by teraz pływać po

rozlewających się szeroko wodach ujścia Tamizy jako łódź zwiadowcza. Jego szyprem był Ralla, mój dobry przyjaciel.

- To leciutka łódź - zachwalał *Haligasta* - i prędką.

- Śmiglejsza od *Srebrzystego Wilka*? - zapytałem.

Szyper znał ten okręt równie dobrze jak ja.

- Daleko jej do niego, panie - odrzekł - ale dobrze idzie z wiatrem, a kiedy Duńczycy zanadto się zbliżą, można ją wprowadzić na płytsze wody.

- Kiedy ja miałem pieczę nad tymi wodami - rzekłem, wspominając dawne lata - Duńczycy umykali przed nami.

- Czas wszystko odmienia - ponuro stwierdził Ralla.

- Czy poganie atakują zamorskie statki? - spytała Aethelflaed.

- Nie widzieliśmy żadnej kupieckiej łodzi od przeszło dwóch tygodni - odpowiedział Ralla - co jasno wskazuje, że piraci nie próżnują.

Moja złotowłosa przyjaciółka zażądała, bym zabrał ją ze sobą, co nieszczerze mnie cieszyło, gdyż nigdy nie uważałem, by celowym było wystawianie niewiast na niebezpieczeństwa, wszelako wiedziałem już, czym pachnie sprzeciwianie się woli córki Alfreda. Aethelflaed chciała brać czynny udział w kampanii przeciwko łupieżcom, a że niełatwo byłoby odwieść ją od raz powziętego postanowienia, popłynęła z nami. Stała teraz wraz z Rallą, Finanem i mną na półpokładzie sterowym *Haligasta*, kierowanego przez obeznanego z tymi wodami szypra.

Ileż to już razy odbywałem podróż wstęgą rozszerzającej się ku morzu Tamizy? Przypatrywałem się mijanym, połyskującym w słońcu błotnistym brzegom, odnajdując zakarbowane w pamięci charakterystyczne punkty skręcającego się wodnego szlaku. Jako że szliśmy wraz z odpływem, wioślarze czynili jedynie krótkie pociągnięcia, by nadać łodzi sterowność. Schodzące nam z drogi łabędzie nabierały pędu, bijąc płetwami o lustro wód, po czym ulatywały w powietrze, zaś nad naszymi głowami co rusz przesuwały się stada zmierzających na południe ptaków. Bagniste brzegi powoli się od siebie oddalały, w miarę jak rzeka rozlewała się coraz szerzej, mieszając swe wody z morzem. W końcu minęliśmy ostatni zakręt i odbiliśmy nieco na północ. Pozwoliliśmy, by płływ niósł *Haligasta* wzdłuż wybrzeży Wschodniej Anglii.

Po naszej lewej burcie przesuwało się tylekroć już widziane przeze mnie ponure wybrzeże. Rozległe mokradła ustępowały w dali ziemiom uprawnym. Powoli zbliżaliśmy się do sterczącego nad płaskim horyzontem potężnego, lesistego i doskonale mi znanego wzgórza. Na jego rozległym, oczyszczonym z drzew wierzchołku wznosiła się potężna warownia górująca

nad wodami Tamizy. Beamfleot.

Aethelflaed ujęła moją dłoń i wpatrzyła się w pradawną twierdzę. Rozpamiętywała dawne dni, kiedy jako więziona tutaj zakładniczka zapalała żarliwą miłością do pewnego młodego jarla. Nieszczęśnik postradał życie na jej oczach, przebity mieczem własnego brata.

Południowy stok wzgórza opadał stromizną ku wiosce, od której warownia wzięła swą nazwę. Osada Beamfleot leżała nad brzegiem płytkiej, bagnistej zatoki, utworzonej przez mającą tam swe ujście rzekę Hothlege. Zatoka owa była osłonięta od otwartych wód przez porośniętą trzcinami wyspę, zalewaną przez morze podczas wysokich przyływów bądź silniejszych wschodnich wiatrów. Zamknięte ujście Hothlege było dogodnym portem, w którym spostrzegłem mnóstwo okrętów. Większość statków wyciągnięto na brzeg u stóp stromeo wzgórza. Przesmyku dającego dostęp do zatoki broniła para pozbawionych masztów długich łodzi, po jednej na każdym brzegu. Burty tych pływających strażnic zostały nadbudowane, by odpierać ataki od strony morza. Zgadywałem, że nurt Hothlege przegradzał łączący owe okręty łańcuch, który uniemożliwiał wejście do pirackiego portu obcym statkom.

- Podejdź bliżej - warknąłem do Ralli.

- Panie, chcesz osiąść na mieliźnie?

- Nie, chcę tylko podejść nieco bliżej.

Miałem ochotę chwycić za wiosło sterowe i sam poprowadzić okręt, lecz nie pozwalała mi na to wciąż obrzmiała prawica. Puściłem dłoń Aethelflaed, by podrapać nieznośnie swędzącą skórę.

- Jeśli będziesz ją wciąż drapał, tylko pogorszysz sprawę - napomniała mnie złotowłosa, delikatnie gładząc moją spuchniętą dłoń.

Finan wspiał się na szczyt masztu *Haligasta*.

- Ile? - zawołałem zniecierpliwiony.

- Setki - odkrzyknął i dopiero po chwili podał dokładniejszą liczbę: - Około dwustu!

Nie mógł dokładnie oszacować sił wroga pewnie dlatego, że maszty wikińskich łodzi stały gęsto, jeden obok drugiego, niby drzewka w młodym zagajniku. Nadto jak podejrzewałem, niektóre statki miały położone maszty, a ich kadłuby kryły się za innymi.

- Mario, zmiłuj się nad nami - Aethelflaed, czyniąc znak krzyża, ozwała się cicho.

- Dziewięć tysięcy wojowników? - zafrasował się Ralla.

- Nie sądzę - odrzekłem, pamiętając, że wiele załóg, które przystały do Haestena, należało do rozbitej armii Haralda, a więc było silnie przetrzebionych. Jednakże nawet biorąc to pod uwagę, należało liczyć, że najeźdźcy byli dwukrotnie silniejsi, niż wynikało to z naszych ocen poczynionych w Gleawecestre. Na stłoczonych u ujścia Hothlege okrętach musiało przybyć

przynajmniej pięć tysięcy wikingów. Większość z nich zapewne wypuściła się konno na mercyjskie ziemie, by siać spustoszenie. Nie wątpiłem jednak, że w Beamfleot pozostała silna załoga, która obserwowała nas ze szczytu warownego wzgórza. Potwierdzeniem tego był widok połyskujących w słońcu grotów włóczy ponad wieńczącym wały twierdzy ostrokołem. O dziwo, kiedy osłoniłem oczy i wpatrzyłem się w szczyt niebosiężnego wzgórza, wydało mi się, że palisada jest bardzo zaniedbana - nawet z tak dużej odległości widać było powstałe w niej spore ubytki.

- Finan - krzyknąłem do wciąż sterczącego na maszcie przyjaciela. - Dostrzegasz wyrwy w palisadzie?

Nie od razu otrzymałem odpowiedź.

- Zaiste, panie! Za to na dole, na brzegu, stoi nowa warownia!

Choć wyteżądałem wzrok, z pokładu *Haligasta* nie mogłem dojrzeć nowej twierdzy, nie wątpiłem jednak w słowa bystrookiego Irlandczyka. A kiedy ześliznął się po grubym drzewcu masztu, jego opowieść potwierdziła moje podejrzenia, że Haesten pozostawił bez opieki umocnienia na wzgórzu, aby niszczały.

- Wprawdzie wystawia tam warty, panie, lecz warownia przeniesiona została na północny brzeg zatoki, gdzie dojrzałem pioruńsko wysoką ścianę.

- Dlaczego porzucił tak dogodną pozycję? - zdziwiła się Aethelflaed.

- Ze względu na jej zbyt oddalenie od stojących w porcie okrętów - wyjaśniłem.

Haesten lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, czym to groziło, gdyż niegdyś sam wykorzystał tę niedogodność, prowadząc walki z Sigefridem. Udało mu się wówczas podpalić znaczną część floty norweskiego jarla, nim Sigefrid i jego ludzie zdążyli zbiec z wysokiego wzgórza, by temu zapobiec. Nauczony doświadczeniem nowy władarz Beamfleot wzmocnił wejście do portu, zagradzając je nie jednym, ale dwoma statkami wartowniczymi o wysoko nadbudowanych burtach, zaś od strony lądu zamknął przystęp do zatoki, wznosząc na jej brzegu nową warownię. W ten sposób jego okręty były bezpieczne. A nawet gdybyśmy zdobyli słabo obsadzoną starą twierdzę, niewiele byśmy zyskali, mimo że górowała nad Hothlege, bowiem nową dzieliła od warownego wzgórza odległość większa, niż wynosił skuteczny ostrzał z łuków.

- Nie wiem, czy mnie wzrok nie mylił - ciągnął Finan - gdyż ledwie co widziałem obrys świeżej palisady, lecz zdawało mi się, że ze wszech stron otacza ją woda.

- Nie dziwię się temu, bo Haesten na pewno postanowił odpowiednio zabezpieczyć swój skarbiec - stwierdziłem ze spokojem.

- Czy mamy szansę się tam wdrzeć? - zapytała z powątpiewaniem Aethelflaed.

- Musimy - stwierdziłem krótko.
- Nie mamy na to dość ludzi!
- I cóż z tego? - nie zamierzałem ustąpić.

Właśnie na tym zasadzał się mój plan - zamierzałem zdobyć warownię, w której Duńczycy gromadzili jeńców. Za jej palisadą musiało się roić od pojmanyh w Mercji kobiet i dzieci. Tam też najeźdźcy zwozili wszystkie zagrabione łupy. Jak zgadywałem, w Beamfleot znajdowała się również rodzina jarla i bliscy grabiących wewnątrz kraju wikingów. Co więcej, twierdza chroniła całą ich flotę. Gdyby więc udało się nam ją opanować, odebralibyśmy Haestenowi cały zdobyty majątek, ujęli krocie ważnych dla wikingów brańców i - co nie mniej istotne - zniszczyli duńskie okręty. Zajmując Beamfleot, zadalibyśmy piratom potężny cios, który dodałby otuchy ciemieżonym Anglom i Sasom. Takie zwycięstwo wprawdzie nie oznaczałoby jeszcze wygrania wojny, lecz z pewnością znacznie osłabiłoby pozycję Haestena. Wielu sprzymierzeńców odwróciłoby się od niego, bo któż chciałby podążać za wodzem, który nie potrafi zapewnić bezpiecznego schronienia rodzinom swych zwolenników? Aethelred trwał w przekonaniu, że najszlachetniejszym sposobem na wybawienie Mercji od zguby jest obrona Gleawecestre przed napastnikami, mnie jednak właściwsze wydawało się podjęcie ataku i ugodzenie wroga tam, gdzie najmniej się nas spodziewał. Zamierzałem zawładnąć wrogą warownią, zniszczyć flotę najeźdźców i odebrać zagrabione łupy.

- Ilu masz ludzi, panie? - chciał wiedzieć Ralla.
- Gdy ich ostatnio rachowałem, naliczyłem osiemdziesięciu trzech - odrzekłem.

Szyper roześmiał się w głos.

- A ilu trzeba, by zdobyć Beamfleot?
- Dwa tysiące mieczy.
- Chyba nie wierzysz w cuda, panie? - zapytał, poważniejąc.

Aethelflaed lekko ścisnęła moją dłoń.

- Wojownicy nadciągną - zapewniła mnie, lecz w jej głosie nie było przekonania.

- Oby - rzuciłem głucho. Wpatrywałem się w pilnie strzeżone, zgromadzone w osłoniętej zatoce okręty, poddając się czarnym myślom, że na nowo obwarowane Beamfleot jest równie trudne do zdobycia, co moja rodowa siedziba. Zapytałem cicho: - A jeśli zawiodą?

- Co wówczas uczynisz?

- Zabiorę cię na północ wyspy - odparłem. - Wraz z moimi dziećmi. I będę wojował, póki nie zdobędę dość srebra, by zebrać armię zdolną zawładnąć Bebbanburgiem.

Aethelflaed uniosła ku mnie swe nadobne lico.

- Nie, Uhtredzie - oświadczyła. - Jestem wszak Mercjanką.

- I chrześcijanką - dorzuciłem z cierpkim uśmiechem.

- Zgadza się. Mercjanką i chrześcijanką. A ty kim jesteś, erlu Uhtredzie?

Milczałem, wpatrując się w pobłyskujące na szczycie duńskiej strażnicy ostrza włóczni.

- Głupcem - stwierdziłem z goryczą. - Zwyczajnym głupcem.

- Moim głupcem - odparła i uniósłszy się na palcach, ucałowała mnie w policzek.

- Wiosłować! - zagrzemiał Ralla. - A żywo! - Pchnął ster. Dziób *Haligasta* obrócił się najpierw na południe, a zaraz potem na zachód. Dopiero wówczas zauważyłem dwie prace ku nam pełnym pędem długie wikińskie łodzie. Mijały już pływające strażnice. Pióra ich wiosła opadały i podnosiły się miarowo, skrząc się w słońcu.

Umknęliśmy w górę rzeki jak niepyszni.

A ja, na przekór rozsądkowi, marzyłem o zdobyciu Beamfleet.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego dnia przybył do Londynu eldorman Aelfwold. Jego ziemie leżały na północnych rubieżach Mercji, przez co bezustannie były narażone na napaści Duńczyków. Dostojny mąż utrzymywał swoje włości jedynie dzięki wykosztowywaniu się na najmowanie licznych drużyn, ale i na płacenie najeźdźcom danin. Był wdowcem, miał już swoje lata i dość prowadzenia nieustannych przygranicznych utarczek.

- Ilekroć skończą się zbiory, nadciągają ci przekłeci Duńczycy - wyrzekął. - Szczury i Duńczycy rok w rok pojawiają się w tym samym czasie.

Przywiódł trzystu ludzi, w większości dobrze uzbrojonych i zaprawionych w walce.

- Lepiej już, by wraz z tobą wystawiali się na sztychy najeźdźców, niż gnili w Gleawecestre - stwierdził gniewnie mercyjski uchodźca, którego dwór jako jeden z pierwszych spłonął wskutek najazdu Haestena. - Pozostawiłem mój dom na pastwę losu. Nieraz już odpierałem ataki watah liczących dobrze ponad dwustu bękartów, lecz cóż mogę poradzić przeciwko hordom złożonym z tysięcy wikingów? - Potem dodał, że odesłał córki i wnuki do Wessexu. Miał nadzieję, że tam będą bezpieczne. W końcu zapytał z chmurnym czołem: - Jarlowie z północy wyspy naprawdę zamierzają wtargnąć na ziemie Alfreda?

- Tak.

- Niech Bóg ma nas w swej opiece - sapnął sędziwy eldorman.

Ulice starego miasta z dnia na dzień stawały się coraz bardziej zatłoczone. Londyn składa się z dwu zgoła odmiennych części, przedzielonych doliną rzeki Fleot. Na wschód od owej smrodliwej strugi, na wzgórzu, wznosi się rzymskie miasto, a po zachodniej stronie rozciąga się nowe, pobudowane przez Sasów osiedle. Rzymianie pozostawili po sobie wyniosłe kamienne mury i marmurowe pałace, będące świadectwem minionej świetności, ale dziś podupadłe. Obok zaś powstała osada, gdzie wśród rozmokłych uliczek saska ludność gnieździła się w krytych strzechą chatkach o ścianach z oblepionej gliną wiklinowej plecionki. Osadnicy woleli budować przaśne chałupy na podmokłym gruncie, niż wprowadzić się do pradawnego miasta, szczerze przekonani, że niszczały rzymskie budowle nawiedzane są przez złe duchy. Teraz jednak, zdjęci trwogą przed pogańskimi zastępami, przewyciężali zabobonny lęk przed widziadłami i przekraczali Fleot, szukając schronienia w domach z kruszejącego ze starości kamienia. W całym mieście unosił się duszący smród. Rzymskie kanały ściekowe były w znacznej części pozawalane, więc doły kloaczne wnet się przepełniły i nieczystości poczęły płynąć rynsztokami. Na porośniętej trawą arenie pasły się krowy, a po brukowanych ulicach pałętały wieprzki. Garnizon Weohstana wartował na grubych, solidnych londyńskich murach,

w większości zachowanych jeszcze z czasów ich zamierzonych budowniczych, natomiast w miejscach, gdzie pierwotne obwarowania się sypały, umocnione zostały palisadą z masywnych dębowych pali.

Finan czynił konne wypadki na mercyjskie ziemie, przynosząc wieści o ciągnących na wschód czeredach Duńczyków.

- Wracają do Beamfleot - zdawał sprawę. - Zwożą łupy i prowadzą jeńców.

- I pozostają w Beamfleot? - zapytałem.

Irlandczyk potrząsnął przecząco głową.

- Znów ciągną na zachód, by łupić Mercję - odparł burkliwie. Gniewało go, że wiodąc nie dość liczną drużynę, zamiast nacierać na kawalkady duńskich łupieżców, bezsilnie się im przyglądał.

Ralla, prowadzący rejsy rozpoznawcze w dole rzeki, przynosił wieści o wciąż przybywających zza morza wikińskich długich łodziach. Pogłoski o szerzącej się w Mercji i Wessexie wojennej wrzawie rozchodziły się szerokim echem, a zwabione nimi załogi ciągnęły do Beamfleot, by przyłączyć się do grabieży. Tymczasem Haesten parł jak burza przez mercyjskie ziemie, niszcząc wioskę za wioską, podczas gdy Aethelred nadal tkwił w swym dworzyszczu, szykując się do odparcia walnego szturm pogan, do którego nigdy nie doszło. Zaś dzień po tym, jak Aelfwold przyprowadził do Londynu swych trzystu wojowników, nadeszły wieści, których od dawna się spodziewałem. Northumbryjska flota przybiła do brzegów Defnasciru i założyła warowny obóz nad brzegami Uisc. Wtedy, na rozkaz Alfreda, wojska Zachodnich Sasów pomaszerowały do Exancesteru, by wesprzeć tamtejszy garnizon.

Wydawało się, że nic już nie uchroni Sasów od klęski. Minał tydzień od mojej wyprawy z Rallą do ujścia Tamizy. Leżałem przy ogniu w pałacowej sali, wpatrzony w płasające po wysokiej powale cienie. Z przestronnego kościoła - sąsiadującego z londyńską siedzibą eldormana Mercji - dochodził dudniący pogłos monotonnych mnisich śpiewów. Gdybym wspiał się na taras na dachu pałacu, mógłbym stamtąd objąć spojrzeniem rozległą krainę rozświetloną przez liczne krwawe łuny, gorejące aż po daleki północny i zachodni widnokrąg. Mercja stała w ogniu.

Tej nocy nadzieja opuściła Aelfwolda.

- Nie ścierpię dłuższego oczekiwania, panie - oświadczył przy wieczerzy. - Miasto ma dość ludzi, by się obronić, a moich trzystu kerłów potrzebnych jest gdzie indziej.

Prócz eldormana zasiadali z nami przy stole: Aethelflaed, Finan, ojciec Pyrlig i Beornoth.

- Gdybym miał pod wodzą drugą drużynę, podobną twojej... - odrzekłem, lecz nie dokończyłem, gardząc sobą za słowa, które wypowiadam. Albowiem nawet zakładając, że

moje siły wzrosłyby w dwójnasób, wzięcie Beamfleot wciąż byłoby niepodobieństwem. Aethelred, któremu rzuciliśmy otwarte wyzwanie, triumfował, a my ponieśliśmy dotkliwą porażkę.

- Gdybyś był w mojej skórze, panie - rzeczowo zapytał Aelfwold - jak byś postąpił?

Udzieliłem mu szczerzej odpowiedzi:

- Pewnie połączyłbym siły z Aethelredem i starał się wpłynąć na niego, by ruszył w pole przeciwko Duńczykom.

Mercjanin kruszył w dłoni pajdę chleba, a znalazłszy w niej ułomek młyńskiego kamienia, począł gnieść go w palcach. Czynił to bezwiednie, z nieobecny, wbitym w stół wzrokiem. Zapewne przedstawiał sobie zmagania z wikingami, a potem walną bitwę, która wcześniej czy później musiała im zostać wydana. Zapewne obawiał się, że nie wyjdzie z niej zwycięsko. Wreszcie potrząsnął sędziwą głową.

- Jutro odejdę z moimi ludźmi na zachód. - Spojrzał mi w oczy i dorzucił: - Nie miej do mnie urazy.

- Czynisz to, co nakazuje ci powinność - stwierdziłem.

Ogarnęła mnie drętwa, jaką musi odczuwać człowiek, który postradał niemalże cały dobytek podczas gry w kości, a jednak kusi los i stawia resztki swych dóbr na decydujący rzut, aby się odegrać, lecz raz jeszcze spotyka go zawód. Poniosłem porażkę. Czego innego mogłem się spodziewać? Że zjednam sobie wojowników, którzy odstąpią swych darczyńców, olśnieni mą bitewną sławą? Jak mogłem się dziwić, że pozostają wierni rozdawcom złota? Jeśli Aethelred nie życzył sobie, bym powiodł jego ludzi do zwycięstwa, dość, by otworzył zasobne w srebro skrzynie i obiecał, że szczerze wynagrodzi ich trudy, jeśli będą walczyć pod jego znakiem. Potrzebowałem tysiąc wprawnych mieczy, bez których nic nie mogłem wskórać. Z goryczą wspomniałem wieszczkę Iseult, mówiącą, że w służbie Alfreda urosnę w potęgę i że w blasku chwały prowadziłem będę nieprzeliczone zastępy w lśniących stałych zbrojach, a od mojej kobiety będzie bił blask złota.

Owej bezsennej nocy, którą spędziłem w pałacowej komnacie położonej na najwyższym piętrze rzymskiego pałacu - gdzie jedynym sprzętem był mój siennik - długo wpatrywałem się w mętne łuny nad horyzontem, plując sobie w brodę, że tak spieszenie opuściłem Northumbrię. Naraz zdałem sobie sprawę, że odkąd zmarła Gisela, pozwalałem, by prowadziły mnie przygodne wiatry. Otrzymałszy wezwanie od Aethelflaed, sądziłem, że odnalazłem właściwe przeznaczenie, teraz wszakże ogarnęły mnie wątpliwości, czy ponownie dojrzę swoją gwiazdę przewodnią. Stałem wsparty o szeroki parapet łukowatego okna. Przysłuchiwałem się dobiegającym z karczm śpiewom, podniesionym głosom podpitych mężczyzn i rozgłosnym

kobiecym śmiechom. Myślałem z goryczą, że Alfred odwrócił się ode mnie, uczynił wyjętym spod prawa i odebrał niemalże cały dobytek. Dlatego zamiast przewodzić nieprzeliczonej armii, mam u boku niepełną załogę jednego statku, która zapewne zaczyna już wątpić, czy zdołam powieść ją dokądkolwiek.

- Co zamierzasz? - doszedł mych uszu głos Aethelflaed.

Zaskoczyła mnie, gdyż nie słyszałem odgłosu jej bosych stóp na kamieniach posadzki.

- Nie mam pojęcia - przyznałem.

Podeszła i stanąwszy obok, dotknęła mojej wspartej na parapecie prawicy, muskając palcami podstawę kciuka.

- Nie ma śladu po opuchliznie - zauważyła.

- Swędzenie także ustało - rzekłem.

- A widzisz? - ozwała się radośnie jak skowronek. - Czyli uządlenie nie było żadnym złowróbnym znakiem.

- Było - odparłem z przekonaniem. - Po prostu nie zgłębiłem jeszcze jego znaczenia.

Pogłaskała moje palce i pozostawiła swoją dłoń w mojej, lekką niby piórko.

- Ojciec Pyrlig twierdzi, że stoję przed prostym wyborem.

- Jakim?

- Wrócić do Aethelreda bądź znaleźć schronienie w jednym z żeńskich klasztorów w Wessexie.

Kiwnąłem głową. Nocną ciszę wciąż zakłócały płynące z pobliskiego kościoła żałośliwe pienia mnichów, będące tłem dla wybuchających od czasu do czasu karczemnych pieśni i kaskad śmiechu. Ludzie, wedle uznania, szukali zapomnienia w garncach ale lub zanosili modły do swych bogów. Nikt nie miał wątpliwości, że poznaczone krwawoczerwonymi łunami niebo zwiastuje bliski kres.

- Czy to za twoją sprawą mój syn przyjął chrześcijaństwo? - zapytałem.

- Skądże - odpowiedziała. - Sam obrał taką drogę.

- Zabiorę smarkacza na północ - rzekłem - i wybiję mu z głowy szczeniackie pomysły. - Ale gdy nie odpowiedziała, tylko łagodnie ujęła moją dłoń, wykrztusiłem: - Klasztor?

- Zostałam poślubiona mężczyźnie - wyłuszczyła. - Przeto, wedle nauk Kościoła, jeśli już zdecyduję się na porzucenie małżonka, przystoi mi jedynie życie w czystości.

Słuchałem jej wyjaśnień ze wzrokiem utkwionym w widnokręgu, gdzie jak okiem sięgnąć złowróbne zorze rozpalały od spodu ścielące się nisko chmury, podczas gdy nad Londynem niebo było przejrzyste, tak iż opromienione księżycowym blaskiem dachówki rzymskich domów rzucały spiczaste cienie.

- O czym myślisz?

- O tym, że jeśli nie powstrzymamy Duńczyków, nie ostanie się ani jeden klasztor, w którym mogłabyś żyć w czystości.

- Cóż wtedy pocznę? - spytała z udawanym żalem.

- Ojciec Beocca powiadał w takich razach, że fortuna kołem się toczy - odpowiedziałem z uśmiechem, sam się sobie dziwiąc, dlaczego wspominam starego poczciwego przyjaciela, jakby opuścił ten świat. Czy przeczuwałem zagładę, czy widziałem już pełną nieubłaganie w stronę Londynu łuny, czy sądziłem, że strawię ostatniego Sasa w Brytanii? Podjąłem: - Pod Fearnhamme byłem panem mieczy na usługach twego rodziciela. Teraz jestem wygnańcem, nazbyt ubogim, by obsadzić ławki wioślarskie jednego okrętu.

- Ojciec nazywa cię swym cudotwórcą - rzekła niespodziewanie. - To szczerą prawdą - zapewniła, gdy roześmiałem się w głos. - Tak właśnie cię zwie.

- Być może mógłbym dokonać cudu - rzuciłem z goryczą - gdyby twój ojciec dał mi swych ludzi. - Iseult obiecywała mi w przepowiedni, że Alfred sprawi, iż stanę się potężnym wodzem, u boku którego jechać będzie kobieca istota ze złota. Odwróciłem wreszcie wzrok od pełgających na horyzoncie ogni i objąłem Aethelflaed, patrząc na jej złociste włosy.

Nazajutrz eldorman Aelfwold miał opuścić Londyn, pozostawiając mnie bezsilnym.

Przed odjazdem mercyjskiego pana przybyło trzech jeźdźców. Przygnali galopem i przekroczyli smrodliwą dolinę Fleot, stając u bram miejskich wraz z nadejściem świtu. Gdy wartownicy na murach zadęli w róg, zbudziłem się, odziałem pospiesznie, wzułem buty, ucałowałem Aethelflaed i zbiegłem do pałacowej halli w chwili, gdy pchnięto prowadzące do niej drzwi. Wkroczyło trzech odzianych w zbroje wojowników, ciężkimi butami rozłupując kruszące płyty rzymskiej posadzki. Przewodził im potężny mężczyzna o srogim, okolonym brodą obliczu. Zatrzymał się o dwa kroki ode mnie.

- Musicie mieć ale w tym cuchnącym łajnem mieście! - zagrzemiał.

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem.

- Jestem bez śniadania - dorzucił i nie mogąc dłużej zachować powagi, serdecznie się roześmiał. Przybyszem był Steapa, któremu towarzyszyło dwóch młodszych wojowników z królewskiej straży. Zawołałem na służbę, żądając, by przyniesiono jadło i piwo. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że widzę przed sobą królewskiego posłańca.

- Prowadzę ci tysiąc dwustu hardych mężów - oznajmił z werwą.

Zaskoczony, z ledwością dobytek głos:

- Tysiąc dwustu? - wydusiłem przez ściśnięte gardło.

- Najlepsi ludzie Alfreda - poświadczył olbrzym. - Zdąża tu też aetheling.

- Edward? - byłem nazbyt zdumiony, by wysławiać się dorzecznie.

- Edward i tysiąc dwustu zawołanych wojowników ze straży Alfreda. My ruszyliśmy przodem, by uprzedzić cię o ich przybyciu - wyjaśnił zwięźle i skłonił się nisko, bowiem do sali wkroczyła odziana w długi płaszcz Aethelflaed. - Twój ojciec pozdrawia cię, pani.

- A wraz z pozdrowieniami śle nam tysiąc dwustu ludzi - dopowiedziałem - których prowadzi twój brat.

- Chwała Bogu - uradowała się królewska córka.

W miarę jak szczęśliwa nowina się rozchodziła, dołączali do nas Aelfwold, ojciec Pyrlig i biskup Erkenwald. Przyszły też moje dzieci.

- Aetheling Edward ma dowodzić siłami Alfreda - obwieścił Steapa - lecz ma się stosować do wskazówek pana Uhtreda.

Biskup wydawał się szczerze zadziwiony takim obrotem spraw. Popatrywał to na mnie, to na Aethelflaed i widać było, że z uporem teriera wściubiającego nos do lisiej jamy wietrzył grzech. Po chwili zwrócił się do nowo przybyłego:

- Przybywasz z królewskiego poruczenia?

- Tak, panie.

- A kto da odpór Duńczykom w Defnascirze? - dopytywał się.

- Bękarty nic, tylko drapią się po ty... - odparł beztrosko Steapa, ale ugryzł się w język i poczerwieniał na twarzy, gdy zmiarkował, że o mało nie powiedział czegoś, co jak mniemał, mogło urazić uszy zarówno biskupa, jak i królewskiej córki.

- Drapią się po tyłkach? - dokończyłem za niego.

- Dotąd nie poważyli się na żadne działania zaczepne, pani - wybełkotał zawstydzony wielkolud. Mimo niepoślednich zasług dla kraju i powierzonej mu godności dowódcy straży królewskiej, stojąc w obliczu Aethelflaed, nieodmiennie czuł się nieswojo, jako że wywodził się z rodziny niewolnych. - Król domaga się jednak, by jego ludzie powrócili jak najprędzej, panie - dodał, kierując te słowa do mnie - na wypadek, gdyby northumbryjscy jarlowie się ocknęli.

- Skoro tak - rzekłem - kiedy tylko się posilisz, wyjedź Edwardowi na spotkanie i powiedz mu, by pod żadnym pozorem nie wprowadzał swych ludzi do miasta. Niech okrąży je od północy i maszeruje na wschód.

Polecenie takie wydałem, nie chcąc, by Zachodni Sasi rozleniwili się w Londynie, gdzie nie brak pokus w postaci zacnych gospód i nie mniej kuszących ladacznic.

Steapa zmarszczył brwi.

- Aetheling spodziewał się znaleźć tutaj zaprowiantowanie dla armii.

Wówczas zwróciłem się do Erkenwalda:

- Przygotujesz żywność i ale, po czym pošlesz je w ślad za armią. Granizon Weohstana zapewni ci potrzebną po temu zbrojną eskortę.

Biskup, zagniewany mym władczym tonem, nasrożył się, lecz po chwili wahania pojął, że działałam z upoważnienia Alfreda, więc ugodowo pokiwał głową.

- Dokąd mam wysłać prowiant? - spytał.

- Przypominasz sobie Thunresleam? - zwróciłem się do wodza straży królewskiej.

- Wiekowy dwór na wzgórzu, panie?

- Ten sam. Powiedz Edwardowi, że tam będę na was czekał. - I rzekłem do dostojnika kościelnego: - Tam też wypraw ludzi Weohstana z zapasami.

- Do Thunresleam? - upewniał się zarządca Londynu, zatapiając we mnie podejrzliwe spojrzenie, bowiem od nazwy tego miejsca na milę zalatywało znieawidzoną przez niego wiarą w odwiecznych bogów.

- Zagajnik Thora - wyjaśniłem - to najdogodniejsze miejsce na obóz w okolicy Beamfleot.

- Biskup przeżegnał się, lecz nie śmiał oponować, a ja oznajmiłem Weohstanowi: - Ty i stu twoich ludzi pójdziecie ze mną.

- Mam rozkazy, by bronić londyńskich murów - sztywno odrzekł stary wojownik.

- Skoro pociągniemy na Beamfleot, Duńczycy będą mieli ważniejsze zajęcia niż obleganie Londynu - stwierdziłem. - Wymarsz za dwie godziny.

Przygotowania przeciągnęły się nieco i opuściliśmy miasto po czasie dwukrotnie dłuższym od zamierzonego. Niemniej gdy nasza kawalkada, pobrzękując podkowami, przekraczała wschodnią bramę, liczyła przeszło czterystu jezdnych, a znaleźli się w niej Mercjanie Aelfwolfa, Zachodni Sasi Weohstana i moja skromna drużyna. Dzieci zostawiłem w pałacu pod opieką służebnych Aethelflaed, gdyż nie udało mi się przekonać jej samej, by nie wystawiała swego życia na szwank. Córka Alfreda stanowczo stwierdziła, że chce uczestniczyć w wyprawie.

- Czyż nie przysięgałeś mi służby? - zapytała, gdy upierałem się, by nie ruszała się z miasta.

- Owszem - przyznałem z uśmiechem. - Jeszcze jedno głupstwo, które zrobiłem.

- Zatem to ja tutaj wydaję rozkazy - zawyrokowała z szelmowską miną.

- Oczywiście, moja kaczuszkó - zgodziłem się, zasługując sobie na porządny kuksaniec w ramię, jako że Aethelred, gdy tylko pojął Aethelflaed za żonę, zaczął ją nazywać „swą kaczuszką” mimo iż owa czułośćka niezmiernie drażniła jego młodą małżonkę.

Pojechaliśmy więc na wschód. Nad głową królewskiej córki powiewał mój sztandar z

wilczym łbem, ludzie Weohstana podążali pod zachodniosaskim smokiem, zaś Mercjanie Aelfwolfa nieśli długi proporzec z wymalowanym nań chrześcijańskim krzyżem.

- Chcę mieć własny sztandar - oznajmiła moja złotowłosa przyjaciółka.

- Tedy spraw sobie jakiś - odpowiedziałem.

- Będzie przedstawiał gęsi - rzekła.

- Gęsi! - zdumiałem się. - A czemu nie kaczki?

Lico Aethelflaed zmarszczyło się pocieszenie.

- Gęsi to godło świętej Werburgi - wyjaśniła z powagą. - Wzięło się stąd, że pewnego dnia, gdy nieprzeliczone stado gęsi weszło w szkodę, pustosząc zagon zboża, święta pomodliła się do Boga, a On, dając jej posłuch, niezwłocznie przegnał utrapione ptaszyska. To był cud!

- A dziwu tego dokonała ksieni z Lecelad? - spytałem.

- Nie, nie! Przeorysza została ochrzczona tym imieniem na cześć świętej Werburgi, która dawno odeszła już z tego świata. A może lepiej, aby mój proporzec przedstawiał wizerunek Werburgi, mej patronki, gdyż nie wątpię, że święta roztacza nade mną swe opiekuńcze skrzydła! Modliłam się do niej ostatniej nocy i spójrz, co się stało! - Spojrzeniem wskazała kawalkadę zbrojnych. - Moje modlitwy zostały wysłuchane!

Zadałem sobie pytanie, czy przyjaciółka zanosila modły do świętej Werburgi, zanim przyszła do mej komnaty czy później, lecz nie uznałem, by stosownym było zgłębianie owej kwestii.

Ciągnęliśmy szlakiem od północy okrążającym posępne mokradła rozciągające się nad połyskliwą wstęgą Tamizy. Jako że przemierzaliśmy zachodnie pogranicze Wschodniej Anglii, nie napotykalismy żadnych dworów. Istniejące tam dawniej posiadłości zostały spalone, a i wioski cierpiały z powodu częstych przejazdów łupieżczych duńskich wypraw oraz wypraw odwetowych, które urządzali Sasi. Król Eohric, duński władca Wschodniej Anglii, przyjął wprawdzie chrzest i zawarł z Alfredem przymierze, mówiące między innymi o tym, że jego podwładni nie będą naruszać granic Mercji i Wessexu, lecz zmieniło ono tyle, ile zmieniłaby podpisana przez wikingów ugoda, w której stwierdzałiby, że wyrzekną się picia ale. Żądni łupów Duńczycy niezmiennie wyprawiali się na saskie ziemie, a Sasi nie pozostawali im dłużni. Mijane przez nas okolice były żywym świadectwem tych nieustannych utarczek. Napotykalismy jedynie zubożałe, nędzne sioła, których mieszkańcy, gdy tylko ujrzeli nas z daleka, umykali na bagna bądź kryli się w leśnej gęstwinie. Nie zważając na nich, jechalismy dalej.

Beamfleot leżało na południowym krańcu łańcucha stojących nam na drodze wzgórz.

Wzniesienia owe w całości były porośnięte bujnymi lasami. Jedyne najdalsze, najwyższe i najbardziej strome z nich wieńczyła trawiasta kopuła, na której wznosiła się górująca nad całą okolicą i widoczna z daleka stara warownia, poniżej której leżał będący naszym celem obóz najeźdźców. Dotarłszy do podnóża lesistego grzbietu, odbiliśmy na północ, podążając stromą drogą wiodącą do Thunresleam. Posuwaliśmy się wolno i ostrożnie, świadomi, że wartujący na najwyższym szczycie Duńczycy z pewnością zawczasu nas dostrzegli, co dawało im możliwość wysłania przeciwko nam zastępu wojowników. Mogli nas dopaść, gdy wspinaliśmy się po krętym, wiodącym leśną gęstwiną szlaku. Obawiając się zasadzki, przykazałem Aethelflaed i jej dwóm służkom, by skryły się w sercu kawalkady, zaś wojownikom, aby nałożyli na ramiona pętlice tarcz, a broń mieli w pogotowiu. Wyteżałem słuch, by zawczasu złowić uchem hałas czyniony przez spłoszoną przez wrogów zwierzynę. Wypatrywałem mknących wśród listowia złęknionych ptaków. Bacznie nasłuchiwałem, czy nie dojdzie mnie z lasu pobrzękiwanie końskiej uprzęży bądź stłumiony przez ściółkę odgłos licznych kopyt. Ilekroć droga zakręcała, spodziewałem się, że rozlegnie się rzucona po duńsku komenda i z góry uderzy na nas chmara wikińskich jeźdźców. Niemniej jedyny niespodziany hałas spowodowany był przez zrywające się do ucieczki, przedzierające wśród gałęzi gołębie, które sami przestraszyliśmy. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że obrońcy Beamfleot najwidoczniej postanowili pozwolić nam zająć otoczone borem wzgórze, gdyż nikt nie starał się nam w tym przeszkodzić.

- Dziwne - zauważył Finan. - W takiej gęstwie z łatwością mogli nas przetrzebić.
- Widać są pewni swego - stwierdziłem. - Wiedzą, że mogą z tym poczekać, aż podejdziemy pod ich palisadę.
- Chyba że mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie znają swego rzemiosła - rzekł.
- A kiedy ostatnio spotkałeś Duńczyka, który nie znałby się na wojaczce?

Znalazłszy się w niewielkiej odległości od dworu w Thunresleam, rozesłałem po lesie ludzi, by przeprowadzili rozpoznanie, lecz wszyscy wrócili z wieścią, że stara halla i jej otoczenie wolne są od wrogów. Zakątek, do którego zmierzaliśmy, był doskonale znany zarówno mnie, jak i niektórym z mych ludzi, z którymi niegdyś tam bawiłem. Prowadziliśmy wówczas negocjacje z norweskimi braćmi Sigefridem i Erikiem. Rozmowy przerodziły się w zacieklą bitwę morską, która rozgorzała u stóp warownego wzgórza, na wodach zatoki Hothlege. Haesten, w przeciwieństwie do Norwegów, dzięki przyrodzonemu szczęściu wyszedł z owych zmagani obronną ręką. Teraz, po latach, ponownie w tym samym miejscu miałem stanąć do walki z przewrotnym piratem bądź też jego ludźmi, gdyż nie wiedzieliśmy, czy władarz Beamfleot powrócił do swej siedziby. Wedle wieści, które do nas docierały, jarl

nadal łupił Mercję, z czego wnosiliśmy, że ufał, iż pozostawiony w nowo wzniesionej warowni garnizon zdoła się obronić bez jego udziału.

Dwór w Thunresleam miał stanowić serce naszego obozu. Za czasów swej świetności długi dom zapewne prezentował się okazale, jednakże pozbawiony gospodarza, przez wiele zim powoli popadał w ruinę. Więźba dachowa zbutwiała, a pokrywająca ją strzecha szerniała, zmurszała i zakłęśła. Dębowe belkowanie obklejone było ptasimi odchodami, a polepa gęsto poprzerastana chwastami. Naprzeciw wejścia, na zarośniętym zielskiem podwórku, stał dorównujący wysokością mężczyźnie kamienny słup z wydrążonym pośrodku otworem. We wgłębieniu obłego głazu złożone były owinięte w skrawki materii drobne otoczaki - ofiary dla bogów, pozostawione tam przez miejscowych. Okoliczni ludzie, ujrzawszy nas, oddalili się czym prędzej w kierunku leżącej o milę na wschód wioski. W ich osadzie wzniesiono wprawdzie kościół, lecz mieszkańcy Thunresleam wiedzieli, że położona na wzgórzu osada i stary dwór zostały oddane pod opiekę Thora, toteż przychodzili pod hallę, gdzie królował pradawny kamień, i składali ofiary w widniejącym weń otworze, prosząc boga gromu o łaskę. Ostrożności nigdy za wiele.

- Mamy się zabrać do wznoszenia palisady? - zapytał Weohstan.

- Nie.

Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Nie?

- Wyczyśćcie polanę z nowo wyrosłych drzew - rozkazałem - lecz zapomnijcie o palisadzie.

- Ale...

- Żadnej palisady!

Co prawda w ten sposób wystawiałem nas wszystkich na niebezpieczeństwo, lecz gdybym przyzwolił, by moi ludzie obwiedli obóz ostrokołem, zapewniłbym im zwodnicze poczucie pewności, a wiedziałem, jak trudno jest skłonić wojowników do opuszczenia obrębów umocnień. Obserwowałem niejednokrotnie, jak w czasie uczt byk, ściągnięty na plac, gdzie urządzano widowiskowe walki, obiera sobie pole, gdzie czuje się pewny i którego z okrutną zaciekłością broni przed opadającymi go psami. Jednakże wystarczy, by za pomocą włóczy przegoniono go poza obręb obranego przez niego schroniska, a atakująca go sfora, wyczuwając niepokój buhaja, rzuca się nań ze wznowioną brutalnością. Dlatego nie chciałem, by moi ludzie czuli się na polanie nazbyt bezpiecznie. Zależało mi właśnie na tym, by przejęci lękiem mieli się na baczności, by pojęli, że nawet otaczając się obwarowaniami, nie zaznajają spokoju, gdyż ten mogą sobie wywalczyć tylko wówczas, jeśli zdobędą warownię wroga, co

więcej - zdobędą ją niemal z marszu.

Przykazałem ludziom Aelfwolda, by wycięli wszystkie drzewa na zachód od obozu, aż po skraj płaskowzgórza i trochę poniżej, abyśmy mieli otwarty widok na równiny ciągnące się aż do Londynu. Tym sposobem, jeśli Duńczycy sprowadziliby posiłki z Mercji, nie umknęłoby to mej uwadze. Osfertha wyznaczyłem na dowódcę straży, której zadaniem było osłanianie nas przed mogącymi naciągnąć z Beamfleot siłami wroga. Wystawione przez niego wśród drzew warty nie były widoczne z tamtejszego warownego wzgórza. Gdyby łupieżcy zrobili wypad, rolą ludzi Osfertha było spowolnienie ich ataku do czasu, aż nasi wojownicy przygotują się do odparcia szturm. Każdy mężczyzna w obozie, zgodnie z moimi rozkazami, miał spać w zbroi, z orężem na podorędziu.

Aelfwoldowi poleciłem rozstawić czujki od północy i zachodu. Jego ludzie jako pierwsi dostrzegliby nadciągającą stamtąd kawalkadę z naszym prowiantem bądź też Duńczyków odprawionych przez Haestena z Mercji do obrony warowni Beamfleot. Wydawszy wszystkie te rozkazy, zebrałem swoją drużynę i opuściłem obozowisko rozbrzmiewające brzękiem setek wgrzających się w pnie toporów. Ruszyłem na rozpoznanie. Finan, Pyrlig i Osferth pojechali ze mną, podobnie jak Aethelflaed, uparcie puszczająca mimo uszu prośby, by się daremnie nie narażała.

Najpierw udaliśmy się do wsi Thunresleam, gromady rozrzuconych luźno chat, pośród których czerniały sterczące z ziemi zwęglone szczątki kościoła. Sascy wieśniacy, gdy tylko ujrzeli naszą drużynę, pierzchli, kryjąc się w pobliskim lesie. Jednakże po dłuższej chwili, opamiętawszy się, kilku chłopów i parę kobiet wychynęła zza osłony drzew. Przeszli między swymi skromnymi poletkami - gdzie w brzdach zieleniały pierwsze kielki pszenicy, żyta i owsa - i zbliżyli się do nas. Prowadził ich krzepki jednooki mężczyzna o zmierzwionej czuprynie i sękatych od pracy, czarnych jak ziemia dłoniach. Zbliżając się, co rusz popatrywał na dzierzony przez jednego z mych ludzi proporzec z wymalowanym nań długim krzyżem. Poprosiłem Aelfwolda, by użyczył nam swego znaku, spodziewając się, że przekona on miejscowych, iż nie jesteśmy Duńczykami. I nie myliłem się. Jednooki dał znak pozostałym i wszyscy uklękli.

- Ojciec Heahberht, do usług, panie - przedstawił się, po czym wyjaśnił, że otacza pieczę chrześcijan z Thunresleam i dwóch sąsiadujących z nią osad, leżących w pewnym oddaleniu na wschodzie.

- Nic w twoim wyglądzie nie wskazuje na to, że jesteś duchownym - zauważyłem.

- Gdyby było inaczej, panie, dawno bym już zginął - odrzekł. - Wiedźma z duńskiej warowni morduje księży.

Mój wzrok, podążając za spojrzeniem Heahberhta, skierował się na południe, choć stara twierdza nie była widoczna ze wsi.

- Jaka wiedźma?

- Zwie się Skade, panie.

- Znam Skade.

- To ona spaliła nasz kościół, panie.

- I uwiozła wszystkie dziewczuszki, panie - jedna z wieśniaczek poskarżyła się ze łzami w oczach - nawet te smarkate. Moja córunia widziała ledwie dziesięć wiosen, a też ją wzięli.

- A po cóż jej... - Aethelflaed wyrwało się pytanie, którego nie dokończyła, naraz zdając sobie sprawę, że odpowiedź narzuca się sama.

- Czy Duńczycy porzucili starą warownię? - zapytałem. - Tę na szczycie?

- Nie, panie - rzekł na to duchowny. - Uczynili z niej swą strażnicę. Każą nam taszczyć tam żywność dla wartowników.

- Ilu ludzi liczy tamtejsza załoga?

- Około pięćdziesięciu, panie. Trzymają tam też wszystkie konie.

Nie wątpiłem w prawdomówność księdza, jednakże byłem przekonany, że Duńczycy, dowiedziawszy się, iż stoimy w pobliżu, wzmocnili załogę starej twierdzy.

- A ilu ludzi stoi w nowej warowni?

- Nie pozwalają nam się do niej zbliżyć, panie - odrzekł jednooki - ale gdy wspiałem się na grzbiet Heathlegh, mogłem stamtąd widzieć wewnątrz nowej palisady, panie, gdzie aż roi się od zbrojnych. Niepodobna ich zliczyć. - Ojciec Heahberht uniósł ku mnie dręczone niepokojem oblicze. Jego mlecznobiałe, niewidzące oko obrastała owrzodziała skóra. Biedak drżał na całym ciele, ale nie dlatego, że widział w nas wrogów, lecz z trwogi, jaką czuł przed wielmożami. Widziałem, jak zmusza się, by opanować drżenie głosu. - Są tam całe setki zbrojnych, panie. Jakiś czas temu trzy tysiące wikińskich wojowników odjechało na zachód, zostawiając żony i dzieci w Beamfleot.

- Przerachowałeś odjeżdżających?

- Starąłem się, panie.

- Wszelako ich rodziny pozostały tutaj? - zapytała Aethelflaed.

- Tak, pani. Mieszkają na wyciągniętych na brzeg łodziach - wyjaśnił duchowny.

Ojczulek okazał się nader spostrzegawczym człowiekiem, za co nagrodziłem go ciężką srebrną monetą.

- Kto włada nową warownią? - wypytywałem dalej. - Haesten?

Jednooki duszpasterz potrząsnął głową.

- Skade, panie.
- Skade! Zaprawdę?
- Tak nam mówiono.
- Zatem Haesten wciąż przebywa w dalekich stronach? - domyśliłem się.
- Tak, panie - przytaknął klecha. - Z tego, co nam wiadomo - zastrzegł, po czym opowiedział, jak Haesten, tylko co przybywszy z Kentu wraz z liczną wikińską flotą, zabrał się do wznoszenia nadbrzeżnej warowni. - Duńczycy wnet zagnali nas do ścinania wiekowych dębów i wiązków.
- Muszę dokładnie przypatrzeć się owym umocnieniom - oznajmiłem i rzuciłem Heahberhtowi drugiego srebrnika.

Spiąłem wierzchowca i przejechałem między chałupami oraz poletkami zieleniejącymi od wschodzącego jęczmienia.

W drodze rozmyślałem o okrucieństwach Skade, jej chciwości i niezaspokojonej żądzy władzy. Wiedziałem, że sekutnica mogła z łatwością powodować ludźmi siłą swej żelaznej woli, lecz powątpiewałem, by umiała poprowadzić skuteczną obronę. Nie podejrzewałem jednak, by Haesten był na tyle nieroztropny, aby powierzyć jej pieczę nad całym swym majątkiem, jeśli miałby wątpliwości co do jej przywódczych zdolności. Zapewne wyposażył swą siedzibę w odpowiednio liczną załogę, wśród której było wielu zawołanych wojowników, służących radą udzielnej władczyni Beamfleot. Przynagliłem konia do galopu i popędziłem przez leśne ostępy, nie bacząc na to, że Skade mogła porozsyłać swych ludzi po okolicy. Zresztą dotąd nie natknęliśmy się na ani jednego Duńczyka, gdyż ci, jak się zdawało, poprzestali na obronie swej warowni, zapewne przekonani, że silna załoga zdolna będzie odeprzeć każdy szturm.

Nareszcie dotarliśmy na urywające się stromą skarpą wzgórze, skąd jak na dłoni widać było rozciągające się poniżej wybrzeże. U stóp urwistego zbocza zaczynały się rozległe mokradła, poprzecinane nitkami krętych, łączących się i znów rozdzielających strug, gdzieniegdzie tworzących rozlewiska. Dalej rozpościerała się gładź zatoki, do której wlewała swe wody Tamiza, a na dalekim horyzoncie majaczył mgliście jej południowy, kentyjski brzeg. Pośrodku mieniącego się w słońcu lustra wód stały cztery długie wikińskie łodzie, których szyprowie czatowali na zamorskich kupców, bacząc zarazem, czy od strony Londynu nie przybliżają się saskie okręty.

Po mej prawej ręce ujrzałem wyspę Caninę, a na jej osłoniętym od fal brzegu ustawione jeden koło drugiego liczne okręty. Po drugiej stronie rozlewisk Hothlege dojrzałem nowo pobudowaną duńską warownię, położoną u podnóża długiego stoku, na którego szczycie

ciemniała stara twierdza. Wspomniałem dopiero co zasłyszane od ojca Heahberhta zapewnienia, że na górze pełni straż zaledwie pięćdziesięciu Duńczyków. Z miejsca, gdzie stałem, mogłem doskonale widzieć północną bramę, nad którą poblyskiwały groty włóczni - i zgodnie z moimi przewidywaniami było ich znacznie więcej niż pół setki. Nadto przekonałem się, że o ile południowa, zwrócona ku zatoce część umocnień starej twierdzy została zaniedbana, o tyle jej północna strona była w doskonałym stanie.

- Ludzie Skade musieli nas widzieć, gdy przemierzaliśmy równinę - stwierdziłem - gdyż umocniono warownię od strony lądu i zwiększono jej załogę.

- Jest tam cała moc włóczni - zgodził się ze mną Finan.

- Czyli przyjdzie nam szturmować obie twierdze - dodałem.

- Dlaczego nie pozwolić tym na górze zgnić z nudy? - zapytał Irlandczyk.

- Bowiem nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy zdobyć nadbrzeżną warownię, jeśli będziemy mieli na karku załogę tej drugiej - odrzekłem. - Toteż ich musimy zgładzić w pierwszej kolejności.

Finan pogrążył się w milczeniu. Pozostali także nie mieli nic do powiedzenia. Ciągłe wojny, które prowadziliśmy od niepamiętnych czasów, zmusiły władców do wznoszenia twierdz, bowiem w ostatecznym rozrachunku właśnie one stanowiły o zwycięstwach. Alfred obwiodł Wessex podwójnym pierścieniem burhów. Aethelred, idąc za jego przykładem, także umacniał Mercję grodami. Haesten, o ile było mi wiadomo, nie powążył się jeszcze na szturm na wały żadnego z tamtejszych burhów, gdyż nie chciał, by jego ludzie ginęli w fosach lub podczas wspinania się na wysokie umocnienia. Wolał pustoszyć kraj, osłabiając władztwo Aethelreda na wszelkie możliwe sposoby. Dopiero potem zamierzał oblegać burhy, ale raczej nie szturmując ich, a głodząc obrońców.

Warownie, które miałem przed sobą, nie były wprawdzie burhami, lecz ich naturalne położenie czyniło je równie niedostępnymi. Obie twierdze obwiedzione zostały wysokimi ostrokołami, tym trudniejszymi do pokonania, że otaczały je głębokie rowy, które, jak należało się spodziewać, były najeżone ostrymi palami. Nadbrzeżną warownię chroniła też wypełniona wodą fosa. Za kolcami obu palisad czekali na nas Duńczycy, wprawni w sztuce robienia mieczem i włócznią, dla których walka na śmierć i życie była chlebem powszednim.

Aethelflaed nieśmiało przerwała ponurą ciszę:

- Naprawdę musimy wziąć szturmem obie warownie?

- Pierwszą zdobędziemy z łatwością - oznajmiłem.

- Z łatwością? - Finan powtórzył z krzywym uśmiechem.

- Niemalże z marszu - zapewniłem stanowczo, choć sam nie czułem co do tego pewności,

bowiem wieńczący strome wzniesienie gród był zaprawdę potężny. Niemniej moja ufność opierała się na przekonaniu, że wikingowie nie obsadzili go aż tak dużą ilością ludzi, by ci stawili nam wystarczająco silny opór na całej długości wałów. Liczyłem, że gdy dołączą do nas Zachodni Sasi prowadzeni przez aethelinga Edwarda, będziemy w stanie uderzyć na starą twierdzę w wielu miejscach jednocześnie. Duńska obrona powinna się załamać, a wtedy my wdrzemy się do środka. Nie był to nazbyt błyskotliwy plan ataku, lecz miałem przeświadczenie, że odniesiemy zwycięstwo, choć mogło ono zostać okupione znacznymi stratami w ludziach. Nie miałem wszakże wyboru - musiałem dokonać niemożliwego, czyli zdobyć dwie bronione przez wikingów warownie, aczkolwiek nie miałem pojęcia, jakim cudem zdołamy zająć nadbrzeżny gród. Wiedziałem tylko, że musimy tego dokonać.

Dokończywszy oględzin, zawróciliśmy i udaliśmy się do obozu.

Nazajutrz wszystko się pogmatwało. Duńczycy, jak się zdaje, uprzytomnili sobie zagrożenie, jakie stanowią dla nich nasze siły, i zdecydowali się uczynić to, co powinni byli zrobić, kiedy tylko nas dostrzegli. Nie było dla nich tajemnicą, że rozłożyliśmy się obozem wokół opuszczonego dworu w Thunresleam. Rozstawiłem gęste straże w lesie na południe od naszych pozycji, niewątpliwie jednak jakimś przebiegłemu zwiadowcy udało się ominąć owe czujki i zlustrować świeżą przesiekę. Skade wraz ze swymi doradcami postanowiła, że dokona wypadu o świcie, by przerzedzić nasze szeregi, odbierając ducha walki tym, którzy przeżyliby poranną napaść. Była to słuszną myśl, niemniej dla mnie dość oczywista, toteż w środku nocy kazałem postawić na nogi cały obóz. Wezwałem także pełniące straż w lesie warty, a upewniwszy się, że nikt nie przespał nocnego alarmu, poleciłem osiodłać konie, po czym przywdziałem cały bojowy rynsztunek i wnet opuściliśmy obóz. Niedogaszona ogniska wciąż się tliły, więc na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że wszyscy zażywamy zasłużonego odpoczynku. Wprawdzie odchodząc, narobiliśmy zgiełku zdolnego zbudzić leżących na wiejskim cmentarzu zmarłych, lecz miałem nadzieję, że poruszający się nocą Duńczycy sami czynią tak wiele hałasu, że nas nie usłyszą.

- Nie zachowamy zbyt wiele sił, jeśli noc w noc będziemy się tak zrywać - burknął Aelfwold.

- Jeśli ma nastąpić atak na nasze obozowisko, to właśnie dziś o brzasku - stwierdziłem - bowiem nim nastanie następna noc, będziemy już w starej warowni.

- Nazajutrz przed zmrokiem? - usłyszałem zdumiony głos Mercjanina.

- Jeśli tylko Edward dotrze tu za dnia - odrzekłem, gdyż zamierzałem zaatakować wzgórze tak szybko, jak to będzie możliwe. A wszystko, czego mi było trzeba, to wystarczająco wielu ludzi, by podzielić ich na osiem, dziewięć godziwych drużyn, które miały natrzeć

równocześnie.

Stanęliśmy we wsi, gdzie chcieliśmy doczekać świtu. Ponad czterystu jezdnych w pełnej gotowości bojowej. Zdawałem sobie sprawę, że Duńczycy mogli wysledzić nasz manewr, dlatego przykazałem ludziom, by pozostali w siodłach. Zbudzeni naszym nadejściem wieśniacy poczęli częstować nas cierpkim ale, a ojciec Heahberht trzęsącymi się rękoma uraczył mnie syconym miodem. Jako że trunek wydał mi się nader smakowity, poprosiłem duchownego, by poczęstował nim Aethelflaed i jej dwie służki - jedyne towarzyszące nam kobiety.

- Jeśli dojdzie do bitwy - przestrzegłem moją przyjaciółkę - pozostaniesz w wiosce pod wyznaczoną dla ciebie zbrojną eskortą.

Panowały nieprzeniknione ciemności. Pobrzękiwały upręże, czasem rozlegały się głuche uderzenia kopyt niecierpliwących się czworonogów. Od czasu do czasu któryś z wojowników mruknął parę słów, lecz większość spała w siodłach. W rześkim powietrzu dało się wyczuć snujący się z wiejskich palenisk dym. Rozległo się żałośliwe zawołanie sowy. Ogarnęły mnie ponure, przyprawiające o dreszcz myśli. A im dłużej dumałem, tym stawały się posepniejsze. Ścisnąłem w dłoni wiszący na szyi młot Thora i poprosiłem bogów, by zesłali jakiś znak, lecz jedyną odpowiedzią było ponowne, pełne smutku hukanie nocnego łowcy. Jak miałem pokonać obrońców dwóch potężnych warowni? Ogarnęło mnie niedobre przeczucie, że bogowie odwrócili się ode mnie, jakbym stracił ich przychylność, decydując się powrócić na południe. Jak powiedziałem niegdyś Alfredowi, chodzimy po ziemi, by dostarczyć niebianom rozrywki. A jaką bogowie mogliby mieć uciechę, przypatrując się memu przeniewierstwu? Wspomniałem srogi zawód, jaki sprawiłem Ragnarowi, i na samą myśl o tym poczułem, że serce ścisną mi się boleśnie. Ujrzałem ściągnięte grymasem odrazy oblicze Bridy i wiedziałem, że zasłużyłem na jej zimną wzgardę. U zarania dnia, gdy niebo za moimi plecami poczęło szarzeć, czułem, że nie ma dla mnie jutra, gdyż nie jestem nic wart. Owo poczucie marności przywodziło mnie do rozpacz. Przekręciłem się w siodle, rozglądając się za ojcem Pyrligiem, gdyż walijski ksiądz był jednym z niewielu ludzi, przed którymi mogłem otworzyć duszę. Chciałem zasięgnąć rady serdecznego przyjaciela, lecz nim zdążyłem go odszukać, jeden z moich ludzi krzyknął z przejęciem:

- Panie, gna ku nam jakiś jeździec!

Finan wraz z garstką ludzi pozostał na czatach, zajmując stanowiska na skraju opasujących skupisko chat pól, w połowie drogi między samą wioską a starym dworem. Irlandczyk pchnął jednego wojownika, by przestrzec nas o nadejściu Duńczyków.

- Wróg jest w lesie - oznajmił przybyły - na skraju naszego obozu.

- Ilu ludzi?

- Trudno orzec, panie, lecz sądząc po hałasie, który czynią, mnóstwo.

Westchnąłem, bo mogło ich być zarówno dwustu, jak i dwa tysiące. Ostrożność nakazywała, bym odczekał, aż Finanowi uda się dokładniej oszacować siły przeciwnika, lecz pragnąc otrząsnąć się z ponurego nastroju i dręczących mnie złych przeczuć, uznałem nowe wyzwanie za znak od bogów, którego tak rozpaczliwie wyczekiwałem. Niewiele myśląc, odwróciłem się do Aethelflaed.

- Zostań tutaj ze swą eskortą - przykazałem jej i nie czekając na odpowiedź, dobyłem Oddech Węża. Swojski świst ocierającego się o gardziel pochwy długiego ostrza dodał mi sił.
- Duńczycy wkraczają do naszego obozu! - krzyknąłem. - Zatem wyróżnijmy ich!

Uderzyłem piętami boki konia, tego samego, którego zdobyłem w walce z Aldhelmem, a było to zacne zwierzę, należycie ujeżdżone, choć wciąż nie całkiem zżyte z nowym dłań jeźdźcem.

Aelfwold zrównał się ze mną.

- Jak liczny jest wróg?

- Wystarczająco liczny! - zawołałem zuchwale. Wiedziałem, że postępuję lekkomyślnie, lecz nie dbałem o to. Zdawałem sobie sprawę, że Duńczycy, wpadłszy do opustoszałego obozowiska, rychło się połapią, że przewidzieliśmy ich posunięcie. A wtedy zaczną się mieć na baczności. Mnie zaś zależało na tym, by spaść na nich jak grom z jasnego nieba, zanim zdążą ochłonać. Dlatego by nie tracić ani chwili, przynagliłem wierzchowca i puściłem się kłusem. Zbrojni ruszyli za mną po wiejskiej drodze. Na polach widoczne były już bruzdy, a przed nami, nad lasem, ukazały się na niebie pierwsze ptaki.

Okręciwszy się w siodle, ujrzałem wśród porannej szarugi pędzących mym śladem saskich wojowników w stalowoszarych zbrojach. Ich oczy gniewnie błyskały spod hełmów. Wszyscy wojownicy byli uzbrojeni we włócznie, miecze, topory i tarcze. Poczujęm, jak wzbiera we mnie bojowa wściekłość. Pragnienie mordy. Ponura determinacja, by rzucić się w wir bitewny, zdając się na łaskę bogów. Uznałem, że jeśli niebianie chcą, bym dalej toczył walkę, jeśli Prządki gotowe są na powrót wpleść nić mego żywota w złoty wątek powodzenia, przeżyję ten ranek. Przez całe życie znaki wskazują nam drogę, przeto puściłem się szaleńczym pędem, by poznać wolę bogów. Z lewej strony ukazała mi się grupka jeźdźców. Przestraszyłem się, że to kolejny wrogi oddział, lecz wnet pojałem, że to Finan i jego siedmiu wojowników zeszło ze swej pozycji. Irlandczyk zbliżył się galopem.

- Jest ich ze trzystu - krzyknął - jeśli nie czterystu!

Kiwnąłem tylko głową i ponownie spałem konia.

Trakt wiodący do starego dworu pozwalał na jazdę łeb w łeb czterem, góra pięciu jeźdźcom. Finan zapewne spodziewał się, że na skraju wyrąbanej przez nas przesieki ściągnę wodze i sformuję szyki, lecz owładnęło mną zuchwalstwo.

Przed nami zajaśniało światło. Wokół panowała szarówka, zachodni horyzont wciąż pogrążony był w mroku, jednakże przed naszymi oczyma gorzała płomienna łuna. Duńczycy, jak się domyśliłem, podpalili poszycie dachu starego dworu. „Blask gorejącej strzechy ułatwi nam rzeź” - przemknęło mi przez myśl. Widziałem już zarys polany, powalone przez nas poprzedniego dnia pnie drzew i przyćmiony blask dogasających, pozostawionych dla niepoznaki ogni, wśród których rozróżniałem błyszczące hełmy, zbroje i broń Duńczyków. Raz jeszcze ostro spałem wierzchowca i wykrzychałem słowa wyzwania:

- Zabić psubratów!

Bezładną zgrają wypadliśmy na polanę. Unieśliśmy miecze, nastawiliśmy włócznie. Przepęłniała nas wściekła nienawiść. Ledwie ogarnąłem wzrokiem otwartą przestrzeń, pojąłem, że łupieżcy mają przewagę. Przybyli w znacznej sile, którą oceniłem na co najmniej czterystu jeźdźców, w większości pozostających w siodłach. Jednakże rozproszeni byli po całym obozowisku i aż do ostatniej chwili, gdy - błyskając ostrzami - w pełnym pędzie wysypaliśmy się z lasu, nie zdawali sobie sprawy, że się zblizamy. Większość nieprzyjaciół skupiła się na przeciwnym krańcu przesieki, zwrócona do nas tyłem, jakby wpatrywali się w pogrążone w ciemności równiny ciągnące się aż po Londyn, nad którym jaśniała biała poświata. Być może doszli do przekonania, że ujrzawszy dwie potężne warownie, straciliśmy nadzieję na ich zdobycie i pod osłoną nocy chyłkiem oddaliliśmy się w stronę majacącego w oddali miasta. My zaś przybyliśmy z przeciwnej strony. Odwrócili się ku nam dopiero wtedy, gdy usłyszeli wrzask swych towarzyszy.

Nacieraliśmy oświetleni blaskiem gorejącej strzechy wiekowego dworu. Obnażone zęby wierzchowców, nasze zbroje i ostrza pobłyskiwały czerwonymi ognikami. Wciąż z bojowym okrzykiem na ustach zamachnąłem się na pierwszego wroga. Był to spieszony Duńczyk, który włócznią o szerokim, kanciastym grocie starał się przebić mego konia, lecz uprzedziłem go, zadając mu szybki cios w skroń. Następnie uniosłem Oddech Węża i pchnięciem powaliłem następnego przeciwnika. Nie dbając o to, jakie zadałem mu rany, przynagliłem wierzchowca i siejąc zamęt, szukałem kolejnych ofiar. Wzięliśmy nieprzyjaciół z zaskoczenia i przynajmniej początkowo byliśmy panami śmierci, tratującymi i siekącymi pieszych Duńczyków, którzy poszukiwali łupów przy dopalających się ogniskach. Widziałem, jak Osferth obuchem topora grzmotnął w głowę jakiegoś mężczyznę, a ten stracił równowagę i przewrócił się w ogień, zaś jego hełm poturlał się po ziemi. Powalony wiking miał chyba w zwyczaju czyścić tłuste od

jedzenia ręce o własne włosy, gdyż zajęły się nagłym, jasnym płomieniem. Nieszczęśnik zaczął się tarzać, po czym zdołał się poderwać, ale jego głowa wciąż płonęła niczym smolna pochodnia. Chwilę później wikinga stratowali pędzący jeźdźcy. W powstałym zamęcie jeden z naszych koni stanął dęba. Inny trafił kopytem w dogorywający ogień i wzbił w powietrze snop iskier, płosząc pozbawione jeźdźców duńskie zwierzęta.

Finan, Cerdic i Sithric walczyli u mego boku. Jadąc ramię w ramię, popędziliśmy wprost na zwartą grupę konnych, którzy wcześniej wpatrywali się w okrytą nocnym cieniem wschodnioangielską równinę. Natarłem z dzikiem wrzaskiem. Zamachnąłem się, mierząc w szyję wojownika z jasną brodą, który odbił cięcie uniesioną tarczą, a wtedy Irlandczyk pchnął go włócznią, przesywając zbroję i rozplątując brodaczowi brzuch. Czyjś oręż odbił się od mej tarczy, lecz nie miałem możliwości spojrzeć w lewo, gdyż z prawej szcherbaty Duńczyk gotował się do pchnięcia mieczem w szyję mego ogiera. Odbiłem zbliżającą się klingę ciosem z góry i ciąłem przeciwnika w ramię, lecz Oddech Węża ześlizgnął się po jego zbroi. Znaleźliśmy się w gęstwie nieprzyjaciół i niepodobna było już przeć naprzód. Na szczęście dopędzali nas już moi ludzie. Pchnąłem raz jeszcze, mierząc w szcherbatego wikinga, lecz ten okazał się szybszy i zatrzymał sztych na tarczy. Wówczas jego koń potknął się, co wnet wykorzystał Sithric. Żeleźce topora zatoczyło lśniący łuk i rozłupało hełm przeciwnika. Trysnęła krew.

Starąłem się tak powodować wierzchowcem, by pozostawać w ruchu, bowiem część Duńczyków walczyła pieszo. Wystarczyło, by któryś z nich podciął nogi mego konia, a zważyłbym się na ziemię, zaś wojownik nigdy nie jest bardziej narażony na nieprzyjacielskie ciosy niż wtedy, gdy wypada z siodła. Zauważyłem zbliżający się z prawej strony grot włóczni, który ześlizgnął się po kolczudze na moim brzuchu i utkwiał w spodniej stronie mej tarczy. Wykonałem szeroki, odwrotny zamach, mierząc Oddechem Węża w brodatą twarz za moim prawym ramieniem. Poczułem, jak klinga roztrzaskuje zęby włócznika, więc szarpnąłem ją do siebie, by ostrze przerznęło mu twarz. Gdzieś obok rozległo się rozpaczliwe rzenie ranionego zwierzęcia. Ludzie Aelfwolda dołączyli do szarży, która rozbiła duński szyk na dwoje. Niektórzy spośród nieprzyjaciół cofnęli się w dół zbocza, lecz większość usunęła się na prawą bądź lewą stronę, gdzie formowały się dwie silne drużyny. Wznosząc bojowe okrzyki, ruszyły na nas z obu stron. Słońce stanęło nad lasem, oblewając oślepiającym blaskiem przesiekę, w której sercu stał płonący dwór. Biły z niego niebosiężne jęzory ognia, a nad nimi kotłowało się rozżarzone, pełne iskier powietrze.

Zapanował chaos. Co prawda uderzenie z zaskoczenia zapewniło nam chwilową przewagę, lecz Duńczycy rychło zwarli szyki i przystąpili do przeciwnatarcia. Na skraju

wzgórza zakotłowało się od walczących. Wierzchowce, miażdżąc rannych, szarpały się wśród ścisłu, wrzasku i ogłuszającego szczęku żelaza o żelazo. Zwróciłem się na północ, czyniąc wysiłki, by zepchnąć stojących tam wikingów poza krawędź szczytu wzgórza, wszelako ci nie ustępowali, siekąc nas z dziką determinacją. Pamiętam, że zastawiłem się, osłaniając przed wściekłym cięciem, które zadał zgrzytający zębami mocarz. Nasze miecze zwały się z głośnym brzękiem, przyprawiając mnie o piekący ból w ramieniu, lecz powstrzymałem tęgi zamach wroga, który jak nic pozbawiłby mnie głowy, a przy tym ugodziłem go w twarz głowicą Oddechu Węża. Pirat wykonał ponowny zamach i trafił mnie w hełm, aż zahuczało mi w głowie. Byłem zbyt blisko, by zadać skuteczne cięcie. Wtedy ugodził mnie boleśnie w ramię krawędzią tarczy.

- Zastraniec - warknął.

Jego hełm wieńczyła kita z zabarwionego na żółto włosia, zaś ramiona opasywały liczne pierścienie, świadczące o zdobytych w walce bogactwach. W błyskających ognikami pożogi oczach gorzał gniew i przemożne pragnienie zadania mi śmierci. Duńczyk widział wszakże, że noszę więcej pierścieni niż on, a także zdobiony srebrem hełm, więc rozumiał, że walczy z wojownikiem o znacznej sławie. Być może znał nawet moje imię i zapalał chęcią zgładzenia mnie, by móc się chlubić, że położył trupem Uhtreda z Bebbanburga. Spostrzegłem, że znów zaciska zęby, sprężając się do cięcia mnie w twarz, lecz nagle na jego skrzywionym złośliwie obliczu ukazało się zdumienie, oczy rozszerzyły się, migocące w nich gniewne ogniki przygasły, a z gardła dobył się gulgoczący bełkot. Duńczyk potrząsnął głową i starał się utrzymać miecz w osłabłej dłoni, ale nie mógł, gdyż w jego kręgosłupie tkwił topór. Sprawcą zabójczego ciosu był Sithric. Rażony wiking zawył przeciągle i osunął się z siodła. W tej samej chwili mój wierzchowiec zarżał żałośnie i się zachwiał. Dopiero wtedy ujrzałem pieszego wroga, wbijającego grot włóczni w koński brzuch. Finan obalił wroga, tratując go swym koniem, ja zaś czym prędzej uwolniłem stopy ze strzemion.

Raniony ogier runął, ciskając się i kopiąc. Padł na moją prawą nogę. Ujrzałem kopyto, które o mały włos nie zmiażdżyło mi twarzy. Przykryłem ciało tarczą i starałem się wydostać spod konającego zwierzęcia. Czyjś koń nadepnął na Oddech Węża, lecz jakimś cudem nie zdruzgotał klingi. Słyszałem tylko grzmot kopyt i wrzaski zlewające się w jeden obłądny jazgot. Znowu spróbowałem wygramolić się spod wierzchowca, gdy coś - nie wiem, oręż czy koń - uderzyło w tył mego hełmu.

Zapanował mrok. Oszołomiony, słyszałem tylko dochodzące z ciemności żałosne pojękiwanie. Dopiero po chwili pojąłem, że słyszę własne skargi. Ocknąłem się akurat w chwili, gdy pochylał się nade mną jakiś mężczyzna, chcący ściągnąć mi hełm. Łupieżca

najpewniej miał mnie za umarlaka. Widząc jednak, że otwieram oczy, przyłożył mi do ust ostrze. Przed oczyma stanęła mi twarz Giseli. Przytomniejąc, poruszyłem prawicą, ale nie poczułem w niej Oddechu Węża. Wrzasnąłem, pojmując, że nie będzie mi dane zaznać uciech Walhalli. Naraz wszystko poczerwieniało. Twarz oblało mi coś gorącego. Przed oczami miałem tylko szkarłat. Odzyskując spokój, zrozumiałem, że wiking padł na mnie i to jego krew zalewała moje oblicze. Potem Cerdic ściągnął konającego Duńczyka i pomógł mi wydostać się spod ubitego ogiera.

- Trzymaj! - Sithric włożył mi do ręki Oddech Węża. Zarówno on, jak i Cerdic walczyli teraz pieszo. Nadjechał jakiś pirat i wydając zwycięski okrzyk, natarł, mierząc we mnie włócznią. Cerdic odbił tarczą szeroki grot poznaczony licznymi rysami. Wkłułem wierzchołek Oddechu Węża w udo atakującego, lecz pchnięcie nie miało dość mocy. Wówczas on przeciął powietrze grotem ciężkiej włóczni, a ja cofnąłem się, przyjmując cios na tarczę. Nieprzyjaciele, przeczuwając zbliżające się zwycięstwo, natarli ze zdwojoną siłą.

- Ciąć ich wierzchowce! - wykrzyknąłem schrypniętym głosem.

Grupa jezdnych Weohstana, dosłyszawszy me zawołanie, rzuciła się na pomoc, ścierając się z duńskimi konnymi. Jeden z Sasów skrzył się w siodle. Jego ręka ledwie trzymała się ciała. Z dłoni wypadła włócznia.

- Jezus! Jezus! - zagrzmiął gromki okrzyk, po czym u naszego boku pojawił się ojciec Pyrlig. Walińczyk także walczył pieszo, ubrany w rozciągniętą przez tęgie brzuszysko kolczudze. Oburącz dzierżył potężną włócznię o grubasnym drzewcu. Wymachując nią, trzymał najeźdźców z dala od siebie.

- Dziękuję wam - rzekłem, zwracając się do Cerdica i Sithrica.

- Winniśmy się cofnąć, panie - odparł pierwszy z nich.

- Gdzie Finan? - spytałem, oglądając się na wszystkie strony.

- Do tyłu! - wykrzyknął Cerdic i chwyciwszy me lewe ramię, bezceremonialnie odciągnął od duńskiej jazdy.

Okazało się, że Finan powstrzymywał Duńczyków prących z południa. Odpierał ich ataki śmigłymi ciosami topora. U jego boku stała większość mych ludzi i Mercjan Aelfwolda.

- Trzeba mi wierzchowca - warknąłem.

- Cóż za rozgardiasz - rzucił Pyrlig, czym tak mnie ubawił, że niemal roześmiałem się w głos, bowiem w obliczu niechybnej klęski wyrzekł owe słowa tonem łagodnym, niepasującym do położenia, w którym się znaleźliśmy na skutek pochopnego i bezładnego ataku.

Duńczycy, przegrupowawszy siły, uderzyli na nas z trzech stron jednocześnie. Licniejsi od nas nieprzyjaciele utworzyli półokrąg i napierali od północy, wschodu i południa. Poczęli nas

spychać ku krawędzi przesieki, na stromiznę, gdzie - zanim wschodzące słońce stanęłoby wysoko - z łatwością by nas rozsiekali. Co najmniej setka spieszonych Zachodnich Sasów utworzyła kolisty mur tarcz, wewnątrz którego mieliśmy się bronić. Nazbyt wielu nas poległo, przy czym niejeden zginął z ręki własnych krajan, jako że w powstałym zamęcie ciężko było odróżnić wrogów od swoich, zwłaszcza że nie wszyscy sascy wojownicy mieli na tarczach wymalowane krzyże. I choć na placu boju legli także liczni Duńczycy, pozostali przy życiu wrogowie znacznie przewyższali nas liczbą. Nasz rozpaczliwie broniący się pierścień tarcz otaczały przeważające siły, podczas gdy wciąż pozostająca w siodłach garstka Sasów spychana była z powrotem do lasu, goniona przez o wiele silniejszą nieprzyjacielską jazdę.

Aelfwold, pod którym także ubito wierzchowca, precyzyjnie się między ludźmi i stanął u mego boku.

- Ty bękarcie - wycedził przez zęby - podstępny bękarcie!

Eldorman zdawał się przekonany, że z rozmysłem wciągnąłem jego drużynę w zasadzkę. Nie zdawał sobie sprawy, że znaleźliśmy się w trudnym położeniu nie wskutek zdrady, lecz mego braku rozwagi. Rozgoryczony Mercjanin uniósł tarczę, gotując się do odparcia duńskiej szarży. Pchnąłem Oddech Węża, wbijając go w pierś nieprzyjacielskiego konia, przekręciłem nadgarstek, wyciągnąłem ostrze i zadałem kolejny cios. Pyrlig wymierzył w jeźdźca ciężką włócznią, po czym krzepkim ciosem wysadził go z siodła. Właśnie wtedy Aelfwold padł z rozciętym hełmem, spod którego wylewała się krew z rozplątanej głowy. Zachował jednak dość przytomności umysłu, by - nim targnęły nim przedśmiertne drgawki - spojrzeć na mnie z niemym wyrzutem. Odwróciłem wzrok od umierającego. Ujrzałem zmiatający ku mnie miecz kolejnego Duńczyka. Niespodziewanie jego koń potknął się o czyjeś zwłoki.

Nieprzyjaciele odstępili, lecz tylko po to, by przygotować się do kolejnego natarcia.

- Jezu, Jezu - zarzęził Aelfwold, po czym umilkł i wyzionął ducha.

Nasz pierścień obronny kurczył się po każdym ataku. Zalane krwią tarcze pękały od ciosów. Wikingowie podrwili i obrzucali nas wyzwiskami, przysięgając bolesną śmierć. Moi ludzie znów cofnęli się o krok, zwierając szyki. A ja, choć wiedziałem, że powinienem dodać im otuchy, milczałem. Nie znajdowałem słów, bowiem wiedząc ich do ataku, popełniłem straszny błąd. Nie rozpoznałem wcześniej sił wroga, przez co wszystko, co nastąpiło potem, było wynikiem mego braku rozwagi. „A skoro tak, w zupełności zasłużyłem na śmierć” - uznałem, lecz bolało mnie, że odchodząc z tego świata, pociągnę za sobą tak wielu zacnych ludzi.

Pozostała mi jedynie godna śmierć, opuściłem więc mur tarcz, przeciskając się obok

Sithrica. Wyszedłem na spotkanie wroga. Jeden z duńskich jeźdźców przyjął wyzwanie i ruszył do walki. Nie widziałem twarzy jeźdźcy, oślepiało mnie wschodzące za jego plecami słońce. Zamachnąłem się, tnąc pysk wierzchowca i unosząc przy tym tarczę, by zatrzymać duńską klingę. Gdy koń stanął dęba, pchnąłem, mierząc w brzuch zwierzęcia, lecz chybiłem, gdyż musiałem uchylić się przed zbliżającym się od lewej żeleźcem topora. Co gorsza, stopa omsknęła mi się na oślizgłych wątpiach, wylewających się z leżących u mych stóp wybebeszonych zwłok. Straciłem równowagę i upadłem na kolano, lecz i tym razem moi druzymnicy wyratowali mnie z opresji. Cięty przeze mnie koń z łomotem padł na ziemię, a ja, znów na nogach, pchnąłem wciąż tkwiącego w siodle wroga. Ostrze Oddechu Węża utkwilo w jego ciele, choć oślepiony przez promienie słoneczne, nie widziałem dokładnie gdzie. Po mojej prawej czyjś ogier, z utkwioną w piersi włócznią, toczył z pyska krwawą pianę. Wrzeszczałem coś, choć nie przypominam sobie co. Wtedy z lewej strony przypuściła szarżę gromada wnoszących gromkie okrzyki jeźdźców.

Umrzeć godnie. Umrzeć godnie. Cóż innego pozostaje wojownikowi? Wrogowie muszą zapamiętać jego ostatnią walkę jako chlubną. Zadałem kolejne pchnięcie, kłując zbliżającego się wierzchowca, niemniej jeździec z mocą trzasnął mieczem w moją uniesioną tarczę, przecinając jej żelazne okucie. Nie bacząc na to, że lipowa drzazga na moment odjęła mi widzenie w jednym oku, pchnąłem, zagłębiając ostrze Oddechu Węża w udzie przeciwnika. Czuję, że rozcinam je do kości. Ugodzony Duńczyk odpowiedział srogim cięciem z góry. Zamrugałem powieką, pozbywając się nieszczęsnej drzazgi, ale jego miecz i tak dosięgł hełmu, ześlizgnął się po nim i uderzył mnie w ramię. Na szczęście zbroja zatrzymała cios, a napór wroga stracił na sile, gdy ojciec Pyrlig wkłuł włócznię w jego bok. Walińczyk siłą pociągnął mnie z powrotem ku naszemu murowi tarcz.

- Bogu niech będą dzięki! - powtarzał raz za razem.

Jego radość wynikała z faktu, że na pole bitwy przybyli nowi jeźdźcy. Sasi. Nie było co do tego żadnych wątpliwości, bowiem nad ich głowami powiewał sztandar ze smokiem Wessexu, zaś na ich czele jechał ogromny Steapa. Walczył za dziesięciu mężów, przeto saska szpica prędko wcięła się klinem między Duńczyków.

- Dawać mi konia! - zawołałem gromko i ktoś przywiódł wierzchowca. Pyrlig przytrzymał wodze, gdy dosiadałem nerwowego ogiera. Wsunąłem buty w niedopasowane strzemiona i krzyknąłem do swych spieszonych ludzi, by chwytali krążące po polu walki luzaki. Wiele zwierząt leżało martwych, lecz na zasłanej ciałami polanie wciąż błąkało się sporo luzaków o szeroko rozwartych trwogą ślepiach.

Głuchy trzask zapowiedział runięcie dachu gorejącego dworzyszczca. Płonące krokwie

obrywały się jedna po drugiej, bluzgając snopami iskier w poczerniałe od dymu niebo. Spiałem boki konia, kierując się ku pradawnemu kamieniowi ofiarnemu, przy którym się zatrzymałem, wychyliłem z siodła i kładąc dłoń na obłym szczycie słupa, zmówiłem modlitwę do Thora. W wydrążonym w głazie otworze tkwiła włócznia o długim drzewcu. Wsunąłem Oddech Węża do pochwy i ująłem znaleziony oręż. Miał okrwawiony grot. Obok, u stóp kamienia, leżał na plecach martwy Duńczyk, zapewne włócznik. Twarz umarłego zgnieciona została przez końskie kopyto, tak iż jedno z oczu, wyciśnięte na zewnątrz, wisiało u otoku hełmu. Zważyłem w rękę jesionowe drzewce i obróciłem koniem, by dołączyć do walczących. Nieprzyjaciele, srodze zaskoczeni przybyciem Steapy i jego ludzi, rozpierzchli się i pognali na południe, w kierunku swej warowni. Dowódca królewskiej straży deptał im po piętach. Próbowałem doścignąć Steapę, lecz zniknął już między drzewami. Wszyscy Sasi ruszyli w pogoń za przedzierającymi się przez leśną gęstwinę rozproszonymi wrogami. Finan sobie tylko wiadomym sposobem znalazł się u mego boku i jechaliśmy teraz razem, uchylając się przed wiszącymi nisko gałęziami. Pewien ranny Duńczyk, ujrzawszy nas, przeraził się i padł na kolana, składając ręce w błagalnym geście, a my pojechaliśmy dalej, nie bacząc na niego.

- Słodki Jezu - krzyknął Irlandczyk. - Myślałem, że już po nas!

- Ja także! - odparłem.

- Skąd wiedziałeś, że nadejdą ludzie Steapy? - zapytał i przynaglił ogiera, widząc przed sobą poganiającego wierzchowca i desperacko umykającego w gąszcz Duńczyka.

- Nie wiedziałem! - odkrzyknąłem, lecz Finan był nazbyt pochłonięty pogonią, by mnie dosłyszeć.

Jako pierwszy doścignąłem pirata i już wymierzyłem ostrze włóczni w dół jego pleców, gdy spod kopyt pędzącego przede mną konia poleciała mi w twarz ziemia i zeszłoroczne liście. Szarpnąłem wodzami i ponownie pchnąłem długim drzewcem, a Finan, zajechawszy wroga od prawej, chlasnął go mieczem w twarz. Duńczyk wypadł z siodła, a my popędziliśmy dalej.

- Aelfwold nie żyje! - rzucił przybysz z Wyspy Irów.

- Wiem, widziałem, jak konał! Nim umarł, zarzucił mi zdradę!

- Widać miał rozum w zadku. Ale gdzie się podziały te przeklęte bękarty?

Większość wikingów podążała do warowni, a my, goniąc za wrogim jeźdźcem, odbiliśmy lekko na wschód. Doskonale pamiętam jasną zieleń przeświecającego przez listowie światła. Pamiętam też, jak o mały włos mój koń trafiłby kopytem w borsuczą norę. Pamiętam rozbrzmiewający w rozświetlonym słońcem lesie tętent niezliczonych koni, a przede wszystkim ogromną radość, że żyjemy, ledwie uniknąwszy niechybnej śmierci. W końcu las się

przerzedził.

I znów ogarnął nas bitewny zamęt.

Przed naszymi oczyma rozciągała się długa, zielona łąka, w większej części przystrzyżona zębami owiec czy kóz. Łagodnie opadała ku siodłowatemu zagłębieniu, za którym przechodziła w strome zbocze, będące częścią wybrzuszonego się, trawiastego pagórka, zwieńczonego pierścieniem ostrokołu starej warowni. Duńczycy galopowali ku północnej bramie, pragnąc odgrodzić się od saskiego pościgu palisadą i okalającą ją suchą fosą. Zadanie to jednak było o tyle utrudnione, że Sasi dopadli zwierzynę i nie zamierzali jej puścić.

- Co tchu, za nimi! - wrzasnął z zapalem Finan i kopnięciem pogonił ogiera.

Irlandczyk prędzej niż ja dostrzegł nadarzącą się sposobność. Z początku przemknęła mi myśl, że powinienem starać się zatrzymać przyjaciela i beładnie atakujących Zachodnich Sasów, lecz wnet odrzuciłem nakazy rozsądku.

Wydałem z siebie gromki ryk i ostro spałem wierzchowca, idąc śladem starego druha.

Całkiem straciłem poczucie czasu. Nie umiem powiedzieć, jak długo trwała walka na skraju przesieki. Wiem tylko, że gdy wychynęliśmy z lasu, słońce stało wysoko nad widnokrzem. W jego blasku mieniły się wody Tamizy i lśniły soczystą zielenią trawy w siodle wzgórza. Coraz to nowi jeźdźcy wyjeżdżali na łąkę i dołączali do sunącego po niej, rozciągającego się aż do bram warowni nieprzerwanego strumienia jeźdźców. Mój rumak dyszał głośno, a jego boki zbieleły od potu, lecz co rusz ponaglałem go piętami, nie pozwalając zwolnić biegu, by jak najrychlej przyłączyć się do gnającej w górę stoku kawalkady rwących darń koni, niosących zarówno ściganych, jak i ścigających. Pojąłem bowiem to, co z miejsca zmiarkował Finan: w takim chaosie obrońcy warowni mogą zbyt późno zamknąć bramę. Mogło się nawet tak zdarzyć, że zdjętym trwogą uciekinierom nawet nie przyjdzie do głowy, że trzeba to uczynić jak najszybciej. Pewne było, że dopóki wikingowie z grzmotem kopyt wjeżdżać będą na drewniany pomost na grobli i znikać w gardzieli bramy, ta nie zostanie zamknięta. Ludzie Steapy byli zaś tak dalece przemieszani z Duńczykami, że wielu z nich miało szansę wdrzeć się za palisadę. Jeśli ich liczba okazałaby się wystarczająca, mielibyśmy otwartą drogę do twierdzy.

W pieśniach, które poeci ułożyli, by upamiętnić ową bitwę, mówi się, że Steapa i ja wspólnymi siłami uderzyliśmy na Duńczyków w Thunresleam, skąd pogoniliśmy przełęczonych wrogów, by następnie przypościć szturm na starą warownię, nim jej obrońcy zdolali pozbierać się po dopiero co odniesionej porażce.

Rzecz miała się zgoła inaczej, lecz czegoż można się spodziewać się po wierszokletach, którzy oglądali nasze zmagania jedynie w pijanym widzie. Ci, którzy tam byli, wiedzą, że

Steapa wybawił nas od niechybnej zatury, a grodu na wzgórzu nikt nie szturmował, gdyż nie było takiej potrzeby. Wielu jezdnych z królewskiej straży przedostało się przez bramę, nim wartujący na parapecie Duńczycy zorientowali się, że wpuszczają nie tylko swoich, ale i nieprzyjaciół. Rozgorzała zacięta walka. Steapa rozkazał swym ludziom, by zsiadli z koni i sformowali mur tarcz w łuku bramnym, jedną stroną zwrócony do wewnątrz twierdzy, a drugą ku zalanym słońcem zbocz. Wikingowie, którym nie udało się w porę dostać do własnej warowni, podjęli atak na bramę. Odparci przez Zachodnich Sasów, rzucili się do ucieczki i skierowali w dół zachodniego zbocza, ku nowemu grodowi. My zaś zwyczajnie zsiadliśmy z koni i przeszliśmy przez otwarte wierzeje, by dołączyć do prędko rosnącej w siłę saskiej ściany tarcz, która stała wewnątrz umocnień.

Wówczas ujrzałem Skade. Nigdy się nie dowiedziałem, czy wiodła jeźdźców, z którymi walczyliśmy nieopodal płonącego dworu w Thunresleam. Wiem za to z pewnością, że przewodziła obrońcom starej warowni. Dzikim wrzaskiem zachęcała ich do boju, nie bacząc na to, że mamy przytłaczającą przewagę. Mur Steapy liczył już ze czterysta tarcz i był zasilany przez wciąż licznie przybywających na zdyszanych koniach Zachodnich Sasów. Nad naszymi głowami powiewał dumnie rozpostarty sztandar z wyszytym nań poczerwieniałym od krwi smokiem. Skade stanęła przed nami na karym ogierze, w zbroi i z dobytym mieczem. Jej odkryte włosy falowały na wietrze, gdy uniosła klingę. Z gardła dobył się dziki wrzask. Nim przebrzmiał, przywódczyni wywinęła uniesioną klingą, spięła wierzchowca i ruszyła ku ścianie tarcz. Miała jednak dość rozsądku, by ściągnąć wodze, gdy okrągłe tarcze uniosły się, a groty saskich włóczni skłoniły w jej kierunku.

Wkrótce nadciągnął Weohstan i wprowadził swych jezdnych do grodu. Objechali ludzi Steapy z prawej strony i na polecenie swego wodza ruszyli do szarzy. Potem rozległ się gromki okrzyk olbrzyma z królewskiej straży i nasz mur także zaczął sunąć naprzód, w górę łagodnego stoku, ku stojącym na samym szczycie wzgórza dwóm starym i na pół zniszczonym dworom. Duńczycy, ujrawszy jazdę Weohstana i nasz przybliżający się szereg, z łatwością mogli sobie wyobrazić, co ich czeka, przeto szybko zawrócili konie i podali tyły.

I tak stara warownia znalazła się w naszych rękach. Nieprzyjaciele opuścili ją inną bramą i umknęli w dół zachodniego stoku. Widziałem, jak pewien wojownik ciągnie wierzchowca Skade za uzdę, podczas gdy ona, z odwróconą do tyłu głową, wpatruje się w nasze zastępy. Nie podjęliśmy dalszego pościgu, jako że byliśmy wielce znużeni i zdrowo poobijani - wielu broczyło krwią z mniej lub bardziej poważnych ran - a przy tym srodze zdumieni nagłymi wypadkami. Nadto zniechęcił nas mur duńskich tarcz, ustawiony u wejścia na prowadzący do nowej twierdzy pomost. Z zaciekawieniem zauważyłem, że tylko część Duńczyków szuka

schronienia w warowni, podczas gdy inni przepływają się konno przez wąski nurt Hothlege, by wydostać się na wyspę Caninga.

Na wałach prastarego grodu zatknięto sztandar z okrwawionym smokiem, a obok niego proporzec Aelfwolda z długim krzyżem. Znaki te obwieszczały nasze zwycięstwo. Jednakże nie znaczyło ono zbyt wiele, dopóki w rękach najeźdźców pozostawała twierdza nadbrzeżna. Teraz wreszcie mogłem obejrzeć ją w całej okazałości.

A widok ten sprawił, że zakląłem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Aethelflaed znalazła mnie na wałach. Nie dbając o to, kto nas widzi, podbiegła do mnie i objęła. Poczułem, że cała drży. Wystłużona tarcza wciąż wisiała na pętlicach na moim lewym ramieniu, więc gdy przyciągnąłem przyjaciółkę do siebie, osłoniłem ją lipowym puklerzem przed ludzką ciekawością.

- Myślałam, że zginąłeś - rzekła po dłuższej chwili.

- Któż nagadał ci takich bzdur?

- Nikt. Sama widziałam.

- Co widziałaś i skąd?

- Walkę, ze skraju lasu - powiedziała spokojnie.

- Oszalałaś? - zapytałem gniewnie i odsunąłem ją na odległość ramienia, by widzieć jej lico. - A gdyby pojмали cię Duńczycy?

- Twoją twarz oblepia krew - stwierdziła, dotykając palcami mego policzka. - Zaschnięta. To była ciężka walka?

- Bardzo, lecz czeka nas o wiele cięższe zadanie - odrzekłem, spojrzeniem wskazując nadbrzeżne umocnienia.

Nowa warownia stała u podnóża długiego, trawiastego stoku. Ten początkowo opadał stromizną, ale dalej przechodził w łagodniejsze zbocze, by w końcu przeistoczyć się w podłużny, powyginany garb, otoczony przez bagniste brzegi Hothlege. Na skutek nasilającego się właśnie odpływu wody zatoki znacznie opadły, co dało mi możliwość przyjrzenia się krętej linii brzegowej, gdzie spotykały się lśniące błotniste dno i równie grząskie nadbrzeżne trzęsawiska. Haesten wznosił twierdzę na samym krańcu cypla, który następnie przeciął u podstawy szeroką fosą, zabezpieczając wschodnią część umocnień od bezpośrednich ataków. Tym sposobem przeistoczył warownię w wyspę - trzykroć dłuższą niż szerszą. Południową jej stronę oblewały głębokie wody Hothlege, zachodnia i północna górowała nad odnogami płytkiej zatoki okolonej przez rozległe, zalewane podczas przypływów mokradła, zaś krótką wschodnią palisadę, w której znajdowała się zwrócona ku nam brama, odgradzała od lądu wspomniana fosa. Nad wykopem przerzucono drewniany pomost, lecz teraz, gdy pierzchający przed nami Duńczycy schronili się na umocnionym ostrowie, grupa mężczyzn poczęła rozbierać kładkę. Długie dechy wnoszono za bramę. Niektórzy z ludzi rozkładających drewnianą konstrukcję schodzili do fosy, co pozwoliło mi stwierdzić, że woda w najgłębszym miejscu sięgała im zaledwie do pasa. Dowiedziałem się w ten sposób, że podczas odpływu można przebyć tę przeszkodę w bród. Stanowiło to jednak niewielką pociechę, bowiem

różnica między najniższym a najwyższym stanem wód stanowiła tam dwukrotność wzrostu rosnącego mężczyzny. A to oznaczało, że wykop, w momencie gdy będzie go można przebyć w bród, będzie miał naprawdę wysokie i strome ściany, na domiar złego oblepione grubą warstwą gęstego, śliskiego mułu.

We wnętrzu twierdzy tłoczyły się zabudowania o dachach skleconych z desek bądź też nakrytych żaglowym płótnem. Brak choćby jednej strzechy wskazywał na to, że Haesten wolał się zabezpieczyć na wypadek, gdyby oblegającym jego siedzibę przyszło do głowy puścić ją z dymem za pomocą strzał zapalających. Domyślałem się, że znaczna część drewna na budowę tak licznych domostw została pozyskana we wsi Beamfleot, jeszcze do niedawna stojącej nieco na wschód do nowej warowni, na szerokim skłonie wzgórza, gdzie teraz czerniały jej zgliszcza. Wewnątrz ostrokołu kręciło się mnóstwo Duńczyków, choć nie ulegało wątpliwości, że zdecydowana większość wikińskich przybyszów mieszka na przeciwległym brzegu zatoki, na który wyciągnięto ponad dwieście bojowych okrętów o zadartych ku niebu dziobach. Te po większej części miały położone maszty, których drzewce - wsparte na krzyżakach - stanowiły kalenice dla przerzuconych przez nie żagli tworzących zadaszenia. Na wzmacniających żagle linach kobiety rozwieszały pranie. Liczna dzieciarnia ganiała się wokół długich, ustawionych burta przy burcie kadłubów albo przypatrywała się naszym szeregom. Ponadto zliczyłem dwadzieścia trzy okręty stojące na kotwicach. Te łodzie miały maszty umieszczone na miejscach, a ich żagle były podwieszane do rej. Na owych statkach znajdowały się zbrojne załogi, co wskazywało jasno, że w każdej chwili mogły wyruszyć w morze. Zanim jeszcze opuściłem Londyn, zastanawiałem się, czy nie przywieść do Beamfleot saskich okrętów, teraz jednak mogłem się przekonać, że nasza niezbyt liczna flota wnet zostałaby rozbita przez oczekujące w pełnej gotowości wikińskie długie łodzie.

Steapa przybliżył się do nas niepewnym krokiem. Jego oblicze - wzbudzające przerażenie z powodu skóry tak ciasno oblekającej masywną czaszkę, że zazwyczaj stanowiło nieruchomą maskę, w której lyskały oczy szaleńca - tym razem przyjęło wyraz zakłopotania. Postawny wojownik zbliżył się, przyklęknął i ściągnął hełm, pod którym ukazały się sklezione potem, przyklepane włosy.

- Moja pani - rzekł kornie, mrużąc dzikie ślepia.

- Wstań, Steapo - poprosiła łagodnie złotowłosa.

Olbrzym, zdolny rzucić się na kilkunastu Duńczyków, wielkolud, z którym nie ważyłby się skrzyżować miecza nikt w trzech sąsiadujących z Wessexem królestwach, spoglądał na Aethelflaed z trwożliwym podziwem, z jakim urodzony wśród niewolnych popatruje na królewską córkę.

- Pani Aethelflaed chce - rzekłem władczy tonem - byś zbiegł na dół, przebył fosę, rozbił bramy warowni i wyprowadził stamtąd Duńczyków.

Steapa zrazu dał wiarę moim słowom, co zgadłem, widząc, że po jego niemalże nieruchomym obliczu przebiegł cień niepokoju. Potem wszakże łypnął na mnie spod zmarszczonych brwi, niepewny, jaką powinien dać odpowiedź.

- Dziękuję ci, Steapo - moja przyjaciółka zwróciła się do wojownika z serdecznym uśmiechem. - Zawdzięczamy ci wspaniałe zwycięstwo! Bądź pewien, że zadbam, by ojciec dowiedział się o twym świętym triumfie.

Twarz dowódcy królewskiej straży pojaśniała.

- Mieliliśmy szczęście, moja pani - odparł, zająkując się z przejęcia.

- Istotnie, szczęście zdaje się nam sprzyjać, ilekroć wiedziesz ludzi do walki. Jakże miewa się Hedda?

- Cała i zdrowa, moja pani! - odparł, uśmiechając się pocziwie, wyraźnie zdumiony, że wielka pani raczy pytać o zdrowie jego połowicy. Mnie także zdziwiło, iż Aethelflaed zna imię jego wybranki - drobnej, niepozornej kobieciny - które mnie samemu wciąż ulatywało z pamięci. W jeszcze większe zdumienie wprawiła mnie, gdy okazało się, że wie również, jak nazywa się ich syn.

- Czy mój brat jest gdzieś w pobliżu? - zapytała później.

- Był z nami na polu bitwy - odrzekł Steapa - przeto nie może być daleko, moja pani.

- Wyjadę mu na spotkanie - zdecydowała.

- Jeśli wola, ale tylko pod strażą - zastrzegłem burkliwie, obawiając się, że w leśnym gąszczu mogą kryć się gromady duńskich niedobitków.

- Erl Uhtred zdaje się przekonany, że wciąż jestem dzieckiem, które nie obędzie się bez stałej opieki - stwierdziła tonem skargi, zwracając się do wodza królewskich przybocznych.

- Zapewne wie, co czyni, pani - lojalnie odrzekł olbrzym.

Przyprowadzono wierzchowca i Aethelflaed lekko wskoczyła na koński grzbiet, wybijając się z moich złączonych dłoni. Przykazałem Weohstanowi i jego jeźdźcem, by służyli jej ochroną w drodze do dopalającego się dworu w Thunresleam. A kiedy kawalkada się oddaliła, grzmotnąłem Steapę w jego szerokie plecy, twarde niczym pień dębu.

- Dziękuję ci, przyjacielu.

- Za co?

- Za to, że wciąż żyję.

- Zdawało mi się, że wcale nieźle dawałeś sobie radę - mruknął.

- Byliśmy o krok od śmierci - sprostowałem - póki nie przyszedłeś nam z odsieczą.

Pocziwiec zbył podziękowania chrząknięciem i zwróciwszy wzrok na wschód, zagapił się na nową warownię.

- To będzie diablo trudne wyzwanie - zauważył. - Jak się tam wędzemy?
- Sam chciałbym wiedzieć.
- Jakoś będzie trzeba - stwierdził, lecz brzmiało to tak, jakby stawiał pytanie.
- I to szybko - zaznaczyłem.

Nie mogliśmy pozwolić sobie na zwłokę, bo choć ściskaliśmy wroga za gardło, ten miał wciąż wolne ręce. A rękami owymi byli wojownicy pustoszący Mercję. Wydawali mi się nawet podwójnie groźni, bowiem pozostawili w Beamfleot swych bliskich oraz okręty, na których zależało im pewnie nie mniej niż na rodzinach. Duńczycy lubili iść z wiatrem. Atakowali tam, gdzie nie napotykali twardego odporu, lecz w obliczu przeciwności zazwyczaj pospiesznie wycofywali się na statki i żeglowali w poszukiwaniu słabszych ofiar. Jednakże gdybym zdołał zniszczyć lub rozproszyć ich flotę, pirackie załogi utknęłyby w Brytanii, a następnie - jeśli Wessex wyszedłby z wojny obronną ręką - jedna po drugiej zostałyby wytropione i wygniecione. Haesten mógł trwać w przeświadczeniu, że nadmorska twierdza pozostanie niezdojta, lecz jego zwolennicy, dowiedziawszy się o oblężeniu, z pewnością zaczną go nakłaniać, by rozbił armię oblężniczą. Mówiąc krótko, wiedziałem, że łupiący Mercję Duńczycy będą naciskać na swego wodza, aby niezwłocznie zawrócił i bił się w obronie wszystkiego, co im drogie: okrętów i rodzin.

- Im prędzej, tym lepiej - dorzuciłem.
- Musimy więc jakoś przebrnąć ten rów - stwierdził Steapa z właściwą sobie prostotą - i po drabinach wspiąć się na palisadę.
- Miałem ten sam zamysł - przyznałem.
- Dobry Jezu - mruknął pod nosem i się przeżegnał.

Usłyszawszy dobiegający z północy głos rogów, zwróciłem wzrok ku pastwiskom zasłanym zwłokami ludzi i koni. Na ich dalekim skraju dostrzegłem wyłaniającą się z lasu kolumnę jeźdźców. Nad głową jednego z nich powiewał ogromny smoczy sztandar. Wskazywał jasno, że zbliża się sam aetheling Edward.

Królewski syn wstrzymał wierzchowca u wrót warowni i grzał się na słońcu, podczas gdy jego służebni, wiodący luzaki z bagażami, w widocznym pośpiechu przejechali pod wartownią i skierowali się ku większemu z dwóch stojących na szczycie wzgórza starych dworów. Oba budynki były zrujnowane. Finan obejrzał je wcześniej, a kiedy dołączył do nas, potwierdził to, co usłyszeliśmy wcześniej od wiejskiego księdza: podupadłe długie domy służyły Duńczykom za stajnie.

- W środku panuje smród niby w wychodku - z odrazą dodał Irlandczyk.

Edward nadal tkwił w tym samym miejscu, rozmawiając z Aethelflaed.

- Czemu nie wjedzie do środka? - dziwiłem się.

- Czeka, aż ustawią dla niego tron - odparł Finan i wybuchnął śmiechem, widząc malujące się na moim obliczu zdumienie. - Poważnie! Przywiódł ze sobą cały dwór i moc służby, która rozkłada dla niego dywan. Mają też królewskie siedzisko i bóg wie, co jeszcze. Przytargali też przenośny ołtarz.

- Niebawem będzie królował - lojalnie stwierdził Steapa.

- Chyba że bękart zginie, gdy będziemy zdobywać tamtą twierdzę - warknąłem, wskazując duńskie umocnienia.

Wielkolud zdawał się wstrząśnięty moimi wichrzycielskimi słowami, lecz udobruchał się, gdy spytałem go o samopoczucie Alfreda.

- Całkiem już wydobrzał! - rzekł z niekłamaną radością. - A zdawało się, że nas opuści! Lecz wrócił do zdrowia. Znowu jeździ konno i wcale żwawo chodzi!

- No proszę, a zimą doszły mnie wieści o jego śmierci.

- Bo i niewiele brakowało. Ledwie dychał. Przyjął już ostatnie namaszczenie, lecz z nadejściem wiosny wróciły mu siły. Przed paroma dniami pojechał do Exanceasteru.

- A właśnie. Cóż się tam teraz dzieje?

Wódz straży wzruszył ramionami.

- Duńczycy wzniesli warowny obóz i gnieźdzą się w nim.

- Być może chcą wymóc na Alfredzie daninę - zasugerowałem. Pomyślałem o Ragnarze. Wyobrażałem sobie, jaka trapi go zgryzota, bo na pewno Brida usilnie namawiała go do szturmowania Exanceasteru, a był to jeden z trudniejszych do zdobycia burhów. Czyniły go takim zarówno położenie na wzgórzu o stromych stokach, jak i fakt, że tamtejsze potężne obwałowania obsadzone były przez wyćwiczoną armię Alfreda. Dlatego nie dziwiło mnie wcale, że Duńczycy nie wazyli się przypuścić nań ataku. - Ten przechera Haesten wykazał się nie lada zręcznością.

- Zręcznością? - Steapa nie zrozumiał.

- Najpierw przekonał Northumbryjczyków, by podjęli wyprawę na Wessex, wmawiając im, że armia Zachodnich Sasów będzie związana walkami w Mercji, którą sam zaatakuje - wyjaśniłem. - A następnie ostrzegł Alfreda o ich wyprawie, by uniknąć walki z jego wojskami.

- Ale przecież musi z nami walczyć - warknął wielkolud.

- Tylko dlatego, że Alfred nie dał się okpić - stwierdziłem.

Władca Wessexu zdawał sobie sprawę, że Haesten stanowi dlań większe zagrożenie, wiedział więc, że jeśli zdoła rozproszyć zastępy pirata z Beamfleot, northumbryjscy jarlowie najpewniej stracą serce do walki, zwiną obóz i poześlą na północ wyspy. Toteż, by pohamować zapędy Northumbryjczyków, ściągnął znaczną część swych sił do Defnasciru, ale tysiąc dwustu najwytrawniejszych wojowników wyprawił do Beamfleot. I to pod wodzą syna. Zamiarem starego władcy było bowiem nie tylko poskromienie wikingów Haestena, lecz coś jeszcze.

Król Wessexu pragnął, by imię aethelinga opromienił blask doniosłego zwycięstwa. Alfred doskonale wiedział, że wyznaczony przez niego na następcę potomek, nie jest mi do niczego potrzebny. Do osiągnięcia zwycięstwa niezbędny był mi natomiast Steapa i jego ludzie, podczas gdy Edward stanowił jedynie zbędne brzemie. Alfred wszakże, czując, że dożywa kresu swych dni, chciał zyskać pewność, iż jego pierworodny obejmie po nim władzę. A by doszło do tego bez walk o tron, aetheling musiał zdobyć sławę zwycięskiego wodza. Z tych samych powodów już wcześniej król starał się wymóc na mnie, bym poprzysiął Edwardowi dożgonną służbę. W końcu doszedłem do gorzkiego wniosku, że choć odmówiłem złożenia ślubów jego potomkowi, przebiegły władca i tak zmusił mnie do walki po stronie chrześcijan i ku chwale następcy tronu.

Uroczyste wkroczenie aethelinga do twierdzy obwieściła głośna gra rogów. Wojownicy na jego widok padali na kolana, a ja przyglądałem się, jak Edward przyjmuje ich hołd, pozdrawiając klęczących pełnym gracji skinieniem prawej dłoni. Patrząc na jego młodzieńczą, drobną twarz, przypomniałem sobie, jak Ragnar spytał mnie, czy nie chciałbym zostać królem Wessexu. Wybuchnąłem krótkim, gorzkim śmiechem. Finan spojrział na mnie z zaciekawieniem.

- Aetheling będzie chciał nas widzieć we dworze - rzekł Steapa.

Wewnątrz panował niemożliwy smród. Służebni wprawdzie wygarnęli z halli końskie łajno i przegniłe maty z sitowia, lecz smród odchodów zatykał dech, a najgłośniejszym z dźwięków było bzyczenie tysięcy końskich much. Wspomniałem dzień, gdy w świetle buchającego ognia ucztowałem tutaj z rozradowanymi Duńczykami, i naszła mnie myśl, że być może wszystkie świetne dwory o wspianiałym dębowym belkowaniu skazane są na zatracenie.

We dworze nie było podwyższenia, przeto wykwintne siedzisko Edwarda ustawiono tylko na królewskim dywanie. Obok, na stołku, zasiadała Aethelflaed. Za rodzeństwem stała grupa ponurych księży i chociaż nie rozpoznałem żadnego z nich, oni musieli mnie znać, gdyż czterech spośród sześciu kleryków przeżegnało się, gdy ujrzeli, jak zbliżam się do prowizorycznego tronu. Steapa ukląkł przed aethelingiem, Finan oddał mu pokłon, a ja przywitałem młodzieńca grzecznym skinieniem głowy. Edward patrzył na mnie wyczekująco,

najwidoczniej spodziewając się korniejszego ukłonu, lecz gdy zrozumiał, że nie doczeka się ode mnie głębszych oznak uszanowania, zmusił się do uśmiechu.

- Godnie się spisaliście - oznajmił cienkim głosem, lecz w pochwalnych słowach nie wyczułem ani serdeczności, ani przekonania.

Poklepałem wodza straży po plecach i rzekłem:

- To wszystko zasługa Steapy, panie.

- Tak, jest wiernym wojownikiem i dobrym chrześcijaninem - stwierdził następca tronu, dając do zrozumienia, że mnie nie przypisuje tych cnót.

- A przy tym sroga z niego bestia - dorzuciłem. - Na sam widok jego okrutnej urody, Duńczycy robią w portki.

Aetheling i stojący za jego plecami klerycy wzburzyli się, a Edward już zbierał się w sobie, by mnie zrugać, gdy halla rozbrzmiała dźwięcznym śmiechem Aethelflaed. Królewski syn skrzywił się z niesmakiem, ani chybi uznając jej wesołość za nieprzystojną.

- Z przykrością przyjąłem wieść o śmierci pana Aethelwolda - rzekł z powagą.

- I ja nad nią ubolewam, panie.

- Mój ojciec - podjął - przysłał mnie, bym obrócił w proch gniazdo pogańskich piratów - mowa aethelunga była równie sztywna, jak dostojna poza, którą przyjął, wspierając się na podłokietnikach krzesła. Znać było, że młokos uzmysławia sobie swój wiek i wątpliwość własnego autorytetu. W jego bystrych oczach, tak podobnych do ojcowskich, dostrzegłem zagubienie i lęk, które wzbudzały w nim moja pokryta zaschłą krwią twarz i surowe oblicza krzepkich wojowników, spośród których większość zabijała Duńczyków, kiedy on jeszcze ssał pierś niańki. Chłopak dokończył, omiatając zebranych niespokojnym wzrokiem: - Pytanie tylko, jak tego dokonać?

- Steapa zna odpowiedź - rzekłem.

Edward przyjął to oświadczenie z widoczną ulgą, w przeciwieństwie do mego zdumionego przyjaciela.

- Mów - aetheling zwrócił się do olbrzyna.

Zaskoczony dowódca królewskiej straży popatrzył na mnie krzywo, zabrałem więc głos:

- Trzeba przebyć fosę i wspiąć się na palisadę - stwierdziłem rzeczowo. - Można tego dokonać jedynie w czasie odpływu, z czego obrońcy zdają sobie sprawę równie dobrze jak z tego, że czas działa na naszą niekorzyść.

Zapadła cisza. Rozwiązanie, które przedstawiłem, było oczywiste, co wyraźnie rozczarowało następcę tronu. A czego oczekiwał? Sądził, że mam w zanadrzu chytry plan, który pozwoli zdobyć twierdzę za pomocą pogańskiej magii? A może kołatała się w nim

nadzieja, że anioły sfruną z chrześcijańskiego nieba i wytracą obrońców warowni?

Istniały tylko dwa sposoby zajęcia nowego grodu w Beamfleet. Pierwszym było zagłodzenie Duńczyków, na co nie mieliśmy dość czasu, drugim - szturm na wschodnią palisadę. Na wojnie często bywa tak, że najprostsza droga jest jedyną właściwą. Zazwyczaj jednak zwycięstwo trzeba szczerze okupić własną krwią. Wiedzieli o tym wszyscy zebrani w halli wojownicy, toteż niejeden popatrzył na mnie z niemym wyrzutem, zdjęty grozą na myśl o konieczności wdzierania się na wysoką ścianę, u której szczytu czekali waleczni wikingowie.

- Zatem - podjąłem twardym głosem - nie traćmy ani chwili. Weohstanie - zwróciłem się do krępego dowódcy londyńskiego garnizonu. - Twoi ludzie będą pilnować, by żaden duński wysłannik nie opuścił warowni, przekradając się przez mokradła. Beornocie, weźmiesz drużynę Aelfwolda i zagrodzisz drogę na ląd załogom okrętów pełniących straż u ujścia Hothlege. Ty, panie - ciągnąłem, patrząc na Edwarda - zadbasz, by twa straż zbudowała drabiny. A wy - rzekłem, omiatając wzrokiem sześciu księży - na co moglibyście się przydać?

Edward wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma, podczas gdy klerycy ślali gniewne spojrzenia.

- Mogliby się modlić, erlu Uhtredzie - słodkim głosem podsunęła Aethelflaed.

- Racja, módlcie się ze wszystkich sił - poleciłem.

Zamilkłem i znów zapanowała cisza. Wodzowie oczekiwali zapewne, że odbędzie się narada wojenna. Niechybnie pragnął tego i aetheling, nominalny wódz, bowiem wówczas miałby możliwość zachowania pozorów, że postanowienia powzięte na spotkaniu pochodzą od niego samego. Niemniej, jako rzekłem, nie mieliśmy czasu na czcze gadulstwo.

- Drabiny? - zapytał stropiony następca tronu.

- Te, po których będziemy się wspinać - odparłem z niecierpliwością. - Potrzeba nam co najmniej czterdziestu.

Syn króla zamrugał. Widziałem, że zastanawia się, czy mnie złajając, wszelako wrodzona roztropność podpowiedziała mu, że nie warto unosić się dumą, gdy najważniejsze jest zdobycie Beamfleet.

- Zadbam, by je zrobiono - powiedział układnie, przy czym zdobył się nawet na uśmiech.

- A gdy już będziemy mieli drabiny, wystarczy, że przeniesiemy je przez fosę, dostawimy do palisady i wespniemy się na jej szczyt - dopowiedziałem, a wtedy uśmiech Edwarda zgasł.

Albowiem nawet on wiedział, że zginie wielu ludzi. Nazbyt wielu.

Lecz nie było innej drogi.

Aby zrobić użytek z drabin, musieliśmy najpierw przebyć grząską fosę, a jako że w mojej głowie powstał pewien zamysł, nazajutrz o świcie wyprawilem się na północ od naszego

obożu. Dręczyła mnie obawa, że Haesten zdoła szybko przywieść swe łupieżcze zastępy, by przyjść z odsieczą obleganym, toteż porzysyłałem silne czujki na północ i zachód, by wypatrywały wrogiej armii. Wikingowie wciąż się nie pojawiali, a to wskazywało, że piracki wódz pokładał pełne zaufanie zarówno w pozostawionej do obrony warowni załodze, jak i samych umocnieniach. Dlatego gdy my przygotowywaliśmy się do szturmu, drużyny łupieżców wciąż gnębiły Mercję, przesuając się coraz dalej na południe. Najeźdźcy napadali teraz na wsie i pozbawione wałów osady, których mieszkańcy dotąd czuli się bezpieczni z racji bliskości granic Wessexu. Dymy spowijały niebo już nawet nad południową Mercją.

Dotarłem do Thunresleam i odnalazłem ojca Heahberhta. Powiedziałem, czego mi trzeba, po czym Osferth, który prowadził osiemnastu moich drużynników, przywiódł księdzu jednego z luzaków. Stropiony duchowny łypnął jedynym okiem na rosnącego ogiera.

- Panie, toż ja spadnę - wyjąkał z lękiem.

- Nie ma obaw - upewniłem go. - Wsiadaj i trzymaj się krzepko. To spokojny koń. Nie uczyni ci krzywdy.

Zabrałem Osfertha i aż kilkunastu zbrojnych, bowiem udawałem się na północ, na terytorium Wschodniej Anglii, gdzie władali Duńczycy. Nie spodziewałem się jednak większych kłopotów, gdyż wiedziałem, że ci z tamtejszych wojowników, którzy chcieli walczyć z Sasami, przyłączyli się do Haestena. Dlatego nie przypuszczałem, by pozostali w domu osadnicy palili się do bitki. Niemniej, nie chcąc narażać się na niepotrzebne ryzyko, zabrałem część swojej drużyny. Opuszczaliśmy właśnie wioskę, gdy Osferth ostrzegł, że zbliża się do nas grupa jeźdźców. Gdy obróciłem konia, ujrzałem kawalkadę wyłaniającą się z lasu przesłaniającego Beamfleot.

Z początku sądziłem, że armia Haestena musiała zostać spostrzeżona i jedna z naszych drużyn zwiadowczych pogoniła mym śladem, by mi o tym donieść. Wtedy jednak nad głowami nadjeżdżających uniósł się znajomy sztandar ze smokiem. Jak się wkrótce okazało, na czele liczącego dwudziestu ludzi oddziału jechali aetheling i pewien ksiądz.

- Nie znam dobrze Wschodniej Anglii - oznajmił Edward, z zakłopotaniem wyłuszczając powody, dla których narzucał mi swą obecność - i chciałbym dotrzymać ci towarzystwa.

- Poczytuję to za zaszczyt, panie - rzekłem zimnym tonem.

- Oto ojciec Ceonwulf - młodzieniec przedstawił bladoliciego kleryka o jakieś dziesięć lat starszego od siebie, który przywitał mnie niechętnym skinieniem głowy. - Ojciec Ceonwulf od dziecka udzielał mi nauk - dodał królewski syn z serdecznym uśmiechem - a teraz jest moim spowiednikiem i przyjacielem.

- A jakież to wykładałeś mu nauki? - spytałem klechę, lecz nie raczył odpowiedzieć, a

jedynie wlepiął we mnie pełne oburzenia, bardzo błękitne oczy.

- Zapoznał mnie z filozofią - odpowiedział Edward - a także pismami Ojców Kościoła.

- Ja z młodzieńczych nauk zapamiętałem jedną użyteczną radę - odparłem. - Strzeż się ciosu pod tarczę - to rzekłszy, wskazałem jednookiego księdza. - Ojciec Heahberht. A oto aetheling Edward - dopełniłem powitań, zwracając się do duchownego z Thunresleam. Biedak tak dalece przeląkł się księcia, że z trudem utrzymał się na koniu.

Heahberht służył nam za przewodnika. Zapytałem go, gdzie moglibyśmy znaleźć jakieś łodzie, na co odparł, że wie, gdzie przed tygodniem wyciągnięto na brzeg dwa statki.

- To niedaleko stąd, panie - powiedział, dodając, że są to pełnomorskie jednostki należące do duńskiego kupca, a wywleczono je na stały ląd, by dokonać napraw. Zastrzegł jednak z obawą: - Trudno mi orzec, czy są już zdatne do żeglugi, panie.

- To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia - upewniłem go. - Po prostu nas tam zaprowadź.

Tego pogodnego dnia wszystko skąpane było w ciepłym słońcu. Jechaliśmy przez żyzne ziemie uprawne, należące - jak uświadomił nas jednooki - do człowieka imieniem Thorstein, który wyprawił się z Haestenem do Mercji. Duńczyk gospodarował jak się patrzy, mijane przez nas grunty były dobrze nawodnione, lasy bujne, a sady zdrowe.

- Gdzie stoi jego dwór? - spytałem.

- Właśnie tam zdążamy, panie.

- Czy ów Thorstein jest chrześcijaninem? - chciał wiedzieć Edward.

- Tak twierdzi, panie - wyjąkał Heahberht i poczerwieniał. Widać było, że chciał jeszcze coś rzec, lecz nie mógł znaleźć słów i zamilkł, z rozdziawioną gębą wgapiając się w aethelinga. Następca tronu niecierpliwym gestem dał mu znać, by pojechał przodem, ale że stropiony biedak nie miał pojęcia, jak przynaglić konia, Osferth podjechał do niego i przejął wodze. Obaj pojechali kłusem, przy czym ojczulek trzymał się lęku tak kurczowo, jakby obawiał się, że skręci kark.

Królewski syn skrzywił się i rzucił z lekceważeniem:

- Wieśniaczy księżulo.

- Ci prostacy czynią więcej szkody niż pożytku - orzekł Ceonwulf. - Jedną z naszych powinności, panie, będzie edukacja gminnego duchowieństwa.

- W dodatku nosi krótką tunikę! - stwierdził z oburzeniem aetheling. Przypomniałem sobie wtedy, że parę lat wcześniej papież wydał dekret przykazujący sługom Kościoła przywdziewanie długich, okrywających kostki szat. Alfred gorąco popierał to zarządzenie.

- Ojciec Heahberht - rzekłem - to człek o bystrym umyśle i zacnym sercu. Sprawia tylko

wrażenie gamonia, gdyż się ciebie lęka, panie.

- Mnie! - zdumiał się Edward. - A to dlaczego?

- To chłop ze wsi - tłumaczyłem - a mimo to posiadał sztukę czytania. Czy możesz sobie wystawić, ile się nabiedził, by uzyskać święcenia? Ani chybi miejscowi tenowie srodze go gnębili, odkąd tylko pamięta. Toteż, rzecz jasna, trzęsie się za strachu na widok dostojnego pana. A co do jego kusego stroju... Zapewne nosi taki, gdyż nie może sobie pozwolić na długą tunikę. A nawet gdyby mógł, nie dość, że wadziłaby mu w pracy, to jeszcze szybko uwaląaby się błotem i gnojem, w którym przyszło mu żyć... Jakbyś się czuł, gdybyś urodził się prostym wieśniakiem i spotkał możnego pana, który pewnego dnia może zasiąść na królewskim tronie?

Aetheling nic na to nie rzekł, lecz ojciec Ceonwulf skwapliwie podjął rzucone wyzwanie.

- „Może” zasiąść? - powtórzył wzburzony.

- Tak właśnie powiedziałem - rzekłem ze swobodą. Rozmyślnie prowokowałem towarzyszy podróży, przypominając im, że młodzieniec ma kuzyna, Aethelwolda, posiadającego większe prawa do tronu niż Edward. Sam jednak wiedziałem, że Aethelwold, bratanek Alfreda, był skończonym niedojdą, niegodnym ni tronu, ni miana mężczyzny.

Królewski syn wciąż milczał, lecz jego spowiednik nie poddawał się tak łatwo.

- Byłem niepomiernie zdumiony, panie - przerwał napiętą ciszę - widząc tu panią Aethelflaed.

- Zdumiony? - spytałem. - Dlaczego? To nieulekła niewiasta.

- Wszelako winna trwać u boku męża - podjął swą śpiewkę natrętny klecha. - Mój pan, aetheling, z pewnością zgadza się ze mną w tej mierze. Czyż nie tak, panie?

Zerknąłem na Edwarda i spostrzegłem, jak rumienia się jego policzki.

- Nie powinno jej tu być - wyrzekł, przemógłszy się, a wyglądał przy tym tak uciesznie, że z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Pojąłem wreszcie, w jakim celu się do nas przyłączył. Owa przejażdżka po Wschodniej Anglii miała dać mu sposobność do wypełnienia jednego z ojcowskich zadań. Edward i jego spowiednik mieli bowiem przykazane, by nakłonić Aethelflaed do podjęcia swych małżeńskich powinności.

- A dlaczego zwracacie się z tym do mnie? - zapytałem królewskich emisariuszy.

- Albowiem masz na nią istotny wpływ - wyrzucił z siebie duchowny, spoglądając na mnie spođe łba.

Wspiąwszy się na grzbiet płaskowzgórza, skąd rozciągał się widok na dwie doliny, podążyliśmy zstępującą po długim, łagodnym stoku drogą obrzeżoną przez krótko przycięte pnie wierzb, z których odrastały świeże zielone witki. Przed nami, wśród listowia, przeświecała wodna toń, lśniąca srebrzyście w blasku wędrującego po przejrzystym niebie

słońca. Przemilczałem przymówki chmurnego kleryka i zwróciłem się do następcy tronu:

- Czyżby rodziciel polecił ci, abyś przyganiał swej siostrze?

- Przypomnienie jej o ciężących na niej powinnościach to mój chrześcijański obowiązek - odparł chłopak z oziębłą wyniosłością.

- Doszły mnie słuchy, że król uporał się z dręczącą go niemocą - rzekłem na to.

- Bogu niech będą dzięki - wtrącił Ceonwulf.

- Amen - skwitował Edward.

Alfred wiedział, iż jego żywot dobiega kresu. Dożył już wieku ponad czterdziestu lat i troszczył się o to, co stanie się po jego śmierci. Czynił więc to, co zawsze - zaprowadzał ład, starając się doprowadzić do porządku sprawy nękanego przez wrogów królestwa. A żyjąc w przeświadczeniu, że jego gniewliwy bóg gotów jest pokarać Wessex, jeśli ujrzy w nim odstępstwo od zbożnych prawideł, nie szczędził wysiłków, by przymusić córkę do powrócenia na drogę cnoty. Jeśli nie chciała wracać do męża, powinna wstąpić do klasztoru. Alfred nie mógł znieść myśli, że ktokolwiek z jego rodu jawnie grzeszył. Spostrzeżenie to podsunęło mi przednią myśl. Spojrzałem na Edwarda.

- Znasz może Osfertha? - zapytałem zniecacka. - Aetheling poczerwieniał, zaś Ceonwulf spiorunował mnie wzrokiem, jakby chciał przestrzec, bym nie ważył się mówić choćby słowa więcej. - Nie spotkaliście się jeszcze?

- Ciągnąłem z niewinnym uśmiechem, po czym zawołałem:

- Osferth, poczekaj na nas!

Klecha zamyślał odciągnąć konia aethelinga za uzdę, lecz ująłem ją pierwszy i nie bacząc na protesty księdza, podprowadziłem wierzchowca następcy tronu do jego przyrodniego brata.

- Powiedz mi - zapytałem bękarta królewskiego - jak wzbudziłbyś w Mercjanach ochotę do walki?

Zdziwiony Osferth zmarszczył brwi, zastanawiając się zapewne, co też kryje się za tym osobliwym pytaniem. Spojrzał na Edwarda, lecz nie dał po sobie znać, że rozpoznaje krewniaka, choć podobieństwo było uderzające. Obaj odziedziczyli po ojcu pociągłe oblicze, wklęsłe policzki i cienkie wargi. Tyle że rysy nieprawego syna były twardsze, takie same jak jego życie. Alfred wstydził się bękarta i chcąc go od siebie odsunąć, oddał chłopaka mnichom, lecz ten oparł się woli rodziciela i został wojownikiem. Dobrym, bo myślał podczas walki, a cechę tę odziedziczył po ojcu.

- Mercjanie potrafią walczyć nie gorzej od innych - zauważył roztropnie. Pojmował doskonale, że prowadzę jakąś rozgrywkę, a starając się dociec jaką, miarkował słowa.

Wtedy ja ułożyłem prawą dłoń - niewidoczną dla Edwarda i Ceonwulfa, jako że miałem

ich z lewej strony - tak, by przywodziła na myśl kobiecą pierś. Osferth, widząc, co czynię, z trudem powściągnął wesoły uśmiech, mimo iż - podobnie jak jego ojciec - śmiał się szalenie rzadko.

- Potrzeba im godnego przywództwa - oświadczył.

- Dzięki Bogu prowadzi ich pan Aethelred - odrzekł na to ksiądz, nie spoglądając na wojownika.

- Pan Aethelred nie zdołałby poprowadzić mokrej dziewczki do suchego łóżka - odparłem obcesowo.

- Mercjanie darzą miłością i poważaniem panią Aethelflaed - zauważył Osferth, wybornie się znajdując. - Pod Fearnhamme wszyscy byliśmy świadkami tego, jak jej odezwa wzbudziła w nich płomienny zapał.

- Otóż to - poświadczyłem. I powiedziałem do Edwarda: - A będziesz potrzebował Mercjan... Jeśli zostaniesz królem - dodałem po chwili, kładąc nacisk na „jeśli”, by utrzymać go w niepewności. - Mercjanie osłaniają Wessex od północy, lecz nie pałają miłością do Zachodnich Sasów. Walczą dla was, ale was nie lubią. Dawniej stanowili udzielne królestwo i nie chcą, by południowi sąsiedzi mówili im, co mają robić. Jednak pani Aethelflaed zdołała podbić ich serca, mimo iż pochodzi z Wessexu. A wy chcecie zamknąć ją w klasztorze?

- Kobieta zamężna... - zaczął Ceonwulf.

- Zawrzyj gębę, klecho - warknąłem. - Wasz król posłużył się swoją córką, by ściągnąć mnie na południe wyspy, i tylko dlatego mnie tu widzicie. A zostanę tutaj jedynie tak długo, jak długo potrzebny będę Aethelflaed. Niech wam się nie zdaje, że walczę dla was, w imię waszego boga czy króla. Zanim więc zaczniecie rozporządzać losem Aethelflaed, weźcie pod rozwagę moje słowa.

Następca tronu był nadto zakłopotany, by podnieść na mnie wzrok, ksiądz nasrożył się, lecz nie śmiał protestować, Osferth zaś uśmiechnął się szeroko. Nasz przewodnik, dotąd przysłuchujący się rozmowie z malującym się na jednookim obliczu wyrazem zgrozy, zebrał się na śmiałość i rzekł pokornie:

- To droga do dworu, panowie. - Wskazał jedną z odnóg traktu rozoranego przez koła wozów. W oddali, wśród rosochatych gałęzi wiązów, prześwitywała ułożona z trzciny strzecha. Przynagliłem wierzchowca i ruszyłem przodem, by zatrzymać się na najbliższym wzniesieniu, skąd ujrzałem pagórek, a na nim długi dom Thorsteina. Za dworem, wzdłuż brzegu obmywającej wzgórze rzeki, paliło się kilkanaście ognisk pośród luźno rozsypanych wiejskich chałup.

- Suszą tu śledzie? - zapytałem ojca Heahberhta.

- I ważą sól, panie.

- Dwór otacza palisada?

- Tak, panie.

Ostrokół nie był strzeżony. Wierzeje widniejącej w nim bramy stały otworem. Pan halli powiódł swych wojowników do Mercji, na łupieżczą wojnę Haestena, pozostawiając w domu jedynie starszych mężczyzn, by strzegli jego ziem i rodziny, a ci nie rwali się do z góry przegranej walki. Zamiast stawiać opór, wysłali zarządcę majątku, który powitał nas, niosąc miskę wody. Popielatowłosa żona nieobecnego gospodarza przyglądała się nam, stojąc w odrzwiach dworu, lecz gdy tylko zwróciłem oblicze w jej stronę, skryła się wewnątrz, zatraskując drzwi.

W obrębie obszernej palisady, prócz dworu, mieściły się trzy stajnie, obora i skonstruowane z wiązowych desek pochylnie, na których stały dwa wyciągnięte na brzeg statki. Były to łodzie kupieckie o pękatych kadłubach, na których znać było świeżo przybite przez cieśli, jaśniejsze deski dębowego poszycia.

- Twój pan jest skutnikiem? - spytałem zarządcę.

- Od zawsze budowano tutaj statki, panie - odrzekł z pokornym ukłonem. Jego oględna odpowiedź kazała mi zgadywać, że Thorstein zawładnął małą stoczną, należącą wcześniej do jakiegoś Angła.

Odszukałem wzrokiem Osfertha i nakazałem:

- Zapowiedz naszym ludziom, by nie naprzykrzali się tutejszym kobietom. Znajdź też wóz i konie pociągowe. - Po czym znów zwróciłem się do zarządcy: - Potrzeba nam ale i jadła.

Za wyciągniętymi na brzeg łodziami znalazłem długą szopę. Pod strzechą polatywały sprzeczące się głośno jaskółki. Postąłem chwilę i odczekawszy, aż mój wzrok przyzwyczai się do panującego wewnątrz półmroku, znalazłem to, czego szukałem. Drzewca masztów i rej oraz żagle. Przywołałem ludzi, po czym poleciłem załadować reje i żagle na wóz. Przeszedłem przez skład i wyjrzałem przez jego drugie, otwierające się na rzekę wejście. Powierzchnia wody usiana była wirami. Poziom wody spadał wyraźnie, odsłaniając strome, śliskie skarpy.

- Na cóż nam żagle i reje? - usłyszałem zza pleców głos Edwarda.

Odwróciłem się, a wtedy aetheling dodał speszony: - Zarządca przyniósł sycony miód. - Widziałem w oczach chłopaka lęk, jednak następca tronu starał się go przemóc. Chyba chciał się ze mną zaprzyjaźnić.

- Powiedz - zapytałem - co się wydarzyło, gdy próbowaliście zdobyć Torneie?

- Torneie? - zdziwił się, jakby miano to było mu obce.

- Zaatakowaliście Haralda na zajmowanej przez niego wyspie i ponieśliście srogą klęskę. Pytam, jak do niej doszło.

Słyszałem o tym z ust Offy, który wraz ze swą psiarnią wędrował od królestwa do królestwa, kupcząc wieściami, lecz wolałem dowiedzieć się wszystkiego od kogoś, kto uczestniczył w walce. Zrozumieć, dlaczego szturm na garstkę niedobitków rannego jarla się nie powiódł, choć kosztował życie wielu wojowników.

Edward zmarszczył czoło.

- To było... - zaczął niepewnie i urwał, potrząsając głową. Być może stanęli mu przed oczyma Sasi brnący przez mokradła. - Utknęliśmy w drodze.

- Jak to możliwe?

Chłopak skrzywił się na samo wspomnienie.

- Tkwiły tam zaostrome pale, a muł okazał się nazbyt grząski.

- Zdaje ci się, że zdobycie Beamfleot będzie prostsze? - spytałem. Wyraz twarzy aethelinga wystarczył za odpowiedź. - A kto szedł na czele szturmujących Troneie?

- Aethelred i ja - odrzekł.

- Ty? - rzuciłem z niedowierzaniem. - Prowadziłeś atak?

Kiedy zmierzyłem go wzrokiem, przygryzł wargę i spuścił wzrok.

- Nie.

- Twój ojciec ułożył wszystko tak, by nic ci się nie przytrafiło? - zgadywałem, a on kiwnął głową. - A gdzie był wtedy eldorman Aethelred? Czy szedł na czele?

- Eldorman to mężny wojownik - zaprotestował królewski syn.

- Nie odpowiedziałeś.

- Poszedł do boju ze swoimi ludźmi - odrzekł oględnie - ale dzięki Bogu, nie zginął z ręki pogan.

- Powiedz mi więc, czemu miałbyś chodzić w koronie? - zapytałem bez ogródek.

- Ja... - wymamrotał i zamilkł, wpatrując się we mnie ze zbolałym obliczem. Przyszedł do mnie z przyjaznymi zamiarami, a ja bezlitośnie wygarniałem mu całą gorzką prawdę.

- Czy dlatego, że jest nim twój ojciec? - zasugerowałem. - Dawniej obierano władcą najdzielniejszego spośród wojowników, a nie tego, który miał szczęście wypaść spomiędzy nóg królewskiej połowicy. - Edward zmarszczył brwi i choć skrzywił się niechętnie, nie mógł dobyć głosu. - Nie widzę zatem powodów, dla których nie miałbym osadzić na tronie Osfertha - ciągnąłem nieubłaganie. - Przecież jest najstarszym synem Alfreda.

- Kiedy nie ma reguł określających sukcesję - odrzekł wyważonym tonem - zgon króla prowadzi do chaosu.

- Reguły - sarknąłem. - Jakże wy kochacie reguły. Chcesz przez to powiedzieć, że Osferth nie może zająć tronu, gdyż jego matka była służką?

- Zgadza się - odparł już bardziej stanowczo. - Nie może.

- Na twoje szczęście - podjąłem - Osferth nie pragnie ubiegać się o taki zaszczyt. Przynajmniej tak mi się zdaje. Ale ty chcesz zostać królem, nieprawdaż? - zawiesiłem głos i czekałem. Po chwili młodzieniec lekko przytaknął. - Masz tę przewagę nad innymi, że przyszedłeś na świat między właściwą parą nóg, co nie oznacza jeszcze, że nie musisz zasłużyć na królewską godność. - Aetheling patrzył na mnie w milczeniu. - Jeśli chcesz zostać królem, musisz dowieść ludziom, że jesteś tego godzien. Musisz znaleźć się tam, gdzie nie było cię pod Torneie, i gdzie zabrakło mego kuzyna. Na czele własnych zbrojnych. Dopiero kiedy podczas ataku staniesz w pierwszym szeregu, zdobędziesz prawo wydawania rozkazów. Nie możesz bowiem oczekiwać od wojowników, by szli umierać za ciebie, jeżeli sam nie pokażesz, że i ty gotów jesteś na śmierć w ich obronie.

Następca tronu z powagą pokiwał głową.

- Beamfleot? - spytał, nie potrafiąc ukryć przerażenia, jakim napawał go szturm.

- Jeśli chcesz królować - rzekłem - musisz poprowadzić atakujących. A teraz chodź. Pokażę ci, jak masz tego dokonać.

Wyszliśmy razem na stromy brzeg. Odpływ miał się już ku końcowi, a wraz z odejściem wody odsłaniała się pod nami gliniasta stromizna, teraz wysoka już na jakieś dwanaście stóp.

- Jak zdołamy się wspinać na taki brzeg? - spytałem.

Edward zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, a ja pchnąłem go, strącając ze skraju skarpy. Straciwszy równowagę, przerażony chłopak krzyknął, poślizgnął się na błotnistej ścianie i zjechał na swym królewskim tyłku, by zatrzymać się dopiero w płytkiej wodzie. Tam, oburzony i oblepiony błockiem, stanął na równe nogi. Ojciec Ceonwulf przygnał na brzeg, podejrzewając chyba, że usiłuję utopić aethelinga. Dobiegłszy do mnie, stanął jak wryty i spojrzał w dół na ubłoconego następcę tronu.

- Dobądź miecz - poleciłem młodzieńcowi - i wejdź na górę.

Obnażył broń i postąpił parę kroków w górę, lecz grunt jął usuwać mu się spod nóg, zabierając go z powrotem do strumienia. Podjął jeszcze kilka nieudanych prób.

- Weź się w garść! - krzyknąłem. - Przyłóż się do tego! Na szczycie czekają Duńczycy, których musisz zgładzić! Wspinaj się!

- Co ty wyrabiasz? - chciał wiedzieć klecha.

- Kształcę króla - ściszonym do szeptu głosem wyjawilem księdzu, po czym zwróciłem się do Edwarda: - Wspinaj się, bękarcie! No chodź tutaj!

Aetheling, odziany w ciężką zbroję i dźwigający długi miecz, nie potrafił zdobyć błotnistej ściany. Piął się po niej na czworaka, po czym znów ześlizgiwał.

- Tak samo będzie wyglądało dno fosy dzielącej nas od palisady Beamfleet! - wyjaśniłem.

Królewski syn, umorusany i przemoczony, zadarł ku mnie głowę.

- Może przerzucimy nad fosą mosty? - zaproponował.

- Jak mielibyśmy tego dokonać pod gradem włóczni ciskanych z góry przez setki popierdujących Duńczyków? - odbiłem pytanie. - No dalej! Na górę!

I znów młodzieniec wspinał się i ześlizgiwał. Ziajany, uniósł wzrok. Spozregłszy zgromadzonych nad brzegiem ludzi ze swej straży i moich wojowników, zacisnął zęby. Począł z determinacją mieć oślizgłe błoto stopami, podejmując ostatnią próbę. Tym razem udało mu się wdrzeć nieco wyżej i pozostać tam, gdyż wbił miecz w pochyły, niepewny grunt. I tak pomału począł posuwać się w górę. Ludzie obserwujący zmagania aethelinga poczęli zagrzewać go okrzykami. Jeszcze parę razy tracił grunt pod nogami, lecz za każdym razem podnosił się i niezłomnie parł naprzód, a im był wyżej, tym gorętsze słowa zachęty docierały do jego uszu. I naraz dziedzic tronu, cały oblepiony błotem, zapomniał o swym dostojeniu i zaczął się dobrze bawić. Na jego pociągłym obliczu ukazał się szeroki uśmiech. Z zacięciem wbijał buty w grząską stromiznę, dźgał ją mieczem i podciągał na rękojeści, aż wgramolił się na trawiaste urwisko. Wyprostował się i uśmiechnął do wykrzykujących wojowników. Ojciec Ceonwulf aż promieniał od przepełniającej go dumy.

- By podejść do warowni, będziemy zmuszeni do wspinaczki po równie grząskim i śliskim zboczu fosy - rzekłem do zdyszanego Edwarda. - A przy tym na nasze głowy sypać się będą ciskane z wałów włócznie i wystrzeliwane stamtąd strzały. Gdybyśmy wdrapywali się tak długo jak ty, wszyscy leglibyśmy na dnie fosy, nie docierając nawet do palisady.

- Stąd żagle - rzekł z błyskiem zrozumienia w oku.

- Właśnie - przytaknąłem - stąd żagle.

Poleciłem Osferthowi, by rozwinięto jeden z trzech zabranych ze stoczni zwojów. Do przeniesienia ogromnego płótna, na dodatek sztywnego od morskiej soli, trzeba było sześciu ludzi. Ze zwojów materii czmychały spłoszone myszy. Rozłożyliśmy żagiel na trawie, znów go zwinęliśmy i tak trzymaliśmy nad brzegiem skarpy, by rozkładając się przykrył zbocze, po którym chwilę wcześniej piął się Edward. Sama tkanina żaglowa, gładka i dość delikatna, byłaby nieprzydatna do naszych celów. Jednak wzmacniające ją i krzyżujące się w równych odstępach liny miały znacznie ułatwić nam wspinaczkę, stanowiły bowiem kratownicę, po której można było się piąć niby po szczeblach drabiny. Ująłem królewskiego syna za łokieć i stąpając po grubych splotach sznurów, zesliśmy ku linii wody.

- Teraz - rzekłem - jeszcze raz. Pełnym pędem. Ścigamy się!

Aetheling zwyciężył. Puścił się w górę jak szalony, a jego stopy, natrafiając na liny, zanosły go na sam szczyt, a przy tym ani razu nie pomógł sobie rękoma. Gdy dobiegłem jako drugi, na jego obliczu jaśniał zwycięski uśmiech. Uradowany, potoczył wzrokiem po ludziach ze swej straży.

- Wszyscy na dół i na mój znak biegniemy pod górę! - rozkazał.

Stojący dotąd bezczynnie wojownicy - zarówno straż królewska, jak i moi ludzie - z chęcią dołączyli do zawodów. Wszyscy chcieli spróbować swych sił i przekonać się, jak działa sznurowa drabina. Jednak gdy na żaglu znalazło się zbyt wielu ludzi, ten począł obsuwać się po zboczu. By temu zapobiec, kazałem załadować na wozy drzewce rej. Rozwinąwszy najpierw żagle, należało przetkać świerkowe drzewce przez oczka wzmacniającej siatki z lin, co powinno usztywnić całą konstrukcję, pozwalając jej pozostać na wybranym przez nas miejscu. Tamtego dnia zaś po prostu przymocowaliśmy górną część płótna paroma kołkami i urządziliśmy wyścigi, które Edward, ku swej nieskrywanej radości, wygrywał raz za razem.

Zauważyłem też, że ośmielony tym osiągnięciem, zebrał się na odwagę, podszedł do Osfertha i zamienił z nim parę słów, choć dotyczyły jedynie stanu pogody, którą przyrodni bracia zgodnie uznali za nader przyjemną.

Tymczasem ja, zyskawszy pewność, że umocowana na żaglu sznurowa siatka pozwoli nam wydostać się z grząskiej fosy, kazałem przerwać zawody, wymyć i wysuszyć żagiel, a następnie starannie go zwinąć i załadować na wóz. Wiedziałem wszakże, że dopiero po drugiej stronie grząskiego rowu zacznie się najgorsze. Spośród tych, którzy po przekroczeniu fosy będą jeszcze przy życiu, zdecydowana większość polegnie podczas wspinaczki na ostrokół.

Zbieraliśmy się już do odjazdu, gdy zarządca przyniósł mi niewielki róg wypełniony miodem. Ująłem naczynie i naraz, bez żadnej widocznej przyczyny, poczułem nagłe swędzenie w miejscu, gdzie przed z górą tygodniem użądliła mnie pszczoła. Spojrzałem na obejmującą róg prawicę i nie dostrzegłem nic, co by je tłumaczyło, bowiem resztki opuchlizny zniknęły parę dni wcześniej, razem z przykrym świadem. Stałem bez ruchu i wpatrywałem się w swoją dłoń, czym wzbudziłem niepokój Osfertha.

- Co ci jest, panie?

- Przywołaj ojca Heahberhta - poleciłem, a kiedy nasz przewodnik się zjawił, zapytałem, kto warzył ów miód.

- Pewien przedziwny człek, panie - rzekł jednooki.

- Jego dziwaczność niewiele mnie obchodzi, choćby miał ogon i piersi. Chcę, byś mnie do

niego zawiódł.

Wóz wyładowany żaglami i rejami pod zbrojną eskortą odjechał do starej warowni, podczas gdy ja, ksiądz i sześciu wojowników udaliśmy się do wioski o nazwie Hocheleia. Był to zaciszny i na poły zapomniany przez ludzi zakątek, gdzie parę chałup skupiło się wśród rozłożystych wierzb. Z zaciekawieniem spostrzegłem, że stoi wśród nich niewielka chatynka z przybitym do okapu skromnym krzyżem.

- Skąd nie spaliła tutejszego kościoła? - zdziwiłem się.

- Mieszkańcy Hochelei chronieni są przez Thorsteina, panie - odrzekł Heahberht.

- Czemu więc Thorstein nie wziął w obronę ludności Thunresleam?

- Tutejsi służą Thorsteinowi, panie. Mieszkają i pracują na jego ziemiach.

- A do kogo należy Thunresleam?

- Do tego, kto akurat stoi w nadbrzeżnej warowni - z goryczą odpowiedział ksiądz. - Tędy, panie. - Wskazał ścieżkę wokół stawu, w którym pławiło się stado kaczek. Następnie przedarliśmy się przez gęszcz zarośli, za którym moim oczom ukazała się ocieniona przez korony drzew, nadzwyczaj niska strzecha, niemalże sięgająca ziemi, spod której ledwie było widać kryjącą się pod nią chatynkę, tak iż początkowo wziąłem ją za stertę słomy. - Pszczelarz zwie się Brun, panie.

- Brun?

- Po prostu Brun. Ludzie powiadają, że jest na wpół obłąkany.

Spod strzechy wypełził na czworaka krępy Brun. Pszczelarz, wydostawszy się spod niskiego okapu, począł się podnosić, lecz zobaczywszy moją zbroję i ramiona lśniące od pierścieni naramiennych, z powrotem padł na kolana i oblepione brudem ręce, którymi począł przebierać w ziemi, jakby czegoś w niej szukał. Mamrotał przy tym coś, czego nie dosłyszałem. Po chwili spod strzechy wyłonił się ktoś równie drobny, także pełzający na czworaka. Kobieta.

Oboje poczęli bić przed nami pokłony, wydając z siebie dźwięki przypominające dziecięce kwilenie. Kiedy ojciec Heahberht wyjawiał, że chcemy obejrzeć pasiekę, Brun żwawo podniósł się z klęczek, pochrząkując i mrużąc. Wówczas zrozumiałem przyczynę, dla której chata ledwie wystawała nad ziemię. Kosmaty pszczelarz odznaczał się tak niepokąznym wzrostem, że można go było wziąć za karła, które ponoć żyją w podziemnym świecie. Gęste kołtuny prawie zupełnie przesłaniały mu twarz, nie widziałem więc jego oczu. Pociągnął kobiecinę za rękę, a gdy podniosła się z klęczek, okazało się, że połowica Bruna nie jest od niego ani wyższa, ani piękniejsza. Karłowata para zwróciła się do księdza i poczęła trajkotać, jedno przez drugie, posługując się bełkotliwą mową, z której z trudem wychwytywałem

pojedyncze słowa.

- Brun mówi, żebyśmy przeszli na tyły domu, do jego pasieki, panie - wyjaśnił mi jednooki.

- Pojmujesz ich mowę?

- O tyle, o ile, panie.

Przywiązałem konia do młodego grabu i pozostawiwszy wojowników na miejscu, podążyłem za karłowatą parą. Wijąca się wśród gęstych zarośli ścieżka doprowadziła nas na łąkę, gdzie w wysokich trawach ujrzałem to, czego szukałem. Rzędy uli. W rozgrzanym powietrzu aż roiło się od zapracowanych pszczoł, które przylatywały do swych domów bądź z nich wylatywały, nie zwracając na nas uwagi. Ich siedziby miały kształt ogromnych szyszek. Na pierwszy rzut oka wyglądały, jakby zostały wypalone ze zmieszanej z błotem gliny. Brun, którego pomruki nabrały łagodnej słodyczy, gładził ręką obły kształt jednego z brunatnych uli.

- Powiada, że pszczoły mówią do niego, panie - wyjaśnił Heahberht - a i on do nich przemawia.

Pasiaste owady obsiadły nagie ramiona szepczącego do nich czule pszczelarza.

- A o czym mówią? - zainteresowałem się.

- O tym, co dzieje się w szerokim świecie, panie. Zaś Brun tłumaczy im, że jest mu przykro.

- Z powodu zdarzeń, które dzieją się na świecie?

- Nie. Przykro mu, gdyż by pozyskać miód na wyrabiany przez siebie trunek, panie, musi rozbić ul, a wtedy pszczoły umierają. Wówczas grzebie je w ziemi i modli się nad ich mogiłą.

Karzeł nucił mrużankę oblepiającym go pszczołom. Zachowywał się niczym matka śpiewająca dziecku.

- Do tej pory widziałem jedynie słomiane ule - rzekłem. - Być może tamte nie muszą być niszczone, by pobrać miód, a żyjące w nich pszczoły nie muszą ginąć?

Bartnik najwidoczniej zrozumiał moje słowa, gdyż zwrócił się ku nam i zagniewany wyrzucił z siebie parę zdań.

- Brun nie uznaje kószek⁴⁸, panie - ksiądz przetłumaczył bełkotliwą mowę. - Twierdzi, że ule należy budować wedle starego zwyczaju, zaplatając wiklinowe witki, które oblepia się skorupą z krowiego nawozu, i że tylko wówczas miód ma odpowiednią słodycz.

- Przekaż mu, z czym przychodzę - poleciłem duchownemu. - I wspomnij, że godziwie zapłacę.

Dobiwszy targu z osobliwym pszczelarzem, odjechałem w kierunku starej warowni. Coś mi podpowiadało, że powstały w mojej głowie plan daje nam tylko nikłe szanse powodzenia, ale jednak jakieś daje. W końcu jednak podszeptały mi go pszczoły, a te - wedle tego, co

powiadał Brun - dużo wiedzą o świecie.

Tego wieczoru - tak samo jak i następnej nocy, i jeszcze kolejnej - posłałem ludzi w dół stromego stoku, by niepokoiili obrońców wikińskiej warowni. Pierwsze dwa wypadki poprowadziłem osobiście, wypuszczając się ze starego grodu zaraz po zmierzchu. Nasi wojownicy nieśli zwinięte żagle, które zostały wcześniej przepołowione, dzięki czemu po przymocowaniu każdej połowy do pary rei, otrzymaliśmy sześć szerokich drabin sznurowych. Podczas właściwego ataku należało zejść do grząskiego wykopu, rozwinąć owe przyrządy, ustawić je na przeciwległym stoku fosy i wspiać się po krzyżujących się splotach lin, jednocześnie trzymając długie drewniane drabiny, które miały dać nam przystęp na szczyt palisady.

Prawdziwy szturm poprzedziliśmy zwodniczymi wycieczkami pod nieprzyjacielskie wały. Trzykrotnie wśród wieczornej szarówki podchodziliśmy do samej fosy, czyniąc przy tym jak najwięcej zgiełku. Wrzeszczeliśmy ile wlezie, a nasi łucznicy, w liczbie nieco ponad stu, ślali pierzaste pociski w kierunku wychylających się ponad ostrokół Duńczyków. Obrońcy także szyli do nas z łuków i ciskali włócznie, z których większość z głuchym plaśnięciem zagłębiała się w grząskie błoto. Wikingowie rzucali też płonące główne, by rozświetlić pogrążone w mroku podwale, a kiedy w ich blasku widzieli, że gromadzimy się na skraju fosy, lecz jej nie przekraczamy, za palisadą wykrzykiwano gromkie komendy, a wtedy grad pocisków ustawał.

Owe podchody pozwoliły mi stwierdzić, że duńskie umocnienia są dobrze bronione. Garnizon pozostawiony przez Haestena do obrony warowni był na tyle silny, że wielu wikingów, niepotrzebnych w twierdzy, trzymało straż przy wyciągniętych na brzegi Caningi okrętach.

Wraz z zapadnięciem trzeciej już z rzędu nocy, gdy Zachodni Sasi ruszyli w dół stoku, pozostałem na wałach starej warowni, skąd obserwowałem, jak pod wodzą Steapy przeprowadzają pozorowany atak. Ledwie się ściemniło, gdy moi ludzie przywieśli ze wsi Hochelei wóz, na którym znajdowało się osiem szyszkowatych uli. Brun powiedział, że najodpowiedniejszą porą na zamknięcie przeszłego domu jest zmierzch. Zgodnie z naszą umową, tego właśnie wieczoru pozatykał wejścia do uli gliną z krowim nawozem. Masa szybko stwardniała, o czym się przekonałem, ostrożnie naciskając ją palcem. Kiedy zaś przytknąłem ucho do skorupy, z wnętrza doszło mnie stłumione brzęczenie uwięzionego roju, wprawiające całą jego ostoję w lekkie drganie.

- Czy pszczoły dożyją w zamknięciu jutrzejszego zmierzchu? - zaniepokoił się Edward.

- Wystarczy, by dotrzymały świtu - odrzekłem. - Albowiem uderzymy jutro o pierwszym brzasku.

- Jutro! - wykrzyknął zdumiony aetheling, czym sprawił mi niemałą satysfakcję, gdyż zarządzając pozorowane szturmy tylko wieczorami, miałem nadzieję uspić czujność Duńczyków i utwierdzić ich w przekonaniu, że właściwy atak także będzie miał miejsce wraz z zapadnięciem ciemności. W istocie jednak zamierzałem przypuścić atak wczesnym rankiem, zanim dobrze się rozwidni. Miałem nadzieję, że Skade i jej ludzie - podobnie jak następca tronu - nie będą się spodziewać kolejnego starcia aż do następnego wieczoru.

- Jutro przed świtaniem - przytaknąłem. - A podkradniemy się tam jeszcze dzisiejszej nocy, pod osłoną ciemności.

- Dziś w nocy? - chłopak wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

- Dziś w nocy.

Uczynił znak krzyża. Aethelflaed, która obok królewskiego syna i Steapy była jedyną osobą zawczasu znającą mój plan, podeszła, przywarła do mego boku i wsunęła mi się pod ramię. Jej brat, widząc tak jawne oznaki zażyłości, najpierw wzdrygnął się mimowolnie, lecz rychło pokrył zmieszanie uprzejmym uśmiechem.

- Módl się za mnie, siostrze - odezwał się, niepewnie popatrując na przytuloną do mnie złotowłosą.

- Zawsze to czynię - upewniła go z uśmiechem.

Moja przyjaciółka łagodnie spoglądała na Edwarda, a on przez krótką chwilę wytrzymał jej baczne wejrzenie, po czym przeniósł wzrok na mnie. Zaczął coś mówić, lecz słowa uwięzły mu w gardle, tak iż wydobył się z niego tylko chrapliwy pomruk. Odchrząknawszy, aetheling odzyskał głos:

- Byłbyś skłonny złożyć mi śluby wierności, erlu Uhtredzie? - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Nie, panie.

- Lecz złożyłeś takowe mojej siostrze?

Poczułem, jak oplatająca mnie ręka Aethelflaed zacieśnia uścisk.

- Przysięgałem jej wierność, panie - rzekłem poważnie.

- Zatem mnie nie są potrzebne twoje śluby - odrzekł następca tronu, uśmiechając się pogodnie.

By wyrazić uznanie dla otwartości królewskiego syna, z jaką wypowiedział owe wyrozumiałe i wspaniałomyślne słowa, podziękowałem, skłaniając przed nim głowę.

- Prawdę rzekłeś, panie, nie jest ci potrzebna moja przysięga - odparłem. - Za to twoi ludzie będą dziś w nocy potrzebować pokrzepienia. Przemów do nich i natchnij ich wiarą w zwycięstwo.

Tamtej nocy nikt w obozie nie zaznał zbyt wiele snu. Wojownicy przygotowywali się do bitwy. Nastął czas niepokoju, gdy karmiona lękiem wyobraźnia czyni wrogów straszniejszymi, niż są w rzeczywistości. Niektórzy Sasi ulegli podszeptom strachu i umknęli w las, lecz było ich naprawdę niewielu, zaledwie kilku. Pozostali ostrzyli klingi mieczy i żeleźce toporów. Nie pozwoliłem ludziom nadto podsycać ognisk, w obawie, by Duńczycy nie dostrzegli jasnej poświaty i nie powzięli podejrzeń. Wojownicy niemalże po omacku sposobili broń, wzuwali buty, kolczugi i hełmy. Jedni przerzucali się niewybrednymi żartami, inni siedzieli z opuszczonymi głowami, lecz wszyscy nadstawiali uszu, gdy głos zabierał obchodzący obozowisko Edward. Mężczyźni siedzieli w kręgach, a on przechodził od grupy do grupy i zwracał się do nich w prostych słowach. Przypomniałem sobie niezręczną przemowę, jaką jego ojciec uraczył swych wojowników przed walką o Ethandun - pierwszym wielkim zwycięstwem Alfreda. Mowa aethelinga też nie była porywająca, lecz tchnęła szczerą żarliwością, a zapewnienie młodego następcy tronu, że jako pierwszy wdrze się na wały, trafiało do przekonania czuwających Sasów, wzbudzając pomruki aprobaty.

- Bacz, by ten atak nie kosztował go życia - surowo przestrzegł mnie ojciec Ceonwulf.
- Czy dbałość o to nie należy do waszego boga? - zakpiłem.
- Gdybyś pozwolił Edwardowi zginąć, jego ojciec nigdy by ci tego nie wybaczył.
- Przecież nie jest jedynym jego męskim potomkiem - rzuciłem nieogłędnie.
- Aetheling to człek o szlachetnej duszy - ksiądz uniósł się gniewem. - I wyrośnie na znamienitego króla.

Byłem podobnego zdania. Wprawdzie z początku miałem co do tego poważne wątpliwości, lecz wyzbyłem się ich, gdy poznałem chłopca bliżej. Miał w sobie wolę walki i wiedziałem, że wykaże się męstwem. Czuł strach, tak jak czuje go każdy mężczyzna, jednakże potrafił zacisnąć zęby i nie zdradzić się ze swoim lękiem. Był zdecydowany dowieść, że godzien jest objąć tron, mimo że ta próba mogła go kosztować życie. Nie wzbraniał się przed pójściem w śmiertelny bój, czym zdobył sobie moje uznanie.

- Będzie z niego dobry król - zgodziłem się ze spowiednikiem - jeśli da dowody odwagi. Dobrze wiesz, że musi podjąć to wyzwanie.

Duchowny pomyślał chwilę i pokiwał głową.

- Miej jednak na niego baczenie - poprosił.
- Poleciałem Steapie, by miał nad nim pieczę - uspokoiłem klechę. - Cóż więcej mógłbym uczynić?

Z ciemności wyłonił się ojciec Pyrlig w zaniedbanej zbroi, z mieczem u pasa i toporem przewieszonym przez jedno ramię, a tarczą przez drugie.

- Moi ludzie są gotowi - oznajmił.

Przydzieliłem mu trzydziestu mężczyzn, których zadaniem było zniesienie uli po pogrążonym w mroku zboczu, a potem przedostanie się z nimi na drugą stronę fosy.

Zwróciłem spojrzenie na wschód i choć nie dostrzegłem żadnych oznak świtu, przeczuwałem, że krótka noc ma się ku końcowi. Musnąłem dłonią młot Thora.

- Czas ruszać - zdecydowałem.

Ludzie Steapy czynili wrzawę u stóp wzgórza, odwracając uwagę Duńczyków, podczas gdy ze starej warowni wychodziły setki wojowników, by wśród zupełnych ciemności spowitej chmurami nocy zstąpić po długiej stromiźnie. Przodem szły zastępy Edwarda, niosąc drabiny. Niżej, wokół fosy, rozbłysły rzucane z wałów pochodnie, w blasku których dostrzegłem jasne smugi lotek saskich strzał, śmigających ku zębatamu ostrokołowi. Morska bryza niosła woń soli i skorupiaków. Wspomniałem namiętny pocałunek Aethelflaed, którym mnie pożegnała, obejmując gwałtownie - i poczułem wzbierające obawy. Nasz plan ataku był nader prosty. Przeprowadzić się przez fosę, ustawić drabiny na wąskim, grząskim gruncie między rowem a palisadą, wspiąć się na nie i iść na śmierć.

Posuwaliśmy się w dół stoku po omacku, w luźnym szyku. Wojownicy, nie widząc się nawzajem, sami musieli znaleźć drogę ku zwęglonym szczątkom rybackiej osady Beamfleot, gdzie oczekiwali ich dowódcy, zwołujący swe zastępy ściszym do szeptu głosem. Zgliszczą wioski stanowiły jedyną, choć dość marną, kryjówkę, znajdującą się na tyle blisko nieprzyjacielskiej warowni, że wyraźnie słyszeliśmy obelgi rzucane z wałów w ślad za wycofującymi się ludźmi Steapy. Teraz, gdy rozświetlające podwale główne dogasały, Duńczycy, jak pod koniec każdej nocy, powinni zejść z obronnych parapetów i udać się na spoczynek. Dołączą do swych kobiet, podczas gdy my oczekiwaliśmy świtu, dotykając amuletów i broni. Z ciemności dochodziło ciche popluskowanie odchodzących ku morzu wód, odślanających rozległe połacie przybrzeżnych trzęsawisk. Weohstan i jego drużyna trzymali straż w trzciniowiskach na zachodnim brzegu zatoki. Wysłałem go tam, przewidując, że po upadku warowni część obrońców może skierować się w tamtą stronę. Na przeciwnym, wschodnim, brzegu Hothlege czuwało dwustu naszych ludzi pod wodzą Finana. Ci mieli za zadanie zaatakować stojące tam długie wikińskie łodzie. Niechętnie rozstawałem się z towarzyszem walki, z którym zazwyczaj stałem tarcza przy tarczy, lecz potrzebowałem zawołanego wojownika do zamknięcia Duńczykom ostatniej lądowej drogi ucieczki, a nie znalazłbym groźniejszego i bardziej trzeźwo myślącego mężczyzny niż mój irlandzki przyjaciel.

Ani Weohstan, ani Finan nie mogli dać się spostrzec przed świtem. Nic nie miało prawa

zwrócić uwagi wikingów przed nastaniem dnia. Zachodni wiatr przywiał zimną mżawkę. Księża mamrotali modlitwy. Ludzie Osfertha przycupnęli wśród wysokich pokrzyw, przy złożonych, owiniętych na rejach drabinach sznurowych, w odległości jakichś stu kroków od fosy. Siedziałem tam razem z Osferthem, a tuż za mną kuczał Edward, który nie odzywał się słowem, za to ścisnął w dłoniach wiszący na jego szyi złoty krucyfiks. Steapa odnalazł nas i przysiadł obok aethelinga. Otok hełmu ziębił mnie w uszy i szyję, a siąpiący deszcz sprawiał, że podściółka zbroi przesiąkła i lepiała się do skóry.

Usłyszałem głosy Duńczyków. Po każdym z pozorowanych szturmów obrońcy wysyłali swoich za wały, by odzyskać ciskane w nas włócznie. Domyśliłem się, że i teraz zajmują się właśnie tym, korzystając z nikłego blasku dogasających w fosie łuczyw. Wysiliwszy wzrok dostrzegłem piratów - cienie wśród cieni. Obejrzałem się za siebie i ujrzawszy nad rozlewającą się na krańcach świata szarą poświatę, zmiarkowałem, że lada chwila na niebie ukaże się poranna zorza. Zwróciłem się więc do Edwarda:

- Teraz, panie.

Aetheling wstał. Młody mężczyzna miał rozpocząć bitwę. Przez jedno uderzenie serca walczył, usiłując rozluźnić ściśnięte łękiem gardłem, w końcu obnażył miecz i go uniósł.

- W obronie Boga i Wessexu! - krzyknął. - Za mną!

Tak rozpoczęła się bitwa o Beamfleot.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Początkowo zdarzenia toczą się tak, jak je sobie wyobrażamy, szybko jednak wszystko się odменя i szczegóły ukazują się w całej jaskrawości. Drobnostki zupełnie pozbawione znaczenia. Zapewne dzieje się tak, gdyż w mgnieniu oka zdajemy sobie sprawę, że owe błahę, zdawałoby się, spostrzeżenia mogą być ostatnimi w naszym życiu i dlatego tak mocno zapadają w pamięć.

Pamiętam, że tamtego ranka ujrzałem przezierającą przez szary kożuch chmur gwiazdę, migoczącą niby dogasająca świeca. Mych uszu dobiegł grzechot strzał w drewnianym kołczanie biegnącego obok łuczника. Spojrzałem na południe i olśnił mnie blady poblask szarówki na wodach ujścia Tamizy. Potem mój wzrok zatrzymał się na jasnych lotkach utkwionych w palisadzie strzał, by zaraz powędrować ku pobrzękującym dźwięcznie, luźnym ogniwoom na kraju kolczugi Steapy - kołyszących się w rytm jego kroków - gdy biegł po prawicy Edwarda. Pamiętam nawet biało-czarnego łaciatego psa, spieszącego wraz z nami ku warowni. Z jego szyi zwisał postrzępiony postronek. W moich wspomnieniach biegniemy tak w niemal całkowitej ciszy, choć na zdrowy rozum wydaje się to niepodobieństwem.

Owego ranka, gdy słońce wychylało się zza horyzontu - opromieniając wszystko wkoło srebrzystą poświatą - szparko szliśmy do szturm. Ośmiuset wojowników.

- Łucznicy! - zawołał Beornoth. - Łucznicy! Do mnie!

Kilku Duńczyków krążyło wciąż po cyplu, zbierając włócznie. Widziałem, jak jeden z nich odwraca się ku nam i rozdziawiając usta ze zdziwienia, upuszcza naręcze jesionowych drzewc o zabłoconych grotach, by biegiem puścić się ku warowni, skąd parę uderzeń serca później dobiegła nas gra rogu.

Podzieliłem nasze siły na drużyny, przydzielając każdej określoną rolę i dowódcę. Beornoth przewodził łucznikom znajdującym się na lewym skrzydle, naprzeciw wyrastających z fosy okorowanych pali, wytyczających drogę dla zdejmowanego mostu. Rolą łuczników było nękanie gęstym ostrzałem obrońców wychylających się nad ostrokół, by odpierać nasze ataki za pomocą włóczni, toporów i mieczy. Z kolei Osferth wiódł pięćdziesięciu mężczyzn niosących drabiny sznurowe, które miały wyścielić zbocze fosy. Za jego ludźmi szedł Egwin - zaprawiony w bojach Zachodni Sas - prowadzący stu ludzi, mających za zadanie przystawić dźwigane przez siebie drewniane drabiny do palisady. Pozostali wojownicy zaś mieli zetrzeć się z Duńczykami.

Plan zakładał, że gdy tylko niosący drabiny Sasi przedrą się na przeciwną stronę rowu, główne siły ruszą za nimi i poczną się wspinać, zawierając swe życie bogom. Wyznaczyłem

poszczególnym drużynom jasne zadania - co zapewne spodobałoby się Alfredowi, przykładającemu wielką wagę do ładu i rejestrów - choć wiedziałem doskonale, że założony przeze mnie porządek walk łatwo może się zmać w zderzeniu z okrutną rzeczywistością.

Natarczywe dęcie w róg - będące odpowiedzią na rzucone o świcie wyzwanie - przywoływało obrońców, którzy coraz liczniej stawiali się na wałach. Piraci wcześniej zbierający za fosą włócznie, teraz pospiesznie wspinali się na przeciwległą stronę wykopu, wciągając się po linie przywiązanej do najbliższego bramy słupa. Ostatni z uciekających miał na tyle przytomności umysłu, by przeciąć za sobą ów sznur, po czym przemknął do wnętrza grodu i skrył się za zawieranymi już potężnymi wrotami. Nasi łucznicy poczęli ostrzeliwać wychylających się z nad ostrokołu obrońców, choć groty ich pierzastych pocisków nie mogły uczynić zbyt wielkich szkód odzianym w zbroje i hełmy przeciwnikom. Zmuszały ich jednak do używania tarcz, co miało znacznie utrudnić Duńczykom obronę. Widząc, jak ludzie Osfertha znikają w fosie, wrzasnąłem do pozostałych, by się wstrzymali:

- Stać i czekać!

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy, było zbyt nagromadzenie naszych wojów, brnących przez gliniasty wykop pod gęstym gradem nieprzyjacielskich włóczni, a przy tym utrudniających zadanie drużynie Osfertha. Nie mogłem pozwolić ludziom Egwina ruszyć naprzód, póki drabiny sznurowe nie znajdą się na właściwych im miejscach.

W grząskim wykopie, poniżej linii wody, ukryte były zastrzone pale, lecz ludzie Osfertha odszukali je i bez większego trudu powyciągali z miękkiego dna. Następnie rozwinęli opatrzone siatką lin żagle, rozkładając je na przeciwległym zboczu. A wreszcie przytwierdzili usztywnione przez reje konstrukcje, wbijając włócznie głęboko w muł. Z wałów wystawiono kubeł, z którego poleciały rozżarzone węgle. Ogniste drwa sypnęły iskrami, lecz upadłszy w gęste blokko, zagasły same z siebie, nie czyniąc nikomu krzywdy. Przypuszczam, że jakiś Duńczyk, wpadłszy w panikę, przedwcześnie opróżnił kubeł z węglami.

Łaciaty pies rozszcekał się na krawędzi fosy.

- Drabiny! - huknął Osferth i drużyna Egwina puściła się w dół śliskiego zbocza, podczas gdy wojownicy królewskiego bękarta poczęli ciskać włócznie w widocznych nad palisadą obrońców. Z zadowoleniem obserwowałem, jak niosący drabiny Zachodni Sasi sprawnie wspinają się po stromiznie wykopu, a gdy tylko znaleźli się na jego przeciwnym brzegu, dałem sygnał zastępom szturmowym.

Wszystko to oczywiście tylko z grubsza pokrywa się z tym, co wydarzyło się naprawdę. Albowiem, jakkolwiek bym się starał zobrazować przebieg walk, moja opowieść wydaje mi się kulawa i nieskładna. Dopiero gdy cichnie bitewny zgiełk i wojownicy się uspokajają,

zrucając brzemień strachu, zdają sobie sprawę z tego, co zapamiętali. Wtedy też starają się odtworzyć bieg zdarzeń, bowiem każdej bitwie towarzyszy okrutny zamęt.

Tak jak powiedziałem, przeprawiliśmy się przez fosę, zaś sieć oplatających żagle lin spełniła swoje zadanie, dzięki czemu mogliśmy przystawić drabiny do ostrokołu i rozpocząć szturm. Jednakże pomiąłem wiele z tego, co działo się w tym samym czasie: natłok wojowników zmagających się z wodami odpływu, spadające na nas gęsto włócznie, ciemną purpurę krwi mieszającej się z mętnymi wodami, wrzaski, chaos, zagubienie i rozpacz, głuche uderzenia ciężkich, miotanych z parapetów obronnych grotów, brzęk odbijających się od pancerzy strzał, syk wdzierających się w ciała pierzastych pocisków, krzyki mężczyzn tracących przytomność lub przejętych lękiem przed śmiercią, nawoływania wojowników wzywających towarzyszy, by spiechli z drabinami bądź podźwignęli reję, która obsunęła się do wody. Wreszcie wszechobecne zawiesiste błoto, gęste niczym wyrabiany z końskich kopyt klej. Śliskie, grząskie błocko, oblepiające wojowników, mieszające się z toczącą się z ich ran krwią. Trupy w lepkim mule. Duńczycy obrzucający nas obelgami z niedosiętego parapetu. Obłędne jęki konających, którzy błagali o pomoc, przywoływali swe matki, a potem z gorzkim szlochom odchodzili z tego świata.

Wynik każdej bitwy rozstrzygają drobne zdarzenia. Cóż z tego, że pośle się tysiące ludzi, by szturmowali palisadę, skoro zdecydowana większość z nich nie przełamie oporu obrońców? Wielu czaić się będzie po rowach lub kulić w wodzie na dnie fosy. Jednak dzieła dokonają ci nieliczni, którzy znalazłszy w sobie męstwo i stanowczość, przełamają strach. Przypominam sobie wojownika dzierżącego drabinę, którą przystawił do ściany i począł się na nią pięć, trzymając miecz w dłoni. Widziałem, jak powyżej niego stał Duńczyk z gotową do ciosu włócznią. Czekał. Wykrzychałem ostrzeżenie do pnącego się coraz wyżej Sasa, lecz w tejże samej chwili włócznik zadał okrutne pchnięcie, przebijając hełm atakującego. Ten zadrzał, puścił drabinę i poleciał w dół, bluzgając krwią. Wspinający się za nim towarzysz osłonił się od uderzenia spadającego ciała, wdarł się na szczyt drabiny, zamachnął toporem o długim stylisku i mocno sieknął włócznika.

Słoneczny blask oblał warownię, a tymczasem wśród atakujących zapanował chaos. Wprawdzie podzieliłem ludzi na zastępy, lecz te się przemieszały. Część naszych wojowników stała po pas w mętnej wodzie, inni wciąż podejmowali ataki, lecz te nie przynosiły skutku. Nie byliśmy w stanie wspiąć się na drabiny, które Duńczycy - mimo iż oslepiało ich wschodzące słońce - obalali za pomocą ciężkich toporów o długich styliskach. Kilka drabin, wykonanych ze zbyt cienkich chojaków, połamało się. Jednakże dzielni Sasi wciąż wspinali się na pozostałe, niezłomnie usiłując wedrzeć się na umocnienia. Jeden z żagli osunął się i

zobaczyłem, jak paru ludzi podciąga go, nie bacząc na włócznie, zagłębiające się wokół nich w błocie. Parokrotnie rzucono z wałów płonące węgle, które odbijały się od hełmów i zbroi. Sasi gasili zajmujące się żagle własnymi oblepionymi błotem ciałami. Spadał na nas nieprzerwany grad włóczni, wszakże większość grotów z łomotem zatrzymywała się na lipowych tarczach.

Podniosłem odtrąconą przez obrońców drabinę, oparłem ją o ścianę i zacząłem się wspinać. Jednak by wchodzić po szczeblach, musiałem mieć wolną rękę, przerzuciłem więc tarczę na plecy. Chwytałem kolejne szczeble i podciągałem się na nich lewą ręką, podczas gdy w prawej dzierżyłem Oddech Węża. Byłem już u szczytu, gdy stojący tam wiking chwycił moje ostrze dłonią w grubej rękawicy i próbował mi je wyrwać. Wyszarpnąłem klingę, lecz straciłem równowagę i spadłem, lądując na czyichś zwłokach. Wówczas na stopnie tej samej drabiny wkroczył Edward. Miał na sobie hełm ze złotym otokiem, którego dzwon wieńczyło łabędzie pióro, co czyniło go pożądanym celem ataków. Ujrzałem wychylających się z nad ostrokołu Duńczyków, gotujących się do pochwylenia chłopaka i wciągnięcia go na parapet, by zawłaszczyc jego świetny rynsztunek. Steapa, niewiele myśląc, przechylił na bok drabinę i aetheling runął twarzą w błoto.

- Dobry Boże - doszła mnie powściągliwa skarga Edwarda, brzmiąca jak wyrzekanie nad rozlanym garncem ale bądź skopkiem mleka. Zaśmiałem się w głos.

Chwilę później trzonek duńskiego topora zadzwonił o mój hełm. Podniosłem ten oręż i odrzuciłem go, mierząc w twarz nad sobą, lecz rzut okazał się chybiony. Ojciec Ceonwulf pomógł królewskiemu synowi pozbierać się z ziemi.

- To nie miejsce dla ciebie, ojcze - warknąłem, co zupełnie zlekceważył. Spowiednik następcy tronu okazał się nieulekłym człowiekiem, gdyż stanął u podnóża wałów bez zbroi, tarczy czy jakiegokolwiek broni, wyjął krucyfiks, wymierzył go w obrońców i zaczął wykrzykiwać ku nim klątwy.

- Dawać drabiny! - zagrzmiął donośny głos ojca Pyrliga. - Dawać drabiny! - zawrzasnął ponownie i wzięwszy od jednego ze swych ludzi szyszkowaty ul, przykucnął i rzutem zza głowy cisnął go wysoko w powietrze. - Skosztujcie miodu!

Bale ostrokołu mierzyły dobre dziesięć stóp i trzeba było nie lada krzepy, by przerzucić nad nimi ciężki ul. Piraci nie mogli wiedzieć, czym jest nadlatujący ku nim obły przedmiot. Być może sądzili, że to kamień, choć nie wydaje mi się, aby uwierzyli, że człowiek zdolny jest cisnąć głaz na aż taką wysokość. Jeden z obrońców trącił lecący wysoko nad jego głową ul wierzchołkiem miecza. Potem straciliśmy dom pszczół z oczu.

- Podajcie drugi - zawołał do swych ludzi silny ksiądz.

Pierwszy pocisk z owadami musiał wylądować na parapecie obronnym, gdzie pękł.

Ule były szczelnie zamknięte przez całą noc. Brun, odczekawszy do wieczoru, by wszystkie pszczoły powróciły wraz z nadejściem chłodu, zatkał wejścia do ich domów mieszaniną gliny i krowiego nawozu. Teraz zaś owadzia twierdza, która była wiklinową plecionką, oblepioną cienką, kruchą skorupą z krowiego łajna, uderzyła w drewniany parapet, rozbijając się na nim niczym skorupka jajka.

Pszczoły się wyroiły.

Walijski duchowny rzucił drugi ul, zaś jeden z jego ludzi kolejny, ten wszakże odbił się od palisady i upadł w błoto. Tylko dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu nie uległ rozbiciu. Dwa inne jakimś sposobem znalazły się w fosie i unosiły na wodzie. Nigdy nie dowiedziałem się, co stało się z pozostałymi, lecz te dwa, które wpadły za ostrokół, wystarczyły.

Wojownicze owady jęły nękać nieprzyjaciół. Tysiące rozzłoszczonych, skołowanych pszczoł zaatakowało obrońców warowni, których wrzaski dało się słyszeć u stóp palisady. Duńczycy byli żądleni w twarze i ręce, co dało nam sposobność wdarcia się na wały.

Pyrlig ponaglał Sasów, by stawiali drabiny. Edward chwycił jedną i jął po niej wchodzić, lecz Steapa odtrącił go i wspiął się jako pierwszy. Ja złapałem inną, ustawiłem obok i wchodziłem ramieniem w ramię z przyjacielem.

Trudno mi opowiadać, jak przebiegł ów szturm, gdyż pamiętam jedynie chaos. Chaos i użądlenia pszczoł. Steapa, dotarłszy na szczyt drabiny, wymiół wrogów, kręcąc masywnym toporem z taką zaciętością, że o mały włos nie przeciął i mojego hełmu. Usiadł okrakiem na szczycie ostrokołu i dalej siał śmierć, kręcąc młynki ciężkim żeleźcem. Edward postępował w ślad za nim. W powietrzu brzęczały pszczoły.

- Zawołaj ludzi - przynagliłem młodzieńca. - Przyzwij ich na wały!

Aetheling popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma, nie od razu pojmując, o co chodzi.

- Za Wessex! - krzyknął, oprzytomniawszy.

- Za Mercję! - zawtórowałem gromko.

Nasze wezwania pobudziły śmiałość saskich wojowników, którzy hurmem się do nas przyłączyli. I chociaż nie czułem pszczelich użądleń, później policzyłem, że dopadło mnie aż kilkanaście owadów. Dla mnie jednak nie były żadnym zaskoczeniem, podczas gdy nieprzyjaciele nie spodziewali się bolesnych ukłuc i wpadli w popłoch, co dało nam chwilową przewagę. Lecz piraci dość szybko się opanowali. Usłyszałem przenikliwy kobiecy okrzyk, wzywający Duńczyków do zabijania Sasów. Mimo iż nigdzie nie widziałem Skade, rozpoznałem jej głos.

Wrogowie natarli na nas zwartą grupą, której stawiałem czoło, wystawiając miecz ponad

tarczą, na którą przyjąłem pierwszy cios topora, odpowiadając pchnięciem Oddechu Węża, którego wierzchołek wraziłem w kolano napastnika. Po prawej miałem Cerdica, a po lewej Steapę. We trzech z demonicznym wrzaskiem natarliśmy na wikingów, spychając ich z obronnego parapetu. Grot włóczni trafił w mój hełm, przekrzywiając go. Słońce widoczne pod wiszącymi wyżej chmurami raziło nas swymi promieniami i rzucało długie cienie. Klingi mieczy, żeleźce toporów i groty włóczni słały świetlne błyski. Napierałem tarczą na wrogów i dźgałem ich nagłymi pchnięciami zza jej zasłony. Obok szedł Steapa, z dzikim wyciem strącał z drewnianego pomostu obrońców, niezdolnych oprzeć się jego niewiarygodnej sile. Gdziekolwiek spojrzałem, widziałem pszczoły. Pamiętam, jak pewien Duńczyk zamachnął się na mnie toporem, którego żeleźce zatrzymałem na tarczy. Gdy się zwarliśmy, ujrzałem jego otwarte usta z żółtymi pieńkami zębów i język, po którym chodziło kilka pszczoł. Wtedy Edward wychylił się zza mnie i wraził topornikowi wierzchołek miecza wprost w rozdziawioną gębę, topiąc pszczoły w chlustającej z gardzieli krwi. Zachodni Sasi rozwinęli na wałach sztandar ze smokiem i powiewali nim, co wspinający się po drabinach przyjęli burzą okrzyków.

Gdy na parapecie znalazło się już dość Sasów, zwróciłem się w lewo i począłem nacierać na broniących wałów Duńczyków. Steapa, w lot pojmując moje zamiary, wspomagał mnie w usuwaniu wrogów z drogi, póki nie wywalczyliśmy sobie pozycji na czatowni, nad bramą, gdzie platforma z desek była dwukrotnie szersza. Znalazłszy się tam, uformowaliśmy mur tarcz. Odpieraliśmy wikińskie ataki, aby z czatowni nie można było razić ludzi Pyrliga, którzy od zewnątrz poczęli rąbać toporami wierzeje bramy.

Zapewne urągałem Duńczykom ile wlezie, już nie pamiętam, lecz nie wątpię, że obrzucałem ich wszelkimi możliwymi obelgami, gdy ci napierali na nas z dziką furią. Tymczasem najwaleczniejsi sascy wojownicy wstąpili już na parapet obronny, wspierani przez coraz liczniejszych towarzyszy. Było ich już na wałach tak wielu, że część zeskoczyła do wnętrza warowni, gdzie rozgorzał zacięty bój. Jeden z walczących na pomoście bramnym strącił na dziedziniec roztrzaskany ul, z którego wydostało się jeszcze więcej pszczoł. Na szczęście nie zaatakowały czatowni, gdzie odpieraliśmy zawzięte ataki usiłujących nas stamtąd wyprzeć Duńczyków. Otaczał nas wał skrwawionych zwłok wrogów, lecz wciąż pojawiali się nowi. Wielu dzierżyło solidne włócznie na długich drzewcach, którymi kłuli nas zza zwałowiska trupów swych towarzyszy, lecz ich groty zatrzymywały się na naszych zwartych tarczach.

- Musimy przedostać się do bramy! - krzyknąłem do Steapy.

Moje słowa dobiegły Osfertha, który swego czasu znacznie przyczynił się do wydarcia

Londynu z wikingów, gdy skoczył z tamtejszej wysokiej bramy. Teraz powtórzył ten wyczyn. Na dziedzińcu warowni aż roiło się od Duńczyków, a walczący tam Sasi wciąż byli nieliczni i gęsto padali trupem. Osferth ani się tym przejął. Upadł ciężko na ziemię tuż pod łukiem bramnym, lecz wnet się pozbierał i stanął na równe nogi.

- Alfred! - zawołał. - Alfred! Alfred!

Zdumiało mnie owo bojowe zawołanie, zwłaszcza że imię króla przywoływał jego bękart, który nie darzył władcy szczególną sympatią. Niemniej przyniosło ono pożądany skutek. Rozproszeni po dziedzińcu Zachodni Sasi pospieszyli z odsieczą mojemu wojowi, który osłaniał się tarczą przed ciosami dwóch wrogów, zaś szybkimi cięciami miecza opędzał się od dwóch następnych.

- Alfred! - krzyknął zachęcony przykładem inny saski wojownik, a wówczas Edward wydobył z gardła gromki okrzyk:

- Alfred! - I skoczył z wartowni, dołączając do przyrodniego brata.

- Osłaniajcie aethelinga! - zawołałem.

Steapa, którego najważniejszym zadaniem było niedopuszczenie do śmierci następcy tronu, także zstąpił z wałów, dając susa na dziedzińcu. Ja zostałem na parapecie czatowni, a wraz ze mną Cerdic. Mieliśmy powstrzymać Duńczyków, usiłujących odbić z naszych rąk część umocnień, do których przystawiliśmy drabiny. Moja tarcza ledwie się trzymała. Lipowe drewno zostało w paru miejscach rozszczerzone przez groty wrogów, lecz przed nami leżało zwałowisko duńskich trupów, utrudniając nieprzyjaciółom przystęp do naszych pozycji. Niemniej wielu próbowało pokonać tę przeszkodę, choć dotąd wszyscy przypłacili to życiem. Kiedy jakiś przemyślny wiking zaczął ściągać z parapetu stojące mu na zawadzie ciała towarzyszy i zrzucić je na dół, wkułem mu Oddech Węża pod pachę. Idący za nim wojownik pchnął mnie włócznią. Przyjąłem cios na niemal całkowicie strzaskaną tarczę i ciałem mieczem, mierząc w skrzywioną grymasem, okoloną połyskującym hełmem twarz wroga. Uchylił się zręcznie. Widziałem, jak spogląda w dół, więc zgadłem, że zamierza skoczyć, by zaatakować od tyłu walczących tam Sasów. Wstąpiłem więc na leżące przede mną zwłoki i zadałem mu pchnięcie pod tarczę, przekręcając klingę, którą wraziłem mu w udo. Raniony grzmotnął mnie tarczą, a wtedy Cerdic roztrzaskał mu toporem ramię. Chwilę później w mej popękanej tarczy utkwily dwie włócznie. Próbowałem się ich pozbyć, gdy zaatakował mnie ogromny Duńczyk. Z ledwością uniknąłem ciosu topora, a wtedy olbrzym natarł, napierając całą masą ciała na moją tarczę. Tym samym mimowolnie mi pomógł, gdyż obruszył tkwiące w osłonie ciężkie groty. A wtedy Sithric rozplątał hełm zwalistego przeciwnika. Przypominam sobie, jak spojrzałem na lejącą się po mej tarczy krew wroga, nim lewym ramieniem

zepchnąłem z niej konającego wikinga. Pchnąłem Oddech Węża, ale poczułem, jak wierzchołek klingi zatrzymuje się na nieprzyjacielskiej tarczy. Z dołu dobiegały przybierające na sile okrzyki „Alfred!” a potem „Edward! Edward!”.

Steapa mógł stawać przeciwko trzem ludziom jednocześnie, toteż wykorzystując swą niezrównaną siłę, popartą niezwykłą zręcznością, z jaką władał mieczem, przerzedzał szeregi Duńczyków. Widząc to, Sasi coraz liczniej zeskakiwali z obronnego parapetu, idąc mu z pomocą i wkrótce utworzyli mur tarcz, ustawiając się plecami do zawartej bramy. Osferth i Edward walczyli tarcza w tarczę. Ojciec Ceonwulf, z podziwu godnym uporem podążający za swym podopiecznym, zeskoczył na ziemię i korzystając z osłony saskich wojowników, zdjął z wieży zabezpieczającą je sztabę. Pchnął bramę, lecz nie był w stanie jej otworzyć, gdyż stojący na zewnątrz ludzie Pyrliga wciąż tłukli toporami w grube dębowe bale. Zaczął więc krzyżeć do nich, by odstąpili, pozwalając mu wypchnąć ciężkie skrzydła bramne. A gdy te stanęły otworem, na dziedziniec warowni, gdzie wciąż roiło się od pszczół, wlał się słoneczny blask, a wraz z nim saskie zastępy niosące śmierć obrońcom.

Nasz poranny szturm zaskoczył Duńczyków, którzy byli przekonani, że Steapa i jego ludzie wycofują się po nocnej wymianie uprzejmości. Nie spodziewali się ponownego ataku o świcie. Efekt zaskoczenia nie dał nam jednak spodziewanej przewagi, gdyż obrońcy Beamfleot wykazali się nieugiętą odwagą. Błyskawicznie obsadzili wały i stanowczo odpierali nasze natarcia. Gdyby nie wspomogły nas wojownicze pszczoły, najpewniej nie zdołalibyśmy przełamać obrony. Na szczęście wojownik opadnięty przez rój rozjuszonych owadów nie walczy jak należy, co dało nam szansę wdarcia się na parapet obronny i wywalczenia sobie przystępu do bramy. Kiedy zaś ta się rozwarła, mrowie Sasów przedostało się przez fosę i wtargnęło do warowni, zaś Duńczycy, przeczuwając zbliżającą się klęskę, poszli w rozsypkę.

Nie pierwszy raz oglądałem coś podobnego. Mężczyzna będzie stawał dzielnie, przydając światu wdów i sierot, będzie też walczył jak bohater, dokonując cudów męstwa, do opisania których poeci na próżno szukać będą wielkich słów, jednak na ostatek straci ducha. W miejsce goszczącego dotąd w jego sercu lekceważenia śmierci pojawia się przejmująca groza. Tak też miała się rzecz z obrońcami Beamfleot, którzy w mgnieniu oka z niepokonanych rzeźników przeistoczyli się w szybkonożnych tchórzy. I pierzchli.

Obierali jedną z dwóch możliwych dróg ucieczki. Niektórzy - ci mieli mniej szczęścia - wycofali się w głąb warowni, ku gęstym zabudowaniom zajmującym jej zachodni kraniec. Większość wikińskiej załogi rzuciła się jednak ku widniejącej w południowej ścianie ostrokołu bocznej bramie, którą się przeciskali, by dostać się na wychodzący na brzeg Hothlege pomost. Nurt rzeczny i pływy wyżłobiły kanał na tyle głęboki, że nawet podczas

najniższego stanu wód nie było mowy, by przebyć go w bród. Duńczycy nie przerwali przez Hothlege mostu, lecz ustawili zakotwiczony w poprzek jej biegu długi okręt. Uciekinierzy ile sił w nogach pędzili ku owej łodzi i przeskakując ławki wiosłarskie przeprawiali się na Catingę. Na jej płaskim brzegu oczekiwali ich towarzysze, którzy nie brali udziału w obronie warowni. Kazałem Steapie, by wysiekl zbiegających na drugą stronę okrętu wikingów. Przydzieliłem mu kilkuset Zachodnich Sasów ze straży Alfreda, jednak okazało się, że piraci nie rwą się już do walki i wolą ratować się ucieczką.

Nieliczni Duńczycy, a było ich naprawdę niewielu, w popłochu skakali z południowego i zachodniego parapetu obronnego. Mieli nadzieję wydostać się z okrążenia, brnęli więc przez grząskie błota. Tymi zajęli się jezdni Weohstana, czuwający na skraju bagien. Zadawali zbiegom szybką śmierć.

Całkiem liczni wikingowie, którzy pozostali w warowni, wycofywali się ku zabudowaniom. Osłaniali się tarczami, lecz utworzony przez nich nierówny szyk rychło załamał się pod razami saskich ostrzy.

Wszędzie wokół rozlegał się lament kobiet i dzieci, któremu wtórowały żałośnie wyjące psy. Większość niewiast wraz z dźwiatwą pozostała jednak na wybrzeżu Caningi, skąd wrzaskliwie domagały się od swych mężczyzn, by czym prędzej wsiadali na okręty, jako że najbezpieczniejszym schronieniem dla Duńczyka jest pokład jego własnej smoczej łodzi. Kiedy sprawy na lądzie mają się źle, wiking po prostu wypływa w morze i zdając się na zrządzenia Norn, żegluje w poszukiwaniu nowych darów losu. Większość smoczycy okrętów stała wszakże na brzegu, a to z tej prostej przyczyny, że na niewielkiej zatoce nie było dość miejsca na trzymanie na kotwicy tak wielu łodzi.

Umykający siłom Steapy nieprzyjaciele rozpierzchli się po wyspie Caninga. Wielu wkroczyło do płytkiej wody i wspięło się na te okręty, które były gotowe do drogi, lecz wówczas do walki włączył się Finan. Irlandczyk odczekał, aż strzegący wschodniego przesmyku Duńczycy napatrzą się na pierzchających towarzyszy, po czym powiódł Zachodnich Sasów z królewskiej straży przez przybrzeżne błota.

- Matoły nadbudowały tylko jedną burtę okrętu, tę broniącą przystępu od morza - powiedział mi potem - a my uderzyliśmy na nich od lądu. I wszystko poszło gładko.

Nie dałem wiary jego zapewnieniom o tym, że mieli łatwą przeprawę, gdyż aż osiemnastu saskich wojowników postradało w niej życie, a trzydziestu odniosło poważne rany. Niemniej okręt-strażnica został zdobyty. Finan i jego ludzie nie mieli jednak możliwości przeprowienia się na drugą stronę ujścia Hothlege, a co za tym idzie, nie mogli zablokować wyjścia z portu. Zajęli wszakże pozycję, którą mieli zająć, podczas gdy my zdobywaliśmy warownię.

Wyjający z wściekłości Sasi brali odwet za obrócone w pogorzelisko ziemie Mercji, wyrzynając Duńczyków niczym zwierzęta idące na ubój. Pragnący ocalić swe rodziny wikingowie rzucali broń, wrzeszcząc, że się poddają, lecz jedyną odpowiedzią były ciosy toporów i mieczy. Przeważająca część kobiet i dzieci schroniła się przed rzezią w okazałym dworze, gdzie składano najcenniejsze łupy zwiezione przez zastępy Haestena.

By zdobyć bogactwa, wyprawilem się aż do Fryzji, a tymczasem los sprawił, że znalazłem je w warowni Beamfleot, gdzie mym oczom ukazały się wypchane monetami worki, niezliczone kosztowności, srebrne krucyfiksy, cyboria ze złota, sterty futer - jednym słowem: skarbiec. Krańce przestronnej halli tonęły w półmroku rozświetlanym jedynie wąskimi strugami światła, przedostającego się przez otwory okienne we wschodniej ścianie ozdobionej porożami jeleni. Poza tymi paroma okienkami jedyne oświetlenie stanowił ogień, płonący żywo w wielkim, umiejscowionym w samym sercu dworu palenisku, wokół którego złożono wikińskie łupy w taki sposób, aby były doskonale widoczne w poświacie płomieni. Składowisko to miało przekonać ściągających do Beamfleot Duńczyków, że Haesten, ich wódz, mógł sobie pozwolić na szczodrość. Przeto każdy, kto gotów był służyć mu swym mieczem, zyskiwał nadzieję, że wzbogaci się u boku tak majątnego rozdawcy złota. Wystarczyło, by zwolennicy pirackiego przywódcy weszli do halli jego dworu, a olśnieni blaskiem zgromadzonych tam bogactw wyobrażali sobie nowe okręty i żyzne ziemie, które ledwie cząstka tych skarbów pozwoliłaby im zdobyć. W warowni Beamfleot leżały wszystkie zagrabione w Mercji zdobycze, zaś na ich straży - zamiast ognistego smoka - stała Skade.

Jej wściekłość nie wydawała się jednak mniej straszliwa niż widmo ziejącej ogniem paszczy potwory, gdyż ogarnął ją dziki szał, przydający wiedźmie mocy, której lękali się wszyscy wokół. Duńska wojowniczką stała na szczycie usypanego ze skarbów kopca i piorunując wściekłym wejrzeniem obstepujących ją wojowników, obracała głową, miotając na boki włosami zaplecionymi w długie, cienkie warkocze. Gromko wykrzykiwała plugawe wyzwania. Nosiła zbroję, na którą miała zarzucony czarny płaszcz, zaś jej smukłą szyję oplatało mnóstwo złotych łańcuchów, ani chybi zgarniętych ze skarbcza, którego broniła. Za jej plecami znajdowało się podwyższenie z ustawionym nań wysokim stołem, za którym stała zbита grupka kobiet i dzieci. Tam, wśród tulących się do siebie postaci, rozpoznałem pulchną żonę Haestena i jego dwóch synów. Spostrzegłem również, że gniew Skade wzbudza w nich strach nie mniejszy niż widok wkraczających do halli saskich wojowników.

Przeszywający skowyt wieszczki nakazywał mym ludziom ostrożność. Zwycięzcy obstąpili ją półkolem, tłum zbrojnych wypełnił już połowę halli, a jednak obawiali się zbliżyć do targanej obłądnym gniewem Dunki. Wybiwszy dwudziestu wikingów, których ciała legły na

prześniakających krwią matach z sitowia, Sasi zamarli w bezruchu, gapiąc się bezwolnie na ciskającą klątwy strażniczkę skarbcza. Przecisnąłem się między osłupiałymi zdobywcami grodu, trzymając skrwawiony Oddech Węża w ręku. Skade wymierzyła w moim kierunku ostrze dzierżonego w prawicy miecza.

- Zdrajca! - krzyknęła i splunęła mi pod nogi. - Przeniewierca!

Skłoniłem przed nią głowę.

- Królowo bagien - przywitałem ją z szyderczym uśmiechem.

- Dałeś słowo! - robiła mi wyrzuty ochryplym głosem. Na chwilę jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia, po czym zwęziły się, bowiem oblicze Dunki na powrót ściągnął gwałtowny gniew. - Czy to ona? - wykrzyknęła oskarżycielko.

Do halli wkroczyła bowiem Aethelflaed, choć przykazałem jej, by trzymała się z dala od walczących i obserwowała bitwę ze starej warowni, gdzie pozostawiłem ją pod opieką wojów. Jednak krnąbrna natura przygnała ją na dół, gdy tylko ujrzała, jak nasi wojownicy wdzierają się na wały. Zgromadzeni we dworze Sasi rozstępowali się, czyniąc miejsce dla niej i czterech Mercjan, którym poleciłem strzec jej bezpieczeństwa. Miała na sobie prostą suknię o barwie jasnego błękitu, której kraj zamoczyła, przekraczając fosę. Drobne ramiona okrywał jasny lniany płaszcz, zaś u szyi połyskiwał srebrny krucyfiks. Nie potrzebowała złotych ozdób, bowiem bił od niej naturalny blask. Jej suknia i płaszcz powalane były błotem, a jednak prezentowała się isticie po królewsku.

Skade posłała gniewne spojrzenia mnie i złotowłosej, po czym z jej gardła dobył się skrzekliwy wrzask, przywodzący na myśl jęk konającej wiedźmy. Dunka postąpiła naprzód z obliczem wykrzywionym zajadłą nienawiścią, nisko przysiadła na nogach i z wyciągniętym do pchnięcia mieczem sprężyła się do nagłego skoku na Aethelflaed.

Wystarczyło, że zastąpiłem jej drogę. Klinga wiedźmy ześlizgnęła się po mojej pociętej tarczy, a wtedy pchnąłem lipową osłonę, godząc żelaznym umbem w szarżującą wojowniczkę. Skade odbiła się od drewna z taką mocą, że z okrzykiem bólu poleciała w tył, wypuściła oręż i opadła na worki ze srebrem. Nie podjęła już kolejnego ataku, lecz - mimo iż w jej ciemnych oczach zalśniły łzy - złorzeczyła mi z nieposkromioną, szaleńczą wściekłością:

- Wyklinam cię - wrzasnęła chrapliwie. - A wraz z tobą przeklinam twych potomków, twoją kobietę, cały twój nędzny żywot i ziemię, w której spoczniesz. Moja klątwa zmąci twe sny i powietrze, którym oddychasz. Zatruje ziemię, po której stąpasz, i strawę, nim włożysz ją do ust.

- Tak jak przekłętaś mnie? - ozwał się ponury głos z pogrążonego w mroku kąta halli, skąd zaczęło się wyczołgiwać żalosne stworzenie, niepodobne do człowieka, którym niegdyś było.

Głos należał do Haralda, tego samego, który - obiecawszy Skade, że uczyni ją królową Wessexu - powiodł zbrojne zastępy na Zachodnich Sasów, by pod Fearnhamme doznać okrutnych ran, a potem znaleźć schronienie za kolczastym ostrokołem Torneie. Tam tchnął w swoich ludzi dość siły, by odparli siły Alfreda. Wódz wikingów zdołał nawet skłonić króla do zapłacenia daniny - w zamian za obietnicę, że drużyna Haralda opuści ziemie Zachodnich Sasów. Wówczas zniedołężniały jarl przybył do Haestena i poprosił o udzielenie mu schronienia. A teraz ukazał się nam jako wrak człowieka. Dotknięty niemocą, sromotnie upokorzony, musiał przyglądać się, jak ukochana kobieta staje się nałożnicą Haestena. W jego zgębnym sercu zrodziła się nienawiść, która nie ustępowała tej, jaką pałała Skade.

- Mnie także obłożyłaś klątwą - wytknął swej byłej kochance - tylko dlatego, że nie dotrzymałem obietnicy, bo nie zdołałem zdobyć dla ciebie tronu.

Ciągnąc za sobą bezwładne nogi, odbił się parę razy rękoma od ziemi. Jego żółte włosy straciły bujność i zwisały, brudne i potargane, klejąc się do naznaczonej udręką twarzy.

- Pozwól, że uczynię cię królową - rzekł do Skade, chwytając złoty naszyjnik leżący na wierzchu stosu z kosztownościami. Był to misternie wykonany, spleciony z trzech złotych sznurów warkocz z ciężkim wisiosem przedstawiającym parę niedźwiedziich głów o oczach z połyskujących szmaragdów. - Bądź moją umiłowaną królową - rzekł przymilnie.

Długa broda Haralda ciągnęła się po ziemi. Sponad jego zapadłych policzków spoglądały oczy, wpijające w wiedźmę mroczne spojrzenie. Kaleki wódz miał na sobie zgrzebną tunikę, spod której widać było luźne portki, zasłaniające bezwładne członki. Z pleców jarla spływał płaszcz z szorstkiej wełny. Harald Krwawowłosy - niegdyś prowadzący do boju pięć tysięcy wikingów, którzy sprawili, że Alfred bał się o swój tron - sunął dziś nieporadnie po matach z sitowia, podciągając się na rękach. Zbliżywszy się do Skade, wyciągnął ku niej przepiękny złoty naszyjnik. Dunka, patrząc na zbliżającego się kalekę, jęknęła.

Nie uczyniła żadnego ruchu, by przyjąć dar, przeto Harald położył go jej na głowie, a gdy złoty sznur osiadł krzywo na kruczoczarnych włosach, z piersi kobiety wyrwał się szloch. Krwawowłosy przysunął się do wieszczki.

- Moja ukochana - ozwał się z niezwykłą tkliwością.

Aethelflaed stanęła u mego boku i ujmując ramię, w którym wciąż trzymałem tarczę, przyłgnęła do mnie, choć nie sędzę, by zdawała sobie z tego sprawę.

- Moja najdroższa - szeptał Harald, gładząc czarne warkocze Skade. - Jakże cię kochałem..

- I ja ciebie kochałam - odpowiedziała, obejmując go za szyję. Zwarli się w czułym uścisku i trwali tak przez chwilę, gdy jeden ze stojących za mną wojowników postąpił krok

naprzód, dzierżąc w prawicy bojowy topór. Zatrzymałem go gestem, przyglądając się uważnie poruszającej się niespiesznie prawicy jarla. Niedołężny wódz lewą dłonią głaskał włosy dawnej umiłowanej, podczas gdy jego prawa ręka szukała czegoś pod wełnianą opończą.

- Moje kochanie - mrucał jej do ucha wciąż od nowa, po czym błyskawicznie wyrzucił przed siebie ukrywaną pod płaszczem prawicę i robiąc użytek ze swej niepośledniej siły, przebił krótkim saksem oczka kolczugi Skade. Dunka zeszywniała, wybałuszyła oczy i otworzyła usta do krzyku, lecz Harald zatkał je własnymi, jakby składał na nich pożegnalny pocałunek. Równocześnie podciągał saks wciąż wyżej i wyżej, tnąc wnętrzości, póki przebita zbroja, spomiędzy oczek której krew lała się strugami, nie podciągnęła się aż do piersi kobiety. I tak zabójca i ofiara trwali spleceni w uścisku ze złączonymi ustami. Wreszcie wieszczka wydała przedśmiertny krzyk, jej ramiona opadły, oczy straciły blask i bez czucia legła na workach ze srebrem.

- Dokończ, coś zaczął - nie patrząc na mnie, warknął Harald i spróbował sięgnąć po upuszczony przez Skade miecz. Pragnął, by jej oręż otworzył mu wrota Walhalli.

Stanął mi w pamięci ów dzień, gdy pod Aescengum jarl kazał ściąć młodą niewiastę. Wspomniałem rozpacz przyglądającej się kaźni osieroconej dziewczynki. Odkopnąłem leżący na matach oręż, nim bezlitosny wódz zdążył go podjąć. Jarl uniósł głowę, spoglądając na mnie ze zdumieniem. Moja twarz była ostatnią rzeczą, jaką oglądał na tym świecie.

Zachowaliśmy trzydzieści wikińskich okrętów, pozostałe puściliśmy z dymem. Jedynie trzy smocze łodzie zdołały przemknąć obok zdobytego przez ludzi Finana okrętu-wartowni i wyjść na otwarte morze. Zachodni Sasi, odkrywszy na dnie nadbrzeżnej strażnicy pokaźny zapas włóczni, ciskali nimi w uciekinierów, lecz nie zdołali ich zatrzymać, bowiem duńska załoga drugiego statku-strażnicy opuściła przegradzający przesmyk łańcuch. Tylko dlatego trzem nieprzyjacielskim łodziom udało się opuścić port. Czwarta nie miała już tyle szczęścia, bowiem kiedy jej rufa mijała zajęętą przez Sasów pozycję, celnie rzucona włócznia ugodziła duńskiego sternika w pierś. Szyper osunął się na wiosło sterowe, które zmieniło bieg rozpędzonego okrętu. Jego zadarty dziób zarył w brzeg. Następny idący w szyku wikiński statek staranował burtę łodzi uwięzionej w poprzek ujścia Hothlege. A wówczas fala przyływu poczęła spychać szybko biorący wodę okręt w głąb zatoki.

Wytropienie tych, którzy ratowali się ucieczką, zajęło nam resztę dnia, jako że piraci ukrywali się wśród gąszczy trzin porastających poprzecinaną grząskimi kanałami Caningę. Pojmaliśmy setki kobiet i dzieci, spośród których nasi wojownicy wybrali sobie te, które chcieli uczynić swymi niewolnymi. Tam natknąłem się na Sigunn. Dojrzałem ją, drżącą, na dnie mulistego rowu. Była smukła, miała gładką i jasną skórę. Nie skończyła jeszcze szesnastu

lat, a już była wdową, gdyż jej mąż poległ w obronie warowni. Widząc mnie, wyłaniającego się zza kępy trzciny, skuliła się, złękciona.

- Nie - powtarzała raz za razem - nie, nie, nie...

Wyciągnąłem ku niej dłoń i po pewnym czasie, jako że los nie pozostawił jej wyboru, ujęła ją niepewnie. Branekę powierzyłem Sithricowi.

- Miej nad nią pieczę - rzekłem po duńsku, w jego i jej ojczystej mowie. - Nie chcę, by tej kobiecie stała się krzywda.

Obie warownie obróciliśmy w popiół. Uważałem, że należy je obsadzić saską załogą i uczynić wysuniętymi strażnikami, służącymi jako dodatkowa ochrona dla Londynu. Edward jednak stwierdził stanowczo, że nasz zbrojny najazd na Beamfleot to nic innego jak napaść na wschodnioangielskie terytorium. Mówił, że nie wolno nam zajmować nadbrzeżnych warowni, bowiem byłoby to sprzeczne z postanowieniami pokoju, jaki jego ojciec zawarł był z królem Wschodniej Anglii. Wprawdzie w owym czasie połowa zamieszkujących tamtejsze ziemie Duńczyków znajdowała się w Mercji, którą łupili pospołu z Haestenem, lecz aetheling nie uważał tego za przekonujący argument i zdecydowanie odmówił łamania ustanowionego niegdyś traktatu. Obaliliśmy więc duńskie palisady, a długie bale poznosiliśmy do wnętrza dworów i podpaliliśmy. Rzecz jasna, najpierw wynieśliśmy nagromadzone wewnątrz nowego dworzyszczą łupy i złożyliśmy je w ładowniach czterech zdobycznych okrętów.

Nazajutrz potężny stos wciąż płonął. Dopiero na trzeci dzień wstąpiłem w dogasający już żar, gdzie wśród popiołów czerniała niewielka czaszka. Coś mi mówiło, że należała do Skade, nie mam wszakże pewności, czy moje przeświadczenie było słuszne. Nieopodal znalazłem duńską włócznię i wbiłem kraniec jesionowego drzewca w twardą, zgorzałą ziemię, po czym chwyciłem oburącz osmaloną czaszkę i nadziałem na wyszczerbiony, sterczący w niebo grot. Czarny czerep obróciłem tak, by puste oczodoły kościanego oblicza skierowane były na płytką zatokę, gdzie dymiły szczątki blisko dwustu smoczych łodzi.

- Niechaj znak ów stoi ku przestrodze - powiedziałem do ojca Heahberhta. - Gdy zjawia się tu kolejni żądni łupów Duńczycy, mają wiedzieć jaki los ich czeka. - Wtedy wręczyłem księdzu ciężką, wypełnioną srebrem sakiewkę i dodałem: - Gdybyś kiedyś znalazł się w potrzebie, odszukaj mnie. - Staliśmy nad fosą, gdzie poległo tak wielu Angłów, Sasów i Duńczyków. Ogień nie ogarnął tej części cypla, gdzie mokre błoto usiane było wgniecionymi weń martwymi owadami. Przypomniałem sobie jeszcze o czymś: - I nie zapomnij powiedzieć Brunowi, że odmówiłeś modlitwę za jego pszczoły.

Następnego ranka opuściliśmy pobojuwisko. Edward ruszał z Zachodnimi Sasami na zachód, lecz nie zapomniał o pożegnaniu. Przyglądając się młodzieńczemu obliczu aethelinga,

uznałem, że jego rysy stwardniały, a spojrzenie nabrało stanowczości.

- Osiądziesz w Mercji? - zapytał.
- Twój ojciec niechybnie tego właśnie by sobie życzył, panie - odrzekłem oględnie.
- Zaiste - stwierdził. - A zatem?
- Znasz me zamiary, panie - odpowiedziałem.

Następca tronu zmierzył mnie baczным spojrzeniem, po czym uśmiechnął się lekko.

- Żywię przekonanie - rzekł niespiesznie - że Wessex nie obejdzie się bez wsparcia Mercji.
- Zaś Mercja potrzebować będzie przewodnictwa Aethelflaed - dopowiedziałem.
- Tak - stwierdził z prostotą.

Kiedy ruszył, ojciec Ceonwulf pozostał w tyle. Popatrzył na mnie i nie mówiąc ani słowa pochylił się, po czym wyciągnął do mnie prawicę. W zgodnym milczeniu uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym spowiednik aethelinga obrócił konia i przynaglił zwierzę, by doścignąć swego pana.

Udałem się do Londynu drogą morską, żeglując na jednej ze zdobycznych wikińskich łodzi. Za nami rozciągała się srebrzysta tafla wód, nad którą unosiły się purpurowe od zorzy smugi wciąż snujących się z Beamfleot dymów. Moja drużyna zasiadała na ławkach wioślarskich, wspomagana przez nieporadnie ściskających wiosła Mercjan. Wieźliśmy żonę Haestena, jego dwóch synów i czterdziestu pośledniejszych jeńców. Finan miał na nich baczenie, choć żaden z brańców nie stawiał oporu.

Dzierżyłem ster, zaś u mego boku stała Aethelflaed. Utkwiła wzrok w połyskujących w porannym słońcu obłokach dymu. Nietrudno było się domyślić, że moja złotowłosa przyjaciółka wraca pamięcią do dnia, kiedy poprzednim razem wraz ze mną opuszczała Beamfleot na pokładzie smoczej łodzi. Wówczas także pozostawialiśmy za rufą usłane trupami pobojuwisko i snujące się zeń dymy. Jednakże wtedy Aethelflaed pogrążona była w głębokim smutku, bowiem wśród poległych zostawiła ukochanego i lękała się tego, co ją czeka.

Teraz zaś spojrzała na mnie i podobnie jak jej brat, uśmiechnęła się promiennie. Jej lico jaśniało szczęściem.

Długie wiosła zanurzały się miarowo, brzegi Tamizy zaczęły przybliżać się do naszych burt, a zachodni widnokrąg zamglił się od wiecznie unoszącej się nad Londynem chmury dymu z palenisk domowych.

Wiodłem Aethelflaed do domu.

NOTA HISTORYCZNA

W połowie XIX wieku powstała linia kolejowa, biegnąca z londyńskiej Fenchurch Street do Southend. W trakcie prac wykopaliskowych, w miejscu obecnie znanym jako South Benfleet (a dawniej Beamfleet) robotnicy odkryli zwęglone szczątki spalonych statków, na dnie których znajdowały się ludzkie szkielety. Wszystko wskazuje na to, że znaleziska liczyły ponad dziewięćset lat i były pozostałościami po flocie i armii Haestena.

Dorastałem nieopodal nieodległej od Benfleet wioski Thundersley, gdzie na cmentarzu kościoła św. Piotra stał pionowy głaz z otworem. Miejscowi wierzyli, że był to diabelski kamień. Powtarzali, że jeśli przeszło się wokół niego trzy razy, przeciwnie do kierunku ruchu wskazówek zegara, i wyszeptano do otworu życzenie, szatan je spełniał. W moim przypadku zabieg nie podziałał.

Ów głaz postawiono tam dużo wcześniej, niż w Brytanii pojawiło się chrześcijaństwo, wcześniej nawet niż na wyspę przybyli Anglowie i Sasi, którzy przywieźli ze sobą kult Thora, tym samym nadając wiosce nazwę⁴⁹.

Tuż przy zachodniej stronie naszego domu znajdowało się strome zbocze, które schodziło ku równinie rozciągającej się aż do Londynu. Skarpa nosi miano Górka Sera i Chleba. Jak słyszałem, owa dziwaczna nazwa wywodzi się jeszcze z czasów saskich, a pierwotnie znaczyła po staroangielsku zupełnie coś innego: Szeroka i Szybka. Choć miano to nijak nie kojarzy się z bronią, podobno dotyczyło oręża użytego na wzgórzu podczas bitwy między wikingami a Sasami. O dziwo, w szkole nigdy mnie nie uczono o tym, jak ważne były moje rodzinne okolice, zwłaszcza Benfleet, w historii początków Anglii.

W ostatniej dekadzie IX wieku Wessex pod rządami Alfreda po raz kolejny padł ofiarą wielkiego najazdu. Duńczycy uderzyli z trzech stron. Nieznany przywódca (w powieści nazwałem go Haraldem) poprowadził flotę wikińską na Kent. Podobnie uczynił inny wódz łupieżców, Haesten. W tym samym czasie northumbryjscy Duńczycy mieli przypuścić atak morski od południowego wybrzeża.

Najeźdźcy plądrujący Kent przybyli z ziem dziś należących do Francji, gdzie przyjęli hojną daninę w zamian za ich opuszczenie. Potem Haesten wymusił trybut na Zachodnich Sasach, ale zgodził się na chrzest żony i dwóch synów.

Równocześnie potężniejsza armia duńska postępowała przez Kent na zachód, aby w końcu zostać pobitą w Farnham (dawniej Fearnhamme) w Surrey. Owa bitwa okazała się jednym z największych zwycięstw Sasów nad Duńczykami. Wielką armię najeźdźców rozgromiono, a ci

wikingowie, którzy przeżyli, ponieśli rannego wodza na północ. Schronienie znaleźli na wyspie Thorney (dawniej Torneie), niedawno wchłoniętej przez rozbudowujące się lotnisko Heathrow. Uciekinierzy zostali tam osaczeni, jednak oblężenie się nie powiodło i Sasi raz jeszcze musieli posłużyć się srebrem, by skłonić intruzów do opuszczenia swoich ziem.

Wielu niedobitków powędrowało do Benfleet, gdzie Haesten wzniósł warownię. Wódz, wbrew wcześniejszym zapewnieniom o przyjacielskich stosunkach, wkroczył do Mercji. I chociaż Alfred - faktyczny obrońca Mercji - musiał w tym czasie odpierać najazd northumbryjskich Duńczyków, posłał swego syna Edwarda, aby ten poprowadził atak na Benfleet. Następca tronu zdobył bazę Haestena. Sasi nie tylko zdołali przejąć i spalić całą flotę wroga, ale również przechwycili zdobyte w Mercji łupy, jak też pojмали niezliczoną ilość jeńców, w tym rodzinę pirackiego wodza. Było to znakomite zwycięstwo, jakkolwiek nie oznaczało końca wojny.

Mercja, zajmujące sam środek Anglii dawne królestwo Angłów, nie miało w owym okresie władcy i jestem pewien, że Alfred życzył sobie, aby tak pozostało. Przyjął bowiem tytuł „króla Angelcynnu” a więc wszystkich ziem zamieszkałych przez Anglosasów, nie mógł więc tolerować odrębności zależnej od siebie Mercji. Tytuł ten wprawdzie odzwierciedlał jego ambicję, lecz nie miał pokrycia w rzeczywistości. Alfred marzył o zjednoczeniu państw, w których mówiono po angielsku, ale nie zdołał tego dokonać. Jednak jego wysiłki utorowały drogę do osiągnięcia tego celu jego synowi Edwardowi, córce Aethelflaed i wnukowi Aethelstanowi.

Sasi zawdzięczali ocalenie wzniesionemu na rozkaz Alfreda systemowi burhów. Tego typu grody były odpowiedzią władców z chrześcijańskiej Europy Zachodniej na zagrożenie, jakie stanowili wikingowie. Wojownicy ze Skandynawii, pomimo strachu, który budzili, nie byli odpowiednio przygotowani do oblężeń. Dzięki wznoszeniu twierdz oraz umacnianiu miast, za wałami których chroniła się ludność z żywym inwentarzem oraz majątkiem, chrześcijańscy władcy udaremniali plany przybyszów z Północy. Teraz Duńczycy mogli do woli plądrować opuszczone wsie Wessexu i Mercji, podczas gdy miejscowa ludność była bezpieczna w burhach bronionych przez ford, czyli pospolite ruszenie. Równocześnie zawodowa armia królewska wychodziła na spotkanie najeźdźcom i urządzała im godne powitania, tak jak pod Fearnhamme. Wiadomo, że pod koniec IX wieku Sasi nauczyli się już walczyć równie sprawnie, co ludzie Północy.

Niektórzy historycy rewizjoniści sugerują, że przybysze ze Skandynawii, czyli wikingowie, wbrew powszechnie przyjętej opinii krwawych najeźdźców, byli przyjaznym, miłym dla saskich sąsiadów i miłującym pokój ludem. Opinii tej przeczą jednak znaleziska

archeologiczne, chociażby szkielety, które nadal leżą pogrzebane pod torami kolejowymi w Benfleet. Czy Alfred wznosiłby niezwykle kosztowne burhy, gdyby wikingowie istotnie byli pokojowo nastawieni?

Pierwsi przybysze z Północy byli zwykłymi łupieżcami, szukającymi niewolnych i srebra, jednak szybko zaczęli pragnąć czegoś więcej: ziemi. Dlatego nowi najeźdźcy przybywali już z rodzinami i osiedlali się na północy i wschodzie Anglii, gdzie śladem po nich są skandynawskie nazwy powstałych wówczas miejscowości. Prawdą jest, że wikingi osadnicy asymilowali się z Sasami, lecz cały czas pozostawali żądnymi nowych ziem agresorami. Parli dalej na południe i zachód, wszczynając coraz to nowe konflikty. Spory i walki między potomkami osiadłych na wyspie Skandynawów a Anglosasami trwały długo, aż do czasu, gdy Anglia została zajęta przez północnofrancuskiego księcia Wilhelma Zdobywcę. Ten, jak wiadomo, był Normanem, czyli też miał korzenie skandynawskie, gdyż w X wieku północną Francję zajęli i na stałe zasiedlili wikingowie, dlatego nosi nazwę Normandii (a zatem „krajny ludzi Północy”).

Podbój Wilhelma był ostatnim znaczącym triumfem potomków wikingów, lecz zdarzył się zbyt późno, by odwrócić kolej rzeczy i zniszczyć marzenie Alfreda, jakim było utworzenie zjednoczonego państwa zwanego Anglią.

W swojej serii powieściowej byłem i nadal będę nadzwyczaj niesprawiedliwy dla Aethelreda. Nie ma żadnych źródłowych podstaw, by sądzić, że zięć Alfreda był tak małoduszny człowiekiem i nieudolnym wodzem, jakim ja go opisuję. Polecam więc tym, którzy chcą ujrzeć prawdziwą twarz Aethelreda, lekturę świetnej książki Iana W. Walkera *Merda and the Making of England* (wydawnictwo Sutton Publishing, Stroud 2000). Aethelflaed, czyli córka Alfreda i żona Aethelreda, została zaniedbana tak przez dawniejszych badaczy, jak i przez dzisiejsze historyczki-feministki, które przecież czynią starania, by wydobyć kobiety z cienia patriarchalnej historii. A przecież Aethelflaed była prawdziwą heroiną, która stawała na czele armii, gromiła Duńczyków i walnie przyczyniła się do rozszerzenia granic tworzącej się wówczas zjednoczonej Anglii.

Farnham i Benfleet były dwoma miażdżącymi ciosami dla duńskich planów zniszczenia władztwa Alfreda, jednak batalia o Angelcynn nadal trwa. Haesten ciągle sieje zniszczenie w Mercji, podczas gdy Duńczycy rządzą zarówno Wschodnią Anglią, jak i Northumbrią.

Uhtred, teraz silny sprzymierzeniec Aethelflaed, poprowadzi jeszcze niejedną kampanię.

POCZĄTKI ANGLII. NARODZINY HISTORII

W powieściach o Uhtredzie splotłem dwie historie - prawdziwą i fikcyjną. Opowieść mówiąca o potomku władców nadmorskiej warowni jest wytworem mojej fantazji, lecz i ona zawiera ziarno prawdy. Otóż w czasach, gdy rodziła się angielska państwowość, na northumbryjskim wybrzeżu stała twierdza Bebbanburg - obecnie zamek Bamburgh - należąca do rodu Uhtredów, który władał też rozległymi okolicznymi włościami. O rodzie tym wiadomo niewiele, tylko tyle, że należał do najznacześniejszych na północy wyspy, wywodził się zaś z terenów dzisiejszego niemiecko-duńskiego pogranicza. Właśnie tam w późnej starożytności mieszkali Anglowie i Sasi, którzy po opuszczeniu Brytanii przez Rzymian dokonali w V i VI stuleciu inwazji wyspy. W toku długich bojów wyparli rdzenną ludność celtycką, Brytów, i zepchnęli ją na zachodni skraj wyspy.

Uhtredzi zostali królami Bernicji, obejmującej dzisiejszą północno-wschodnią Anglię oraz wschodnią część nizin szkockich. W VII wieku państwo to zostało włączone do królestwa Deiry, które od tej pory zwano Northumbrią, mimo to ród władców Bebbanburga przetrwał i ostał się w swojej twierdzy. Co więcej, jako jedyny w całej Northumbrii zdołał w wieku IX oprzeć się inwazji Duńczyków. Najeźdźcy, zwani ludźmi Północy lub wikingami, zajęli większość anglosaskich ziem na północy i wschodzie Brytanii, jednak Uhtredowie utrzymali swą siedzibę, władzę i wpływy.

Przetrwanie rodu panów Bebbanburga zafascynowało mnie także z powodów osobistych. Dekadę temu poznałem mojego biologicznego ojca. Nosi bardzo stare północnoangielskie nazwisko Oughtred. Później dowiedziałem się, że rodzina Oughtredów wywodzi się w linii prostej od rodu Uhtredów. Są na to dowody, a drzewo genealogiczne rodu sięga korzeniami do Idy Niosącego Ogień (Flamebearer), wodza Angłów, który w VI wieku zdobył Bebbanburg. Tak więc powieściowy Uhtred jest moim przodkiem. Jakim cudem on i jego rodzina przetrwali najazd ludzi Północy? Jak przetrzymał to jego kraj, Bernicja? Ród Uhtredów władał Bebbanburgiem i przyległymi ziemiami aż do XI wieku, kiedy to ówczesny pan nadmorskiej twierdzy - poróżniony się z królem Kanutem⁵⁰ - wpadł w urządzoną przez władcę zasadzkę i został zamordowany.

Żywiąc podejrzenia, że Uhtredzi tak długie trwanie przy władzy zawdzięczali układom z duńskimi najeźdźcami, choć nie ulega wątpliwości, że władali warownią wystarczająco potężną, by odeprzeć niejednego atak wikingów. Dlatego fikcyjny wątek powieści ukazuje, jak Uhtred dziedziczy, traci, a w końcu odzyskuje swoją rodową siedzibę.

Wymyśloną przez siebie historię opowiadałam w znacznie szerszym kontekście, jakim są początki angielskiej państwowości. Kiedy Uhtred przychodzi na świat (i stan ten utrzymuje się przez większość jego fikcyjnego życia) zjednoczona Anglia - czyli taka, jaką dziś znamy - jeszcze nie istnieje, niemniej król Alfred zaczyna ją budować. A jako że zapoczątkowany przez tego władcę proces miał niebagatelny wpływ na bieg historii, stwierdziłem, że warto, aby Czytelnik znał jego początki. Wydaje mi się aż zadziwiające, że dziś tak mało mówi się o okresie, kiedy powstawała zjednoczona Anglia i formował się naród Anglików.

Amerykanie hucznie obchodzą 4 lipca, inne nacje szczycą się legendami o swoich początkach, tymczasem Anglicy zdają się nie chcieć pamiętać o bólach porodowych własnego narodu. Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn aż do XX wieku nauczano, że historia Anglii zaczęła się w roku 1066, czyli wraz z podbojem wyspy przez Wilhelma Zdobywcę. A przecież jest oczywiste, że naród zawojowany przez Wilhelma posiadał znacznie dawniejsze dziedzictwo. Wiedział o tym już sam książę Normandii, bowiem roztropnie zachował wiele wcześniejszych instytucji i tradycji, spośród których wiele dotrwało do czasów dzisiejszych.

Alfred był królem Wessexu, lecz nigdy nie został królem Anglii, a mimo to jako jedyny monarcha w naszej historii uznany został za godnego określenia „Wielki”. Wprawdzie nie istnieje komisja nadająca ten zaszczytny przydomek, jednak gdyby to zależało ode mnie, nadałbym go również Elżbiecie I. Niestety, nie jest to w mojej mocy, gdyż przydomki dla władców pojawiają się same z siebie w tajemniczych okolicznościach. A zatem dlaczego Alfreda zwie się Wielkim? Gdyż bez niego nie byłoby mowy o powstaniu Anglii.

Kiedy w 849 roku urodził się Alfred, kraj, który potem miał stać się Anglią, podzielony był na cztery anglosaskie królestwa: Northumbrię, Mercję, Wschodnią Anglię i Wessex. Northumbria znajdowała się na północy wyspy. Centrum zajmowanych przez Anglów i Sasów ziem podzielone było między Mercję i Wschodnią Anglię. Natomiast część wyspy na południe od rzek Tamizy i Severn zajmował Wessex - państwo, którym rządził ojciec Alfreda. Kornwalia, Walia oraz większa część Szkocji były terytoriami zamieszkanymi przez plemiona Brytów, które posługiwały się językami celtyckimi. Wówczas jeśli ktoś używał słowa *Englaland* - Anglia, odnosił je tylko do obszaru zajmowanego przez ludność posługującą się językiem staroangielskim, przodkiem naszego współczesnego angielskiego. Był to zatem *Angelcynn*, czyli kraj ludności anglojęzycznej. Mimo istnienia powyższych nazw, obszar ten nie stanowił jednolitego państwa.

Cztery anglosaskie królestwa rzadko żyły w zgodzie, a ich mieszkańcy nie cierpieli się nawzajem niemalże tak samo jak cudzoziemców żyjących poza umownymi granicami Angelcynnu. Właśnie dlatego nawet w obliczu coraz częstszych najazdów Duńczyków na

Englaland, cztery królestwa nie zjednoczyły się przeciwko wspólnemu wrogowi. W efekcie aż trzy z nich zostały zdobyte niemal w całości - najpierw Northumbria (prócz terenów wokół Bebbanburga), potem Wschodnia Anglia, a wreszcie północna Mercja (południowa zachowała niezależność). Działo się to w IX wieku, a ja piszę o tych wydarzeniach w *Ostatnim królestwie*, pierwszym tomie opowieści o Uhtredzie. Duńczycy stopniowo podbijali Englaland i każdy, kto był tego świadkiem, musiał się obawiać, że wyspa wkrótce zostanie przemianowana na Daneland, gdyż najważniejszym z używanych tam języków stanie się duński.

Jeśli tak się nie stało, w dłuższej mierze zawdzięczamy to Alfredowi. Najmłodszy z czterech królewskich synów, miał marne szanse na koronę. Jednak po śmierci ojca każdy ze starszych braci rządził krótko. Umierali przedwcześnie na skutek chorób bądź ran odniesionych w bitwach. W ten sposób nieprawdopodobne stało się faktem - w 871 roku dwudziestodwuletni Alfred został królem Wessexu. Wątpię, by współcześni wiązali z jego osobą wielkie nadzieje, gdyż był cherlawym młodzieńcem. W 868 roku omdlał na własnym weselu, by już przez resztę życia cierpieć z powodu dotkliwych ataków bóleści. Wedle tego, co sugeruje jedna z dzisiejszych diagnoz lekarskich, mogła mu doskwierać choroba Leśniowskiego-Crohna, nieuleczalny i wyniszczający rodzaj zapalenia przewodu pokarmowego. Jakby tego było mało, dokuczały mu hemoroidy.

Pomniki Alfreda, jak te w Winchesterze (dawnej stolicy Wessexu) i Wantage (miejscu narodzin króla), przedstawiają go jako wielkiego wojownika - mimo że wszelkie świadectwa mówią o jego miernej sile fizycznej i braku zainteresowania sprawami wojennymi. Alfred był przede wszystkim bogobojnym chrześcijaninem, marzącym o tym, by Wessex i cały Englaland funkcjonowały na wzór chrześcijańskiej wspólnoty.

Pobożność władcy to klucz do zrozumienia jego charakteru. Możliwe, że ze wszystkich monarchów, którzy kiedykolwiek rządili Brytanią, właśnie on był najbardziej religijny. W kościele prawosławnym uznaje się go wręcz za świętego, chociaż - jak wielu innych świętych - i on miał grzeszną młodość. Istnieją zapisy dowodzące, że poza łóżem małżeńskim spłodził syna Osfertha, któremu w swoich powieściach dałem do odegrania fikcyjną rolę.

Biografię Alfreda napisał jeszcze za życia władcy biskup Asser. Walijski duchowny nie wspomniał w swym dziele o Osfercie, opisał za to, jak Alfred błagał Boga, by pokarał go chorobą, która odwiedzie go od grzesznych pokus. Pan przychylił się do próśb monarchy i w 871 roku, wraz z założeniem korony Wessexu, król zachorował przewlekłe.

Alfred był nadzwyczaj inteligentnym i ambitnym człowiekiem, a przy tym dalekowzrocznym. Miał wizję państwa, w którym szerzyłaby się pobożność, królowała

wiedza i panowała sprawiedliwość - trzy najważniejsze dla tego władcy wartości.

Niewiele z ustanowionych przez Alfreda praw pozostałoby w mocy, a organizacja kościelna w Brytanii byłaby zniszczona, gdyby pogańscy Duńczycy zdobyli Wessex podczas którejkolwiek ze swoich prób podboju. A marzyli o opanowaniu tego kraju z uwagi na jego bogactwa i żyzną ziemię. W boju z wikingami polegli dwaj bracia Alfreda. Presja, jaką ludzie Północy wywierali na granice Wessexu, była ogromna. Napór narastał przez pierwsze lata panowania młodego króla. Skoro zaś władca Zachodnich Sasów zamierzał stworzyć królestwo pobożności, wiedzy i sprawiedliwości, musiał najpierw zapewnić Wessexowi przetrwanie polityczne. A takie wyzwanie wydawało się nieosiągalne, gdyż Duńczycy triumfowali na wszystkich frontach.

Ludzie Północy byli uciążliwymi i potężnymi wrogami. W drugiej połowie IX wieku nastąpiła masowa, niespotykana od początku okresu wikińskiego, migracja ze Skandynawii. Norwegowie zaatakowali Szkocję i Irlandię, pozęglowali na Islandię, Grenlandię i Nową Funlandię. Svearowie, przodkowie dzisiejszych Szwedów, parli na wschód, przejmując kontrolę nad rozległymi terenami dzisiejszej Rosji. Duńczycy z kolei pokonywali Morze Północne, by plądrować zachodnioeuropejskie wybrzeża.

Po pewnym czasie pirackie napady przestały ich zadowalać i postanowili zasiedlić ziemie, które wcześniej grabili. Duńscy osadnicy podbili Northumbrię, Wschodnią Anglię i północną Mercję. Najbardziej lubili łupić chrześcijańskie kościoły i klasztory, gdyż miejsca te posiadały zasobne skarbcze, a były słabo bronione. Wikingowie kochali wojnę, nie rozstawali się z mieczem, toporem i włócznią. W krótkim czasie zawojowali trzy z czterech angielskich królestw.

Na szczęście dla Alfreda, Duńczycy okazali się oportunistami. Wikiński przywódca, który odnosił zwycięstwa, przyciągał wielu popleczników i zbierał flotę liczącą setki długich łodzi. Jednak po pierwszej porażce sprzymierzeńcy go opuszczali, by poprzeć innego wodza bądź też działać na własną rękę. Pomimo braku spójnych planów inwazji czy silnego, ogólnie uznanego przywódcy, Skandynawowie stanowili nieustanne zagrożenie dla królestwa Alfreda. Wszczynali ciągle nowe wojny i dawali władcy do zrozumienia, że może się ich pozbyć tylko dzięki daninie w postaci srebra. Nie był to jednak dobry sposób na pozbycie się najeźdźców, ponieważ apetyt Duńczyków na srebro ciągle rósł, więc następowały kolejne najazdy w celu wymuszenia następnych danin.

Chociaż rola powieściowego Uhtreda w tych wydarzeniach jest fikcyjna, wątek fabularny osnułem na faktach. Uhtred ma sentyment do Duńczyków, ponieważ wychował go Ragnar, duński jarl. Pomimo tego nie potrafi uciec swojemu saskiemu przeznaczeniu, które oznacza

walkę po stronie Alfreda, choćby i wbrew sobie. Pomiędzy tymi dwoma mężami panuje ciągle napięcie, w dużej mierze wskutek uporu Uhtreda, by pozostać przy pogańskiej wierze w skandynawskich bogów, tych samych, których pierwotnie czcili Anglowie i Sasi, zanim nawrócono ich na chrześcijaństwo. Konflikt religijny przydaje politycznym niesnaskom goryczy. Dziś hołubimy pamięć Alfreda, ponieważ zdołał uchronić od zatury angielski język, angielskie prawo i angielskie społeczeństwo. A stało się tak, gdyż jego głównym celem było wykorzenie pogaństwa. Ochrzczony Duńczyk, jakich nie brakowało, przestawał być wrogiem Alfreda, tymczasem bohater mych powieści, jego najznamienitszy wojownik Uhtred nie cieszy się sympatią władcy, ponieważ zawzięcie odmawia wyrzeczenia się wiary w Odyń, Thora i innych dawnych bogów.

Alfred walczył, by spełnić szalenie ambitne marzenia. Termin Englaland opisywał terytorium Angelcynnu, gdzie mówiono po angielsku, czyli wszystkie ziemie Angłów i Sasów. Englaland nie był jednostką polityczną ani państwem, jednakże Alfred pragnął, by tak się stało. W latach 70. IX wieku dążenie to pozostawało w sferze fantazji, bowiem Duńczycy wydawali się niezwyciężeni, a w 878 roku o mały włos nie zdołali zniszczyć Wessexu. Tamtej zimy dokonali najazdu i zajęli cały kraj, lecz nie udało im się zgładzić Alfreda, który znalazł schronienie na mokradłach Somerset, nieopodal Athelney. Stamtąd prowadził wojnę podjazdową z najeźdźcą. Wówczas marzenie o chrześcijańskiej Anglii musiało mu się wydawać nieziszczalne. Duńczycy rządzili od pogranicza Szkocji po kanał La Manche. Jedyną nadzieją dla Anglii - a raczej dla jej poprzednika, Wessexu - była garstka wojowników, ukrywających się na zamglonych mokradłach w pobliżu rzeki Severn. Historia o tym, jak Alfred przypalił strawę, rozgrywa się właśnie w tym czasie, jakkolwiek trudno dociec, czy owa słynna scena faktycznie miała miejsce. Królowi tak mocno zależało na odbudowie państwa, że kiedy tylko udało mu się zorganizować armię, poprowadził ją do Ethandun, gdzie zwyciężył w bitwie z Duńczykami - o czym opowiada *Zwiastun burzy*. Była to niebywała i wielce znacząca wygrana. Wessex został ocalony. Uhtred naturalnie odgrywał w tych wydarzeniach ważną rolę. Wbrew własnym sympatiom stał się uznanym przywódcą sił Wessexu - przywódcą, który toczył prywatny bój z Alfredem.

Po zwycięstwie pod Ethandun król miał okazję ujawnić jedną ze swoich najznakomitszych umiejętności - talent administracyjny. Możliwe, że pragnął poświęcić życie pobożności, edukacji i prawu, jednak wiedział, że te nie mogłoby kwitnąć dopóty, dopóki królestwu groziły najazdy ze strony Duńczyków. Dlatego zrewolucjonizował armię. Bezlitośnie zwalczając opór ludności, powołał *fyrð* - chłopskie pospolite ruszenie - który miał zapewnić stałą załogę budowanym w tym czasie burhom, obwarowanym osiedlom schronieniowym.

Najeżdżający Wessex Skandynawowie nadal mogli plądrować wioski, wnikając daleko w głąb krainy, lecz w grodach czekały na nich saskie wojska, osłonięte przez grube wały, a wikingowie nie celowali w wojnie oblężniczej. Nowa taktyka okazała się skuteczna. Do końca panowania Alfreda, Duńczycy jeszcze wielokrotnie uderzali na Zachodnich Sasów, jednakże ci, już dobrze zorganizowani przez króla, nieodmiennie zwyciężali nad piratami, którym brakowało dyscypliny. Alfreda uważa się też za twórcę angielskiej marynarki wojennej, aczkolwiek budowane przez jego skutników okręty nie mogły się równać ze skandynawskimi langskipami (długimi statkami wojennymi). Król zdołał uczynić Wessex bezpiecznym. Zimą, podczas której miała miejsce bitwa pod Athelney, wydawać się mogło, że ostatnie saskie królestwo Brytanii zostanie zniesione z powierzchni ziemi. Niemniej władca ocalał je od zguby, wskrzesił i umocnił.

System burhów oraz *fyrđ* broniły też innych projektów Alfreda - zakładanych przez niego szkół, licznych klasztorów oraz rzeczy zdawałoby się ulotnej: przestrzegania stworzonych przez monarchę nowych praw. Król skodyfikował anglosaskie prawa, poprzez które chciał ucywilizować swoje społeczeństwo. Właśnie w tych jego reformach ma swoje korzenie angielska administracja. Jeszcze dziś, przechadzając się po centrum Winchesteru - który, jak i większości ówczesnych miast, został przekształcony w burh - zwiedza się kwartały grodzkie wyznaczone przez ludzi Alfreda. Za jego władania ustanowione zostały granice hrabstw i gmin. Dlatego w pewnym sensie wciąż żyjemy w jego Anglii. I choć władza tego monarchy ograniczała się do jednego z czterech anglosaskich królestw, pan Wessexu pragnął panować nad całym Angelcynnem, chciał zostać udziałnym władcą całej anglojęzycznej ludności.

Ambitnego władcy nie zadowalała obrona granic Wessexu. Zaanektował mercyjski Londyn, czyniąc go miastem zachodniosaskim, gdyż rozumiał doniosłe znaczenie tak dogodnie położonego ośrodka handlowego. O wydarzeniu tym opowiada Pieśń miecza. Nadto Alfred wykorzystał chaos, jaki panował w Mercji, by naznaczyć dla jej południowej, anglosaskiej części państwa, marionetkowego władcę - i ożenił go ze swą córką Aethelflaed. Następnie także tam wznosił system burhów i narzucił ludności obowiązek wstępowania do fyrdu. Wynikiem tych starań pod koniec IX wieku, wpływy Wessexu obejmują większą część południowej Anglii, a armia Alfreda stała się przodującą siłą militarną w Brytanii.

Jak dotąd Zachodni Sasi odnosili sukcesy, jednak w ostatnich latach IX wieku wydawało się jasne, że król wkrótce opuści ten świat. Śmierć władcy mogła oznaczać osłabienie Wessexu, dając Duńczykom szansę na podbicie ostatniego z saskich państw. Monarcha rozpaczliwie pragnął, by tron przejął po nim jego syn Edward, któremu wyznaczył zadanie kontynuowania własnego dzieła - rozszerzania wpływów Zachodnich Sasów tak długo, aż

południowe królestwo można będzie nazywać Anglią.

Ta historia dopiero zostanie przeze mnie opowiedziana. Jej akcja - z oczywistych przyczyn - przenosi nas coraz dalej w kierunku północnym, bowiem dążenie do stworzenia ogólnoangielskiej państwowości kierowało wojska Wessexu ku zajętych przez Skandynawów północnym rejonom. Uhtred weźmie udział w tych działaniach, co jest mu jak najbardziej na rękę, gdyż marzy mu się powrót do Bebbanburga - zawłaszczonej przez jego wuja twierdzy rodowej. Doczytawszy *Płonące ziemie* do końca, dowiadujemy się, że Uhtred, teraz wdowiec, nawiązuje bliższe relacje z Aethelflaed, córką Alfreda, co pozwala przypuszczać, że tych dwoje połączy swe siły w walce mającej na celu odbicie z rąk Duńczyków północnej Mercji.

Anglia narodziła się w ogniu wojennej pożogi. Wśród współczesnych rewizjonistów pojawił się nurt przedstawiający wikingów jako lud w gruncie rzeczy kochający pokój, a tylko zniesławiony przez historię. Trudno o większy nonsens. Ludzie Północy byli najeźdźcami, osadnikami i kolonistami, podobnie jak kilka stuleci wcześniej Anglowie i Sasi. Niedawne odkrycie zbiorowej mogiły w Dorset sugeruje, że jedna z wikingów została pojmana w Wessexie, rozebrana do naga i zasieczona na śmierć mieczami i toporami. I takie właśnie jest tło historyczne opowieści o początkach angielskiej państwowości. Anglowie i Sasi walczyli o przetrwanie, wiedząc, że w razie przegranej zapanowałiby nad nimi żądni łupów przybysze, którzy wprowadziliby duńskie prawa i obyczaje, a język najeźdźców zastąpiłby ich własny. Tak też stało się w dużej mierze w Northumbrii i Wschodniej Anglii - królestwach, które łącznie zwano *Danelaw* (czyli Krajem Prawa Duńskiego). We współczesnych nazwach miejscowości na północy i wschodzie Anglii widzimy świadectwo tego, jak język angielski wzbogacony został duńskimi wpływami.

Półtora wieku po śmierci Alfreda i Uhtreda, wikingowie rzeczywiście zawładnęli całą Anglią. Normanowie - mający skandynawskie korzenie - dokonali ostatecznego podboju wszystkich anglosaskich ziem. Lecz nim to nastąpiło, wyspiarski kraj rozwijał się na tyle długo, by ustanowić własne prawa, obyczaje i instytucje, które trudno byłoby nowym zdobywcom wykorzenić. Dziś w każdym miejscu na świecie można usłyszeć język angielski. Stał się *lingua franca*, choć w roku 878 jego obrońcy zmuszeni byli kryć się na kilku milach kwadratowych grząskich mokradeł Somerset. To, że ci uchodźcy przeżyli, wzięli odwet i zwyciężyli, było niekwestionowaną zasługą Alfreda.

Proces zjednoczenia królestw Anglii doprowadzili do końca syn, córka i wnuk wielkiego władcy, ale to w sercu Alfreda zrodziło się pragnienie, które zapoczątkowało to żmudne przedsięwzięcie. Uhtred nie przepadał za królem - którego uważał za nazbyt bogobojnego, uporządkowanego i poważnego - ale odczucia mojego głównego bohatera nie zmieniają faktu,

że monarcha ten zmienił oblicze Brytanii. Opinia Uhtreda nie ujmuje też Alfredowi nic z jego wielkości.

Bernard Cornwell

Notes

[←1]

Na temat podziałów Brytanii na różne królestwa Anglów i Sasów patrz przypisy w pierwszym tomie serii. Dwa słowa na ten temat znajdują się także w kończącym *Plonące ziemie* dodatku odautorskim *Początki Anglii*, (przyp. red. pol.)

[←2]

Ale - jedna z germańskich nazw piwa. (przyp. red. pol.)

[←3]

Kieran lub Kiaran (irl. *Ciaran*) z Saigir - irlandzki biskup i opat, urodzony na Cape Clear (irl. *Oilean Chleire*), wysepce u południowo-zachodnich wybrzeży Zielonej Wyspy. Zmarł około 530 roku w klasztorze Saigir. Uznawany jest za jednego z „dwunastu apostołów Irlandii”, (przyp. tłum.)

[←4]

Eldorman (stang. *ealdorman*) - tytuł anglosaski, oznaczający w IX-XI w. człowieka sprawującego władzę w shire (ziemi, prowincji) z ramienia króla; erl (stang. *earl*) - zangielszczenie skandynawskiego tytułu jarl (wódz) - w Anglii od IX w. miał to samo znaczenie, co eldorman, ale oficjalnie wprowadzono go dopiero w XI w. (przyp. red. pol.)

[←5]

Aetheling (stang.) - pierwotnie, w czasach pierwszych państw anglosaskich w Brytanii, słowo to oznaczało każdą szlachetnie urodzoną osobę (od *aethel* - szlachetnie urodzony/szlachetność). Potem (najpóźniej w X w.) zaczęło być odnoszone do pretendujących do tronu członków dynastii królewskiej. W najstarszym staroangielskim eposie *Beowulf* „synem aethelinga” nazwano herosa Sigemunda - ale nie wiadomo czy w starszym, czy w nowszym znaczeniu. (przyp. tłum. i red. pol.)

[←6]

Kenelm (stang. *Cynehelm*) - według legendy miał w 819 roku objąć tron Mercji, by wkrótce paść ofiarą spisku uknutego przez siostrę: jej kochanek uciął władcy głowę podczas polowania. Zmarły pod postacią białego gołębia uleciał do Rzymu, niosąc do papieża list z opisem zamachu. Skrytobójcy zostali straceni, Kenelma uznano za męczennika i czczono w Anglii. W rzeczywistości Kenelm przez krótki czas panował w Mercji na przełomie VIII i IX w. (przyp. tłum.)

[←7]

Jarl - patrz wcześniejszy przypis o erldormanie i erlu. (przyp. red. pol.)

[←8]

Burh (stang.) - gród. Król Alfred systematycznie budował sieć burhów, aby chronić południową i środkową Anglię przed wikingami. Twierdze te stawały się centrami politycznymi ziem, na których je wznoszono, (przyp. red. pol.)

[←9]

Ten (stang. *thegn*) - w dawnej Anglii posiadacz dużego majątku, możnowładca. (przyp. red. pol.)

Dzięki spożywaniu jabłek młodości bogowie skandynawscy nigdy się nie starzeli, (przyp. red. pol.)

Środkowy Świat, Środkowa Kraina (stskand. *Midgard*) - germańskie określenie na świat ludzi. Asgard był z kolei jedną z dwóch niebiańskich krain, zamieszkaną przez boski ród Asów. (przyp. red. pol.)

Dux bellorum (łac., dosłownie: książę/wódz bitew). Określenie używane w średniowieczu w stosunku do wodzów, którzy nie byli władcami, za to ze względu na odwagę, talent strategiczny oraz odnoszone zwycięstwa powszechnie uznawano ich za wybitnych przywódców, (przyt. red. pol.)

Tutaj z kolei król użył jednego z wielu germańskich określeń zwycięskiego wodza, (przyj. red. pol.)

Chodzi o Nomy, które splatały (wyznaczały) nici życia zarówno ludzi, jak i bogów, (przyp. red. pol.)

Staroangielski termin *Punresdæg*, późniejszy *Thuresday* i wreszcie współczesny *Thursday* oznaczają dzień Thora, gdyż właśnie temu bogu był poświęcony czwartek, (przyp. tłum.)

[←16]

Maryday - dzień Marii (matki Jezusa), *Haligastday* - dzień Ducha Świętego, a więc król zamierzał nadać dniom chrześcijańskie nazwy, (przyp. red. pol.)

[←17]

Odpowiednio wtorek był dniem Tyra, środa - Odyna/Wotana, czwartek - Thora, a piątek - Frigg lub Frei. (przyp. tłum.)

[←18]

Witangemot, witan (stang. *witena gemot* - zebranie mądrych ludzi) - w Anglii między VII a XI w.: najpierw zgromadzenie wojów, potem rada starszyzny, a w końcu rada królewska decydująca o sprawach wagi państwowej, (przyp. tłum.)

Cedd (ur. ok. 620 - zm. 664) - mnich benedyktyński, ewangelizował mieszkańców różnych królestw Anglii. Ponoć wychował się na wyspie Lindisfarne, a działalność misyjna doprowadziła go do stanowiska drugiego w historii biskupa Londynu, (przyp. tłum.)

[←20]

Kerl (stang. *ceorl*) - anglosaska nazwa wolnego chłopca, z upływem czasu coraz bardziej zależnego od okolicznego tena lub erla. (przyt. red. pol.)

Święta Milburga (zm. w 715 r.) - córka króla państewka Magonsaete, wchłoniętego z czasem przez Mercję. Uznawana za uosobienie cnotliwej pokory i niezachwianej wiary. Znana z dokonywanych uzdrowień i zapału ewangelizacyjnego. Czasem uważa się, że jej kult został połączony z wiarą w pogańską boginię opiekującą się zbiorami zbóż. (przyp. tłum.)

Starogermańskie określenia *scip man* (stang.), *skipherra* (stskand.), *sciff meister* (stniem.) oznaczały dowódcę statku. Od tych wyrażen pochodzą spolszczone nazwy „skiper” i „szyper”, czyli kapitan i/lub sternik, (przyp. red. pol.)

Chodzi o znanego ze skandynawskich mitów węża-smoka Nidhoga, który w podziemiach świata zjadał ciała umarłych, co według germańskich wierzeń oznaczało tak zwaną drugą (i ostateczną) śmierć ducha istoty ludzkiej. (przyp. red. pol.)

Według mitów skandynawskich wieści ze świata ludzi przynosiły Odynowi dwa kruki, Huginn (Myślący) i Muninn (Pamiętający), (przyp. tłum.)

[←25]

Wyspa Cierni, porównaj z ang. *thorn* - cień. Warto przy tym dodać, że Þ (*thorn / Þorn*) to także litera alfabetu staroangielskiego (której nazwa pochodzi od runy o tym samym mianie), dziś zapisywana jako dwuznak *th*. (przyp. tłum.)

[←26]

Chodzi o tak zwany pokój w Wedmore. Autor omawia związane z nim wydarzenia w tomie *Zwiastun burzy*,
(przyp. tłum.)

Biblia Tysiąclecia, Ewangelia według św. Jana 1:32. W oryginalnej wersji: „Ujrzałem Ducha, który jak gołębica zstępował z nieba i spoczął na Nim”, (przyp. tłum.)

Żyjąca zapewne w VII w. święta Ethelburga była siostrą londyńskiego biskupa Erkenwalda i pierwszą księżką opactwa w Barking. Znana ją jako sprawczynią wielu cudów, (przyp. tłum.)

Stang. Angelecynn - lud Anglów / kraj Anglów (od *cynn* - rodzina, lud, a potem także: kraj). Król Alfred rzeczywiście używał tego terminu w obu podanych znaczeniach, co miało być wyrazem jego dążenia do zjednoczenia całej Anglii, (przyp. red. pol.)

Postać Wielkiej Nierządnicy siedzącej na Bestii pojawiła się w Apokalipsie św. Jana, a w średniowieczu była chętnie przywoływanym symbolem zepsucia i zła tego świata, (przyp. tłum.)

Wergild - jedna ze starogermańskich nazw gówszczyzny. (przyp. tłum.)

Terminem „Północ” ówczesni ludzie określali ojczyznę wikingów, a więc Skandynawię, a także zamieszkane przez nich wyspy północnoatlantyckie aż do Szkocji. Wierzono, że tam, pośród lodów, żyją liczne rodzaje olbrzymów, w tym Oszronione Olbrzymy. W książce występuje też wyrażenie „północ wyspy” oznaczające północną część Anglii, leżącą przy granicy ze Szkocją, a więc Northumbrię i Kumbrię. (przyp. red. pol.)

[←33]

Używane wówczas wyrażenie „iść na wiking” oznaczało wyruszenie na morską wyprawę łupieżczą, (przyp. red. pol.)

Czyli występujące wcześniej w książce skandynawskie „Przędki losu” ludzi i bogów, (przyp. red. pol.)

Stang. wyrd, stskand. *urd* - to, co się stanie; los, przeznaczenie, (przyp. red. pol.)

[←36]

Stang. *reeve* - sędzia, potem też naczelnik ziemski i w efekcie odpowiednik eldormana. Od IX-X w. zarządca shire'u (ziemi, prowincji), stąd później nazywano go shire-reeve'em - szeryfem, (przyp. red. pol.)

W wiekach VI-VII Bernicją nazywano założone na północy (na granicy ze Szkocją) królestwo Anglów, które później połączyło się z Deirą, dając początek Northumbrii. W okresie najazdów Duńczyków angielscy władcy niewielkiego terytorium wokół Bebbanburga wskrzesili nazwę Bernicji na oznaczenie swoich włości, (przyp. red. pol.)

Pierwszy historyczny król angielskiej Bernicji, panujący w połowie VI w. (przyp. red. pol.)

Morskie skorupiaki z rodziny wąsonogów, prowadzące osiadły tryb życia, (przypr. tłum.)

Autor użył terminu *keening* (gaelickie: *caoineadh*) - nawiązującego do charakterystycznego dla Celtów lamentu żałobnego. *Bean caoinadh* oznaczało po gaelicku (czyli w języku Celtów szkockich) „płaczkę” którą oplacano, aby w czasie pogrzebu rytualnie wyła i śpiewała, (przyp. tłum.)

Yule - jedna z nazw święta nowego roku i zmarłych, obchodzonego od połowy grudnia do początku stycznia (potem dostosowanego przez Kościół do okresu bożonarodzeniowego). Był to najhuczniejszy i najdłuższy okres świąteczny w kalendarzu pogańskich Germanów, (przyp. red. pol.)

Alba - nazwa największego ze szkockich królestw, które powstawało w kilku etapach. Najpierw Dalriada (gael. Dal Riata), państwo iryjskie z północno-wschodniej Irlandii, od V w. podbijało zachodnie wybrzeża szkockiej Kaledonii. W 843 r. (50 lat przed wydarzeniami tego tomu powieści) połączyło się z królestwem Piktów (obejmującym centrum i część północnej Szkocji), a w efekcie powstało państwo zwane Albą. Przez następne dwa stulecia Alba podbijała inne pityjskie władztwa na północy wyspy. W efekcie od XI w. zaczęto ją określać terminem Szkocja - od miana Szkoci, jak we wczesnym średniowieczu określano Irów, głównych mieszkańców dawnej Dalriady. (przyp. red. pol.)

Strath Clota (dziś. Strathclyde) - kraina w południowo-zachodniej Szkocji. Ostatnie niezależne królestwo Piktów, w I połowie XI w. włączone do Alby / Szkocji, (przyp. red. pol.)

Colum Cille (irl.) - Gołąb Kościoła, irlandzki przydomek świętego Kolumby (521-597), jednego z dwunastu apostołów Irlandii. Pochodził z rodziny królewskiej, był misjonarzem, założycielem opactwa na wyspie Hy (inaczej: Iona) i blisko stu innych klasztorów w Irlandii, Szkocji i północnej Anglii. Nawracał Piktów i Northumbryjczyków. Jego żywot zawiera pierwszą wzmiankę o potworze z Loch Ness. Święty miał go odgonić znakiem krzyża, jak też wskrzesić zaatakowanego przez niego człowieka, (przyp. tłum.)

Chodzi o Donalda II (gael. Domhnall mac Choiseim), panującego w latach 889-900, Jako pierwszy nosił tytuł króla Alby, który odziedziczył po nim jego następca i bratanek Konstantyn II, syn Aeda (gael. Coisem mac Aoidh), władający 900-943. Obaj władcy należeli do dynastii Alpinów, sprawującej rządy przez z górą dwa wieki od I połowy IX w. do 1058 roku (przyp. tłum.)

Rozdawca złota - przerośnia oznaczająca króla, a tutaj aluzja, że władcą Mercji (a jednocześnie dyspozytorem skarbu, z którego wypłacano nagrody za służbę) jest mąż Aethelflaed, a więc to jego - tak ze względu na obowiązek przysięgi, jak i z powodu finansowych gratyfikacji - słuchają Mercjanie. (przyp. red. pol.)

[←47]

Paweł z Tarsu wielokrotnie wypowiadał się w swych pismach w podobny sposób, czego przykładem jest *Pierwszy List do Koryntian* (rozdział 7). (przyt. tłum.)

[←48]

W oryginale skep - termin oznaczający zarówno kobiałkę z drewna bądź wikliny, jak i słomiany ul. Po polsku najbliższymi odpowiednikami są „kószka” bądź „bezdenka” opisywana jako dzwonowate czy też kopulaste ule ze słomy, (przyp. tłum.)

Thundersley, dawniej Thunresleam, od stang. *Punres leah* - Sad/Łąka Thora, a więc miejsce poświęcone bogowi Thorowi. (przyt. tłum.)

Kanut Wielki (996/997-1035) - król Anglii 1016-1035, Danii 1018-1035 i Norwegii 1028-1035, a także jakiejś części Szwecji. Pochodził z rodu władców Danii i był typowym wodzem wikingów. Zakończył - rozpoczął przez swego ojca, Swena Widłobrodego - podbój Anglii. Niektóre źródła podają, że Kanut kazał ścinać Uhtreda, eldormana Northumbrii, za złamanie przysięgi złożonej wcześniej właśnie Swenowi. (przyp. tłum. i red. pol.)